

ROBERT LUDLUM

MANUSKRYPT CHANCELLORA

tytuł oryginału: „THE CHANCELLOR MANUSCRIPT”

Przełożył: JULIUSZ GORZTECKI

MANUSKRYPT CHANCELLORA

tytuł oryginału: „THE CHANCELLOR MANUSCRIPT”

Przełożył: JULIUSZ GORZTECKI

PROLOG

3 czerwca 1968 r.

Ciemnowłosy mężczyzna wpatrywał się w ścianę. Fotel, w którym siedział, podobnie zresztą jak całe umeblowanie pomieszczenia, był miły dla oka, ale niewygodny. Poczekalnia bowiem, utrzymana w surowym, spartańskim stylu wczesnoamerykańskim, urządzona była w taki sposób, by oczekujący na audiencję w skrytym za nią gabinecie uświadamiali sobie, jak niebywały zaszczyt ich spotyka.

Czekający mężczyzna miał już blisko trzydzistkę. Jego kanciasta twarz o ostrych rysach wyglądała, jakby wyrzeźbił ją rzemieślnik bardziej dbały o szczegóły niż harmonię całości. Zdradzała przy tym, że jej właściciel przeżywa ostry konflikt wewnętrzny. W tej twarzy uwagę zwracały przede wszystkim oczy, bardzo jasne, niebieskie, głęboko osadzone.

Patrzyły badawczo i ujmowały swą otwartością. Odnosiło się wrażenie, że ich właściciel jest błękitnookim zwierzęciem, w każdej chwili gotowym do skoku, spiętym, pełnym obawy.

Młody człowiek nazywał się Peter Chancellor. Siedział w fotelu sztywno, z kamienną twarzą. Miał złe i gniewne oczy.

W pokoju znajdowała się jeszcze jedna osoba: siedząca za biurkiem podstarzała sekretarka z mocno zaciśniętymi, bezbarwnymi wargami i siwiejącymi włosami, starannie zaczesanymi i ściągniętymi w węzeł na kształt hełmu koloru spłowiałej słomy. Była jednoosobową gwardią pretoriańską, psem bojowym strzegącym dębowych drzwi, za którymi mieściło się sanktuarium wielkiego męża.

Chancellor popatrzył na zegarek, sekretarka zaś rzuciła mu spojrzenie pełne dezaprobaty. Najmniejszy objaw zniecierpliwienia w tym pomieszczeniu był wielkim nietaktem; sam fakt udzielenia audiencji należał do wiekopomnych wydarzeń.

Była za kwadrans szósta, wszystkie inne biura już zamknięto. Jak zawsze późną wiosną Kampus Uniwersytetu Park Forest na środkowym zachodzie Stanów Zjednoczonych przygotowywał się do dyskretnej wieczornej zabawy, z powodu zbliżającego się terminu promocji absolwentów może nieco żywszej niż zwykle.

Park Forest dokładał wszelkich starań, by pozostać poza zasięgiem niepokojów, przetaczających się przez inne kampusy. W ówczesnym burzliwym oceanie życia uniwersyteckiego stanowił nie skażoną żadnym wirem piaszczystą mieliznę. Izolowany, bogaty, zadowolony z siebie, działał wprawdzie bez przerw, ale i bez blasku.

Uważano, że właśnie ten brak jakichkolwiek zewnętrznych zakłóceń stanowił

przyczynę, która przywiodła do Park Forest człowieka, siedzącego teraz za dębowymi drzwiami. A ponieważ nie mógł pozostać anonimowy, starał się przynajmniej być niedostępny. Munro St. Claire

był podsekretarzem w Departamencie Stanu za Roosevelta i Trumana i ambasadorem nadzwyczajnym Eisenhowera, Kennedy'ego i Johnsona. Krążył po świecie wyposażony w szerokie pełnomocnictwa, wspierany autorytetem swych prezydentów i własnym głębokim doświadczeniem. W ten sposób odwiedzał wszystkie punkty globu, w których wybuchały niepokoje. To, że zdecydował się spędzić semestr wiosenny w Park Forest jako osobistość rządowa z gościnnymi wykładami, równocześnie porządkując notatki do swych przyszłych pamiętników, stało się dla rady zarządzającej tym zamożnym, lecz drugorzędnym uniwersytetem wręcz oszałamiającym wydarzeniem. Jej członkowie uwierzyli wreszcie, że St. Claire nie żartuje i zapewnili mu w zamian możliwość pracy w takim odosobnieniu, na jakie nigdy nie mógłby liczyć w Cambridge, New Haven czy Berkeley. Tak przynajmniej opowiadano.

Peter Chancellor zaś, aby nie myśleć o własnej sprawie, próbował sobie przypominać najważniejsze wydarzenia z życia St. Claire'a. Ostatnie wydarzenia z jego własnego życia były bowiem tak zniechęcające, że trudno sobie wyobrazić. Dwadzieścia cztery miesiące stracone, rzucone w otchłań uniwersyteckiego zapomnienia. Dwa lata życia!

Rada naukowa Uniwersytetu Park Forest odrzuciła jego dysertację doktorską ośmioma głosami przeciw jednemu. Jedyne głos „za” należał oczywiście do jego promotora i dlatego nie miał najmniejszego wpływu na ocenę pozostałych. Chancellora oskarżono o lekkomyślność, o złośliwe lekceważenie faktów historycznych, niechlujne badania źródłowe i na koniec o nieodpowiedzialne wprowadzenie do tekstu fikcji literackiej zamiast sprawdzalnych danych. Ocena była jednoznaczna. Chancellor poniósł porażkę i to nieodwołalną.

Z wyżyn euforii spadł w otchłań depresji. Sześć tygodni wcześniej wydawany przez Uniwersytet Georgetown Foreign Service Journal zgodził się opublikować czternaście fragmentów pracy, w sumie jakieś trzydzieści stron. Załatwił to jego promotor, przesyłając egzemplarz opracowania swym uniwersyteckim kolegom w Georgetown. Uznali oni, że praca jest równie nowatorska, jak przerażająca. Journal był pismem o takim samym znaczeniu jak Foreign Affairs, czytowanym przez najbardziej wpływowe osobistości kraju. Z takiej publikacji coś musiało wynikać, ktoś powinien przedstawić autorowi jakąś ciekawą propozycję.

Ale wydawcy Journala postawili jeden warunek: biorąc pod uwagę temat dysertacji, zanim zostanie ona opublikowana przez ich pismo, musi zostać przyjęta jako praca doktorska.

Bez tego nie wydrukują. Rzecz prosta w obecnej sytuacji opublikowanie jakiegokolwiek części nie wchodziło w rachubę.

Tytuł pracy brzmiał: „Geneza konfliktu globalnego”, konfliktem była druga wojna światowa, geneza zaś wynikała z oryginalnej interpretacji osób i sił, które starły się w nieszczęsnych latach 1926-1939. Tłumaczenie, że koncepcją pracy jest analiza interpretacyjna, a nie tworzenie dokumentu prawnego, nie zdało się na nic. Zdaniem komisji historycznej działającej przy radzie naukowej Chancellor popełnił śmiertelny grzech: historycznym osobistościom przypisał wymyślone dialogi. Tego rodzaju nonsensy były nie do przyjęcia w gaju Akademosy Park Forest.

Ponadto Chancellor wiedział, że w ocenie rady jego praca miała jeszcze jedną, o wiele większą skazę. Pisał swą dysertację w świętym oburzeniu. A święte oburzenie jest niedopuszczalne w pracy doktorskiej. Założenie, że giganci świata finansowego biernie przyglądali się temu, jak banda psychopatów przemodelowuje poweimarskie Niemcy, było absurdalne. Równie nonsensowne, jak fałszywe. Wielonarodowe korporacje nie były w stanie dostatecznie szybko dokarmiać nazistowskiej watahy wilków; im silniejsza wataha, tym większa była zachłanność rynku. Cele i metody niemieckiego stada wilków zostały z wyrachowaniem ukryte w celu ekspansji gospodarczej. Diabła tam ukryte! Były tolerowane, wreszcie akceptowane w miarę tego, jak w bilansach rosła strona dochodów. Finansiści wystawili chorym nazistowskim Niemcom świadectwo całkowitego zdrowia. A wśród kolosów międzynarodowej finansjery, karmiącej wermachtowskiemu orła, znajdowały się najbardziej szanowane nazwiska Ameryki.

I w tym był cały problem. Chancellor nie mógł otwarcie, po imieniu, wyliczyć owych korporacji finansowych, ponieważ nie dysponował niepodważalnymi dokumentami. Ludzie, którzy udzielili mu tych informacji i wskazali dalsze źródła, nie zgadzali się na ujawnienie swych nazwisk. Byli to przerażeni, zmęczeni starcy, żyjący z emerytur wypłacanych przez rząd lub spółki akcyjne. Co się zdarzyło w przeszłości, odeszło w przeszłość, a informatorzy nie mogli ryzykować nagłego odcięcia się od hojnych dobroczyńców. Zagrozili, że jeśli Chancellor poda do publicznej wiadomości prywatne z nimi rozmowy, to wyprą się ich. Po prostu. Ale sprawa nie była taka prosta. To wszystko wydarzyło się naprawdę. Nigdy tego nie mówiono, a Peter bardzo pragnął o tym opowiedzieć. Z pewnością nie zamierzał niszczyć tych starych ludzi, zaledwie wykonawców polityki, której sami wówczas nie rozumieli; polityki zaprogramowanej przez innych, stojących tak wysoko na drabinie interesów finansowych, że wykonawcy rzadko się z nimi stykali. Ale Chancellor był przekonany, że zamykanie oczu na nie ujawnione fakty historyczne byłoby równoznaczne z czynieniem zła.

Wybrał więc jedyne dostępne mu rozwiązanie: pozmieniał nazwy gigantycznych korporacji, ale w taki sposób, że nie było najmniejszych wątpliwości, o które chodzi. Każdy, kto czytywał gazety, wiedziałby, o kim mowa.

To był niewybaczalny błąd. Peter postawił prowokacyjne pytania, a nieliczni tylko uznaliby je za uzasadnione. Uniwersytet Park Forest był dobrze widziany przez wielkie korporacje i korporacyjne fundacje, które udzielały mu finansowego wsparcia; tutejszy kampus był dość spokojnym miejscem. Czy ten status miałby w najmniejszym choćby stopniu zostać zagrożony przez opracowanie jednego jedyne doktoranta?

Chryste! Dwa lata! Oczywiście istniała alternatywa. Mógłby na przykład przenieść się na inny uniwersytet i tam przedstawić swą „Genezę”. I co wtedy? Czy to warto? Warto narażać się na ponowne odrzucenie pracy, tyle że z innych względów? Takich, które potwierdzałyby dręczące go wątpliwości. Bo Peter był uczciwy wobec samego siebie: dysertacja nie była ani pracą wybitną, ani szczególnie błyskotliwą. Po prostu natrafił na okres w historii najnowszej, który swoim podobieństwem do współczesności doprowadził go do szału. Nic się nie zmieniło, kłamstwa sprzed czterdziestu lat nadal uważano za prawdy.

Pomimo więc wszelkich wątpliwości nie chciał zamknąć sprawy. Nie c h c e jej zamykać.

Musi o niej opowiedzieć. W jakikolwiek sposób.

Jednak prawdę powiedziawszy oburzenie nie mogło zastępować solidnych badań.

Korzystanie z ustnych relacji o faktach nie mogło być alternatywą zbierania obiektywnej dokumentacji. Choć niechętnie, Peter musiał jednak uznać racje komisji historycznej.

Naukowiec był z niego żaden; spisywał po części fakty, po części fantazje.

Dwa lata! Zmarnowane!

Telefon sekretarki nie zadzwonił, ledwie zabrzączał. Dźwięk ten przypomniawszy

Chancellorowi pogłoskę, że aby Waszyngton mógł osiągnąć Munro St. Claire'a o każdej porze dnia i nocy, zainstalowano specjalną linię. I ta linia, mówiono, była jedynym odstępstwem od narzuconej przez St. Claire'a zasady absolutnej jego niedostępności. Tak, panie ambasadorze -

powiedziała sekretarka - zaraz go przyślę... Ależ w porządku, jeśli pan mnie potrzebuje, mogę zostać. Najwidoczniej nie była już potrzebna, a Peter odniósł wrażenie, że jej to wcale nie cieszy. Gwardia pretoriańska została odesłana do koszar. Na szóstą trzydzieści -

kontynuowała - była przewidywana pana obecność na przyjęciu u dziekana. - Nastąpiła chwila milczenia, po czym kobieta odrzekła: - Tak jest, sir, zatelefonuję, że z żalem nie może pan przyjąć zaproszenia. Dobranoc, panie St. Claire.

Spojrzała na Chancellora.

- Może pan wejść - powiedziała z niemym pytaniem w oczach. - Dziękuję - odrzekł, wstając z niewygodnego krzesła. - Ja także nie wiem, dlaczego się tu znalazłem.

Gabinet z dębową boazerią miał ogromne, ostrołukowe okna. Munro St. Claire wstał, wyciągając prawicę przez antyczny stół, służący mu za biurko. - „Jaki to stary człowiek?” -

pomyślał zbliżając się Chancellor. O wiele starszy, niż wydawał się z daleka, gdy pewnym krokiem przemierzał tereny kampusu. Tutaj, w jego własnym gabinecie, zdawało się, że jego szczupła i wysoka postać, o orlej głowie i wyblakłych blond włosach dokonuje wielkiego wysiłku, by pozostać wyprostowana. Ale St. Claire stał prosto, jakby odmawiał jakichkolwiek ustępstw wobec niemocy, właściwej jego wiekowi. Miał wielkie oczy nieokreślonego koloru, spojrzenie żywe i pełne powagi, choć nie pozbawione isierki humoru. Jego wąskie wargi pod białym, wypielegnowanym wąsem rozchylił miły uśmiech. - Proszę wejść, proszę wejść, panie Chancellor. Miło mi spotkać pana ponownie.

- Nie sądzę, byśmy się kiedykolwiek spotkali.

- Brawo! Nie pozwalaj nikomu żartować z siebie w taki sposób. St. Claire roześmiał

się i wskazał Chancellorowi krzesło przy stole. - Nie miałem zamiaru z panem się sprzeczać, ja

tylko... - Peter zamilkł zdawszy sobie sprawę, że cokolwiek powie, zabrzmiałoby głupio.

Usiadł. - A czemu nie? - spytał St. Claire. - Kłótnia ze mną byłaby niczym w porównaniu z tym, co zrobił pan z całym legionem współczesnych naukowców.

- Co proszę?

- Pańska dysertacja. Przeczytałem ją.

- Pan mi pochlebia.

- Zrobiła na mnie wielkie wrażenie.

- Dziękuję, sir. Na innych nie.

- Tak, rozumiem. Powiedziano mi, że rada naukowa ją odrzuciła. - Tak.

- Zupełny skandal. Włożył pan w to wiele trudu. I bardzo oryginalnie ujął pan temat.

Co z ciebie za człowiek, Peterze Chancellor? Czy w ogóle masz pojęcie, czego narobiłeś? Zapomniani ludzie odkopali zapomniane wspomnienia w pełni lęku zaczęli ci je szeptać. Georgetown trzęsie się od plotek. Z trzeciorzędnej uniwersytetu na środkowym zachodzie Stanów nadszedł wybuchowy dokument. Nic nie znaczący, ledwie promowany student przypomniał nam to, o czym nikt nie chciał pamiętać. Panie Chancellor, Inver Brass nie może pozwolić, by pan to kontynuował.

Peter zauważył, że starszy pan patrzy na niego zachęcająco, równocześnie zachowując dystans. Nie mógł już nic stracić, stawiając sprawę otwarcie. - Czy chce pan przez to powiedzieć, że mógłby pan...? - Ależ nie - przerwał mu ostro St. Claire podnosząc prawą dłoń. Naprawdę nie. Nie ośmieliłbym się kwestionować takiej decyzji, to by było nie na miejscu. I podejrzewam, że była ona całkowicie umotywowana. Ale chciałbym zadać panu parę pytań, a być może także udzielić kilku rad. Chancellor pochylił się w stronę rozmówcy.

- Jakich pytań?

St. Claire rozsiadł się wygodnie.

- Po pierwsze, co do pana. Jestem po prostu ciekaw. Rozmawiałem z pana promotorem, ale to informacje z drugiej ręki. Pana ojciec jest dziennikarzem?

Chancellor uśmiechnął się.

- On by raczej powiedział, że był dziennikarzem. W styczniu odchodzi na emeryturę.

- Pana matka też jest pisarką, prawda?

- Swego rodzaju. Artykuły do magazynów, felietony na kolumnę kobiecą. A przed laty nowe.

- A więc słowo pisane pana nie przeraża?

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Syn mechanika z mniejszym drzeniem bierze się do zepsutego gaźnika niż potomek choreografa. Ogólnie rzecz biorąc, oczywiście. - Ogólnie rzecz biorąc, zgodziłbym się z tym.

- O, właśnie - St. Claire skinął głową.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że moja dysertacja to zepsuty gaźnik?

St. Claire roześmiał się.

- Powoli. Magisterium zrobił pan z dziennikarstwa, co wskazuje, że zamierzał pan podjąć pracę w prasie.

- W każdym razie w którymś ze środków masowego przekazu. Nie byłem zdecydowany w którym.

- A przecież skłonił pan ten uniwersytet, by przyjęto pana jako doktoranta historii.

Czyli zmienił pan zdanie.

- Niezupełnie. Nie byłem zdecydowany do końca. - Peter znów się uśmiechnął, tym razem z zakłopotaniem. - Moi rodzice uważają, że jestem zawodowym studentem. O co nie mają tak naprawdę pretensji. Studiowałem aż do magisterium jako stypendysta. Walczyłem w Wietnamie, więc płacił za mnie rząd. Udzielałem trochę lekcji. Prawdę powiedziawszy zbliżam się do trzydziestki i nie bardzo wiem, co chciałbym robić. Ale nie sądzę, bym w obecnych czasach był jakimś wyjątkiem.

- Pana praca dyplomowa wydawała się wskazywać na skłonność do kariery naukowej.

- Jeśli nawet ją miałem, to już przeszłość.

St. Claire spojrzał na niego.

- Niech mi pan opowie o samej dysertacji. To, co pan sugeruje, jest wstrząsające, oceny wręcz przeraźliwe. Oskarża pan wielu przywódców wolnego świata i kierowane przez nich instytucje o to, że czterdzieści lat temu albo przymykali oczy na groźbę, jaką stanowił

Hitler, albo - co gorsza - bezpośrednio i pośrednio finansowali Trzecią Rzeszę. - Nie z przyczyn ideologicznych. Dla zysku.

- Scylla i Charybda?

- Z tym bym się zgodził. A dziś, wprost na naszych oczach, powtarza się...

- Pomimo oceny wystawionej przez radę naukową - przerwał mu spokojnie St. Claire -

musiał pan wykonać niemało badań. Jak wiele? Co cię pchnęło do działania? Tego musimy się dowiedzieć, bo wiemy, że kiedy zaczniesz, nie popuścisz. Czy zostałeś zaprogramowany przez ludzi szukających zemsty po latach? Czy też - co byłoby znacznie gorsze zapłonem twego oburzenia był przypadek? Nie jesteśmy w stanie kontrolować źródeł. Ale możemy je unieważniać, wykazywać, że są fałszywe. Nie jesteśmy natomiast w stanie kontrolować przypadków. Ani oburzenia, które z przypadku wyrosło. Ale pan, panie Chancellor, nie może kontynuować tego, co pan zaczął. Musimy znaleźć sposób, by pana powstrzymać. Chancellor zamilkł na chwilę; pytanie starego dyplomaty zaskoczyło go. - Badania? O wiele obszerniejsze, niż sądzi rada naukowa i o wiele za szczupłe, niżby tego wymagały pewne wnioski. To mogę uczciwie stwierdzić. - I to jest uczciwe. Czy może pan podać mi szczegóły? Źródła są bardzo mało udokumentowane.

Nagle Peter poczuł się nieswojo. To, co zaczęło się jako dyskusja, przekształciło się w przesłuchanie.

- Dlaczego to jest takie ważne? Ujawnionych źródeł jest niewiele, gdyż ludzie, z którymi rozmawiałem, tego żądali.

- Więc, oczywiście, uszanuj ich życzenie. Nie wymieniaj nazwisk starszy pan uśmiechnął się. Był niezwykle czarującym człowiekiem. Nazwisk nie potrzebujemy. Gdy tylko rozpoznamy zakresy ich działania, nazwiska wykryje się łatwo. Ale lepiej będzie ich nie ustalać. Znacznie lepiej. Bo wtedy znów zaczęto by szeptać po kątach. Mamy lepsze sposoby.

- No, dobrze. Przeprowadziłem wywiady z ludźmi, którzy byli czynni w okresie od 1923 do 1939. Pracowali w ministerstwach, głównie w Departamencie Stanu, oraz w przemyśle i bankowości. Rozmawiałem też z półtuzinem wyższych oficerów, poprzednio związanych z obroną narodową i wywiadem. Żaden, panie St. Claire, żaden z nich nie pozwolił mi powołać się na swoje nazwisko.

- I dali panu taką masę materiału?

- Wiele istotnych spraw wynikało z tematów, o których n i e chcieli dyskutować. Z

oderwanych, zastanawiających zdań czy nagle rzucanych uwag. Moi rozmówcy są dzisiaj starymi ludźmi, wszyscy albo prawie wszyscy są na emeryturze. Czynili mnóstwo dygresji, gubili się we wspomnieniach. To przygnębiająca grupa ludzi, oni... - Chancellor przerwał, nie wiedział, co mówić dalej.

Ale St. Claire wiedział.

- Czyli, ogólnie mówiąc, zgorzkniali niżsi urzędnicy i drobni biurokraci, utrzymujący się ze zbyt niskich emerytur. Tego rodzaju sytuacja życiowa powoduje, że ich wspomnienia są aż nazbyt często zniekształcone, a zawsze zabarwione nienawiścią.

- Nie sądzę, by to była sprawiedliwa ocena. To, czego się dowiedziałem i co napisałem, jest

prawdą. Dlatego każdy, kto przeczyta moją pracę, zorientuje się, o jakie korporacje tam idzie i jak one działają. St. Claire pominął odpowiedź Petera, jakby jej nie usłyszał. - Jak pan dotarł do tych ludzi? Kto ich panu wskazał? Jak pan uzyskał ich zgodę na rozmowy?

- Zacząłem od mego ojca. Wskazał mi paru, a ci dalszych. To się rozwinęło spontanicznie, jedni ludzie pamiętali o drugich. - Od ojca?

- Na początku lat pięćdziesiątych był waszyngtońskim korespondentem prasy Scripps Howarda...

- Tak - przerwał mu łagodnie St. Claire. - A więc od niego otrzymał pan pierwszą listę nazwisk.

- Tak. Około tuzina nazwisk ludzi, którzy prowadzili interesy w przedwojennych Niemczech. Z ministerstw i spoza nich. I jak powiedziałem, oni wskazali mi dalszych. No i oczywiście przeczytałem wszystko, co napisali Trevor Roper, Shirer i niemieccy apologety..

Te wszystkie źródła wymieniłem.

- Czy pana ojciec zna zakres pana pracy?

Chancellor uśmiechnął się.

- Jemu wystarczy, że to ma być dysertacja doktorska. Ojciec zaczął pracować zarobkowo mając za sobą półtora roku studiów. Brakowało nam pieniędzy.

- A więc można by powiedzieć, że on wie, co pan odkrył? Albo co pan sądzi, że odkrył.

- Raczej nie. Miałem zamiar dać rodzicom do przeczytania już ukończoną pracę. Ale obecnie nie przypuszczam, by chcieli ją poznać. To by zbyt mocno naruszyło spokój domowy. - Peter uśmiechnął się niepewnie. - Starzejący się wieczny student, z którego nic nie wyszło. - O ile pamiętam, powiedział pan „zawodowy” student:

- Czy to jakaś różnica?

- Uważam, że duża. W podejściu. - St. Claire zamilkł, pochylił się w stronę rozmówcy i wlepił w niego oczy. - Chciałbym sobie pozwolić na podsumowanie aktualnej pana sytuacji tak, jak ją widzę. - Proszę bardzo.

- Podstawowe znaczenie ma to, że zebrał pan materiały do całkowicie uzasadnionej analizy teoretycznej. Interpretacje wydarzeń historycznych, od dogmatycznych do rewizjonistycznych, są odwiecznym tematem rozważań i dyskusji. Zgodzi się pan z tym?

- Oczywiście.

- Tak, oczywiście. Gdyby pan sądził inaczej, przede wszystkim wybrałby pan inny temat dysertacji. - St. Claire skierował wzrok na okno i mówił dalej. - Ale niezgodna z powszechnie przyjętą

interpretacja wydarzeń - szczególnie, gdy odnosi się do tak niedawnego okresu historii - oparta wyłącznie na cudzych relacjach, nie mogłaby uzasadnić takiego odejścia od ortodoksyjnych poglądów, nieprawdaż? Chcę przez to powiedzieć, że gdyby historycy uważali, iż mogą wnieść tego rodzaju oskarżenia, dawno już rzuciliby się na takie materiały... Ale materiałów do aktu oskarżenia nie było, naprawdę nie było. Więc wyszedł

pan poza zakres przyjętych źródeł, zwrócił się do zgorzkniałych starców i garstki zniechęconych dawnych pracowników wywiadu i na tym oparł pan własną ocenę.

- Tak, ale...

- Tak, ale - przerwał mu St. Claire odwracając się od okna. Sam pan powiedział, że ta ocena była często oparta na „oderwanych zdaniach” i „nagle rzucanych uwagach”. I pańskie źródła zastrzegły ich nieujawnianie. Sam pan przyznał, że badania nie uzasadniają wielu pańskich wniosków.

- Ależ uzasadniają. Wnioski są umotywowane.

- Nigdy nie zostaną przyjęte. Przez żaden uznany autorytet naukowy czy prawniczy. I w moim przekonaniu całkowicie słusznie.

- A więc myli się pan, panie St. Claire. Bo ja się nie mylę. Nie obchodzi mnie, ile rad i komitetów powie, że nie mam racji. To wszystko są fakty, skryte pod powierzchnią zjawisk, ledwie skryte. Ale nikt nie chce o nich mówić. Nawet dziś, po czterdziestu latach. Bo wszystko znów zaczyna się od początku! Garść spółek akcyjnych zarabiana całym świecie miliony dolarów, podkarmiając wojskowe dyktatury. „Nazywają je naszymi przyjaciółmi, naszą pierwszą linią obrony. Mają oczy zwrócone na własne bilanse, tylko to ich obchodzi...

Dobrze, może nie będę w stanie udokumentować moich źródeł, ale nie mam zamiaru marnować dwóch lat roboty. Nie zamierzam dać za wygraną z tego jedynie powodu, że jakiś komitet mówi mi, iż moja praca jest naukowo nie do przyjęcia. Przepraszam, ale dla mnie i c h opinia jest nie do przyjęcia. *tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć. Czy po tym wszystkim zgodziłbyś się nie narażać na dalsze porażki i wycofać z gry? Inni tak sądzili, ale nie ja. Wiesz, że masz słuszność, a dla młodego człowieka to zbyt wielka pokusa... Musimy więc cię unieszkodliwić.p>*

St. Claire spojrzał Chancellorowi prosto w oczy.

- Działał pan na niewłaściwym terenie. Poszukiwał pan akceptacji przez niewłaściwych ludzi. Poszukaj jej gdzie indziej. Tam, gdzie kwestia prawdziwości twierdzeń i dokumentacji źródeł nie jest ważna. - Nie rozumiem.

- Pańska dysertacja pełna jest znakomicie pomyślanej fikcji literackiej. Czemu nie oprzeć się na tym?

- Co?

- Literatura. Niech pan napisze powieść. Nikogo nie obchodzi, czy powieść ściśle oddaje fakty, czy jest autentyczna pod względem historycznym. To po prostu nie jest ważne. -

St. Claire znów pochylił się do przodu, nie odrywając wzroku od Chancellora. - Pisz beletrystykę. Może znowu zostaniesz zignorowany, ale przynajmniej masz szansę, że cię wysłuchają. Upieranie się przy obecnej linii postępowania jest daremne. Stracisz jeszcze rok albo dwa, a nawet trzy. I ostatecznie w jakim celu? Napisz więc powieść. Tam wylej swe oburzenie, a potem zajmuj się własnym życiem.

Peter gapił się na dyplomatę. Nie wiedział, co począć, nie był pewien własnych myśli.

Powtórzył więc tylko jedno słowo:

- Literatura?

- Tak. Uważam, że wróciliśmy do sprawy zepsutego gaźnika, choć to okropna analogia. - St. Claire rozsiadł się wygodniej. - Zgodziliśmy się już, że nie boisz się słowa pisanego; przez większość życia przyglądałeś się, jak puste kartki wypełniane są słowami.

Więc niech cała twoja praca nie pójdzie na marne. Użyj innych słów, zastosuj inne podejście, nie wymagające akademickich sankcji.

Peter, który od paru chwil wstrzymywał oddech, powoli wypuścił powietrze z płuc.

Ocena St. Claire'a oszołomiła go.

- Powieść? Nigdy mi do głowy nie przyszło...

- A ja sądzę, że tak, tylko podświadomie - wtrącił dyplomata. Nie wahałeś się wymyślić akcję - i reakcje - gdy ci to pasowało. I na Boga, masz wszystko, czego potrzeba do stworzenia fascynującej fabuły.

Być może, tak zresztą uważam, nieco naciągniętej, ale wartej przynajmniej przeczytania w hamaku podczas niedzielnego popołudnia. Napraw gaźnik, zmień silnik.

Może nie będzie tak potężny, lecz niewykluczone, że całkiem interesujący. A może ktoś cię wysłucha? Na twoim obecnym terenie nie jest to możliwe. A szczerze mówiąc, nie powinno nawet mieć miejsca. - Powieść. A niech mnie wszyscy diabli!

Munro St. Claire uśmiechnął się. Jego spojrzenie wyrażało jednak jakąś dziwną rezerwę.

Popołudniowe słońce skryło się za horyzontem, na trawnikach leżały długie cienie. St.

Claire stał przy oknie, patrząc na dziedziniec. Pogodny spokój tej scenerii był w jakiś sposób arogancki; był nie na miejscu w świecie pogrążonym w zamięcie.

Mógł już opuścić Park Forest. Jego zadanie zostało wykonane. Starannie przygotowane rozwiązanie było może niedoskonałe, ale na razie wystarczające.

Wystarczające w granicach oszustwa.

Spojrzał na zegarek. Od chwili, gdy oszołomiony Chancellor opuścił jego gabinet, upłynęła godzina. Dyplomata zawrócił do biurka, usiadł i podniósł telefon. Wystukał numer kierunkowy „202”, a następnie siedem dalszych cyfr. W chwilę później w słuchawce rozległ

się dwukrotny trzask, a później jęśliwe buczenie. Dla nie wtajemniczonych oznaczałoby to tylko uszkodzenie na linii.

St. Claire wybrał dalsze pięć cyfr. Rozległ się jeszcze jeden trzask i odezwał się głos:

- Inver Brass. Taśma jest włączona. - Słowa były wypowiedzane z bostońskim spłaszczonym „a”, ale kadencja głosu była środkowoeuropejska.

- Mówi Bravo. Połącz mnie z Genezis.

- Genezis jest w Anglii. Tam jest po północy.

- Obawiam się, że nie mogę wziąć tego pod uwagę. Czy możesz połączyć? Czy masz bezpodsluchową linię?

- Jeśli jeszcze jest w ambasadzie, Bravo, to tak. W przeciwnym razie połączenie z Dorchester. Wtedy bez gwarancji.

- Proszę więc spróbować z ambasadą.

Linia ogłuchła, centrala Inver Brass zestawiała połączenie. W trzy minuty później dał

się słyszeć inny głos. Wyraźny, bez zakłóceń, jakby rozmówca znajdował się po drugiej stronie ulicy, a nie w odległości 4000 mil. Głos był ostry, podniecony, lecz nie pozbawiony szacunku czy nawet odrobiny lęku. - Mówi Genezis. Właśnie wychodziłem. Co się stało?

- Załatwione.

- Dzięki Bogu!

- Dysertację odrzucono. Wyjaśniłem radzie, oczywiście zupełnie prywatnie, że praca jest skrajnym nonsensem. Staliby się pośmiewiskiem całego świata naukowego. Jak się spodziewałem, okazali się rozsądni. To bardzo przeciętne umysły.

- Miło mi to słyszeć. - Londyn przez chwilę milczał. A potem: Jak on zareagował?

- Tak, jak się spodziewałem. Ma rację i wie o tym, dlatego jest sfrustrowany. Nie zamierzał dać za wygraną.

- A teraz?

- Sądzę, że tak. Pomysł wbiłem mu mocno do głowy. Jeśli będzie trzeba, pokieruję nim, skontaktuję z właściwymi ludźmi. To może nawet okazać się niepotrzebne. Jest pomysłowy, a co więcej, autentycznie oburzony. - Przekonałeś go, że tak będzie najlepiej?

- Na pewno. Alternatywą są dla niego dalsze poszukiwania i wyciąganie na jaw dawno zarzuconych spraw. Nie chciałbym, aby to nastąpiło w Cambridge czy Berkeley. A ty?

- Też nie. Być może nikt nie zainteresuje się tym, co on napisze, a tym bardziej nie zechce tego publikować. Sądzę, że możemy to załatwić. St. Claire przymrużył na chwilę oczy.

- Radziłbym nie ingerować. Sfrustrujemy go jeszcze bardziej, przyprzemy do muru.

Niech wszystko rozwija się w sposób naturalny. Jeśli przerobi to na powieść, w najlepszym razie możemy się spodziewać niskonakładowego wydania jako nader amatorskiej literatury.

Powie, co ma do powiedzenia i okaże się, że jest to fikcja literacka bez większego znaczenia, ze zwyczajową notatką, że postacie powieści nie mają nic wspólnego z jakąkolwiek osobą żyjącą” czy zmarłą. Mieszanie się w sprawę może wywołać pytania, a to nie leży w naszym interesie.

- Oczywiście, masz rację - powiedział człowiek w Londynie. - Jak zwykle zresztą, Bravo.

- Dziękuję. I do widzenia, Genezis. Wyjeżdżam stąd niedługo. - Dokąd pojedziesz?

- Nie jestem pewien. Może z powrotem do Vermont. A może gdzieś daleko. Nie podoba mi się klimat w naszym kraju.

- Tym bardziej powinniśmy być w kontakcie - powiedział głos z Londynu.

- Być może. Z drugiej jednak strony może już jestem za stary. - Nie możesz tak po prostu zniknąć. Wiesz o tym, prawda?

- Tak. Dobranoc, Genezis.

St. Claire odłożył słuchawkę nie czekając na odpowiedź z Londynu. Nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

Ogarnęło go obrzydzenie. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni.

Zadaniem Inver Brass było podejmowanie decyzji, których inni nie mogli podejmować, ochrona ludzi i instytucji przed oskarżeniami, zrodzonymi z późniejszej oceny moralnych skutków czynu. To, co było słuszne czterdzieści lat temu, dziś podlegało klątwie.

Przerażeni ludzie szeptali innym przerażonym ludziom, że trzeba zatkać usta Peterowi Chancellorowi.

Ten mało znany doktorant nie miał prawa stawiać pytań, które po czterdziestu latach uznano za pozbawione sensu. Czasy się zmieniły, okoliczności były zupełnie odmienne. Ale istniały też pewne strefy półcienia. Odpowiedzialność nie jest pojęciem ograniczonym. W ostatecznym rachunku odpowiedzialni są wszyscy. Inver Brass też nie stanowi wyjątku. Dlatego trzeba było pozwolić Peterowi Chancellorowi, by dał upust swemu oburzeniu, ale w sposób pozbawiający go znaczenia lub chroniący od katastrofy. St. Claire wstał od stołu i przerzucił leżące tam papiery. W ostatnich tygodniach zabrał już z gabinetu większość swoich rzeczy osobistych. Obecnie pozostało tu bardzo niewiele jego śladów i tak być powinno. Jutro odjedzie.

Podszedł do drzwi. Odruchowo wyciągnął rękę w kierunku wyłącznika i wtedy zdał sobie sprawę, że światło się nie świeci. Stał, chodził po pokoju, siedział i myślał w półmroku.

New York Times, Przegląd Literacki,

10 maja 1969 r., str. 3.

„Reichstag!” to książka równocześnie wstrząsająca i wnikliwa, nieudolna i niewiarygodna. W swej pierwszej powieści Peter Chancellor chce nas przekonać, że u swego zarania partia hitlerowska była finansowana ni mniej, ni więcej tylko przez kartel międzynarodowych bankierów i przemysłowców - amerykańskich, brytyjskich i francuskich -

przy wyraźnej, choć milczącej zgodzie ich rządów. Chancellor zmusza nas, abyśmy w miarę czytania coraz bardziej w to wierzyli. Jego opowiadanie czyta się z zapartym tchem, postacie wręcz wyskakują ze stronicy książki z brutalną siłą. Prezentowane są w sposób, którego nie dałoby się osiągnąć przy bardziej zdyscyplinowanej robocie literackiej. Pan Chancellor opowiada swą historię z oburzeniem i o wiele zbyt melodramatycznie, ale summa summarum książkę czyta się wspaniale. I w końcu człowiek zaczyna się zastanawiać: A może tak było naprawdę?...

The Washington Post,

22 kwietnia 1970 r., str. 3.

Czym dla „Blitzkriegu” Fuhrera była zeszlóroczna książka Petera Chancellora, tym dla armat z sierpnia 1914 r. jest jego „Sarajewo!” Siły, które zderzyły się w fatalnym lipcu 1914 r., poprzedzonym zamordowaniem w czerwcu Ferdynanda Habsburga przez konspiratora Gawryłę Principa, Chancellor wydobyl z zapomnienia, zestawił na nowo i puścił

w ruch w taki sposób, że nikt nie znalazł się po stronie aniołów i wszystko jest zwycięstwem zła. Główny bohater - agent brytyjski infiltrujący serbskochochowską organizację podziemną o melodramatycznej nazwie „Zjednoczenie Śmierci” - w miarę rozwoju akcji przebija się przez coraz głębsze pokłady kłamstw, szerzonych za sprawą prowokatorów sterowanych przez Reichstag, Foreign Office i francuską Izbę Deputowanych. Kolejno demaskowane są marionetki, a poruszające je sznurki prowadzą do kapitałów zainwestowanych przez wszystkie strony konfliktu. I tak dalej,

przez całą książkę, tego rodzaju rzadko omawiane fakty ciągną się długim szeregiem.

Pan Chancellor jest w dużym stopniu dotknięty kompleksem spisków. Korzysta z niego fascynująco i w sposób niezwykle interesujący czytelnika. Wydaje się pewne, że

„Sarajewo!” okaże się jeszcze popularniejszą lekturą niż „Reichstag!”.

The Los Angeles Times Daily, Przegląd Książek,

4 kwietnia 1971 r., str. 20

„Przeciwuderzenie!” jest jak dotąd najlepszą książką Chancellora, choć z przyczyn, które umykają waszemu recenzentowi, jej zawikłana intryga oparta jest na niezwykle błędnie rzeczowym, którego nie oczekiwaliśmy po tym autorze. Rzeczą dotyczy mianowicie tajnych operacji Central Intelligence Agency, skierowanych przeciwko terrorowi wprowadzonemu w jednym z miast uniwersyteckich Nowej Anglii przez obce mocarstwo.

Pan Chancellor powinien wiedzieć, że statut CIA z 1947 r. jednoznacznie zakazuje tej agencji wszelkich działań na terenie kraju. Pominąwszy to zastrzeżenie, „Przeciwuderzenie!” ma zapewniony sukces. Poprzednie książki Chancellora dowiodły, że potrafi on rozwijać akcję z taką szybkością, że czytelnik ledwie nadąża z odwracaniem kartek. Ale teraz dodał do tego głębię, jakiej nie udało mu się osiągnąć poprzednio.

Zgodnie z opinią osób, które znają się na rzeczy, rozległa wiedza Chancellora o operacjach kontrwywiadowczych pozwoliła mu trafić w sedno pomimo błędu popełnionego co do CIA.

Obnaża on stan umysłów i metody stosowane przez wszystkie występujące w książce osoby, uwikłane w budzącą grozę sytuację stanowiącą czytelną aluzję do niepokojów rasowych, które kilka lat temu doprowadziły do serii morderstw w Bostonie. Chancellor ukazuje się tu jako pierwszorzędnym powieściopisarzem, który obserwuje wydarzenia, przedstawia fakty i w rezultacie prezentuje nam nowe, wstrząsające wnioski. Fabuła jest podstępnie prosta: pewien człowiek zostaje wyznaczony do wypełnienia zadania, do którego wydaje się źle dobrany. Zostaje dokładnie wyszkolony przez CIA, ale przez cały ten czas w najmniejszym nawet stopniu nie próbuje się usunąć jego słabej strony. Wkrótce zaczynamy rozumieć: ten słaby punkt ma spowodować jego śmierć. Konspiracja w konspiracji. I raz jeszcze, jak przy poprzednich książkach Chancellora, zadajemy sobie pytanie: Czy to prawda?

Czy tak było? Czy wydarzyło się to rzeczywiście?

Jesień.

Krajobraz hrabstwa Buckinghamshire wyglądał jak ocean zieleni, żółci i złota.

Chancellor oparł się o maskę srebrnego samochodu Mark IV Continental, lekko obejmując ramiona kobiety. Twarz miał pełniejszą niż dawniej, wyraziste rysy bardziej harmonijne, łagodniejsze, choć nadal dość ostre. Przyglądał się białemu domowi, do którego prowadziła kręta droga dojazdowa, wycięta w zboczu lekko pagórkowatego pola. Po obu stronach drogi biegły wysokie białe płoty.

Dziewczyna stojąca przy Chancellorze przytrzymała jego dłoń, spoczywającą na jej ramieniu. Wpatrywała się w dom z nie mniejszym napięciem niż mężczyzna. Była wysoka, jej kasztanowe włosy spływały miękką falą, okalając delikatną, ale przy tym zdecydowaną twarz. Nazywała się Catherine Lowell.

- Jest dokładnie taki, jak go opisałeś - powiedziała, ściskając dłoń Petera. - Jest piękny.

Jest naprawdę bardzo piękny.

- Pozwolę sobie nawet zauważyć - odrzekł spoglądając na Catherine - że diabelnie piękny.

Podniosła oczy na Chancellora.

- Kupiłeś go, prawda? Nie byłeś nim tylko „zainteresowany”, kupiłeś go!

Peter skinął głową.

- Miałem konkurenta. Bankier z Filadelfii gotów był dać zaliczkę. Musiałem się zdecydować. Jeśli ci się nie spodoba, on oczywiście odkupi go ode mnie.

- Nie bądź głupi, dom jest absolutnie wspaniały!

- Nie obejrzałaś go w środku.

- I nie muszę.

- To dobrze. Bo wolałbym ci go pokazać, gdy będziemy wracać. Poprzedni właściciel wyprowadza się we czwartek. I powinien to zrobić, bo w piątek oczekuję dużej przesyłki z Waszyngtonu. Skierowanej już tutaj.

- Wydruki?

- Dwanaście skrzyń z Drukarni Rządowej. Morgan przyśle je ciężarówką. Cała historia procesów norymberskich w protokołach Trybunałów Alianckich. Czy chcesz zgadnąć, jaki będzie tytuł książki? Catherine zaśmiała się.

- Już widzę Toniego Morgana, jak ubrany w szary garnitur chodzi po swym gabinecie krokiem kota o zbyt luźnych stawach. Nagle bije pięścią w biurko i podnosi taki wrzask, że wszyscy w zasięgu głosu wpadają w panikę: - Mam! Nareszcie coś nowego! Tym razem damy tytuł „Norymberga” z wykrzyknikiem!

Peter roześmiał się także.

- Oczerniasz mego świętobliwego wydawcę.

- Za nic. Gdyby nie on, wprowadzilibyśmy się na piąte piętro bez windy zamiast do wiejskiego, godnego dziedzica dworu.

- Oraz żony dziedzica.

- Oraz żony dziedzica. - Catherine ścisnęła go za ramię. A propos ciężarówek, czy nie powinny tu teraz stać wozy meblowe do załadunku?

- Musiałem to kupić wraz z umeblowaniem - Chancellor uśmiechnął się z zakłopotaniem - z wyjątkiem paru osobno wymienionych drobiazgów. Właściciele wynoszą się na Karaiby. Możesz całe umeblowanie wyrzucić, jeśli ci się nie spodoba.

- Nie do wiary, czy jesteśmy tacy bogaci?

- Czyż nie jesteśmy bogaci - odrzekł Peter i nie było to pytanie. Proszę bez komentarzy. No, to ruszajmy. Mamy trzy godziny autostradą, a potem jeszcze dwie i pół.

Wkrótce będzie ciemno.

Catherine zwróciła się do niego, unosząc twarz do góry. Ich wargi prawie się zetknęły.

- Z każdą przejechaną milą będę coraz bardziej zdenerwowana. Dostanę drgawek, a na miejsce przyjadę jako bełkocąca kretyńka. Sądziłam, że rytualny taniec przedstawiania się rodzicom wyszedł z mody dziesięć lat temu.

- Nie mówiłaś tego, gdy przedstawiałem się twoim.

- Och, na litość boską! Sam fakt, iż znaleźli się w tym samym pokoju co ty, zrobił na nich takie wrażenie, że wystarczyło ci siedzieć i się puszyć.

- Ale tego nie robiłem. Lubię twoich rodziców. Mam nadzieję, że ty polubisz moich.

- A oni mnie? W tym cały problem.

- Nie ma najmniejszego - odrzekł Peter, przytulając ją do siebie. Pokochają cię. Tak jak ja cię kocham. O Boże, jak ja cię kocham!

Informacja jest ścisła, Genesis. Ten Peter Chancellor zamówił w Drukarni Rządowej kopie wszystkiego, co odnosi się do Norymbergi. Jego wydawca załatwił przesyłkę pod adres w Pensylwanii.

- To nas nie dotyczy, Sztandarze. Wenecja i Krzysztof też się z tym zgadzają. Nie podejmiemy żadnej akcji. Taka jest decyzja. - To błąd! On wraca do tematyki niemieckiej.

- W długi czas po tym, jak błędy zostały popełnione. To nie ma związku. Na całe lata przed Norymbergą dostrzeżliśmy wyraźnie to, czego nie widzieliśmy na początku. Sprawa nie wiąże się z

nami. Z żadnym z nas, z tobą włącznie.

- Nie możecie mieć pewności.

- Mamy ją.

- Co sądzi Bravo?

- Bravo wyjechał. Nie został powiadomiony i nie będzie.

- Dlaczego?

- Z przyczyn, które ciebie nie dotyczą. Sprzed wielu lat. Zanim zostałeś powołany do Inver Brass.

- To błąd, Genesis.

- A ty jesteś niepotrzebnie podenerwowany. Sztandarze, gdyby twoje niepokoje były uzasadnione, nigdy nie otrzymałbyś wezwania. Jesteś niezwykłym człowiekiem. Nigdy w to nie wątpiliśmy.

- A jednak, to niebezpieczne.

Im bardziej się ściemniało, tym szybszy zdawał się ruch na autostradzie pensylwańskiej. Nagle pojawiły się kłęby mgły, deformujące światła reflektorów jadących z przeciwka. Znienacka w przednią szybę uderzył skośnie deszcz, jak przy oberwaniu chmury.

Wycieraczki były bezsilne. Na autostradzie rozszalał się obłąd, a Chancellor dobrze to wyczuwał. Samochody przelatowały obok, podnosząc fontanny wody. Wyglądało, jakby kierowcy czuli, że nad zachodnią Pensylwanią mają się spotkać lecące z różnych stron burze, a odruch zrodzony z doświadczenia pędził ich w kierunku domów.

Głos dochodzący z radia był wyraźny i rozkazujący:

- Zarząd Autostrad wzywa wszystkich kierowców na obszarze Jamestown Warren, by trzymali się, z dala od dróg. Jeśli jesteście w tej chwili na szosie, zjedźcie na najbliższy postój. Powtarzamy: ostrzeżenie sztormowe znad jeziora Erie zostało obecnie potwierdzone.

Sztormowi towarzyszą wiatry huraganowej siły...

- Za jakieś cztery mile mamy skręt z autostrady - powiedział Peter wypatrując drogi zmrużonymi oczami. - Tam zjedziemy. Jakieś dwieście, trzysta jardów od zjazdu jest restauracja.

- Skąd wiesz?

- Właśnie minęliśmy drogowskaz do Pittsfield. Był zawsze dla mnie punktem rozpoznawczym, że jestem o godzinę drogi od domu. Chancellor nigdy nie był w stanie zrozumieć tego, co nastąpiło. Do

końca życia ta sprawa nie dawała mu spokoju. Stromy pagórek przykrywała zasłona nawałnicy, bijącej co chwila potężnymi falami, które dosłownie kołysały ciężkim samochodem jak małą łódeczką na wzburzonym morzu. Chancellora oślepiło nagle ostre odbicie w lusterku wstecznym świateł reflektorów. Zamiast drogi, a nawet strumieni deszczu na przedniej szybie, widział tylko białe plamy. Tylko płonące, białe światło. I nagle przesunęło się obok niego! Na niebezpiecznym skłonie jezdni zmywanej potokami rwącej wody wyprzedzał go olbrzymi ciągnik z naczepą! Przez zamknięte okno Peter wrzasnął na kierowcę; ten człowiek był szalony. Czy nie widział, co robi? Czy nie dostrzegł w burzy continentala? Czy postradał zmysły?

Wydarzyło się coś niewiarygodnego. Ogromna ciężarówka skręciła w jego stronę!

Nastąpiło zderzenie, stalowe podwozie naczepy uderzyło w continentala. Metal zmiażdżył

metal. Obląkanie spychał Petera z szosy! Albo był pijany, albo wpadł w popłoch pod wpływem szalejącego sztormu! Przez zaslonę tnącą deszczu Chancellor dostrzegł zarys sylwetki kierowcy, siedzącego wysoko w kabinie. Nie zwracał uwagi na samochód osobowy!

Nie widział, co robi!

Drugie miażdżące uderzenie nastąpiło z taką siłą, że okno po stronie Petera rozprysło się. Koła limuzyny zostały zablokowane, wóz skoczył w prawo, w stronę czarnej próżni za skrajem nasypu.

W zacinającym deszczu najpierw uniosła się maska wozu, po czym continental przetoczył się przez pobocze drogi i zanurkował w dół. Krzyk Catherine był głośniejszy niż brzęk pryskającego szkła i jęk miażdżonej stali. Samochód przekoziółkował. Metal trący o metal skrzypiał, jakby każdy jego kawałek, każda płyta walczyły o przetrwanie kolejnego zderzenia wozu z ziemią.

Peter rzucił się w stronę krzyku - w stronę Catherine - ale stalowy wspornik twardo trzymał go na miejscu. A wóz kręcił się, przewracał i wciąż spadał po nasypie.

Krzyki umilkły. Wszystko umilkło.

ROZDZIAŁ 1

Przez ciemne, wysadzone drzewami ulice Georgetown powoli sunęła piąta limuzyna.

Zatrzymała się przed marmurowymi schodami. Z nich, arkadowym podcieniem o rzeźbionych przyłuczach, wiodło przejście do oddalonych o sześćdziesiąt stóp, osłoniętych portykami drzwi. To wejście, jak i cały dom, tchnęło majestatycznym spokojem, podkreślonym przez przyćmione światło padające zza filarów podtrzymujących balkon pierwszego piętra.

Poprzednie cztery limuzyny przybyły w odstępach od trzech do sześciu minut, w dokładnie wyliczonym czasie. Zostały wynajęte w pięciu różnych agencjach samochodowych, w miejscowościach leżących od Arlington po Baltimore.

Gdyby na tej spokojnej ulicy znajdował się obserwator pragnący ustalić tożsamość samotnych pasażerów limuzyn, nie byłby w stanie tego dokonać. Bo żadnego z nich nie dałoby się

zidentyfikować na podstawie zlecenia wynajmu, a i kierowcy nie oglądali ich twarzy. Wszystkich kierowców oddzielały od wnętrza wozu i tylnego siedzenia tafle matowego szkła, żadnemu też nie było wolno opuścić miejsca za kierownicą w chwili, gdy pasażer wsiadał i wysiadał. Szoferów wybrano z najwyższą starannością.

Wszystko zostało rozpisane w czasie z dokładnością partytury orkiestrowej. Dwie limuzyny przybyły na prywatne lotniska, gdzie każda z nich przez godzinę stała w ściśle określonym miejscu na parkingu pusta i zamknięta na klucz. Po upływie tego czasu kierowcy mogli wrócić do wozów pewni, że pasażerowie są już wewnątrz. Trzy inne wozy - na tej samej zasadzie - zostały pozostawione w trzech różnych miejscach: pod Union Station w Waszyngtonie, w centrum handlowym w McLean, stan Wirginia, i w Chevy Chase w stanie Maryland, koło wiejskiego klubu, do którego ten pasażer akurat nie należał.

Wreszcie, gdyby jakikolwiek obserwator na cichej ulicy w Georgetown próbował

zaczepić wysiadających pasażerów, w cieniu, na balkonie nad portykiem, dokąd wiodły marmurowe schody, znajdował się jasnowłosa mężczyzna, którego zadaniem było nie dopuścić do takiego wypadku. Na szyi miał zawieszoną tranzystorową radiostację, precyzyjnie zestrojoną z odbiornikami rozmieszczonych w okolicy ludzi, którym mógł

wydawać rozkazy w języku, nie będącym angielskim. W ręku trzymał karabin z tłumikiem na lufie.

Piąty pasażer wysiadł z limuzyny i wspiął się po marmurowych schodach. Samochód cicho odjechał, by już nie wrócić. Blondyn na balkonie przemówił szeptem do mikrofonu, drzwi wejściowe otworzyły się przed przybyszem.

Sala posiedzeń znajdowała się na drugim piętrze. Ściany wyłożone były ciemnym drewnem, oświetlenie pośrednie. Pośrodku wschodniej ściany znajdował się zabytkowy żeliwny piec i choć był łagodny, wiosenny wieczór, palił się w nim ogień.

Środek pokoju zajmował wielki, okrągły stół. Wokół niego siedziało sześciu mężczyzn w wieku od pięćdziesięciu paru do osiemdziesięciu lat. Tych młodszych było dwóch: siwiejący, z falującą czupryną, o latynoskich rysach twarzy i drugi o nordyckich rysach, bardzo blady, o ciemnych prostych włosach gładko zaczesanych do tyłu nad szerokim czołem. Siedział po lewej ręce przywódcy grupy, skupiającego na sobie uwagę obecnych.

Przywódcą zbliżał się już do osiemdziesiątki, jego łysiejącą czaszkę okalał wydłużony lok.

Twarz miał zmęczoną, sprawiającą wrażenie wyniszczonej. Naprzeciw niego zajmował

miejsce szczupły mężczyzna o arystokratycznym wyglądzie, z przeredzoną białą czupryną i starannie wypielęgnowanym białym wąsem. Również i on miał ponad siedemdziesiąt lat. Po jego prawej ręce siedział wielki Murzyn z ogromną głową i twarzą, która mogłaby wyjść spod dłuta rzeźbiącego w mahoniu snycerza z Ghany, po lewej zaś mężczyzna najstarszy i najwątleszej budowy ze wszystkich

obecnych. Był on Żydem z jarmułką na bezwłosej, obciążonej suchą skórą, czaszce.

Mówiono tu przyciszonymi głosami, staranną angielszczyzną. Patrzono przenikliwie, nie odwracając oczu. W każdym z tych ludzi wyczuwało się drżącą siłę, zrodzoną z niezwyklej władzy. I każdy znany był tylko pod pewnym godłem, które miało określone znaczenie jedynie dla zebranych. Między sobą nigdy nie używali innych imion. Były wypadki, że uczestnik tych zebrań zachowywał ten sam pseudonim przez blisko czterdzieści lat. Niekiedy znów przechodził on na kogoś innego, gdy używający go poprzednik umierał i wybierano jego następcę.

Nigdy nie zasiadało tu więcej niż sześciu mężczyzn. Przywódca, znany jako Genesis, był już drugim z kolei człowiekiem, którego tak nazywano. Poprzednio występował jako Parys, obecnie to imię nosił Iberyjczyk z siwiejącymi, falistymi włosami.

Inni znani byli jako Krzysztof, Sztandar i Wenecja. I był także Bravo. Tacy byli członkowie Inver Brass.

Przed każdym z nich leżała identyczna brązowa koperta, a na niej pojedyncza kartka papieru. Z wyjątkiem nazwiska w lewym górnym rogu kartki cała reszta napisanych na maszynie zdań nie byłaby zrozumiała dla nikogo z wyjątkiem zebranych.

- Przede wszystkim i za każdą cenę - mówił Genesis - teczki muszą zostać przejęte i zniszczone. W tym względzie nie może być różnicy zdań. Ustaliliśmy definitywnie, że są przechowywane w pionowym sejfie, wbudowanym w stalową ścianę schowka. Schowek ma jedno wejście znajdujące się po lewej stronie za biurkiem w gabinecie. - Zamek schowka sterowany jest przełącznikiem w środkowej szufladzie - zauważył spokojnym głosem Sztandar. - Sejf jest zabezpieczony szeregiem elektronicznych przekaźników, z których pierwszy musi zostać uruchomiony z jego rezydencji. Bez włączenia pierwszego nie zadziałają pozostałe. Aby włamać się do środka, potrzeba by dziesięciu lasek dynamitu.

Ocenia się, że użycie palnika acetylenowego wymagałoby około czterech godzin; pierwsze dotknięcie płomieniem uruchomiłoby cały system alarmowy.

Wenecja, siedzący po drugiej stronie, z czarną twarzą ukrytą w cieniu, zapytał:

- Czy pierwszy przekaźnik został bezbłędnie zlokalizowany? - Tak - odrzekł Sztandar.

- W sypialni. Znajduje się na półce u wezglowia łóżka.

- Kto to stwierdził? - spytał Parys, iberyjski członek Inver Brass. - Varak -

odpowiedział z południowego krańca stołu Genesis. Wszystkie głowy skinęły z aprobatą.

Stary Żyd na prawo od Sztandara zwrócił się do niego:

- A co z resztą?

- Kartę chorobową osobnika uzyskano z La Jolla w Kalifornii. Jak wiesz, Krzysztofie, odmówił on

poddania się badaniom w szpitalu Bethesda. Najświeższa analiza kardiologiczna ustaliła niewielką hipochloremię i obniżoną zawartość potasu we krwi nie zagrażającą życiu.

Niemniej fakt ten mógłby wystarczyć do podania wymaganej dozy digitalisu, ale pociąga to ryzyko wykrycia podczas autopsji. - To starzec. - Powiedział to Bravo, starszy od osobnika, o którym była mowa. - Czemu miałyby wchodzić w grę autopsja?

- Ponieważ jest tym, kim jest - odrzekł Iberyjczyk Parys, którego akcent zdradzał, że młodość spędził w Kastylii. - Może się okazać nieunikniona. A kraj nie zniesie zamętu wywołanego kolejnym morderstwem. Dałoby to zbyt wielu niebezpiecznym ludziom wymówkę potrzebną do wprowadzenia całej masy okropności w imię patriotyzmu.

- Wnoszę - przerwał Genesis - że gdyby ci niebezpieczni ludzie a jednoznacznie mam tu na myśli Pennsylvania Avenue numer 1600* gdyby ci, powtarzam, niebezpieczni ludzie i nasz osobnik doszli do porozumienia, okropności, o których mówisz, byłyby niczym w porównaniu z tym, co by wówczas nastąpiło. Klucz, panowie, znajduje się w teczkach osobnika. Teczki te w rękach 1600 spowodowałyby wprowadzenie rządów przemocy i szantażu. Wszyscy wiemy, co się już dzieje. Musimy podjąć działanie.

- Choć z niechęcią, zgadzam się z Genesis - rzekł Bravo. - Nasze informacje wskazują, że 1600 już posunął się nawet poza granice, na których zatrzymał się poprzedni rząd. Sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Już prawie nie ma ministerstwa czy instytucji rządowej, które nie zostałyby zarażone. Ale dochodzenia prowadzone przez urzędy skarbowe czy raporty ze śledztw Ministerstwa Spraw Wewnętrznych są bladym cieniem tego, co się znajduje w tych teczkach. Zarówno co do treści, jak i - a to już nie są żarty - co do stopnia zagrożenia pozycji tych osób, których dotyczą. Nie jestem pewien, czy mamy jakąkolwiek alternatywę. Genesis zwrócił się do siedzącego obok niego młodszego członka Inver Brass:

- Sztandarze, czy zechcesz podsumować wnioski?

- Tak, oczywiście. - Szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce skinął twierdząco głową i położył splecione dłonie na stole przed sobą. - Niewiele jest do dodania. Przeczytaliście sprawozdanie. U osobnika nastąpił błyskawiczny rozpad władz umysłowych; jeden z internistów podejrzewa arteriosklerozę, ale nie ma możliwości potwierdzenia tej diagnozy.

Zapisy z La Jolla osobnik ma pod kontrolą. U samego źródła. Ukrywa wyniki badań lekarskich. Natomiast psychiatrzy są całkowicie zgodni: psychoza depresyjnomaniakalna przeszła w stan ostrej paranoi. - Sztandar przerwał z głową lekko sklonioną w stronę Genesis, ale nie spuszczać z oczu nikogo przy stole. - Otwarcie mówiąc, to mi wystarczy do oddania głosu. - Kto dał tę zgodną ocenę? - pytał stary Żyd, znany jako Krzysztof. - Trzej nie znający się nawzajem psychiatrzy, zdalnie zaangażowani. U każdego z nich niezależnie zamówiono osobne orzeczenie. Zinterpretował je nasz człowiek. Jediną możliwą diagnozą jest ostra paranoja. - Na czym lekarze oparli swoje oceny? - Wenecja zadał pytanie pochylony do przodu, ze złożonymi wielkimi czarnymi dłońmi. - Przy Pennsylvania Avenue nr 1600 w Waszyngtonie mieści się Biały Dom (przyp. tłum.).- Przez trzydzieści dni, w każdej możliwej sytuacji, wykonywano przez teleobiektywy filmy na podczerwonej błonie. W restauracjach, w kościele prezbiteriańskim, gdy przybywał i odjeżdżał, przy

wszelkich oficjalnych i prywatnych okazjach. Dwóch specjalistów czytania z ust przedłożyło teksty wszystkiego, co mówił. Dwa niezależnie sporządzone teksty okazały się identyczne. Istnieją także obszerne, powiedziałbym nawet, wyczerpujące, raporty z naszych własnych źródeł wewnątrz biura. Nie ma najmniejszych wątpliwości co do wniosków. Ten człowiek jest wariatem.

- A co z 1600? - spytał Bravo młodszego z obecnych.

- Następuje zbliżenie z osobnikiem, z każdym tygodniem większe. Posunęli się aż do propozycji formalnego, tajnego sojuszu. Oczywiście za sprawą teczek. Osobnik jest nieufny; zna ich wszystkich, a ci z 1600 nie są najlepszym gatunkiem ludzi. Ale podziwia ich arogancję, ich „macho”, a oni go głaszczą. Właśnie tego słowa użyto: głaszczą.

- Jakże stosownie - zauważył Wenecja. - Czy ten rozwój sytuacji został udowodniony?

- Niestety, tak. Mamy dowody, że osobnik przekazał szereg teczek, albo też najbardziej niszczących z zawartych w nich informacji, wprost do Ovalnego Pokoju prezydenta. Osiągnięto porozumienie zarówno co do współpracy politycznej, jak i samych wyborów. Dwaj konkurenci, którzy z ramienia opozycji mieli stawać do walki o nominację na kandydatów do prezydentury, zgodzili się wycofać. Jeden pod pretekstem wyczerpania środków na kampanię, drugi przez popełnienie nieostrożności.

- Proszę wytłumaczyć to ostatnie - polecił Genezis.

- Poważny błąd, popełniony mową lub uczynkiem, który eliminuje kontrkandydata z wyścigu do prezydentury, ale nie jest aż tak poważny, by zagrozić jego pozycji w Kongresie.

W tym wypadku ma to być nieodpowiedzialne zachowanie na zebraniu przedwyborczym.

Wszystko to bardzo dobrze przemyślano.

- Ci ludzie są przerażający - powiedział ze złością Parys. - Wyrośli pod ręką osobnika

- zauważył Bravo. - Czy możemy jeszcze powrócić do sprawy autopsji? Czy możemy pokierować jej wynikiem?

- Być może nie będzie to potrzebne - odrzekł Sztandar teraz trzymając obie ręce na stole, dłońmi do góry. - Przywieźliśmy z Teksasu specjalistę od układu krążenia. Jest przekonany, że sprawa dotyczy patriarchy wybitnej rodziny na wschodnim wybrzeżu Marylandu. Głowa rodu postradała zmysły, może dokonać czynów o najwyższej szkodliwości, ale przebieg schorzenia jest niemal bezobjawowy zarówno somatycznie, jak psychiatrycznie. Istnieje chemiczna pochodna digitaliny, która, w połączeniu z dożylnym wstrzyknięciem powietrza, jest niewykrywalna.

- Kto nadzoruje tę stronę zagadnienia? - spytał nie przekonany Wenecja.

- Varak - odparł Genezis. - Od początku jest odpowiedzialny za ten aspekt planu.

Wszyscy ponownie skinęli głowami na znak zgody.

- Czy są jeszcze pytania? - zapytał Genezis.

Milczenie.

- Przystępujemy więc do głosowania - oświadczył Genezis wyjmując spod koperty niewielki notes. Wydarł z niego sześć kartek, pięć podał w lewo. - Rzymska jedynka oznaczać będzie głos „za”, dwójka „przeciw”. Zgodnie z naszym zwyczajem równa liczba głosów uważana jest za wynik „przeciw”.

Członkowie Inver Brass nakreślili swoje znaki, złożyli kartki i oddali je Genezis, który je rozłożył.

- Panowie, głosowanie było jednomyślne. Plan został przyjęty. Zwrócił się do Szandara: - Proszę wprowadzić pana Varaka. Najmłodszy z obecnych wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je, dał znak głową człowiekowi stojącemu w korytarzu i wrócił na swoje miejsce. Wszedł Varak, zamykając za sobą drzwi. Był to ten sam mężczyzna, który poprzednio trzymał straż na zaciemnionym balkonie nad drzwiami wejściowymi u szczytu marmurowych schodów. Nie trzymał już w ręce karabinu, ale na szyi nadal zwisała mu tranzystorowa radiostacja, a do jego lewego ucha prowadził cienki przewód. Był człowiekiem w nieokreślonym wieku, gdzieś między trzydziestym piątym a czterdziestym piątym rokiem życia. U aktywnych mężczyzn o mocnych, muskularnych ciałach wiek trudny jest do określenia. Jasnoblond włosy miał krótko przystrzyżone. Twarz szeroką z wystającymi kośćmi policzkowymi, co w połączeniu z lekko skośnymi oczami zdradzało jego słowiańskie pochodzenie. Lecz z wyglądem kontrastował miękki głos, akcent nieco bostoński i środkowoeuropejska kadencja mowy.

- Czy zapadło postanowienie? - spytał.

- Tak - odparł Genezis. - Pozytywne.

- Nie mieliście wyboru - zauważył Varak.

- Czy ustalił pan terminarz? - Bravo pochylił się w jego stronę patrząc na Varaka spokojnym, obojętnym wzrokiem.

- Tak. Za trzy tygodnie. W nocy z trzydziestego na pierwszy maja. Ciało zostanie odkryte rano.

- Wiadomość rozejdzie się więc drugiego maja.” Genezis powiódł wzrokiem po twarzach członków Inver Brass. - Przygotujcie oświadczenia, jeśli sądzicie, że będą wymagane. Wielu z nas powinno być za granicą.

- Zakłada pan, że śmierć zostanie podana do wiadomości w normalnym trybie -

powiedział Varak nieco głośniejszym głosem, by dać do zrozumienia, że będzie przeciwnie. - Jeśli nie posterujemy tym sami, nie mogą za to ręczyć.

- Dlaczego? - spytał Wenecja.

- Uważam, że 1600 wpadnie w panikę. Ta banda gotowa jest schować zamrożonego trupa w

prezydenckiej garderobie, jeśli tylko w ich mniemaniu pozwoli im to zyskać na czasie tyle, ile trzeba do zdobycia teczek.

Obrazowa wypowiedź Varaka wywołała mimowolne uśmiešky na twarzach osób zgromadzonych u stołu.

- A więc proszę to zagwarantować, panie Varak - odezwał się Genezis. - My musimy mieć te teczki.

- Doskonale. Czy to wszystko?

- Tak.

- Dziękuję panu - zakończył Genezis skłoniwszy głowę.

Varak wyszedł szybkim krokiem. Genezis wstał i sięgnął po wypełnioną maszynowym pismem kartkę papieru z zakodowanym tekstem. A potem schylił się nad stołem i zebrał sześć karteczek z notesu. Na każdej z nich widniała wyraźnie nakreślona rzymska jedynka. - Panowie, zamykam zebranie. Jak zwykle, każdy jest odpowiedzialny za zniszczenie swego dokumentu. Jeśli były wykonywane jakiegokolwiek notatki, proszę je również zniszczyć.

Członkowie Inver Brass po kolei podchodzili do żeliwnego pieca. Pierwszy z nich za pomocą wiszących na ścianie szczypiec zdjął górną pokrywę i delikatnie opuścił papier do pełnej płonących węgla komory. Następni zrobili to samo.

Ostatni dopełnili rytuału Genezis i Bravo. Stali z dala od reszty. Genezis odezwał się przyciszonym głosem:

- Dziękuję ci, że znów przybyłeś.

- Cztery lata temu powiedziałaś mi, że nie mogę tak po prostu zniknąć - odparł Munro St. Claire. - Miałaś rację.

- To nie wszystko, jak się obawiam - powiedział Genezis. - Nie czuję się dobrze. Mam bardzo mało czasu.

- O, Boże...

- Proszę cię. I tak mam szczęście...

- Co? Jak...?

- Lekarze orzekli, że za dwa lub trzy miesiące. Dziesięć tygodni. Oczywiście zażądałem, by mi powiedzieli. Byli niesamowicie dokładni, dobrze to czuję. Zapewniam cię, że to uczucie nie da się z niczym porównać. To coś nieodwołalnego, a przez to w jakiś sposób uspokajającego.

- Jakże mi przykro. Bardziej niż jestem w stanie wyrazić. Czy Wenecja wie? - St.

Claire wskazał oczami wielkiego Murzyna, rozmawiającego półgłosem w kącie pokoju ze Sztandarem i Parysem. - Nie. Nie chciałem, by cokolwiek nam przeszkodziło albo wpłynęło na naszą dzisiejszą decyzję. - Genesis opuścił kartę maszynopisu do płonącego żółtym blaskiem pieca. Następnie zgniótł sześć kartek do głosowania Inver Brass w kulkę i także wrzucił w płomień. - Nie wiem, co powiedzieć - szepnął ze współczuciem St. Claire, patrząc w zadziwiająco spokojne oczy Genesis.

- Ja wiem - odrzekł z uśmiechem umierający. - Powróciłeś. Masz o wiele większe możliwości niż Wenecja lub którykolwiek z dziś tu obecnych. Obiecuj, że dopilnujesz tej sprawy. Na wypadek, gdybym został usunięty ze sceny, jak to się zapowiada.

St. Claire spojrzał na trzymany w ręku arkusz. Na nazwisko wydrukowane w lewym górnym rogu.

- Kiedyś próbował cię zniszczyć. Prawie mu się udało. Dopilnuję wszystkiego.

- Nie w taki sposób - odezwał się Genesis stanowczym i pełnym dezaprobaty głosem.

- Nie ma tu miejsca na urazę ani na zemstę. My tak nie postępujemy. N i g d y tak nie postępujemy.

- Ale bywa i tak, że różne cele wzajemnie się dopełniają. Nawet cele moralne. Po prostu stwierdzam fakt. Ten człowiek jest niebezpieczny.

Munro St. Claire raz jeszcze spojrzał na trzymany w dłoni maszynopis. Na nazwisko w lewym górnym rogu.

John Edgar Hoover.

Zgniótł arkusz i upuścił go w ogień.

ROZDZIAŁ 2

Peter Chancellor leżał na mokrym piasku, fale łagodnie uderzały o jego ciało. Patrzył w niebo. Szarość ustępowała, pojawiał się błękit. Nad plażą w Malibu wstawał świt.

Oparł się na łokciach i usiadł. Bolała go szyja, a za chwilę miał poczuć ból w skroniach. Zeszłej nocy się upił. I, do cholery, także zaprzeszłej nocy. Jego spojrzenie powędrowało na odsłoniętą poniżej slipów część lewej nogi. Cienka blizna ciągnęła się krętą białą kreską na opalonej skórze. Od łydki przez kolano do dolnej części uda. Była ciągle wrażliwa na dotknięcie, ale skomplikowany zabieg chirurgiczny, po którym pozostała, okazał

się udany. Peter mógł już prawie normalnie chodzić, ból zaś ustąpił miejsca sztywności i odrętwieniu.

Inaczej jednak rzecz się miała z jego lewym ramieniem: tu ból nie ustępował nigdy, czasem tylko przycichał. Lekarze orzekli, że zerwana została większość więzadeł i zmiążdżone liczne ścięgna; miał upłynąć dłuższy czas, nim się zagoją.

Machinalnie podniósł prawą rękę i pomacał lekko obrzmiały pasek skóry, ciągnący się od włosów nad czołem ponad prawym uchem do podstawy czaszki. Obecnie większą część blizny zakrywały włosy i tylko z bliska można było dostrzec, że Chancellor doznał złamania kości czołowej. W ostatnich tygodniach zauważyło to więcej kobiet, niżby miał ochotę pamiętać. Lekarze powiedzieli mu, że głowę miał rozciętą tak gładko, jakby brzytwa przeszła przez dojrzały melon. Gdyby cięcie nastąpiło o ćwierć cala wyżej lub niżej, byłby trupem.

Przez całe tygodnie szczerze tego pragnął. Wiedział jednak, że z czasem pragnienie to przeminie. Nie chciał umierać; po prostu nie był pewien, czy chce jeszcze żyć, gdy nie ma Cathy.

Nigdy nie wątpił, że czas uleczy jego rany. Chciał tylko, aby następowało to szybciej.

Bo wtedy powróci jego niezmożona energia, a wczesne godziny poranne wypełni praca, nie zaś pulsowanie bólu w skroniach i niejasny, przykry niepokój o własne wyczyny z poprzedniej nocy.

Ale gdyby nawet zachowywał trzeźwość, niepokój by nie ustąpił. Czuł się tu nie na miejscu, a towarzystwo z Beverly Hills i Malibu wprawiało go w zakłopotanie. Zgodnie z doświadczeniem życiowym jego agenta przybycie do Los Angeles było korzystnym dla Chancellora posunięciem. Czemu nie powiedzieć wprost albo nie pomyśleć: do Hollywood?

Do Hollywood, jako współautor scenariusza „Przeciwuderzenia!”. Fakt, że nie miał najbledszego pojęcia, jak się pisze scenariusze, zdawał się nie mieć żadnego znaczenia.

Groźny Joshua Harris, jedyny agent literacki, jakiego miał kiedykolwiek, oświadczył mu, że jest to bardzo mały defekt, który wynagrodzą bardzo duże pieniądze.

Tego rodzaju logika przekraczała pojmowanie Petera. Ale miał przecież współautora.

Spotkał się z nim trzykrotnie, w sumie przez czterdzieści pięć minut, z których na

„Przeciwuderzenie!” poświęcono dziesięć. I oczywiście nic z tego, o czym mówili, nie zostało zapisane. W każdym razie nie w jego obecności.

Mimo to znajdował się teraz w Malibu, mieszkał w domu plażowym wartości stu tysięcy dolarów, jeździł jaguarem i odsyłał wytwórni do zapłacenia rachunki z knajp od Newport Beach do Santa Barbara. Aby przeżywać poczucie winy z powodu swej sytuacji, nie musiał się aż upijać. Na pewno nie potrzebowałyby tego mały synek pani Chancellor, któremu od dzieciństwa wpajano przekonanie, że w życiu otrzymuje się to, na co się zasłużyło, i że jest się takim człowiekiem, jaki tryb życia się prowadzi.

Z drugiej jednak strony właśnie jego życie było dla Joshuy Harrisa najważniejszą sprawą w chwili, gdy pertraktował z wytwórnią o umowę. Peter bowiem nie żył w domu w Pensylwanii, zaledwie tam egzystował.

W ciągu trzech miesięcy od wypisania ze szpitala jego praca nad książką o Norymberdze prawie nic się nie posunęła.

Nic. A kiedy coś tu nastąpi? Cokolwiek?

Rozbolała go głowa. Z bólu pociekły mu łzy. Żołądek wysyłał sygnały alarmowe.

Peter wstał i niepewnym krokiem wszedł do wody. Może pływanie przyniesie ulgę.

Zanurkował, po czym wynurzył się i spojrzał w stronę domu. Po pierwsze co, u diabła, robi na plaży? Przywiózł sobie zeszłej nocy dziewczynę. Był tego pewien. Prawie.

Kulejąc szedł po piasku w stronę schodków domu. Ciężko dysząc zatrzymał się przy balustradzie i spojrzał w niebo. Słońce przebiło się przez chmury i odpędzało mgiełkę. Znow zapowiadał się upalny, wilgotny dzień. Odwrócił się i ujrzał dwóch sąsiadów spacerujących z psami wzdłuż brzegu morza.

Nie byłoby wskazane, aby ujrano go w mokrych majtkach na plaży. Resztki poczucia przyzwoitości zmusiły go do wejścia do domu. Przyzwoitości, ale i ciekawości. Oraz mętne wspomnienie, że zeszłej nocy zdarzyło się coś niemiłego. Zafrapowała go myśl, jak też będzie wyglądać ta dziewczyna. Blondynka - zapamiętał - z dużymi piersiami. I jakim sposobem udało im się dojechać z gdzieś tam w Beverly Hills do Malibu? Niejasne poczucie niemiłego wydarzenia w jakiś sposób łączyło się z dziewczyną, ale nie potrafił sobie przypomnieć, jak i dlaczego. Chwycił się balustrady i wciągnął po schodach na sekwojowy taras. Sekwojowe drewno, biała sztukateria i grube drewniane belki - tak wyglądał dom plażowy. Oto jak architekci z Malibu wyobrażali sobie styl Tudorów.

Szklane drzwi w prawym rogu tarasu były uchylone. Prowadziły do sypialni. Na stoliku obok nich stała na wpół opróżniona butelka Pernoda. Leżak koło stolika był

przewrócony. Obok stała para jego plażowych sandałów, dokładnie ustawiona w jednej linii i w największym porządku. Powoli zaczął sobie przypominać. Kochał się z dziewczyną o imponujących wielkością piersiach, i to - jak zapamiętał - bardzo nieudolnie. Następnie zaś, z obrzydzenia czy w odruchu samoobrony, zawlókł się na werandę i tu usiadł samotnie, pijąc Pernod bez pośrednictwa kieliszka.

Po co to wszystko robił? Skąd się tu wziął Pernod? Jakąż, do cholery, robiło różnicę, czy poczynął sobie skutecznie, czy nieskutecznie z chętnym ciałem, podłapanym gdzieś w Beverly Hills? Tego nie mógł sobie przypomnieć, więc przytrzymując się balustrady udał się w kierunku przewróconego leżaka i otworzył szklane drzwi.

Na powierzchni Pernoda pływały martwe muchy, jedyna żywa melancholijnie okrążała szyjkę butelki. Chancellor zastanawiał się, czyby nie podnieść przewróconego leżaka, ale ostatecznie

zdecydował tego nie czynić. Głowa pękała mu z bólu nie tylko w skroniach, ale także wzdłuż całej krętej blizny od czoła do podstawy czaszki. Ból pulsował, jakby sterowany niewidzialnymi promieniami.

Sygnał ostrzegawczy. Powinien poruszać się powoli.

Kulejąc, ostrożnie przekroczył drzwi. W pokoju panował skrajny bałagan. Na meblach poniewierały się w nieładzie części ubrania, popielniczki były poprzewracane, a ich zawartość wyrzucona na podłogę. Obok stolika przy łóżku leżał rozbity kieliszek, kabel telefonu wyrwany był z gniazdka.

Dziewczyna była w łóżku. Leżała na boku z piersiami przyciśniętymi jedna do drugiej, kołyszącymi się i falującymi jak dwa zaopatrzone w szpice balony. Głowę trzymała na poduszce, a blond włosy przesłaniały jej twarz. Przez dolną połowę ciała miała przerzucone prześcieradło, spod którego wystawała jedna noga, ukazując opaloną wewnętrzną stronę uda.

Na ten widok Peter poczuł prowokacyjne łaskotanie w pachwinach. Wciągnął głęboko powietrze, podniecony widokiem jej piersi, jej obnażonej nogi i ukrytej w blond włosach twarzy.

Nadal był pijany. Wiedział o tym i wcale nie miał ochoty oglądać twarzy dziewczyny.

Chciał tylko przespać się z tym przedmiotem, którego nie miał zamiaru uznać za jakąkolwiek osobę.

Zrobił krok w stronę łóżka i zatrzymał się. Na jego drodze leżały szczątki kieliszka, co tłumaczyło obecność sandałów na werandzie: był wtedy jeszcze na tyle przytomny, by je włożyć. Oraz telefon. Przypomniawszy sobie, jak wrzeszczał do telefonu.

Kobieta przewróciła się na plecy. Miała typowy pyszczek kalifornijskiej dziewczyny: ładny, opalony, bezczelny, o rysach zbyt drobnych i regularnych, by mogły znamionować charakter. Jej wielkie piersi rozsunęły się na boki, a spod prześcieradła ukazały się włosy łonowe i łuk bioder. Peter zbliżył się do łóżka i ściągnął mokre slipy. Pod palcami poczuł

ziarenka piasku. Uklęknął na łóżku na prawe kolano, uważając, by nie zginać lewej nogi i położył się na prześcieradle.

Kobieta otworzyła oczy. Gdy się odezwała, okazało się, że ma głos miękki, modulowany i jeszcze zaspany.

- Chodźże tu, kochanie. Czujesz się lepiej?

Chancellor przysunął się do niej. Wyciągnęła rękę w stronę jego członka w półerekcji, zamykając go w dłoni.

- Czy jestem ci winien przeprosiny? - zapytał.

- Diabła tam. Może sobie samemu, nie mnie. Różnaś mnie jak ogier, ale nie myślę, byś miał jakąś

przyjemność. Wściekłeś się i wypadłeś na dwór.

- Przepraszam. - Sięgnął do jej lewej piersi i poczuł, jak sutek stwardniał pod dotknięciem jego palców. Dziewczyna jęknęła i zaczęła szybkimi, krótkimi ruchami wciągać go na siebie. Była albo bardzo dobrą aktorką, albo wysoce pobudliwą partnerką seksualną, potrzebującą bardzo niewielkiego przygotowania.

- Ciągle jeszcze jestem gorąca. Ty się nie zatrzymałeś. Robiłeś to jeszcze i jeszcze i nic z tego nie miałeś. Ale, Jezu, ile ja miałam! Wypieprz mnie, aniołku. Chodź, pieprz mnie - szepnęła.

Peter wtulił twarz w jej piersi. Rozłożyła nogi zapraszająco. Ale coraz bardziej wzmagał się ból głowy, fale cierpienia przelewały mu się przez czaszkę.

- Nie mogę, nie mogę - wyjąkał z trudem.

- Nie martw się. Ależ nie martw się ani przez chwilę - powiedziała dziewczyna.

Lekko odwróciła się na plecy tak, że jego łopatki znowu spoczęły na prześcieradle. - Ty tylko nie odchodź, kochanie. Nie odchodź, a ja zrobię wszystko, co trzeba.

Wszystko znów się zamgliło. Poczuł, że wędnie. I zaraz ponownie odczuł dotyk obu szybko poruszających się dłoni dziewczyny i jej mokrych, podniecających, pieszczących warg. Powrócił do życia. I pojawiła się chęć.

„Do jasnej cholery! Do czegoś przecież muszę się nadawać!” Objął jej głowę udami.

Jęknęła i rozłożyła nogi, wszystko, co miała, było słodką wilgocią i miękkim ciałem. Chwycił ją pod pachy i położył obok siebie. Oddychała szybko, z głośnymi, gardłowymi pomrukami.

„Teraz nie mogę się zatrzymać. Nie mogę pozwolić, by ból mi przeszkodził. Do cholery z tym wszystkim!”

- O, Pete, jesteś wielki. O, Chryste, jesteś jebaką wszechczasów! Nie przerywaj, aniołku! Teraz! Teraz!

Ciało dziewczyny skręcało się i drgało na łóżku. Jej szept zamienił się w krzyk:

- O, Jezu! Jezu Chryste! Oszaleję przez ciebie, samcu! Jesteś najlepszy, jakiego miałam! Nigdy nie było lepszego od ciebie...! Ojej! O, mój Boże!

Wystrzelił w jej wnętrze opróżniając ją; jego ciało zwiotczało, ból w skroniach ustępował. W końcu do c z e g o ś się nadawał. Podniecił ją, sprawił, że go zapragnęła.

A wtedy usłyszał jej bardzo profesjonalny głos:

- No widzisz, aniołku. To nie było takie trudne, prawda?

Spojrzał na nią. Miała minę artystki, którą nagrodzono rześzystymi oklaskami, i martwe oczy plastikowej lalki.

- Ile ci jestem winien? - zapytał cichym, zimnym głosem.

- Ależ nic! - zaśmiała się. - Od ciebie pieniędzy nie biorę. On mi płaci całą masę.

Nagle Chancellorowi wszystko się przypomniało. Przyjęcie, kłótnia, jazda po pijanemu z Beverly Hills, jego wściekłość przy telefonie. Aaron Sheffield, producent filmowy, właściciel „Przeciwuderzenia!”. Sheffield przyszedł na przyjęcie, holując ze sobą swoją młodą żonę. I to właśnie Sheffield go tam zaprosił. Nie było powodów, by odmówić, a istniały wszelkie do przyjęcia zaproszenia: gospodarzem był nieuchwytny współautor scenariusza „Przeciwuderzenia!”.

„Nic się nie przejmuj. Napisałeś bombę, kochanie”.

Ale zeszłej nocy nastąpiło coś, czym powinien się przejmować. Dlatego chcieli mu o tym powiedzieć w przyjemnym otoczeniu. Bardziej niż przyjemnym. O wiele bardziej.

Wytwórnia odebrała cały szereg „bardzo poważnych” telefonów z Waszyngtonu na temat ekranizacji „Przeciwuderzenia!”. Podkreślano, że w książce znalazł się zasadniczy błąd: CIA nie prowadzi działań w kraju. Nie angażuje się w żadne operacje wewnątrz Stanów Zjednoczonych. Statut CIA z 1947 roku wyraźnie tego zakazuje. Dlatego Aaron Sheffield zgodził się na zmiany w scenariuszu pod tym właśnie kątem. To, co w książce Chancellora określone zostało jako CIA, w scenariuszu zmieniło się w elitarną grupę byłych, zwolnionych ze służby, pracowników wywiadu, działających na własną rękę. - No i co, u diabła! -

powiedział Aaron Sheffield. - Pod względem dramaturgicznym to nawet lepiej. Masz teraz dwie bandy czarnych charakterów, a w Waszyngtonie są uszczęśliwieni.

Ale Chancellor był wściekły. Przecież wiedział, o czym mówi. Rozmawiał z ludźmi, którzy rzeczywiście zostali zwolnieni ze służby, i przeraził się, gdy opowiedzieli mu o swych zadaniach. Przeraziło go zarówno to, że zadania te były nielegalne, jak i to, że nie było alternatywy. Maniak nazwiskiem J. Edgar Hoover przeciął wszelkie kanały współpracy między FBI i CIA. Ludzie z CIA zostali zmuszeni do zdobywania na własną rękę informacji krajowych, które przed nimi ukrywano. I komu mieli się poskarżyć? Mitchellowi? Nixonowi?

Cała siła „Przeciwuderzenia!” opierała się na takich właśnie działaniach Agencji.

Wyeliminowanie tej sprawy było wypaczeniem całej koncepcji książki. Peter wyklócał się zawzięcie i im bardziej był wściekły, tym bardziej, okazało się, pił. A im więcej pił, tym bardziej prowokacyjnie zachowywała się dziewczyna obok niego.

Sheffield odwiózł ich oboje do domu Chancellora. Peter siedział z tyłu z dziewczyną.

Spódnicę miała zadartą do pępka, bluzkę rozpiętą, ogromne piersi, błyskające w przelatujących światłach i cieniach podniecały go do szału. Pijackiego szału.

Weszli we dwoje do domu plażowego, a Sheffield odjechał. Dziewczyna przywiozła prezent od Aarona: dwie butelki Pernoda. I dopiero zaczęła się zabawa. Dzika zabawa, pijana, naga zabawa.

Aż do momentu, gdy wybuch bólu pod czaszką powstrzymał go, przynosząc chwilę otrzeźwienia. Słaniając się na nogach podszedł do aparatu, z wariackim pośpiechem zaczął

przerzucać papiery na stoliku przy łóżku w poszukiwaniu telefonu Sheffielda i z wściekłością wystukał jego numer.

Ryknął na producenta, obrzucając go wszelkimi obelgami, jakie mu przyszły do głowy, wywrzaskując swój sprzeciw - oraz poczucie winy - wobec takich manipulacji. Nie będzie zmian w „Przeciwuderzeniu!”.

A teraz, leżąc na łóżku obok jasnowłosej dziewczyny, przypomniał sobie, co usłyszał przez telefon od Sheffielda.

„Spokojnie, chłopczyku. A cóż cię to wszystko obchodzi? Umowa nie upoważnia cię do wtrącania się w scenariusz. Po prostu zrobiliśmy ci grzeczność. Przestań podskakiwać do nieba. Jesteś takim samym malutkim, wszawym, pierdolonym pieskiem domowym, jak każdy z nas”. Leżąca obok Petera blondynka była żoną Sheffielda.

Chancellor odwrócił się do niej. Jej puste oczy nabrały nieco blasku, ale nadal były oczami lalki. Otworzyła usta, a jej dobrze wyszkolony język zaczął wysuwać się i chować ruchem o jednoznacznej wymowie. Oklaskiwana artystka była gotowa do wykonania następnego numeru. A gównu to kogo obchodzi! Sięgnął po nią.

ROZDZIAŁ 3

Człowiek, którego twarz należała do najbardziej znanych w kraju, siedział samotnie przy stoliku numer dziesięć restauracji „Mayflower” na Connecticut Avenue. Stolik stał przy oknie wychodzącym na ulicę, a siedzący przy nim klient spoglądał przez szybę na przechodniów z roztargnieniem, choć nie bez pewnej niejasnej wrogości. Wszedł na salę dokładnie o jedenastej trzydzieści pięć; skończy lunch i opuści restaurację o dwunastej czterdzieści. Przez ponad dwadzieścia lat było to jego nienaruszalnym zwyczajem.

Zwyczajem była pora, a nie „Mayflower”. Tę restaurację wybrał niedawno, gdy zamknięty został położony o kilka ulic „Harvey's”.

Na twarzy klienta, obdarzonej przez naturę potężnymi szczękami, wykrzywionymi wargami i oczami z symptomami zaburzenia funkcji tarczycy, widoczne były oznaki rozpadu.

Miał workowate, obwisłe policzki; pomarszczone, plamiste fałdy skórne skrywały oczy.

Kosmyki włosów były farbowane, a wszystko to zdradzało jego straszliwy egocentryzm, połączony z agresywnym stosunkiem do całego świata. Jego nieodłączny od dziesiątków lat towarzysz przy stole dziś był nieobecny. Pogarszający się stan zdrowia, dwa ataki apoplektyczne, uniemożliwiły mu przyście. Był to elegancki, rozpieszczony mężczyzna o rozlazłych, mimo wszelkich wysiłków nabrania prawdziwie męskiego wyglądu, rysach twarzy. Wyglądał przy nim jak kwiatek przy kolczastym kaktusie.

Siedzący przy stoliku spojrzął na przeciwległe miejsce, jakby spodziewając się, że ujrzy znowu swe przystojne alter ego. Gdy stwierdził, że nie ma tam nikogo, przez jego palce zaczęły przebiegać drżące fale, a wargi wykrzywił uporczywy tik. Zdawał się zapadać w otchłań samotności, równocześnie rzucając we wszystkie strony czujne spojrzenia, niespokojnie wypatrujące otaczających go zewsząd rzeczywistych i imaginacyjnych nieprawości. Jego ulubiony kelner był tego dnia niezdrów. Człowiek uznał to za osobisty afront. Sprawę, by to zostało zapamiętane.

Salatka owocowa, otaczająca kopczyk białego sera, przeznaczona była dla stolika numer dziesięć. Z kuchni, z otwartej półki ze stali nierdzewnej miała zostać wystawiona na kontuar kelnerski. Jasnowłosy, czasowo zatrudniony, drugi pomocnik kuchmistrza, wydawał

kolejne tace, oceniając fachowym okiem ich wygląd. Stał przed salatką dla dziesiątego stolika, trzymając w dłoni deszczułkę z przypiętymi zamówieniami. Wzrok miał skierowany na stojące na kontuarze tace. Poziomo pod deszczułką trzymał cienkie, srebrne szczypczyki, w nich zaś miękką białą kapsułkę. Jasnowłosy pomocnik uśmiechnął się do wchodzącego przez drzwi sali restauracyjnej zaferowanego kelnera i w tej samej chwili pogрузzył swe szczypce w kopczyku białego sera tuż pod trzymaną deszczułką, wyjął je i przesunął się dalej.

W kilka sekund później powrócił do tacy dla numeru dziesiątego, potrząsnął głową i poprawił widelcem krzywiznę kopca.

Wewnątrz włożonej tam kapsułki znajdowała się niewielka doza LSD. Kapsułka miała się rozpuścić i uwolnić narkotyk w jakieś siedem do ośmiu godzin od połknięcia.

Wywoła to niewielki stres oraz lekkie zakłócenie orientacji. I to wystarczy. W chwili śmierci we krwi nie będzie nawet śladu narkotyku.

W pokoju bez okien siedziała kobieta w średnim wieku. Przysłuchiwała się głosowi dobiegającemu z wiszącego na ścianie głośnika, następnie powtarzała słowa do magnetofonowego mikrofonu. Jej zadaniem było skopiować tak dokładnie, jak tylko się da, dobrze już znany głos. Ze wszystkimi zmianami wysokości, z każdym odcieniem barwy, z nawykowymi krótkimi pauzami po każdym nieco sepleniącym „s”.

To co dolatywało z głośników, było głosem Helen Gandy, wieloletniej sekretarki osobistej Johna Edgara Hoovera.

W kącie małego studia stały dwie spakowane walizki. Za cztery godziny kobieta wraz z walizkami

znajdzie się na pokładzie transatlantyckiego samolotu lecącego do Zurychu. Miał

to być pierwszy etap podróży, która w końcu zaprowadzi ją na południe, na Baleary, do domu nad morzem. Ale najpierw musi znaleźć się w Zurychu, bo tam na jej podpis StaatsBank wpłaci umówioną kwotę do BarclayBanku, który ze swej strony przekaże ją w dwóch ratach do swego oddziału w Palma de Mallorca. Pierwsza rata wypłacona zostanie natychmiast, druga po osiemnastu miesiącach. Kobietę wynajął Varak. Uważał, że do każdej pracy należy znaleźć właściwego, fachowego wykonawcę. Skomputeryzowany bank danych w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa został potajemnie zaprogramowany przez samego Varaka i podał

poszukiwaną przezeń kandydatkę. Była nią wdowa, niegdyś radiowa aktorka, która wraz z mężem została pochwycona w wir szaleństwa „Czerwonych Kanałów” 1954 roku i nigdy się z tego nie wypłatała. Było to szaleństwo usankcjonowane i podniecane przez FBI. Jej mąż, przez wielu uważany za wielki talent aktorski, siedem lat pozostawał bez pracy. Po tym czasie jego serce pękło z udręki. Zmarł na stacji kolejki podziemnej, w chwili gdy udawał się do położonej w dolnej części miasta filii banku, gdzie zatrudniono go jako drobnego urzędnika.

Obecnie kobieta była zawodowo skończona od osiemnastu lat. Ból, poczucie odrzucenia i samotność odebrały jej chęć do walki.

Ale tym razem nie trzeba było walczyć. Nie powiedziano jej, czemu ma służyć to, co robi. Dowiedziała się tylko, że wynikiem jej krótkiej rozmowy ma być „tak” na drugim końcu linii.

Człowiekiem, który miał odebrać wezwanie telefoniczne, był ten, którego nienawidziła całym swym jestestwem. Był głównym sprawcą szaleństwa, które zniszczyło jej życie.

Było parę minut po dziewiątej wieczorem, a furgonetki telefoniczne często widywało się na Placu Trzydziestej Ulicy w północnozachodnim Waszyngtonie. Krótka uliczka kończyła się nieprzejezdnym zaułkiem, z imponującą bramą do rezydencji ambasadora peruwiańskiego, gdzie na kamiennych filarach pysnił się herb jego państwa. W dwóch trzecich długości uliczki, po lewej stronie, znajdował się dom z wyblakłej czerwonej cegły, należący do dyrektora FBI - Federalnego Biura Śledczego. W obu rezydencjach nieustannie ulepszano istniejące systemy komunikacyjne.

A w krótkich odstępach czasu ulicę patrolowały furgonetki bez żadnych oznaczeń, z antenami na dachach. Opowiadano, że to John Edgar Hoover zarządził te patrole, aby wykluczyć jakiegokolwiek niepożądane podsłuchy elektroniczne, które mogłyby zostać tu zainstalowane przez wrogie rządy zagraniczne.

Ambasador peruwiański wielokrotnie składał skargi w Departamencie Stanu. Było to bardzo kłopotliwe, państwo bowiem nie mogło w żaden sposób zaradzić tej sytuacji.

Prywatne życie Hoovera było przedłużeniem jego profesjonalnego lenna.

A ponadto Peru nie było ważne.

Furgonetka telefoniczna wjechała w uliczkę, zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni i powróciła na Trzydziestą Ulicę, gdzie skręciwszy w prawo przejechała pięćdziesiąt jardów, a potem jeszcze raz w prawo w kierunku stojących tu rzędem garaży. Na końcu zespołu garaży znajdował się kamienny mur, otaczający tylną część posesji numer 4936 przy Placu Trzydziestej Ulicy, czyli rezydencji Hoovera. Nad garażami i obok nich znajdowały się kamienice z oknami wychodzącymi na tę posiadłość. Człowiek w furgonetce telefonicznej wiedział, że w jednym z tych okien dyżuruje agent FBI, należący do zespołu, któremu polecono dwudziestoczworgodzinną obserwację terenu. Skład zespołów był tajny i zmieniały się one co tydzień.

Kierowca furgonetki wiedział także, że ktokolwiek czuwa w oknie za garażami, zgodnie z ustaloną procedurą zadzwoni pod specjalny numer w towarzystwie telefonicznym.

Pytanie będzie proste, ale zakłócone dziwnym szumem na linii: co spowodowało obecność wozu naprawczego o tej porze na tej ulicy?

Telefonistka sprawdzi arkusz zgłoszeń napraw i odpowie zgodnie z tym, co jej podano.

W skrzynce przyłączowej nastąpiło krótkie spięcie. Podejrzana jest wścibska wiewiórka, która nadgryzła skruszałą izolację. To właśnie uszkodzenie wywołało ów wyraźny szum na linii. Czy pytający go nie słyszy?

Tak, słyszy.

Całe lata temu, w początkowym okresie swej pracy w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa, Varak nauczył się, że agentom ochrony terenu nigdy nie należy dawać zbyt prostych wyjaśnień. Nie zostaną one przyjęte. To samo dotyczy też zbyt skomplikowanych.

Zawsze trzeba wybrać coś pośredniego.

Radiotelefon wysokiej częstotliwości zainstalowany w furgonetce zabrzączał: sygnał.

Do towarzystwa telefonicznego zwrócił się z pytaniem czujny agent FBI. Kierowca zatrzymał furgonetkę, znowu zawrócił i przejechał trzydzieści pięć jardów do słupa telefonicznego. Miał pełny wgląd na teren rezydencji. Zaparkował wóz i czekał, udając, że studiuje plany, rozłożone na przednim siedzeniu.

Agenci często odbywali nocne przechadzki po tej okolicy. Trzeba było wziąć pod uwagę wszelkie ewentualności.

Furgonetka znajdowała się w tej chwili o osiemdziesiąt jardów na północny zachód od numeru 4936 przy Placu Trzydziestej Ulicy. Kierowca wysiadł, wsunął się do wnętrza wozu i uruchomił aparaturę. Miał czekać dokładnie czterdzieści sześć minut. Przez ten czas miał

mierzyć natężenie prądu, pobieranego przez rezydencję Hoovera. Wyższe natężenie odnosiło się do zasilania obwodów systemu alarmowego, niższe do oświetlenia, radioodbiorników i telewizorów. Kluczowe znaczenie miało określenie poboru prądu przez system alarmowy, lecz nie mniej istotne było stwierdzenie, że płynie on do prawej części dolnej kondygnacji.

Oznaczało to, że obwody są przełączone na pokój służącej. Bardzo ważna była więc wiadomość, że Annie Fields, od niepamiętnych czasów osobista gospodyni Hoovera, była tej nocy w domu.

Limuzyna skręciła w prawo z Pennsylvania Avenue w Dziesiątą Ulicę i zatrzymała się przed zachodnim wejściem do gmachu FBI. Samochód wyglądał identycznie jak ten, który co dzień przywoził dyrektora do biura - z lekkim wgnieceniem chromowanego zderzaka włącznie, które Hoover polecił pozostawić nie naprawione po to, by przypominało kierowcy, Jamesowi Crawfordowi, o jego niedbalstwie. Oczywiście nie był to ten sam samochód, właściwy bowiem strzeżony był dzień i noc. Ale nikt, z Crawfordem włącznie, nie potrafiłby ich odróżnić.

Kierowca wypowiedział hasło do mikrofonu na tablicy rozdzielczej i potężne stalowe drzwi wejściowe rozsunęły się. Nocny strażnik na widok znajomej limuzyny zasalutował, wóz zaś przejechawszy betonową sień z trzema kolejnymi betonowymi bramami, zatrzymał

się na małym, okrągłym podjeździe. Z południowej sieni Departamentu Sprawiedliwości wyskoczył drugi strażnik i chwyciwszy za klamkę otworzył tylne drzwi samochodu.

Varak szybko wysiadł i podziękował zdumionemu strażnikowi. Kierowca i jeszcze jeden pasażer, który znajdował się na przednim siedzeniu, także wysiedli i pozdrowili strażnika uprzejmie, choć przyciszonymi głosami.

- Gdzie jest dyrektor? - zapytał strażnik. - To przecież osobisty wóz pana Hoovera.

- Przyjechaliśmy tu na jego rozkaz - powiedział spokojnie Varak. - Żąda on, abyśmy natychmiast zostali zaprowadzeni do Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Mają do niego telefonować. B W ma jego numer na kodowanej linii. Obawiam się, że sytuacja jest krytyczna. Proszę się pospieszyć.

Strażnik przyjrzał się trójce starannie ubranych i starannie wysławiających się ludzi.

Jego niepokój znacznie się zmniejszył: ci ludzie znali najściślej tajne kody wejściowe do bram, zmieniające się każdej nocy. Ponadto przywieźli polecenie, by zadzwonić do samego dyrektora. Z kodowego telefonu w Bezpieczeństwie Wewnętrznym. Na numer, którego nigdy jeszcze nie użyto.

Strażnik kiwnął głową, wprowadził przybyłych do środka, przed biurko człowieka z Bezpieczeństwa Wewnętrznego na korytarzu i wrócił na swój posterunek na zewnątrz. Obok ogromnej stalowej tablicy z tysiącami przewodów i małych ekranów telewizyjnych siedział

starszy agent, ubrany podobnie jak trzej mężczyźni, którzy do niego podeszli. Varak wyjął z kieszeni laminowany identyfikator i przemówił: - Agenci Longworth, Krepps i Salter -

oświadczył kładąc swój ID na biurku. - A ty chyba jesteś Parke.

- Zgadza się - odrzekł agent biorąc do ręki identyfikator i wyciągając rękę po ID

dwóch pozostałych. - Czy myśmy się spotkali, Longworth?

- Dziesięć, może dwanaście lat temu. Quantico.

Agent spojrział przelotnie na trzy ID, położył je na biurku i zmrużył oczy, coś sobie przypomniawszy.

- Taaak, pamiętam nazwisko. Al Longworth. Kopę lat. - Wyciągnął dłoń, a Varak ją uścisnął. - Gdzie się podziewał?

- La Jolla.

- Jezu, toś zyskał przyjaciela.

- Dlatego właśnie tu jestem. To są moi dwaj najlepsi ludzie z południowej Kalifornii.

ON wezwał mnie zeszłej nocy - Varak leciutko pochylił się nad biurkiem. - Mam złe wieści, Parke. Zupełnie złe - szepnął głośno. - Chyba zbliżamy się do „otwartego terenu”.

Agent zmienił się na twarzy. Widać było, że doznał wstrząsu. Wśród wyższych funkcjonariuszy Biura słowa „otwarty teren” oznaczały coś nie do pomyślenia: dyrektor był

chory. Poważnie, a może nawet śmiertelnie.

- O, mój Boże... - wymamrotał Parke.

- Chce, żebyś z nim rozmawiał na kodowanym.

- Chryste! - Oczywiście było, że w tej sytuacji ostatnią rzeczą, jakiej pragnął agent Parke, była taka właśnie rozmowa. - Czego on sobie życzy? Co ja mam mu powiedzieć, Longworth? Jezu!

- Chce, by nas zaprowadzono do Flag. Powiedz mu, że już tu jesteśmy. Sprawdź jego instrukcje i daj jednemu z moich ludzi upoważnienie do przekazników.

- Przekazników? Po co?

- Spytaj go.

Parke przez chwilę gapił się na Varaka, po czym wyciągnął rękę do telefonu.

O piętnaście ulic na południe od tamtego gmachu, w piwnicy towarzystwa telefonicznego, przy tablicy z całym labiryntem łączących się przewodów siedział

mężczyzna. Do klapy marynarki miał przypięty plastikowy szyldzik ze swą fotografią, z podpisem dużymi literami: „Inspektor”. Z prawego ucha zwisał mu kabel od minisłuchawki, podłączonej do stojącego na podłodze wzmacniaka, obok tego zaś znajdował się magnetofon kasetowy. Z obu aparatów wiły się druty, połączone z innymi drutami na tablicy rozdzielczej.

Żaróweczka na wzmacniaku zapaliła się. Kodowy telefon na biurku Bezpieczeństwa Wewnętrznego w FBI został włączony. Człowiek w piwnicy wbił wzrok w przycisk magnetofonu kasetowego. Wsłuchiwał się w rozmowę ze spokojem doświadczonego zawodowca. Błyskawicznie nacisnął przycisk, taśma ruszyła i niemal natychmiast ją zatrzymał. Odczekał kilka chwil, znów nacisnął przycisk i znów szpulki kasety zaczęły się obracać.

O piętnaście ulic na północ Varak przysłuchiwał się rozmowie Parke'a. Słowa, które usłyszał, zostały nagrane na wielu taśmach, oczyszczone, zredagowane i zmontowane na jednej. Tak jak zaplanowano, głos z drugiego końca linii był głośniejszy niż zwykle. Miał to być głos człowieka, który nie chce przyjąć do wiadomości swej choroby, człowieka dokładającego wysiłków, by być takim jak zwykle - i przez to samo mówiącego nieco inaczej niż zazwyczaj. Było to nie tylko poprawne psychologicznie, miało jeszcze jedną zaletę. Kto mówi głośno, ten rozkazuje, a to zmniejszało szansę wycucia przez słuchającego, że coś jest nie w porządku.

- Tak, czego tam? - zapytano gburowato.

- Panie Hoover, mówi starszy agent Parke z Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Agenci Longworth, Krepps i... - Parke przerwał zmieszany, zapomniawszy nazwiska.

- Salter - podszeptał Varak.

- Salter, sir. Longworth, Krepps i Salter. Przybyli tutaj i mówią, że mam do pana zadzwonić dla sprawdzenia ich instrukcji. Powiedzieli, że mam ich wziąć na górę do pana pokoju, a jednemu trzeba dać dostęp do przekaźników...

- Ci ludzie - przerwał mu chrapliwy, nierówny głos - znajdują się tam na mój osobisty rozkaz. Zrób to, co mówią. Polecam, by z nimi współpracowano bez zastrzeżeń i nikt nie ma o tym wiedzieć. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

- Jak powiedziałeś, że się nazywasz?

- Starszy agent, Lester Parke, sir.

Nastąpiła przerwa, Varak poczuł, jak sztywnieją mu mięśnie brzucha i wstrzymał oddech. Pauza była zbyt długa.

- Zapamiętam to - odezwał się wreszcie głos. - Dobranoc, Parke. - Trzask odkładanej słuchawki zakończył rozmowę.

Varak odetchnął. Nawet nazwisko „Parke” udało się wprowadzić. Nagrano je podczas rozmowy, w której osobnik skarżył się na wzrost przestępczości w Rock Creek Park.

- Głos ma okropny, co? - Parke odłożył słuchawkę i sięgnął pod biurko po trzy nocne przepustki.

- To człowiek wielkiej odwagi - stwierdził Varak. - Czy spytał cię o nazwisko?

- Owszem - potwierdził agent wkładając przepustki do automatycznego zegara wejściowego.

- Jeśli zdarzy się najgorsze, być może czeka cię premia - dodał Varak przysunąwszy się bliżej Parke'a.

- Co takiego? - spojrzał na niego Parke.

- Nic oficjalnego. Legat osobisty.

- Nie rozumiem.

- I nie musisz. Ale słyszałeś go i ja też słyszałem. Napisane jest: „Trzymaj język za zębami”. Bo jak nie, będziesz przede mną odpowiadał... Dyrektor jest najlepszym przyjacielem, jakiego miałem w życiu.

Parke spojrzał na Varaka.

- La Jolla - powiedział.

- La Jolla - potwierdził Varak.

To słowo znaczyło o wiele więcej niż tylko nazwę nadmorskiego miasta w Kalifornii.

Przez całe lata krążyły wieści o doniosłych planach żyjącego w odosobnieniu monarchy, o pałacu nad brzegiem Pacyfiku, o tajnym rządzie posiadającym sekrety narodu.

Starzejąca się kobieta o smutnej twarzy z uwagą śledziła sekundową wskazówkę zegara ściennego w małym studio. Jeszcze pięćdziesiąt pięć sekund. Na stole, przed magnetofonem, którego używała do prób głosu, stał telefon. Miała za sobą pełny tydzień nieustannie powtarzanych prób jednego tylko przedstawienia, które miało trwać nie dłużej niż minutę. „Próba”. „Przedstawienie”.

Wyrazy z prawie zapomnianego słownika.

Nie była głupia. Dziwny, jasnowłosy człowiek, który ją zaangażował, powiedział jej bardzo niewiele. Ale dość, by zrozumiała, że to, czego ma dokonać, jest dobrym czynem.

Pożądanym przez ludzi o wiele lepszych niż ten, z którym miała rozmawiać przez telefon za

... czterdzieści sekund.

Przyglądając się, jak wskazówka posuwa się naprzód do zaznaczonego punktu, oddała się wspomnieniom. Kiedyś mówiono, że jej mąż ma wielki talent filmowy. Wszyscy to mówili. Miał zostać gwiazdą, prawdziwą gwiazdą, a nie taką, która zawdzięcza karierę fotogeniczności i przypadkowi. Wszyscy to mówili.

A wtedy zjawili się inni ludzie i powiedzieli, że on jest na liście. Bardzo ważnej liście, która znaczyła, że nie jest dobrym obywatelem. A tych, którzy byli na liście, obdarzono etykietką.

„Wywrotowcy”.

Etykietce zaś nadano status oficjalny. Ludzie o zaciśniętych ustach, noszący ciemne ubrania, zaczęli pojawiać się w wytwórniach i gabinetach producentów.

„Federalne Biuro Śledcze”.

Zamykali za sobą drzwi i prowadzili poufne rozmowy.

„Wywrotowcy”. To słowo związane było z człowiekiem, z którym miała za chwilę rozmawiać.

Sięgnęła po telefon.

- To za ciebie, kochanie - szepnęła. Była gotowa. W jej krwi, jak za dawnych czasów, popłynęła adrenalina. A później ogarnął ją spokój. Była pewna siebie, znów wykonywała swój zawód. Miała to być największa rola jej życia.

John Edgar Hoover leżał w łóżku, próbując skupić wzrok na ekranie telewizora po drugiej stronie pokoju. Co chwila pilotem zmieniał kanały, ale żaden obraz nie był ostry. Co więcej, denerwowało go dziwne uczucie pustki w gardle. Nigdy przedtem nie doświadczał

czegoś podobnego. Było to wrażenie, jakby w karku wywiercono mu dziurę, przez którą do klatki piersiowej przedostawało się powietrze. Wrażenie nie było bolesne, zaledwie nieprzyjemne, w jakiś sposób związane ze zniekształceniem dźwięku, dobiegającego z telewizora.

Wyżej i niżej. Głośniejsze i ciszej.

I co najdziwniejsze, był głodny. Nigdy nie bywał głodny o tej porze, wyćwiczył się, by tego nie odczuwać.

Wszystko to było bardzo irytujące, a irytacja zwiększyła się, gdy zadzwonił jego prywatny telefon. Numer ten znało nie więcej niż dziesięć osób w Waszyngtonie. On zaś nie czuł się dość dobrze, by stawić czoło jakiemuś nadzwyczajnemu wydarzeniu. Sięgnął po telefon i odezwał się ze złością:

- Tak? Co takiego?

- Panie Hoover, przykro mi, że przeszkadzam, ale to pilne. - Panna Gandy? - Co się stało z jego słuchem? Jej głos zdawał się falować, wyższy i niższy, głośniejszy i cichszy. - Co się stało, panno Gandy?

- Prezydent telefonował z Camp David. Jest w drodze do

Białego Domu i chce, aby jeszcze tej nocy spotkał się pan z panem Haldemanem.

- Dziś w nocy? Dlaczego?

- Powiedział mi, że jest to sprawa najwyższej wagi, związana z informacjami zdobytymi przez CIA w ciągu ubiegłych czterdziestu ośmiu godzin.

John Edgar Hoover nie mógł powstrzymać grymasu, który wykrzywił mu twarz.

Centralna Agencja Wywiadowcza była dla niego obrzydliwością, bandą prezydenckich pochlebców, kierowaną przez zawziętych liberałów. Nie można było jej ufać.

A także obecnemu lokatorowi Białego Domu. Ale jeśli miał on informacje, które powinny należeć do Biura i były dość ważne, by w środku nocy spowodować wysłanie człowieka - tego człowieka, by je przekazał, nie można było odmawiać.

Hoover wolałby, aby opuściło go uczucie pustki w przełyku. Było w najwyższym stopniu irytujące. I jeszcze coś go zaniepokoiło. - Panno Gandy, prezydent zna ten numer.

Czemu nie rozmawiał ze mną osobiście?

- Sądził, że jest pan na kolacji poza domem. Wie, że pan nie lubi, gdy mu się przeszkadza w restauracji. Polecono mi więc zorganizować to spotkanie.

Hoover spojrzął z ukosa na zegar przy łóżku. Nie wskazywał środka nocy, było zaledwie kwadrans po dziesiątej. Powinien był zdawać sobie z tego sprawę. Opuścił Tolsona o ósmej, powołując się na nagłe znużenie; A więc wywiad prezydencki nie był aż taki dokładny. Nie było go w restauracji, był u Clyda.

Czuł się tak zmęczony, że poszedł do łóżka znacznie wcześniej niż zwykle.

- Spotkam się z Haldemanem. Tutaj.

- Tak przypuszczałam, sir. Prezydent sądzi, że być może zechce pan podyktować szereg notatek, instrukcje dla wielu oddziałów terenowych. Zaproponowałam, że przyjadę z panem Haldemanem. Wóz z Białego Domu zabierze mnie po drodze.

- To bardzo ładnie z pani strony, panno Gandy. Musieli wygrzebać coś interesującego.

- Prezydent nie życzy sobie, aby ktokolwiek się dowiedział, że pan Haldeman ma się z panem spotkać. Powiedział, że. to by stworzyło straszliwie kłopotliwą sytuację.

- Proszę posłużyć się bocznym wejściem, panno Gandy. Ma pani klucz. System alarmowy będzie wyłączony. Zawiadomię obserwację terenu.

- Doskonale, panie Hoover.

Starzejąca się kobieta odłożyła telefon na miejsce przed magnetofonem i wyprostowała się na krześle.

Zrobione! Naprawdę tego dokonała! Chwyciła rytm, najdrobniejsze niuanse tonacji głosu, prawie niedostrzegalne pauzy, lekko nosową: modulację. Bezbłędnie!

Najbardziej zaś zadziwiające było to, że ani na moment się nie zawahała. Tak, jakby w jednej chwili została wyzwolona od gnębiącego ją przez dwadzieścia lat panicznego strachu.

Miała do wykonania jeszcze jeden telefon. Mogła użyć takiego głosu, jakiego zechce, im słodszy, tym lepiej. Wystukała numer. - Biały Dom.

- Tu FBI, kochanie - powiedziała starzejąca się aktorka, używając lekko południowego akcentu. - To nic pilnego, tylko informacja do rejestru, nic więcej. Dziś o dziewiątej wieczorem dyrektor otrzymał wiadomość od pana Haldemana. Potwierdzamy jej odbiór, to wszystko. - Okay, potwierdzone. Odnotuję. Duszno dziś, prawda?

- Ale noc jest przepiękna - odrzekła aktorka. - Najpiękniejsza ze wszystkich nocy.

- Chyba ktoś ma dzisiaj rozbieraną randkę.

- Mam coś lepszego niż to. O wiele lepszego. Dobranoc, Biały Dom. - Dobranoc, FBI.

Kobieta wstała z krzesła i sięgnęła do torebki. - Dokonaliśmy tego, najdroższy -

szepnęła.

Jej ostatni występ był najlepszy. Zemściła się. Była wolna. Kierowca furgonetki telefonicznej uważnie przyglądał się krzywym na lampie oscyloskopowej przenośnego wskaźnika poboru prądu. W najbardziej zazwyczaj obciążonych obwodach na lewej dolnej i lewej środkowej kondygnacji widniały przerwy. Oznaczało to, że urządzenia alarmowe w tych miejscach zostały wyłączone przy drzwiach z podjazdu, bramie w kamiennym murze i dróżce, wiodącej od bramy na tyły domu. Wszystko odbywało się zgodnie z planem minutowym. Kierowca spojrzął na zegarek. Już prawie nadszedł czas, by wspiąć się na słup telefoniczny. Sprawdził resztę wyposażenia. Gdy naciśnie przełącznik, zostanie zakłócony dopływ prądu w całej rezydencji Hoovera. Światła, telewizory i aparaty radiowe zaczną się włączać i wyłączać w szybkich odstępach. Zakłócenia potrwać nie dłużej niż dwadzieścia sekund. I ten czas będzie dostateczny, a chwilowy rozstrój systemu - wystarczający.

Ale nim przełącznik zostanie uruchomiony, jest jeszcze jedno, pilniejsze zadanie. Jeśli i tej nocy powtórzy się trwający od lat rytuał, jedna z przeszkód zostanie sprawnie usunięta.

Znowu spojrzął na zegarek. Teraz.

Otworzył tylne drzwi furgonetki i wyskoczył na bruk. Szybko podszedł do słupa, zwolnił jeden koniec długiego pasa bezpieczeństwa i otoczył nim drewniany drąg, wsuwając hak w zatrzask pasa. Uniósł kolejno oba swe buty i nastawił słupolazy.

Rozejrzał się wokoło. Nikogo nie było widać. Podsunął pas przed sobą w górę słupa i zaczął się wspinać. Nie minęło pół minuty, gdy znalazł się na górze.

Światło ulicznej latarni było zbyt jasne, zbyt niebezpieczne. Lampa wisiała tuż nad jego głową na krótkim metalowym wysięgniku. Człowiek sięgnął do kieszeni i wyciągnął

pistolet pneumatyczny, załadowany ołowianymi pociskami. Powiódł wzrokiem po terenie, po ulicy, po oknach nad garażami. Wycelował do zapalanej żarówki i nacisnął spust. Rozległ się cichy klaps, a zaraz po nim niewiele głośniejszy trzask przepalających się na powietrzu spiralek żarówki. Światło zgasło. Spokojnie odczekał chwilę. Wokoło panowała zupełna cisza. W ciemności otworzył klapę torby narzędziowej i wyciągnął z niej osiemnastocalowej długości cylinder. Była to lufa dziwacznej strzelby. Z innej kieszeni torby wydobył ciężki, stalowy pręt z wklęsłym ramieniem na końcu. Przymocował tę kolbę do lufy. Z trzeciej kieszeni skórzanej torby wyjął dwunastocalową noktowizyjną lunetkę celowniczą, idealnie dopasowaną do gniazda na lufie. Lunetka miała automatyczny zatrzask i po połączeniu z lufą umożliwiała precyzyjne celowanie. Wreszcie mężczyzna sięgnął do kurtki i wyjął z niej mechanizm zamkowospustowy. Wcisnął go w wycięcie w dolnej części lufy i sprawdził

bezglówny ruch zamka. Wszystko było gotowe, pozostawała jeszcze amunicja.

Oparłszy strzelbę na lewym przedramieniu, raz jeszcze zanurzył prawą dłoń w kieszeni i wyjął stalową strzałkę z nasadą pomalowaną farbą luminescencyjną. Włożył

strzałkę do komory nabojoyej i zasunął zamek. Kurek był napięty, strzelba gotowa do użycia.

Na zegarku miał dziesiątą czterdzieści cztery. Wkrótce się przekona, czy stary zwyczaj tego domu będzie przestrzegany także i tej nocy. Człowiek zawieszony trzydzieści pięć stóp nad ziemią wyprostował się i przypiął pasem bezpieczeństwa tak ściśle do słupa, jak tylko się dało. Podniósł strzelbę. Przycisnął wklęsłość pręta kolby do ramienia. Spojrzał przez celownik. W świetlistym, zielonym krążku widniał pomimo ciemności wyraźny obraz.

Człowiek starannie naprowadził lunetkę na tylne wejście do domu dyrektora Biura. Krzyż nitek w celowniku wskazał dokładnie schodki przed drzwiami.

Mężczyzna czekał. Minuty mijały powoli. Zerknął na zegarek. Była dziesiąta pięćdziesiąt trzy. Dłużej już nie mógł czekać, musiał wrócić do furgonetki, by przerzucić wyłącznik.

I nagle zobaczył, jak zapala się światło wejściowe! Drzwi otwarto. Kierowca poczuł przypływ ulgi.

W noktowizyjnym celowniku ukazało się ogromne zwierzę. Był to potwornej wielkości mastyf Hoovera, o którym mówiono, że należy do najniebezpieczniejszych psów.

Mówiono też, że dyrektora bawiło porównywanie właściciela i jego psa.

Wieloletni zwyczaj nie zawiódł. Każdej nocy, między dziesiątą czterdzieści pięć i jedenastą, Hoover albo Annie Fields wypuszczali psa na zamknięty teren rezydencji, rano zaś zbierano jego odchody. Drzwi zamknięto, nad wejściem pozostało zapalone światło.

Człowiek na słupie podążył lufą za swą ofiarą. Skrzyżowane nitki celownika zatrzymały się na potężnym gardle zwierzęcia.

Kierowca nacisnął spust. Rozległ się cichy, metaliczny trzask. Strzelec ujrzał przez noktowizor, jak oczy mastyfa otworzyły się szeroko pod wpływem szoku, a ogromne szczęki rozwarły, ale pies nie wydał głosu. Zwierzę zważyło się na ziemię, uśpione narkotykiem.

Nie zwracający uwagi szary samochód zatrzymał się o sto jardów za podjazdem do domu numer 4936 przy Placu Trzydziestej Ulicy. Wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze wysiadł tylnymi drzwiami i popatrzył w górę i w dół ulicy. Obok rezydencji ambasadora peruwiańskiego kobieta wyprowadziła na spacer dalmatyńczyka. Jakieś dwieście jardów w przeciwną stronę jakaś parka szła w kierunku oświetlonej sieni domu. I to było wszystko.

Mężczyzna spojrział na zegarek i dotknął niedużej wypukłości w kieszeni marynarki.

Miał dokładnie pół minuty - trzydzieści sekund! - a potem jeszcze dwadzieścia sekund. Kiwnął głową szoferowi i szybkim krokiem wrócił w stronę podjazdu domu Hoovera.

Gdy szedł, jego buty na gumowej krepie nie wydawały najmniejszego dźwięku. Nie zmieniając tempa skręcił w ciemny podjazd, podszedł do drzwi w murze, wyciągnął zza pasa mały pistolet pneumatyczny i przełożył go do lewej ręki. Strzałka była załadowana. Miał

nadzieję, że nie będzie musiał jej użyć. Raz jeszcze spojrział na zegarek. Jedenaście sekund.

Dla pewności mógł dodać jeszcze trzy. Sprawdził pozycję klucza w prawej dłoni. Teraz.

Włożył klucz w zamek, obrócił, otworzył drzwi i wszedł na teren rezydencji, pozostawiając na sześć cali uchyloną bramę. Ogromny pies leżał na trawie z otwartą paszczą.

Kierowca furgonetki telefonicznej wykonał robotę dokładnie. W drodze powrotnej mężczyzna miał zabrać strzałkę; do rana we krwi psa nie będzie śladu narkotyku. Schował

pistolet do kieszeni.

Szybkim krokiem skierował się do drzwi parterowych, w myśli odliczając sekundy.

Widział, jak w domu w szybkich odstępach przygasają i zapalają się światła. Gdy wkładał w zamek drugi klucz, wedle obliczeń pozostało mu dziewięć sekund.

Ale klucz nie chciał się obracać! Zaciał się zamek. Mężczyzna z wściekłością zaczął wiercić kluczem.

Cztery sekundy, trzy...

Jego palce - wrażliwe palce chirurga, okryte chirurgicznymi rękawiczkami -

delikatnie, pośpiesznie zaczęły manewrować skomplikowanym kluczem w skomplikowanym otworze zamka, jakby skalpelem w żywym ciele.

Dwie sekundy, jedna...

Otwarte!

Wysoki mężczyzna wszedł do środka, pozostawiając i te drzwi uchylone. Zatrzymał

się w korytarzu i chwilę nasłuchiwał. Światła znów paliły się bez zakłóceń. Z pokoju gospodyni, po drugiej stronie domu, dochodził głos włączonego telewizora. Na piętrze podobne dźwięki były słabsze, ale wyraźne; był to dziennik z jedenastej wieczór. Doktorowi przeleciała przez głowę nagła myśl: jak też będą wyglądały jutrzejsze wiadomości wieczorne?

Chciałby być wówczas w Waszyngtonie, aby je usłyszeć. Podszedł do schodów i zaczął się wspinać. U szczytu zatrzymał się pośrodku podestu, przed drzwiami prowadzącymi na prawo.

Za nimi znajdował się człowiek, na którego spotkanie czekał ponad dwa dziesięciolecia.

Czekał z nienawiścią. Głęboką nienawiścią, o której nie mógł zapomnieć. Ostrożnie nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Dyrektor drzemał ze swą ogromną głową pochyloną i policzkami zwisającymi na grubą szyję. W tłustych, zniewieściałych dłoniach trzymał

okulary, które próżność rzadko pozwalała mu włożyć publicznie.

Doktor podszedł do telewizora i podkreślił dźwięk tak bardzo, że wypełnił cały pokój.

Wrócił do łóżka i spojrzał z góry na obiekt swej nienawiści.

Głowa dyrektora poderwała się w przód, a potem nagle do tyłu. Twarz mu się wykrzywiła.

- Co?

- Włóż okulary - powiedział doktor głośniej, niż brzmiały słowa dochodzące z telewizora.

- Co to? Miss Gandy...? Kim pan jest? Pan nie jest... - Hoover drżącą ręką włożył okulary.

- Przyjrzyj mi się z bliska. Upłynęły dwadzieścia dwa lata. Wytrzeszczone oczy w fałdach skóry za okularami rozpoznały wreszcie twarz doktora. Dyrektorowi zaparło dech w piersiach. - Pan! Jak...?

- Dwadzieścia dwa lata - kontynuował martwym głosem doktor, na tyle jednak głośnym, iż przebijał się on ponad muzyką i dźwiękami syren alarmowych, dobiegającymi z telewizora. Sięgnął do kieszeni i wyjął strzykawkę. - Noszę teraz inne nazwisko. Ordynuję w Paryżu, gdzie moi, pacjenci słyszeli takie historie, lecz się nimi nie interesują. Le medecin americain jest uważany za jednego z najlepszych w szpitalu... Dyrektor nagłym ruchem sięgnął w stronę nocnego stolika. Doktor skoczył na łóżko, przyciskając jego miękki przegub do materaca. Hoover zaczął wrzeszczeć; doktor wbił mu łokieć w policzek, ucinając krzyki.

Potem chwycił za nagie, drżące ramię. Ściągnął zębami gumowy koreczek z końca igły i wbił ją w zwiotczale ciało obnażonej pachy. - To za moją żonę i syna. Za wszystko, co mi ukradłeś.

Kierowca szarego samochodu odwrócił się na siedzeniu, zwracając wzrok ku oknom pierwszego piętra rezydencji. Na pięć sekund zgasty w nich światła, po czym zapaliły się ponownie.

Nieznany doktor wykonał swe zadanie: przełącznik u wezłowania został odnaleziony i wyłączony. Nie było chwili do stracenia. Kierowca wziął do ręki mikrofon radiostacji, nacisnął guzik i przemówił: - Faza Jeden wykonana - powiedział zwięźle głosem o wyraźnym brytyjskim akcencie.

Gabinet miał prawie czterdzieści stóp długości. Na jego końcu na małym podwyższeniu stało mahoniowe biurko. Zmuszało to gości siedzących w niskich, nadmiernie miękkich, skórzanych/fotelach, do unoszenia głowy, gdy patrzyli na człowieka za biurkiem.

Za nim, na całej prawie ścianie, stał gęsty szereg flag. Centralną pozycję zajmowały: narodowa oraz Federalnego Biura Śledczego.

Varak stał przed biurkiem bez ruchu, z oczami zwróconymi na dwa telefony. Jeden miał odłożoną słuchawkę i był w ten sposób na stałe połączony z telefonem w piwnicy, gdzie w pokoju przekaźników zbierały się wszystkie przewody urządzeń alarmowych. Słuchawka drugiego telefonu leżała na widełkach. Był połączony bezpośrednio, omijając centralę Biura, linią z miastem. Na okrągłej etykietce, pośrodku tarczy, nie było żadnego numeru.

Środkowa szuflada biurka była otwarta. Obok niej stał drugi mężczyzna, z dłonią wsuniętą do środka, wnętrzem do góry. Końcami palców dotykał maleńkiej dźwigni wpuszczonej od dołu w blat biurka. Zadzwoił telefon. Na pierwszy dzwonek Varak go odebrał. Spokojnym głosem wypowiedział jedno słowo:

- Flagi.

- Faza Jeden wykonana - odezwał się głos po drugiej stronie. Varak skinął głową.

Człowiek stojący koło szuflady przesunął palcami niewidoczną dźwignię.

Cztery kondygnacje niżej, w pokoju o betonowych ścianach, trzeci mężczyzna patrzył na wbudowaną w ścianę tablicę z ciemnymi kwadratami. Ze zdjętej słuchawki telefonicznej, leżącej w zasięgu jego ręki na stalowym stole, rozległ się gwizd.

Nagle ciszę przerwał dzwonek. Pośrodku tablicy zapaliło się jaskrawoczerwone światło.

Człowiek nacisnął kwadrat pod czerwonym światłem.

Cisza.

Przez drzwi prowadzące z korytarza wpadł z przerażeniem w oczach umundurowany strażnik.

- Sprawdzamy urządzenia - powiedział człowiek przed tablicą, spokojnie odkładając słuchawkę.

- Chryste! - wypalił strażnik chwytając otwartymi ustami powietrze. - Wy, nocni drapieżcy, przyprawicie mnie o atak serca. - W żadnym razie nie pozwól nam na to - odrzekł

mężczyzna z uśmiechem.

Varak przyglądał się, jak Salter otwiera drzwi do schowka za flagami i zapala w nim światło. Obie słuchawki leżały już na widelkach; nie miało być więcej rozmów. Telefonów Varaka do Bravo. Nie do Genesis. Genesis już nie żył. Na czele stał obecnie Bravo. To on zostanie zawiadomiony, że robotę wykonano.

O kilka stóp przed szeregiem flag stały dwa druciane kosze na kółkach. W korytarzach Biura stanowiły codzienny widok. Całe ich tuziny służyły do przewożenia gór papieru z pokoju do pokoju. Za kilka minut znów zostaną wypełnione setkami, a może i tysiącami teczek, zabrane na dół i obok dyżurującego agenta nazwiskiem Parke wniesione do czekającej limuzyny. Teczki Johna Edgara Hoovera zostaną spalone w wielkim piecu hutniczym.

A rodząca się Czwarta Rzesza zostanie sparaliżowana.

- Varak! Szybko!

Głos dochodził ze schowka za flagami. Varak wbiegł do środka. Stalowy trezor był otwarty, a zamki przegródek wyłamane. Cztery szuflady ukryte za nimi wyciągnięto.

Dwie z lewej strony były wyładowane papierami. Teczki od „A” do „L” stały nietknięte.

Dwie szuflady z prawej strony były puste. Metalowe przekładki zbiły się w kupkę, nie rozdzielając już niczego.

Teczek od „M” do „Z” brakowało. Połowa magazynu brudów

Hoovera znikła.

ROZDZIAŁ 4

Chancellor leżał w upalnym słońcu czytając Los Angeles Times. Tytuły wydawały mu się niemal nieprawdziwe, jakby wydarzenie, o którym donosiły, należało w jakiś sposób do świata fantazji. On wreszcie umarł. J. Edgar Hoover umarł najzwyczajniej, w łóżku, tak jak umierają miliony starych ludzi. Bez dramatycznych wydarzeń, bez konsekwencji. Zwykła niewydolność serca, nie nadążającego za wiekiem człowieka. Ale ta śmierć w całym kraju wywołała westchnienie ulgi, odczuwalne nawet w prasie.

Oświadczenia ogłoszone przez Kongres i rząd były, jak się tego można było spodziewać, świętoszkowate i ociekały unizonymi pochwałami zmarłego. Ale i ich starannie dobrane słowa zdradzały, że łzy, które przelewano, były krokodyle. Ulgę odczuli wszyscy.

Chancellor złożył gazetę i wetknął w piasek, by wiatr jej nie porwał. Nie miał ochoty czytać dalej.

Ale, co znacznie ważniejsze, nie miał też ochoty pisać. Jezu! Kiedy wreszcie zechce?

Czy kiedykolwiek zechce? Jeśli istnieje coś takiego, jak sybarycka jarzyna, to on nią właśnie jest.

Szczytem zaś ironii było przy tym wszystkim, że równocześnie stawał się coraz bogatszy. Pół godziny temu telefonował z Nowego Jorku Joshua Harris, by zawiadomić, że kolejna wpłata od wytwórni wpłynęła terminowo.

Peter zarabiał masę pieniędzy nie robiąc dosłownie nic. Od chwili epizodu z żoną Sheffielda nie zawracał sobie głowy wizytami w wytwórni czy telefonowaniem do kogokolwiek, kto miał coś wspólnego z produkcją "Przeciwuderzenia!".

Nic się nie przejmuj. Napisałeś bombę, kochanie.

Zaiste.

Podniósł rękę i spojrzął na zegarek. Było prawie wpół do dziewiątej, w Malibu ranki szybko nadchodzą. Powietrze było parne, słońce zbyt jasne, piasek już zbyt gorący. Powoli podniósł się. Pójdzie do domu i posiedzi w klimatyzowanym pokoju, popijając drinka.

A czemu nie? Jak brzmiało to stare powiedzonko? „Nigdy nie piję przed piątą po południu. Dzięki Bogu, zawsze gdzieś jest piąta po południu!” Czy o tej porze na Wschodnim Wybrzeżu było już po piątej? Nie, zawsze mu się myliło, jest przecież odwrotnie. Na wschodzie jest zaledwie jedenasta

trzydzieści.

Zachmurzyło się. Powietrze było ciężkie i duszne. Uporczywa mżawka mogła w każdej chwili zmienić się w ulewę. Tłumy zebrane na placu przed Kapitołem stały w milczeniu. Tylko przytłumione śpiewy przeciwników wojny, stłoczonych za policyjnymi szlabanami, mieszały się z pomrukiem zebranej cizby. Można było oczekiwać, że jeśli spadnie gęściejszy deszcz, i one staną się głośniejsze.

Tu i ówdzie zaczęły otwierać się parasole; żebrowane kopuły czarnego materiału wyskakiwały ponad obojętnymi twarzami o tępo patrzących, nijakich lub zawziętych oczach.

Dzień gniewu, skrycie podszytego lękiem. Był to spadek po człowieku, którego ciało miał

przywieźć ogromny karawan, już spóźniony o dwadzieścia pięć minut. Nagle się pojawił,, sprawnie skręcając z wysadzaną drzewami alei dojazdowej na wybetonowany plac.

Stefan Varak zauważył, że tłum jakby się cofnął, choć nikt nie stał karawanowi na drodze. „Jeszcze jeden dowód spadku” - pomyślał. Po obu stronach schodów prowadzących do rotundy, w mundurach pociemniałych od deszczu, stały wyprężone szeregi żołnierzy, z oczami patrzącymi nieruchomo przed siebie. Była jedenasta dwadzieścia pięć. Ciało Johna Edgara Hoovera miało być wystawione na widok publiczny na Kapitolu przez dwadzieścia cztery godziny. W całej historii narodu nigdy nie przyznano takich honorów pośmiertnych urzędnikowi państwowemu.

A może to naród chciał się upewnić, a także dowieść świata, że ten człowiek naprawdę nie żyje? Człowiek, który wyrósł na olbrzyma z bagna: korupcji, jakim było początkowo Federalne Biuro Śledcze i przekształcił je w sprawną, niezwykłą organizację po to tylko, by z upływem czasu samemu popaść w rozprężenie, wciąż wierząc we własną nieomylność. „Gdybyż tylko umiał się zatrzymać, nim dopadła go ta choroba” pomyślał

Varak.

Ośmiu żołnierzy z uroczystą powagą wystąpiło z szeregu i podeszło do tylnych drzwi karawanu, po czterech z każdej strony. Drzwi się otwały i na zewnątrz wysunęła się okryta narodową flagą trumna.

Zachwiała się lekko, lecz żołnierskie ręce chwyciły za cztery wystające stalowe uchwyty i wyciągnęły ją z pojazdu. Wśród gęstniejącej mżawki żołnierze powolnym krokiem zaczęli zbliżać się do schodów. Z męczącą powolnością podjęli wspinaczkę po trzydziestu pięciu stopniach ku wejściu do rotundy. Martwymi oczami spoglądali przed siebie w pustkę; twarze mieli mokre od potu i deszczu; żyły na rękach, widoczne przy mankietach kurtek, napięte do ostateczności, kołnierze poczerniałe od spływających po szyjach strumyczków potu.

Zdawało się, że póki trumna nie dotarła do szczytu schodów, tłum przestał oddychać.

Tu niosący ją żołnierze na chwilę zatrzymali się w postawie na baczność, a następnie ruszyli z miejsca i ponieśli swój ciężar poza ogromne, brązowe drzwi rotundy.

Varak zwrócił się do stojącego obok kamerzysty. Obaj znajdowali się na niewielkiej, wyniesionej w górę platformie. Pod grubym obiektywem kamery znajdowały się metalowe inicjały stacji telewizyjnej w Seattle, stan Washington. Stacja należała do syndykatu telewizyjnego z Zachodniego Wybrzeża, który nie miał tego dnia swych przedstawicieli na Placu Kapitolu.

- Czy widzisz wszystko? - spytał Varak po francusku.

- Każdą grupę, każdy szereg, każdą twarz w zasięgu zoomu odpowiedział Francuz.

- Czy słabe światło i deszcz nie będą przeszkadzać?

- Nie przy tym filmie. Jest najczulszy z możliwych.

- Dobrze. Idę na górę.

Varak, z przypiętym na marynarce dobrze widocznym fotoidentyfikatorem Narodowej Rady Bezpieczeństwa, przepchnął się przez ciżbę do jednego z wejść i po przejściu obok strażników dotarł do biurka, przy którym siedział umundurowany dyżurny ochrony.

- Czy klatka schodowa od strony archiwum została już zamknięta? - zapytał.

- Nie wiem, sir. - Strażnik dokładnie przejrzał leżącą przed nim instrukcję. - Niczego tu nie powiedziano na temat jej zamknięcia. - Cholera jasna, a powinno - oświadczył Varak i polecił: - Proszę to zanotować.

Poszedł dalej. Nie było istotnej przyczyny, dla której ta właśnie klatka schodowa miałaby zostać zamknięta. Ale wydając takie polecenie, Varak przyjął wobec strażnika rolę przełożonego. Gdyby zepsuł się jego sprzęt łącznościowy, potrzebny mu będzie dostęp do telefonu bez straty cennych sekund na potwierdzanie tożsamości. Te sekundy już nie zostaną stracone, strażnik go zapamiętał.

Pobiegł na górę, biorąc po dwa schodki naraz i znalazł się na tyłach tłumu, wypełniającego przejście z sali posiedzeń Kongresu do rotundy.

Akurat próbował się tamtędy przedostać spocony kongresman. Był pijany i dwa razy się potknął. Młody człowiek, oczywiście jakiś jego pomocnik, wyciągnął rękę, schwycił go za ramię i wytaszczył z tłumu. Kongresman zachwiał się na nogach i wyrznął ramionami w ścianę.

Przyglądając się jego zakłopotanej, ociekającej potem twarzy, Varak przypomniał

sobie, że ten człowiek swego czasu oskarżył FBI o podsłuchiwanie jego telefonu, co przysporzyło dyrektorowi nieco kłopotów. A potem nagle oskarżenia ucichły. W mgnieniu oka obiecane do wody zdematerializowały się i kongresman nie miał już nic do powiedzenia.

„Jedna z brakujących teczek musi dotyczyć tego człowieka” pomyślał Varak idąc korytarzem do kolejnych drzwi. Kiwnął głową stojącemu przy nich strażnikowi, który uważnie przyjrzał

się jego identyfikatorowi NRB, a potem otworzył przed Varakiem drzwi. Za nimi znajdowały się wąskie, kręcone schody, prowadzące aż do kopuły nad rotundą.

W trzy minuty później Varak uklęknął obok drugiego kamerzysty o sto sześćdziesiąt stóp ponad poziomem podłogi rotundy. Znajdowali się na górnym, obiegającym kopułę balkoniku, od lat zamkniętym dla zwiedzających. Cichy szum kamery był ledwie słyszalny.

Była opakowana potrójną izolacją dźwiękową, a teleobiektyw miała wkręcony na stałe i przytrzymany wzmocnionymi klamrami. Z poziomu podłogi w żaden sposób nie można było dostrzec kamery ani obsługującego ją człowieka. O parę stóp dalej stały trzy kartony filmów.

Pod nimi, w rotundzie, żołnierze ustawili trumnę na katafalku. Za otaczającymi go sznurami, tak stłoczeni, że pozbawiło ich to jakiegokolwiek dostojności, stali przywódcy narodu, współzawodnicząc między sobą o lepiej widoczne miejsca. Warta honorowa, złożona z przedstawicieli wszystkich rodzajów broni, zajęła wyznaczoną sobie pozycję. Skądś z daleka, z wielkiego holu, dwukrotnie zadzwonił telefon. Varak odruchowo sięgnął do kieszeni, wyciągając małą radiostację, przez którą utrzymywał kontakt z pozostałymi swoimi ludźmi. Przyłożył ją do ucha, nacisnął klawisz i zaczął słuchać. Nie było żadnego dźwięku, więc odetchnął z ulgą.

Pod kopułą rozległ się głos pełen namaszczenia. Edward Elson kapelan Senatu i pastor Kościoła Prezbiteriańskiego, rozpoczął modlitwę. Po nim wygłosił mowę pogrzebową Warren Burger. Varak usłyszał wypowiedziane słowa i zacisnął zęby.

„...człowiek cichej odwagi, który nie zgadzał się poświęcać zasad dla publicznej wrzawy... który służył swemu krajowi i zyskał podziw wszystkich wierzących w uporządkowaną wolność”.

„Jakie zasady? Co to jest „uporządkowana wolność”? „ - zastanawiał się Varak, patrząc na rozgrywającą się poniżej scenę. Ale nie było czasu na takie myśli. Szepnął do kamerzysty po czesku:

- Czy wszystko w porządku?

- Tak. Jeśli kurcz mnie nie złapie.

- Rozprostuj się od czasu do czasu, ale nie wstawaj. Co cztery godziny będę cię zmieniał na trzydzieści minut. Korzystaj wtedy z pokoju za drugim balkonem; przyniosę coś do jedzenia.

- Filmować przez całą noc?

- Za to właśnie bierzesz pieniądze. Chcę, byś uwiecznił każdą twarz, przechodzącą przez te brązowe drzwi. Każdą cholerną twarz. Poprzez odbijające się echem basowe tony wypełniających kopułę słów usłyszał inne dźwięki. Daleko, na zewnątrz, za szlabanami przedzielającymi plac, w deszczu, przeciwnicy wojny wzniesli własny psalm za zmarłych.

Nie za ciało spoczywające w rotundzie, lecz za tysiące po drugiej stronie globu. Liturgiczny dramat odgrywał się więc z gryzącą ironią.

- Każdą twarz - powtórzył Varak.

W ogrodzie przed frontonem kościoła prezbiteriańskiego do okrągłego basenu spadała kaskadą tryskająca z fontanny woda. Za fontanną wzniesiono z powściągliwym przepychem wieżę z białego marmuru. Na prawo od niej znajdował się dwupasmowy podjazd, prowadzący pod kamienny portyk, skąd po lewej ręce otwierały się drzwi do kościoła.

Sprawiało to raczej wrażenie roгатki na autostradzie, a nie wejścia do domu bożego.

Obie kamery Varaka były na stanowiskach, a obsługujący je ludzie napojeni kawą z benzydryną. Za parę godzin wszystko się skończy. Obaj kamerzyści będą o wiele bogatsi niż jeszcze kilka dni temu, obaj będą lecieli do domów. Jeden do Pragi, drugi do Marsylii.

O dziewiątej czterdzieści pięć zaczęły podjeżdżać limuzyny, nabożeństwo żałobne było wyznaczone na jedenastą. Czech został na zewnątrz. A kurcze łapały tym razem Francuza, który klęczał, i to nie dla modlitwy, w drzwiach mieszczących się daleko na lewo i wyżej od ołtarza. I jego, i kamerę skrywały ciężkie draperie. Na piersi miał bardzo oficjalnie wyglądający identyfikator z pieczęcią Archiwów Państwowych. Nikt tego nie kwestionował, nikt nie wiedział, co to oznacza. Żałobni goście wysiedli z samochodów i jeden po drugim wkraczali do wnętrza. Kamery pracowały. Kościół wypełniły ponure tony organów. Do prezbiterium weszło krokiem lunatyków dwudziestu pięciu członków chóru wojskowego, odzianych w czarne mundury ze złotym szamerowaniem.

Zacząło się nabożeństwo. Popłynęły nieprzerwanie słowa, wypowiedane przez tych, którzy kochali, i tych, którzy nienawidzili. Modlitwa i psalm, fragmenty utworów muzycznych i występy solowe. „Wszystko jakby zbyt chłodne, zbyt dokładnie wyreżyserowane” - pomyślał Varak. Niewiele go to w gruncie rzeczy obchodziło; kamery pracowały. Nagle usłyszał pełen namaszczenia głos prezydenta Stanów Zjednoczonych, z jego dziwacznym rytmem i rozłożeniem akcentów, teraz dostosowanym do okoliczności.

Zadyszka po wydarzeniu, jej puste echo. „...Tendencja przyzwalania, tendencja, która niebezpiecznie zaczęła wyżerać nasze narodowe dziedzictwo prawomyślnego narodu, została teraz odwrócona. Naród amerykański jest dziś z m ę c z o n y brakiem szacunku dla prawa.

Ameryka chce powrócić do prawa jako swej tradycji...”

Varak odwrócił się i wyszedł z kościoła.

Miał coś lepszego do roboty. Przeszedł przez wystrzyżony trawnik nie opodal rabaty wiosennych kwiatów, aż do wyłożonej kamiennymi płytami ścieżki, prowadzącej do fontanny. Przysiadł na obmurowaniu, czując, jak krople wody padają mu na twarz. Z kieszeni wyciągnął mapę) drogową i zaczął ją studiować.

Ostatni przystanek mieli na Cmentarzu Kongresowym. Przybędą tam wcześniej niż orszak żałobny i ustawią kamery w niewidocznych miejscach. Zarejestrują ostatnie chwile, gdy ciało J. Edgara Hoovera zostanie oddane ziemi, jego szczątki głęboko zasypane.

Ale nie jego obecność. Jego obecność będzie odczuwalna tak długo, póki nie odnajdą się brakujące teczki.

Teczki od „M” do „Z”. Przybliżona liczba: 3000. Trzy tysiące dossiers, za pomocą których można wymusić skład rządu oraz zmienić prawo i sposób życia kraju.

Kto je ma? Kto to jest?

Kimkolwiek jest, został uwieczniony na filmie. Tak być musiało, nie było innej możliwości. Nikt obcy nie mógł w Waszyngtonie przełamać skomplikowanego systemu zabezpieczeń, by je ukraść.

Gdzieś na tysiącach stóp filmów, które naświetlił, znajdowała się twarz. i nazwisko przypisane do twarzy. „Odnajdę tę twarz i to nazwisko” - pomyślał ze złością Varak. Musiał

to zrobić.

Porażka była nie do pomyślenia.

ROZDZIAŁ 5

Film przewijał się przez aparat projekcyjny, rzucając obrazy na ścianę. Jedna po drugiej pojawiały się powiększone twarze. Varak przecierał zmęczone oczy; przez ostatnie trzy miesiące oglądał film może z pięćdziesiąt razy.

„M” do „Z”. Czternaście liter. Najprawdopodobniej twarz należała do człowieka, którego nazwisko zaczynało się na jedną z tych liter. Złodziej teczek nie mógł przeoczyć tego, że jego własna znajdowała się wśród nich. Ale kto to był? Statystyczna możliwość zdawała się bliska nieskończoności; tym bardziej że niektóre nazwiska były zakodowane. Człowiek nazywający się na „K” czy na „G” - Kleindienst lub Grey mógł w aktach Biura występować jako „Nelson” lub „Stark”. I naprawdę jako „Nelson” i „Stark” byli zakodowani Kleindienst i Grey. Piwnica w domu w Georgetown została przekształcona w salę projekcyjną, z przylegającym do niej gabinetem oraz pokojem wypoczynkowym. Filmy, zdjęcia, kartony papierów: kart personalnych i chorobowych, dossiers rządowych, raportów wywiadowczych, wyciągów z rachunków telefonicznych i kont, kart kredytowych - przytłaczały ilością. A nie było personelu, któremu można by powierzyć przesortowanie i skatalogowanie materiałów.

Tylko jedna osoba mogła mieć do nich dostęp. Włączenie kogokolwiek drugiego podnosiło do kwadratu, a trzeciego do sześcianu możliwość dekonspiracji.

Poszukiwany nie mógł być człowiekiem z zewnątrz! Przede wszystkim musiał to być przyjaciel, bliski przyjaciel, współnik. Inna hipoteza była bezsensowna: zbyt wiele było barier, aby obcy człowiek mógł je pokonać. Nikt z zewnątrz nie umiałby użyć przekazników, nikt obcy nie potrafiłby przerzucić niewidocznych dźwigni i wyłączyć systemu alarmowego w pomieszczeniach, do których niewielu tylko miało dostęp, w pokojach strzeżonych dzień i noc.

Ale co za przyjaciele? Jacy współnicy? Trzydzieści tygodni przekopywania się przez stosy zapisków, dossiers, filmów i fotografii nie zaprowadziła Varaka nigdzie. Każda rzadko ukazująca się publicznie twarz człowieka od „M” do „Z”, każdy strzęp niecodziennej informacji w dossier czy raporcie wywiadowczym, czy nawet wyciągu bankowym - wszystko to zostało poddane wyczerpującej

analizie. Która doprowadziła donikąd. Varak przeszedł do małego, pozbawionego okien gabinetu. Zdawało mu się, że zapomniał już, jak świeci słońce i pachnie świeże powietrze. Spojrzał na korkową tablicę na ścianie, do której było przypięte i oświetlone lampą biurkową powiększenie ostatniej woli i testamentu J. E. Hoovera.

Łączna wartość jego majątku została zapisana w prawym górnym rogu dużymi, nakreślonymi flamastrem, cyframi. Wynosiła 55150 dolarów.

Obejmowało to posiadłość na Placu Trzydziestej Ulicy, obligacje rachunki bieżące w bankach, akcje oraz świadczenia z tytułu służby państwowej, łącznie 326500 dolarów. Dom rodzinny w Georgetown został wyceniony na 100000. Do tego dochodziło 125000 dolarów jako wartość dzierżawna działek ropo, gazo i rudonośnych w Teksasie i Luizjanie. Łącznie 551 500 dolarów.

Głównym beneficjentem testamentowym był jego przyjaciel od niemal pięćdziesięciu lat oraz pierwszy zastępca w Biurze, Clyde Tolson. Hoover pozostawił mu prawie wszystko.

Po śmierci Tolsona majątek miał zostać rozdzielony między kluby młodzieży męskiej i Fundację Damona Runyona. I tu była ściana.

Mniejsze zapisy, po dwa, trzy i pięć tysięcy dolarów dotyczyły kolejno: jego szofera Jamesa Crawforda, gospodyni Annie Fields i sekretarki osobistej, groźnej Helen Gandy. Troje ludzi, którzy spędzili całe lata w jego służbie, zostało załatwionych grosikami na cukierki.

Mówiło to coś niemiłego o tym człowieku, ale znowu prowadziło do pustej ściany I byli jeszcze ci, których testament w ogóle nie uwzględniał: ośmioro członków „zawsze trzymającej się razem” rodziny Hooverów - cztery siostrzenice i czterech siostrzeńców, w tym jeden, który przez dziesięć lat pracował w Biurze. Większość z nich przybyła na pogrzeb.

Nikogo spośród nich Hoover nie wymienił w testamencie. jeszcze jedna pusta ściana, za którą mógł się znajdować pokój pełen wściekłości i potępienia, ale na pewno nie zawierał

on teczek.

I tyle, jeśli idzie o ostatnią wolę i testament mitycznego giganta Johna Edgara Hoovera. Tylko tyle i nic więcej!

Do diabła!

Varak przeszedł do pokoju wypoczynkowego. Wypoczynkowego, sypialni, jadalni, celi więziennej. Prawdę powiedziawszy, Bravo zaopatrzył go znacznie lepiej, niż Varak potrzebował. Bravo dał mu również szczegółowe instrukcje na wypadek własnej śmierci.

Inver Brass musi być chronione za każdą cenę.

Dziwne, nigdy nie myślał o Bravo jako o Munro St. Clairze. Nigdy nie myślał o żadnym z nich pod

jego prawdziwym nazwiskiem. Bravo to po prostu Bravo.

Zadzwoił telefon linii miejskiej.

- Pan Varak? - To był Bravo.

- Tak, sir?

- Obawiam się, że się zaczęło. Jestem tu w mieście. Niech pan czeka na miejscu.

Postaram się dotrzeć tak szybko, jak będę mógł. St. Claire oparł się wygodnie o plecy skórzanego fotela i kilka razy głęboko odetchnął. W ten sposób miał zwyczaj zachowywać się w momentach przesilen - ze spokojem.

- W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nastąpiły dwie zdumiewające prośby o dymisję - powiedział. - Generał porucznik Bruce MacAndrew w Pentagonie i Paul Bromley w Administracji Sił Zbrojnych. Czy zna pan któregoś z nich?

- Tak. MacAndrewa. Bromleya nie.

- A co pan sądzi o generale?

- Cenię go wysoko. Często wypowiadał się przeciw opinii większości w Pentagonie.

- Właśnie. Jest człowiekiem wpływowym, umiarkowanym i do tego powszechnie szanowanym. Aż tu nagle, gdy jest u szczytu kariery, daje za wygraną.

- Dlaczego pan sądzi, że jego rezygnacja ma cokolwiek wspólnego z teczkami?

- Bo Bromleya ma. Właśnie wracam ze spotkania z nim. Paul Bromley to stary, sześćdziesięcioletni biurokrata z Administracji Sił Zbrojnych. Swoją pracę traktuje bardzo poważnie.

- Ja go jednak znam - przypomniał sobie Varak. - A przynajmniej wiem coś o nim.

Jakiś rok temu zeznawał przed komisją senacką na temat przekroczenia wydatków.

Krytykował nieuzasadnione koszty, związane z samolotem C-40.

- I otrzymał za to surową naganę. Został przeniesiony do kontroli księgowości stołówek kongresowych czy równie kluczowych operacji. Ale władze w ASZ miesiąc temu zrobiły poważny błąd. Wpisały mu do akt dyskwalifikującą opinię służbową, wykluczającą jakikolwiek awans. Bromley wytoczył im proces. Swój pozew oparł na sprawie C-40... I wszystko wzięło w łeb. Wystąpił ze służby ze skutkiem natychmiastowym.

- Czy powiedział panu dlaczego?

- Tak. Zatelefonowano do niego... - Bravo przerwał. Zamknął oczy. - Bromley ma córkę. Ma trzydzieści parę lat, jest zamężna, mieszka pod Milwaukee. Wyszła po raz drugi za mąż i wszystko wskazuje, że dobrze. Z pierwszym związkiem było inaczej. Miała wtedy ledwie naście lat, jej mąż właśnie ukończył dwadzieścia. Oboje brali narkotyki, żyli na ulicy.

Aby kupić narkotyk, ona się sprzedawała. Przez prawie trzy lata Bromley nie widział córki.

Póki pewnego dnia ktoś do niego nie przyszedł, by zawiadomić, że została aresztowana za zamordowanie męża. Varak nie musiał słuchać dalej. Adwokaci dziewczyny uzyskali orzeczenie lekarskie o jej chwilowej niepoczytalności. Potem przebyła kilkuletnie leczenie psychiatryczne. Oczywiście figurowała w rejestrach kryminalnych, ze wszystkimi paskudnymi szczegółami. Żona Bromleya zabrała następnie córkę do domu swych rodziców w Wisconsin. Tam dziewczyna wracała do zdrowia psychicznego. Wreszcie wyleczyła się całkowicie, spotkała i poślubiła inżyniera, pracującego w jednym z koncernów Środkowego Zachodu, i zaczęła rodzić kolejne dzieci. A teraz, po dziesięciu latach, jedna rozmowa telefoniczna oznaczała, że przeszłość może stać się teraźniejszością. Nie tylko zniszczy córkę, ale napiętnuje całą rodzinę. Chyba że Paul Bromley wycofa swój pozew przeciw Administracji Sił Zbrojnych i poprosi o dymisję.

Varak pochylił się w stronę rozmówcy:

- Czy jej obecny mąż o tym wie?

- Główne zarysy zna, może nie wszystkie szczegóły. Oczywiście nie tylko o to idzie.

Musieliby zmienić miejsce zamieszkania, zacząć życie od nowa. Ale to byłoby daremne: zostaliby odnalezieni.

- Naturalnie - zgodził się Varak. - Czy Bromley opisał głos w telefonie?

- Tak. Był to szept...

- Dla większego wrażenia - spokojnie wtrącił Varak. - Bezbłędny chwyt.

- Albo dla zatarcia śladów. Nie potrafił nawet powiedzieć, czy był to mężczyzna, czy kobieta.

- Rozumiem. Czy w brzmieniu głosu było coś niecodziennego? - Nie, Bromley by to zauważył. Jest z zawodu księgowym; wszystko, co niezwykłe, zwraca jego uwagę.

Najdziwniejsze było to, jego zdaniem, iż głos brzmiał zupełnie mechanicznie.

- Czy mógł być nagrany? Na taśmie?

- Nie. Odpowiadał na jego kwestie, których nie można przecież było z góry przewidzieć.

Varak wyprostował się.

- Dlaczego on się zgłosił do pana?

Bravo zamilkł. Gdy się odezwał ponownie, w jego głosie pobrzmiwała nuta smutku, jakby z jakichś przyczyn dyplomata czuł się winny.

- Po zeznaniu Bromleya w sprawie C-40 chciałem go poznać. Zainteresował mnie ten urzędnik średniego szczebla, który wziął się za bary z Pentagonem. Zaprosiłem go na kolację.

- Tutaj?

- Nie, oczywiście nie. Spotkaliśmy się w wiejskim zajeździe w Marylandzie... - Bravo przerwał.

- Ale nadal nie wyjawiał pan, dlaczego tym razem on się z panem skontaktował.

- Bo upoważniłem go do tego. Ani przez chwilę nie przypuszczałem, by mógł wygrać z Pentagonem. Powiedziałem mu, że jeśli dotkną go represje, ma się do mnie zwrócić.

- Skąd ma pan pewność, że rozmówca Bromleya jest w posiadaniu teczek Hoovera?

Sprawa jego córki musi być w aktach sądowych. - Na podstawie tego, co oznajmił mu głos. A oznajmił mu, że ma na Bromleya całe „krwawe mięso”, jakie można mieć na temat jego i jego rodziny. Wie pan, co oznacza „krwawe mięso”?

- Tak - odrzekł Varak. - Było to jedno z ulubionych wyrażeń Hoovera. Ale jest tu jakaś sprzeczność. Nazwisko Bromleya zaczyna się na „B”.

- Bromley to wyjaśnił, choć oczywiście nie wspominałem mu o teczkach. Zarówno w Pentagonie, jak w Biurze Bromley był zakodowany pod hasłem „Żmija”.

- Jakby był obcym agentem.

- Dokładnie.

- A co na temat MacAndrewa? Czy mamy coś o nim?

- Tak sędzę. Interesowaliśmy się nim od dawna. Należał do tej niewielkiej grupki wojskowych, która jest przekonana, że ponad armią muszą stać cywile. Szczerze mówiąc, pewnego dnia mógłby nawet zostać kandydatem do Inver Brass. Przystudiowaliśmy go dokładnie, jeszcze nim się pan pojawił. W zapisie przebiegu służby jest luka. Widnieje tylko oznaczenie, że ten fragment, dotyczący ośmiu miesięcy w 1950 roku, przeniesiono do akt wywiadu wojskowego G-2, AZP.

- Dział Analiz Zdrowia Psychicznego - powiedział Varak. - Ten pion zajmuje się przede wszystkim zdrajcami.

- Tak. Byliśmy oczywiście zdumieni. Poszukaliśmy tego fragmentu w G -2 i okazało się, że też został stamtąd usunięty. Pozostał po nim tylko zapis: „Przesłano kurierom, FBI, BP”. Bezpieczeństwo Państwowe. Reszty może się pan domyślić.

- Tak - odrzekł Varak. - Postaraliście się o jego dossier w FBI i nic w nim nie było.

Sprawdziliście jeszcze w Bezpieczeństwie Państwowym. Nadal nic. „Krwawe mięso”.

- Najdokładniej. Każdy papierek, każda notatka, każde uzupełnienie mające związek z Bezpieczeństwem, przechodziło przez biurko Hoovera. A jak wiemy, pojęcie

„bezpieczeństwa” rozszerzono do maksimum. Życie seksualne, używanie alkoholu, zwierzenia małżeńskie czy rodzinne, najbardziej osobiste szczegóły życia ludzkiego - niczego nie uważano za nie związane z tematem czy nieistotne. Hoover był zakochany w tych teczkach jak Krezus w złocie. Trzech prezydentów chciało go zwolnić z funkcji Żaden tego nie zrobił.

Varak pochylił się w stronę rozmówcy. - Cały problem w tym, co zawierały akta służbowe MacAndrewa. Obecnie możemy go już o to spytać.

- My?

- To się da załatwić.

- Przez pośrednika?

- Tak. Ślepego agenta. Bez powiązania z nami.

- Tego jestem pewien - zapewnił Bravo. - Ale co wtedy?

- Zakładając, że znajdzie pan u niego jakiś defekt: charakteru, seksualny czy inny, co to nam daje? Gdyby to dotyczyło czegoś trwałego MacAndrew nie miałby później dostępu do najtajniejszych akt. - To da nam więcej informacji. A w jakimś miejscu nasze informacje wskażą słabe ogniwo łańcucha. I wtedy on się zerwie.

- Na to właśnie pan liczy, prawda?

- Tak. To musi nastąpić. Ktokolwiek skradł te teckę, umysł ma pierwszorzędny. Ale to musi nastąpić.

Obaj rozmówcy zamilkli. Varak czekał na aprobatę pomysłu, Bravo zatonął w myślach.

- Łańcuch tak łatwo nie pęknie - powiedział wreszcie St. Claire. Jest pan najlepszy ze wszystkich w branży, a mimo to nie udało się panu zbliżyć do rozwiązania bardziej niż przed trzema miesiącami. Powiedział pan: pierwszorzędny umysł. Ale nic o nim nie wiemy. Nie wiemy nawet, czy mamy do czynienia z umysłem czy umysłami. Jednostką czy grupą.

- A jeśli nawet z jednostką - włączył się Varak - nie znamy nawet jego płci.

- Lecz bez względu na to, kim jest, wykonał pierwszy krok.

- Wobec tego proszę się zgodzić, bym nastawił kogoś na MacAndrewa.

- Chwileczkę... - Bravo oparł podbródek na splecionych dłoniach. - Pośrednika?

Ślepego agenta?

- Tak. Bez możliwości powiązania z nami.

- Proszę o chwilę cierpliwości. Jeszcze tego nie przemyślałem do końca, proszę mi dopomóc. To przecież pana pomysł.

Varak spojrział na dyplomatę spod oka. St. Claire kontynuował.

- Jeśli prawidłowo zrozumiałem, użył pan określenia „ślepy agent” w kontekście zbierania informacji czy dokonania wywiadu. Jest to ktoś, kto ma wykryć interesujące pana rzeczy bez angażowania w to pańskiej osoby. Czy tak?

- Tak jest. Ślepy ma własne powody, dla których chce zdobyć te same informacje.

Cały dowcip polega na tym, by je później z niego wydobyć bez jego wiedzy.

- Ślepego dobiera się zatem z najwyższą ostrożnością. - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

- Najczęściej wystarczy znaleźć kogoś o takich samych zainteresowaniach - odrzekł

Varak. - Ale to bywa trudne.

- Przecież możemy zwrócić się do agencji wywiadowczej. Chcę przez to powiedzieć, że jest w naszej mocy zaalarmowanie rządu, czy nawet prasy, że istnieje możliwość, iżteczki Hoovera go przeżyły.

- Na pewno. Z takim skutkiem, że ten, kto je ma, zakonspiruje się jeszcze bardziej.

Bravo wstał z fotela i zaczął się bez celu przechadzać po pokoju.

- Gazety ledwie wspomniały o tych teczkach. To dziwne, wiadomo było o ich istnieniu. Wygląda to tak, jakby nikt nie chciał tego ruszać.

- Nie napisane, nie pomyślane, niegroźne - powiedział Varak.

- Dokładnie tak. W całym Waszyngtonie. Nawet w środkach masowego przekazu.

Nikt nie wie, czy miał swoją teczkę, czy nie. Więc wszyscy milczą. A kiedy ludzie milczą, zło triumfuje. Burkę słusznie to zauważył. Jesteśmy tego świadkami.

- Z drugiej jednak strony - sprzeciwił się Varak - złamanie milczenia nie zawsze jest rozwiązaniem.

- Zależy, kto je łamie - Bravo przerwał wędrówkę po pokoju. Niech mi pan powie, czy pod mikroskopem o najwyższej rozdzielczości, znajdującym się w najbardziej fachowych rękach, można dostrzec którąkolwiek z osób wplątanych w śmierć Hoovera?

- Nikogo - twardo odpowiedział funkcjonariusz wywiadu.

- Co się z nimi dzieje?

- Obaj telefoniści są w Australii, w buszu Kimberly i nigdy tu nie wrócą. Są oskarżeni o morderstwo dokonane podczas służby w piechocie marynarki. Człowiek, który posługiwał

się pseudonimem „Salter”, jest w Tel Awiwie; nic nie jest dla niego ważniejsze od Ziemi Świętej oraz świętej wojny. Przekazujemy mu informacje o terrorystach palestyńskich. Żyje tylko dla tej sprawy, a my umożliwiamy mu jej realizację. Aktorka jest na Majorce. Spłaciła dług, dostała swoje i niczego więcej nie chce. Anglik, który prowadził samochód i przekazał

przez radio sygnał wykonania Fazy Jeden, jest z powrotem w brytyjskim kontrwywiadzie. Był

opłacany przez Rosjan jako podwójny agent we wschodnim Berlinie. Wie, że mamy dowody wystarczające do skazania go na śmierć. O ostatnim, którego sprawa dotyczy, naszym lekarzu w Paryżu, pan wie. Każdy z nich miał motyw, by brać w tym udział, do nikogo nie prowadzi żaden ślad. Są o tysiące kilometrów stąd.

St. Claire ostro spojrzał na Varaka.

- Kogoś pan pominął. Co z człowiekiem z pokoju przekaźników systemu alarmowego? Tym, który występował pod pseudonimem „Krepps”?

Varak odwzajemnił się takim samym spojrzeniem.

- Zabiłem go. To była moja decyzja i podjąłbym ją ponownie.

St. Claire skinął głową.

- Czyli powiada pan, że wszyscy ludzie, wszystkie fakty zostały pogrzebane bez możliwości ich odkrycia. Śmierć Hoovera nigdy nie będzie mogła być przypisana czemuś innemu niż przyczynom naturalnym.

- Najdokładniej. Przyczynom naturalnym.

- Tak więc, jeśli użyjemy ślepego, nie będzie miał szans wykrycia prawdy. Zabójstwo Hoovera pozostanie poza jego zasięgiem.

- Poza zasięgiem.

Bravo znów rozpoczął wędrowkę po pokoju. - Nie pytałem jeszcze pana, dlaczego nie było autopsji.

- Polecenie z Białego Domu. Przekazane, o ile mi wiadomo, jak najdyskretniej.

- Białego Domu?

- Mieli powody. Ja im ich dostarczyłem.

St. Claire nie wypytywał dalej. Wiedział, że Varak przebadał Biały Dom gruntownie; domyślał się także, że wywiadowca dokonał tego w sposób całkowicie profesjonalny.

- Poza zasięgiem - powtórzył Bravo. - To ma decydujące znaczenie.

- Dla kogo?

- Dla ślepego, nie krępującego się faktami. Dla człowieka, zainteresowanego wyłącznie pomysłem. Teorią, która nie musi być sprawdzana krok po kroku. Taki człowiek może wołać na alarm i całkiem prawdopodobne jest, że sprowokuje do ujawnienia się tego, kto ma teczkę. - Nie chwytam pana myśli. Ślepy nie ma motywów do działania bez znajomości faktów. Czegoż mógłby się wtedy dowiedzieć? Czego my moglibyśmy się dowiedzieć?

- Być może bardzo wiele. Kluczowym słowem jest tu „fakt”. - St. Claire wpatrzył się w ścianę nad Varakiem. „Jakie to dziwne” - przyszło mu do głowy. Przez długi czas nie myślał o Peterze Chancellorze. A gdy nawet pomyślał, ujrzawszy jego nazwisko w gazecie lub przeglądzie literackim, zawsze łączyło się to z mglistym wspomnieniem zakłopotanego absolwenta uniwersytetu, który w rozmowie przed sześciu laty nie bardzo wiedział, jak dobrać słowa. Od tej pory Chancellor odpowiednio słowa znalazł. I to w dużych ilościach.

- Obawiam się, że nie całkiem pana rozumiem - rzekł Varak. Bravo spuścił wzrok. -

Czy słyszał pan kiedykolwiek o pisarzu nazwiskiem Peter Chancellor?

- „Przeciwuderzenie!” - odrzekł Varak. - Czytałem to. W siedzibie CIA w Langley przeraziło wielu ludzi.

- Ale to była fikcja literacka.

- Zbyt bliska rzeczywistości. Ten Chancellor błędnie posługiwał się terminami technicznymi, niewłaściwie opisywał tryb działań operacyjnych, ale w gruncie rzeczy trafił w sedno i opisał autentyczne wydarzenia. - Właśnie dlatego, że się nie przejmował faktami.

Chancellor ma pomysł, określa sytuację wyjściową, dobiera fakty i tak je przetasowuje, by pasowały do rzeczywistości przez niego nakreślonej. Nie zajmuje się związkami przyczyn i skutków, on je po prostu tworzy. Powiedział pan, że przeraził masę ludzi w Langley. Chętnie w to wierzę, ma pokaźny krąg czytelników. I gruntownie gromadzi dokumentację. Gdyby tak stało się publiczną tajemnicą, że

przygotowuje książkę o Hooverze i jego ostatnich dniach...

- O jego teczkach - dodał Varak, nagle pochyliwszy się do przodu. - Użyć Chancellora jako ślepego. Powiedzieć mu, że tecki znikły. Gdy zacznie sondować sprawę, uruchomi system alarmowy, a nam pozostanie tylko czekać...

- Proszę pojechać do Nowego Jorku, panie Varak. Niech pan wykopie wszystko na jego temat. O jego otoczeniu, trybie życia, metodach pracy. Wszelkie aktualności. Chancellor ma manię konspiracji. Zaprogramujemy go na taką konspirację, że chęć jej rozszyfrowania stanie się celem jego życia.

ROZDZIAŁ 6

- Pan Peter Chancellor? - zapytał telefonista.

Peter wyciągnął rękę spod kołdry i starał się skupić wzrok na zegarku. Była już blisko dziesiąta, poranny wiatr, który wtargnął przez otwarte drzwi werandy, układał zasłony w wymyślne fałdy.

- Tak?

- Międzymiastowa z Nowego Jorku, dzwoni pan Anthony Morgan. Łączę.

W telefonie rozległ się trzask i brzęk. Po sekundzie ucichł. - Cześć! Pan Chancellor?

Ten głos poznałby wszędzie. Należał do sekretarki jego wydawcy. Jeśli nawet miewała złe dni, nie można było tego po niej poznać. - Witaj, Radie. Jak ci leci? - Chancellor miał przynajmniej nadzieję, że lepiej niż jemu.

- Świetnie. Jak tam w Kalifornii?

- Słonecznie, wilgotno, błyszcząco, zielono. Wybieraj, co wolisz. Dziewczyna zaśmiała się. Miała przyjemny śmiech.

- Nie obudziliśmy pana, mam nadzieję? Pan zawsze tak wcześnie wstaje.

- Nie, Radie, kąpałem się w morzu - skłamał Chancellor bez powodu. - Chwileczkę, łączę z panem Morganem. - Dał się słyszeć podwójny trzask.

- Hej, Peter?

- Jak się masz, Tony?

- Jezu, nie o mnie idzie, jak ty się czujesz? Marie mówiła, że dzwoniłeś zeszłej nocy.

Przykro mi, że nie było mnie w domu. Chancellor przypomniał sobie.

- Przepraszam. Byłem pijany.

- O tym nie wspominała, ale powiedziała, że byłeś wściekły jak wszyscy diabli.

- Byłem. Jestem. I byłem pijany. Przepraszam Marie ode mnie. - Nie ma potrzeby. To, co powiedziałeś, ją także rozeźliło. Przywitała mnie w drzwiach wykładem na temat moich powinności wobec autorów. No więc o co chodzi z tym „Przeciwuderzeniem!”?

Peter poprawił głowę na poduszce i odchrząknął. Starał się, by w jego głosie nie było słycać goryczy. - Wczoraj o czwartej trzydzieści goniec z wytwórni przyniósł mi ukończony pierwszy szkic scenariusza. Nie wiedziałem, że już jesteśmy na tym etapie.

- No i...?

- Postawiono go na głowie. Oznacza coś przeciwnego, niż ja napisałem. Morgan odczekał chwilę, po czym zapytał łagodnym głosem:

Zraniona ambicja, Peter?

- Wielki Boże, nie! Sam o tym wiesz. I nie twierdzą, że to jest źle napisane, w dużej części scenariusz jest po prostu świetny. Robi wrażenie. Ale czułbym się lepiej, gdyby nie robił. Bo to jest kłamstwo. - Josh powiedział mi, że nazwa instytucji została zmieniona... -

Wszystko zostało zmienione! - przerwał mu Chancellor, mrugając oczami z bólu wywołanego napływem krwi do głowy. - Wszyscy ludzie ze strony rządowej to anioły. Pozbawieni cienia nieczystych myśli! Wrednymi intrygantami są... „oni”. Tajemniczy zwolennicy gwałtów i rewolucji, mówiący - przysięgam! - „lekko europejskim akcentem”. Wszystko, co powiedziałem w książce, postawiono na głowie. W takim razie, po jakiego diabła oni ją kupili?

- Co mówi Josh?

- O ile pamiętam, a pamiętam bardzo niejasno, dostałem z nim połączenie około północy czasu tutejszego. Czyli chyba o trzeciej dzisiejszego ranka w Nowym Jorku.

- Nie wychodź z domu. Pogadam z Joshem. Jeden z nas oddzwoni do ciebie.

- Zgoda - Peter już chciał po raz ostatni złożyć na ręce Morgana przeprosiny dla jego żony, gdy zdał sobie sprawę, że wydawca jeszcze nie skończył. Była to jedna z tych chwil milczenia, które są bardziej wymowne od słów.

- Peter?

- Tak?

- Przypuśćmy, że Josh to załatwi. To znaczy sprawę twojej umowy z wytwórnią.

- Nie ma nic do załatwiania - przerwał Chancellor. - Oni mnie nie potrzebują ani nie chcą.

- Potrzebują twego nazwiska. Płacą za nie.

- Nie będą go mieli. W każdym razie nie w takim filmie. Mówię ci: to jest dokładne przeciwieństwo tego, co napisałem.

- Takie to dla ciebie ważne?

- Z punktu widzenia literackiego - ni cholery. Jako moja wypowiedź osobista - jak cholera. Nikt inny nie chciał tego powiedzieć. - No cóż, po prostu pytałem. Myślałem, że może chciałbyś zacząć książkę o Norymberdze.

Peter zagapił się w sufit.

- Jeszcze nie, Tony. Wkrótce, ale nie teraz. Porozmawiamy o tym później.

Odwiesił telefon, zapomniawszy o przeprosinach. zaczął się zastanawiać nad pytaniem Morgana i własną na nie odpowiedzią. Gdybyż tylko znikł ten ból! I odrętwienie. Jedno i drugie zmniejszyło się, ale nie znikło, i gdy odczuwał jedno albo oba, wspomnienia wracały.

Pryskające szkło, oślepiające światło, miazdżony metal. Krzyki. I jego nienawiść do człowieka na wysokim siedzeniu ciągnika, znikającego w burzy. Pozostawiającego za sobą jednego trupa i jednego prawie trupa. Chancellor wyciągnął bose stopy w stronę podłogi.

Stanął na niej nagi i zaczął się rozglądać za spodenkami kąpielowymi. Spóźnił się na swe poranne pływanie, ranek już dawno przemienił się w dzień. Poczuł niejasną winę, jakby złamał ważny rytuał. A co gorsza zrozumiał, że rytuały zastąpiły mu pracę.

Dostrzegł wreszcie spodenki przerzucone przez oparcie krzesła i ruszył w tym kierunku. Znowu zadzwonił telefon. Zmienił cel marszu i sięgnął do aparatu.

- Peter, tu Joshua. Przez całą godzinę rozmawiałem z Aaronem Sheffieldem.

- Jest górą. A przy okazji, przepraszam za zeszłą noc.

- To był dzisiejszy ranek - nie bez życzliwości poprawił agent. Nie przejmuj się. Byłeś przemęczony.

- Byłem pijany.

- To także. Wróćmy do Sheffielda.

- Przypuszczam, że musimy. Rozumiem z tego, że doszedł do ciebie sens mego nocnego gadania.

- Jestem pewien, że większość mieszkańców Malibu Beach może słowo w słowo powtórzyć najsmaczniejsze zdania z twej wypowiedzi. - Jakie zajął stanowisko? Bo ja się nie cofnę.

- Z prawnego punktu widzenia nic go to nie obchodzi. Nic mu nie możesz zrobić.

Zgodnie z umową scenariusz nie wymaga twojej akceptacji. - To zrozumiałem. Ale mogę mówić. Mogę dawać wywiady. Mogę zażądać usunięcia mego nazwiska z czołówki. Mogę nawet poprobować procesu o przywłaszczenie tytułu. Założę się, że sąd uzna moje argumenty. - Bardzo w to wątpię.

- Josh, został zmieniony cały sens książki!

- Sądy wezmą pod uwagę pieniądze, jakie ci zapłacono, i sprawa sensu nie robi na nich wrażenia.

Chancellor znów zamrugnął i przetarł oczy. Westchnął zmęczony. - O ile dobrze zrozumiałem, chcesz mi powiedzieć, że to w ogóle nie robi na nich wrażenia. Kropka. Nie jestem Sołżenicynem z jego syberyjskimi obrazami ani Dickensem, piszącym o dzieciach ginących w domach pracy przymusowej. No dobrze, to co mogę zrobić? - Mam wyłożyć kawę na ławę?

- Jeśli stawiasz takie pytanie, wiadomości nie są dobre.

- A jednak może z nich coś niecoś wyniknie.

- Teraz już wiem, że są przerażające. Strzelaj.

- Sheffield chce uniknąć sporu, wytwórnia również. Nie chcą, abyś udzielał na ten temat wywiadów, czy występował w telewizji. Wiedzą, że możesz to zrobić i chcą uniknąć kłopotów.

- Pojąłem. Dochodzimy do sedna sprawy: przychody brutto w kasach kin. Ich przedmiot dumy, ich dowód męskości.

Harris przez chwilę milczał. Gdy znów zabrał głos, przemówił łagodnie: - Peter, tego rodzaju spór nie wpłynie nawet na ułamek procenta wpływów kasowych. A jeśli już, to tylko je zwiększy.

- No więc, co to ich obchodzi?

- Oni naprawdę chcieliby uniknąć kłopotów.

- Przecież ich życie polega na permanentnym znajdowaniu się w kłopotach. Do tego stopnia, że nawet nie zdają sobie z nich sprawy. Nie wierzę w to uzasadnienie.

- Są gotowi zapłacić ci pełną sumę umowną, nawet usunąć twe nazwisko z czołówki, jeśli tego zażadasz, oczywiście bez zmiany tytułu, i dodatkowo wypłacą ci premię w wysokości połowy kwoty nabycia praw do sfilmowania książki.

- O rany... - Chancellora замуrowało. Kwota, do której odnosiła się wypowiedź

Harrisa, znajdowała się gdzieś w okolicy ćwierci miliona dolarów. - Za co?!

- Za to, żebyś się odczepił i nie zawracał im więcej głowy w związku z adaptacją.

Peter zagapił się na powiewające zasłony przy oszklonych drzwiach. Coś tu się nie zgadzało, gdzieś musiał tkwić błąd.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytał Harris.

- Chwileczkę. Powiedziałeś, że proces może tylko podnieść dochody. Pomimo to Sheffield gotów jest zapłacić ogromne pieniądze, by go uniknąć. Czyli stracić. To się nie trzyma kupy.

- Nie jestem jego psychoanalitykiem. Ja tylko usłyszałem szelest liczonych pieniędzy.

Może nie chce ryzykować, że mu urwiesz jaja. - Nie. Wierz mi, znam Sheffielda i jego metody. Jaja potrafi łatwo poświęcić. - Nagle Chancellor zrozumiał. - Josh, Sheffield ma współnika. I nie jest nim wytwórnia. Jest nim rząd. Waszyngton! To oni nie życzą sobie procesu. Cytując o wiele lepszego pisarza, niż ja będę kiedykolwiek, „nie są w stanie znieść światła dziennego”! Kurczę, to o to idzie!

- Owszem, to mi przychodziło na myśl.

- Powiedz Sheffieldowi, że może sobie swoją premię wsadzić. Nie jestem zainteresowany.

Agent znowu milczał chwilę.

- No to już ci powiem resztę. Sheffield zebrał oświadczenia z całego Los Angeles oraz okolicy. Nie wynika z nich nic przyjemnego. Zostałeś opisany jako wyuzdany alkoholik oraz coś w rodzaju niebezpieczeństwa publicznego.

- Brawo, Sheffield! Spór podnosi wpływy kasowe. Sprzedamy dwa razy tyle książek!

- Powiedział, że ma więcej materiałów - kontynuował Harris. Twierdzi, że jest w posiadaniu zaprzysiężonych zeznań kobiet, oskarżających cię o gwałty oraz pobicie. Ma też fotografie - policyjne fotografie - pokazujące skutki naruszania nietykalności cielesnej pokrzywdzonych. Jedna z nich przedstawia czternastoletniego chłopca. Sheffield ma przyjaciół, którzy przysięgną, że wyciągali ci z kieszeni narkotyki, gdy padałeś nieprzytomny w ich domach. Twierdzi też, że napadłeś na jego żonę, próbując ją zgwałcić. Nie chciałby tego wyciągać na widok publiczny, ale robi to, jeśli zostanie zmuszony. Mówi, że całymi tygodniami musieli zacierać ślady twoich wybryków. - To wszystko kłamstwa! Josh, to wariactwo! Nie ma w tym żdźbła prawdy!

- Niekoniecznie. Jest w tym jednak parę ziarenek prawdy. Nie mam na myśli gwałtów, bijatyk czy narkotyków; tego rodzaju oskarżenia łatwo się fabrykuje. Ale piłeś, nie odbierałeś telefonów i sprowadzałeś kobiety. Znam też żonę Sheffielda. Nie wykluczam, że z nią spałeś, choć jestem pewien, że to nie ty wystąpiłeś z inicjatywą.

Chancellor zwlókł się z łóżka. Kręciło mu się w głowie, skronie pulsowały bólem.

- Nie wiem, co powiedzieć! Nie wierzę w to wszystko!

- Ale ja wiem, co powiedzieć i wiem, w co wierzę - odrzekł Joshua Harris. - Tamta strona nie stosuje się w grze do jakichkolwiek prawideł. Siedzący na pluszowej kanapie Varak pochylił się i otworzył swą tekę na stoliku śniadaniowym. Wyciągnął dwie obwoluty z dokumentami i odsunął tekę na bok. Za oknami rozciągał się południowy rejon Central Parku.

Przez szyby wpadały promienie porannego słońca, wypełniając żółtawym światłem elegancki apartament hotelowy.

Człowiek siedzący przy stoliku naprzeciw wywiadowcy właśnie nalewał sobie filiżankę kawy ze stojącego na srebrnej tacy dzbanka. Był to Munro St. Claire.

- Naprawdę pan się nie napije? - spytał Bravo.

- Nie, dziękuję. Od rana wypilem już parę kubków. Przy sposobności chciałbym zaznaczyć, że wdzięczny jestem za pana przyłot. Oszczędził dużo czasu.

- Każdy mijający dzień to sprawa życia i śmierci - odrzekł St. Claire. - Każda godzina teczek w obcych rękach to dla nas zbyt wysoka cena. Co pan ma?

- Z grubsza wszystko, czego potrzebujemy. Moimi głównymi źródłami byli: wydawca Chancellora, Anthony Morgan, oraz jego agent literacki, człowiek o nazwisku Joshua Harris.

- I tak łatwo zgodzili się współpracować?

- Nie było to trudne. Przekonałem ich, że jest to standardowa procedura dla uzyskania przez Chancellora zezwolenia na dostęp do materiałów poufnych.

- Po co mu takie zezwolenie?

Varak wyjął pojedynczą kartkę z obwoluty leżącej po lewej stronie. - Przed swym wypadkiem zamówił w Drukarni Rządowej wydruki akt Trybunałów Norymberskich. Pisze powieść o tych procesach. Uważa, że w Norymberdze roiło się od ukartowanych rozpraw sądowych. Że tysiące nazistów zostało uwolnionych, z zezwoleniem na emigrację dokądkolwiek zechcą, i do tego, że przelewali ogromne sumy pieniędzy do miejsc przyszłego pobytu.

- Nie ma racji. To się zdarzało wyjątkowo, nigdy nie było zasadą rzekł Bravo.

- Niemniej jednak niektóre z tych protokołów są nadal utajnione. Chancellor nawet nie wie, że ich nie otrzymał. Ja dałem im do zrozumienia, że dostał całość materiałów i że moim zadaniem jest zwykłe rutynowe zbadanie zasadności jego prośby. Nic istotnego.

Powiedziałem też, że jestem jego wielbicielem i cieszę się, mogąc rozmawiać z ludźmi znającymi go osobiście.

- Czy już napisał tę książkę o Norymberdze?

- Nawet jej nie zaczął.

- Ciekawe dlaczego?

Varak odpowiedział przeglądając kolejną kartkę z akt.

- Zeszłej jesieni Chancellor cudem uniknął śmierci w wypadku samochodowym.

Według karty chorobowej jeszcze dziesięć minut krwotoku wewnętrznego oraz patogennej toksemii i byłby trupem. Kobieta, z którą jechał, została zabita. W szpitalu spędził pięć miesięcy. Poskładano go do kupy; oczekuje się, że odzyska osiemdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu procent zdrowia. Mowa o fizycznych skutkach wypadku Varak przerwał i odwrócił kartkę.

- Kim była ta kobieta? - cicho spytał Bravo.

Varak zajrzał do okładki po prawej stronie.

- Nazywała się Catherine Lowell, mieszkali razem od blisko roku i zamierzali się pobrać. Jechali do jego rodziców w północnozachodniej Pensylwanii. Jej śmierć była dla Chancellora strasliwym szokiem. Przez długi czas był w depresji. Wedle zgodnej opinii jego wydawcy i agenta miewa nawroty depresji do tej pory.

- Morgana i Harrisa - powtórzył Bravo pod nosem.

- Tak. Wylali siódme poty, by go z tego wyciągnąć. Najpierw z obrażeń fizycznych, później z depresji. Obaj przyznali, że w ostatnich miesiącach zdarzało im się myśleć, że się skończył jako pisarz. - Całkiem rozsądne przypuszczenie. Niczego przecież nie napisał. -

Jakoby robi to teraz. Bawi w Kalifornii jako współautor scenariusza „Przeciwuderzenia!”, chociaż nikt nie oczekuje po nim szczególnego wkładu pracy. Nie ma na tym polu doświadczenia.

- To w jakim celu go zaangażowano?

- Wedle Harrisa ze względu na nazwisko. Poza tym, wytwórnia będzie miała pierwszeństwo w nabyciu praw do sfilmowania jego następnej książki. To właśnie Harris w ten sposób ustawił kontrakt. - Co oznacza, że chciał świadomie wciągnąć w to Chancellora, widząc, że ten nic nie robi.

- Harris uważa, że Chancellorowi przeszkadzają w pracy wspomnienia oraz jego dom w Pensylwanii. Dlatego postanowił go wysłać do Kalifornii. - Varak przewrócił kilka stron. -

O, mam! Własne słowa Harrisa. Chciał, by jego klient „doświadczył całkowicie normalnego, gargantuańskiego nieumiarkowania, typowego dla osób czasowo zamieszkałych w Malibu”.

Bravo uśmiechnął się.

- I miało to pozytywny wpływ?

- Zrobił postępy. Niewielkie, ale wyraźne. - Varak podniósł wzrok znad papierów. - A to jest coś, na co nie możemy pozwolić. - Co pan ma na myśli?

- Chancellor będzie dla nas nieskończenie cenniejszy przy pogorszonym stanie psychicznym. - Wywiadowca pokazał obie teczki dokumentów. - Reszta tego tutaj dowodzi, że przed wypadkiem był całkiem normalny. Wszelkie uczucia nienawiści czy okrucieństwo przelewał na papier. Na jego życie codzienne wpływu to nie miało. Jeśli stanie się normalny jak przedtem, stanie się ostrożny, gdyż taki jest z natury.

Zacnie się wycofywać, kiedy dla nas nie będzie to dogodne. Chcę go utrzymywać w stanie niepokoju i niezrównoważenia.

St. Claire popijał kawę nie komentując tego, co usłyszał. - Proszę dalej. Jak wygląda jego życie codzienne?

- Niewiele jest do dodania. Ma mieszkanie w zamożnej kamienicy na Siedemdziesiątej Pierwszej Wschodniej. Wstaje wcześnie, z reguły przed świtem, i zasiada do pracy. Nie używa maszyny do pisania, pisze ręcznie w blokach, oddaje stronice do kserokopii, a następnie do biura maszynopisania w Greenwich Village. - Varak znów spojrzął w oczy dyplomacie. - To będzie dla nas korzystne, gdy już podejmie badania. Możemy przejmować oryginały i wykonywać kopie dla siebie. - A jeśli będzie pracował w Pensylwanii i odbierał

maszynopisy przez posłańca, samochodem?

- Wtedy będziemy je dostawać z biura w Village.

- Jasne. Słucham dalej.

- Spraw ważnych pozostało niewiele. Ma ulubione restauracje, gdzie go znają. Jeździł

na nartach, grał w tenisa. Być może obecnie nie będzie już do tego zdolny. Poza Morganem i Harrisem przyjaźni się przede wszystkim z innymi pisarzami i dziennikarzami oraz, co dziwniejsze, z paroma prawnikami w Nowym Jorku i Waszyngtonie. I to chyba wszystko -

Varak zamknął obwolutę po prawej stronie. - Teraz chciałbym coś jeszcze poruszyć.

- Co takiego?

- Przypuszczam, że będę w stanie zaprogramować Chancellora zgodnie z tym, co przedyskutowaliśmy. Ale potrzebuję poparcia. Będę występował jako Longworth, który jest na Hawajach i pozostaje w ukryciu. Jesteśmy wystarczająco do siebie podobni. Mamy nawet identyczną bliźnię, a przy tym jego stan służby w FBI zawsze można sprawdzić. Ale musimy mieć jeszcze przynętę, której Chancellor nie będzie miał siły wypuścić.

- Proszę wyjaśnić.

Varak zamilkł, by po chwili przemówić z wielkim przekonaniem: - Mamy zbrodnię, ale nie mamy spisku. Takiego, który moglibyśmy wskazać. Będzie musiał zdać się na własne domysły. Nic nie możemy mu w tym dopomóc. Gdybyśmy coś wiedzieli, nie byłby nam w ogóle potrzebny.

- Co pan proponuje? - spytał St. Claire, dostrzegłszy wahanie w oczach Varaka.

- Chcę wprowadzić do sprawy drugiego członka Inver Brass. W moim przekonaniu jedyne, prócz pana, który ma odpowiednią pozycję społeczną. Nazywacie go Wenecją.

Sędzia Daniel Sutherland. Chciałbym zostać upoważniony do skierowania do niego Chancellora.

Dyplomata milczał przez dłuższy czas.

- Aby nadać wagę temu, co pan powie Chancellowi? Przez niepodważalne potwierdzenie?

- Tak. Dla potwierdzenia opowiadania o brakujących teczkach. To wszystko, czego potrzebuję. Zdanie Sutherlanda będzie przynętą, którą Chancellor musi połknąć.

- To niebezpieczne - odrzekł spokojnie Bravo. - Członek Inver Brass nigdy nie powinien występować jawnie przy jakiegokolwiek strategii. - Chwila tego wymaga. Pana wykluczyłem z powodu poprzedniej pana znajomości z Chancellorem.

- Rozumiem. Zbieg okoliczności może być zbyt rażący. Porozmawiam z Wenecją... A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym powrócić do czegoś, co powiedział pan wcześniej - do stanu psychicznego Chancellora. Jeśli właściwie pana zrozumiałem...

- Właściwie - przerwał mu spokojnie Varak. - Nie można pozwolić, by Chancellor wyzdrowiał. Nie możemy mu pozwolić, by jak dawniej był człowiekiem zachowującym się racjonalnie. Musi zwracać uwagę na siebie i na swoje badania. Jeśli pozostanie niezrównoważony, zacznie stanowić groźbę. A jeśli groźba będzie zbyt wielka, ten, kto ma teczki, będzie zmuszony go wyeliminować. A gdy to zrobi - lub zrobią - my tam będziemy.

Bravo wyprostował się, nagle zaniepokojony.

- Obawiam się, że to wykracza poza granice, jakie ustaliliśmy. - Nie wiadomo mi, abyśmy jakiegokolwiek ustalali.

- One istniały zawsze. I one ograniczają nasze posługiwanie się Peterem Chancellorem. Narażenie jego życia wykracza poza nie. - Kładę pod rozwagę okoliczność, że jest to logiczne rozwinięcie „naszej strategii. Mówiąc otwarcie, bez wprowadzenia tego czynnika strategia okaże się bezskuteczna. Uważam, że chętnie oddamy życie Petera Chancellora za teczki. A pan?

St. Claire nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ 7

Chancellor stał przy drzwiach na werandę, skąd mógł widzieć plażę. Ponownie uchylił

zasłony. Blondyn był tam nadal. Od ponad godziny chodził tam i z powrotem w gorącym, popołudniowym słońcu, z pantoflami zapadającymi się w rozgrzanym piasku, koszulą rozpiętą pod szyją, a marynarką przerzuconą przez ramię.

Przemierzał odległy o pięćdziesiąt jardów krótki odcinek plaży pomiędzy sekwojową werandą i wodą, spoglądając co chwila na dom Petera. Był średniego wzrostu, może odrobinę niższy niż sześć stóp, i nader muskularny. Na grubych, silnych ramionach, tkaninę koszuli miał mocno napiętą.

Chancellor ujrzał go po raz pierwszy około południa. Wtedy człowiek stał bez ruchu na piasku, wpatrzony w sekwojową werandę, a w rzeczywistości - Peter był tego pewien - w niego.

Było to już nie tylko niepokojące, zaczynało irytować. Początkowo Chancellor pomyślał, że to Aaron Sheffield najął psa łańcuchowego, by go pilnował. W tej chwili w

„Przeciwuderzenie!” zainwestowana była masa pieniędzy. A okoliczności, w których zaproponowano jeszcze więcej, dawały wiele do myślenia.

Peter nie lubił psów łańcuchowych. Nie tego rodzaju. Odciągnął zasłony, otworzył

szeroko drzwi i wyszedł na werandę. Człowiek przerwał spacer i stał nieruchomo na piasku.

Popatrzyli na siebie. Peter nie miał już wątpliwości. Człowiek był tutaj z jego powodu, na niego czekał. Gniew zastąpił irytację Petera. Po schodkach zszedł na plażę. Człowiek pozostał na miejscu, nie próbując się zbliżyć.

„Cholera ci w bok” - pomyślał Chancellor. W tej części Malibu, pełnej prywatnych posiadłości, nie spotykało się wielu ludzi. Lecz jeśliby ktokolwiek przyglądał się teraz tej scenie, widok nagiego do pasa mężczyzny odzianego jedynie w domowe spodnie, który kulejąc zbliżał się do postaci w pełni ubranej, musiałby wydać mu się dziwaczny. Wszystko to było bowiem dziwaczne; jasnowłosy nieznajomy wydawał się dziwnym człowiekiem. Był

sympatyczny, miał twarz o wyrazistych rysach, nawet dość łagodną. Ale równocześnie było w nim coś groźnego. Podchodząc bliżej Chancellor zrozumiał dlaczego: jego wzrok zdradzał

niezwykłe napięcie. To nie były oczy podrzędnego pieska, wynajętego przez zaniepokojonego producenta filmowego.

- Jest bardzo gorąco - zaczął bez ogródek Peter. - Muszę więc zadawać sobie pytanie, czemu chodzi pan tu w kółko w tym upale. Szczególnie, że co chwila spogląda pan na mój dom.

- Na dom przez pana wynajęty, panie Chancellor.

- Wobec tego sądzę, że powinien pan się wytłumaczyć - odrzekł Peter - tym bardziej że zna pan moje nazwisko i jak widać warunki, na jakich tu przebywam. Ale nie wynajęli pana ci, którzy tu płacą komorne? - Nie.

- Jeden zero dla mnie. Tak właśnie sądziłem. Teraz ma pan do wyboru. Albo zaspokoi pan moją ciekawość, albo wezwę policję. - Chcę, żeby pan zrobił coś więcej. Ma pan kontakty w Waszyngtonie. Chcę, aby zadzwonił pan do jednego z tych ludzi i sprawdził moje nazwisko w dziale kadr Federalnego Biura Śledczego.

- Gdzie? - Petera zamurowało. Człowiek wypowiedział to bardzo spokojnie, ale w jego tonie brzmiało usilne naleganie.

- Jestem na emeryturze - dodał mężczyzna pośpiesznie. - Nie reprezentuję tutaj nic oficjalnego. Jednak moje nazwisko figuruje w aktach personalnych Biura. Proszę to sprawdzić.

- Po co miałbym to robić? - zaniepokoił się Chancellor.

- Czytałem pana książki.

- Pańska sprawa, nie moja. To żaden powód.

- Sądzę, że jest. Dlatego zadałem sobie wiele trudu, by pana odnaleźć. - Mężczyzna zawahał się, niepewny, jak kontynuować rozmowę. - I co dalej?

- W każdej książce dowodzi pan, że pewne wydarzenia nie przebiegały w taki sposób, jak powszechnie sądzono. Niecały rok temu miały miejsce wydarzenia, należące do tej kategorii.

- Jakie?

- Umarł człowiek. Bardzo potężny człowiek. Podano, że z przyczyn naturalnych. To nieprawda. Został zamordowany.

Peter wpatrzył się w nieznanego.

- Niech pan idzie na policję.

- Nie mogę. Jeśli pan mnie sprawdzi, to pan zrozumie.

- Jestem literatem. Piszę powieści. Czemu przyszedł pan z tym do mnie?

82

- Już panu powiedziałem. Czytałem pańskie książki. Mam wrażenie, że jedyną możliwością opowiedzenia o tej sprawie jest książka. Taka, jakie pan pisuje.

- Powieść - Peter nie wypowiedział tego w formie pytania. - Fikcja literacka - znowu stwierdzenie.

- Tak.

- Ale pan mówi, że to nie jest fikcja. Twierdzi pan, że to fakt. - O tym jestem przekonany. Ale nie sądzę, bym mógł tego dowieść. - I nie może pan pójść na policję.

- Nie.

- To niech się pan zgłosi do prasy. Znajdzie wścibskiego reportera. Są ich tuziny, i to dobrych.

- Żadna gazeta nie dotknie tego czubkiem palca. Może mi pan wierzyć na słowo.

- To po jakiego diabła ja miałbym to robić?

- Być może zechce pan, po sprawdzeniu, kim jestem. Nazywam się Alan Longworth.

Przez dwadzieścia lat byłem specjalnym agentem FBI. Pięć miesięcy temu odszedłem na emeryturę. Moje biuro terenowe obejmowało San Diego... i teren na północ stamtąd. Obecnie mieszkam na Hawajach. Na wyspie Maui.

- Longworth? Alan Longworth? Czy mogę skądś znać pana nazwisko?

- Absolutnie nieprawdopodobne. Proszę mnie sprawdzić. To wszystko, o co proszę.

- Załóżmy, że to zrobię, co dalej?

- Przyjdę do pana jutro rano. Jeśli będzie chciał pan ze mną dalej rozmawiać, to dobrze. Jeśli nie, wyniosę się. - Blondyn ponownie się zawahał. Przemówił wreszcie cichym głosem, z widocznym napięciem w oczach. - Odbyłem długą podróż, by pana odnaleźć.

Podjąłem ryzyko, do którego nikt mnie nie zmuszał. Złamałem umowę, za co mogę zapłacić życiem. Muszę więc poprosić pana jeszcze o jedno. I chcę, żeby dał mi pan na to słowo.

- A jeśli nie?

- To proszę mnie nie sprawdzać. Proszę nie robić nic, zapomnieć, że tu byłem, zapomnieć, że rozmawialiśmy.

- Ale pan tu jest. I rozmawialiśmy. Trochę za późno, by stawiać warunki.

Longworth przez chwilę milczał.

- Czy bał się pan kiedyś? - spytał. - Nie, nie sądzę. W każdym razie nie w ten sposób.

To dziwne, przecież pan pisze o strachu i wydaje się go rozumieć.

- Nie wygląda pan na bojaźliwego.

- Myślę, że nie jestem. Mój przebieg służby w Biurze może to nawet potwierdzić.

- Więc jak brzmi ten warunek?

- Proszę o mnie zapytać. Proszę znaleźć wszystko, co pan zdoła, i mówić, cokolwiek pan zechce. Z jednym wyjątkiem: proszę nie wspominać o naszym spotkaniu i nie powtarzać tego, co panu powiedziałem.

- Pomyłony pomysł. Co zatem mogę powiedzieć?

- Jestem pewien, że coś pan wymyśli. Przecież jest pan literatem. - Co nie oznacza, że zręcznym kłamcą.

- Pan dużo podróżuje. Może pan powiedzieć, że słyszał pan o mnie na Hawajach.

Proszę.

Peter zadreptał na miejscu w gorącym piasku. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, by odwrócić się plecami od tego człowieka: w jego opanowanej, napiętej twarzy i zbyt bystrych oczach było coś niezdrowego. Ale instynkt pisarza nie pozwalał, by zdrowy rozsądek wziął

górze. - Jak się nazywa ten zmarły? Ten, którego pan nazwał zamordowanym?

- Teraz tego panu nie powiem. Zrobię to jutro, jeśli będzie pan jeszcze chciał ze mną gadać.

- Czemu nie teraz?

- Jest pan znanym pisarzem. Jestem pewien, że wielu ludzi przychodzi do pana opowiadając zwariowane historie. Zapewne postępuje pan z nimi tak, jak należy: szybko odsyła ich pan w diabły. A ja nie chcę, by mnie pan odesłał. Chcę pana przekonać, że naprawdę jestem kimś, i to rozsądnym.

Peter słuchał uważnie. Słowa Longwortha brzmiały dorzecznie. Przez trzy lata, jakie upłynęły od ukazania się „Reichstagu!”, różni ludzie odciągali go do kąta na przyjęciach albo przysiadali się w restauracjach, by donieść mu o straszliwych tajemnicach, jakoby niezbędnych mu do życia. Świat roił się od spisków. Oraz domniemanych spiskowców. - W

porządku - powiedział Chancellor. - Nazywa się pan Alan Longworth, pracował pan dwadzieścia lat jako specjalny agent; odszedł pan na emeryturę pięć miesięcy temu i mieszka pan na Hawajach. - Na Maui.

- To będzie figurowało w pana teczce.

Na słowo „teczka” Longworth cofnął się o krok.

- Tak, będzie. W mojej teczce.

- Przecież każdy może zapoznać się z zawartością określonej teczki. Proszę udowodnić swoją tożsamość.

Zastanawiałem się, czy pan tego zażąda.

84

- Staram się, by moje książki były przekonujące. Są oparte na logice, rozwijającej się krok po kroku, bez pustych miejsc. Pan chce mnie przekonać. Więc proszę wypełnić to miejsce.

Longworth przerzucił marynarkę z prawego ramienia na lewe, prawą ręką rozpiął

guziki koszuli i rozchylił ją. Przez pierś biegła, opadając głęboko poniżej pasa, paskudna, zakrzywiona blizna.

- Nie sądzę, by pan był bardziej oszpecony.

Te słowa wywołały u Petera nagły przypływ złości. Dalsze wypytywanie nie miało sensu. Jeśli Longworth był tym, za kogo się podawał, miał dość czasu, by zebrać wszystkie dane. Bez wątpienia znaczna ich część dotyczyła życiorysu Petera Chancellora.

- O której będzie pan rano?

- A która godzina będzie dla pana dogodna?

- Wstaję wcześnie.

- Przyjdę wcześnie.

- Ósma rano.

- Przyjdę o ósmej. - Longworth odwrócił się na pięcie i odszedł po plaży.

Peter stał nieruchomo, patrząc w ślad za nim. Zdał sobie też sprawę, że noga przestała go boleć. Bolała przez cały dzień, a teraz przestała. Zatelefonuje do Nowego Jorku do Joshuy Harrisa. W tej chwili na Wschodnim Wybrzeżu jest około czwartej trzydzieści rano, ma więc jeszcze czas. W Waszyngtonie mieszkał ich wspólny przyjaciel, prawnik, który mógł zebrać informacje o Alanie Longworcie. Josh kiedyś zażartował, że adwokat powinien zażądać tantiem od „Przeciwuderzenia!”, tak bardzo bowiem był pomocny przy zbieraniu dokumentacji do książki. Wchodząc po schodkach na werandę Peter zorientował się, że się spieszy. Zrobiło to na nim dziwnie przyjemne wrażenie, choć nie wiedział, co je naprawdę wywołało.

Mniej niż przed rokiem coś się wydarzyło... Umarł człowiek. Człowiek bardzo potężny. Podano, że

zmarł z przyczyn naturalnych. Tak nie było. Został zamordowany...

Peter przebiegł przez werandę do szklanych drzwi i do znajdującego się za nimi telefonu.

Poranne niebo było burzliwe. Czarne chmury zwisały nad oceanem, deszcz mógł

padać lada chwila. Chancellor ubrał się odpowiednio a był ubrany już od godziny - w spodnie khaki i nylonową kurtkę. Była siódma czterdzieści pięć - dziesiąta czterdzieści pięć w Nowym Jorku. Joshua obiecał zadzwonić o wpół do ósmej - wpół do jedenastej na wschodzie.

Dlaczego się spóźniał? Longworth miał przyjść o ósmej.

Peter nalał sobie filiżankę kawy, już piątą tego ranka.

Telefon zadzwonił.

- Masz dziwne zainteresowania, Peter - odezwał się Harris z Nowego Jorku.

- Dlaczego tak uważasz?

- Według naszego przyjaciela z Waszyngtonu ten Alan Longworth zrobił coś, czego nikt się po nim nie spodziewał. Odszedł ze służby w niewłaściwym czasie.

- Czy odpracował dwadzieścia lat?

- Dokładnie. I ani minuty dłużej.

- To wystarczy do emerytury, prawda?

- Oczywiście, jeśli bierzesz przy tym drugą pensję. Jemu to się nie zdarzyło, ale nie w tym rzecz.

- A w czym?

- Longworth ma fantastyczną opinię służbową. A co znacznie ważniejsze, swego czasu sam Hoover przewidział go do wysokiego awansu. Dyrektor osobiście wkleił odręcznie napisaną rekomendację do jego akt. Można się było spodziewać, że zostanie w służbie. - Ale z drugiej strony z taką opinią może dostać fantastyczną posadę poza Biurem. Masa ludzi z FBI tak robi. Może on dla kogoś pracuje bez wiedzy Biura.

- Nieprawdopodobne. FBI stale zbiera informacje o swych emerytowanych agentach.

A gdyby nawet tak było, czemu mieszkaliby na Maui? Nie ma tam wiele do roboty. W

każdym razie w aktach nie ma wzmianki, by ktoś go zatrudniał. On nie robi nic.

Peter popatrzył przez okno; z ciemnego nieba zaczął padać deszcz. - A czy inne dane się zgadzają?

- Tak - odrzekł Harris. - Swoje biuro terenowe miał w San Diego. Wygląda na to, że był osobistym łącznikiem Hoovera z La Jolla. - La Jolla? Co to znaczy?

- To nazwa jego ulubionego ustronia. Longworth odpowiadał za tamtejszy system łączności.

- A co na temat blizny?

- Jest wymieniona wśród znaków szczególnych, ale nie ma nic bliższego na jej temat. I tutaj dochodzimy do najdziwniejszej części teczki. Brak jego dwóch ostatnich świadectw lekarskich, dwóch dorocznych wyników badań. To się normalnie nie zdarza.

- Niewiele tego. Wszystko jakieś nie dokończone - głośno zastanawiał się Peter.

- Właśnie - zgodził się Joshua.

- Kiedy złożył dymisję?

- W marcu. Drugiego marca.

Chancellor nagle przerwał zaskoczony tą datą. Przez ostatnie kilka lat daty nabrały dla niego szczególnego znaczenia. Sam siebie pilnował, by zawsze zwracać uwagę na ich zbieżność lub rozbieżność. O co tym razem chodziło? Czemu ta data go zaniepokoiła?

Przez kuchenne okno ujrzał Alana Longwortha, jak w deszczu podąża przez plażę w stronę jego domu. Z jakiejś przyczyny ten widok skojarzył mu się z innym: siebie samego, na piasku w pełnym słońcu. Z gazetą. Drugiego maja. J. Edgar Hoover zmarł drugiego maja.

Umarł człowiek. Człowiek bardzo potężny. Podano, że zmarł z przyczyn naturalnych.

Tak nie było. Został zamordowany...

- Jezu Chryste - bardzo spokojnie powiedział Peter do telefonu. Wśród padającej mżawki spacerowali wzdłuż plaży, tuż przy linii wody. Longworth nie chciał mówić w domu ani nigdzie tam, gdzie mógłby zostać założony podsłuch elektroniczny. Na to miał zbyt wiele doświadczenia.

- Czy pan mnie sprawdził? - spytał blondyn.

- Wiedział pan, że tak zrobię - odpowiedział Peter. - Właśnie odłożyłem słuchawkę.

- I jest pan zadowolony?

- Z tego, że jest pan tym, za kogo się podaje, tak. Że ma pan pochlebną opinię służbową, że pana umiejętności zostały osobiście docenione przez samego Hoovera i że odszedł pan na emeryturę pięć miesięcy temu - z prawdziwości tego wszystkiego także.

- Nie wspominałem o aprobacie. Hoovera.

- Ale to jest w aktach.

- Oczywiście jest. Pracowałem bezpośrednio dla niego.

- Tak jak pan wspomniał, był pan przydzielony do oddziału w San Diego. Był pan łącznikiem z La Jolla.

Longworth uśmiechnął się ponuro, bez cienia radości.

- Spędzałem więcej czasu w Waszyngtonie niż kiedykolwiek w San Diego czy w La Jolla. Tego pan w moich aktach personalnych nie znajdzie. - Dlaczego?

- Bo dyrektor nie chciał, by o tym wiadano.

- Jeszcze raz: dlaczego?

- Powiedziałem panu. Pracowałem dla niego. Bezpośrednio.

- W jakim zakresie?

- Nad jego teczkami. Jego osobistymi teczkami. Byłem łącznikiem. La Jolla znaczyło o wiele więcej niż nazwa wioski nad Pacyfikiem. - To dla mnie zbyt tajemnicze.

Blondyn zamilkł na chwilę.

- I tak już pozostanie. Ode mnie niczego więcej pan się nie dowie. - Zrobił się pan arogancki. Skąd pewność, że w ogóle będę się dowiadywał?

- Bo nie może pan zrozumieć, czemu poprosiłem o dymisję. Nikt nie mógł, to się kupy nie trzymało. Mam najniższą możliwą pensję bez dodatkowych dochodów. Gdybym pozostał

w Biurze, mógłbym zostać pomocnikiem dyrektora, może nawet jednym z wicedyrektorów.

Longworth znów ruszył przed siebie. Peter dotrzymywał mu kroku, nadal nie odczuwając najmniejszego bólu w nodze.

- No więc dobrze, dlaczego pan zrezygnował? Dlaczego pan nie ma pracy?

- Cała rzecz w tym, że nie zrezygnowałem. Zostałem przeniesiony na inne stanowisko rządowe i dano mi pewne gwarancje. Moim oficjalnym pracodawcą - ale śladu tego nie znajdzie pan w żadnych aktach - jest Departament Stanu. Tajna Służba, Obszar Operacyjny Pacyfiku. Sześć tysięcy mil od Waszyngtonu. Gdybym pozostał w Waszyngtonie, zamordowano by mnie.

- Dobra, chwileczkę - przerwał mu Chancellor. - Doskonale wiem, do jakiego cholerstwa pan zmierza i już z góry mam dość tych bzdur. Chce pan mi dać do zrozumienia, że J. Edgar Hoover został zamordowany. On jest tym „potężnym człowiekiem”, o którym pan wspominał.

- A więc złożył pan to do kupy - odrzekł agent.

- Wniosek nasuwa się sam, ale ja w to nie wierzę nawet przez chwilę. To śmiechu warte.

- Nie twierdziłem, że mogę to udowodnić.

- Mam nadzieję, że nie. To niedorzeczne. Hoover był starym, chorym na serce człowiekiem.

- Być może. A być może nie. Nie spotkałem nikogo, kto kiedykolwiek widziałby jego świadectwa lekarskie. Oryginały wysyłano mu do rąk własnych, sporządzanie kopii nie było dozwolone. Miał swoje sposoby, by wymusić respektowanie tych żądań. Po jego śmierci zaś nie zezwolono na autopsję.

- Przekroczył siedemdziesiątkę - Peter potrząsnął głową z niesmakiem. - Ma pan chorą wyobraźnię.

- Czy nie na tym opierają się powieści? Czyż nie zaczyna pan od pomysłu? Od idei?

- Przyznaję. Ale to, co piszę, musi być przynajmniej prawdopodobne. Musi zawierać jakąś podstawową prawdę albo przynajmniej jej pozory. - Jeśli przez prawdę rozumie pan fakty, to jest ich cały szereg. - Proszę je wymienić.

- Pierwszym jestem ja sam. W marcu nawiązała ze mną kontakt 88 grupa ludzi, którzy nie chcieli zostać ujawnieni, ale byli dość wpływowi, by uruchomić najwyższe, najtajniejsze kółka w Departamencie Stanu i uzyskać moje przeniesienie służbowe, na które Hoover nigdy by się nie zgodził. Nawet ja nie wiem, jak to osiągnęli. Zaniepokoiły ich pewne informacje, które Hoover zgromadził. Dossiers dotyczące kilku tysięcy osób.

- Czy ci kontaktujący się byli tymi samymi, którzy udzielili panu gwarancji? Za oddane usługi, których nie chce pan wymienić? - Tak. Przypuszczam... nie mam tu pewności... ale sądzę, że znam nazwisko jednego z nich. Zgadzam się je panu ujawnić. -

Longworth przerwał. Znowu, podobnie jak wczoraj, poczuł się niepewnie. Znow w jego wzroku pojawiło się napięcie.

- Proszę mówić dalej - rzucił niecierpliwie Chancellor.

- Czy daje pan słowo, że nigdy nie wymieni mu pan mojego nazwiska?

- Do jasnej cholery, tak! A uczciwie mówiąc, odnoszę wrażenie, że za parę minut powiemy sobie do widzenia, a ja od tej pory nawet nie pomyślę o panu.

- Czy słyszał pan kiedykolwiek o Danielu Sutherlandzie?

Wyraz zdumienia na twarzy Petera mówił sam za siebie. Daniel Sutherland był

gigantem, zarówno w sensie dosłownym, jak przenośnym. Ogromny czarny człowiek, którego niezwykle osiągnięcia pasowały do jego olbrzymiego wzrostu. Człowiek, który wydobywszy się z dna nędzy w rodzinnej Alabamie, wspiął się na najwyższe szczeble sądownictwa krajowego. Dwukrotnie odmawiał prezydentom przyjęcia nominacji na sędziego Sądu Najwyższego, chcąc pozostać w bliższych życia kręgach służby sprawiedliwości.

- Ten sędzia?

- Tak.

- Oczywiście. Któż go nie zna? A czemu pan myśli, że należy on do grupy, która się z panem skontaktowała?

- Widziałem jego nazwisko w dekretach pewnego, dotyczącego mnie dokumentu w Departamencie Stanu. Miałem o tym nie wiedzieć, ale zobaczyłem. Niech pan do niego pójdzie. Niech pan zapyta, czy nie istniała grupa ludzi, zaniepokojona działalnością Hoovera przez dwa ostatnie lata jego życia.

Propozycja była nie do odrzucenia. Sutherland był legendarną postacią. W tym momencie Peter zaczął o Alanie Longworcie myśleć o wiele poważniej niż jeszcze przed kilkoma sekundami.

- Być może to zrobię. Jakie są pozostałe fakty?

- Tak naprawdę liczy się tylko ten jeden. Reszta spraw w porównaniu z tym to drobiazgi. Może z wyjątkiem jeszcze jednego człowieka. Generała nazwiskiem MacAndrew.

Generał Bruce MacAndrew.

- Kto to taki?

- Do niedawna bardzo wysoko postawiony człowiek w Pentagonie. Wszystko samo szło mu w ręce; gdyby kiwnął palcem, zostałby przewodniczącym Połączonych Szefów Sztabów. I nagle, bez żadnego wyraźnego powodu, odrzucił wszystko. Mundur, karierę, Połączonych Szefów, wszystko.

- W jakimś sensie podobnie jak pan - zaryzykował uwagę Chancellor. - Może na znacznie większą skalę.

- Zupełnie niepodobnie do mnie odrzekł Longworth. Mam informacje o MacAndrewie. Powiedzmy, że w związku z oddanymi usługami. Dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata temu coś mu się przydarzyło. Na pozór nikt nie wie co, jeśli zaś wie, to milczy. Ale wydarzenie było na tyle poważne, że usunięto o tym wzmianki z jego stanu służby. Osiem miesięcy w 1950 lub 1951 roku, tyle tylko pamiętam. Może to być związane z tym jednym, nadrzędnym faktem - pańskim podstawowym faktem,

Chancellor - i to powoduje, że skóra cierpnie mi na grzbiecie.

- Co to takiego?

- Prywatne teczki Hoovera. MacAndrew mógł się w nich znajdować. Ponad trzy tysiące dossiers, przekrój całego kraju. Rząd, przemysł, uniwersytety, wojskowi; od najwyższego do niższych rangą. Może na ten temat inni powiedzą panu coś innego, ale ja mówię prawdę. Te teczki znikły, Chancellor. Od śmierci Hoovera nie znaleziono po nich śladu. Ktoś je ma, a teraz ten ktoś robi z nich użytek.

Peter wpatrzył się w Longwortha.

- Teczki Hoovera? To stek bzdur.

- Niech pan się nad tym zastanowi. Ja mam teorię. Kto ma te teczki, ten, by je zdobyć, zabił Hoovera. Mnie pan sprawdził, a ja panu dałem dwa dalsze nazwiska. Nie obchodzi mnie, co pan powie MacAndrew, ale dał pan słowo, że nie powie o mnie sędziemu. Ja niczego od pana nie chcę. Chcę tylko, żeby pan to sobie przemyślał, i koniec. Przemyślał

możliwości.

Bez gestu czy skinienia głowy, bez żadnego pożegnalnego znaku Longworth odwrócił

się i tak jak wczoraj poszedł przed siebie wzdłuż plaży. Peter stał odurzony w mżącym deszczu, patrząc, jak emerytowany agent FBI rzucił się biegiem w stronę szosy.

ROZDZIAŁ 8

Chancellor stał przy barze w restauracji na Pięćdziesiątej Szóstej Wschodniej.

Dokładano starań, by wyglądało tu jak w londyńskiej garkuchni, a Peterowi to się podobało.

Stwarzało atmosferę dla długich lunchów, połączonych z hałaśliwymi rozmowami.

Telefował do Tony'ego Morgana i Joshuy Harrisa, zapraszając ich tutaj na spotkanie. Następnie wsiadł do popołudniowego samolotu w Los Angeles. Po raz pierwszy od miesiący spał we własnym apartamencie i spał zdrowo. Powinien był tu powrócić o wiele wcześniej. Jego fałszywy kalifornijski azyl okazał się prawdziwym więzieniem. A teraz zdarzyło się właśnie to. Coś pękło w jego głowie, rozpadła się jakaś zaporą, uwalniając nagromadzoną energię. Peter nie miał pojęcia, czy w tym wszystkim, co mu nagadał

Longworth, jest choć odrobina sensu. Nie, to pachniało obłędem! Dopuszczenie myśli o możliwości popełnienia takiego morderstwa samo w sobie już wykraczało poza granice zdrowego umysłu. Ale jako założenie było fascynujące. A każda powieść poczyna się od założenia. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkał się z tak nęcącymi perspektywami. Czy tak niezwykle człowiek jak Sutherland będzie gotów potwierdzić istnienie choćby najmniejszego prawdopodobieństwa, że Hoovera zabito? Czy dawno usunięty dokument z przebiegu służby generała nazwiskiem MacAndrew był w jakiś sposób

powiązany ze sprawą? Spojrzenie Petera przyciągnął nagły błysk światła za wychodzącymi na ulicę oknami. Uśmiechnął się ujrawszy, jak Anthony Morgan i Joshua Harris zdążają razem w stronę wejścia. Klócili się, ale tylko ludzie dobrze ich znający mogli to zauważyć. Dla przypadkowego obserwatora wyglądali na dwóch spokojnie rozmawiających panów, nie zwracających szczególnej uwagi na otoczenie, a niewykluczone, że i na siebie wzajemnie. Tony Morgan był ucieleśnieniem ideału absolwenta ekskluzywnego uniwersytetu, który obrał karierę nowojorskiego wydawcy.

Był wysoki i szczupły, z ramionami lekko pochylonymi od wieloletniego udawania, że interesują go opinie wyrażane przez niższych śmiertelników. Twarz miał pociągłą, rysy wyraziste, wyraz piwnych oczu z lekka nieobecny, choć nigdy pusty. Jego mundur stanowił

jednorzędowy garnitur marengo lub angielskiego kroju tweedowa marynarka, z nieodstępnymi szarymi flanelowymi spodniami. On i firma krawiecka Brooks Brothers szli ramię w ramię przez większą część jego czterdziestojednoletniego życia i żadna ze stron nie widziała powodu, aby to zmieniać.

Ale ani postawa, ani sposób ubierania się nie oddawały żywej istoty osobowości Anthony'ego Morgana. Ta bowiem wyrażała się wybuchami entuzjazmu i wychwalaniem w porywających słowach książek jeszcze nie ukończonych przez autorów albo wreszcie odkrywaniem nowych, fascynujących talentów. Morgan był niezwykle bystrym redaktorem i wydawcą doskonałym.

O ile Morgan był przedstawicielem gatunku wyhodowanego w klasztorach murach uniwersytetu Nowej Anglii, to Joshua Harris chyba spłynął przez otchłań czasu na bruk nowojorski z jakiegoś wykwintego osiemnastowiecznego dworu królewskiego. Mimo obfitej talii, Harris trzymał się prosto, a postawę miał majestatyczną. Jego wielkie ciało poruszało się z gracją, każdy krok stawiał z rozważą, jakby brał właśnie udział w królewskiej procesji.

Także i on ledwie przekroczył czterdziestkę. Rozpoznanie jego wieku nieco utrudniała czarna broda w kształcie podkowy, która nadawała wyraz nieco ponury jego poza tym miłej twarzy.

Peter wiedział, że w Nowym Jorku są tuziny wydawców i agentów literackich o takiej samej, może nawet lepszej pozycji. Zdawał też sobie sprawę, że ani Morgan, ani Harris nie są powszechnie lubiani. Słyszał, jak ich krytykowano: Tony'ego za arogancję, a nieraz za źle skierowany entuzjazm; Joshuę zaś za upodobanie do nieprzyjemnych sporów, często wynikających z niesłusznie stawianych zarzutów o niedotrzymanie warunków umowy. Ale te skazy na ich reputacji nie miały w oczach Chancellora żadnego znaczenia. Dla niego ci ludzie byli najlepsi. Bo ich obchodził. Peter uregulował należność w barze i skierował się do foyer.

Josh wszedł frontowymi drzwiami powstrzymywany przez Tony'ego, który we właściwy sobie sposób pozwolił się wyprzedzić przepychającej się parce. Przywitali Chancellora tonem zbyt swobodnym i zbyt głośno. Dostrzegł w ich oczach niepokój. Spoglądali na niego tak wyczekująco, jak się patrzy na brata, który zdradza lekkie pomieszanie zmysłów. Zajęli swój zwykły stolik. W kącie, nieco oddalony od innych. Zamówili te same co zwykle napoje i Chancellora tak rozbawiło, jak i zirytowało, kiedy zauważył, że Josh i Tony uważnie mu się przyglądają, gdy podano whisky.

- Odwołajcie alarm, obiecuję nie tańczyć na stole.

- Naprawdę, Peter... - zaczął Morgan.

- Ależ doprawdy... - uzupełnił Harris.

Obchodził ich. To było ważne. Minęła chwila i uznano, że to, o czym nie mówili, jest już załatwione. Ale był też interes do omówienia i Chancellor rozpoczął.

- Spotkałem człowieka. Nie pytajcie kogo, bo nie powiem. Powiedzmy, że spotkałem go na plaży, a on opowiedział mi w ogólnym zarysie historię, w którą nawet przez minutę nie uwierzyłem, ale która, jak sądzę, może stać się podstawą do piekielnie interesującej książki.

- Zanim powiesz coś więcej - przerwał Harris - czy zawarłeś z nim jakąś umowę?

- Nie prosił o żadną. Dałem mu słowo, że nigdy nie wymienię jego nazwiska - Peter przerwał patrząc w oczy Joshuy Harrisa. Jego agent zasięgał języka, telefonował do Waszyngtonu. - Prawdę powiedziawszy, ty jeden mógłbyś to zrobić. Ale nie zrobisz. Będę tego wymagał. - Nie odbiegaj od tematu - powiedział Joshua Harris.

- Kilka lat temu parę osób w Waszyngtonie przeraziło się czegoś, co uznali za bardzo niebezpieczną sytuację. Może nawet bardziej niż niebezpieczną - za katastrofalnie groźną. J.

Edgar Hoover zebrał kilka tysięcy dossiers dotyczących najbardziej wpływowych ludzi w kraju. W Izbie Reprezentantów, w Senacie, Pentagonie, Białym Domu. O doradcach prezydenta i Kongresu, o czołowych osobistościach w tuzinie różnych dziedzin. Im bardziej starzał się Hoover, tym bardziej się tego obawiali. Z Biura zaczęły przeciekać wieści, że Hoover rzeczywiście używa tych dossiers, by zastraszyć ludzi, którzy mu się przeciwstawiają.

- Chwileczkę, Peter - wtrącił się Morgan. - Ta opowieść w różnych wariantach krąży od lat.

Więc o co chodzi?

Teraz Chancellor popatrzył w oczy Morganowi.

- Przeskoczę wstęp. Hoover zmarł cztery miesiące temu i nie zezwolono na autopsję.

A teczki znikły.

Przy stole zapanowała cisza. Morgan pochylił się do przodu, powoli kręcąc szklanką, aż kostki lodu zaczęły krążyć w whisky.

- To niemały przeskok. Hoover był cholernie blisko osiemdziesiątki, był też chory na serce.

- Kto twierdzi, że teczki zginęły? Mogły zostać zniszczone, pocięte. Albo zapomniane

- powiedział Harris.

- Oczywiście mogły - zgodził się Peter.

- Ale ty zakładasz, że z ich powodu ktoś zabił Hoovera - rzekł Morgan.

- Ja nie zakładam. Ja to stwierdzam. Jako założenie dla fikcji literackiej, nie jako fakt.

I nie powiedziałem, że w to wierzę, lecz sądzę, że mogę to uwiarygodnić.

Znów zapadło milczenie. Morgan spojrzał na Harrisa, a potem na Petera.

- Myśl jest sensacyjna - rzekł ostrożnie. - Hipoteza wstrząsająca. Może nawet za bardzo, może też jest zbyt pochopna. Będziesz musiał zbudować dla niej solidny fundament, a nie wiem, czy to możliwe. - Ten człowiek na plaży - powiedział Joshua - ten, którego nazwiska żaden z nas dwóch nie wymieni. Czy on w to wierzy? Chancellor opuścił wzrok na szklanekę. Odpowiadając Harrisowi zdał sobie sprawę, że głos ma równie niezdecydowany, jak opinię o całej tej historii.

- Naprawdę nie wiem. Czuję - ale jest to tylko odczucie - jakby on uważał, że morderstwo gdzieś planowano. I to mu wystarczyło. Wystarczyło do tego, by dać mi do sprawdzenia dwa dalsze źródła.

- Związane z Hooverem? - spytał Morgan.

- Nie, nie posunął się aż tak daleko, by to twierdzić. Powiedział, że to tylko domysł.

Jedno nazwisko jest związane z ową grupą w Waszyngtonie, którą ogarnął niepokój w związku z teczkami i ich użyciem przez Hoovera. Związki drugiego zaś są bardzo odległe. To sprawa zaginięcia informacji sprzed ponad dwudziestu lat.

- Obie te historie mogą stać się dla ciebie punktem wyjścia zwrócił mu uwagę Morgan.

- Oczywiście. Ale jeśli sprawa tego ugrupowania ma cokolwiek wspólnego z rzeczywistością, będę musiał ją całkowicie zbeletryzować. Ze względu na nazwisko tego człowieka. O drugim nie mam najmniejszego pojęcia.

- Czy chcesz nam powiedzieć, o kogo chodzi? - spytał Joshua. - Jeszcze nie teraz.

Najpierw chciałbym usłyszeć waszą ocenę samego pomysłu. Powieść o zamordowaniu Hoovera. Zabitego przez ludzi, którym było wiadome istnienie teczek i którzy chcieli je posiadać dla własnych celów.

- Pomysł jest sensacyjny - powtórzył Morgan.

- I będzie cię drogo kosztował - stwierdził Harris patrząc na wydawcę.

ROZDZIAŁ 9

Kongresman Walter Rawlins, z Rawlinsów z Ranaoke, wpływowej dynastii macherów politycznych

ze stanu Wirginia, siedział w bibliotece swego podmiejskiego domu w Arlington. Było już po północy. Pokój oświetlała jedynie mosiężna latarnia stojąca na biurku. Nad nią wielkie fotografie ukazywały różnych członków klanu Rawlinsów wierzchem na różnych koniach, podczas różnych polowań.

Był w domu sam. Żona pojechała na weekend do Ranaoke, a służąca miała wolny dzień, to znaczy wolną noc. Ta czarna dziwka nie mogła się doczekać czwartku, by zahandlować swym czarnym tyłkiem. Rawlins wyszczerzył zęby i podniósł do ust szklankę, by pociągnąć parę głębokich łyków samogonu. Miała cholernie słodki czarny tyłek i kazałby jej zostać w domu, gdyby nie głęboka nieufność do tej drugiej dziwki w jego domu. Jego żona powiedziała, że leci ich Cessna do Ranaoke, ale równie dobrze mogła kazać pilotowi zawrócić i wylądować w McLean. Ta cholerna suka, jego żona, mogła właśnie siedzieć w samochodzie na ulicy, czekając na odpowiedni moment, by wkroczyć do domu.

Fantastycznie by ją urządziło przyłapanie go w chwili, gdy rżnie czarną dziwkę.

Rawlins zamrugał. Z trudem zwrócił zamglone oczy w stronę stojącego na biurku telefonu. Cholerny bydlak dzwonił. To był jego numer służbowy, osobista linia łącząca go z Waszyngtonem. Cholera! Telefon nie przestawał dzwonić. Po prostu nie chciał przestać.

Cholera! Gdy trochę sobie podgazował, nie znosił rozmów telefonicznych. Wygramolił się z fotela trzymając kurczowo szklankę i niepewnym krokiem podszedł do biurka.

- Tak? Co tam?

- Dobry wieczór.

Głos w telefonie był zaledwie szeptem, wysokim i bezbarwnym.

W żaden sposób nie dawało się odróżnić, czy należy do mężczyzny, czy kobiety.

- Kto mówi, u diabła? Skąd masz mój numer?

- Pytania są nie na temat. Ale na temat jest to, co ci powiem. - Nic mi nie powiesz. Nie rozmawiam z nieznajomymi...

- NEWPORT NEWS, Rawlins! - szepczący głos mściwie wypluł te słowa. - Na twoim miejscu nie rozłączałbym się.

Rawlins zmartwiał. Mętym wzrokiem patrzył na trzymaną w ręku słuchawkę.

Powoli, z zapartym tchem, podniósł ją do ucha. - Kim jesteś? Co masz na myśli? Newport... -

zaciął się, nie mogąc dokończyć nazwy.

- Trzy lata temu, kongresmanie. Jestem pewien, że jeśli się wysilisz, to sobie przypomnisz. Koroner w Newport News ocenił, że śmierć nastąpiła pół godziny po północy.

Prawdę powiedziawszy właśnie w tej chwili mamy tę samą porę. A było to dwudziestego drugiego marca. - Kto, do diabła, mówi? - Rawlins poczuł mdłości.

- Powiedziałem ci, że to nieistotne. Nie bardziej istotne, niż ta mała, czarna dziewczynka w Newport News. Ile ona miała lat, kongresmanie? Czternaście? Tak było?

Groteskowa sprawa, nieprawdaż? Stwierdzono, że była poraniona nożem i paskudnie pobita.

- Nie wiem, o czym mówisz! Ja nie mam z tym nic wspólnego! Rawlins szybko podniósł szklankę do ust i przełknął haust. Większość samogonu pociekła mu po brodzie. - Ja się tam nigdy nie znajdę... - W Newport News? - przerwał mu wysoki szept. - W nocy dwudziestego drugiego marca 1969 roku? Sądzę, że byłeś. Wracając do rzeczy, właśnie leży przede mną szczegółowy rozkład lotu Cessny, lądującej, a później startującej z prywatnego lotniska o dziesięć mil na północ od Newport News. Wraz z opisem pasażera: ubranie zakrwawione, pijany. Czy mam ci to przeczytać?

Rawlins wypuścił szklankę. Rozbiła się o posadzkę.

- Przestań!

- Nie widzę powodu do zmartwienia. Widzisz, ty jesteś przewodniczącym interesującej mnie komisji Izby Reprezentantów. A ja po prostu nie pochwalam twego sprzeciwu wobec ustawy: H.R. trzysiedempięć. Zmienisz zdanie, Rawlins. Udzielisz tej ustawie pełnego poparcia... Phyllis Maxwell przeszła obok recepcji hotelu HayAdams, kierując się do Sali Lafayette. Przy drzwiach zgromadził się zwykły tłumek oczekujących na wolne stoliki. Ale jej to nie dotyczyło. Zaraz dostrzeże ją szef sali i zaprowadzi do jej stolika.

Spóźniła się kwadrans i to było dobre. Ten, z kim umówiła się na lunch, zacznie się denerwować, zastanawiać się, czy nie zapomniała. A to było bardzo dobre: zepchnie go do defensywy.

Zatrzymała się, by spojrzeć w dwumetrowe lustro. To, co ujrzała, sprawiło jej przyjemność. „Całkiem niezłe” - pomyślała. Zupełnie niezłe, jak na niegdyś nieładną, zbyt tłustą dziewczynę nazwiskiem Paula Mingus z Chillicothe w stanie Ohio, mającą dziś czterdzieści siedem z hakiem. Teraz była... no cóż, właściwym określeniem jest: elegancką damą. Szczupłą, o kształtnych nogach, jędrnym biuście, długiej szyi prawdę powiedziawszy niemal greckiej, ładnie podkreślonej naszyjnikiemobrożą z pereł. Do tego dobra twarz. Tu też właściwym określeniem byłoby: pełna elegancji. Oczywiście wszyscy mówili, że ma fascynujące oczy. Spojrzenie zawsze zaciekawione, tęczówki w cętki. Oczy doświadczonej dziennikarki. Umiała dobrze się nimi posługiwać. Wpatrując się nieruchomo w każdego, z kim odbywała wywiad, mówiła bez słów: Nie wierzę ci ani na jotę. Musisz się wykazać czymś więcej.

Używając oczu wydobyła wiele prawdy od wielu kłamców. Niejeden raz wprowadziła w osłupienie cały Waszyngton popartymi dowodami relacjami o sprawach, z których istnienia wielu zdawało sobie sprawę, ale nikt nie spodziewał się ujrzeć ich w druku. Często samym milczeniem i wzrokiem

wlepionym w rozmówcę wymuszała wyznania.

Oczywiście zdarzało się, że jej oczy wyrażały nie tylko wątpliwości; często zawierały obietnicę. Ale nie oszukiwała samej siebie, czterdzieści siedem to nie dwadzieścia siedem. W

miarę upływu lat coraz więcej było spojrzeń badawczych, coraz mniej obiecujących. Z

różnych powodów. Znana była „Phyllis Maxwell”, a nie Paula Mingus, z Mingusów z Chillicothe. Nazwał ją tak ćwierć wieku temu pierwszy wydawca, który pozwolił jej podpisać publikowany materiał. A Phyllis Maxwell była dobra, swoją pracę traktowała serio. Zawsze poszukiwała sensacyjnych wiadomości.

Tak jak i dzisiaj. W nadchodzącej kampanii wyborczej było coś zgniętego, głęboko zgniętego. Od opornych ofiarodawców uzyskiwano oszałamiające kwoty. Jako broni używano niejasnych gróźb i niewykonalnych obietnic.

- Panno Maxwell, jak to miło, że pani nas odwiedziła. - Był to głos szefa Sali Lafayette.

- Dziękuję, Jacques.

- Prosto przed siebie, panno Maxwell. Pani towarzystwo już czeka. Tak było. Młody człowiek, starannie wygolony, z twarzą cherubinka i słodkim uśmiechem, na jej widok skwapliwie zerwał się z miejsca i zgiął w uniżonym ukłonie. Jeszcze jeden absolutny łgarz, roilo się od takich. „Pogłaszcz ją” - tak siebie instruował, co Phyllis natychmiast usłyszała w myśli.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała.

- Jakie spóźnienie? Właśnie tu wszedłem - odparł z uśmiechem. - A więc to pan się spóźnił. - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. W odpowiedzi otrzymała zmieszany uśmiech. - Drobiazg, Paul. Strzel sobie jednego. Potrzebujesz tego, a ja cię nie sypnę.

Strzelił sobie. Nie jednego, trzy drinki. A podane mu jajka a la Benedict ledwie tknął.

Ale nie potrafił znieść oczekiwania. - Mówię ci, Phyl, jesteś na fałszywym tropie, odcinasz gałąź, na której siedzisz!

- Metafory ci się pomieszały. Wam, panowie, często to się zdarza, Paul. Zwykle wtedy, gdy macie coś do ukrycia.

- Nie mamy nic do ukrycia.

- No to przystąpmy do rzeczy - przerwała. Nie znosiła pustej gadaniny. Jedną z jej najskuteczniejszych metod było uderzenie prostym. - Mam następujące informacje. Dwóm towarzystwom lotniczym, pragnącym otworzyć nowe linie, powiedziano, i to niezbyt subtelnie, że Biuro Lotnictwa Cywilnego może się nieprzychylnie ustosunkować, et cetera, et cetera, et cetera,

jeśli nie zostaną wniesione znaczne fundusze et cetera. Do wielkiego towarzystwa towarowego transportu drogowego dotarło za pośrednictwem związku zawodowego kierowców: „Dokonacie poważnej wpłaty na fundusz wyborczy albo grozi wam strajk”. Największej firmie farmaceutycznej ze wschodnich Stanów zasugerowano wpłatę, a w dwa dni później zagroziło jej wdrożenie śledztwa przez Federalny Urząd Leków. Zapłaciła.

Nie będzie śledztwa. Cztery banki. Cztery czołowe banki, Paul. Dwa w Nowym Jorku, jeden w Detroit, jeden w Los Angeles pragnęły dokonać fuzji. Oświadczone im, że rozpatrzenie ich wniosków może trwać latami, jeśli osoby je rozpatrujące nie zostaną przychylnie nastawione.

Dokonano wpłat, odpowiedź na wnioski była pozytywna. To wszystko, o czym mówię, zostało udokumentowane. Mam nazwiska, daty i kwoty. Postanowiłam podnieść wrzask, jeśli nie oświadczysz, że te osiem wypadków to jedyne, podkreślam: jedyne, związane z waszą kampanią. Tych ani następnych wyborów nie kupicie sobie za pieniądze. Mój Boże, wy kompletni idioci! Przecież nie musieliście tego robić!

Cherubinek zbladł.

- Ależ wszystko pomieszałaś! Radykalna postawa opozycji rozedrze naród na strzępy.

Osłabi jego korzenie, jego podstawowe wolności... - Och, przestań, głupi ośle!

- Panno Maxwell! - Był to Jacques. Miał w ręku aparat telefoniczny. - Dzwonią do pani. Czy mam połączyć?

- Proszę.

Szef sali włożył wtyczkę do gniazdka przy stoliku. Skłonił się i odszedł.

- Tu Phyllis Maxwell.

- Przepraszam, że przeszkadzam pani w lunchu.

- Przepraszam? Nie zrozumiałam.

- Postaram się mówić wyraźniej.

- Kto mówi? - Ze słuchawki dobiegł szept. Dziwacznie wysoki i bezbarwny. - Czy to jakiś żart?

- Z całą pewnością nie, panno Mingus.

- Podpisuję się: Maxwell. Fakt, że zna pan moje nazwisko rodowe, mnie nie wzrusza.

Jest w moim paszporcie.

- Tak, wiem o tym - wyszeptana odpowiedź brzmiała z jakichś powodów okropnie. -

Zarejestrowała je kontrola graniczna na wyspie Saint Vincent. Na Grenadynach, panno Mingus.

Phyllis Maxwell zbladła jak ściana. Poczła straszliwy ból głowy. Jej ręce drżały.

Miała wrażenie, że zwymiotuje.

- Czy słucha pani dalej? - usłyszała przerażający szept.

- Kim pan jest? - wyjąkała z trudem.

- Kimś, komu może pani ufać. Proszę być tego pewną.

O, Boże! Wyspa! Jak to było możliwe? Kogo to mogło obchodzić? Jaki brudny umysł

mógł zadać sobie tyle trudu...? W obronie obyczajności...! Ale nie o obyczajność przecież chodziło. O wolność! Wolność od podejrzeń i od ukrywania się. Komu to mogło szkodzić?

Co roku, tylko na trzy tygodnie, Phyllis Maxwell wyjeżdżała z Waszyngtonu, rzekomo na urlop spędzany w całkowitej samotności, w ustroniu w Caracas. Ale Paula Mingus nie zatrzymywała się w Caracas; ona - i inne - odlatywały na Grenadyny, na ich wyspę. A tam wreszcie mogły być sobą. Kobietami w pełni oddanymi miłości. Z innymi kobietami.

Paula Mingus była lesbijką. Phyllis Maxwell, w interesie wykonywanego zawodu i wielkim, wielkim kosztem samopoczucia, nie przyznawała się do tego.

- Jest pan nieprzyzwoity - szepnęła w odpowiedzi.

- Większość ludzi użyłaby tego słowa w stosunku do pani. Zostałaby pani tematem brudnych dowcipów, a pani kariera byłaby skończona. W wypadku ogłoszenia tej niezaprzeczalnej prawdy.

- Czego pan chce?

- Musi pani zapewnić tego niezwykle szczerego, młodego człowieka, że nie będzie się pani dłużej zajmowała tematami, o których bez wątpienia dyskutowaliście. I nic pani nie opublikuje.

Phyllis Maxwell odłożyła słuchawkę. W pstrokatych oczach zawodowej dziennikarki pojawiły się łzy. Gdy się odezwała, jej głos był ledwie słyszalny.

- Czy wy nie znacie granic?

- Phyl, przysięgam...

- O, Boże! Ukraść władzę w kraju!

Wstała i wybiegła z restauracji.

Carroll Quinlan O'Brien, znany kolegom biurowym jako Quinn, wszedł do swego gabinetu i usiadł za biurkiem. Zbliżała się ósma wieczór. Nocna zmiana była już przy pracy, co oznaczało, że połowa biur jest pusta.

„Ale sześćdziesiąt cztery procent ciężkich zbrodni popełniane jest między siódmą trzydzieści wieczór a szóstą rano” - pomyślał O'Brien. A w tym czasie najpotężniejszy w kraju instrument przestrzegania prawa obsługiwała tylko połowa ludzi.

Nie była to trafna krytyka. Biuro nie było oddziałem terenowym, jego zadanie polegało na zbieraniu informacji, a te najłatwiej uzyskiwać, gdy reszta kraju czuwa. Nie, nie miało sensu obstawanie przy tego rodzaju mniemaniu, choć wielka reorganizacja była już w toku. W każdym razie wszyscy to mówili.

Zapewne zacznie się od zrobienia porządku z bezsensownym, ukutym przez Hoovera terminem „Siedziba Sprawowania Władzy”, S.S.W. Równie jednoznacznie i o wiele mniej pretensjonalnie brzmiało: FBI. „Tyle rzeczy jest tutaj przedpotopowych” - pomyślał O'Brien.

Poplątane systemy organizacyjne. Wzajemnie sprzeczne i zachodzące na siebie zakresy kompetencji. Używanie siły bez potrzeby i powstrzymywanie się od jej użycia, gdy było to absolutnie konieczne. Ścisłe przepisy co do sposobu ubierania się oraz życia towarzyskiego, seksualnego, a także myślenia. Ostre kary za nic nie znaczące wykroczenia i wykręcanie się od kar w pełni zasłużonych przez pochlebstwa i uniżoność. Strach, strach, strach. Przez cały okres pobytu Quinna w Waszyngtonie Biurem rządził strach. Przez cztery lata miał usta zamknięte. On, a także kilku innych, którzy uczciwie wierzyli, że potrafią wprowadzić na wyższe szczeble Federalnego Biura Śledczego choć odrobinę zdrowia psychicznego.

Zajmowane stanowiska służbowe dawały im też okazję do niespuszczania z oczu spraw naprawdę podejrzanych, niosących zagrożenie. A inni niech się o tym dowiadują, gdy przyjdzie odpowiednia pora.

Gdy dyrektor, rozwścieczony rzeczywistymi lub zmyślonymi zniewagami, zerwał

łącność z innymi instytucjami wywiadowczymi kraju, O'Brien potajemnie i nader regularnie przekazywał potrzebne im informacje. Przypomniawszy mu o tym widok małej, srebrnej koniczynki, zwisającej z łańcuszka doczepionego do etui jego pióra. Był to prezent od Stefana Varaka z Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Po raz pierwszy spotkał się z Varakiem przed dwoma laty, gdy Hoover zakazał podawania NRB danych osobowych o obywatelach bloku wschodniego zatrudnionych w ONZ. Narodowa Rada Bezpieczeństwa potrzebowała tych danych. O'Brien po prostu poszedł do I Sekcji, porobił kopie i oddał je Varakowi podczas ich pierwszej wspólnej kolacji. Od tej pory mieli wiele wspólnych kolacji. Od Varaka dużo się nauczył.

Teraz Hoover już nie żył i wiele miało się zmienić. Tak wszyscy mówili. Quinn był

skłonny temu uwierzyć, gdy zapoznał się z nowymi dyrektywami. Być może teraz jego decyzja sprzed

czterech lat okaże się rozsądna.

Nigdy nie oszukiwał ani siebie, ani swojej żony. Dla FBI jego przydział był

politycznym zabiegiem upiększającym. Będąc wiceprokuratorem w Sacramento, został - jako oficer rezerwy - powołany do służby wojskowej w Wietnamie. Ale nie do wojskowej służby sprawiedliwości. Z przyczyn niejasno związanych z zagadnieniami walki z przestępstwami kryminalnymi, przydzielono go do G-2. Przeszło czterdziestoletni prawnik nagle przedzierzgnął się w oficera śledczego w wywiadzie wojskowym. To było w roku 1964. I na koniec nieoczekiwana bitwa na północnym odcinku frontu, niewola, dwa lata przeżyte w najprymitywniejszych warunkach i ucieczka.

Uciekł w marcu 1968 roku i w lejących się strumieniami tropikalnych deszczach przedostał się wreszcie przez linie nieprzyjacielskie, na tereny będące w rękach wojsk ONZ.

Schudł pięćdziesiąt funtów, fizycznie był zmaltratowany do ostatnich granic. I powrócił jako bohater. A był to czas, gdy bohaterów poszukiwano. Byli rozpaczliwie potrzebni. W kraju szerzyło się niezadowolenie, mity się rozpadały. FBI też to dotyczyło. Zauważono uzdolnienia śledcze Quinna, na Hooverze zaś bohaterowie robili wielkie wrażenie. Tak więc uczyniono propozycję. A bohater ją przyjął.

Rozumował bardzo prosto. Jeśli zapewnia mu się możliwość startu z dość wysokiego szczebla, jeśli szybko i dobrze wszystkiego się nauczy, otworzą się przed nim w Departamencie Sprawiedliwości inne piękne perspektywy. O wiele większe niż w Sacramento. A w tej chwili był czterdziestodwuletnim eksbohaterem, który zaiste wiele się nauczył i trzymał język za zębami. Nauczył się bardzo dobrze. I to go właśnie niepokoiło.

Coś tu się nie zgadzało. Coś, co powinno było nastąpić, nie nastąpiło. Podstawowy element dyktatorskich rządów Hoovera ani nie został wyjawiony, ani wytłumaczony.

J. Edgar Hoover miał w osobistym posiadaniu setki, może nawet tysiące teczek o wybuchowej zawartości. Teczek, które zawierały informacje, mogące zniszczyć najbardziej wpływowych i najpotężniejszych w kraju mężczyzn oraz kobiety.

Ale od śmierci Hoovera o teczkach milczano. Nikt się nie domagał ujawnienia ich istnienia, nikt nie żądał zniszczenia. Wyglądało to tak, jakby nikt nie był zainteresowany wyciągnięciem sprawy na światło dzienne. Strach przed wplątaniem się w nią musiał być zbyt wielki. Jeśli pokryje się wszystko milczeniem, może pójdzie ona w zapomnienie... Ale to było nieracjonalne podejście: tecki gdzieś musiały się znajdować. Dlatego Quinn zaczął zadawać pytania. Rozpoczął od pokoju krajarek. Od szeregu miesięcy niczego tu do zniszczenia z biura Hoovera nie przysłano. Zbadał archiwum mikrofilmów i mikropunktów. Jak długo sięgała pamięć, nie fotografowano tych teczek. Przejrzał też dzienniki podawcze. Nie było nic, co mogłoby odnosić się bezpośrednio do Hoovera w treści dokumentów wchodzących i wychodzących. Nic.

Pierwszy trop odnalazł w rejestrach Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Dotyczyło to niedawnego wejścia w nocy pierwszego maja, a więc nocy przed śmiercią Hoovera.

Zezwolenie nadeszło jego osobistą, kodowaną linią. Trzech agentów terenowych: Salter, Krepps oraz jeden nazwiskiem Longworth, weszło o jedenastej pięćdziesiąt siedem. Ale bez zezwolenia od kóregokolwiek z wydziałów. Po prostu na zasadzie pozwolenia, przekazywanego prywatną, kodowaną linią dyrektora. Z mieszkania Hoovera.

To się nie trzymało kupy. Quinn skontaktował się więc ze starszym agentem, który wpuścił tę trójkę, Lesterem Parke'em. Nie było to łatwe. W miesiąc po śmierci Hoovera Parke przeszedł na emeryturę jedynie z pensją podstawową. Ale równocześnie miał dość pieniędzy, by kupić sobie całkiem niemały, prywatny apartament własnościowy w Fort Lauderdale. To również nie trzymało się kupy.

Parke nie wyjaśnił niczego. Starszy agent powiedział Quinnowi tylko, że owej nocy osobiście rozmawiał z Hooverem. A Hoover we własnej osobie wydał mu konkretne i poufne instrukcje, dotyczące wpuszczenia agentów terenowych. Jeśli chce się dowiedzieć reszty, to jedynie od nich.

Wobec tego Quinn próbował odnaleźć owych agentów, zwanych Salter, Krepps i Longworth. Ale „Salter” i „Krepps” to były tylko ruchome pseudonimy, nazwiska i życiorysy używane przez różnych agentów przy różnych okazjach, gdy wykonywano tajne operacje.

Natomiast nie było notatki, że te dwa nazwiska zostały komukolwiek przydzielone w maju. A jeśli nawet taki zapis gdzieś istniał, Quinn nie dysponował zezwoleniem na dostęp do niego.

Informacja zaś o Longworcie nadeszła przed godziną z minutami. Była tak zaskakująca, że Quinn zatelefonował do żony i zawiadomił ją, iż nie przyjdzie na kolację.

Longworth wystąpił z Biura dwa miesiące przed śmiercią Hoovera! Obecnie mieszkał

na Hawajach. Ta informacja została sprawdzona, ale co w takim razie robił w Waszyngtonie, przy zachodnim wejściu do Biura, w nocy pierwszego maja?

O'Brien zrozumiał, że natrafił na poważną, nie wyjaśnioną rozbieżność w oficjalnych rejestrach związaną z teczkami, o których nikt nie chciał mówić. Postanowił, że jutro rano uda się do prokuratora generalnego.

Drgnął, gdy zadzwonił jego telefon. Sięgnął po słuchawkę. - O'Brien - zgłosił się nie bez zaskoczenia. Rzadko zdarzało się, by telefonowano do niego po piątej po południu.

- Han Czou - zasyczał szept w słuchawce. - Pamiętaj o umarłych w Han Czou.

Carrollowi Quinlanowi O'Brienowi zaparło dech. Na chwilę utracił wzrok, zamiast wnętrza pokoju widział tylko czarne i białe plamy. - Co? Kto mówi?

- Błagali cię. Pamiętajsz, jak cię błagali?

- Nie! Nie wiem, o czym mówisz. I kto mówi?

- Oczywiście wiesz - kontynuował zimny szept. - Komendant z Wietkongu zagroził

represjami, egzekucjami, jeśli ktokolwiek ucieknie z Han Czou. Bardzo niewielu było do tego zdolnych. Ale ci zgodzili się pozostać, by nie narażać innych. Ale nie ty, majorze O'Brien.

Nie ty. - To kłamstwo! Nie było takiej umowy!

- Wiesz doskonale, że była. I naruszyłeś ją. W waszym obozie było dziewięciu mężczyzn. Ty byłeś najzdrowszy. Powiedziałeś im, że odchodzisz, a oni błagali, byś tego nie robił. Następnego ranka, gdy uciekłeś, wyprowadzono ich w pole i zastrzelono.

O, Chryste! O, święta Mario, Matko Boża! To miało być zupełnie inaczej! Poprzez szum deszczu słyszeli z oddali huk dział. To była niepowtarzalna szansa! Tak blisko!

Wystarczyło, by dotarł do armat! Do amerykańskich armat! Gdy tylko tam dotrze, wskaże na mapie obóz Han Czou i będzie można go wyzwolić. Ludzie - umierający ludzie zostaną uwolnieni! Ale deszcz, noc i choroba straszliwie sprzysięgły się przeciw niemu. Nie odnalazł

armat. A ludzie zginęli.

- Przypomniałeś sobie? - Szept był teraz bardzo cichy. - Ośmiu ludzi zginęło, aby pan major został uroczystie, z paradą na jego cześć, przyjęty w Sacramento. Czy wiesz, że Han Czou zostało zdobyte w niecałe dwa tygodnie później?

Nie, O'Brien! Nie rób tego! Jeśli są już tak blisko, komuchy uciekną i zostawią nas tutaj! Nie zabiorą nas ze sobą. Opóźnilibyśmy ich marsz! I nie zabiją nas! Chyba że dostarczysz im pretekstu. Nie dawaj im go! Nie teraz! To rozkaz, majorze!

Te słowa wypowiedział w ciemności na wpół zagłodzony podpułkownik, jedyny poza nim oficer w szalasi.

- Nic nie rozumiesz - powiedział do telefonu. - Wszystko zniekształciłeś. To nie tak wyglądało!

- Owszem tak, majorze - zaprzeczył powolny szept. - W kilka miesięcy później przy zabitym oficerze Wietkongu znaleziono skrawek papieru. Znajdowało się na nim przedśmiertne zeznanie podpułkownika, który wiedział, co groziło jeńcom w Han Czou.

Ośmiu ludzi zostało zastrzelonych, ponieważ złamałeś rozkaz swego przełożonego. - Nigdy nic nie mówiono... Dlaczego?

- Bo odbyła się parada. Wystarczyło.

O'Brien podniósł dłoń do czoła. Poczł pełną pustkę w piersi. - Po co mi o tym mówisz?

- Bo mieszasz się do spraw, które do ciebie nie należą. Nie będziesz tego robił dłużej.

ROZDZIAŁ 10

Potężna postać Daniela Sutherlanda widniała w drugim końcu sali, przy półkach z książkami. Stał bokiem w szylkretowych okularach na ogromnej głowie, trzymając w masywnych dłoniach ciężką książkę. Odwrócił się i przemówił. Głos miał niski, dźwięczny i przyjemnie ciepły. - Precedensy, panie Chancellor. Prawo aż nazbyt często kieruje się precedensami, które aż nazbyt często są niedoskonałe. - Sutherland uśmiechnął się, zamknął

książkę i ostrożnie odłożył ją na półkę. Podszedł do Petera z wyciągniętą ręką. Pomimo swego wieku poruszał się pewnie i z godnością. - Mój syn i wnuczka są pańskimi namiętnymi czytelnikami. Wiadomość, że ma pan do mnie przyjść, zrobiła na nich wielkie wrażenie. Ja niestety nie miałem jeszcze okazji, by przeczytać pana książki. - To ja jestem pod wrażeniem, sir - odrzekł Peter z całą szczerością, gdy uścisnęli sobie dłonie. - Dziękuję za to, że zechciał

mnie pan przyjąć. Nie zabiorę wiele pańskiego czasu.

Puściwszy dłoń Petera, Sutherland uśmiechnął się uspokajająco. Wskazał na jeden ze stojących przy stole konferencyjnym foteli. - Proszę zająć miejsce.

- Dziękuję - Peter zaczekał, póki sędzia nie doszedł do własnego fotela, trzy miejsca dalej, przy samym końcu stołu. Usiedli. - Czym więc mogę panu służyć? - Sutherland oparł

się wygodnie. Miał łagodny wyraz twarzy, nie bez szczypty humoru. - Przyznaję, że jestem zaskoczony. Powiedział pan mojej sekretarce, że sprawa jest osobista, choć nigdy przedtem nie spotkaliśmy się.

- Sam nie wiem, od czego by tu zacząć...

- Ryzykując, że tym powiedzeniem mogę zranić pana pisarską odrazę do banału, pozwolę sobie zapytać: dlaczego nie zacząć od początku? - Ależ o to właśnie idzie! Nie znam początku. Nawet nie jestem pewien, czy coś takiego istnieje. A jeżeli tak, to może pan stanowczo uznać, że nie jestem uprawniony do jego poznania.

- W takim wypadku przecież mogę panu o tym powiedzieć.

Peter kiwnął głową.

- Poznałem pewnego człowieka. Nie mogę powiedzieć, kto to taki ani gdzie się spotkaliśmy. Wymienił pana nazwisko w powiązaniu z małą grupą wpływowych osobistości tutaj, w Waszyngtonie. Powiedział, że ta grupa została uformowana kilka lat temu w ściśle określonym celu: nadzoru nad działalnością J. Edgara Hoovera. Oznajmił, że w jego przekonaniu pan jest człowiekiem odpowiedzialnym za istnienie tej grupy. Chciałbym pana zapytać, czy to prawda.

Sutherland siedział nieruchomo. Jego wielkie czarne oczy, jeszcze powiększone szklami okularów, były pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. - Czy ten człowiek wymienił

jeszcze jakieś nazwiska?

- Nie, sir. Nie w związku z tą grupą. Powiedział, że nie zna nikogo innego.

- Czy mogę zapytać, jak doszło do ujawnienia mego nazwiska? - Czy chce pan przez to powiedzieć, że to prawda?

- Byłbym wdzięczny, gdyby najpierw zechciał pan odpowiedzieć na moje pytanie.

Peter zastanawiał się przez chwilę. Jeśli nie wymieni nazwiska Longwortha, może odpowiedzieć na pytanie.

- Ujrzał je na czymś, co określił jako list przewodni. O ile rozumiem, oznaczało to, że ma pan być odbiorcą pewnej określonej informacji. - Jakiej?

- O nim, jak przypuszczam. Jak również o osobach, o których było wiadomo, że zostały poddane przez Hoovera negatywnej obserwacji. Sędzia odetchnął głęboko.

- Człowiek, z którym pan rozmawiał, nazywa się Longworth. Były agent terenowy FBI, Alan Longworth, obecnie figurujący na liście etatów Departamentu Stanu.

By ukryć zdumienie, Chancellor aż napiął mięśnie brzucha. - Nie jestem w stanie wypowiedzieć się na ten temat - odrzekł nieporadnie.

- Nie musi pan - odpowiedział Sutherland. - Czy pan Longworth powiedział też panu, że był specjalnym agentem odpowiedzialnym za tę negatywną obserwację?

- Człowiek, z którym rozmawiałem, wspomniał o tym. Ale tylko wspomniał.

- Wobec tego ja to uzupełnię. - Sędzia poruszył się w fotelu. - Po pierwsze, co do pana wstępnego pytania. Tak, istniała taka grupa zaniepokojonych osobistości. I podkreślam użyty czas: istniała. Jeśli idzie o moje w niej uczestnictwo, zajmowałem tam pozycję drugorzędną i dotyczącą jedynie pewnych prawnych aspektów zagadnienia.

- Nie rozumiem, sir. Jakiego zagadnienia?

- Pan Hoover z pożałowania godną płodnością produkował nieuzasadnione oskarżenia.

Co gorsza, często nadawał im formę insynuacji, używając prowokacyjnych ogólników, przeciw którym trudno było bronić się na drodze prawnej. Biorąc pod uwagę zajmowane przezeń stanowisko, było to niedopuszczalne naruszenie zdrowego sposobu myślenia. - A więc ta grupa zaniepokojonych mężczyzn...

- I kobiet, panie Chancellor - przerwał Sutherland.

- I kobiet - powtórzył Peter - została stworzona celem obrony ofiar ataków Hoovera.

- W zasadzie tak. Na starość stał się człowiekiem ziejącym nienawiścią. Z

niezrozumiałych przyczyn wyrzucano z pracy dobrych ludzi. A później, nieraz całe miesiące później, odkrywano w tym rękę dyrektora. Próbowaliśmy zatamować tę powódź nadużyć.

- Czy może mi pan powiedzieć, kto jeszcze należał do grupy? - Oczywiście nie. -

Sutherland zdjął okulary i trzymał je delikatnie końcami palców. - Niech wystarczy panu za odpowiedź, że osoby te były w stanie skutecznie się przeciwstawiać. Ich głos nie mógł być pomijany milczeniem.

- Człowiek, o którym pan wspomniał, ten emerytowany agent terenowy...

Sutherland znowu mu przerwał.

- Nie powiedziałem „emerytowany”, powiedziałem „były”.

- Powiedział pan - Peter zawahał się przyjmując otrzymaną reprimendę - że ten były agent terenowy kierował negatywną obserwacją. - Pewną szczególną obserwacją. Longworth zrobił na Hooverze wrażenie. Dał mu więc funkcję koordynatora danych o wszystkich osobach z udowodnioną lub potencjalną niechęcią do Biura albo do samego Hoovera. Lista była obszerna.

- Ale jasne jest, że on przestał pracować dla Hoovera. - Chancellor znowu zamilkł. Nie był pewien, w jaki sposób sformułować następne pytanie. - Powiedział pan, że jest on obecnie zatrudniony przez Departament Stanu. Jeśli tak, to pożegnał się z Hooverem w bardzo niezwykłych okolicznościach. Sutherland ponownie włożył okulary i pogładził się po podbródku. - Rozumiem, o co pan pyta. Proszę mi powiedzieć, w jakim celu pan mnie dziś odwiedził?

- Próbuję upewnić się, czy istnieje materiał do książki o ostatnim roku życia Hoovera.

A szczerze mówiąc, o jego śmierci.

Ręka sędziego opadła na kolana. Siedział zupełnie nieruchomo, wpatrując się w Petera.

- Nie jestem pewien, czy pana rozumiem. Po cóż było przychodzić do mnie?

Tym razem Peter mógł się uśmiechnąć. - Powieści, jakie pisuję, wymagają pewnego stopnia wiarygodności. Oczywiście stanowią fikcję literacką, ale staram się wprowadzić możliwie najwięcej wiarygodnych faktów. Nim zacznę książkę, rozmawiam z wieloma ludźmi, staram się wyczuwać istniejące konflikty.

- Oczywiście jest, że takie podejście zapewniło panu znaczne sukcesy. Mój syn całkowicie aprobuje wnioski, jakie pan wyciąga; wczoraj wieczorem stwierdził to z całą stanowczością. - Sutherland

pochylił się w stronę gościa, kładąc ręce na stole konferencyjnym. W jego oczach Peter znów zobaczył wesołe błyski. - A ja pochwalam oceny mojego syna. Jest doskonałym prawnikiem, choć może nieco zbyt ostrym na sali sądowej.

Pan szanuje cudze zwierzenia, prawda, panie Chancellor?

- Oczywiście.

- I tożsamość osób. Ale to także oczywiste. Nie przyzna się pan, że rozmawiał z Alanem Longworthem.

- Nigdy nie używam nazwisk, jeśli zainteresowana osoba nie dała mi na to wyraźnego zezwolenia.

- Jako prawnik sugerowałbym, aby pan tego nadal przestrzegał Sutherland uśmiechnął się. - Poczuję się w tej chwili tak, jakbym był produktem wyobraźni literackiej.

- Nie posunąłbym się aż tak daleko, sir.

- Biblia także nie - Sutherland znowu wygodnie oparł się o fotel. Doskonale. To już minione dzieje. I wcale nie aż tak niezwykle, takie rzeczy dzieją się w Waszyngtonie na co dzień. Czasem myślę, że jest to nieodłączna część systemu kontroli i równoważenia się naszych organów władzy - Sutherland przerwał i lekkim ruchem skierował prawą dłoń w stronę Petera. - Jeśli użyje pan jakiegokolwiek części tego, co teraz panu powiem, musi pan to zrobić z pełną rozwagą, pamiętając, że tym działaniom przyświecały uczciwe cele.

- Tak, sir.

- W marcu Alanowi Longworthowi zaproponowano wczesne odejście na emeryturę z jednego z resortów rządowych i potajemne przeniesienie do innego. Dokonano tego w taki sposób, aby całkowicie wykluczyć zainteresowanie Biura jego osobą. Przyczyny były oczywiste. Gdy dowiedzieliśmy się, że Longworth jest koordynatorem negatywnej obserwacji, a nawiasem mówiąc jest to bardzo stosowne określenie, wskazaliśmy mu, jakie niebezpieczeństwa niosą ze sobą nadużycia Hoovera. Zgodził się na współpracę. Przez dwa miesiące ślęczał nad setkami nazwisk, przypominając sobie, które z nich podlegały obserwacji negatywnej i jakie niszczące tych ludzi informacje były zawarte w teczках. Wiele podróżował, alarmując tych, których naszym zdaniem należało przestrzec.

Aż do śmierci Hoovera Longworth był naszą bronią defensywną, naszym, że tak powiem, środkiem zapobiegawczym. Działał bardzo skutecznie. Peter zaczął rozumieć dziwnego, jasnowłosego człowieka z Malibu. Był on rozdarty między dwie lojalności, musiał

mieć głębokie poczucie winy. To tłumaczyło jego niezwykle zachowanie, nagle formułowane oskarżenia i równie nagle ucieczki.

- A więc z chwilą śmierci Hoovera jego zadanie zostało zakończone? - Tak. Z tą nagłą i, jak muszę określić, niespodziewaną śmiercią potrzeba takiej operacji obronnej przestała istnieć. Skończyła się

z jego pogrzebem.

- A co się stało z tym człowiekiem?

- O ile mi wiadomo, został szczerze wynagrodzony. Departament Stanu przeniósł go do czegoś, co się określa jako ciepłe gniazdko. Odbywa swą kadencję w przyjemnym otoczeniu i z minimalnymi obowiązkami.

Peter uważnie przyjrzał się Sutherlandowi. Musiał zadać to pytanie, nie było już przyczyn, by się od niego powstrzymywać. - A co pan powie na wiadomość, że mój informator kwestionuje śmierć Hoovera? - Śmierć to śmierć. Jak ją można zakwestionować?

- Sposób, w jaki umarł. Z przyczyn naturalnych.

- Hoover był starcem. Chorym człowiekiem. Byłbym zdania, że Longworth... pan nie używa jego nazwiska, ale ja mogę... że Longworth cierpi z powodu potężnej presji psychicznej - wyrzuty sumienia, poczucie winy... To musi być niezwykle silne. Z Hooverem związany był osobiście. Być może obecnie uważa, że go zdradził.

- Ja też tak myślałem.

- Cóż więc pana niepokoi?

- Coś, o czym dowiedziałem się od mego rozmówcy. Że nigdy nie odnaleziono prywatnych teczek Hoovera. Znikły w chwili jego śmierci. W oczach Murzyna coś błysnęło.

Chancellor nie wiedział, co to było. Może złość.

- Zostały zniszczone. Wszystkie osobiste dokumenty Hoovera zostały pocięte i spalone. Zapewniono nas o tym.

- Kto zapewnił?

- Nie jest to informacja, której mógłbym panu udzielić. Jesteśmy usatysfakcjonowani, tyle mogę panu powiedzieć.

- Ale co będzie, jeśli się okaże, że nie zostały zniszczone? Daniel Sutherland spojrzał

Peterowi w oczy.

- Byłaby to niezwykła komplikacja. Taka, nad którą nie chciałbym się zastanawiać. -

Uśmiechnął się ponownie. - Ale nie ma takiej możliwości.

- Czemu nie?

- Bo coś wiedzielibyśmy o tym, prawda?

Peter zaniepokoił się. Po raz pierwszy głos Sutherlanda nie brzmiał przekonująco.

Schodząc po schodach gmachu sądu, Peter raz jeszcze powiedział sobie, że musi zachować ostrożność. Nie poszukiwał konkretnych faktów, a tylko prawdopodobieństwa.

Tego potrzebował. Wydarzeń potwierdzających teorię, wyrwanych z kontekstu i użytych do wypełnienia nieuchronnej luki między rzeczywistością i fantazją.

Teraz mógł tego dokonać. Daniel Sutherland dostarczył mu odpowiedzi na główną zagadkę: Alana Longwortha. Dostarczył mu najprostszego wyjaśnienia, czemu agent federalny tak się zachowywał. Wyjaśnienia godnego uwagi. Zawierało się w słowach: wyrzuty sumienia. Longworth obrócił się przeciw swemu mentorowi, przeciw swemu dyrektorowi, który powierzył mu najtajniejszą misję, a do jego akt personalnych wpisał

osobistą pochwałę. Naturalne było, że Longworth czuł się winny, pragnął odegrać się na tych, którzy pchnęli go do zdrady. Czyż zakwestionowanie okoliczności śmierci Hoovera nie było najskuteczniejszą tego formą?

Zrozumienie tej prawdy wyzwoliło wyobraźnię Petera. Usunęło też obowiązek dotrzymywania jakichkolwiek zobowiązań wobec Longwortha. Pomysł można było przyjąć tak, jak na to zasługiwał: jako fascynujący temat na książkę. Więcej nie potrzebował. Była to gra, cholerna gra, a literat Chancellor zaczął się nią cieszyć.

Zszedł z chodnika, by zatrzymać przejeżdżającą taksówkę.

- Hotel Hay Adams - polecił.

- Niestety, sir, numer jest zastrzeżony - odpowiedział telefonista tym szczególnym, protekcjonalnym tonem, używanym w Towarzystwie Telefonicznym Bella dla tego rodzaju informacji.

- Rozumiem. Dziękuję - Peter odwiesił słuchawkę i rozłożył się na poduszkach. Nie zdziwił się, nazwiska MacAndrew nie znalazł w książce telefonicznej dla miejscowości Rockville w stanie Maryland. Znajomy waszyngtoński reporter poinformował Chancellora, że generał mieszka w wynajętym domu gdzieś na głuchej wsi i że mieszka tam od wielu lat. Ale Peter nie na darmo był synem dziennikarza. Usiadł i otworzył leżącą obok książkę telefoniczną. Znalazł nazwę, której szukał, po czym nakręcił dziewiątkę i po niej numer.

- Armia Stanów Zjednoczonych, Pentagon, centrala - rozległ się męski głos po drugiej stronie.

- Proszę z generałem porucznikiem Bruce'em MacAndrewem.

Peter wymówił stopień i nazwisko poszukiwanego ostro akcentując sylaby. -

Chwileczkę, sir - usłyszał odpowiedź, a w chwilę później to, czego można było oczekiwać: -

Generał MacAndrew nie figuruje w spisie. - Miesiąc temu figurował - autorytatywnie oświadczył Chancellor. - Dajcie mi informację Pentagonu - rozkazał.

- Pentagon, informacja. - Tym razem głos był kobiecy.

- Gdzieś tam u was jest bałagan. Mówi pułkownik Chancellor. Właśnie wróciłem z dowództwa w Sajgonie i próbuję dotrzeć do generała MacAndrewa. Generałporucznik Bruce MacAndrew. Mam od niego list, datowany dwunastego sierpnia. Z Arlington. Czy został

przeniesiony? Odnalezienie informacji trwało pół minuty.

- Nie, pułkowniku. Nie przeniesiony. Przeszedł w stan spoczynku. Peter pozwolił

sobie na odpowiednią do sytuacji chwilę milczenia. Rozumiem. Był mocno poraniony. Czy znajdzie go w szpitalu Waltera Reeda? - Nie mam pojęcia, pułkowniku.

- To proszę o jego numer telefonu i adres.

- Nie jestem pewna, czy mogę...

- Młoda kobieto - przerwał jej Peter - właśnie przeleciałem dziesięć tysięcy mil.

Generał jest moim bliskim przyjacielem, a ja jestem zaniepokojony. Czy jasno się wyraziłem?

- Tak, sir. Nie mamy tu adresu. Natomiast numer telefonu jest następujący: kierunkowy...

Chancellor zapisał, co mu podyktowano. Podziękował informatorce, nacisnął widelki, puścił je i nakręcił numer.

- Rezydencja generała MacAndrewa. - Akcent wskazywał, że głos z pewnością należy do służącej.

- Czy mogę rozmawiać z generałem?

- Nie ma go w domu. Ma być za godzinę. Co mam przekazać?

Peter nie tracił czasu. Trzeba było szybko myśleć.

- Tu Służba Kurierska Pentagonu. Mamy przesyłkę dla generała, ale adres w spisach SKP jest niewyraźny. Jaki jest numer domu i ulicy w Rockville?

- RFD dwadzieścia trzy, Old Mili Pike.

- Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i znów wyciągnął się na poduszkach, przypominając sobie, co o MacAndrewie powiedział Longworth. Agent oświadczył, że generał zrezygnował ze świetnej kariery, być może

prowadzącej do przewodniczenia Komitetowi Połączonych Szefów Sztabów. I to bez wyraźnej przyczyny. Longworth wspomniał, że może istnieć związek między rezygnacją generała i jakąś informacją, której brak w jego aktach personalnych.

Nagle uderzyła go nowa myśl. Czemu Longworth w ogóle wymienił MacAndrewa?

Kim był MacAndrew dla niego?

Chancellor nagle usiadł. Czy Longworth, pragnąc się odegrać na tych, którzy nim manipulowali, chciał wziąć w obroty generała? Czy też agent sam posłużył się kompromitującymi informacjami o MacAndrewie? Jeśli tak, to Longworth wdał się w wielką grę. Znacznie wykraczającą poza granice wyrzutów sumienia. Teraz wszystko zależało od generała: jakim okaże się człowiekiem?

Był średniego wzrostu, krępy, o szerokich ramionach. Nosił letnie spodnie i białą, rozpiętą pod szyją koszulę. Miał twarz zawodowego żołnierza: skóra mocno naciągnięta, ostro wryte zmarszczki, spojrzenie pełne rezerwy. Stał w drzwiach wejściowych starego domu, położonego przy wiejskiej drodze. Okazywał lekkie zdziwienie widokiem obcego, choć jakby skądś znajomego człowieka.

Peter był przyzwyczajony do takich reakcji. Wynikały z tego, że od czasu do czasu brał udział w dyskusjach telewizyjnych. Rzadko zdarzało się, by ludzie wiedzieli, kim jest, natomiast byli pewni, że go już gdzieś spotkali.

- Generał MacAndrew?

- Tak.

- My się nie znamy - powiedział wyciągając dłoń. - Nazywam się Peter Chancellor.

Jestem pisarzem. Chciałbym z panem porozmawiać. Czy w oczach generała błysnął strach?

- Oczywiście, widziałem pana. W telewizji, na fotografiach. Zdaje się, że czytałem jedną z pana książek. Proszę wejść, panie Chancellor. I wybaczyć mi moje zdumienie, ale ja...

no cóż... jak pan powiedział, nie znaliśmy się dotychczas.

Peter wszedł do holu.

- Wspólny przyjaciel dał mi pana adres. Ale pana telefon jest zastrzeżony.

- Wspólny przyjaciel? Kto taki?

Chancellor uważnie śledził wzrok generała.

- Longworth. Alan Longworth.

Żadnej reakcji.

- Longworth? Nie przypominam sobie, bym go znał. Ale zapewne powinienem. Czy był moim podwładnym?

- Nie, generale. Sądzę, że jest szantażystą.

- Przepraszam, co pan powiedział?

To jednak był strach. Oczy generała na sekundę zwróciły się w stronę schodów, a potem znów na Petera.

- Czy możemy pomówić?

- Sądzę, że powinniśmy. Albo porozmawiamy, albo wyrzucę pana na zbity łeb -

MacAndrew odwrócił się i gestem wskazał sklepione przejście. - W moim gabinecie - dodał szorstko.

Pokój był niewielki. Stały w nim ciemne, skórzane fotele, masywne, sosnowe biurko, a na ścianach wisiały pamiątki ze służby wojskowej. - Proszę siadać - rzekł MacAndrew wskazując fotel przed biurkiem. Był to rozkaz. Generał nie usiadł.

- Być może zachowałem się niewłaściwie - rzekł Peter.

- Do pewnego stopnia tak - odparł MacAndrew. - Więc o co chodzi?

- Dlaczego przeszedł pan w stan spoczynku?

- Nie pański cholerny interes.

- Być może ma pan rację, być może to nie moja sprawa. Ale to jest sprawa kogoś poza panem.

- O czym, u diabła, pan mówi?

- Usłyszałem o panu od człowieka nazwiskiem Longworth. Sugerował, że został pan zmuszony do odejścia ze służby. Że wiele lat temu coś się zdarzyło, a informację o tym usunięto z pana akt personalnych. Dał do zrozumienia, że informacja ta znalazła się w pewnym zbiorze zaginionych teczek. Teczek, które zawierały ukrywane fakty, mogące zniszczyć ludzi, których dotyczyły. Naprowadził mnie na myśl, że grożono panu ich ujawnieniem. Że kazano panu zrezygnować ze służby.

Na długą chwilę MacAndrew zastygł w milczeniu. Jego oczy wyrażały dziwną mieszaninę lęku i nienawiści. Gdy przemówił, jego głos brzmiał martwo.

- Czy ten Longworth powiedział, o jaką informację idzie?

- Twierdził, że nie wie. Jedyne wnioski, jakie wyciągnąłem, dotyczy jej natury, która jest na tyle kompromitująca, iż musiał pan wykonać polecenie. Pana reakcja, że się tak wyrażę, wydaje się potwierdzać to założenie.

- Ty sukinsynu - powiedział generał z najgłębszą pogardą. - Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Peter wytrzymał jego spojrzenie.

- Nie jest moją sprawą, co pana tak przeraża i być może nie powinienem być tu przyjeżdżać. Byłem ciekaw, a ciekawość jest chorobą zawodową literatów. Ale nie chcę wiedzieć, na czym polega pański problem, nie mam zamiaru brać na siebie takiego ciężaru.

Chciałem tylko się dowiedzieć, czemu podano mi pana nazwisko, i sądzę, że teraz już wiem.

Pan tylko został użyty zamiast kogoś innego. Jako przerażający przykład. Spojrzenie MacAndrewa straciło nieco wrogości.

- Zamiast kogo?

- Kogoś, kto jest na muszce. Jeśli te teczki rzeczywiście zginęły i przejął je fanatyk; jeśli ów fanatyk chce użyć informacji przeciw komuś innemu, jest pan w takiej sytuacji, w jakiej ten ktoś będzie. - Nie nadążam za pana rozumowaniem. Po co było dawać panu moje nazwisko?

- Ponieważ Longworth chce, abym uwierzył w to wystarczająco, by napisać książkę.

- Ale dlaczego ja?

- Bo coś się zdarzyło wiele lat temu, a Longworth ma dostęp do tej informacji. Teraz już mam pewność. Widzi pan, generale, sądzę, że on posłużył się nami oboma. Podał mi pana nazwisko, ale przedtem zagroził panu kompromitacją. Potrzebował ofiary. Sądzę...

Tyle Peterowi udało się powiedzieć. Z szybkością nabytą w setkach szturmów bojowych MacAndrew przeskoczył dzielącą ich odległość. Jego dłonie zmieniły się w szpony wbite w tkaninę marynarki Chancellor'a. Najpierw zbił go z nóg, a potem poderwał do góry.

- Gdzie on jest?

- Hej! Na litość boską...

- Longworth! Gdzie on jest? Gadaj, ty chuju złamany!

- Puść mnie, zwariowany sukinsynu! Puść mnie! - Peter był wyższy niż generał, lecz nie mógł równać się z nim siłą. - Do cholery, uważaj na moją głowę!

Głupia to była odzywka, ale nic mądrzejszego nie przyszło mu na myśl. Generał

przycisnął go do ściany. Jego kamienna twarz ze wściekłymi oczami była o cale od twarzy Chancellora.

- Zadałem ci pytanie. Teraz odpowiadaj! Gdzie mogę znaleźć Longwortha?

- Nie wiem! Spotkałem go w Kalifornii.

- Gdzie w Kalifornii?

- On tam nie mieszka. Mieszka na Hawajach. Jasna cholera, puść mnie!

- Dopiero jak mi powiesz, co masz powiedzieć! - Mac Andrew szarpnął Chancellora do przodu, po czym znów uderzył nim o ścianę. Czy jest w Honolulu?

- Nie! - Ból głowy Petera był nie do zniesienia, promieniował od prawej skroni aż do karku. - Mieszka na Maui. Na litość boską, musisz mnie puścić! Nie rozumiesz...

- A gówno nie rozumiem! Trzydzieści pięć lat wyrzucone na śmietnik. Gdy jestem potrzebny. Potrzebny. Czy potrafisz to zrozumieć. - To nie było pytanie.

- Tak... - Zebrawszy resztki sił, Peter chwycił generała za przegub. Ból był okropny. -

Prosiłem, by mnie pan wysłuchał. Nie obchodzi mnie, co się zdarzyło, to nie moja sprawa.

Ale obchodzi mnie, że Longworth użył pana, by dotrzeć do mnie. Żadna książka nie jest tego warta. Przykro mi.

- Przykro? Trochę na to za późno! - wybuchnął znów oficer, bijąc Peterem o ścianę. - I to tylko z powodu choleryjnej książki? - Proszę! Nie może pan...

Zza drzwi dobiegł trzask. Z salonu. Po nim nastąpił okropny, śpiewny jęk; na wpół

szaleńczy, monotony przyśpiew. MacAndrew zamarł patrząc na drzwi. Pchnął Petera na biurko i chwycił za kłamekę. Szarpnął drzwi i znikł w salonie.

Chancellor uchwycił się krawędzi biurka. Pokój wirował wokół niego. Zrobił kilka głębokich oddechów, by ulżyć bólowi w głowie i odzyskać orientację.

Znów to usłyszał. Jękliwy, szalony przyśpiew. Był coraz głośniejszy, można już było odróżnić słowa.

...na dworze jest strasznie, lecz ogień tak miły, a my nie mamy gdzie pójść... Niech pada śnieg! Niech pada śnieg! Niech pada śnieg...! Peter niepewnym krokiem zbliżył się do drzwi gabinetu. Zajrzał do salonu i natychmiast tego pożałował.

MacAndrew siedział na podłodze, trzymając w objęciach kobietę. Miała na sobie podarty, niechlujny szlafrok, ledwie przykrywający wyblakłą nocną koszulę, równie starą i zniszczoną. Dookoła leżały kawałki potłuczonego szkła. Po dywaniku toczyła się nóżka rozbitego kieliszka od wina.

MacAndrew nagle go zauważył.

- Teraz już wiesz, co to były za kompromitujące informacje. ...że nie mamy dokąd iść, niech pada śnieg! Niech pada śnieg...! Peter już wiedział. To wyjaśniało stary dom na głuchej wsi, zastrzeżony telefon i brak adresu w informacji Pentagonu. Generał Bruce MacAndrew żył w odosobnieniu, bo jego żona była wariatką.

- Wiem - rzekł spokojnie Chancellor. - Ale nie rozumiem. Czy to dlatego?

- Tak. - Generał zawahał się, po czym znów zwrócił się do żony, unosząc jej twarz. -

Zdarzył się wypadek; lekarze powiedzieli, że należy ją zamknąć. Nie mogłem na to się zgodzić.

Peter zrozumiał. Wysoko postawieni generałowie w Pentagonie nie mogli sobie pozwolić na pewne rodzaje tragedii. Inne tak. Śmierć czy inwalidztwo na polu walki, na przykład. Ale nie taki, nie cierpiąca żona. Żony musiały być w życiu żołnierskim utrzymywane w głębokim cieniu, bez wpływu na mężów.

...gdy na koniec pocałujemy się na dobranoc, jakże nie chcę wychodzić na dwór, w burzę...

Żona MacAndrewa wpatrywała się w Petera. Oczy jej się rozszerzyły, wąskie, blade wargi rozchyliły, a z gardła wydobył się skrzek. Po nim następny. I jeszcze następny. Głowę odrzuciła do tyłu, plecy wygięła w łuk. A wrzask stawał się coraz dzikszy, nieopisanie dziki.

MacAndrew przytulił ją mocno do siebie i spojrzał na Chancellora. Peter cofnął się do gabinetu.

- Nie! - ryknął generał. - Wyłaż! Podejdz do lampy, ustaw twarz w pełnym świetle. W

światle, cholerny durniu!

Peter ślepo i bez wahania wykonał rozkaz. Podszedł do stojącej na niskim stoliku lampy i stanął tak, by całkowicie oświetliła jego twarz. - Już dobrze, Mai. Już dobrze.

Wszystko jest dobrze - mówił uspokajająco MacAndrew, kołysząc się na podłodze z policzkiem mocno przyciśniętym do twarzy żony. Jej krzyki stopniowo cichły. Zmieniły się w szlochanie. Głębokie i bolesne.

- A teraz się wynoś - powiedział do Chancellora.

ROZDZIAŁ 11

Droga z Old Mili Pike zakreślała na zachód od Rockville, nim zawróciła na południe, by doprowadzić do szosy stanowej Maryland, wiodącej do Waszyngtonu. Szosa leżała prawie dwadzieścia mil od domu MacAndrewa. Prowadząca do szosy stara wiejska droga kręciła się i zawracała tam, gdzie trafiała na wielkie, pojedyncze głązy lub skaliste pagórki. Nie była to bogata okolica. Ale była swoistym ustroniem. „Jakże MacAndrew musiał szukać takiego miejsca!” - pomyślał Chancellor. Zachodzące słońce miał teraz wprost przed maską samochodu, przednia szyba rozbłysła oślepiającym światłem. Opuścił przysłonę przeciwsłoneczną; niewiele to pomogło. Znowu pomyślał o scenie, której był świadkiem.

Czemu chora umysłowo kobieta tak histerycznie zareagowała na jego widok? Gdy ujrzała go po raz pierwszy, stał w cieniu. Uspokoiła się, gdy wykonując rozkaz MacAndrewa stanął w pełnym świetle. Czy mógł być aż tak do kogoś podobny? Niemożliwe. Stary dom miał niewielkie okna, a rosnące wokół wysokie i gęste drzewa chroniły przed popołudniowym słońcem. A więc żona generała nie mogła go widzieć wyraźnie. Może nie chodziło o jego twarz. Ale w takim razie o co? I jakie koszmary przywołał jego widok?

Longworth był człowiekiem godnym pogardy, ale udowodnił, że mówi prawdę. Czy mógł istnieć dla szantażu lepszy obiekt, niż poddany bezlitosnej presji nieszczęsny MacAndrew? Jeśliby przyjąć założenie Longwortha, że prywatne teczki Hoovera nadal istnieją i mogą zostać w występny sposób użyte, generał stanowił znakomity dla tego celu obiekt. Jako człowiek Chancellor był oburzony, jako literat gotów do dalszego działania.

Koncepcja okazała się prawidłowa, był materiał na powieść. Miał już pomysł początku, opartego na niedawnych wydarzeniach, a Daniel Sutherland dostarczył mu faktów. I był też przykład możliwych następstw; sam był tego świadkiem.

Poczuł przypływ energii. Znowu chciało mu się pisać.

Z boku nadjechał srebrny samochód. Peter zwolnił, by mu pozwolić się wyminąć w oślepiającym, żółtym świetle słonecznym. „Ten kierowca musi znać drogę” - pomyślał. Tylko ktoś dobrze znający te zakręty mógł wyprzedzać pod słońce.

Ale srebrny wóz go nie wyprzedził. Jechał równolegle, a jeśli Peter nie uległ złudzeniu optycznemu, odległość między nimi jakby się zmniejszała. Peter rzucił okiem w tamtą stronę.

Może kierowca chciał mu coś zasignalizować?

Ale nie chciał... a raczej nie chciała. Samochód prowadziła kobieta. Jej spadające na ramiona, czarne włosy ocieniał kapelusz z szerokim rondem. Nosiła okulary przeciwsłoneczne, a jej usta były plamą czerwonej szminki na zupełnie białej twarzy. Zza dekoltu jej bluzki powiewał pomarańczowy szalik. Patrzyła prosto przed siebie, jakby nieświadoma obecności drugiego samochodu.

Peter kilkakrotnie nacisnął klakson, wozy dzieliły już tylko cale. Kobieta nie zareagowała. Przed nimi pojawił się ostry zakręt w prawo na opadającym stoku pagórka.

Gdyby teraz zahamował, uderzyłby poślizgiem w srebrny samochód. Trzymał mocno kierownicę, by wziąć zakręt, rzucając spojrzenie to na drogę, to na niebezpiecznie bliskie auto obok. Widział teraz wszystko wyraźniej, drzewa zasłoniły słońce. Był to podwójny zakręt.

Obrócił kierownicę w lewo, trzymając lekko nogę na pedale hamulca. Znow w przednią szybę zaświeciły oślepiające promienie; ledwie mógł dostrzec wąwóz za poboczem, na prawo.

Przypomniał sobie, że już go widział przejeżdżając przed godziną w tamtą stronę. Poczł uderzenie! Srebrny wóz uderzył w bok jego samochodu. Próbował go zepchnąć z szosy.

Kobieta próbowała wepchnąć go do wąwozu! Próbowała go zabić!

Tak jak w Pensylwanii! Srebrny wóz był continentalem Mark IV. Ten sam model, którym jechał w burzy owej okropnej nocy. Z Cathy. U podnóża pagórka ciągnął się płaski odcinek drogi. Nacisnął pedał gazu, samochód skoczył nagle do przodu.

Continental dotrzymał kroku; wynajęty chevrolet nie był dla niego równym partnerem.

Dotarli do stóp pagórka, droga była teraz płaska. Chancellor wpadł w taką panikę, że nie umiał już jasno myśleć i wiedział o tym. Mógł po prostu zatrzymać wóz... zatrzymać ten cholerny wóz... i nie potrafił. Musiał uciekać od okropnego srebrnego widma. Nacisnął pedał

do deski. Dyszał nierówno. Odrobinię wyprzedził continental, ale srebrny pojazd także skoczył do przodu, uderzając błyszczącą chłodnicą w jego boczne drzwi.

Czarnowłosa kobieta obojętnie patrzyła przed siebie, jakby nie wiedząc, jaką straszliwą grę prowadzi.

- Przestań! Co ty wyprawiasz! - wrzasnął Peter przez otwarte okno. Kobieta nie zareagowała.

Ale Mark IV został trochę z tyłu. Czy dotarł do niej jego wrzask? Ze wszystkich sił

chwycił kierownicę. Pot spływał mu po rękach i po czole; teraz oślepiało go nie tylko słońce.

Rzuciło nim; głowa poleciała mu do tyłu, a potem uderzyła w przednią szybę. Wstrząs nadszedł z tyłu. Przez lusterko wsteczne widział błyszczącą maskę continental. Raz za razem uderzała w jego

bagażnik. Zjechał na lewą stronę, Mark IV zrobił to samo. Uderzenia następowały jedno po drugim. Peterem rzucało do przodu i do tyłu. Gdyby teraz się zatrzymał, tamten cięższy wóz po prostu by go zmiążdżył.

Nic już nie mógł zrobić. Skręcił gwałtownie w prawo; chevrolet stoczył się z drogi.

Ostatnie zderzenie wprawiło wynajęty samochód w poziomy obrót, tył samochodu znalazł się po lewej z przodu, wóz uderzył w płot z drutu kolczastego.

Ale wydostał się z szosy!

Znów nacisnął akcelerator z całą siłą. Musiał uciekać! Samochód popędził po polu.

Peter usłyszał ohydny, głuchy odgłos uderzenia. Zrobił unik pochylając się nad kierownicą, jego ciało uniosło się z siedzenia. Motor wył na pełnych obrotach, ale chevrolet się zatrzymał.

Zderzył się z wielkim kamieniem na polu. Odruchowo odrzucił głowę do tyłu, z nosa obficie leciała mu krew, mieszając się z potem na twarzy. Przez otwarte okno zobaczył, jak srebrny Continental z wielką szybkością odjeżdża na zachód, po zalanej słońcem płaskiej szosie. Było to ostatnie, co zauważył, po czym jego oczy zamknęły się. Nie miał pojęcia, jak długo trwał pogrążony w ciemnościach. Z daleka usłyszał syrenę. A zaraz potem w oknie pojawiła się postać w mundurze. Wyciągnęła rękę przekręcając klucz w stacyjce.

- Czy może pan mówić? - spytał policjant.

- Tak. Czuję się dobrze. - Peter kiwnął głową.

- Wygląda pan okropnie.

- To tylko krew z nosa - odpowiedział Peter szukając chusteczki. - Czy mam wezwać karetkę pogotowia?

- Nie. Proszę mi pomóc wsiąść. Chcę zrobić parę kroków.

Policjant dopomógł. Peter kulejąc przeszedł się po polu, wycierając twarz i próbując otrzeźwieć.

- Co jest z panem? Proszę o prawo jazdy i dowód rejestracyjny. - To wynajęty wóz -

odrzekł Chancellor wyciągając z kieszeni portfel, a z niego prawo jazdy. - Skąd pan się tu wziął?

- Komisariat dostał telefon od właścicieli gospodarstwa. - Policjant machnął ręką w stronę odległego domu na farmie.

- Tylko zadzwonili? Nie wyszli nawet?

- Dzwoniła kobieta. Jej męża nie było. Usłyszała łomot i warczący silnik.

Okoliczności były podejrzane, więc komisariat powiedział jej, żeby nie wychodziła.

Chancellor potrząsnął głową w zdumieniu.

- Kierowcą też była kobieta.

- Jakim kierowcą?

Peter opowiedział. Policjant wysłuchał, wyciągnął notes i wszystko zapisał.

Gdy Chancellor skończył, policjant jeszcze raz przejrzał notatki. - Co pan robi w Rockville?

Peter nie chciał podawać nazwiska MacAndrewa.

- Jestem pisarzem. Gdy pracuję, często odbywam długie przejażdżki. To odświeża umysł.

Policjant spojrzał na niego znad notesu.

- Proszę zaczekać. Połączę się przez radio.

W pięć minut później wrócił z radiowozu, potrząsając głową. - Jezusie! Kogo to dziś puszczają na szosy! Dostali ją, panie Chancellor. Zgodziło się wszystko, co pan powiedział.

- To znaczy co?

- Wściekłą sukę przyłapali pod Gaithersburgiem. Bawiła się w kotka i myszkę z cholernym furgonem pocztowym! Umiałby pan lepiej? Z furgonem pocztowym! Wsadzili ją do żłobka. Zadzwonili do jej męża. - Kim ona jest?

- Żoną pewnego kupca wozów marki Lincoln Mercury w Pikesville. Karana za prowadzenie po pijanemu. Parę miesięcy temu odebrano jej prawo jazdy. Wyrok w zawieszeniu i grzywna. Jej mąż to gruba ryba. Peter bez trudu pojął ironię tej uwagi. O

dziesięć mil stąd człowiek złamany, zawodowy żołnierz bez przyszłości, tulił w ramionach udręczoną kobietę. O dziesięć, może dwadzieścia mil dalej handlarz samochodami śpieszył

drogą i już miał układy.

- Powinienem pójść do telefonu i zadzwonić do agencji wynajmu w sprawie wozu -

powiedział Chancellor.

- Nie ma problemu - odrzekł policjant sięgając do wnętrza chevroleta. - Wezmę kluczyki. Proszę im podać moje nazwisko, a ja spotkam ich wóz holowniczy. Niech pan im powie, żeby pytali o

Donnelly'ego. Posterunkowy Donnelly w Rockville.

- To bardzo miło z pana strony.

- Wskakuj pan, zawiozę pana do Waszyngtonu.

- Może pan to zrobić?

- Komisariat się zgodził. Wypadek nastąpił w granicach naszego miasta.

Peter spojrzął na policjanta.

- Skąd pan wie, że mieszkam w Waszyngtonie?

Zapytany zmieszał się tylko na chwilę.

- Jest pan jeszcze w szoku. Mówił pan o tym przed paroma minutami. Srebrny Continental zatrzymał się za zakrętem. W oddali coraz ciszej wyła syrena. Wkrótce nie będzie jej słychać, a człowiek w mundurze wykona zadanie. Człowiek wynajęty po to, by podał się za nie istniejącego posterunkowego nazwiskiem Donnelly i przekazał Peterowi Chancellorowi błędną informację. Wszystko było częścią planu, podobnie jak srebrny continental, którego widok powinien przerazić powieściopisarza, budząc w nim wspomnienia nocy, kiedy nieomal został zabity.

Wszystko należało wykonać szybko i dokładnie. Każdą niteczkę prawdy, półprawdy i kłamstwa błyskawicznie spleść w sieć, w której Chancellor nie będzie w stanie ich odróżnić. I na wszystko musiało starczyć kilka dni.

Za klucz miał posłużyć umysł Chancellora. Jego życie potraktowano jako artykuł

jednorazowego użytku. Dobrem nadrzędnym były teczki. Kierowca zdjął kapelusz z szerokim rondem i okulary przeciwsłoneczne. Szybko odkręcił pokrywkę słoika coldcreamu. Z pudełka na siedzeniu wyciągnął kleenex, zanurzył w kremie i tarł usta, aż znikły ślady szminki. Szalik i bluzkę rzucił na podłogę samochodu. Na koniec Varak zdjął długowłosą, ciemną perukę i też położył na podłodze. Spojrzął na zegarek. Było dziesięć po szóstej.

Bravo został zawiadomiony. Wysoki szept prawdopodobnie dotarł do kolejnego obiektu z prywatnych teczek Hoovera. Był taki kongresman, nazwiskiem Walter Rawlins, przewodniczący potężnego Podkomitetu Izby do Spraw Zmian w Budżecie... W zeszłym tygodniu jego zachowanie w parlamencie zaszokowało kolegów. Rawlins był utajonym rasistą, którego nieustępliwy opór przeciw pewnym uchwałom, szczególnie wobec jednej, niewytłumaczalnie się załamał. Nie zgłosił się na kolejne posiedzenia o kluczowym znaczeniu, ani na głosowania, w których pod słowem zobowiązał się uczestniczyć.

Jeśli dotarło do Rawlinsa, Peterowi Chancellorowi można będzie podać kolejne nazwisko.

Podchodząc do wind, Peter przejrzał się w wiszącym w holu lustrze. Wyglądał, jak to słusznie stwierdził posterunkowy Donnelly, paskudnie. Marynarkę miał porwaną, buty zablocone, na twarzy

smugi brudu i zaschniętej krwi. Niezupełnie odpowiadał

przestrzegającym przez hotel HayAdams standardom przyzwoitości i odniósł wrażenie, że recepcjoniści pragną, aby zniknął z holu tak szybko, jak tylko to możliwe. Zgadzał się z nimi.

Potrzebował gorącego prysznicy i zimnego drinka. Czekając na windę dostrzegł zbliżającą się kobietę. Była nią dziennikarka, Phyllis Maxwell, której twarz znał z tuzinów telewizyjnych konferencji prasowych.

- Pan Chancellor? Peter Chancellor?

- Tak. Panna Maxwell, prawda?

- Pan mi pochlebia.

- Pani mi także - odparł.

- Co się panu, na litość boską, stało? Napadnięto pana?

Peter uśmiechnął się.

- Nie, to nie był napad. Mały wypadek.

- Paskudnie pan wygląda.

- Zdaje się, że w tej sprawie panuje powszechna zgoda. Jadę do pokoju, by doprowadzić się do porządku.

Winda nadjechała, drzwi się otworzyły.

- Czy później zgodzi się pan udzielić mi wywiadu? - szybko spytała Phyllis Maxwell.

- Na Boga, dlaczego?

- Jestem dziennikarką.

- Nie jestem tematem dziennikarskim.

- Wręcz przeciwnie, jest pan. Jest pan autorem bestsellerów, a według wszelkiego prawdopodobieństwa przyjechał pan do Waszyngtonu w poszukiwaniu materiałów do kolejnej książki w rodzaju „Przeciwuderzenia!”. Widziałam, jak pan szedł kulejąc przez hol HayAdamsa. Wyglądał pan tak, jakby wyciągnięto pana spod ciężarówki.

- Kuleję nie od dziś, a wypadek nie był poważny - Peter uśmiechnął się. - A gdybym nad czymś pracował, nie powiedziałbym nad czym. - Nawet gdyby pan powiedział, ale zastrzegł sobie

poufność, nie wydrukowałabym tego.

Peter wiedział, że Phyllis mówi prawdę. Pamiętał, jak ojciec nazwał ją jednym z najlepszych korespondentów w Waszyngtonie. Co oznaczało, że ona przestudiowała Waszyngton i że mogła mu powiedzieć rzeczy, których chciał się dowiedzieć.

- Okay - zgodził się. - Za godzinę, dobrze?

- Doskonale. W sali klubowej?

Chancellor skinął głową.

- Okay. Spotkamy się za godzinę. - Wchodząc do windy poczuł się głupio. Omal nie zaproponował jej, by poczekała w jego apartamencie na górze. Phyllis Maxwell była frapującą kobietą.

Pod prysznicem stał prawie dwadzieścia minut, o wiele dłużej niż zazwyczaj. Gdy wpadał w depresję lub podniecenie, w ten sposób przywracał sobie spokój. W ostatnich miesiącach nauczył się takich drobnych tricków, małych przyjemności, pozwalających mu odzyskiwać utraconą na chwilę równowagę. Położył się nago na łóżku, patrząc w sufit i oddychając głęboko. Upłynął potrzebny czas i jego spokój powrócił. Ubrał się w brązowy garnitur sportowy i zjechał na dół.

Siedziała w rogu, przy małym stoliku. W klubie panował taki półmrok, że ledwie ją zauważył; po dłuższej chwili dostrzegł jej piękną twarz oświetloną migoczącymi płomykami świec. Chociaż nie najmłodsza, Phyllis Maxwell była na pewno najprzystojniejszą kobietą na sali. Początek rozmowy był swobodny i przyjemny. Peter zamówił drinki, potem następne.

Rozmawiali o swoich karierach, z których jedna zaczęła się w Erie, Pensylwania, a druga w Chillicothe, Ohio, i doprowadziły do Nowego Jorku i Waszyngtonu. Peter zamówił trzecią kolejną drinków. - Nie powinnam - powiedziała Phyllis zdecydowanie, ale nie dość zdecydowanie. - Nie pamiętam już, kiedy wypijałam trzy drinki na jednym posiedzeniu.

Przeszkadza mi to w moim i tak niedokładnym stenografowaniu. Ale z drugiej strony nie pamiętam, czy robiłam kiedyś wywiad z wybitnie przystojnym... młodym powieściopisarzem

- ostatnie słowa wypowiedziała gardłowym głosem. „Ale jakby nerwowo” pomyślał

Chancellor.

- Nie aż tak przystojnym i - prawdę powiedziawszy - nie aż tak młodym.

- Rzecz w tym, że i ja taka nie jestem. Moje dni lekkomyślnej młodości wypadły w okresie, gdy pan uczył się algebry.

- To jest zarówno niesłychanie protekcyjne, jak oczywiście fałszywe stwierdzenie.

Proszę się rozejrzeć, moja pani. Nie ma tu ani jednej kobiety pani klasy.

- Dzięki Bogu, że jest tak ciemno. W przeciwnym razie musiałabym pana określić jako czarującego kłamcę.

Podano drinki, kelnerka odeszła. Phyllis wyciągnęła notesik. - Nie chce pan mówić, nad czym pracuje. W porządku. Niech mi więc pan powie swoje zdanie o współczesnej literaturze. Czy nowoczesna powieść jest zajmująca?

Peter spojrzał w jej nakrapiane, niespokojne oczy. W blasku świec wydawały się jeszcze większe, a rysy twarzy łagodniejsze. - Nie wiedziałem, że pisuje pani na kolumnę humoru. Czy może zostałem do niej zakwalifikowany?

- Czyżby poczuł się pan dotknięty? Uważam, że to interesujący temat. Co o tym sądzi dobrze zarabiający, pozytywnie recenzowany autor? Przecież wiadomo, że wyraża pan swe opinie bardzo jasno. Trudno je nazwać zabawnymi.

Chancellor uśmiechnął się. Zwięźle wyraża się Phyllis Maxwell. Bez wątpienia potrafi zniszczyć każdego pisarza, który zbyt poważnie traktowałby sam siebie. Peter odpowiadał

ostrożnie. Chętnie zmieniłby temat. Phyllis w tym czasie notowała. Była doświadczoną autorką wywiadów, tak jak się Peter tego spodziewał.

Dopili drinki. Peter wskazał na szklanki.

- Jeszcze?

- Nie, dziękuję! Właśnie pomyliłam się w rodzajniku.

- Czy w stenografii używa się rodzajników?

- Tym bardziej powinnam odmówić.

- Gdzie pani je kolację?

Zawahała się.

- Jestem umówiona.

- Nie wierzę pani.

- Dlaczego nie?

- Nie patrzyła pani na zegarek. Dobrze zorganizowane kobiety spoglądają na zegarki, jeśli są umówione na kolację.

- Nie wszystkie kobiety są jednakowe, młody człowieku.

Peter wyciągnął rękę nad stolikiem i przykrył dłonią jej przegub. - O której jest pani umówiona na kolację?

Zesztywniała pod jego dotknięciem. Po czym szybko podjęła grę. - To nieuczciwe.

- Ejże, o której?

Uśmiechnęła się i mrugnęła.

- O wpół do dziewiątej?

- Może go pani skreślić - odrzekł cofając rękę. - Już zrezygnował i poszedł sobie. Jest dziesięć po dziewiątej. Niestety, musi pani zjeść kolację ze mną.

- Jest pan niepoprawny.

- Zjemy tutaj, okay?

Znów się zawahała.

- Dobrze.

- A może wolałaby pani pójść gdzie indziej?

- Nie, tu mi odpowiada.

Peter wyszczerzył zęby.

- Być może nie będziemy w stanie rozpoznać, gdzie jesteśmy. Skinął na kelnerkę, by dołąła. - Wiem, wiem - powiedział - jestem niepoprawny. A czyja mogę zadać pani parę pytań? Zna pani Waszyngton lepiej niż ktokolwiek inny.

- A gdzie pana notes? - Swój odłożyła do torebki.

- Mam magnetofon w głowie.

- To niezbyt uspokajające. Co chce pan wiedzieć?

- Proszę mi opowiedzieć o J. Edgarze Hooverze.

Na dźwięk tego nazwiska Phyllis ostro i ze złością spojrzała mu w oczy. „Ale w jej spojrzeniu jest coś więcej niż złość” - pomyślał Chancellor. - Był potworem. Mówię źle o zmarłym bez najmniejszych skrupułów. - Tak zły?

- Jak daleko sięgam pamięcią. Jestem w Waszyngtonie od szesnastu lat. Nie pamiętam ani jednego roku, w którym nie zniszczyłby niezwyklej wartości człowieka.

- Mocno powiedziane.

- Bo mocno to przeżywam. Pogardzałam nim. Widziałam, co robił. Był wcieleniem samowolnie szerzonego terroru. Nikt o tym głośno nie opowiedział. I nie sądzę, by to kiedykolwiek miało nastąpić. - Dlaczego by nie?

- Biuro o to zadba. Był panującym monarchą. Następcy tronu nie pozwolą, by jego obraz został zbrukany. Boją się, że zaraza przeniesie się na potomstwo i naprawdę bać się tego powinni.

- Jak mogą to osiągnąć?

Phyllis parsknęła pogardliwym śmiechem.

- Nie „mogą”, lecz osiągnęli. Za pomocą pieców, kochanie. Małe robociki w ciemnych garniturach przetrząsnęły cały swój cholerny budynek, paląc wszystko, cokolwiek i w jakikolwiek sposób mogłoby kiedyś zaszkodzić ich zmarłemu przodkowi. Chcą go kanonizować, to dla nich najlepsza obrona. A potem interes potoczy się jak dawniej. - Jest pani tego pewna?

- Powiadają, ale to tylko pogłoski, iż Clyde zjawił się w domu Edzia, nim ciało wystygło. Mówi się, że on i kilku dworzan przeczesali wszystko, mając ze sobą przenośne krajarki.

- Ten Tolson?

- Tulipan we własnej osobie. A to, czego nie spalił, ukrył. - Czy są świadkowie?

- Tak sądzę - Phyllis zamilkła. Przy stoliku pojawiła się kelnerka. Zamieniła puste szklanki na pełne.

Peter spojrzał na dziewczynę.

- Czy możemy zarezerwować stół w restauracji?

- Zajmę się tym, sir - cofając się odrzekła kelnerka.

- Na nazwisko...

- Wiem, sir. Maxwell. - Kelnerka odeszła.

- No, to robi wrażenie - powiedział uśmiechnięty Chancellor, dostrzegłszy zadowolenie w oczach Phyllis. - Proszę kontynuować. Czy są świadkowie?

Zamiast odpowiedzi pochyliła się nad stolikiem. Jej piersi nieco wysunęły się z dekoltu, przyciągając spojrzenie Petera. Phyllis zdawała się tego nie zauważać.

- Pracujesz nad książką o Hooverze, prawda?

- Nie o nim samym. Nie o jego dziejach, choć i to będzie istotną jej częścią. Potrzebne są mi wszelkie informacje. Opowiedz mi, co wiesz na ten temat. A potem ja wyjaśnię, obiecuję.

Zaczęła mówić w sali klubowej i kontynuowała w restauracji. Była to gniewna opowieść, a gniew był tym większy, że opowiadała dziennikarka. Phyllis nie dawała do druku niczego, co się nie dało udowodnić, ale jakkolwiek niepodważalna była prawda, udowodnić jej nie mogła. Opowiedziała o senatorach, kongresmanach i ministrach zmuszonych do posłuszeństwa wobec Hoovera albo narażających się na jego zemstę. Opisywała, jak mocni ludzie płakali, bo musieli milczeć, a milczeniem się brzydzili. Szczegółowo opisała działania Hoovera po zamordowaniu obu Kennedych i Martina Luthera Kinga. Jego zachowanie było plugawe, jego radość jawna, a odpowiedzialność zafałszowana.

- Prasa jest przekonana, że zataił przed Komisją Warrena materiały dowodowe. Bóg jeden wie, jak ważne; mogły doprowadzić do odkrycia prawdy o Dallas. I o Los Angeles. A także o Memphis. Nigdy się tego nie dowiemy.

Opowiedziała wreszcie, jak Hoover posługiwał się podsłuchem telefonicznym i elektronicznym; były to gestapowskie metody. Nie cofano się przed niczym i nikim, osaczano wrogów i potencjalnych wrogów. Cięto i montowano na nowo taśmy z nagraniami, dowodami winy stawały się odległe skojarzenia, insynuacje, plotki i fałszywe świadectwa. W

miarę słuchania pogarda, jaką Peter odczuwał do Hoovera, przemieniała się w furję. Przez całą kolację Phyllis piła wino, a po kolacji koniak. Skończywszy zapadła w dłuższe milczenie, wreszcie zmusiła się do uśmiechu. Jej złość zneutralizowała w dużej mierze działanie alkoholu; panowała nad sobą, ale nie była całkiem trzeźwa.

- A teraz to, co obiecałeś. A ja obiecałam, że nie wydrukuję. Nad czym pracujesz?

Kolejnym „Przeciwuderzeniem!”?

- Jest tu pewna paralela, jak sądzę. To opowieść oparta na założeniu, że Hoover został zamordowany.

- Fascynujące. Ale niewiarygodne. Kto by się ośmielił?

- Ktoś, kto miał dostęp do jego osobistych teczek. Dlatego pytałem cię, czy istnieją świadkowie spalania lub pocięcia papierów Hoovera. Ktoś, kto na pewno widział, jak były niszczone.

Phyllis osłupiała. Nie odrywała wzroku od Chancellora.

- A jeśli nie zostały zniszczone?

- Właśnie takie założenie przyjąłem. Jako fikcję literacką. - Co masz na myśli? -

Mówiła zimnym, nagle bezbarwnym głosem. - Że ktoś - to oczywiście fikcja - zabił Hoovera, ma teraz owe teczki i jest zdolny do wywierania takiej presji jak on. Nie tylko jest zdolny, ale faktycznie ją wywiera. Dociera do ludzi wpływowych i zmusza ich do posłuszeństwa. Hoover miał obsesję na punkcie seksu, a więc to będzie podstawową bronią. Zawsze jest skuteczna.

Prosty, absolutnie nieodparty szantaż.

Phyllis cofnęła się na krzesło, trzymając dłonie płasko na stole. Peter ledwie ją słyszał.

- Szepcząc przez telefon, panie Chancellor? Powiedz mi, czy to jakiś makabryczny żart?

- Czy to co?

Patrzyła na niego rozszerzonymi, pełnymi niezrozumiałego przerażenia, oczami.

- Nie, tak nie może być - kontynuowała tym samym głosem. Byłam w holu, sama zdecydowałam, że przyjdę. Widziałam ciebie, ty mnie nie widziałeś...

- Phyllis, co się stało?

- Och, wielki Boże, tracę głowę...

Sięgnął przez stół i dotknął jej ręki. Była zimna i drżąca. - Ależ uspokój się! Myślę, że było o jeden koniak za dużo. Błysnęła oczami.

- Czy uważasz mnie za pociągającą?

- Oczywiście, że tak.

- Czy możemy pojechać do twojego pokoju?

Patrzył na nią usiłując zrozumieć.

- Nie musisz tego proponować.

- Nie chcesz mnie, prawda? - zapytała, ale ton jej głosu nie oznaczał pytania.

- Jestem pewien, że bardzo cię chcę. Ja...

Przerwała mu nagle pochyliwszy się do przodu i złapawszy jego dłoń prawie bolesnym uchwytem.

- Weź mnie na górę - powiedziała.

Stała nad nim przy łóżku, naga. Miała jędrne piersi młodej dziewczyny, wąską talię, kusząco zaokrąglone biodra i krągłe, prawie greckie uda. Wziął ją za rękę, zapraszając do łóżka.

Usiadła wdzięcznie, lecz z wahaniem. Puścił jej dłoń i dotknął piersi. Zadrżała i wstrzymała oddech, a potem nagle, niespodzianie schyliła się i przesunęła ręką po jego brzuchu aż do pachwiny.

Bez słowa nakryła go swym nagim ciałem i przycisnęła twarz do jego policzka. Poczuł wilgoć jej łez. Potem odwróciła się na wznak i rozkładając nogi wciągnęła go do siebie.

- Pośpiesz się! Pośpiesz się!

Był to najdziwniejszy stosunek seksualny, jakiego Peter doświadczył w życiu. Przez następne minuty, mgliste, zdumiewające, niewytłumaczalne, kochał się z posłusznym, lecz całkowicie obojętnym ciałem. Z martwym Skończyło się. Peter łagodnie się odsunął, przerzucając nogi na bok, uwalniając jej brzuch, z piersią jeszcze nad jej twardymi, ale nie zdradzającymi żadnego podniecenia piersiami. Przyjrzał się jej ze współczuciem i zdumieniem. Leżała z wyprężoną szyją, twarzą odwróconą i wciśniętą w poduszkę. Powieki miała zaciśnięte, po policzkach spływały łzy. Z gardła wydobywał się stłumiony szloch.

Schylił się i pogłaskał ją po głowie, pieszcząc jej włosy palcami. Zadrżała i mocniej wcisnęła twarz w poduszkę.

- Myślę, że zaraz zwymiotuję - odezwała się zduszonym głosem. - Przykro mi. Czy mogę ci podać wody?

- Nie! - zwróciła ku niemu zalaną łzami twarz, ale nie otworzyła oczu. Wrzasnęła, a był to głośny wrzask: - Ale możesz im powiedzieć! Teraz możesz im powiedzieć!

- To ten koniak - szepnął. Nic innego nie przyszło mu na myśl.

ROZDZIAŁ 12

Najpierw Chancellor usłyszał ptaki. Otworzył oczy i spojrzał na świetlik, który kazał wbudować między grube belki sufitu w swej sypialni. Przez liście wysokich drzew przesiało światło.

Był w domu. Zdawało się, że opuścił go na całe lata. Dzisiejszy ranek był szczególny - pierwszy w jego życiu, kiedy zapragnął popracować we własnym domu.

Wstał z łóżka, włożył szlafrok i zszedł na dół. Wszystko było jak wtedy, gdy stąd odjeżdżał, ale w nieporównanie lepszym porządku. Zadowolony był, że zachował meble poprzedniego właściciela. Były wygodne, w większości drewniane i dom wyglądał na zamieszkały. Przeszedł przez pokój w kierunku drzwi prowadzących do kuchni. Wszystko stało na swoim miejscu, nieskazitelnie czyste. Poczuł wdzięczność dla pani Alcott, wesołej, mimo surowego wyrazu twarzy, gospodyni, którą odziedziczył wraz z domem.

Zaparzył sobie kawę i zabrał ją do gabinetu. Poprzedni właściciel miał tam pracownię, po zachodniej stronie domu, z ogromnymi oknami wychodzącymi na ogród. Wszystkie ściany wyłożone były jasną, dębową boazerią.

W kącie przy drzwiach, obok kserokopiarki, stały w wielkim porządku kartony wydruków norymberskich. Z całą pewnością nie zostawił ich w takim stanie; otwierał je bez wyboru, rozsypując zawartość po podłodze. Zdziwił się, któż mógł zadać sobie aż tyle trudu, by je spakować. Znów przyszła mu do głowy pani Alcott. Albo może Tony z Joshem próbowali uporządkować jakąś część jego życia?

Postanowił, że kartony pozostaną w kącie. Norymberga może poczekać. Miał coś innego do roboty. Podszedł do wielkiego, rozkładanego stołu pod oknem. Były na nim jego narzędzia pracy, wszystkie, jakich potrzebował. Na lewo od telefonu - dwa bloki do pisania, obok nich mosiężny kubek, pełen zatemperowanych ołówków. Przeniósł te przybory na duży stolik do kawy, stojący przed skórzaną kanapą, i usiadł. Nie wahał się ani przez chwilę. Myśli cisnęły mu się tak szybko, jak tylko był w stanie je zapisywać.

Do Anthony'ego Morgana, Wydawcy.

Konspekt: Manuskrypt Hoovera - tytuł roboczy

Prolog mówi o tym, jak znany wojskowy, człowiek sympatyczny, myśliciel w typie George'a Marshalla, wraca z objazdu południowowschodniej Azji. Gotów jest rozpętać piekło w wojskowym establishmencie Waszyngtonu. Dysponuje dowodami, że meldunki o sukcesach są ordynarnie naciągnięte, a co gorsza, dowództwu amerykańskiemu zarzuca niekompetencję i korupcję. Rezultatem nieudolności i zakłamania w Sajgonie jest trwająca na wielką skalę rzeź żołnierzy. Kilku kolegów, którzy wiedzą, do czego ów wojskowy się szykuje, błaga go, by tego nie czynił; twierdzą, że w tym momencie może to doprowadzić do nie szczęścia. Ale jego zdaniem nieszczęście polega na obecnym sposobie prowadzenia wojny.

Z wojskowym kontaktuje się nieznajomy, który przekazuje mu wiadomość, odnoszącą się do wydarzenia sprzed wielu lat. Był to przypadek, wynikający z chwilowego zaćmienia umysłu owego wojskowego wskutek skrajnie stresowej sytuacji. Ale czyn był na tyle drożny, a nawet nieprzyzwoity, że jego ujawnienie zdyskredytowałoby wojskowego i złamało jego reputację, jego karierę, jego żonę i rodzinę.

Nieznajomy domaga się, by wojskowy zniszczył swój meldunek, nie wnosił oskarżeń i zachował milczenie. Sprowadza się to więc do tego, by w sprawach dowodzenia zachowano status quo, rzeź zatem miałaby trwać nadal. Nieposłuszeństwo pociągnie za sobą ujawnienie kompromitujących informacji. Obcy zostawia mu dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

Frustracja wojskowego zostaje doprowadzona do ostateczności, gdy z Sajgonu przychodzi najdłuższa od miesięcy lista poległych. Trzeba podjąć decyzję. Wojskowy cierpi straszliwie, ale nie potrafi się przeciwstawić żądaniu nieznajomego.

W salonie wyjmuje z teki plik dokumentów (dowody oskarżenia, które przywiózł z

południowowschodniej Azji), zgniata je i pali w kominku.

Następuje zmiana odslony. Widzimy, jak nieznajomy wchodzi do ogromnego trezoru w Federalnym Biurze Śledczym. Zbliża się do szafy, otwiera ją i odkłada na miejsce teczkę osobową wojskowego. Zamyka szufladę na klucz.

Na środku przedniej części szuflady znajduje się nalepka z napisem: AL - Własność Dyrektora.

Peter odchylił się na oparcie kanapy i przejrzał zapisane kartki. Ciekaw był, czy MacAndrew rozpozna siebie w tym portrecie. Z tego, co się o nim dowiedział, okoliczności mogły się odnosić do generała. Jego nieobecność w Pentagonie będzie boleśnie odczuwana.

Ale nie przez Pentagon.

W pierwszym rozdziale cztery czy pięć wpływowych osób w rządzie i poza nim zostaje ukazanych w szponach szantażystów, w różnych stadiach wymuszania. Szantażyści zainteresowani są jedynie milczeniem oponentów. Atakują przywódców wielu legalnych organizacji, reprezentujących interesy ludzi niezadowolonych, upośledzonych oraz mniejszości narodowych. Na ich przedstawicieli sypią się oskarżenia, które paraliżują ich działania, a oparte są na odległych skojarzeniach, insynuacjach, plotkach i sfalszowanych świadectwach. Kraj jest na drodze do przekształcenia się w państwo policyjne.

Peter przerwał, zaskoczony napisanymi słowami. „Odległe skojarzenia, insynuacje, plotki i sfalszowane świadectwa”. To były słowa Phyllis Maxwell.

Wrócił do pracy.

Główny bohater będzie się różnić od przyjętego typu bohatera sensacyjnej powieści.

Widzę go jako przystojnego prawnika po czterdziestce, żonatego, z dwojgiem czy trojgiem dzieci. Nazywa się „Alexander Meredith”. Wybił się późno i dopiero w tej chwili zrozumiał, jakie otwierają się przed nim możliwości. Przybył do Waszyngtonu jako czasowo zatrudniony przez Departament

Sprawiedliwości. Jest specjalistą prawa karnego. Ma dużą wiedzę i jest człowiekiem skrupulatnym.

Zaangażowano go, by dokonał oceny sposobów działania niektórych wydziałów Federalnego Biura Śledczego. To zadanie wynikało stąd, że wątpliwe metody, stosowane przez oddziały terenowe Biura, szerzyły się w sposób alarmujący. Nadawano publiczny rozgłos nieuzasadnionym oskarżeniom, mnożyły się nielegalne rewizje i konfiskaty. Prokuratorów zaś zaniepokoiło to, że całkowicie uzasadnione akty oskarżenia były odrzucane przez sąd pod pozorami pogwałcenia konstytucji.

Meredith pracował nad tymi sprawami w Waszyngtonie przez rok i to, co się zapowiadało jako w miarę rutynowe dochodzenie prawne, ujawniło wiele ogłuszająco wybuchowych rewelacji.

W wewnętrznych kręgach FBI prowadzona była potajemna operacja, mająca na celu gromadzenie judzących informacji na temat szerokiego kręgu osobistości oficjalnych i prywatnych. Meredith

dostrzega związek między relacjami prasowymi o tym, jak wpływowi ludzie nagle zachowują się w sposób zdumiewający, i nazwiskami, które wykrył w dokumentacji Biura. Oczywiście są to ofiary szantażu, opisane w rozdziale pierwszym. Dwa przykłady są wstrząsające. Pierwszym jest sędzia Sądu Najwyższego, o którym wiadomo, że jest nienawidzony przez Hoovera. I nagle rezygnuje z pracy w sądownictwie. Drugi to czarny przywódca ruchu w obronie praw obywatelskich, publicznie przez Hoovera potępiony.

Znaleziono go martwego. Popełnił samobójstwo.

Zaalarmowany Meredith zaczyna poszukiwać konkretnych dowodów nielegalnej działalności w łonie FBI. Wkrada się w łaski wyższego rangą, bliskiego Hoovera personelu Biura. Udaje sympatie, których nie odczuwa. Drażni coraz głębiej i głębiej, a to, co stopniowo odkrywa, przeraża go coraz bardziej. Na najwyższym szczeblu Biura działa niewielka grupka fanatyków, ślepo oddanych Hooverowi. Realizują kurs i wykonują rozkazy dyrektora z pełną świadomością, że wiele z nich jest rażąco nielegalnych. Meredith odkrywa istnienie pewnego człowieka, przydzielonego do biura terenowego w La Jolla, Kalifornia, który jest rewolwerowcem Hoovera. Za każdym razem, gdy jedna z wysokich osobistości wykonuje nieprzewidziany ruch, człowiek ten zjawia się na miejscu. Jego rysopis odpowiada

„nieznajomemu” z prologu.

Chancellor odłożył ołówek i dopił kawę. Pomyślał o Alanie Longworthcie, autentycznym rewolwerowcu Hoovera. Longworth pozostawał zagadką. Gdyby przyjąć założenie, że do Malibu przywiodły go wyrzuty sumienia związane ze zdradą popełnioną wobec Hoovera, pozostaje tajemnicą, w jakim celu narażał swoją obecną posadę na Hawajach? Dlaczego, kosztem zagrożenia własnego życia, złamał umowę? Czemu na koniec skierował Petera do Daniela Sutherlanda, który natychmiast zidentyfikował byłego agenta FBI?

Czy poczucie winy Longwortha było tak dojmujące, że przestał dbać o własne korzyści? Czy też jego chęć zemsty była tak potężna, że wszystko inne przestało się liczyć?

Nie zawahał się, by przy tym zniszczyć MacAndrewa. A ponieważ dopuścił się tego, Chancellor nie miał żadnych zahamowań, by go sportretować w powieści.

Meredith kompletuje przerażające dowody. J. Edgar Hoover zebrał kilka tysięcy dossiers najbardziej wpływowych ludzi w kraju. Zawierają wszelkiego rodzaju plotki, półprawdy i kłamstwa. Ale że wśród ludzi niewielu jest świętych, w teczkach aż roi się od udokumentowanych, skrajnie kompromitujących faktów.

Aberracje i upodobania seksualne omawiane są tak szeroko, że ich publiczne ujawnienie może zniszczyć setki mężczyzn i kobiet, którzy poza tym zachowują się odpowiedzialnie, często wzorowo. Istnienie tych teczek jest zagrożeniem dla kraju. A przerażające jest to, że Hoover naprawdę się nimi posługuje. Systematycznie nawiązuje kontakty z dziesiątkami osób, które, jak przypuszcza, są przeciwne jego polityce, i grozi ujawnieniem ich prywatnych słabości, jeśli nie złożą dymisji z zajmowanych stanowisk.

Meredith wie, że przede wszystkim trzeba odpowiedzieć na najbardziej zatrważające pytanie: czy Hoover działa sam, czy ma sprzymierzeńców? Bo jeśli zawarł sojusz ze swymi sprzymierzeńcami ideowymi w organach wywiadowczych, Kongresie czy Białym Domu, Stany Zjednoczone mogą znajdować się w przededniu upadku.

Meredith postanawia zaznajomić z zebranymi dowodami zastępcę prokuratora generalnego. I od tej chwili jego życie staje się wprost nie do zniesienia. Zastępca jest przyzwoitym człowiekiem, choć wielce przerażonym. Ale jak się okazuje, jest on tylko narzędziem: jego najbliżsi pracownicy przekazują do Biura część informacji zebranych przez Alexandra. Zastępca prokuratora generalnego dokonuje ostatniego aktu odwagi: potajemnie przekazuje materiały Mereditha do biura jednego z senatorów.

Peter znów odchylił się na oparcie kanapy i przeciągnął. Miał model do postaci senatora. Mniej niż rok temu mężczyzna ten był czołowym kandydatem swej partii do nominacji prezydenckiej. Jego spojrzenie i niezłomna prawość trzymały w napięciu miliony ludzi. Jego kontrkandydat, którym był starający się o wybór na drugą kadencję prezydent, nie mógł się z nim równać jasnością myśli, głębokością koncepcji i zdolnością ich przekazywania. Jego spokojny, rozumny sposób prezentacji problemów zyskał mu przygniatającą przewagę w całym kraju. I nagle coś się z nim stało. W ciągu paru minut, w śnieżny, zimowy poranek, senator przegrał walkę. Wyczerpany dotychczasową kampanią wygłosił samobójczo nieumiarkowane przemówienie. Zdyskwalifikowało go natychmiast jako kandydata do prezydentury.

Chancellor pochylił się nad stołem i wyciągnął z kubka świeży ołówek. Przeciw Meredithowi zostaje zorganizowany system nękania psychologicznego. Każdy jego ruch jest śledzony; zostaje poddany nieustającej inwigilacji. Jego żonę przesładuje się telefonami: raz obscenicznymi, innym razem grożącymi przemocą fizyczną. Agenci Federalnego Biura Śledczego wypytywają jego dzieci o ojca podczas lekcji i po nich. Nocą przed domem Mereditha parkują samochody; w ciemne okna świecą zapalonymi reflektorami.

Każdy dzień zmienia się w koszmar, a noce są jeszcze gorsze. Chodzi o to, by rzucić cień na wiarygodność ustaleń Mereditha, dyskredytując jego samego. Meredith odwołuje się do władz; próbuje stawić czoło ludziom w Biurze oraz tym, którzy go inwigilują. Rozmawia ze swym kongresmanem. Ale wszystkie jego wysiłki, by przeciwstawić się zastraszaniu, ponoszą fiasko. Jest już o krok od rezygnacji z pracy. Nawet zastępca prokuratora generalnego nie chce z nim rozmawiać. Otrzymał ostrzeżenie. Ukryte nitki Hoovera są wszędzie.

Zauważcie, że użyłem nazwiska „Hoover”. Jak to się powiada, mówię źle o zmarłym bez śladu wyrzutów sumienia...

„Ale to nie się tak powiada” - pomyślał, przerywając na chwilę pracę, Chancellor. -

„To słowa Phyllis Maxwell”.

... i jako znany nikczemnik zamierzam powiedzieć to w książce. Nie widzę powodu, by choć odrobinę maskować jego tożsamość za pomocą takich nonsensów, jak „J. Edwin Haverford, pretor Federacyjnej Branży Specjalnej”. Chcę go nazwać po imieniu - był

groźnym megalomanem, który powinien być zostać wypędzony ze stanowiska przed dwudziestu laty. Potwór... Znowu Phyllis Maxwell. Pomyślał, że dziennikarka nakreśliła tak wyrazisty, groteskowy portret, że na równi z relacją Longwortha stał się on punktem wyjścia dla powieści. Jej wściekłość była zaraźliwa. ...którego taktyka bardziej pasowała do Trzeciej Rzeszy niż do demokratycznego społeczeństwa. Chcę, aby ludzi oburzyły manipulacje dokonywane przez J. E d g a r a Hoovera. (Pokaż to więc lepiej radcy prawnemu - Steve prawdopodobnie zostanie dotknięty apopleksją i rozpocznie coś na kształt poszukiwania spadkobierców, by odkryć ewentualnych krewnych mogących wytoczyć proces o zniesławienie).

Omówiony dotychczas materiał zamknie się w sześciu rozdziałach, około jednej trzeciej objętości książki. Od tego momentu centrum zainteresowania przesunie się od Mereditha do ofiar Hooverowskiego szantażu. Przede wszystkim znajdzie się wśród nich senator.

Ponieważ szantażowani są ludzie o znacznych wpływach w kręgach rządowych, prawdopodobne jest, że dwóch z nich nawiązuje kontakt. Będzie to wspomniany senator i mówiący wszystko bez ogródek członek rządu, który przeciwstawił się prezydentowi i został

zmuszony do rezygnacji. Wyobrażam sobie taką scenę, w której dwóch mocnych ludzi przyznaje się wzajemnie do bezsilności wobec ataków Hoovera. Dwaj wartościowi giganci, osaczeni przez starzejącego się szakala.

Ale z ich spotkania wynika coś pozytywnego. Dochodzą do oczywistego wniosku: jeśli Hoover potrafił zamknąć usta im, potrafi to zrobić z innymi. Organizują więc małą grupkę mężczyzn...

Peter uniósł ołówek znad papieru. Przypomniał sobie słowa Daniela Sutherlanda, odnoszące się do grupy waszyngtońskiej: I kobiet, panie Chancellor. Ale jakiego rodzaju kobiety byłyby tu werbowane? Albo dobierane? Uśmiechnął się do siebie. A czemuż by nie dziennikarka? Postać wzorowana na Phyllis Maxwell. Ale niepodobna do niej. W książce kobieta powinna paść ofiarą szantażu, nim zostanie wybrana w skład grupy. To miało zasadnicze znaczenie.

...i kobiet w celu obrony przed podstępными atakami

Hoovera. Znajdują punkt wyjścia: rewolwerowiec Hoovera.

Kontaktują się z agencjami wywiadowczymi i potajemnie otrzymują od nich wszystkie informacje, jakie udaje się zgromadzić o tym człowieku. Teczka osobowa, przebieg służby, wyciągi z konta bankowego, zdolność kredytowa - wszystko, co możliwe.

Chancellor przerwał pisanie. I znów powróciła zagadka, zwana Longworthem.

Sutherland powiedział, że odwołali się do sumienia agenta i odplacili mu ciepłą posadką na Manui oraz gwarancją bezpieczeństwa. Wszystko to zapewne było możliwe, ale co w tym czasie robił Hoover? Po prostu usiadł na tyłku mówiąc: „Ależ oczywiście, Alan, drogi chłopcze. Przpracowałeś dwadzieścia lat, zasłużyłeś na emeryturę, więc moje najlepsze życzenia z okazji odejścia ze służby?”

Nieprawdopodobne. Taki Hoover, jakiego Chancellor poznał z opowiadań, raczej kazałby zabić

Longwortha, niż zgodził się na jego zwolnienie.

Wyjaśnienie musiało być inne.

Grupa senatora nawiązuje kontakt z rewolwerowcem. Zostaje zwerbowany za pomocą całej kombinacji nacisków. Trzeba więc sfabrykować orzeczenie lekarskie. Mężczyzna zaczyna się skarżyć na uporczywe bóle brzucha i zostaje skierowany do szpitala Waltera Reeda. Hoover otrzymuje „świadectwo lekarskie”: agent ma raka dwunastnicy. Przerzuty są tak rozległe, że uniemożliwiają operację; nie daje mu się więcej niż kilka miesięcy życia.

Hoover nie ma wyboru. Zwalnia agenta ze służby w przekonaniu, że człowiek wraca do domu, by umrzeć.

W ten sposób zostaje utworzone jądro antyhooverowskie.

„Emerytowany” agent zostaje umieszczony w odosobnieniu, gdzie podejmuje pracę.

Tu zostanie wykazane, że miał on nie tylko dostęp do teczek Hoovera, ale sam będąc raczej oportunistą niż świętym, grzebał się w nich z zapalem urzędnika KGB w okresie czystki.

Agent przekazuje antyhooverowskiej grupie setki nazwisk i życiorysów. Nazwiska i fakty wiążą się z innymi nazwiskami i dodatkowymi faktami. Zostaje sporządzona lista podstawowa potencjalnych ofiar.

Jej zakres jest przerażający. Należą do nich nie tylko wpływowi ludzie wszystkich trzech zakresów władzy, ale także czołowi przedstawiciele przemysłu, związków zawodowych, świata nauki i środków masowego przekazu.

„Jądro” - taką nazwę przyjmuje grupa waszyngtońska musi działać natychmiast.

Organizuje się poufne spotkania. Agent zostaje wysłany do dziesiątek osób, by je przestrzec przed teczkami Hoovera. Strategia tego działania zostanie opisana w szeregu szybko następujących, krótkich scen. Nie będę tu podawał bliższych danych. Wprowadzenie dużego zespołu nowych postaci byłoby ciężko strawne.

Jeśli idzie o główne postacie, opiszę je niżej. W tej chwili chcę dokończyć sprawę fabuły.

Peter wziął nowy ołówek.

Punkt zwrotny stanowią dwa wydarzenia. Pierwszym jest nawiązanie przez „Jądro” kontaktu z Alexandrem Meredithem. Drugim - decyzja dwóch lub trzech członków „Jądra” o zamordowaniu Hoovera.

Do takiej decyzji będzie się dochodzić stopniowo; ci ludzie nie są zabójcami.

Wreszcie decydują się uznać morderstwo za rozwiązanie do przyjęcia, i to staje się nieodwracalnie ich słabym punktem. Informacja o tym dociera do Mereditha, który ma świadomość, że taką decyzję podjęli ludzie wybitnie inteligentni. Wszelkie jego ideały zostają poddane ostatecznej próbie. Dla niego morderstwo nie może być rozwiązaniem. W ten sposób znajduje się między młotem a kowadłem: fanatykami w Biurze a fanatykami z „Jądra”.

Jego wysiłki, by zapobiec morderstwu, a równocześnie zdemaskować łamanie prawa przez Biuro, opisywane pod koniec książki, nadają jej tempa w miarę zbliżania się do finału.

Literacko najtrudniejszym aspektem fabuły będzie to, co wzbudza grozę w Aleksie Meredithu: decyzja dwóch lub trzech naprawdę niezwykłych ludzi, by przyjąć morderstwo za dopuszczalne rozwiązanie.

Wszystkie klocki muszą tu pasować z pełną logiką, aby stało się jasne, że nie ma innego wyjścia. Myślę, że moment akceptacji morderstwa nadejdzie wraz z dwoma faktami, które zaczerpnę w odpowiedniej „aranżacji” - z najnowszych wydarzeń: wycofania się z wyścigu do prezydentury człowieka najbardziej odpowiedniego na to stanowisko oraz rezygnacji wybitnego, postępowego sędziego Sądu Najwyższego.

„Jądro” rozpoznaje w obu tych katastrofalnych wydarzeniach rękę J. Edgara Hoovera.

Szkody wyrządzone państwu są nie do naprawienia.

Pod naciskiem ręki złamał się koniec ołówka, którym pisał. Petera znów ogarniała złość, ale próbował się opanować. Wściekłość będzie na miejscu później, w czasie pisania książki. Teraz był czas na myślenie.

W rzeczywistości rozwiązanie było pokojowe. Śmierć szaleńca i zniszczenie jego jadowitych teczek pozwoliło „Jądru” - oczywiście jeśli Sutherland miał słuszość - na samorozwiązanie. Alarm odwołano. Takie były fakty. Ale Chancellor nie zajmował się prawdą historyczną. Co uczyni grupa zaniepokojonych, uczciwych ludzi w obliczu upadku systemu kontroli i równowagi, tak podstawowego dla demokratycznego systemu rządów?

Czy taka grupa weźmie pod uwagę wykonanie wyroku? Zabójstwo?

W pewnym sensie nie będzie miała wyboru. Ale podejmując takie działanie, jej członkowie zniżą się do poziomu, jaki reprezentuje zamordowany. Dlatego nie wszyscy powinni się godzić na tego rodzaju rozwiązanie, a ono nie może być przedmiotem otwartej propozycji. Ale dwóch czy trzech może to uważać za jedyną możliwą do podjęcia decyzję. I na tym będzie polegać podstawowa skaza „Jądra”. Morderstwo to morderstwo; jego definicja zmienia się tylko w określonych warunkach wojennych. Ci, którzy posługują się morderstwem jako rozwiązaniem, w ostatecznym rachunku nie są lepsi od swojej ofiary. W

łonie „Jądra” znalazły się dwie czy trzy osoby, które bez zastrzeżeń staną się zabójcami. Tak to sobie Peter wymyślił jako fikcję literacką.

W składzie „Jądra” znalazło się dwóch mężczyzn, a może także i kobieta (możliwości dramaturgiczne rysują się tutaj interesująco). Są na wysokich stanowiskach, wierni zasadom przyjętym przez resztę grupy. Obserwujemy jednak, jak ich punkt widzenia ulega stopniowej przemianie. Wynika to z frustracji i lęku, z autentycznej nienawiści do postępków Hoovera oraz widocznej nieskuteczności działań „Jądra”. Sprawę doprowadza do punktu kulminacyjnego manipulacja z wyborami prezydenckimi i zmiana składu Sądu Najwyższego w taki sposób, by stał się narzędziem represji. Ludzie „Jądra” zostali przyparci do muru; nie mają innego wyboru. Pozostało tylko morderstwo.

Ale to oznacza przecięcie wrzodu tylko do połowy, drugą połowę są teczki Hoovera.

Trzeba je przejąć. Nie można pozwolić, by po jego śmierci wpadły w ręce jego następców.

Dlatego owi rebelianci wewnątrz „Jądra” opracowują plan wykonania wyroku i kradzieży. Uważam, że należy je opisać w skrótowym, dokumentalnym stylu, zwiększając napięcie pomysłowością samego planu, który jednak może w jednej chwili zostać zburzony przez najmniejszy błąd, popełniony w zakresie koordynacji działań.

W obecnej chwili nie chciałbym dalej prowadzić fabuły.

Peter rozprostował ramiona, krzywiąc się od przeszywającego bólu w lewym barku.

Ale nawet tego nie zauważył, tak bardzo był skupiony na leżącej przed nim kartce. Teraz się dopiero zaczyna: postacie. Najpierw były cienkimi, bezkształtnymi widmami, powoli nabierającymi zarysów. A potem nazwiska. Zgodnie ze swym zwyczajem zamierzał

naszkić coś w rodzaju obsady sztuki, poświęcając każdej postaci nie więcej niż dwie strony, wiedząc, że każda z nakreślonych poprowadzi do dalszych - do swych wrogów i przyjaciół, znanych i nieznanym. Postacie rodziły następne postacie, nic prostszego.

Poza tymi, które już zarysował - wojskowym z prologu, Alexandrem Meredithem, rewolwerowcem Hoovera, senatorem i ministrem - przede wszystkim musi oblec w ciało postacie z grupy „Jądro”. Będzie do niej należało liczne grono osób spoza rządu: naukowiec, może prawnik. I bez wątpienia jeden sędzia, ale nie Murzyn; tego zrobić nie mógł. Istniał

tylko jeden Daniel Sutherland. I kobiety. Trzeba je będzie dokładnie obmyślić. Musi się oprzeć pokusie nakreślenia postaci powieściowej zbyt podobnej do Phyllis Maxwell. Ale pewne jej rysy znajdą się w książce. Pochylił się nad stołem i zaczął.

Jest człowiek po siedemdziesiątce, adwokat nazwiskiem...

Nie mógłby określić, jak długo pisał. Czas płynął niepostrzeżenie, a Peter całkowicie skoncentrował się na pracy. Słońce stało wysoko na niebie, przez okno wpadały strumienie światła.

Peter spojrzął na kartki wydarte z bloku; naszkicował nie mniej niż dziewięć postaci.

Rozsadzała go energia; był szczęśliwy z tego powodu ponad wszelki wyraz, bo wreszcie odzyskał władzę nad słowami. Zaskoczył go dzwonek telefonu. Musiał przejść przez cały pokój, by podnieść słuchawkę.

- Halo?
- Czy to pisarz Chancellor? Peter Chancellor? - Człowiek po drugiej stronie mówił ochryplym głosem z południowym akcentem. - Tak. Tu Peter Chancellor.
- Co pan próbuje wyczyniać na mój temat? Nie ma pan prawa... - Kto mówi?
- Cholernie dobrze pan wie, kto mówi.
- Niestety nie.
- Zabawneee. Pański przyjaciel, Longworth, przyjechał do mnie do Waszyngtonu.
- A l a n Longworth?
- A jakże. A pan poluje nie tam, gdzie trzeba. Chce pan znowu zacząć rok 1861 w wersji dla czarnuchów, no to jazda. Ale lepiej, żebyś pan wiedział, w co się pakujesz.
- Nie mam najbledszego pojęcia, o czym pan gada. I kto, do cholery, mówi?
- Kongresman Walter Rawlins. Dziś mamy czwartek. Będę w Nowym Jorku w sobotę.

Spotkamy się.

- Doprawdy?
- Tak. Nim nam obu wsadzą po kulce w nasze durne pały.

ROZDZIAŁ 13

Zrobił to, czego się nigdy przedtem nie dopuścił: zaczął pisać książkę, nim Morgan zaakceptował konspekt. Nic nie mógł na to poradzić. Słowa same wyskakiwały mu z głowy i padały na papier.

Z lekkim poczuciem winy Peter przyznał się przed sobą, że to nie ma żadnego znaczenia. Powieść była wszystkim. Dzięki powieści potwór nazwiskiem Hoover zostanie zdemaskowany. Dla Chancellora było ważne, i to ważniejsze niż cokolwiek, za co brał się wcześniej, by legenda Hoovera została ukazana w świetle prawdy. I to tak szybko, jak tylko możliwe, po to, by nic podobnego nie mogło się już powtórzyć. Ale musiał przerwać pracę na jeden dzień. Zgodził się na spotkanie z Rawlinsem. Nie chciał tego robić; powiedział

kongresmanowi, że niezależnie od tego, co Alan Longworth mu powiedział, czy jakkolwiek mu groził, agent nie jest jego przyjacielem. Peter nie chciał mieć z nim nic więcej wspólnego.

Cztery dni temu, gdy Rawlins telefonował, Longworth był w Waszyngtonie. Nie wrócił na Hawaje. Znowu zagadka. Dlaczego?

Chancellor postanowił, że noc spędzi w swym nowojorskim apartamencie. Obiecał

Joshui Harrisowi, że zjedzą razem kolację. Poprowadził samochód na północ, starą drogą równoległą do brzegów Delaware, przez Lambertville, skręcającą na zachód z bocznej długiego wzgórza aż do szosy 202. Jeśli trafi na niewielki ruch na wiejskiej drodze, dotrze do autostrady za trzy kwadranse, a z rogatki nr 14 do Nowego Jorku było tylko pół godziny.

Ruchu prawie nie było. Na szosę ostrożnie wjeżdżały z ziemnych bocznych dróg ciężarówki z sianem lub mlekiem. Petera zaczęły wyprzedzać samochody osobowe z komiwojażerami, którzy ukończyli dzienny objazd terenu i spieszyli do najbliższego motelu.

„Gdybym miał ochotę, mógłbym prześcignąć wszystko na szosie” - pomyślał, głaszcząc grubą kierownicę. Miał mercedesa 450 SEL.

Wybór samochodu podyktował mu strach. Cięższego wozu nie było. Tak się zdarzyło, że do natychmiastowej sprzedaży był samochód z ciemnoniebieską karoserią. I tak było dobrze; każdy kolor poza... Srebrnym?

Srebrny! Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Z tyłu, za nim! Widoczny w szerokim, wypukłym lusterku bocznym, powiększony krzywizną lustra, z ogromną, błyszczącą chłodnicą! Srebrny samochód! Srebrny Continental!

To był omam wzrokowy. Musiał być! Bał się spojrzeć do tyłu na kierowcę. Nie potrzebował tego robić; wóz zrównał się z jego samochodem, kierowca był dobrze widoczny.

To była kobieta! Ta sama kobieta! O dwieście mil od tamtego miejsca! Szeroki kapelusz, ciemne, długie włosy, okulary przeciwsłoneczne, biała skóra z krwawoczerwonymi wargami, pomarańczowy szalik. To było szaleństwo!

Przycisnął gaz z całej siły, mercedes skoczył do przodu. Żaden wóz nie mógł mu dorównać!

Ale continental potrafił. Bez wysiłku. Bez wysiłku! A jego makabryczna właścicielka patrzyła prosto przed siebie. Jakby nie działo się nic dziwnego, nic niezwykłego. Prosto przed siebie! Pustym wzrokiem. Peter rzucił okiem na szybkościomierz. Wskazówka wahała się około setki mil. Jezdnia była tu dwupasmowa, wozy z przeciwnego kierunku przelatowały jak ciemne smugi. Wozy. Ciężarówki! Tuż przed nim jechały dwie ciężarówki, jedna za drugą, po długim łuku zakrętu. Chancellor zmniejszył gaz; poczeka, aż będzie bliżej.

Teraz! Nacisnął hamulec, continental wystrzelił do przodu, skręcając na prawy skraj szosy, by mu zablokować przejazd.

I znowu teraz! Kopnął akcelerator, skręcił kierownicę zjeżdżając na lewą stronę. Gdy mijiał straszliwą srebrną zjawę i kierującą nią szaloną kobietę, jego silnik ryczał na najwyższych obrotach.

Z piskiem opon, z lewymi kołami na środkowym trawniku, przeleciał zakręt obok ciężarówek. Obaj kierowcy zgłupieli.

R i n g o s. Na drogowskazie napisane było R i n g o s!

Rok temu do miejscowości o takiej nazwie przyszła śmierć, gdy oszalały rewolwerowiec otworzył ogień.

Strzelanina w Corralu O.K.

Dlaczego o tym pomyślał? Dlaczego tak bolała go głowa?

Buffalo Bill nie żyje...

Jezu, ależ to był przystojniak

...e.e.cummings. Czemu przyszedł mu do głowy e.e.cummings? Co tu się działo?

Głowa mu pękała.

Daleko przed sobą, może o całą milę, ujrzał zawieszony w powietrzu krąg pomarańczowego światła. Przez chwilę nie mógł zrozumieć, co to takiego.

Było to światło drogowe na skrzyżowaniu szos. Trzy wozy przed nim zmniejszyły szybkość, jeden z lewej, dwa z prawej strony. Nie miał miejsca, by je wyminąć. Były już o pół mili. Zwolnił.

O, Boże! Znów tu jest!

Continental zbliżał się błyskawicznie, jego maska powiększała się we wstecznym lusterku. Ale światła były tuż przed nimi, oba wozy będą musiały się zatrzymać.

Musiał się opanować, opanować ból głowy i zrobić, co było do zrobienia. Trzeba położyć kres szaleństwu!

Skręcił na prawo, tuż za dwoma samochodami, czekając na ruch continentala. Ten wsunął się na lewy pas za pojedynczym wozem, zatrzymując się dokładnie obok mercedesa.

Chancellor szarpnął za klamkę. Wyskoczył. Podbiegł do continentala i spróbował otworzyć drzwi. Te jednak były zablokowane. Zaczął walić pięściami w szybę.

- Kim pani jest? C o pani wyprawia?

Obojętna twarz, a raczej makabryczna maska zamiast twarzy, trwała w bezruchu.

Żadnej reakcji.

Peter szarpnął klamkę i trzasnął dłonią w okno.

- Nie może mi pani tego robić!

Kierowcy pozostałych wozów zaczęli wyglądać przez okno. Światło zmieniło się na zielone, ale nikt nie ruszył z miejsca.

Chancellor obiegł samochód do okna po stronie kierowcy, szarpał za klamkę, bił w szybę.

- Ty wściekła suko! Kim jesteś? Czego chcesz?

Straszliwa biała twarz, przysłonięta włosami, w okularach i kapeluszu, odwróciła się ku niemu. Była maską, kamienną i okropną. Biały puder i zaciśnięte, wąskie wargi podkreślone krwawą czerwienią. Miał przed sobą jakiegoś ogromnego, plugawego owada pomalowanego jak upiorny kłown.

- Psiakrew, odpowiadaj! Odpowiadaj!

Najmniejszej reakcji. Najmniejszej, tylko to przerażające spojrzenie maski przerażającej twarzy.

Stojące samochody zaczęły ruszać. Peter usłyszał zapuszczane silniki. Trzymał się klamki, zahipnotyzowany makabrycznym widokiem. Znowu trzasnął pięścią w okno.

- Kto...?

Silnik continentala ryknął. Klamka wyrwała mu się z ręki. Mark IV runął do przodu, mijając skrzyżowanie i niknąc w oddali.

- Ty zasańcu! Rozwalę ci łeb! Skurwysynu!

Te wściekle wykrzyczane słowa nie wydobyły się z jego ust. Pierwsza z dwóch ciężarówek, które tak wariacko wyminął na zakręcie szosy, zatrzymała się o dwadzieścia jardów od niego. Drzwiczki nad stopniem wejściowym do kabiny otworzyły się i wygramolił

się z niej barczysty mężczyzna, dzierżąc w dłoni potężny klucz francuski.

- Ty sukinsynu! O mały włos, a zepchnąłbyś mnie z szosy!

Peter pokuśtykał do mercedesa. Rzucił się na siedzenie, zatrzasnął drzwi i zablokował.

Kierowca był już o metr od samochodu. Wymachiwał kluczem nad głową.

Silnik mercedesa był zapalony. Chancellor chwycił drążek biegów i pociągnął do tyłu, mocno naciskając pedał gazu i trzymając kierownicę. Potęga 450 SEL niemal wyrzuciła go za pobocze.

Peter przekreślił kierownicę w lewo, wyprostował ją i pognął przed siebie.

To było widmo. Przeklęte widmo!

Przez ponad godzinę siedział samotnie w salonie swego apartamentu. Jedynym źródłem światła była stojąca na fortepianie lampa. Przez uchylone okno wpadały nocne odgłosy Nowego Jorku. Brakowało mu powietrza, a napływające głosy uspokajały. Jeszcze ciągle się pocił, choć w pokoju było zimno.

Musi opanować panikę. Musi pomyśleć. Ktoś chce pozbawić go zdrowych zmysłów.

Musi się obronić, wytropić tę straszliwą maskę. Powinien się cofnąć - aż do wiejskiej drogi w Marylandzie, gdzie okropna twarz ukazała się po raz pierwszy.

Jak nazywał się ten policjant w Rockville? Connelly? Donovan? Podał jego nazwisko agencji wynajmu samochodów na lotnisku Dullesa; może tam zadzwonić i ustalić je. A potem zatelefonować do policjanta i zapytać go...

Zadzwonił telefon. Drgnął i podniósł się z fotela. Na pewno dzwoni ten kongresman z Wirginii, nikt inny nie wie, że Peter jest w mieście. Rawlins powiedział, że zadzwoni wieczorem, aby ustalić czas i miejsce spotkania.

- Halo?

- Peter?

Dzwonił Joshua Harris. Chancellor zupełnie o nim zapomniał. - Oj, przepraszam, mój stary. Miałem trochę problemów. Dopiero wróciłem.

- Co się stało? - spytał Harris mocno zaniepokojonym głosem. - Ja... - Nie, nie powie Joshui. Nie teraz. Wszystko tak się poplątało. - Nic ważnego. Wóz nawalił. Naprawa trwała dłużej, niż myślałem. Gdzie jesteś?

- Właśnie miałem wyjść do restauracji. Do „Richelieu”, pamiętasz? Przypomniał

sobie. Ale nie byłby w stanie wysiedzieć spokojnie przy posiłku w eleganckiej restauracji.

Dostałby fioła, szarpany sprzecznymi chęciami zwierzenia się swemu agentowi literackiemu i przemilczenia wszystkiego.

- Czy nie obrazisz się, jeśli odłożymy to o jeden dzień, naturalnie pod warunkiem, że jutro masz czas? Prawdę powiedziawszy, zacząłem pracę o wpół do piątej rano i pisałem do czwartej po południu. A potem jazda... Jestem zupełnie wypruty.

: Więc idzie o książkę o Hooverze?

- Idzie lepiej i szybciej, niż mogłem się spodziewać.

- To świetnie, Peter. Winszuję ci. Ale dziwna rzecz, Tony mi o tym nie powiedział.

- Bo on jeszcze nie wie - przerwał spokojnie Chancellor. - To najdłuższy konspekt, jaki kiedykolwiek spłodziłem. Będzie musiał poświęcić parę dni na przeczytanie.

Dlaczego właściwie nie przyznał się, że już zaczął tę cholerną książkę? - Oczywiście przyniesiesz mi kopię - powiedział Harris. - Nie zawsze wam dwóm można ufać tylko na słowo.

- Jutro wieczorem, obiecuję.

- Więc jutro wieczorem. Przesunę rezerwację. Dobranoc, Peter. - Dobranoc. -

Chancellor powiesił słuchawkę i podszedł do okna, wychodzącego na Siedemdziesiątą Pierwszą Ulicę. Było to spokojne miejsce, ulica wysadzana drzewami. Miejsce, które przywodziło na myśl dawne czasy w tym mieście.

Patrząc przez okno zdał sobie sprawę z tego, że staje mu przed oczami zupełnie inny obraz. Wiedział, że jest nierzeczywisty, ale nie umiał go wymazać. Obraz makabrycznej twarzy w continentalu. Widział wyraźnie tę okropną maskę! Przylepiona do szyby, zwrócona ku niemu, z niewidocznymi oczami ukrytymi za ogromnymi okularami, krwawoczerwonymi ustami precyzyjnie wyrysowanymi na oblepionej warstwą białego pudru twarzy. Peter zamknął oczy i podniósł rękę do czoła. Co zamierzał zrobić, nim Josh zatelefonował? To miało coś wspólnego z tym okropnym obrazem na szybie. I telefonem. Miał gdzieś telefonować.

Telefon zadzwonił. Ale przecież dzwonił przed chwilą. Nie mógł tego słyszeć ponownie.

Dzwonił. Jezu! Musi się położyć; bolą go skronie i nie jest pewien... Odebrać telefon.

Kulejąc przeszedł przez pokój.

- Chancellor?

- Tak.

- Rawlins. Czy rano jest pan do rzeczy?

- Czy to miał być dobry dowcip?

Hę?

- Rano pracuję.

- To mnie nie obchodzi. Zna pan miejsce w Nowym Jorku, zwane Klasztorem?

- Tak - Peterowi zaparło dech. Czy to też był makabryczny żart? Klasztor był

ulubionym miejscem Cathy. Przez ileż słonecznych niedziel spacerowali po jego trawnikach?

Ale Rawlins nie mógł tego wiedzieć. A może mógł?

- Niech pan tam będzie jutro rano o piątej trzydzieści. Proszę wejść zachodnią bramą, będzie otwarta. Stamtąd jakieś czterysta stóp ścieżki prowadzi na otwarty dziedziniec. Tam się spotkamy. - Telefon zamilkł. Południowiec wybrał dziwne miejsce i jeszcze dziwniejszą porę. Tak mógł wybierać tylko człowiek przerażony. Alan Longworth znowu posiał strach.

Trzeba będzie wreszcie zatrzymać tego „emerytowanego” agenta, tego trapionego wyrzutami sumienia rewolwerowca.

Ale nie czas było myśleć o Longworcie. Peter czuł, że musi odpocząć. Do piątej trzydzieści nie pozostało wiele czasu.

Przeszedł do sypialni, zrzucił buty i rozpiął koszulę. Usiadł prawie na samym brzegu łóżka. Przechylił się bezwolnie do tyłu, głowę wtulił w poduszkę.

I nadeszły sny. Koszmarne.

Trawa była mokra od rosy; wschodni nieboskłon pobierał od wstającego słońca.

Wokół stały posągi lub ich resztki, a poskręcane, sękate drzewa wyglądały, jakby je tu przeniesiono z minionych stuleci. Brakowało tylko dźwięku lutni lub miłych głosów, śpiewających madrygały. Chancellor odnalazł ścieżkę. Była obramowana kwiatami i prowadziła przez mały pagórek w stronę kamiennego muru, w którym z bliska można było rozpoznać przeniesiony tu wirydarz trzynastowiecznego francuskiego klasztoru. Podeszedł

bliżej i znalazł się przed zabytkową, sklepioną bramą. Na dziedzińcu stały marmurowe ławki i artystycznie rozrzucone miniaturowe drzewka. Panowała niesamowita cisza. Czekał. Płynęły minuty, światło świtu lekko pojaśniało, dostatecznie, by rozblęła w nim biel marmurów.

Peter spojrzął na zegarek. Była za dziesięć szósta. Rawlins spóźnił się już dwadzieścia minut. A może kongresman ostatecznie zdecydował się nie przychodzić? Tak bardzo się bał?

Peter wzdrygnął się i spojrzął za siebie. Szept dochodził z kępy krzewów odległej o jakieś dziewięć metrów, otaczającej szeroki, stojący w trawie cokół. Na jego szczycie postawiono rzeźbioną głowę jakiegoś średniowiecznego świętego. Z półmroku wyłoniła się postać. - Rawlins? Jak długo pan tam siedzi?

- Jakież trzy kwadransy - Rawlins podeszedł do Petera, ale nie wyciągnął ręki na powitanie.

- Dlaczego czekał pan tak długo? - spytał Peter. - Ja tu jestem od wpół do szóstej.

- Od piątej trzydzieści trzy - sprostował południowiec. - Czekałem, by sprawdzić, czy jest pan sam.

- Jestem. Możemy rozmawiać.

- Raczej przejść się.

Ruszyli ścieżką prowadzącą od cokołu w dół.

- Coś nie tak z pana nogą? - zapytał Rawlins.

- Stara kontuzja futbolowa. Albo rana wojenna. Może pan wybierać. Nie chcę spacerować. Chcę usłyszeć, co pan ma do powiedzenia. Nie ja prosiłem o to spotkanie i czeka na mnie praca.

Rawlins poczerwieniał na twarzy.

- Tam jest ławka.

- Były też ławki na dziedzińcu.

- I być może mikrofony.

- Ma pan fioła. Longworth także.

Póki nie dotarli do biało malowanej ławki z kutego żelaza, kongresman nie odpowiedział.

- Longworth jest pańskim współnikiem, prawda? W tym waszym szantażu. - Rawlins usiadł. Białe światło padło na jego twarz, z której znikła zadziorność widoczna przed chwilą.

- Nie - odparł Peter. - Nie mam współnika i nie zajmuję się szantażem.

- Ale pisze pan książkę.

- Bo z tego żyję. Pisuję powieści.

- Oczywiście. Dlatego chłopcy z Centralnej Agencji Wywiadowczej musieli oddać całą kupę obsranej bielizny do nocnej pralni. Słyszałem o jednej pod tytułem

„Przeciwuderzenie!”.

- Myślę, że pan przesadza. Co chciał mi pan powiedzieć?

- Daj pan temu spokój, Chancellor - powiedział kongresman martwym głosem. -

Informacje, jakie pan ma, nie są warte nocnika szczytn. Do diabła, może mnie pan zniszczyć, ale ja ocalę mój tyłek w sądzie, potrafię to zrobić. Wtedy dostanie pan odpowiedź na swoje informacje.

- Jakie informacje? Wszystko, co Longworth panu powiedział, to łgarstwo. Nie mam o panu żadnych informacji.

- Nie wciskaj mi kitu. Nie przeczę, że mam problemy. Wiem, co tacy ludzie jak pan o mnie sądzą. W życiu prywatnym używam słowa „czarnuch” częściej, niżby to się panu podobało. Gdy sobie podgazuję, podoba mi się ładny, czarny tyłek, chociaż, do diabła, to może raczej przemawiać na moją korzyść. Jestem żonaty z suką, która w każdej chwili może mi dać do wiwatu i zabrać sobie mniej więcej wszystko, co posiadam na północ od Ranaoke.

Wiele mogę znieść, chłopcze, ale mam coś do roboty w Izbie! I nie jestem mordercą!

Zrozumiano? - Oczywiście. Pańska zwykła, normalna rodzina plantatora. Bardzo miła i spokojna. Powiedział pan dość. Odchodzę.

- Nie, nie odejdzie pan! - Rawlins skoczył, odcinając Peterowi drogę. - Proszę!

Posłuchaj mnie. Różne rzeczy można o mnie mówić, ale nie jestem konserwatystą. Nikt przy zdrowych zmysłach nie podkłada się w ten sposób, a kto tego nie widzi, może doprowadzić do cholery, krwawej łaźni. Nikt nie wygra, wszyscy przegrają.

- Motywacje? - Chancellor z uwagą przyjrzał się twarzy południowca. Była szczerą. -

Co pan chce dać przez to do zrozumienia? - Nigdy nie przeciwstawiłem się rozsądnym zmianom. Ale walczę jak wściekły kot, gdy zmiany są nierozsądne. Przekazać ponad milion dolarów ludziom, którzy na to nie zasługują; którzy nie mają dość inteligencji, by wydobyć się z błota, to może każdego drogo kosztować! Petera zafascynowała, jak zawsze zresztą, Sprzeczność między treścią i formą wypowiedzi. - Ale co to ma wspólnego z informacjami, jakie według pana miałbym posiadać?

- W Newport News zostałem wrobiony! Dali mi beczkę samo gonu, zaprowadzili w ciemne uliczki, których przedtem nie znałem. Być może zerznąłem tę dziewczynkę, ale jej nie zabiłem! Nie wiem, jak się robi to, co o n i z nią zrobili! Ale wiem, kto to zrobił. I te czarne skurwysyny wiedzą, że ja wiem. To gorzej niż szumowiny, to faszystowskie czarnuchy, mordujące własnych ludzi, ukrywające się za...

Z tyłu rozległo się ciche klaśnięcie, gdzieś z oddali. A wtedy nastąpiło coś niewiarygodnego, nieprawdopodobnego. Chancellor patrzył zmartwiałym z przerażenia, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Rawlinsowi opadła szczeka. Nad jego brwią pojawiło się czerwone kółko. Krew najpierw trysnęła strumieniem, a potem spłynęła strużką po spopieliałej twarzy i nieruchomym oku. A ciało nadal stało, zamarte w chwili śmierci. Potem powoli, jak w jakimś okropnym balecie, pod Rawlinsem ugięły się nogi i jego trup upadł w mokrą trawę.

Z gardła Petera wydarło się zdławione westchnienie, chciał krzyknąć, ale nie zdołał, doznany wstrząs odebrał mu głos.

Ponowne klaśnięcie, Peter poczuł powiew. I jeszcze jedno. Usłyszał „ping” i ziemia trysnęła mu spod stóp. Pocisk odbił się od ławki rykoszetem. Resztki instynktu samozachowawczego spowodowały, że Chancellor padając na ziemię dał szczupaka w lewo i potoczył się w trawę, poza pole ostrzału. Rozległo się jeszcze więcej klaśnień i ponownie podniosły się fontanny trawy i ziemi. Odłamek kamienia świsnął mu koło ucha; parę centymetrów bliżej, a zabiłby go lub oślepił. Nagle otarł się czołem o coś twardego, skórę na dłoni zdarł sobie o chropowaty kamień. Był to jakiś posąg,

kamienny medalion otoczony krzakami.

Przewrócił się na plecy. Był w ukryciu, ale dookoła słychać było głucho uderzenia pocisków.

Wtedy rozległy się krzyki, na wpół szaleńcze, histeryczne. Dochodziły jednocześnie z wielu miejsc. Pojawiały się i znikwały, błyskawicznie zmieniając położenie. Aż wreszcie usłyszał jeszcze jeden głos, jeden ryk, gardłowy, twardy, rozkazujący.

- Wynoś się stąd!

Potężna dłoń schwyciła go tak mocno za przód marynarki, że złapała też koszulę i skórę na piersiach. Szarpnięciem wyciągnęła go spod posągu. Druga zaś trzymała duży pistolet z nakręconym na lufę grubym cylindrem. Zionący ogniem i dymem wylot lufy skierowany był w stronę, z której padały strzały.

Peter nie był w stanie ani mówić, ani się sprzeciwić. Stał nad nim jasnowłosa Longworth. Pogardzany Alan Longworth ratował mu życie! Chancellor runął w zarośla. Biegł

nisko pochylony, łamiąc krzaki, parząc się o pokrzywy. Dalej był trawnik. Pełznął przed siebie. Nie mógł złapać powietrza, ale ważne było tylko to, by uciec. Popędził do wyjścia z ogrodu.

ROZDZIAŁ 14

Szedł ulicami krokiem lunatyka. Nie istniał czas, nie było miejsca, nie wiedział, co się z nim dzieje. Pierwszą jego myślą było zwrócenie się o pomoc do policji, do kogokolwiek, kto mógłby zaprowadzić choć trochę porządku w tym chaosie, który omal nie pozbawił go życia. Ale nie znalazł nikogo. Próbował zatrzymać paru przechodniów. Wystarczyło im rzucić okiem, by pośpiesznie go wyminąć. Potknął się i znalazł na jezdni. Usłyszał klaksony, gniewni kierowcy omijali Petera wielkimi łukami. Nigdzie nie było policjantów; tej cichej dzielnicy nie patrolowały radiowozy.

Pulsowało mu w skroniach, bolało lewe ramię, skóra na czole paliła, jakby przejechał

po niej pilnik. Spojrzał na swą prawą dłoń. Była czerwona, na skórze widniały kropelki krwi., Z wolna, po kilkumilowym spacerze, Chancellor zaczął odzyskiwać przytomność.

Dziwnie do niej dochodził, jeszcze dziwniejszy był stan jego świadomości. Wierzył i nie wierzył. Zdawał sobie sprawę, że stan jego umysłu jest groźny. Niejasno odczuł, że nie potrafi odeprzeć atakującego go oblędu, starał się więc nie pamiętać tego, co widział. Desperacko próbował odzyskać nad sobą kontrolę. Powinien przecież podjąć decyzję. Spojrzał na zegarek. Czuł się jak zagubiony w obcym kraju podróżnik, któremu powiedziano, że jeśli nie dotrze o ustalonym czasie do konkretnego miejsca, będzie to równoznaczne z pomyleniem drogi. Drogę zaś mylił wielokrotnie. Spojrzał na tabliczkę z nazwą ulicy; nigdy o niej nie słyszał.

Według słońca był już ranek. To go ucieszyło. Błądził po ulicach przez cztery godziny.

„Cztery godziny. Mój Boże, potrzebuję pomocy!”

Samochód! Mercedes był daleko, pod Klasztorem, zaparkowany na ulicy przed zachodnim wejściem. Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął portmonetkę. Miał dosyć drobnych na taksówkę.

- To zachodnie wejście, panie - powiedział rumiany kierowca. Nie widzę żadnego mercedesa. Kiedy pan go postawił?

- O świcie.

- A znaku pan nie widział? - kierowca pokazał palcem. - Tu nie wolno parkować.

Przelotowa ulica.

Zatrzymał się w miejscu, skąd odholowywano wozy.

- Było ciemno - bronił się Peter. Podał kierowcy swój adres na Manhattanie.

Taksówka skręciła z Lexington Avenue w lewo, w Siedemdziesiątą Pierwszą Ulicę.

Chancellor spojrział zdumiony. Mercedes stał przed kamienicą, dokładnie przed schodami do jego apartamentu. Ciemnoniebieski lakier wspaniale błyszczał w słońcu. W całym kwartale ulic nie było podobnego wozu.

Przez obłądny moment Peter zastanawiał się, w jaki sposób wóz przemieścił się z przeciwnej strony ulicy, gdzie stał zeszłej nocy. Pewno Cathy go przestawiła. Często to robiła, bo na tej ulicy obowiązywało parkowanie raz po jednej, następnego dnia po drugiej stronie. Zmiana obowiązywała od ósmej rano.

Cathy? Jezu, co się z nim dzieje?

Czekał na chodniku, póki taksówka nie znikła. Ostrożnie podszedł do mercedesa, patrząc na niego jak na przedmiot nie oglądany od wielu lat. Samochód był umyty i wypolerowany, w środku wyczyszczony odkurzaczem, tablica rozdzielcza wytarta, wszystkie metalowe części błyszczące. Wyciągnął z kieszeni kółko z kluczami. Wspinaczka na schody zdawała się trwać w nieskończoność. Do drzwi mieszkania przypięto pisaną na maszynie kartkę.

Sprawy wymknęły się spod kontroli. Więcej się to nie zdarzy. A mnie pan więcej nie zobaczy. Longworth.

Chancellor zerwał kartkę i uważnie obejrzał papier. Litera o była nieco wyżej w wierszu; papier gruby, wysokiej jakości, obcięty u góry. Była to kartka z jego osobistej papeterii, nagłówek z nazwiskiem odcięto. - Nazywa się Alan Longworth. Josh go zidentyfikował. - Peter oparł się o okno, patrząc na stojącego na ulicy mercedesa. Anthony Morgan siedział w skórzanym klubowcu na drugim końcu pokoju. Co mu się rzadko zdarzało, siedział sztywno wyprostowany. - Wyglądasz paskudnie. Dużo piłeś wczoraj wieczór?

- Nie. Mało spałem. A gdy mi się udawało zasnąć, miałem bez przerwy koszmary. To jednak inna historia...

- Ale nie piłeś - przerwał Morgan.

- Powiedziałem ci, że nie!

- A Josh jest w Bostonie?

- W biurze powiedzieli, że wraca podmiejskim o czwartej. Mamy dziś wieczór wspólną kolację.

Morgan wstał z fotela. Najwyraźniej przekonany, przemówił z naciskiem.

- To, na litość boską, dlaczego nie wezwałeś policji? Co ty, u diabła, wyprawiasz?

Widziałeś, jak zabito człowieka. W twoich oczach zamordowano kongresmana!

- Wiem, wiem. Chcesz usłyszeć coś jeszcze gorszego? Straciłem zmysły. Włóczyłem się otumaniony prawie cztery godziny. Nawet nie wiem, gdzie byłem.

- Czy słyszałeś coś w radiu? O tej porze już powinni o tym powiedzieć.

- Nie włączałem go.

Tony podszedł do radia i nastawił stację nadającą dzienniki. Następnie zwrócił się do pisarza, zmuszając go, by odwrócił się od okna. - Posłuchaj mnie. Wolałbym, abyś nie wzywał nikogo poza mną. Ale z wyjątkiem policji, i to zaraz. Chciałbym wiedzieć, czemuś tego nie zrobił!

- Nie wiem. - Chancellorowi brakło słów. - Nie jestem pewien, czy potrafię ci wyjaśnić.

- No już dobrze, dobrze - łagodnie powiedział Morgan.

- Nie mam na myśli hysterii. Uczę się z nią żyć. Chodzi o coś innego. - Pokazał otartą dłoń. - Prowadziłem mercedesa do Fortu Tryon. Spójrz na moją rękę. Na kierownicy powinny być moje odciski palców, może ślady krwi. Trawa była mokra, było też błoto. Popatrz na moje buty, na marynarkę. W samochodzie powinny zostać ślady. Ale wóz został

wyczyszczony; wygląda jak prosto z salonu sprzedaży. Nie wiem nawet, jak się tutaj znalazł.

I ten list na drzwiach. Napisany na mojej papeterii moją maszyną. A na temat godzin, które upłynęły od... mego szaleństwa, utraty zmysłów, nie potrafię nic powiedzieć. Morgan chwycił

Chancellor'a za ramię i podniósł głos.

- Peter, przestań! To nie jest literatura! Nie jesteś jedną ze swych powieściowych postaci! To jest

rzeczywistość. To się wydarzyło. Zniżył głos. - Wzywam policję.

Dwóch detektywów z dwudziestego drugiego komisariatu tylko od czasu do czasu przerywało pytaniami opowiadanie Petera. Starszy z nich, z falującymi szpakowatymi włosami, miał około pięćdziesiątki, młodszy był Murzynem mniej więcej w wieku Chancellora. Obaj byli bystrzymi, doświadczonymi zawodowcami i starali się Petera uspokajać.

Gdy skończył, starszy podszedł do telefonu, młodszy zaś zaczął rozmawiać na temat

„Sarajewa!”. Książka bardzo mu się podobała. Dopiero gdy starszy detektyw skończył, Chancellor zorientował się, że Murzyn uniemożliwił mu słuchanie rozmowy telefonicznej.

Peter podziwiał ich zawodową zręczność. Musi to zapamiętać.

- Panie Chancellor - zaczął ostrożnie szpakowaty - zdaje się, że mamy pewien problem. Gdy tylko pan Morgan do nas zadzwonił, wysłaliśmy ekipę do Fortu Tryon. By nie tracić czasu, włączyliśmy do niej lekarza sądowego. Aby zabezpieczyć ślady przed zatarciem, zwróciliśmy się do komisariatu w Bronx, który obstawił teren radiowozami. Na miejscu nie ma żadnych dowodów wymiany ognia. Na ziemi żadnych śladów. Peter gapił się na mówiącego z niedowierzaniem.

- To szaleństwo. To niemożliwe! Przecież byłem tam!

- Nasi ludzie są bardzo dokładni.

- Więc nie byli dość dokładni! Czy pan myśli, że wymyśliłbym sobie taką historyjkę?!

- Jest bardzo dobra - powiedział z uśmiechem Murzyn. - Może robi pan próbę generalną jakiegoś tekstu.

- Hej, chwileczkę! - Morgan wysunął się do przodu. - Peter nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

- Bo to by było głupie - powiedział starszy detektyw kiwając głową, co jednak nie oznaczało zgody. - Fałszywe doniesienie o zbrodni jest karalne. Jakiegokolwiek zbrodni, cóż dopiero o morderstwie. - Jesteście szaleni... - Peterowi głos się załamał. - Naprawdę mi nie wierzycie. Dostajecie raporcik przez telefon, wierzycie weń jak w ewangelię i wyciągacie wnioski, że jestem wariatem. Co z was za policjanci?!

- Bardzo dobrzy - odrzekł Murzyn.

- Jestem przeciwnego zdania. Jestem, do cholery, całkowicie przeciwnego zdania! -

Kulejąc Chancellor przeszedł do telefonu. - Jest sposób, by się upewnić. Upłynęło już pięć, nawet sześć godzin. - Nakręcił numer i po paru sekundach spytał: - Informacja miejscowa?

Proszę o numer biura kongresmana Waltera Rawlinsa w gmachu Kongresu.

Powtórzył głośno podyktowany mu numer. Tony Morgan skinął głową. Detektywi przyglądali się bez

słowa.

Znowu nakręcił numer. Oczekiwanie dłużyło się niepomniernie, puls Petera bił coraz szybciej. Chociaż doświadczył wydarzenia na własnej skórze, musiał to jeszcze udowodnić detektywom.

W słuchawce dał się słyszeć przyciszony głos z niewątpliwie południowym akcentem.

Peter zapytał o kongresmana.

A gdy usłyszał odpowiedź, znów poczuł ostry ból w skroniach, a spojrzenie mu się zamgliło.

- Okropna sprawa, sir. Osierocona rodzina przekazała wiadomość przed paroma minutami. Ubiegłej nocy kongresman opuścił ten świat. Zmarł podczas snu na zawał serca.

- Nie. Nie!

- My to też tak odczuwamy, sir. Zawiadomienia o pogrzebie zostaną...

- Nie! To kłamstwo! Proszę mi tego nie opowiadać! To kłamstwo! Pięć, sześć godzin temu... w Nowym Jorku! Kłamstwo!

Peter poczuł, że czyjeś ręce unieruchamiają mu ramiona, ujmują za dłonie, odbierają mu telefon, odciągając do tyłu. Wyrwał się i z całej siły uderzył łokciem stojącego za nim policjanta. Prawą rękę miał wolną, rąbnął więc nią w najbliższą głowę i wyrwał z niej garść włosów. Człowiek padł na kolana; Peter poderwał jego twarz do góry. Patrzył w oczy Tony'ego Morgana, skrzywionego z bólu, lecz nie próbującego się nawet bronić.

„Morgan. Morgan, mój przyjaciel. Co ja robię?”

Peter załamał się. Zamarł w milczeniu. Czyjeś ręce położyły go na podłodze.

- Nie zostaniesz pociągnięty do odpowiedzialności - oświadczył Morgan wnosząc do sypialni drinki.
- Wykazali dużo zrozumienia. - To znaczy, że zostałem uznany za wariata -

uzupełnił Chancellor, leżący na łóżku z workiem lodu na czole.

- Diabła tam, jesteś wyczerpany. Pracowałeś o wiele za dużo. Lekarze zalecali ci, żebyś...

- Na litość boską, Tony, nie ze mną ten numer! - Peter usiadł na łóżku. - Wszystko, co powiedziałem, jest prawdą!

- Okay. Masz tu drinka.

Chancellor przyjął szklanekę, lecz zamiast wypić, odstawił ją na nocny stolik.

- Nic z tego, przyjacielu. - Wskazał gestem fotel. - Siadaj. Chcę pewne sprawy postawić bardzo jasno.

- Zgoda - Morgan spokojnym krokiem podszedł do fotela i opadł nań, wyciągając długie nogi przed siebie. Ta rzekoma swoboda nie przekonała Petera. Zaniepokojenie widoczne w oczach wydawcy dostatecznie go zdradzało.

- Jasno, spokojnie i rzeczowo - kontynuował Peter. - Przypuszczam, że wiem, co się zdarzyło. I ponownie się nie zdarzy, co wyjaśnia list Longwortha. On chce, bym w to uwierzył, bo inaczej zacznę wyc jak potępieniec.

- A kiedy miałeś czas, by to przemyśleć?

- Właśnie przez te cztery godziny na ulicach. Nie zdawałem sobie z tego wówczas sprawy, ale części łamigłówek zaczęły do siebie pasować. A gdy konferowałem z policjantami na dole, dostrzegłem wreszcie cały jej kształt.

Morgan spojrzał na niego znad szklanki.

- Przestań gadać jak literat, Peter. „Kształt”, „pasujące części łamigłówek”. To bzdury.

- Nie, nie bzdury. Bo to Longworth został zmuszony do myślenia jak literat. Musi myśleć w taki sposób jak ja, rozumiesz? - Nie, ale mów dalej.

- Działaniom Longwortha trzeba położyć kres; a on wie, że ja to wiem. Uruchomił

mnie strzępkami informacji i jednym żalonym przykładem. Zobaczyłem oto, do czego mogą doprowadzić teczki Hoovera, jeśli nadal istnieją. Pamiętaj, że on zna te teczki, zapoznał się w nich z całą górą kompromitujących informacji. Wobec tego, by się upewnić, że połknąłem przynętę, dostarczył mi jeszcze jednego przykładu: kongresmana z Południa, który miał

problemy związane ze zgwałceniem czarnej dziewczynki oraz zabójstwem, którego nie popełnił. Longworth uruchomił maszynę, a mnie wsadził do środka. Ale gdy koła zaczęły się kręcić, zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Okazało się, że była w tym pułapka: morderstwo. Tego się nie spodziewał. Kiedy do niego doszło, ocalił mi życie.

- By ocalić w ten sposób książkę?

- Tak.

- Nie! - Morgan wstał z miejsca. - Opowiadasz jak mały chłopczyk przy obozowym ognisku. Ale czemuż by nie? To twój zawód; wszyscy literaci to chłopcy przy ognisku. Ale na litość, nie mieszaj tego z rzeczywistością.

Chancellor wpatrzył się w twarz Morgana. Zaświtała mu bolesna, lecz oczywista prawda.

- Nie wierzysz mi, nieprawdaż?

- Chcesz usłyszeć prawdę?

- Od kiedy zmieniliśmy reguły gry?

- W porządku - Tony opróżnił szklanę jednym haustem - sądzę, że poszedłeś do Klasztoru. Jak się dostałeś do środka, nie wiem, prawdopodobnie przez mur. Wiem, jak lubisz porę świtu, a Klasztor o świcie to jeszcze coś więcej... Sądzę, że usłyszałeś o śmierci Rawlinsa... - W jaki sposób? W jego biurze powiedziano, że wiadomość nadeszła dopiero w tej chwili.

- Wybacz, to tobie tak powiedziano, nie mnie.

- O, Chryste!

- Peter, nie próbuję cię obrażać. Rok temu nikt nie wiedział, czy będziesz żył, tak bliski byłeś śmierci. Doświadczyłeś bolesnej straty, Cathy była dla ciebie wszystkim, a my o tym wiedzieliśmy... Sześć miesięcy temu myśleliśmy - sam szczerze w to wierzyłem - że jesteś skończony jako pisarz. Wypaliłeś się, zapał do pracy zginął, chłopczyk przy ognisku został zabity na pensylwańskiej autostradzie. Po wyjściu ze szpitala były całe dni, tygodnie nawet, gdy nie odzywałeś się ani słowem. Zupełnie. A potem zacząłeś pić. I nagle, mniej niż trzy tygodnie temu, wybuchnąłeś jak wulkan. Przyleciałeś tu z Zachodniego Wybrzeża bardziej podniecony niż kiedykolwiek podczas naszej znajomości, pełen energii, pełen woli powrotu do pracy, by... się zemścić. Podkreślam: zemścić. Czy teraz rozumiesz? - Co mam rozumieć?

- Umysł ludzki jest niezbadany. Nie potrafi w parę chwil przejść od zera mil na godzinę do szybkości jednego macha. Coś wtedy musi puścić. Sam powiedziałeś, że nie wiesz, co robiłeś przez cztery godziny. Chancellor nawet nie drgnął. Spoglądał na Morgana, a w głowie tłoczyły mu się sprzeczne myśli. Był zły, że wydawca mu nie wierzy, ale równocześnie sprawiło mu to jakąś dziwną ulgę. Może tak będzie lepiej. Morgan był z natury opiekuńczy; zeszłoroczne wypadki jeszcze wzmogły pod tym względem jego instynkty.

Gdyby wydawca uwierzył Peterowi, niewątpliwie wstrzymałby książkę.

- Okay, Tony. Zapomnijmy o tym. Skończyło się. Nie czuję się zbyt dobrze. Nie mogę udawać, że jest inaczej. Zresztą, nie wiem. - A ja wiem - odpowiedział łagodnie Morgan. -

Napijmy się. Munro St. Claire uważnie przyjrzał się Varakowi, który właśnie wszedł do biblioteki dyplomaty w Georgetown. Wywiadowca miał prawą rękę na temblaku, a z lewej strony szyi przyklejony opatrunek. Zamknął za sobą drzwi i zbliżył się do biurka, za którym siedział Bravo. Ambasador miał ponury wyraz twarzy.

- Co się stało?

- Wszystko załatwione. Jego Cessna była na lotnisku Westchester. Zawiozłem go do Arlington i skontaktowałem się z lekarzem, który pracuje dla NRB. Jego żona nie miała wyboru ani nie chciała go mieć. Rawlins nie był ubezpieczony od zabójstwa. Zresztą ona też ma świństwa na sumieniu.

Wymieniłem jej parę z nich.

- A co z tamtymi? - spytał Bravo.

- Było ich trzech, jeden został zabity. Gdy tylko Chancellor znikł, przestałem strzelać i schowałem się w odległym zakątku. Rawlins był martwy, czego jeszcze mogli chcieć?

Uciekli, zabierając ciało kumpla. Przeczesałem teren, zebrałem łuski, kępki trawy ułożyłem na miejscach. Nie było najmniejszych śladów, że coś się tam zdarzyło.

Bravo wstał z fotela pełen oburzenia.

- Pańskie postępowanie daleko wykracza poza to, na co się zgodziliśmy! Podjął pan decyzje, o których wiedział pan z góry, że ich nie zaakceptuję. Pańska akcja kosztowała życie dwóch ludzi i o mały włos także Chancellora.

- Jeden z tych ludzi był mordercą - odrzekł po prostu Varak. A Rawlins był już skazany. To była tylko kwestia czasu. Jeśli zaś idzie o Chancellora, ratując go omal sam nie straciłem życia. Sądzę, że zapłaciłem za moją błędną ocenę.

- Błędną? Kto panu dał prawo oceniać?

- Pan. Wy wszyscy.

- Ale nie bez ograniczeń! I pan to rozumiał.

- I zrozumiałem, że istnieją setki brakujących teczek, które mogą być użyte do przekształcenia Stanów w najzwyczajniejsze państwo policyjne! Proszę o tym pamiętać.

- A ja proszę pamiętać, że to nie jest Czechosłowacja. To nie Lidice w 1942 roku. A pan nie jest trzynastoletnim chłopcem, pełznącym po trupach i zabijającym każdego, kto może być pańskim wrogiem. Nie po to został pan tu sprowadzony trzydzieści lat temu, by przeżywać tutaj swój Sturm und Drang.

- Zostałem tu sprowadzony, ponieważ mój ojciec pracował dla Aliantów! Moja rodzina została wymordowana, ponieważ on pracował dla was - Varak zasepił się.

Zaskoczony, nie potrafił na wspomnienie słonecznego poranka 10 czerwca 1942 roku powstrzymać łez. Poranek śmierci, po którym przyszły noce ukrywania się w kopalniach i chwile, gdy mając trzynaście lat, kreślił krzyżyki w kopalnianym szybie. A każdy oznaczał

kolejnego zabitego Niemca. Dziecko zabijało ich systematycznie. Do chwili, gdy zabrali je stamtąd Brytyjczycy.

- Dano panu wszystko - Bravo zniżył głos. - Zobowiązania uznano, nie szcędząc niczego. Najlepsze

szkoły, przywileje... - I wspomnienia, Bravo. Niech pan o tym nie zapomina.

- I wspomnienia - zgodził się Munro St. Claire.

- Nie rozumiał mnie pan - szybko dodał Varak. - Nie szukam współczucia. Chcę tylko powiedzieć panu, że pamiętam. - Zbliżył się o krok do biurka. - Przez osiemnaście lat płaciłem za przywilej tej pamięci. Płaciłem chętnie. Jestem najlepszy w NRB. Wytropię nazizm w każdej postaci, w jakiej mógłby się odrodzić, i pójdę jego śladem. A jeśli pan sądzi, że istnieje jakakolwiek różnica między tym, co reprezentują owe teczki, a celami Trzeciej Rzeszy, to się pan grubo myli. Varak przerwał. Krew napłynęła mu do twarzy. Był gotów krzyknąć, ale to oczywiście nie wchodziło w rachubę. Munro St. Claire przyglądał mu się w milczeniu. Jego własny gniew ustępował.

- Mówi pan bardzo przekonująco. Zwołam Inver Brass. Trzeba ich powiadomić.

- Nie. Proszę nie zwoływać posiedzenia. Jeszcze nie teraz. - Zebranie i tak jest przewidziane na ten miesiąc. Musimy wybrać nowego Genezis. Ja jestem za stary, Wenecja i Krzysztof tak samo. Do wyboru zostają Sztandar i Parys. To straszliwy...

- Proszę! - Varak chwycił palcami brzeg biurka. - Proszę nie zwoływać tego zebrania.

St. Claire zmierzył go wzrokiem.

- Dlaczego?

- Chancellor zaczął pisać książkę. Pierwszą część rękopisu przedwczoraj odesłał do biura pisania na maszynie. Włamałem się tam i przeczytałem ją.

- I...?

- Pana teoria okazała się trafniejsza, niż pan przypuszczał. Chancellor podjął szereg rzeczy, które mnie nawet nie przyszły do głowy. I dokładnie opisał Inver Brass...

ROZDZIAŁ 15

Nagle nastały mrozy, zmieniając jesień w zimę. Było już po wyborach, a ich wynik okazał się równie łatwy do przewidzenia jak to, że Pensylwanię przyprószy śnieg. Sojusz kłamstwa i Madison Avenue zwyciężył niezdecydowanych amatorów. Nikt nie wygrał

niczego, co by przedstawiało jakąś wartość, a już kraj najmniej.

Peter niezbyt interesował się polityką. Gdy zawodnicy wybiegli już na boisko, przestawali go ciekawić. Pochłonęła go natomiast gorączka pisania. Każdy poranek stawał się dla niego przygodą. Udoskonalił fabułę powieści, postacie nabierały życia.

Pracował właśnie nad rozdziałem siódmym, w którym przyzwoici ludzie powoli dochodzą do

nieprzyzwoitej decyzji: morderstwa. Zamordowania J. Edgara Hoovera.

Nim się zabrał do pisania rozdziału, najpierw go szkicował. Następnie odkładał

konspekt, niekiedy nawet wcale do niego nie zaglądając. Była to technika, którą mu lata temu podsunął Anthony Morgan:

Zdaj sobie sprawę, dokąd chcesz podążać, nadaj sobie kierunek, abyś nie błędził, ale nie ograniczaj swej naturalnej skłonności do urozmaicenia treści.

„Dziwna sprawa z tym Tonym” - pomyślał Chancellor pochylając się nad stołem. Od czasów owego niewiarygodnego szaleństwa, przed paru tygodniami w Klasztorze, rozmawiali wielokrotnie, ale Morgan nigdy o tym nie wspomniał. Tak jakby się nigdy nie zdarzyło. A przecież Morgan przeczytał pierwsze sto stron powieści. Orzekł, że to najlepsze, co Peter kiedykolwiek napisał. I tylko to było ważne. Książka była wszystkim.

Rozdział 7. Konspekt.

Hotelowy apartament w Waszyngtonie podczas deszczowego poranka. Przed oknem siedzi senator, patrząc na krople padające na szyby. Przywołuje wspomnienia sprzed trzydziestu lat, z czasów, gdy uczył się w college'u. Wtedy nastąpił wypadek, który -

ujawniony trzydzieści lat później - wykluczył go z wyścigu do prezydentury. Wysłannik Hoovera zagroził mu właśnie taką niedyskrecją. Nie potrafił sobie przypomnieć, jak i kiedy do tego doszło. Ogarnęło go wtedy wielkie, szalone i nieroztropne wzburzenie. Ale oto jak się rzeczy miały: w młodzieńczym wieku złożył podpis na karcie członkowskiej organizacji, później zdemaskowanej jako kryptokomunistyczna. Wydarzenie oczywiście niewinne, na pewno łatwe do obronienia, a w tej chwili tylko śmiechu warte. Ale nie w związku z prezydenturą. Wystarczyło, by go zdyskwalifikować. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby jego obecna postawa polityczna była zgodna z zajmowaną przez dyrektora Federalnego Biura Śledczego.

Rozmyślania senatora przerywa przybycie dziennikarki, publicystki, zmuszonej do milczenia przez Hoovera, obecnie członkini „Jądra”. Senator wstaje i proponuje jej drinka.

Kobieta odpowiada, że gdyby mogła go przyjąć, przede wszystkim nie znajdowałaby się teraz w tym miejscu. Wyjaśnia, że była alkoholiczką, od pięciu lat nie miała kropli alkoholu w ustach, ale przedtem zdarzało się, że bywała pijana kilka dni z rzędu. Podczas jednej z takich pijatyk została sfotografowana. - Temat zdjęć najprościej można by określić jako uprawianie nienaturalnych aktów z całym szeregiem niesmacznych typków. Ale zabijcie mnie, nic z tego nie pamiętam. Mój Boże, jakże bym mogła popełnić coś takiego?

Zdjęcia miał Hoover. Jej protesty przeciw jego postępowaniu zostały skutecznie zduszone.

Przybywa trzeci członek „Jądra”. Tym trzecim jest były minister, opisany w rozdziale pierwszym, którego słabością umożliwiającą szantaż był fakt, iż jest ukrytym homoseksualistą. Przynosi alarmujące nowiny. Hoover zawarł tymczasowe przymierze z Białym Domem. Z każdym godnym

.wstąpienia w szranki kandydatem opozycji zostanie nawiązany kontakt, by go wyeliminować. A tam, gdzie zabraknie faktów, użyje się domysłów z „imprimatur” FBI. Nazwa Biura wystarczy, by polityków wprowadzić w panikę. Nim zostanie podjęta obrona, będzie już po wszystkim.

Opozycja wystawi więc swego najsłabszego kandydata, wybór dotychczasowego lokatora Białego Domu jest zapewniony.

Istotnym elementem tego przymierza jest fakt, że Hoover dysponuje także ukrytą groźną bronią przeciw Białemu Domowi. Jednym słowem dyrektor FBI wkrótce będzie miał

w ręku wszystkie nici i w praktyce będzie rządził krajem,

- Posunął się już zbyt daleko. Zostawia za sobą aż nazbyt wiele ofiar. Musi zostać usunięty, wszystko mi jedno jak. Nawet gdyby to oznaczało, że trzeba go zabić.

Senator jest przerażony wypowiedzią ministra. Dobrze wie, jak się czuje człowiek, któremu Hoover wbił nóż. Istnieją inne zgodne z prawem metody walki. Wyciąga z teczki raport Mereditha. Zostaje podjęta decyzja skontaktowania się z wysłannikiem Hoovera, człowiekiem używanym w związku z tajnymi teczkami. By go zwerbować, użyje się wszystkich środków. Nade wszystko jednak trzeba odebrać teczki.

- Teczki przede wszystkim. Jeśli można ich używać w taki sposób, jak to robi Hoover, to tę broń można także odwrócić. Można jej użyć w dobrej sprawie! A potem wykonanie wyroku. Innej drogi nie ma! - eksminister jest nieustępliwy.

Senator nie chce słuchać dalej. Odmawia nawet przyjęcia tego do wiadomości.

Wychodzi, powiedziawszy tyle tylko, że zorganizuje spotkanie z Meredithem.

Peter zatrzymał się. To na początek wystarczyło; mógł zasiać do pisania rozdziału.

Ujął w palce ołówek i zabrał się do roboty.

Pogrążony w pracy stracił poczucie czasu. Odchylił się na oparcie kanapy i wyjrzał

przez okno, trochę zdziwiony widokiem padających płateczków śniegu. Musiał sobie dopiero przypomnieć, że to prawie koniec grudnia. Gdzie się podziały te wszystkie miesiące? Godzinę temu pani Alcott przyniosła mu gazetę, a Chancellor poczuł chęć krótkiego odpoczynku. Było wpół do jedenastej; zaczął pisać kwadrans przed piątą. Sięgnął po leżącą na brzegu stołu gazetę. Nagłówki wyglądały jak zwykle. Negocjacje paryskie zostały zahamowane - nic mu to nie mówiło. Ludzie umierali - co to oznaczało, Peter wiedział.

Nagle uderzył go jednoszpaltowy tytuł z prawej strony u dołu pierwszej kolumny.

Poczuł ostry ból w skroniach.

OFIARĄ MORDU

Jego ciało wyrzucone przez fale na plaży Waikiki

Waikiki! O, mój Boże! Hawaje!

Historia była makabryczna. W ciele MacAndrewa były dwie rany od kuli; pierwsza przebiła mu gardło, druga wchodząc poniżej lewego oka utkwiała w czaszce. Śmierć była natychmiastowa i nastąpiła dziesięć do dwunastu dni wcześniej.

Widać było, że nikt nie wiedział o obecności generała na Hawajach. W hotelach ani w biurach linii lotniczych nie było rezerwacji na jego nazwisko. Przesłuchania wojskowych na wyspie nie przyniosły żadnych informacji, nie kontaktował się z nikim.

Czytając dalej Peter zadrżał na widok śródtytułu na samym dole stronicy: Żona zmarła pięć tygodni wcześniej

Informacje były skąpe. Po prostu umarła po długotrwałej chorobie, która w ostatnich latach ograniczała jej ruchy. Jeśli reporter wiedział coś więcej, miłosiernie to pominął.

Ale potem relacja przybrała dziwny kierunek. Jeśli bowiem dziennikarz okazał

miłosierdzie wobec pani MacAndrew, to uczciwość generała podał w wątpliwość w słowach godnych powieści o Hooverze. Według nadchodzących wiadomości policja hawajska bada pogłoski, że były oficer wysokiego stopnia współpracował ze środowiskiem przestępczym, operującym od Półwyspu Malajskiego po Honolulu. Na Wyspach Hawajskich mieszka wielu emerytowanych wojskowych z rodzinami. Nie zostało ustalone, czy owe pogłoski mają, czy też nie mają związku z ofiarą morderstwa.

„W takim razie, dlaczego włączono tutaj tę informację?” - pomyślał ze złością Peter, wspomniawszy wzruszający widok wojskowego tulącego do siebie żonę. Przerzucił stronicę, by znaleźć dokończenie wiadomości. Zawierała krótki życiorys, omawiający karierę wojskową MacAndrewa, której punktami szczytowymi były: jego nagła i niespodziewana rezygnacja oraz spory z Komitetem Połączonych Szefów Sztabów. Dalej były rozważania na temat prywatnie ponoszonych kosztów leczenia żony i wreszcie subtelna insynuacja, że niesforny generał został poddany bardzo mocnej presji psychologicznej. Związek między

„presją” i wcześniej wspomnianymi „pogłoskami” był zarysowany tak wyraziście, że nie sposób było tego nie zauważyć.

Zakończenie artykułu zaskoczyło Petera. Nie wiedział, że MacAndrew miał dorosłą córkę. Sądząc z opisu gazetowego, była to niezależna, gniewna kobieta.

Córka generała, Alison MacAndrew, lat 31, ilustratorka zatrudniona przez Welton Greene, agencję ogłoszeniową mieszczącą się pod numerem 950 przy Trzeciej Alei, z którą skontaktowaliśmy się, ze złością odrzuciła spekulacje na tematy dotyczące jej ojca. - „Zmusili go do odejścia z wojska, a teraz próbują zniszczyć jego reputację. Przez ostatnie dwanaście godzin rozmawiałam przez telefon z władzami na Hawajach. Doszły do wniosku, że mój ojciec został zabity w walce z rabusiami. Skradziono portfel, zegarek, sygnet i pieniądze, które miał przy sobie”. . Zapytana, dlaczego nie było rezerwacji na jego nazwisko w liniach lotniczych ani hotelach, odpowiedziała: „Nic w tym niezwykłego. Ojciec wraz z moją matką podróżowali zazwyczaj pod przybranymi nazwiskami. Gdyby zawodowi wojskowi na Hawajach wiedzieli, że spędza tam wakacje, zostałby natychmiast wytropiony”.

Peter zrozumiał, co miała na myśli. Gdyby MacAndrew gdziekolwiek podróżował ze swą chorą umysłowo żoną, robiłby to oczywiście pod przybranym nazwiskiem, by ją chronić.

Ale żona MacAndrewa nie żyła. I Chancellor wiedział, że generał nie poleciał na Hawaje na wakacje. Pojechał, by odnaleźć człowieka nazwiskiem Longworth.

I Longworth go zabił.

Gazeta wypadła Peterowi z ręki. Ogarnęło go obrzydzenie, po części wywołane wściekłością, po części poczuciem winy. Do czego doprowadził? Został zabity człowiek!

Dlaczego?

Z powodu książki.

W mesjanistycznym szale pozbycia się poczucia winy Longworth znowu zabił.

Znowu. Bo przecież to on był odpowiedzialny za śmierć Rawlinsa w Klasztorze. Było to tak oczywiste, jak gdyby sam pociągnął za spust, by odebrać kongresmanowi życie. A teraz, po drugiej stronie kuli ziemskiej, kolejna śmierć, kolejne morderstwo.

Chancellor chwiejnie podniósł się z kanapy i bez celu zaczął przechadzać się po pokoju - bezpiecznym azylu, gdzie rodziła się fikcja literacka, a życie i śmierć były tylko tworam wyobraźni. Ale na zewnątrz życie i śmierć były realne. I miały z nim związek, bo były częścią jego literatury; znaczki na papierze, które wzięły swój początek z motywacji stanowiących siłę napędową innych żyjących ludzi, spowodowały czyjąś śmierć. To było prawdziwe życie i prawdziwa śmierć.

Co tu się działo? Przed kulisą literatury rozgrywał się koszmar bardziej realistyczny i groteskowy niż wszystko, co byłby w stanie wymyślić. Koszmar.

Zatrzymał się przed telefonem, jakby na czyjś rozkaz. Wspomnienie o MacAndrewie wywołało obraz continentala i maski człowieka za kierownicą.

Nagle Peterowi przypomniało się, co zamierzał zrobić przed całymi miesiącami, nim zadzwonił

Rawlins i wydarzyło się szaleństwo w Fort Tryon. Chciał zatelefonować do policji i w Rockville, Maryland! Nigdy tego nie zrobił, nie zatelefonował! Uciekł w zapomnienie. A teraz sobie przypomniał. Z nazwiskiem policjanta drogowego włącznie. Brzmiało: Donnelly.

Zadzwoił do informacji dla Rockville. W pół minuty później rozmawiał z dyżurnym sierżantem Manero. Opisał wypadek na bocznej drodze, powołując się na policjanta Donnelly'ego.

Manero zawahał się.

- Czy jest pan pewien, sir, że chodzi o Rockville?

- Oczywiście jestem.

- Jakiego koloru był radiowóz, sir?

- Koloru? Nie wiem. Czarnobiały albo granatowobiały. Czy to ma jakieś znaczenie?

- W Rockville nie ma policjanta o tym nazwisku, sir. Nasze radiowozy są zielone z białymi pasami.

- No to był zielony! Policjant powiedział, że nazywa się Donnelly. Odwiózł mnie do Waszyngtonu.

- Odwiózł pana do... Chwileczkę, sir.

Rozległ się trzask guzika zatrzymującego połączenie. Chancellor patrzył przez okno na unoszone wiatrem płatki śniegu i zastanawiał się, czy znów nie traci zmysłów. Manero zgłosił się ponownie.

- Sir, mam przed sobą książkę raportów za ów tydzień. Nie ma wpisu o wypadku dotyczącym chevroleta i lincolna Continentala. - To był srebrny Mark IV! Donnelly powiedział mi, że został zatrzymany. Prowadząca go kobieta w ciemnych okularach zderzyła się z furgonem pocztowym.

- Powtarzam, sir: nie ma tu policjanta, który nazywałby się Donnelly...

- Przecież jest, do jasnej cholery! - Peter nie potrafił powstrzymać się od krzyku. Na czoło wystąpiły mu krople potu, ból skroni był coraz ostrzejszy. Powróciły dalsze wspomnienia.

- Ależ ja to pamiętam! Powiedział, że była pijana! Skazana za wykroczenia drogowe, o właśnie! Żona sprzedawcy samochodów marki Lincoln Mercury w... w Pikesville!

- Chwileczkę! - dyżurny sierżant podniósł głos. - Czy to ma być żart? Moi teściowie mieszkają w Pikesville. Nie ma tam sprzedawcy lincolnów. Kto, u diabła, mógłby tam sobie na taki wóz pozwolić? A w tym komisariacie nie ma policjanta nazwiskiem Donnelly. Proszę się wyłączyć! Przeszkadza pan w wykonywaniu czynności służbowych!

Telefon zamilkł. Chancellor stał nieruchomo, nie wierząc własnym uszom. Próbowali mu wmówić, że żyje w świecie fantazji!

Agencja wynajmu samochodów na lotnisku Dullesa! Z hotelu HayAdams telefonował

do nich i rozmawiał z kierownikiem. Kierownik go zapewnił, że zajmą się wszystkim: agencja po prostu zainkasuje należność z jego konta. Nakręcił numer.

- Tak, oczywiście, pamiętam naszą rozmowę, panie Chancellor. Pańska ostatnia książka bardzo mi się...

- Czy dostarczono wam wóz z powrotem?

- Tak, oczywiście.

- Więc ktoś musiał wynająć wóz holowniczy w Rockville. Czy rozmawiał pan z policjantem nazwiskiem Donnelly? Czy może pan go dla mnie odnaleźć?

- To niepotrzebne. Następnego ranka wóz znajdował się na naszym parkingu.

Przypuszczał pan, że może być uszkodzony. Ale nie był. Pamiętam, jak dyspozytor powiedział, że zwrócono chyba najczystszy wóz za jego pamięci.

Peter starał się opanować.

- Czy ten, kto przyprowadził wóz, powinien coś podpisać?

- Oczywiście.

- Kto to był?

- Jeśli pan chwilę zaczeka, sprawdzę.

- Zaczekam - Peter tak mocno ścisnął słuchawkę, aż poczuł ból w przedramieniu. Już w ogóle nie myślał. Na dworze padał śnieg. - Pan Chancellor?

- Tak?

- Obawiam się, że nastąpiła pomyłka. Według zapisu parku wozów na pokwitowaniu widniał pański podpis. Oczywiście nastąpiło nieporozumienie. Ponieważ samochód był

wynajęty na pana nazwisko, ten, kto go odprowadził, był przekonany...

- Nie było nieporozumienia - przerwał spokojnie Peter.

- Przepraszam?

- Dziękuję panu - odpowiedział odkładając słuchawkę.

Nagle stało się jasne. Wszystko. Straszliwa maska zamiast twarzy. Srebrny Continental. Czysty, naprawiony chevrolet w parku wozów w Waszyngtonie. Nieskazitelnie czysty mercedes przed jego bramą. List na drzwiach.

To Longworth. To wszystko Longworth. Groteskowa, upudrowana twarz, długie, czarne włosy, ciemne okulary... i wspomnienia straszliwej nocy burzy i śmierci sprzed roku.

Longworth odkrył to i próbował wtrącić go w szaleństwo. Ale dlaczego?

Chancellor musiał usiąść na kanapie i odczekać, aż minie ból w skroniach. Spojrzał na gazetę i już wiedział, co powinien zrobić. Alison MacAndrew.

ROZDZIAŁ 16

Znalazł jej nazwisko w książce telefonicznej Nowego Jorku, którą miał w Pensylwanii. Numer był jednak wyłączony, co oznaczało, że ma nowy, zastrzeżony numer.

Zadzwoił do Agencji Welton Greene. Sekretarka odpowiedziała, że panny MacAndrew nie będzie w biurze przez pewien czas. Nie wyjaśniła nic ponadto, a Peter o nic nie zapytał.

Ale miał jej adres. Był to budynek przy Pięćdziesiątej Czwartej Wschodniej. Pamiętał

go, stał na brzegu rzeki. Nie pozostawało nic innego. Musi zobaczyć się z tą kobietą, porozmawiać z nią! Wrzucił do mercedesa coś z ubrań, włożył rękopis do teczki i pojechał do miasta.

Otworzyła drzwi, jej wielkie, piwne oczy wyrażały zarówno inteligencję, jak zaciekawienie. Zaciekawienie połączone być może z pewnym odcieniem niechęci, przy malującym się na twarzy smutku. Była wysoka i chyba nieprzystępna jak jej ojciec. Ale twarz miała po matce. Delikatną, cyzelowaną, piękną w proporcjach, choć pełną rezerwy.

Jasnokasztanowe włosy czesała niedbale. Była ubrana w beżowe, relaksowe spodnie i rozpiętą pod szyją żółtą bluzkę. Pod oczami miała ciemne kręgi; skutki bólu były wyraźne, choć nie przeznaczone na pokaz.

- Pan Chancellor? - zapytała dźwięcznym głosem, nie wyciągając ręki.

- Tak - skinął głową. - Dziękuję, że zgodziła się mnie pani przyjąć. - Przez telefon z holu mówił pan bardzo przekonująco. Proszę wejść. Wszedł do małego mieszkanka. Pokój był nowoczesny i funkcjonalny, utrzymany w prostych, ostrych liniach szkła i chromu. Pokój projektanta, chłodny jak lód, ale obecność właścicielki w jakiś sposób przydawała mu przytulności. Poza bezpośredniością, Alison MacAndrew miała w sobie ciepło, którego nie umiała ukryć. Gestem wskazała mu fotel. Usiadł. Sama zajęła miejsce na kanapie stojącej naprzeciw.

- Zaproponowałabym drinka, ale nie jestem pewna, czy życzę sobie, by pan tu został

aż tak długo.

- Rozumiem.

- Niemniej wywarł pan na mnie pewne wrażenie. Może nawet! przestraszył.

- Czym, na litość boską?

- Parę lat temu, za pośrednictwem mego ojca odkryłam pana książki. Ma pan miłośniczkę, panie Chancellor.

- Przez wzgląd na mego wydawcę mam nadzieję, że jest ich jeszcze dwóch czy trzech.

Ale to nieistotne. Nie po to tu przyszedłem. - Mój ojciec też nim był - kontynuowała Alison. -

Miał trzy pańskie książki, powiedział mi, że są bardzo dobre. „Przeciwuderzenie!” przeczytał dwa razy. Powiedział, że książka jest przerażająca i zapewne prawdziwa.

Peter był zaskoczony. Generał nie dał mu nic takiego do zrozumienia. Żadnych oznak podziwu poza niejasnym, bardzo niejasnym uznaniem. - Nie wiedziałem. Nic mi o tym nie mówił.

- Nie miał zwyczaju prawienia komplementów.

- Rozmawialiśmy o czymś innym. O sprawach dla niego znacznie ważniejszych.

- To pan już mówił przez telefon. Ktoś podał panu jego nazwisko i dał do zrozumienia, że ojca zmuszono do wystąpienia z wojska. Dlaczego? Jak? Uważam, że to bzdura. Nie dlatego, by brakowało takich, którzy woleliby ujrzeć, jak odchodzi, ale ponieważ nie mogli go do tego zmusić.

- A co z pani matką?

- Co z nią?

- Była chora.

- Była chora - potwierdziła dziewczyna.

- Armia chciała, by pani ojciec wysłał ją do zakładu. A on się na to nie zgodził.

- To była jego decyzja. Wątpliwe, czy tam dbano by o nią lepiej. Bogu wiadomo, że wybrał najtrudniejszą drogę. Kochał ją i tylko to było ważne.

Chancellor przyjrzał się jej uważnie. Twarda skorupa, ostry, precyzyjny sposób mówienia, to była tylko powierzchnia. Wyczuwał, że pod nią kryje się z trudem maskowana wrażliwość. Nie mógł się powstrzymać, by tego nie sprawdzić.

- Tak to brzmi, jakby pani nie dotyczyło. To znaczy miłość do matki. Na moment w jej spojrzeniu

błysnęła złość.

- Moja matka... zachorowała, gdy miałam sześć lat. W gruncie rzeczy nigdy jej nie znałam. Nigdy nie poznałam kobiety, z którą mój ojciec się ożenił i którą tak żywo pamiętał.

Czy to panu coś wyjaśnia? - Przepraszam. - Peter zamilkł na chwilę. - Jestem cholernym głupcem. Oczywiście wyjaśnia.

- Nie głupcem. Pisarzem. Żyłam z pisarzem przez prawie trzy lata. Bawicie się ludźmi, nie umiecie się od tego powstrzymać.

- Nie miałem takiego zamiaru - zaprotestował.

- Powiedziała, że nie potrafi się pan powstrzymać.

- Czy znam pani przyjaciela?

- Być może. Pisuje dla telewizji, obecnie mieszka w Kalifornii, Nie wymieniła nazwiska. Zamiast tego sięgnęła po leżące na stoliku obok papierosy i zapalniczkę.

- Czemu pan przypuszcza, że mego ojca zmuszono do odejścia z wojska?

Chancellor się zmieszał.

- Powiedziałem pani. Z powodu pani matki.

Odłożyła zapalniczkę na stół, patrząc Peterowi prosto w oczy. - Jak to?

- Armia chciała, by ją odesłał do zakładu zamkniętego. Odmówił. - I sądzi pan, że to dlatego?

- Owszem.

- A więc myli się pan. Jak się pan zapewne zorientował, nie lubię wielu rzeczy związanych z wojskiem, ale to nie dotyczy jego stanowiska w sprawie mej matki. Przez ponad dwadzieścia lat ludzie z otoczenia mego ojca bardzo mu współczuli, zarówno przełożeni, jak podwładni. Pomagali mu w miarę możliwości. Jest pan zdziwiony?

Peter był zdziwiony. Generał wyraźnie to powiedział: „Teraz pan wie, na czym polegają kompromitujące informacje... lekarze orzekli, że należy ją zamknąć... nie zgodziłem się”. Jego własne słowa!

- Istotnie, jestem - pochylił się do rozmówczyni. - Dlaczego wobec tego pani ojciec wystąpił z wojska? Czy pani wie?

Zaciągnęła się dymem. Spojrzała gdzieś w dal, widząc rzeczy niedostępne dla wzroku Petera.

- Powiedział, że jest skończony, że już go nic nie obchodzi. Gdy mi to wyjawiał, zrozumiałam, że coś w nim pękło. I przypuszczałam, że wkrótce załamie się całkowicie.

Oczywiście, nie w taki sposób, jak to nastąpiło. A może nawet tak? Zastrzelony podczas bandyckiego napadu... Myślałam o tym. To by pasowało. Ostatni protest. Udowodnienie czegoś samemu sobie.

- Co pani ma na myśli?

Alison zwróciła na niego spojrzenie.

- Mówiąc najprościej, mój ojciec utracił wolę walki. W chwili, gdy mi to mówił, był najbardziej przygnębionym człowiekiem, jakiego w życiu widziałam.

Peter nie odpowiedział od razu. Zaniepokoił się.

- Czy to były dokładnie jego słowa? Że „już go nic nie obchodzi”? - Zasadniczo tak.

Był zupełnie przybity. Walki wewnętrzne w Pentagonie są okrutne. Nie ustają ani na chwilę.

Dostać broń, ciągle więcej broni. Mój ojciec mawiał, że to rozumiałe. Ludzie, którzy obecnie dowodzą wojskiem, byli młodymi oficerami podczas prawdziwej wojny. Wojny, którą wygrano za pomocą uzbrojenia. Gdybyśmy ją przegrali, nie byłoby niczego. - Mówiąc o

„prawdziwej wojnie” ma pani na myśli...

- Mam na myśli, panie Chancellor - przerwała dziewczyna - że przez pięć lat mój ojciec przeciwstawiał się naszej polityce w południowoschodniej Azji. Zwalczał ją przy każdej nadarzającej się okazji. Był w tym zupełnie osamotniony. Sądzę, że właściwe byłoby określenie, iż był pariasem. - Wielki Boże... - Peter mimo woli powrócił myślą do powieści o Hooverze. Do prologu. Wymyślony przez niego generał był takim pariasem, jak właśnie opisany przez Alison MacAndrew.

- Mój ojciec nie był politykiem, jego oceny nie miały nic wspólnego z polityką. Były czysto militarne. Wiedział, że tej wojny nie da się wygrać środkami konwencjonalnymi, a użycie niekonwencjonalnych było nie do pomyślenia. Nie mogliśmy jej wygrać, ponieważ tych, którym mieliśmy pomagać, w istocie wcale nie obchodziła. Zwykł być mawiać, że z Sajgonu nadchodzi więcej kłamstw niż ich kiedykolwiek w historii wypowiedziano przed sądami wojennymi. Uważał całe przedsięwzięcie za kolosalne trwonienie życia walczących ludzi.

Chancellor wyprostował się. Musiał coś przemyśleć. Usłyszał słowa, które sam napisał. Tę fikcję literacką.

- Wiedziałem, że generał był przeciwny pewnym aspektom tej wojny. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że ma na myśli korupcję i zakłamanie.

- Miał na myśli prawie wyłącznie to. I występował przeciw temu z całą gwałtownością. Był w

trakcie katalogowania setek sprzecznych raportów, sfalszowanych danych logistycznych czy wysokości strat nieprzyjaciela. Wyjawił mi kiedyś, że gdyby podawane liczby zabitych nieprzyjaciół były tylko w połowie prawdziwe, oznaczałoby to, że wojnę wygraliśmy w 1968 roku.

- Co pani powiedziała? - Peter spojrzał na nią niedowierzająco. To były jego własne słowa z powieści.

- Czy coś się stało?

- Nic. Proszę mówić dalej.

- To już wszystko. Wykluczono go z udziału w naradach, w których wiedział, że powinien uczestniczyć. Był ignorowany na odprawach sztabowych. Im ostrzej walczył, tym bardziej go lekceważono. Wreszcie przekonał się, że wszystkie jego wysiłki są daremne.

- A co się stało z katalogowanymi przez niego raportami? Z fałszerstwami? Z

napływającymi z Sajgonu kłamstwami?

Alison odwróciła oczy.

- To była ostatnia sprawa, o której mówiliśmy, powiedziała spokojnie. - Obawiam się, że to nie był mój najlepszy dzień. Byłam na niego zła. Nazywałam go słowami, których teraz głęboko żałuję. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest przybity.

- Ale co z raportami?

Alison podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Przypuszczam, że stały się dla niego symbolem. Oznaczały miesiące, nawet lata dalszej męki, walki przeciw ludziom, z którymi kiedyś służył. Nie był już w stanie dalej jej prowadzić. Nie potrafił im się dłużej przeciwstawiać. Zrezygnował.

Peter pochylił się w jej stronę. Z całą świadomością użył ostrego tonu. - Nie wygląda to tak, jak w rozmowie, którą wtedy odbyłem z zawodowym wojskowym.

- Wiem, że nie. Właśnie dlatego wrzeszczałam na niego. Widzi pan, mnie było wolno z nim się kłócić. Byliśmy czymś więcej niż ojcem i córką. Byliśmy przyjaciółmi. W jakimś sensie równymi sobie. Bo ja musiałam szybko dorosnąć; on nie miał poza mną nikogo, z kim mógłby rozmawiać. Jej spojrzenie było pełne udręki. Chancellor chwilę odczekał. - Kilka minut temu powiedziała pani, że nie mam racji. Teraz ja powiem coś podobnego. Rezygnacja ze służby w najmniejszym stopniu nie leżała w jego zamiarach. A na Hawaje nie pojechał dla odpoczynku. Poleciał tam w poszukiwaniu człowieka, który zmusił go do podania się do dymisji! - Co?

- Dawno temu pani ojcu coś się przydarzyło. Coś, co chciał przed wszystkimi ukryć.

Ten człowiek odkrył tajemnicę i zagroził generałowi. Bardzo polubiłem pani ojca. Spodobało mi się to, o co walczył, i czuję się diabelnie winien. Mówię to całkiem szczerze. I chcę pani o tym opowiedzieć.

Alison MacAndrew siedziała nieruchomo, z wielkimi oczami wlepionymi w pisarza.

- Czy teraz czegoś się pan napije? - spytała.

Opowiedział jej całą historię, wszystko, co pamiętał. Od jasnowłosego nieznajomego na plaży w Malibu, aż po zdumiewającą rozmowę telefoniczną z Rockville tego ranka.

Pominał tylko morderstwo w Fort Tryon.

Jeśli bowiem istniał związek między tymi dwiema strzelaninami, nie chciał zwalać na dziewczynę tak wielkiego ciężaru.

Opowiadając czuł się jak łobuz. Tani pisarzyna węszący za wielkim spiskiem. Był

gotów przyjąć jej oburzenie, potępienie, iż stał się przyczyną śmierci jej ojca. Tak głęboko przeżywał własną winę, że szczerze pragnął takiego potępienia.

Zamiast tego zdawało się, że ona rozumie całą głębię jego przeżyć. Wbrew oczekiwaniom, próbowała złagodzić jego poczucie winy, tłumacząc, że jeśli wszystko, co opowiedział, jest prawdą, jest nie łajdakiem, lecz ofiarą. Ale niezależnie od tego, co on na ten temat myślał, nie chciała przyjąć do wiadomości, iż w przeszłości ojca było coś tak kompromitującego, że groźba ujawnienia tego faktu mogła go zmusić do podania się do dymisji.

- To bezsensowne. Gdyby coś takiego istniało, użyto by tego przeciw niemu już wiele lat temu.

- W wywiadzie dla prasy oświadczyła pani, że został zmuszony. - Tak, ale nie w taki sposób. Przez niszczenie go, ignorowanie jego rozkazów. Takiej metody użyto. Byłam tego świadkiem.

Chancellorowi znów przyszedł na myśl prolog jego powieści i wręcz obawiał się zadać następne pytanie.

- A co z jego raportem o korupcji w Sajgonie?

- O co chodzi?

- Czy nie jest prawdopodobne, że próbowali go uciszyć?

- Na pewno tak. Ale on nie pierwszy raz robił coś podobnego. Jego raporty bojowe były zawsze bardzo krytyczne. Kochał wojsko, chciał, by było najlepsze z najlepszych. Nigdy by czegoś takiego nie opublikował, jeśli to ma pan na myśli.

- O tym właśnie myślałem.

- Nigdy. Nigdy by tego nie zrobił.

Peter nie rozumiał dlaczego, ale nie nalegał, aby uzyskać wyjaśnienie. Musiał jednak zadać oczywiste pytanie.

- Dlaczego poleciał na Hawaje?

- Wiem, o czym pan myśli. - Spojrzała na niego. - Nie mogę zaprzeczyć, ale pamiętam też, co mi mówił. Powiedział, że chce odjechać, że wybiera się w długą podróż. I nie było nic, co by go mogło powstrzymać. Matka nie żyła.

To nie było zadowalające wyjaśnienie, kwestia pozostała w zawieszeniu, a oni rozmawiali dalej. Całe godziny, jak się zdawało. Wreszcie powiedziała jedną z rzeczy, na które czekał. Nazajutrz wieczorem ciało jej ojca zostanie przewiezione cywilnym rejsowym samolotem z Hawajów do Nowego Jorku. Oczekująca na lotnisku Kennedy'ego eskorta wojskowa przeniesie trumnę do wojskowego samolotu, którym zostanie ona zawieziona do Wirginii. Pogrzeb odbędzie się następnego dnia w Arlington. Alison nie była pewna, jak to zniesie.

- Czy ktoś będzie pani towarzyszył?

- Nie.

- Czy mnie pani pozwoli?

- Nie ma powodu...

- Uważam, że jest - odrzekł zdecydowanie Peter.

Stali obok siebie na ogromnej płaszczyźnie betonu lotniska towarowego. O parę jardów w lewo dwóch oficerów wyprężyło się w postawie na baczność. Wiał silny wiatr. W

powietrzu wirowały jakieś papierki i liście, zerwane z odległych drzew. Ogromny DC-10

podkołował i zatrzymał się. Gdy wielka płyta pod gigantycznym kadłubem odsunęła się, podjechał wózek elektryczny. W kilka sekund później opuszczono na niego trumnę.

Nagle Alison zbladła jak ściana, jej ciało zeszywniało. Zaczęły jej drżeć najpierw wargi, potem ręce. Piwne oczy patrzyły przed siebie bez mrugnięcia powiek, po policzkach ciekły łzy. Peter objął ją. Panowała nad sobą tak długo, jak potrafiła, o wiele dłużej niż to było konieczne i zadając sobie znacznie większy ból. Chancellor czuł, jak trzęsą się jej ramiona. Przytulił ją mocniej. Wreszcie nie zdołała wytrzymać cierpienia, odwróciła się i oparła o niego. Wtulona twarzą w jego płaszcz, tłumiała łkanie.

- Przykro mi... Naprawdę, mi przykro - szepnęła. - Obiecywałam sobie, że nic takiego nie będzie.

Trzymając ją w ramionach powiedział łagodnie:

- Ależ nie tłumacz się. To jest dozwolone.

ROZDZIAŁ 17

Peter podjął decyzję, ale ona ją za niego zmieniła. Postanowił zrezygnować z książki: manipulowano nim, a cenę tej manipulacji symbolizowała śmierć MacAndrewa.

Poprzedniego wieczoru dał to Alison do zrozumienia.

- A jeśli masz rację? - spytała. - Nie sądzę, byś ją miał, ale jeśli to prawda? Czy to nie jest powód, by tym bardziej kontynuować? To był powód.

W wojskowym samolocie zajął miejsce po przeciwnej stronie kabiny. Chciała być sama, wyczuł to i rozumiał. Pod nimi, w ładowni samolotu było ciało jej ojca. Miała wiele do przemyślenia, a Peter nie mógł jej w tym pomóc. Alison była bardzo skryta, i to także rozumiał.

A ponadto była nieobliczalna. Dowiedział się o tym wczesnym popołudniem, przyjechawszy po nią taksówką. Powiedział, że telefonował do HayAdamsa w Waszyngtonie i zarezerwował dla nich pokoje. - Nie wygłupiaj się. W domu w Rockville jest pełno miejsca.

Tam się zatrzymamy. Uważam, że powinniśmy.

Czemu „powinni”? Nie pytał.

Chancellor otworzył aktówkę i wyjął oprawiony w skórę blok, który wszędzie z nim podróżował. Podarował mu go dwa lata temu Joshua Harris. W kieszonce na wewnętrznej stronie okładki znajdowało się kilka zatemperowanych ołówków. Wyjął jeden i zaczął pisać.

Rozdział 8. Konspekt.

Lecz nim zaczął, pomyślał najpierw o słowach Alison z poprzedniego wieczoru.

...a jeśli to prawda? Czy to nie jest powód, by tym bardziej kontynuować? Popatrzył

na przed chwilą napisane słowa: Rozdział 8. Konspekt.

Zbieg okoliczności był niepokojący. To był rozdział, w którym Meredith zostaje doprowadzony na skraj szaleństwa z powodu własnej, okropnej tajemnicy.

Alex wcześniej niż zwykle wychodzi ze swego gabinetu w Federalnym Biurze Śledczym. Wie, że za nim idą, próbuje więc zgubić się w tłumie, skręcając w krótkie uliczki i pasáže. Do kilku budynków wchodzi jednymi drzwiami, a wychodzi drugimi. Wskakuje do autobusu, który zawozi go w poblizsze mieszkania zastępcy prokuratora generalnego. Mają się spotkać.

W owym domu portier wręcza mu list od zastępcy prokuratora generalnego. Nie przyjmie Alexa. Nie życzy sobie żadnych dalszych z nim kontaktów. Jeśli Meredith będzie się przy nich upierał, zmusi zastępcę do poinformowania innych osób o jego dziwnym zachowaniu. W jego ocenie Alex jest niezrównoważony, ma paranoidalne urojenia na temat rzekomych nadużyć. Jako człowiek Meredith osłupiał, jako prawnik wpadł we wściekłość.

Oto tutaj ma dowody. Dotarło do zastępcy prokuratora generalnego w taki sam sposób, jak docierano do wielu innych. Drużynom Hoovera udało się zablokować wszystkie posunięcia Mereditha. Brutalna siła FBI przenikała wszędzie. Przed domem dostrzega samochód Biura, który zaczął go śledzić. Siedzi w nim kierowca i jeszcze jeden człowiek. Obaj w milczeniu patrzą na Alexa. Jest to zgodne ze strategią zastraszania przez jawną inwigilację. Szczególnie w nocy. To jedna z metod używanych przez Hoovera.

Meredith jedzie taksówką do garażu, gdzie trzyma swój samochód. Widzimy go, jak mknie przez Memorial Parkway wymijając co chwila inne wozy, lecz ze świadomością, że samochód FBI podąża za nim.

Pod wpływem nagłego impulsu zmienia kierunek, zjeżdżając z autostrady nie znanym sobie wyjazdem na wiejską szosę w Wirginii. Zbuntował się w nim mąż i ojciec. Nie zaprowadzi śledzących go do swego domu, do żony i dzieci. Jego lęk zmienia się we wściekłość.

Następuje pogoń bocznymi drogami. Szybkość, przelatujący krajobraz, pisk opon na ostrych zakrętach - wszystko to zwiększa panikę Alexa. Jest samotnym człowiekiem, walczącym w labiryncie o ocalenie. Ten szaleńczy pościg pogłębia jeszcze bardziej utratę równowagi, spowodowaną wypadkami ubiegłych tygodni. Meredith zaczyna się załamywać.

W coraz większej ciemności Alex źle oblicza wejście w nagle pojawiający się zakręt.

Naciska z całej siły hamulec, wóz wpada w poślizg, zeskakuje z drogi i przebijając płot zatrzymuje się w polu.

Potłuczony, z czołem krwawiącym od uderzenia w przednią szybę, Meredith wysiada z samochodu. Z tyłu na drodze widzi samochód FBI. Z wrzaskiem biegnie w jego stronę. Jest w takim stanie ducha, że pragnie przemocy fizycznej, zwarcia w walce. Ale nie osiąga tego w taki sposób, jakby chciał. Obaj pracownicy FBI wysiadają z wozu i obezwładniają go w mgnieniu oka. Udają, że zachowują się zgodnie z rutyną policyjną, rewidując go w poszukiwaniu ukrytej broni.

Kierowca odzywa się zinnym tonem: - Nie ciskaj się, Meredith. Tacy ludzie jak ty nie są nam szczególnie potrzebni. Ludzie, którzy zakładają mundur i działają na rzecz drugiej strony. Alex załamuje się. Jest to tajemnica, głęboko pogrzebana w przeszłości. Lata temu, podczas wojny koreańskiej, jako ledwie dwudziestoletni porucznik, Meredith został wzięty do niewoli i tam go złamano. Nie był wyjątkiem, takich były setki. Ludzie doprowadzeni do obłędu torturami fizycznymi i psychicznymi, dawno zapomnianymi przez współczesne zasady prowadzenia wojny. Armia to zrozumiała, bo pogwałcono Konwencje Genewskie.

Złamanym ludzi zapewniono, że wszelkie ślady dotyczące tego koszmaru zostaną wymazane.

Służbę wojskową odbyli zaszczytnie, spotkały ich wydarzenia, do których armia nikogo nie przygotowywała. Mogą bezkarnie powrócić do normalnego życia.

Teraz Alex rozumie, że najciemniejsze chwile jego życia są znane ludziom, którzy bezlitośnie użyją tej wiedzy przeciw niemu, a nawet przeciw żonie i dzieciom.

Agenci FBI wypuszczają go. Nadchodzi świt, Alex wlecze się wzdłuż wiejskiej drogi.

Peter zamknął blok i spojrzał na Alison. Siedziała z szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami, wpatrzona prosto przed siebie. Dwuosobowa eskorta wojskowa zajmowała miejsca z przodu, by nie być świadkami czyjegoś skrytego bólu.

Poczuła jego wzrok i odpowiedziała spojrzeniem, zmuszając się do uśmiechu.

- Pracujesz?

- Pracowałem. Teraz już nie.

- Cieszę się, że to robiłeś. Dzięki temu lepiej się poczułam. Jakbym ci mniej przeszkadzała.

- To nie wchodzi w rachubę. Kazałaś mi kontynuować, pamiętasz? - Wkrótce tam będziemy - powiedziała automatycznie.

- Myślę, że najwyżej za dziesięć czy piętnaście minut.

Znów pogąrzyła się w myślach, spoglądając na świetliste, błękitne niebo za oknem.

Samolot zaczął się zniżać.

Na lotnisku Andrews polecono im udać się do sali oficerskiej przy szóstym terminalu.

Jedyną oczekującą ich tam osobą był młody kapelan wojskowy, któremu kazano dotrzymać towarzysztwa Alison. Wiadomość, że jest zbędny, przyniosła mu wyraźną ulgę, ale równocześnie jakby nieco go speszyła. - To miłe, że pan tu jest - rzekła Alison zdecydowanym głosem ale mój ojciec zginął przed kilkoma dniami. Już wyszłam z szoku.

Pastor uroczyście uściskał im ręce i oddalił się.

Alison zwróciła się do Petera:

- Ceremonia została wyznaczona na jutro, na dziesiątą rano, w Arlington. Zażądałam, by się ograniczyła do minimum, będzie tylko orszak oficerski na samym cmentarzu. Jest prawie szósta. Może zjemy gdzieś wczesną kolację i pojedziemy do domu?

- Świetnie. Czy mam wynająć samochód?

- Nie ma potrzeby. Dostaniemy go.

- Z kierowcą, prawda?

. - Tak - Alison zmarszczyła brwi. - Masz rację. To komplikuje sprawę. Czy masz przy sobie prawo jazdy?

- Oczywiście.

- Więc możesz pokwitować odbiór samochodu. Zgadzasz się?

- Jasne.

- Lepiej będzie bez osób trzecich - powiedziała. - Kierowcy wojskowi są z zasady szpiegami wyższych oficerów. Nawet, jeśli nie zaprosimy go do środka, będzie miał rozkaz zostać na miejscu, aż zostanie zmieniony.

Słowa Alison były dość wieloznaczne.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Alison dostrzegła jego wahanie.

- Jeśli memu ojcu coś się przydarzyło przed laty, coś, co uważał za tak okropne, że mogło zmienić bieg jego życia, klucz od tego powinien się znajdować w domu w Rockville.

Przechowywał pamiątki z miejsc, do których był przydzielony. Fotografie, wykazy, rzeczy dla niego ważne. Uważam, że powinniśmy je przejrzeć.

- Rozumiem. Lepiej, gdy to zrobią dwie osoby niż trzy - dodał Peter, niejasno zadowolony, że Alison to miała na myśli. - Może lepiej zrób to sama. Mogę asystować i robić dla ciebie notatki.

Popatrzyła mu w oczy w sposób pełen rezerwy, który dziwnie przypominał jej ojca.

Ale gdy przemówiła, jej głos był ciepły. - Jesteś bardzo taktowny. Podziwiam tę cechę charakteru. Ja nie jestem. Chciałabym być, ale to, że tak powiem, nie ma zastosowania w moim zawodzie.

- Mam pomysł - odrzekł. - Mam jeden prawdziwy talent: potrafię świetnie gotować.

Śpieszy ci się do Rockville. Mnie też. Może zatrzymamy się przy supermarkecie i coś weźmiemy? Coś w rodzaju steków, ziemniaków i whisky.

Uśmiechnęła się.

- Zaoszczędzimy masę czasu.

- Załatwione.

Jechali wschodnimi szosami, prowadzącymi na północ i zachód w głąb Marylandu, przystanęli tylko przed sklepem w Randolph Hills, by kupić żywność i whisky.

Zaczęło się ściemniać. Grudniowe słońce zaszło za wzgórza, długie cienie przebiegały po przedniej szybie wojskowego samochodu, rysując dziwne, pojawiające się i znikające kształty. Skręciwszy z szosy na krętą boczną drogę, prowadzącą do domu generała, Peter dotarł do płaskiego obszaru ziemi uprawnej. Ujrzał zarys płotu z drutu kolczastego i leżącego za nim pola, gdzie trzy miesiące wcześniej sądził, że postrada życie.

Droga ostro zakręcała. Trzymał nogę na pedale gazu, obawiając się zmniejszyć szybkość. Musi stąd uciec. Ból przeszywał mu prawą skroń, promieniował w dół i zakręcał w stronę karku, pulsując u podstawy czaszki. Prędej!

- Peter! Na litość boską!

Opony zapiszczały. Wszedł w zakręt mocno trzymając kierownicę, przeleciał go gładko i wyszedł na prostą. Przyhamował.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nie - skłamał. - Przepraszam, zrobiłem to bezmyślnie. - Poczuł na sobie jej niedowierzające spojrzenie. - Nie, to nieprawda - kontynuował. - Przypomniałem sobie moją poprzednią tutaj wizytę, kiedy spotkałem twego ojca i matkę.

- Ja też myślałam o mojej ostatniej wizycie - odrzekła. - To było tego lata.

Przyjechałam na parę dni. Miałam zostać przez tydzień, ale nie wyszło. Zerwałam się na równe nogi i wyjechałam, rzucając wiele słów, których wolałabym nigdy nie wypowiedzieć.

- Czy to było wtedy, gdy ci powiedział, że zamierza złożyć dymisję? - Gdy już to zrobił. Myślę, że nic i nigdy tak mnie nie zaniepokoiło, jak właśnie to. Zawsze dyskutowaliśmy o ważnych sprawach. I nagle, gdy nadszedł najważniejszy moment w jego życiu, ja zostałam pominięta. Mówiłam okropne rzeczy.

- Czyli podjął nadzwyczajną decyzję nie wyjaśniając ci jej. A więc twoja reakcja była naturalna.

Zamilkli. Przez ostatnie dziesięć mil żadne z nich nie powiedziało nic istotnego. Noc zapadła szybko, wstał księżyc.

- To tutaj - powiedziała Alison. - Ta biała skrzynka na listy. Chancellor zwolnił i skręcił w osłoniętą drogę dojazdową, ukrytą z obu stron w obfitym listowiu i nisko zwisających gałęziach drzew. Gdyby nie skrzynka, łatwo byłoby ją przegapić.

Dom stał w niesamowitym odosobnieniu. Zwykły, samotny, cichy dom. Przez gałęzie przeglądał księżyc, kładąc na frontowej ścianie plamy światła i cienia. Okna były mniejsze niż we wspomnieniu Petera, dach niższy. Alison wysiadła i po wąskiej ścieżce powoli podeszła do wejścia. Chancellor podążył za nią, niosąc żywność i whisky kupione w Randolph Hills. Otworzyła drzwi,

Poczuła go od razu. Nie był ciężki ani nawet nieprzyjemny, ale przenikał całe wnętrze.

Aromatyczny, podobny do piżma zapach, ulotna woń, dochodząca z domu i rozplywająca się w nocnym powietrzu. Widoczna w świetle księżyca Alison zmrużyła oczy, pochylając głowę w zamyśleniu. Peter przyglądał się jej uważnie; wyglądała, jakby przeszył ją nagły dreszcz.

- To matki - oświadczyła.

- Perfumy?

- Tak. Ale przecież ona umarła miesiąc temu.

Chancellor przypomniał sobie rozmowę w samochodzie.

- Mówiłaś, że ostatnio byłaś tu w lecie. Czy nie przyjechałaś... - Na pogrzeb?

- Tak.

- Nie. Nie wiedziałam, że umarła. Ojciec zatelefonował do mnie, gdy już było po wszystkim. Nie było ogłoszeń ani jakiegokolwiek ceremonii. Cichy pogrzeb, tylko on i kobieta, którą pamiętał jak nikt inny. Alison weszła do ciemnego holu i zapaliła światło. - Chodź, zostawimy zakupy w kuchni.

Przez uchylone drzwi przeszli z małej jadalni do kuchni. Alison i tu zapaliła światło.

Ukazały się dziwnie staromodne szafki i stoły obok ostro kontrastującej z nimi, nowoczesnej chłodziarki. Wyglądało to tak, jakby do wnętrza z trzydziestych lat naszego stulecia wtargnęło jakieś futurystyczne urządzenie. Petera nagle uderzyło wspomnienie tego domu z poprzedniej wizyty. Z wyjątkiem gabinetu generała cała reszta wyglądała staromodnie, jakby z rozmysłem urządzona w stylu minionej epoki. Alison zdawała się czytać w jego myślach.

- Gdzie tylko się dało, ojciec odtworzył otoczenie z czasów jej dzieciństwa.

- Co za nadzwyczajna historia miłosna! - tyle tylko potrafił z siebie wydusić.

- Co za nadzwyczajne poświęcenie! - dodała.

- Miałaś do niej urazę, prawda?

Nie uchyliła się od odpowiedzi.

- Tak. On był niezwykłym człowiekiem. Tak się złożyło, że był moim ojcem, ale to nie miało znaczenia. Był człowiekiem idei. Czytałam kiedyś, że idea jest potężniejszą budowlą niż katedra, i wierzę w to. Ale jego katedra czy katedry nigdy nie zostały wybudowane. Sprawy, którym oddawał się z całym poświęceniem, zawsze były kierowane na ślepy tor. Nigdy nie dawano mu czasu na doprowadzenie ich do końca. A ona była mu kulą u nogi.

Chancellor nie spuszczał oczu z jej gniewnego spojrzenia. - Mówiłaś, że jego otoczenie mu współczuło. Że pomagali mu, jak tylko mogli.

- Oczywiście, tak było. Nie był jedynym oficerem z trzaśniętą kobietą na karku. Mafia z West Point jest zdania, że to się zdarza bardzo często. Ale on nie był taki jak inni. Miał coś oryginalnego do powiedzenia. A gdy nie chcieli go słuchać, zabijali go życzliwością. „Biedny Mac! Pomyśl tylko, z czym on musi żyć!”

- Byłaś jego córką, a nie żoną.

- Byłam jego żoną! Pod każdym względem z wyjątkiem łóżka. A niekiedy zastanawiałam się, czy... Nieważne. Wyprowadziłam się. Uchwyciła się brzegu stołu. -

Przepraszam. Nie znamy się dość blisko. Nikogo nie znam dość blisko. - Drżąca pochyliła się nad blatem. Peter stłumił odruch przytulenia jej.

- Czy sądzisz, że jesteś jedyną dziewczyną na świecie, która doświadczała podobnych uczuć? Nie przypuszczam, Alison.

- Zimno mi. - Spróbowała się wyprostować, Peter nadal jej nie dotknął. - Czuję, że tu jest zimno. Piec centralnego ogrzewania musiał wygasnąć. - Wyprostowała się i wierzchem dłoni otarła łzy. - Czy znasz się może na takich piecach?

- Jest na ropę czy na gaz?

- Nie mam pojęcia.

- Zobaczę. Czy to jest wejście do piwnicy? - wskazał drzwi w ścianie po prawej stronie.

- Tak.

Odnalazł wyłącznik i zszedł po wąskich schodach. Piec stał pośrodku niskiego pomieszczenia, z jego lewej strony znajdowała się cysterna na ropę. Było tu zimno, wszystko przenikał wilgotny chłód, jakby drzwi na dwór pozostawiono otwarte.

A te drzwi były zaryglowane. Peter przyjrzał się wskaźnikowi cysterny. Ukazywał, że zbiornik jest do połowy napełniony, ale przecież mógł być niedokładny. Bo z jakiego innego powodu piec byłby

wygaszony?

Człowiek taki jak MacAndrew nie opuściłby w zimie wiejskiego domu, pozbawiając go ogrzewania. Chancellor postukał w ścianę zbiornika. Pusty u góry, pełny u dołu. Wskaźnik był w porządku.

Otworzył klapę paleniska i zrozumiał przyczynę. Zgasł płomyk pilotowy. W

normalnych warunkach potrzeba by bardzo silnego przeciągu, aby tego dokonać. Albo zatkania się rurki paliwowej. Ale piec niedawno był kontrolowany. Świadczył o tym mały kawałek taśmy samoprzylepnej z datą ostatniego przeglądu. Minęło od niego zaledwie sześć tygodni.

Peter przeczytał instrukcję obsługi. Była niemal identyczna ze znaną mu z domu rodziców.

Przycisnąć czerwony guzik na sześćdziesiąt sekund. Zapalić zapałkę... Nagły, głośny, dochodzący gdzieś z tyłu stukot zaparł mu dech w piersiach. Napiął mięśnie, pochylił głowę i znieruchomiał. Stukot ucichł. Po chwili usłyszał go ponownie! Zakręcił się w miejscu i skoczył w stronę schodów. Rozejrzał się.

Pod sufitem piwnicy było otwarte okienko. Znajdowało się na poziomie gruntu na zewnątrz, szarpał nim wiatr.

To była przyczyna. Powiew z okna zgasił płomyk pilotowy. Chancellor poszedł w tamtą stronę, ogarnięty nagłym lękiem.

Szyba w oknie była rozbita. Poczuł, jak pod podeszwami chrzęści potłuczone szkło.

Ktoś się tędy włamał do domu MacAndrewa! Nagle wszystko potoczyło się tak szybko, że przez moment jego ciało działało jak automat.

Z góry dobiegły krzyki. I jeszcze. I jeszcze! Alison!

Pobiegł wąskimi schodkami do kuchni. Alison tu nie było, ale jej krzyk nie ustawał.

Krzyk przerażonego zwierzęcia.

- Alison! Alison!

Wbiegł do jadalni.

- Alison!

Wrzaski nagle ucichły, zamiast nich rozległy się stłumione jęki i łkania. Dochodziły z drugiej strony domu, zza holu i bawialni. Z gabinetu MacAndrewa!

Peter rzucił się w tamtą stronę, kopnięciem odrzucając z drogi jedno krzesło, przewracając drugie.

Wpadł do gabinetu.

Alison klęczała na podłodze, trzymając w dłoniach wyblakłą, zakrwawioną koszulę nocną. Wszędzie leżały porozbijane flakony perfum. Ich zapach był teraz nie do wytrzymania.

A na ścianie krwawoczerwoną farbą wymalowano słowa:

MACKIE MAJCHER. MORDERCA Z CHASÓNGU.

ROZDZIAŁ 18

Farba na ścianie była jeszcze miękka, ale nie mokra. Za to krew na poszarpanej nocnej koszuli - wilgotna. W gabinecie generała zrobiono dokładną, zawodową rewizję. Biurko miało wyważone szuflady, skórzane obicia mebli dokładnie pocięto. Skrzynkowe parapety były otwarte, przeciwwagi pionowo otwieranych okien odcięte i odrzucone, szafa na książki opróżniona z zawartości, wszystkie oprawy starannie poprzecinane. Peter zaprowadził Alison do kuchni. Nalał dwie szklanki whisky. Wrócił do piwnicy, rozpałił w piecu, rozbite okno zatkał szmatami. Na parterze w bawialni stwierdził, że kominek jest w porządku. W wielkim plecionym koszu na prawo od paleniska leżał z tuzin polan. Rozpałił ogień i usiadł wraz z Alison na kanapie naprzeciw niego. Strach powoli ustępował, ale pytania pozostały.

- Co to jest Chasong? - zapytał.

- Nie wiem. Przypuszczam, że to miejscowość w Korei, ale nie jestem pewna.

- Gdy się dowiemy, możemy też odkryć, co tam się stało. I czego tu szukali.

- Wszystko mogło się stać. Była wojna i... - przerwała wpatrując się w płomienie.

- A on był żołnierzem, posyłającym innych żołnierzy do walki. Być może okaże się to aż tak proste. Ktoś, kto tam stracił syna czy brata, ktoś szukający zemsty. Słyszałem o takich wypadkach.

- Ale dlaczego na nim? Takich jak on były setki. A znany był z tego, że szedł na czele swych ludzi, a nie z tyłu za nimi. Nikt nigdy nie kwestionował jego rozkazów. Nie w ten sposób.

- Ale ktoś to zrobił - odrzekł Peter. - Ktoś bardzo chory. Patrzyła na niego dłuższy czas, nim odpowiedziała.

- Wiesz, o czym mówisz, prawda? Chory czy nie, cokolwiek ten człowiek wie, czy tylko podejrzewa, to jest prawda.

- Nie, tak daleko się nie posunąłem. Nie jestem bowiem pewien, czy jedno wynika z drugiego.

- A jednak musi wynikać. Mój ojciec nie porzuciłby wszystkiego, w co wierzył, gdyby to było coś innego - zadrzała. - Co on takiego zrobił?

- To miało coś wspólnego z twoją matką.

- Niemożliwe.

- Doprawdy? Tego popołudnia, gdy byłem tu z wizytą, widziałem tę nocną koszulę.

Miała ją wtedy na sobie. Upadła. A dokoła było potłuczone szkło.

- Wszystko bez przerwy tłukła. Niszczyła. A nocna koszula jest ostatnim, okrutnym żartem. Przypuszczam, że miała być aluzją do impotencji ojca. To nie było żadną tajemnicą.

- Gdzie była twoja matka podczas wojny koreańskiej?

- W Tokio. Byłyśmy tam obie.

- To było w pięćdziesiątym albo pięćdziesiątym pierwszym roku? - Tak, coś koło tego.

Byłam wtedy dzieckiem.

- Około sześciu lat?

- Tak.

Peter upił trochę whisky.

- To wtedy twoja matka zachorowała?

- Tak.

- Twój ojciec powiedział, że miała wypadek. Czy pamiętasz, co się zdarzyło?

- W i e m, co się zdarzyło. Utopiła się. Naprawdę się utopiła. Ocucili ją elektrowstrząsami, ale niedotlenienie trwało zbyt długo. Dość długo, by nastąpiło uszkodzenie mózgu.

- Jak do tego doszło?

- Została pochwycona przez prąd przydenny na plaży Funabashi. Uniosło ją w morze.

Ratownicy nie byli w stanie na czas do niej dotrzeć. Oboje zamilkli. Chancellor dokończył

whisky, podniósł się z kanapy i pogrzebał w ogniu.

- Czy przygotować coś do jedzenia? A potem możemy...

- Ja tam nie wrócę! - przerwała mu ostro, nie odwracając wzroku od ognia. A potem spojrzała na niego. - Wybacz. Jesteś ostatnim człowiekiem, na którego miałabym prawo krzyczeć. - Jestem jedynym pod ręką - odrzekł. - Jeśli masz ochotę pokrzyczeć...

- Wiem, wiem - przerwała - to jest dozwolone.

- Myślę, że tak.

- Czy twoja tolerancja nie zna granic? - zapytała cicho z wesołym błyskiem w oku.

Poczuł jej ciepło. I bezbronność.

- Nie uważam się za szczególnie tolerancyjnego. Nieczęsto określano mnie w ten sposób.

- Mogę poddać tę ocenę próbie - Alison wstała z kanapy i podeszła, kładąc mu ręce na ramionach. Palcami prawej dłoni delikatnie powiodła po jego lewym policzku, oczach i wreszcie wargach. - Nie jestem pisarką, rysuję obrazki i one są moimi słowami. I nie jestem w stanie narysować tego, co właśnie myślę czy czuję. Proszę cię więc, Peter, o wyrozumiałość. Czy możesz mi ją okazać?

Pochyliła się ku niemu nie odrywając palców od jego warg i przycisnęła do nich usta.

Usunęła palce dopiero wtedy, gdy jej wargi się rozchyliły. Gdy przywarła do niego, poczuł, jak jej ciało drży. „Jej pożądanie pomyślał Peter - zrodziło się z wyczerpania i nagłego, przemożnego poczucia samotności. Rozpaczliwie potrzebowała dowodów miłości, bo zabrano jej przedmiot miłości. Coś, może cokolwiek, musiało go zastąpić na chwilę, może na jeden moment”.

O, Boże, jak ją rozumiał! A ponieważ rozumiał, zapragnął jej. W jakiś sposób potwierdzało to jego własną mękę. Oboje cierpieli z podobnego wyczerpania, podobnej samotności i poczucia winy. Nagle przyszło mu na myśl, że przez całe miesiące nie miał z kim rozmawiać, nie pozwalał nikomu się zbliżyć.

- Nie chcę iść na górę - szepnęła. Na wargach czuł jej szybki oddech. Trzymała go tak mocno, że jej palce wbiły mu się w plecy. - Nie pójdziemy - odrzekł cicho sięgając do guzików jej bluzki. Odsunęła się nieco od niego, podnosząc prawą rękę do szyi. Jednym ruchem zerwała z siebie bluzkę, drugim rozpięła jego koszulę. Ich ciała spotkały się.

Czuł takie podniecenie, jakiego nie zaznał od wielu miesięcy. Od czasów Cathy.

Podprowadził ją do kanapy i łagodnym ruchem odpiął jej stanik. Zsunął się, obnażając jej miękkie, strome piersi, z twardymi, obudżonymi sutkami. Przygięła mu głowę w dół, a gdy jego wargi zaczęły bładzić po jej skórze, sięgnęła do sprzączki jego paska. Opadli na kanapę.

Było cudownie.

Alison zasnęła głęboko, a Peter doszedł do wniosku, że nie ma sensu zanosić ją do łóżka na górę. Wobec tego przyniósł stamtąd kołdry i poduszki. Ogień na kominku przygasł.

Podniósł głowę Alison, podsuwając pod nią najbardziej miękką z poduszek, a jej nagie ciało przykrył kołdrą. Nie poruszyła się.

Przed kominkiem, w pobliżu kanapy, ułożył dwie kołdry i sam się położył. W ciągu ostatnich paru godzin pojął wiele, z wyjątkiem stopnia własnego wyczerpania. Zasnął

natychmiast.

Obudził się gwałtownie, wyrwany ze snu osunięciem się polana w kominku. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Przez małe okienka wpadało blade światło przedświt. Spojrzał na leżącą na kanapie Alison. Spała nadal, oddychając równo i głęboko.

Zerknął na zegarek. Było dwadzieścia po piątej. Spał prawie siedem godzin.

Wstał, wciągnął spodnie i powędrował do kuchni. Torby z żywnością stały nadal nie rozpakowane. Odsunął je. Szperając w staromodnej szafce znalazł przybory do parzenia kawy. Była to maszynka z filtrem, pasująca do tego otoczenia; produkowano takie czterdzieści lat temu. Kawa była w lodówce, a Peter próbował sobie przypomnieć, jak należy się obchodzić z taką maszynką i z mieloną kawą. Zrobił wszystko, co potrafił, i postawił

maszynkę na małym ogniu na kuchni.

Wrócił do bawialni. Po cichu włożył resztę ubrania, przeszedł po holu i wyszedł na dwór frontowymi drzwiami. Trudno było skorzystać z zawartości ich obu walizek i jego teczki, gdy tak leżały w wojskowym samochodzie sztabowym, stojącym na małym podjeździe.

Było zimno i mokro. Zima w Marylandzie nie mogła się zdecydować, czy sypnąć śniegiem, czy pozostać przy marznącej mgle. Rezultatem była wszechprzenikająca wilgoć.

Peter otworzył drzwiczki wozu i sięgnął po leżące na tylnym siedzeniu bagaże.

W nagłym wstrząsie wybałuszył oczy. Nie potrafił opanować wrywającego się z gardła westchnienia. Widok był przerażający i groteskowy. I wyjaśniał, skąd się wzięła krew na ścianach gabinetu MacAndrewa i na nocnej koszuli.

Walizka Alison stała na podłodze, jego leżała płasko na siedzeniu, na niej zaś oderżnięte tylne nogi jakiegoś zwierzęcia, ze ścięgnami zwisającymi paskudnie z przesiąkniętego krwią futra. Na skórze walizy zaś namalowane umazanym we krwi palcem, widniało słowo:

CHASÓNG

Szok, jakiego doznał Peter, ustąpił miejsca lękowi i obrzydzeniu. Wycofał się tyłem z samochodu, patrząc w stronę gęstwiny liści i drogi za nimi. Obszedł na palcach samochód.

Przyklęknął i podniósł kamień. Nie wiedział, dlaczego to robi, ale ta prymitywna broń odrobinę go uspokoiła.

Trzasnęła gałązka. Gdzieś została złamana. Tam albo tam, albo... kroki!

Ktoś biegł. Ktoś nagle uciekał. Po żwirze.

Peter nie zdawał sobie sprawy, czy jego lęk przytłumiły same tylko odgłosy, czy fakt, że się oddalały, ale pobiegł za nimi tak szybko, jak potrafił. A potem odgłos kroków przycichł, jakby ktoś nie biegł już po żwirze, lecz po twardej nawierzchni. Po drodze!

Przedarł się przez zarośla, gałązki chłostały go po twarzy, pnie i korzenie hamowały bieg. Dotarł wreszcie do drogi, w oddali, w mętym świetle przedświt jakas postać pędziła w stronę samochodu. Z poranną mgłą zmieszał się dymek, zapuszczono motor. Niewidoczna ręka otworzyła z prawej strony drzwiczki samochodu, postać wskoczyła do środka i wóz szybko wystartował w półmrok.

Peter stał na drodze. Z czoła spływał mu pot. Wypuścił kamień i otarł twarz.

Przypomniały mu się słowa, wypowiedziane przez gniewną kobietę w blasku świec w hotelu HayAdams w Waszyngtonie.

Terror szerzony na rozkaz.

Tego właśnie był świadkiem. Ktoś próbował tak przestraszyć Alison MacAndrew, by postradała zmysły. Ale dla czego? Jej ojciec nie żył. Co można było zyskać, terroryzując córkę?

Postanowił ukryć przed Alison choć część tych okropności. Chciał ukryć je przed nią.

Wszystko zdarzyło się zbyt szybko, ale wiedział, że wypełniła się próżnia w jego życiu: weszła w nie Alison.

Ciekaw był, jak to długo potrwa. Odpowiedź na to pytanie nagle stała się dla niego bardzo ważna. Zawrócił do samochodu sztabowego, usunął przesiąknięte krwią łapy zwierzęcia i odrzucił je daleko między drzewa. Wyciągnął obie walizki oraz tekę i wniósł do domu. Ucieszył się, że Alison śpi nadal.

Jej walizkę zostawił w holu, własne rzeczy przeniósł do kuchni. Przypomniała mu się zasłyszana gdzieś wiadomość, że zimna woda łatwiej usuwa krew niż gorąca. Odkręcił kurek, znalazł papierowe ręczniki i przez cały kwadrans szorował poplamioną skórę do czysta.

Resztki zdrapał nożem do chleba, skrobiąc, póki nie znikły kontury liter. A potem, z przyczyn, których sam sobie nie umiał wyjaśnić, otworzył aktówkę, wyciągnął notes i rozłożył go na stole w staromodnej kuchni. Maszynka do kawy zabulgotała. Nalał sobie kubek i powrócił do stołu. Otworzył blok i wpatrzył się w zapełnioną do połowy pismem żółtą kartkę. To nie był tylko jego poranny przymus pisania. Wydało mu się, że powinien przyrzeć się własnym myślom i przefiltrować je na papier przez cudzy umysł. Bo właśnie doświadczył czegoś, co wcześniej przypisał stworzonej przez siebie postaci. Był tropiony w ciemności. Agenci FBI wypuszczają Meredith. W szarości świtu wlecze się on większą drogą.

Upływa pewien czas.

Meredith wraca do domu. Opowiada żonie, że miał wypadek na Memorial Parkway, wóz odholowano do naprawy. Żona mu nie wierzy.

- W tym domu już się nie mówi prawdy! - krzyczy.

Dłużej tego nie wytrzymam! Co się z nami dzieje?

Alex wie, co się z nimi dzieje. Strategia strachu Hoovera okazała się aż nazbyt skuteczna. Napięcie przekroczyło próg wytrzymałości, nawet ich bardzo udanemu małżeństwu grozi rozpad. Został pobity. Przyjmuje ultimatum żony: wyjadą z Waszyngtonu.

Zwolni się z pracy w Departamencie Sprawiedliwości i powróci do prywatnej praktyki. Jako częściowy trup. Umrze w nim całe profesjonalne „ja”. Hoover wygrał.

Płynie czas. Jest po północy. Rodzina Alexa śpi. On został na dole, w bawialni.

Zapalona jest tylko jedna lampa stołowa o mętnym świetle, wszędzie rozciągają się cienie.

Alex dużo wypił. Z jego lękiem mieszała się świadomość, że wszystko, w co wierzył, okazało się bezsensowne.

Pijany zbliża się do okna. Z przerażeniem odchyła zasłony i wygląda na zewnątrz.

Widzi zaparkowany samochód FBI. Jego dom jest pod obserwacją.

Już nie potrafi się opanować. Alkohol, strach i depresja wywołują atak hysterii.

Podbiega do drzwi i wypada na dwór. Nie krzyczy ani nie wyje, zamiast tego narzuca sobie groteskowe milczenie, konspiracyjne milczenie. W stanie opilstwa chciałby dotrzeć do swych katów i poddać się, zdać na ich łaskę i niełaskę, stać się jednym z nich. Jego stan psychiczny jest taki, jak przed laty, podczas wojny.

Biegnie wzdłuż budynków. Samochód znikł, Alex słyszy głosy w ciemności, ale nie dostrzega nikogo. Biegnie ulicami, ścigając niewidzialne głosy. Jakaś jego część zastanawia się, czy nie oszalał; inna w desperacji pragnie tylko poddać się, zdać się na łaskę zwycięzców i błagać o wybaczenie.

Nie zdaje sobie sprawy, jak długo biegnie, ale nocne powietrze, ciężki oddech i wysiłek fizyczny sprawiają, że skutki alkoholu zaczynają zniknąć. Próbuje wziąć się w garść.

Zawraca w stronę domu, niepewny gdzie się znajduje. Musiał przebiec kilka mil.

Po drodze dostrzega samochód FBI. Stoi za rogiem, w cieniu. W środku nie ma nikogo. Ludzie, którzy go tropili, pilnowali, prześladowali, także idą pieszo przez ciemne, ciche ulice.

Słyszy kroki w ciemnościach. Za nim, przed nim, z prawej strony, z lewej. Rozlegają się w rytmie

uderzeń jego serca, coraz głośniejsze, aż brzmią jak bębny, jak kotły, groźne, ogłuszające. Widzi tabliczkę ze znaną nazwą ulicy, już wie, gdzie trafił. Znów rzuca się do biegu, kroki tak samo przyspieszają, wywołując w nim ponowny atak paniki. Ucieka środkiem jezdni jak szalenciec, skręcając na wszystkich rogach.

Widzi swój dom. Nagle ogarnia go jeszcze większe przerażenie, nowe i przemożne.

Zostawił drzwi wejściowe otwarte. A przed podjazdem stoi obcy samochód.

Mknie w jego stronę ze wszystkich sił, gotów zabijać, jeśli będzie trzeba.

Ale człowiek w samochodzie przybył tutaj zaledwie parę minut wcześniej. Czekał na niego w przeświadczeniu, że Alex wyprowadził psa na spacer, niedbale zostawiając otwarte drzwi. - Jutro o piątej trzydzieści po południu proszę pójść do hotelu Carteret. Pokój 1201.

Pojedź windą na ostatnie piętro, potem zejź schodami na dwunaste. Obstawimy cię. Jeśli będziesz inwigilowany, nasi ludzie pozbędą się tamtych.

- Co to wszystko znaczy? Kim jesteś?

- Ktoś chce się z tobą spotkać. Pewien senator.

- Peter, gdzie jesteś? - zaniepokojony głos Alison dobiegający z ba wialni przywołał

go ze świata fikcji do realnego.

- W kuchni - zawołał patrząc równocześnie na walizkę. Skóra jeszcze była wilgotna, skrobanie widoczne. - Zaraz przyjdę - powiedział. - Nie trudź się - odrzekła z wyraźną ulgą Alison. - W lodówce powinna być kawa, a maszynka jest w prawej górnej szafce. - Już je znalazłem - powiedział stawiając odwróconą walizkę w kącie. - Kawa wyszła nienadzwyczajnie. Spróbuję na nowo. Podszedł szybko do stołu, przeniósł maszynkę do zlewozmywaka i zaczął rozbierać stary mechanizm. Fusy wyrzucił do pustej torby po żywności i odkręcił kran.

W chwilę później weszła owinięta kocem Alison. Ich spojrzenia spotkały się, zawarte w nich przesłanie było dla obojga równie czytelne. Na ten widok Peter poczuł ból, lecz był to ból ciepły i miły. - Wszedłeś w moje życie - powiedziała cicho. - Zastanawiam się, czy w nim zostaniesz.

- Zastanawiałem się nad tym samym. Czy zostaniesz w moim życiu. - Przekonamy się, prawda?

ROZDZIAŁ 19

Varak wszedł do gabinetu Bravo, wbrew własnemu zwyczajowi nie zapukawszy do drzwi.

- Było ich więcej niż jeden - powiedział. - A jeśli jest jeden, to on wydaje rozkazy innym. Zrobili pierwszy jawny ruch. Chancellor myśli, że skierowany przeciw dziewczynie.

Oczywiście tak nie jest, to ruch wymierzony w niego.

- Więc pragną go powstrzymać. - Bravo nie pytał. Stwierdzał fakt. - A jeśli nie uda się powstrzymać - dodał Varak - przynajmniej zbić go z tropu. Podrzucić mu fałszywą przynętę.

- Proszę wyjaśnić.

- Przejrzałem taśmy. Jeśli pan chce, może je pan przesłuchać. Zarówno dźwięk, jak obraz. Zdemolowali gabinet MacAndrewa szukając czegoś... albo udając, że szukają. Jestem za tą drugą możliwością. Przynęta zawarta była w nazwie. „Chasong”. Chcieli, by pomyślał, że to jest klucz.

- Chasong? - powtórzył Bravo w zamyśleniu. - Jeśli się nie mylę, dotyczy to bardzo dawnych czasów. Pamiętam, jak Truman wybuchnął na ten temat. Bitwa pod Chasongiem.

Korea.

- Tak. Pięć minut temu dostałem wydruk komputerowy z archiwów G-2. Chasong był

naszą najcięższą porażką na północ od trzydziestego ósmego równoleżnika. Był to wykonany bez zezwolenia dowództwa atak...

- Na mały spłachetek ziemi - uzupełnił St. Claire. - Kilka nic nie znaczących pagórków. Była to pierwsza z serii naszych klęsk wojennych, które wreszcie doprowadziły do odwołania MacArthura.

- Oczywiście w wydruku nie jest to tak jasno powiedziane. - Oczywiście. A więc?

- MacAndrew był wówczas pułkownikiem. I jednym z dowódców w tej bitwie.

Bravo zastanowił się.

- Czy Chasong zgadza się w czasie z okresem, o którym brak danych w stanie służby MacAndrewa?

- W przybliżeniu. Jeśli to przynęta, musi się zgadzać. Ten, kto ma teczki Hoovera, nie wie dokładnie, co MacAndrew powiedział Chancellorowi. Człowiek ogarnięty paniką, przerażony możliwością zdemaskowania, często tworzy parawan, będący mieszaniną dokładnej chronologii połączonej z fałszywą informacją.

- Kiedy dziesięć dni temu napadnięto na bank, ja byłem w kinie. - Dokładnie.

- Gra podniesiona na ten poziom nabiera cech wysoce intelektualnych, nie uważa pan?

- Rozpoczął się turniej szachowy. Sądzę, że powinien pan przejrzeć i przesłuchać taśmy.

- Chętnie.

Szybkim krokiem wyszli z gabinetu, udając się w stronę obudowanej mosiężną kratą windy w głębi frontowego holu. W minutę później wchodzili do miniaturowego studia w piwnicach. Aparatura była gotowa do użytku.

- Zaczniemy od początku. Zapis wizji. - Varak włączył projektor. Przezroczysta rozbiegówka rzuciła na ścianę biały prostokąt. - Kamery z oczywistych powodów nie dało się umieścić w domu, by nie zwracać uwagi. Nawiasem mówiąc jest uruchamiana elektronicznie.

Proszę to mieć na uwadze.

Na ścianie pojawił się obraz domu MacAndrewa. Lecz nie w oświetleniu wczesnowieczornym, jakie było w chwili, gdy przybył tam Chancellor i dziewczyna. Dom stał w pełnym świetle dnia.

Agent przerzucił przełącznik. Taśma zatrzymała się, na ścianie widniał nieruchomy obraz.

- Kamera - rzekł Varak - uruchomiła się. Jest bardzo czuła. Według czasomierza było to o trzeciej po południu. Ktoś wszedł do domu, oczywiście od tyłu, poza zasięgiem kamery.

Znowu przerzucił wyłącznik, taśma ruszyła. A potem znów się zatrzymała. Projektor wyłączył się automatycznie. St. Claire ponownie spojrzął pytająco na Varaka.

- Teraz są w domu. Kamera się wyłączyła. Przechodzimy na audio. - Nacisnął guzik magnetofonu.

Dały się słyszeć kroki, otwieranie drzwi, skrzypienie zawiasów, jeszcze raz kroki, otwieranie drugich drzwi.

- Jest tam dwóch mężczyzn - oświadczył Varak. - Ewentualnie jeden mężczyzna i jedna ciężka kobieta. Według pomiaru decybeli każde z nich waży ponad sto pięćdziesiąt funtów.

Nastąpiły niezrozumiałe odgłosy krzątania, a po nich dziwaczne, niezrozumiałe beczenie. Powtórzyło się, tym razem wyraźniejsze i w jakiś sposób przerażające.

- To zwierzę - powiedział Varak. - Z owcowatych, jak sądzę. Ale może też być świnia.

Ustalę to później.

Przez następne minuty dochodziły szybkie, ostre szelesty. Darty papier, rozcinana skóra i tekstylia, otwierane szuflady. Na koniec tłuczenie szkła, pomieszane z przenikliwym piskiem nieznanego zwierzęcia, nagle przechodzącym w charczenie.

- Zabijają zwierzę - powiedział po prostu Varak.

- Dobry Boże! - wybuchnął St. Claire.

Wreszcie z głośnika rozległ się ludzki głos. Dwa słowa.

- Teraz pójdziemy.

Taśma zatrzymała się.

- Wchodzimy ponownie jakieś trzy godziny później. - Varak wyłączył urządzenie. -

Wraz z przybyciem Chancellora i córki MacAndrewa. Mamy raz jeszcze dwudziestosekundowy nieruchomy obraz domu. To moment, gdy opuszczają go intruzi, znów poza zasięgiem kamery, więc nie mamy ich w kadrze. - Agent przerwał, jakby szukając słów, by coś wyjaśnić. - Wyciąłem pewien określony fragment i za pana pozwoleniem zniszczę go.

Nie odnosi się do sprawy. Po prostu rejestruje fakt, że Chancellor i dziewczyna utworzyli związek. Prawdopodobnie chwilowy.

- Rozumiem i dziękuję panu - odrzekł Bravo.

Znowu przez chwilę na ścianie ukazał się dom. Była teraz noc. Widać było samochód, podjeżdżający po brukowanej ścieżce pod drzwi wejściowe. Wsiadła z niego Alison i stała przez chwilę, przyglądając się domowi. Podeszła bliżej. Pojawił się Chancellor, niosący torby z zakupami. Zatrzymali się na ganku, zamienili kilka słów, po czym dziewczyna otworzyła torebkę w poszukiwaniu klucza. Wyjęła go i otworzyła drzwi.

Widać było, że coś ich zaskoczyło. Ponowna dyskusja była tym razem żywsza i wreszcie weszli do środka. Wraz z zamknięciem drzwi taśma z zapisem wizji zatrzymała się.

Varak bez słowa nacisnął guzik audio. - Chodź, postawimy torby w kuchni. Głos dziewczyny.

Kroki, szelest papieru, metaliczny skrzyp zawiasów, a potem dłuższe milczenie. Wreszcie odezwała się dziewczyna.

- Gdzie tylko się dało, ojciec odtworzył otoczenie z czasów jej dzieciństwa.

Chancellor: - Co za nadzwyczajna historia miłosna.

- Co za nadzwyczajne poświęcenie - dziewczyna.

- Miałaś do niej urazę, prawda? - Chancellor.

- Tak. On był niezwykłym człowiekiem...

Nagle Varak pochylił się i wyłączył magnetofon.

- Oto mamy klucz. W słowie „matka”. Gotów jestem się o to założyć, stawiając wszystko. Chasong to fałszywa przynęta. Przez następne pół godziny proszę słuchać bardzo, bardzo uważnie. Literat tkwiący w Chancellorze rzucił się na dziewczynę instynktownie, ale ona zabiła go z tropu. Nieświadomie, bo nie sądzę, by znała prawdę.

- Panie Varak, posłucham z najwyższą uwagą.

Zrobili to obaj. Kilkakrotnie, gdy następowały niespodziane wydarzenia, Bravo odruchowo patrzył gdzieś daleko, w przestrzeń. Tak było, gdy dziewczyna zaczęła krzyczeć w gabinecie ojca, gdy po tym nastąpiły szlochy, gdy Chancellor okazał jej współczucie, ale poddał ostremu przesłuchaniu. Wyobraźnia pisarza nie dawała się wyłączyć. „Jego początkowe założenie okazało się słuszne” - pomyślał St. Claire. Chancellor poczynił

niezwykłe postępy w ciągu niecałych dziewięciu tygodni. Ani on, ani Varak nie wiedzieli, jak i dlaczego, ale zamordowanie Waltera Rawlinsa było w jakiś sposób związane z teczkami. A do tego był ten krnąbrny generał, jego córka mówiąca wszystko bez ogródek i wabik zwany Chasong. Ale przede wszystkim dokonano jawnego posunięcia. Ludzie wyszli z ciemności, dźwięki ich działań zostały zarejestrowane. St. Claire nie wiedział, dokąd Chancellor ich zaprowadzi. Wiedział tylko, że zbliżają się do teczek Hoovera.

Znowu pojawiły się obrazy na ścianie: Chancellor wychodzący z domu, otwierający drzwiczki samochodu i odskakujący. Potem zarejestrowano, jak obszedł ostrożnie wóz, podniósł kamień, wbiegł w zarośla, powrócił, wyrzucił dwa niewyraźne przedmioty z samochodu, wyjął bagaże i powrócił do domu.

Następnie dźwięki: lejąca się woda i skrobanie.

- Przed godziną zatrzymałem taśmę i przyjrzałem się obrazowi dodał Varak. - On usuwa słowo „Chasong” z walizki. Nie chce, by dziewczyna je zobaczyła.

Nastąpiła cisza. Mikrofon zarejestrował skrobanie ołówka po papierze. Varak przesunął taśmę aż do miejsca, gdzie pojawiały się głosy. - Peter, gdzie jesteś?

- W kuchni...

Dyskusja o sposobie parzenia kawy, szybkie kroki, niejasne ruchy. - Wszedłeś w moje życie. Zastanawiam się, czy w nim zostaniesz cichy głos Alison MacAndrew.

- Zastanawiałem się nad tym samym. Czy zostaniesz w moim życiu. - Przekonamy się, prawda?

Tu był koniec. Varak wyłączył aparat i wstał z miejsca. Bravo pozostał w fotelu, złożył rękę arystokratyczne palce pod brodą.

- Czy to skrobanie, które było słychać - powiedział - może oznaczać, że on pisał?

- Tak sądzę. To byłoby zgodne z jego zwyczajem.

- Niezwykłe, prawda? Po tym wszystkim wraca do pisania powieści. - Raczej niecodzienne. Nie wiem, do jakiego stopnia niezwykle. Jeśli postępujemy właściwie, jego powieść staje się dla niego coraz bliższa rzeczywistości. Bravo rozplótł palce i położył ręce na oparciach fotela.

- Co nas znowu doprowadza do tej powieści i jej interpretacji przez pana. Choć to po prostu absurdalne, pan chyba nadal wierzy, że naszą zwierzyną jest członek Inver Brass?
- Najpierw pozwoli pan, że zadam pytanie. Gdy prosiłem pana o zwołanie posiedzenia na onegdajszą noc, czy przekazał pan członkom informację, którą uznałem za stosowne im przekazać? Że Chancellor spotkał się z dziewczyną?
- Gdybym tego nie zrobił, powiedziałbym panu.
- Wiem, że był pan temu przeciwny.
- Mój sprzeciw wynikał z mego przekonania. To samo przekonanie skłoniło mnie do zastosowania się do pańskich instrukcji, choćby tylko po to, by udowodnić, że jest pan w błędzie. - Bravo przemawiał tonem ostrym, prawie nieprzyjemnym. - A teraz jaką pan ma odpowiedź? Czy nadal jest pan przekonany, że teczki ma członek Inver Brass?
- Będę o tym wiedział za dzień lub dwa.
- To nie jest odpowiedź.
- Najlepsza, jaką znam. Jestem szczerze przekonany, że mam rację. Wszystko na to wskazuje.

St. Claire wyprostował się.

- Ponieważ powiedziałem im o Chancellorze i dziewczynie oraz podałem nazwisko MacAndrewa?
- Nie tylko nazwisko - sprostował Varak - lecz także fakt, że w przebiegu jego służby brak zapisu ośmiu miesięcy.
- Żaden dowód! Ten, kto ma teczki Hoovera, wie o tym.
- Właśnie. Owa fałszywa przynęta, ten mylący uwagę Chasong, wydarzył się w ciągu tych ośmiu miesięcy. Uważam, że możemy założyć, iż cokolwiek nastąpiło w Chasongu, jakiegokolwiek rozkazy MacAndrew wówczas wydał lub zaniechał wydania, nie mogło to być dostatecznie kompromitujące, by wymóc jego dymisję. Gdyby tak bowiem było, dość jest ludzi w Pentagonie, którzy by go do tego zmusili już dawno temu. - Czyli było to wydarzenie nieprzyjemne, ale nie katastrofalne zgodził się Bravo. - Część zawartości teczki, ale nie ta istotna. - Przykrywka dla niej - potwierdził Varak. - Wydarzyło się coś innego, może w związku z tym, a może nie. Jeśli założymy, że występuje tutaj najważniejsze powiązanie, a to musimy założyć, właśnie ta reszta może nas zaprowadzić do człowieka, który ma teczki Hoovera. - Czyli chce pan przez to powiedzieć - St. Claire odwrócił wzrok że w ciągu dwudziestu czterech godzin między zebraniem Inver Brass i przybyciem Chancellora do domu MacAndrewa, z teczek wyciągnięto tę przynętę. Bo zeszłego wieczoru Inver Brass po raz pierwszy usłyszał o Chancellorze, nie mówiąc już o MacAndrewie.

- Po raz pierwszy Inver Brass jako grupa usłyszał o Chancellorze. Ale nie ten, kto ma teczki. On wiedział, ponieważ Chancellor skontaktował się z dwiema ofiarami szantażu, MacAndrewem i Rawlinsem. Nie ulega, jak sądzę, żadnej wątpliwości, że oni byli ofiarami. -

Tak, na to mogę się zgodzić - Bravo wstał z fotela. - A więc wszystko sprowadza się do konkretnej informacji: że Peter Chancellor nawiązał kontakt z córką generała. I że są w drodze do domu w Rockville. Po to zaś, by ich spotkanie nie spełzło na niczym, podrzuciono sprawę Chasongu. By skierować Chancellora w inną stronę.

- Dokładnie tak - oświadczył zdecydowanie Varak. - W przeciwnym razie, po cóż byłoby w ogóle wyciągać sprawę Chasongu? - Skąd jednak wniosek - oponował St. Claire -

że miałby to zrobić członek Inver Brass?

- Bo nikt poza nimi nie wiedział, że Chancellor skontaktował się z dziewczyną. O tym mogę pana zapewnić. Nie licząc naszego podsłuchu, jego telefon jest czysty, a on sam nie jest inwigilowany przez nikogo poza nami. Mimo to w ciągu dwunastu godzin od zebrania Inver Brass następuje włamanie do domu MacAndrewa i zostaje zmontowany skomplikowany manewr dla wprowadzenia Chancellora w błąd. Dwanaście godzin wystarczyło na przejrzenie teczki MacAndrewa i włączenie fałszywego tropu w postaci Chasongu.

St. Claire ze smutkiem pokiwał głową.

- To, co pan mówi, jest bardzo przekonujące.

- To fakty są przekonujące. Wolałbym, aby nie były.

- Bogu wiadomo, że ja także nie. Członek Inver Brass! Zespołu najuczciwszych ludzi w kraju. Mówił pan o prawdopodobieństwie. To właśnie uważałbym za wykluczone.

- Chancellor był przeciwnego zdania. Dla niego było to oczywiste od początku. To pan powiedział, gdy zaczynaliśmy: nie ograniczają go fakty ani uwarunkowania. Nawiasem mówiąc, jego Inver Brass nazywa się „Jądro”. St. Claire wpatrywał się w ścianę, na której przed paroma minutami ukazywały się obrazy z taśmy wideo.

- Rzeczywistość i wyobraźnia. Co za niezwykły... : nie dokończył zdania.

- Tego właśnie chcieliśmy - zauważył Varak. - Tego się spodziewaliśmy.

- Tak, oczywiście. Powiedział pan, że za dzień lub dwa będzie pan wiedział na pewno?

Ręczę za to, jeśli zwoła pan ponowne zebranie Inver Brass. Po pogrzebie MacAndrewa. Chcę podrzucić Inver Brass dwa dalsze nazwiska.

- O! Jakże?

- Pierwsze, to publicystki Phyllis Maxwell. Jest ona...

- Wiem, kim jest. Dlaczego?

- Nie jestem pewien, bo dotychczas nie było o niej mowy. Ale Chancellor spotkał się z nią i wprowadził do powieści uderzająco podobną do niej postać.

- Rozumiem. Kto jest drugi?

Varak zawahał się. Wyraźnie było widać, że spodziewa się sprzeciwu. - Paul Bromley.

Pracownik Administracji Sił Zbrojnych.

- Nie! - Dyplomata zareagował gwałtownie. - Na to nie pozwolę. Dałem Bromleyowi słowo. A poza tym, to bez sensu. Nazwisko Bromleya zaczyna się na „B”. A my szukamy nazwisk od „M” do „Z”!

- Proszę nie zapominać, że kodową nazwą Bromleya jest „Żmija” powiedział ł Varak. -

Przez dwanaście miesięcy stale jej używano w Pentagonie, w G-2 i w Biurze. Nie widać go od września, prawdę mówiąc, znikł. Jest niebezpieczny dla wielu ludzi w Waszyngtonie, ale nikt o nim nie słyszał. O Żmiji zapomniano i dlatego jest człowiekiem idealnym dla naszych celów.

Bravo wolno przemierzał pokój.

- Ten człowiek mnóstwo wycierpiał. Żąda pan bardzo wiele. - Niewiele w porównaniu z naszym celem. Z tego, co wiem o Bromleyu, on pierwszy by się na to zgodził.

St. Claire zamknął oczy, myśląc o męczarniach, jakie przeżywał Bromley.

Podstarzały, kłótlivy księgowy, który miał odwagę samotnie rzucić wyzwanie Pentagonowi.

Jedyną, co zyskał od życia, to córka narkomanka, która po trzech latach nieobecności powróciła do domu jako niespełna rozumu morderczyni. A teraz, gdy do jego światka powrócił spokój, koszmar miał się powtórzyć. Bo miał posłużyć za przynętę.

Ale w swoim fachu, w swym pełnym ciemnych spraw, tajemniczym zawodzie, Stefan Varak był najlepszy. I miał rację.

- Proszę zaczynać - powiedział St. Claire. - Zwołam Inver Brass na dzisiejszy wieczór.

Werble grały cicho. Ich przytłumione brzmienie niósł daleko grudniowy wiatr. Grób znajdował się w północnej części cmentarza Arlington. Kompania honorowa stała na lewym skrzydle. Szttywno wyprostowana, wykonywała nie wypowiedziane rozkazy armii: Trumna zostanie przyniesiona tu i ani trochę dalej. Następnie zostanie opuszczona na ziemię. Jesteśmy tu obecni z całą wojskową okazałością na znak szacunku. I zostanie on okazany. Ale milcząco. Nie będzie żadnych prywatnych oznak żalu, bo są one niestosowne. To jest teren wojskowy. A my jesteśmy mężczyznami. Martwymi mężczyznami.

„To przerażające” - pomyślał Chancellor, stojąc o kilka stóp za Alison, siedzącą samotnie na prostym, czarnym krześle przy otoczonym sznurem miejscu. „Żadnych oznak wzruszenia, nic, co nie wiązało się bezpośrednio z rytuałem”.

Składają nas tu na odpoczynek według numerów. Kolejno odlicz! Dookoła kwadratowego grobu, za sznurami, ustawili się wyżsi oficerowie Pentagonu. Około tuzina z nich podeszło do Alison, wypowiadając ciche słowa, ściskając jej rękę. Ona była greckim chórem, opowiadającym Peterowi, jaki był stosunek kolejno występujących aktorów do jej ojca. A on miał oczy szeroko otwarte. Było całkiem możliwe, że jeden ze stojących przy grobie ukrywał tajemnicę Chasongu. Chancellor mógł tylko uważnie przyglądać się twarzom i puszczać wodze wyobraźni.

Jeden z mężczyzn, mniej więcej w wieku MacAndrewa, zwrócił na siebie uwagę Petera. Był to major o smagłej cerze. „Śródziemnomorskie pochodzenie” - pomyślał

Chancellor. Przez cały czas krótkiej ceremonii stał w milczeniu, nie odezwawszy się do nikogo. Gdy trumnę niesiono z karawanu przez trawnik do grobu, człowiek ten patrzył wprost przed siebie, jak gdyby zmarły nie był tu obecny.

Dopiero podczas mowy pogrzebowej kapelana, major okazał jedyną oznakę emocji.

Była króciutka, zaledwie błysk w oczach i lekkie poruszenie kącików ust. Wyrażała nienawiść.

Peter nie odrywał od niego wzroku. Przez chwilę zdawało się, że major zauważył, iż jest obserwowany i przez tę chwilę patrzył Peterowi prosto w oczy. Znów błysnęła i zgasła nienawiść. Major odwrócił wzrok.

Gdy ceremonia dobiegła końca, a przykrywająca trumnę flaga została wręczona córce pochowanego żołnierza, oficerowie podchodzili kolejno, by wypowiadać stosowne słowa.

Ale ciemnoskóry major odwrócił się i odszedł bez słowa. Peter patrzył w ślad za nim.

Oficer wspiał się na mały pagórek ze zwartymi szeregami grobów i tam się zatrzymał. Powoli obejrzał się - samotna postać powyżej nagrobków.

Chancellor instynktownie odczuł, że major chce po raz ostatni popatrzeć na grób MacAndrewa, aby przekonać się, że przedmiot jego nienawiści jest naprawdę martwy. Był to dziwnie ponury moment. - Czuję, że patrzysz na mnie z tyłu - powiedziała Alison, gdy już siedzieli w limuzynie, która miała ich zawieźć z cmentarza Arlington do Waszyngtonu. -

Rzuciłam na ciebie okiem. Pilnie przypatrywałeś się zebranym. I wiem, że słyszałeś każde wypowiedziane do mnie słowo. Czy znalazłeś kogoś lub coś interesującego?

- Tak - odrzekł Peter. - Majora. Wyglądającego jak Włoch albo Hiszpan. On do ciebie nie podszedł. Jako jedyny z oficerów. Alison wyjrzała przez okno, za którym przesuwały się szeregi grobów. Mówiła półszepem, by nie być słyszaną przez wojskowego kierowcę ani eskortę. - Tak, widziałam

go.

- Więc musiałaś też zauważyć jego zachowanie. Było dziwne. - Było normalne. Jak na niego. Swoje wrogie uczucia obnosi jak odznaczenia. Bo n a l e ż ą do jego odznaczeń.
- Kto to jest?
- Nazywa się Pablo Ramirez. Pochodzi z San Juan de Porto Rico, był jednym z pierwszych przyjętych do West Point z tego terytorium. Sądzę, że można by go nazwać symbolicznym Latynosem, i to wcześniej, niż wprowadzono to określenie.
- Czy znał twego ojca?
- Tak. Służyli razem. W West Point był o dwa roczniki młodszy od niego.
- Czy służyli razem w Korei? - Peter dotknął jej ręki.
- Masz na myśli Chasong?
- Tak.
- Nie wiem. W Korei, tak. Także w Północnej Afryce podczas drugiej wojny światowej i wiele lat temu w Wietnamie. Ale nic nie wiem na temat Chasongu.
- Chciałbym się tego dowiedzieć. Z jakiego powodu nienawidził twego ojca?
- Nie jestem pewna, czy nienawidził. W każdym razie nie bardziej niż wszystkich innych. Powiedziałam, że obnosi wrogie uczucia. W liczbie mnogiej.
- Dlaczego?
- Bo nadal jest majorem. Większość jego kolegów z roku awansowała. Są podpułkownikami, pełnymi pułkownikami lub generałami. - Czy jego nienawiść jest usprawiedliwiona? Czy pomijano go w awansach dlatego, że jest Portorykańczykiem?
- Och, przypuszczam, że po części tak. To są nader zamknięte kręgi towarzyskie. I słyszałam też żarty w rodzaju: „Uważajcie zabierając Ramireza na cocktailparty floty wojennej, żeby nie ubrano go w białą kurtkę...”. Chodzi o to, że w marynarce jego rodacy są kelnerami i ordynansami.
- Ten typ dowcipów uzasadnia wiele nienawiści.
- Jestem pewna, że tak. Ale to nie wszystko. Ramirezowi dano wiele okazji, o wiele więcej niż większości pozostałych, może właśnie dlatego, że reprezentuje mniejszość.

Niezbyt dobrze je wykorzystał. Peter wyjrzał przez okno, czując niejasny niepokój. To, co ujrzał w

oczach Ramireza, nie było nienawiścią abstrakcyjną, lecz skierowaną przeciw wyraźnie określonemu obiektowi. Trumnie MacAndrewa. Grobowi MacAndrewa. Przeciw MacAndrewowi.

- Jak go oceniał twój ojciec?

- Mniej więcej tak, jak ci powiedziałam. Ramirez jest niepoważny, popędliwy i nazbyt emocjonalny. Zupełnie niegodny zaufania. Podczas działań wojennych tata dwukrotnie odmówił poparcia jego wniosków awansowych. Poza tym wiele o nim nie mówił.

- Co tu oznaczało „niegodny zaufania”?

- Chwileczkę, muszę pomyśleć - Alison zmarszczyła brwi. - O ile pamiętam, dotyczyło to zakresu „be” i „zet”.

- Ślicznie. Nie mam najblidszego pojęcia, o czym mówisz.

- Przepraszam - zaśmiała się - chodzi o pisemne raporty do dowództwa w polu.

Podsumowania wyników boju i zwiadu.

- Niewiele mi to mówi, ale domyślam się, co chcesz powiedzieć. Twój ojciec mówił, że Ramirez jest łgarzem. Albo z pobudek emocjonalnych, albo naumyślnie.

- Tak sądzę. To człowiek bez znaczenia, Peter. - Nakryła jego dłoń swoją. - To już przeszłość. Skończone, było, przeszło. Dziękuję ci, dziękuję bardziej, niż potrafię wyrazić.

- My nie jesteśmy „przeszłością” - powiedział.

Popatrzyła mu w oczy.

- Mam nadzieję, że nie... - A potem uśmiechnęła się. - Miałaś wspaniały pomysł z tym hotelem. Przez cały dzień będziemy pławić się w luksusie i nie myśleć o niczym. Jestem chora od myślenia. A dopiero jutro zobaczę się z prawnikiem i wszystkim zajmę. Nie musisz ze mną przy tym być. Za parę dni wrócę do Nowego Jorku.

Chancellor zdumiał się. Czyżby zapomniała? Tak nagle, tak kompletnie. Przytrzymał jej dłoń, nie chcąc, by ją cofnęła.

- Ale jest przecież dom w Marylandzie. Włamali się tam i... - O, Boże! A niech tam!

On nie żyje. Cokolwiek chcieli przez to powiedzieć, już powiedzieli.

- Później do tego wrócimy.

- Dobrze.

Peter zrozumiał. Alison przeżyła mękę śmierci ojca, a po niej jeszcze jedną, kiedy zastanawiała się nad przyczynami jego śmierci. Na pogrzebie spotkała ludzi, którzy chcieli go zniszczyć. Ceremonia w Arlington była dla niej symbolem: przecięto węzeł gordyjski, była już wolna i mogła stworzyć własny świat. A on żądał, by wracała myślami w przeszłość.

Musiał to robić. Bo to wcale nie była przeszłość. Wiedział o tym podobnie jak i ona.

Ale Chancellor wiedział coś więcej. Alison powiedziała, że Ramirez się nie liczy.

Liczył się.

ROZDZIAŁ 20

Raz jeszcze do domu w Georgetown przybyły limuzyny z różnych miejsc i w różnych odstępach czasu. Raz jeszcze milczący kierowcy wieźli pasażerów, których nie wolno im było widzieć. Zbierał się Inver Brass. Starsi wiekiem - Bravo, Wenecja i Krzysztof - od wielu tygodni doszli do milczącego porozumienia, że nowy Genезis powinien być wybrany spośród pozostałych dwóch młodszych wiekiem: Sztandara i Parysa.

Bez wątplenia obaj na to zasługiwali, obaj mieli cechy genialności, obaj niezwykle osiągnięcia na wielu polach.

Sztandar został wciągnięty do Inver Brass sześć lat wcześniej. Był najmłodszym w historii prezydentem jednego z najważniejszych uniwersytetów we wschodnich Stanach, ale zrezygnował z tego stanowiska na rzecz prezesury w międzynarodowej Fundacji Roxtona.

Nazywał się Frederick Wells i był ekspertem w zakresie światowych finansów. Choć jego decyzje miały zasięg globalny, Wells nigdy nie tracił z oczu podstawowych potrzeb każdego człowieka: potrzeby zachowania godności osobistej, poważania oraz wolności dokonywania wyboru i wyrażania opinii. Wells głęboko wierzył w człowieczeństwo, a ci, którzy próbowali uciskać ludzi, kształtować ich na swój sposób lub narzucać swą władzę, wkrótce odczuwali skutki jego gniewu.

Tak jak odczuł je, nie wiedząc o tym, John Edgar Hoover.

Parys był najnowszym nabytkiem, dołączył do Inver Brass ledwie przed czterema laty.

Był uczonym. Korzenie jego przodków tkwiły w Kastylii, a on swoją własną, płomienną lojalność oddał Ameryce, dokąd jego rodzina uszła przed falangistami. Nazywał się Carlos Montelan. W tej chwili zajmował katedrę stosunków międzynarodowych imienia Maynarda w Harvardzie i uważany był za jednego z najbystrzejszych znawców myśli geopolitycznej dwudziestego wieku. Przez dwanaście lat kolejne rządy próbowaly go pozyskać dla Departamentu Stanu, ale Montelan odmawiał. Był uczonym, nie działaczem. Znał

niebezpieczeństwa nieuchronnie związane z sytuacjami, gdy teoretycy wchodzili w burzliwy świat pragmatycznych negocjacji.

Ale Montelan nigdy nie zaprzestał badań, nigdy nie przestał zadawać sobie pytań dotyczących ludzi i ich motywów, czy to osobistych, czy wynikających z ogólniejszych przyczyn. A gdy się przekonywał, że są one niegodne lub szkodliwe, nie wahał się przed podejmowaniem decyzji. Tak jak nie zawahał się w sprawie Johna Edgara Hoovera.

Pomimo nalegań Krzysztofa, Bravo odłożył wybór jednego z kandydatów.

Krzysztofem był Jakub Dreyfus, bankier, ostatni z żydowskich patriarchów, których dom bankowy konkurował z domami Baruchów i Lehmanów. Krzysztof miał osiemdziesiąt lat i wiedział, że jego dni są policzone. Zależało mu, by Inver Brass powołał swego przywódcę.

Dom bez mężczyzny, który nim kieruje, to w ogóle żaden dom. A dla Jakuba Dreyfusa w jego ukochanym kraju nie było „domu” ważniejszego niż ten, który pomagał zbudować: Inver Brass.

Tak właśnie wyjaśnił to wobec Bravo, a Munro St. Claire wiedział, że nikt nie sformułowałby tego lepiej niż Jakub. Również St. Claire należał do tego zgromadzenia od początku, a także Daniel Sutherland, czarny gigant, którego niezwykły intelekt zaprowadził z pól Alabamy do najwyższych kół prawniczych w kraju. Ale ani Bravo, ani Wenecja nie umieli znaleźć słów tak trafnie określających Inver Brass, jak potrafił to zrobić Krzysztof.

Według bowiem Jakuba Dreyfusa Inver Brass zrodził się z chaosu, w okresie, gdy naród rozpadał się i stał na krawędzi samozagłady. Rynek się załamał, biznes przestał

funkcjonować, fabryki zamykano, witryny sklepowe zabijano deskami, farmy stały opuszczone, z wymarłym bydłem i rdzewiejącymi maszynami. Nieuchronny wybuch przemocy właśnie się rozpoczął.

Nieudolni przywódcy w Waszyngtonie nie potrafili podjąć koniecznych działań.

Dlatego pod koniec 1929 roku utworzono Inver Brass. Pierwszym Genesis był Szkot, bankier specjalizujący się w inwestycjach, który posłuchał rad Barucha i Dreyfusa i wycofał się z interesów. On to właśnie nadał ich grupie nazwę, którą nosiło małe, położone wśród bagien jezioro w górach Szkocji, nie oznaczone na żadnej mapie. Bo związek Inver Brass miał

istnieć w tajemnicy. Działać poza ramami biurokracji rządowej, ponieważ musiał to robić szybko i bez przeszkód. Potężne sumy pieniędzy skierowano na rozliczne tereny dotknięte klęską, gdzie wybuchała przemoc zrodzona z nędzy. W całym kraju ostrza tej przemocy były stępiane bogactwami Inver Brass, ogień gaszono lub przygaszano do możliwych granic.

Ale popełniano też błędy, naprawiane natychmiast po ich dostrzeżeniu.

Lecz niektóre okazały się nieodwracalne. Kryzys był ogólnoświatowy, konieczne były zastrzyki kapitału poza granice kraju.

Istniały Niemcy. Spustoszenie ekonomiczne wywołane Traktatem Wersalskim, połowiczność paktów

z Locarno, niewykonalność Planu Dawesa - z tego nie zdawano sobie sprawy. Tak przynajmniej uważali ludzie Inver Brass. I to był ich najfatalniejszy błąd. Błąd, który w trzydzieści lat później pewien absolwent uniwersytetu nazwiskiem Peter Chancellor zaczął postrzegać jako jedyną rzecz, którą nie był ani przez chwilę: jako globalny spisek polityczny.

Tego młodego człowieka, tego Petera Chancellora, trzeba było powstrzymać. W

najdalszych zakątkach tego, co sobie wyimaginował, Inver Brass istniał rzeczywiście. Ale on o tym nie wiedział. Lecz popełniony błąd wprowadził ludzi z Inver Brass na nowe pola działania. Znaleźli się na obszarach polityki zagranicznej. Początkowo próbowali naprawiać popełnione błędy. Ale później też pozostali na tym polu, bo mogli się tam do czegoś przyczynić. Inver Brass był mądry i dysponował środkami. Mógł działać i reagować szybko, bez przeszkód, nie odpowiadając przed nikim, prócz swego zbiorowego sumienia. Munro St.

Claire i Daniel Sutherland wysłuchali namiętnego błagania Jakuba o dokonanie wyboru nowego Genezis. Ich odpowiedzi były zupełnie pozbawione zapału. Zgodzili się z nim bez przekonania, w istocie nie mówiąc niczego. St. Claire wiedział, że Sutherland nie może podejrzewać obecności zdrajcy w łonie Inver Brass. Dlatego wątpliwości Sutherlanda musiały mieć inne źródło. St. Claire przypuszczał, że je zna: dni Inver Brass były policzone. Może skończą się wraz ze starszyzną grupy i może tak będzie lepiej. Czas wymusza zmiany, oni zaś pochodzili z innej epoki.

Wątpliwości St. Claire'a były bardziej sprecyzowane. One właśnie nie pozwalały mu na wyniesienie nowego Genezis. Żadnego spośród dwóch kandydatów. Bo jeśli w Inver Brass był zdrajca, musiał nim być albo Sztandar, albo Parys.

Siedzieli przy okrągłym stole, pusty fotel Genezis przypominał im, że z natury nie są wieczni. Nie było potrzeby rozpalania ognia w starym piecu. Nie było papierów do spalania, nic podobnego nie leżało na stole ani nie miało leżeć. Nie rozdano szyfrowanych raportów, bo zebrani nie mieli podejmować decyzji, a tylko wysłuchać i skomentować informacje. Trzeba było zastawić pułapkę. Przede wszystkim wydarzenia należało opisać w taki sposób, by St.

Claire mógł zaobserwować reakcję każdego z siedzących przy stole. Zostaną więc podane dwa nazwiska: Phyllis Maxwell, dziennikarka, i Paul Bromley, kod „Żmija”, zaginiony krytyk Pentagonu. Zaginiony, lecz dla każdego ze zgromadzonych łatwy do odnalezienia.

- Nasze dzisiejsze zebranie będzie krótkie - oświadczył Bravo. Jego celem jest zapoznanie was z aktualnym stanem rzeczy i wysłuchanie wszystkiego, co mielibyście do powiedzenia na temat nowych wydarzeń. - Mam nadzieję, że obejmuje to także uwagi na temat poprzednich decyzji - zauważył Parys.

- Obejmuje wszystko, czego zechcecie.

- To dobrze - kontynuował Parys. - Od poprzedniego wieczoru przeczytałem dwie książki Petera Chancellora. Nie jestem pewien, czemuście go wybrali. Z pewnością ma bystry umysł i dobre wyczucie słowa, ale nie można by go określić jako autora tekstów o trwałych wartościach.

- Nie szukaliśmy wartości literackich.

- Ja również nie. Nie lekceważę też powieści popularnej. Mam tylko na myśli tego konkretnego pisarza. Czy nie jest on tak zdolny, jak przynajmniej z tuzin innych? Więc dlaczego ten?

- Bo jego znaleźliśmy - wtrącił się Krzysztof. - A tuzina innych nie. - Co proszę? - Parys pochylił się do przodu.

- Krzysztof dobrze to ujął - odrzekł Bravo. - Wiele wiemy o Chancellorze. Sześć lat temu były poważne powody, by go poznać. Znać całą historię Inver Brass, niczego przed wami nie ukrywaliśmy. Ani naszych zasług, ani błędów. W końcu lat sześćdziesiątych Chancellor pisał... - Bravo przerwał, by zwrócić się wprost do Parysa - analityczną dysertację na temat załamania się systemu weimarskiego i pojawienia się Niemiec militarnych. Był

bardzo bliski zdekonspirowania Inver Brass. Trzeba go było powstrzymać.

Przy stole zapanowała cisza. St. Claire wiedział, że Murzyn, a jeszcze głębiej Żyd, myślą o owych dniach. Każdy inaczej, ale każdy z niepokojem.

- Ta dysertacja - domyślił się Sztandar patrząc na Parysa - stała się powieścią „Reichstag!”.

- Czy to nie było niebezpieczne? - spytał Parys.

- Było słuszne - odrzekł Wenecja.

- I było tylko fikcją literacką - dodał niechętnie Krzysztof. - I to jest odpowiedź na moje pytanie - zgodził się Parys. - Szło przede wszystkim o znajomość sprawy. Lepsza jest jednostka znana, chociaż nie pozbawiona ograniczeń, od nieznannej z o wiele większą przyszłością.

- Czemu upierasz się przy dyskredytowaniu Chancellora? - zapytał Wenecja. -

Poszukujemy teczek Hoovera, a nie wartości literackich. - Z powodu subiektywnego zestawiania faktów - odrzekł uczonej. - Należy do gatunku pisarzy, którzy mnie irytują. Coś tam wiem o wydarzeniach w Sarajewie i panujących wówczas stosunkach. Czytałem jego książkę. Stawia wnioski oparte na umyślnie fałszywie interpretowanych faktach i ich przesadzonych powiązaniach. A przy tym jestem pewien, że tysiące jego czytelników uważa tę pisaninę za historię autentyczną.

Bravo oparł się wygodnie w fotelu.

- Ja też przeczytałem tę książkę i także wiem coś o wydarzeniach, które doprowadziły do Sarajewa. Czy powiedziałbyś, że wprowadzenie do akcji spisku przemysłowców było błędne?

- Oczywiście nie. To zostało stwierdzone.

- A więc niezależnie, jak do tego doszedł, wyciągnął poprawne wnioski.

Parys uśmiechnął się.

- Jeśli zechcesz mi wybaczyć, powiem, że z pewną ulgą stwierdziłem, iż nie jesteś wykładowcą historii. Ale powtarzam, że już otrzymałem odpowiedź na pytanie. A jakie są te nowe wydarzenia?

- Stanowią istotny postęp, trudno inaczej je określić - Bravo opisał podróż Chancellora i Alison na lotnisko Kennedy'ego, ich spotkanie z asystą wojskową i przybycie samolotu wiozącego trumnę generała. Jak proponował Varak, St. Claire mówił powoli, śledząc wszelkie reakcje, które by wskazywały, że ktokolwiek z obecnych spodziewa się jego kolejnych słów, ponieważ już zna wypadki. „To będzie widoczne w oczach” - powiedział

Varak. „Nagła, niechętna reakcja na coś już znanego. Pewnych chemicznych reakcji nie da się ukryć, oczy ujawniają je jak mikroskop”.

St. Claire nie dostrzegł takiej reakcji. Żadnego odzewu. U wszystkich siedzących przy stole tylko absolutne skupienie uwagi.

Przeszedł do opisu tego, co ujrzał na taśmie filmowej i co usłyszał na magnetofonowej.

- Bez przygotowań, jakie poczynił Varak, nie dowiedzielibyśmy się o niezwyklej akcji, podjętej przeciw Chancellorowi. Bo ona była przeciw Chancellorowi, a nie córce MacAndrewa. Uważamy, że jest to próba skierowania go na fałszywy trop. Przekonania go, że rezygnacja MacAndrewa była wynikiem decyzji podjętych w okresie, gdy był dowódcą wiele lat temu w Korei, w miejscu zwanym Chasong.

Parys otworzył szeroko oczy, jego reakcja była widoczna. I powiedział: - „Mordercy z Chasongu...”

Pierś St. Claire'a przeszył ostry ból, na chwilę stracił oddech i nie był w stanie go zaczerpnąć. Opanował się z wielkim trudem i ostro spojrział na Carlosa Montelana.

Słowa wypowiedziane przez Parysa przejęły go mrozem. W żaden sposób Parys nie mógł ich znać! Tego określenia nie użyto nigdzie na taśmach, nie użył go także St. Claire!

- Co to znaczy? - spytał Wenecja poruszywszy się w fotelu. - Każdy historyk wojskowości wyjaśni ci, że był to epitet, jakim obdarzano oficerów biorących udział w bitwie o Chasong - odrzekł Parys. - To było samobójcze szaleństwo. Wojsko buntowało się na całej linii, wielu żołnierzy zostało zastrzelonych przez ich własnych oficerów. Strategicznie była to klęska, która stała się punktem zwrotnym całej wojny. Jeśli MacAndrew tam był, być może ujawniła się teraz jakaś dawno uspięta ofiara. To mógł być motyw jego dymisji.

St. Claire nie spuszczał Parysa z oczu. Wyjaśnienie naukowca sprawiło mu wielką ulgę.

- Czy może istnieć związek między tym i jego śmiercią na Hawajach? - spytał

Krzysztof. Gdy mówił te słowa, jego starcze ręce zdrząły. - Nie - powoli odpowiedział

Bravo. - MacAndrewa zastrzelił Longworth.

- To znaczy Varak? - z niedowierzaniem spytał Wells.

- Nie - odrzekł Bravo. - Prawdziwy Longworth. Na Hawajach. Zabrzmiało to jak huk wystrzału. Wszystkie oczy wbiły się w St. Claire'a.

- Jak? Dlaczego? - Wenecja nie ukrywał złości. Daniel Sutherland był oburzony.

- To było nie do przewidzenia, wobec tego nie do opanowania. Jak wiecie, Varak wobec Chancellora używał nazwiska Longworth. Było to źródło, o którym mógł zebrać informacje. Chancellor powtórzył to nazwisko MacAndrewowi i powiedział mu, że Longworth miał dostęp do teczek. Po śmierci żony generał przeleciał przez połowę kuli ziemskiej, by odnaleźć Longwortha. I odnalazł.

- Wobec tego MacAndrew przypuszczał, że tylko Longworth wiedział, co wydarzyło się w Chasongu - z namysłem powiedział Frederick Wells. - Informacja znajdowała się w teczkach Hoovera i nigdzie indziej.

- To zaś prowadzi nas znowu do teczek - w głosie Krzysztofa ponownie słyhać było niezadowolenie.

- A jednak ma to wartość - sprzeciwił się Sztandar patrząc na Bravo. - Potwierdza to, co powiedziałaś. Że Chasong to dywersja. - Dlaczego? - spytał Wenecja.

Wells zwrócił się do sędziego.

- Bo to nie miało innego sensu. Po co w ogóle byłoby wspominać o Chasongu?

- Zgadzam się z tym. - St. Claire, znów opanowany, pochylił się do przodu. Pierwsza część pułapki Varaka nie doprowadziła do niczego. Był więc czas na następną, na dwa nazwiska. - Jak wam wspomniałem poprzedniego wieczoru, powieść Chancellora znacznie posunęła się naprzód. Varakowi udało się przeczytać rękopis. W powieści pojawiły się dwa nader zaskakujące wydarzenia. Powinienem raczej powiedzieć, że znalazły się tam dwie postacie, z których żadna wcześniej nie była planowana. Pierwszą jest publicystka Phyllis Maxwell. Drugą - księgowy nazwiskiem Bromley, Paul Bromley. Poprzednio pracował w Administracji Sił Zbrojnych. Czy macie jakieś bliższe informacje o którejś z tych osób? Nikt nie miał. Ale nazwiska podrzucono, pułapkę zastawiono. St. Claire rozważał, kto zostanie złapany, jeśli podejrzenia Varaka były uzasadnione. Sztandar czy Parys? Frederick Wells czy Carlos Montelan?

Rozmowa przygasiała. Bravo zasygnalizował, że spotkanie Inver Brass ma się ku końcowi. Odsuwał właśnie swój fotel, gdy zatrzymał go głos Wellsa.

- Czy Varak jest w holu?

- Tak, oczywiście - odrzekł dyplomata. - Przygotował jak zwykle nasz odjazd.

- Chciałbym, zadać mu pytanie. Najpierw jednak skieruję je do was wszystkich.

Wewnątrz domu w Rockville były mikrofony. Była mowa o odgłosach włamywania się ludzi i płądrowania gabinetu MacAndrewa. Ale tym dźwiękom nie towarzyszyły żadne słowa. Na zewnątrz kamera była uruchamiana, ale nie ukazała niczego, bo intruzi znajdowali się poza jej zasięgiem. Wygląda to prawie tak, jakby wiedzieli o tym sprzęcie. - Jakie masz pytanie? -

spytał Montelan ostrym głosem. - Nie jestem pewien, czy podoba mi się to, co dajesz do zrozumienia. Sztandar spojrział na Parysa. „Nie ma żadnych wątpliwości” pomyślał St. Claire.

„Kości zostały rzucone. A może raczej kły obnażone. Młodzi rzucający wyzwanie zarówno starym, jak sobie wzajemnie, warcząc, zaczynają walkę o miejsce przewodnika stada”.

- Uważam to za interesujące. Teczki zostały zabrane w taki sposób i w takim momencie, jakby złodzieje spodziewali się śmierci Hoovera. Miesiące śledztwa bez rezultatów. Jeden z najwybitniejszych specjalistów wywiadu w tym kraju melduje, że nie osiągnął żadnego postępu. Bravo wpada na pomysł, by użyć tego pisarza, Chancellora, jako sondy. Nasz as wywiadu urzeczywistnia plan, pisarz zostaje zaprogramowany i zaczyna pracę. Zgodnie z przewidywaniami zaczyna też sprawiać kłopoty. Posiadacze teczek Hoovera zostają zaalarmowani i podejmują kroki przeciw Chancellorowi. Kroki, które - co poddaję pod rozwagę - powinny wystarczyć do ich schwytania. Ale nie mamy nikogo na filmie, żadnych głosów na taśmie.

- A więc sugerujesz...? - Montelan pochylił się do przodu. - Sugeruję - przerwał mu Sztandar - że chociaż nasz specjalista jest znany ze swej sumienności, wczoraj jawnie mu jej zabrakło.

- Dostyc! - wybuchnął Krzysztof. Jego wychudła twarz skurczyła się, kościste palce drżały. - Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, kim jest Varak? Co on w i d z i a ł w swym życiu?

Czym się k i e r u j e? - Wiem, że przepęlnia go nienawiść - odrzekł cicho Sztandar. I to mnie przeraża.

Zapanowało milczenie. Nieodparta prawda, zawarta w wypowiedzi Fredericka Wellsa, wywarła wrażenie. Było możliwe, że Stefan Varak miał inne motywy działania niż oni, że powodowała nim nienawiść nie znana nikomu w tym pokoju.

St. Claire'owi przypomniały się słowa Varaka: „Odnajdę nazistę, w jakiegokolwiek postaci się odrodzi, i będę go ścigał. Jeśli pan sądzi, że istnieje różnica między tym, co reprezentują teczki, i celami Trzeciej Rzeszy, jest pan w bardzo grubym błędzie”.

A gdy nazista został już wytropiony i zniszczony, jak lepiej można panować nad jego uczniami, niż panując nad teczkami?

Bravo odsunął swój fotel od stołu i wstał. Podeszedł do szafki ściiennej, otworzył ją kluczem i wyjął krótkolufowy rewolwer kalibru 38. Zamknął szafkę, wrócił na swoje miejsce i usiadł. Trzymał broń ukrytą w dłoni. - Czy zechcesz poprosić pana Varaka?

Stefan Varak stanął za pustym fotelem Genesis, uważnie przyjrzawszy się członkom Inver Brass. St. Claire wpatrywał się w niego, aż ich spojrzenia się spotkały.

- Panie Varak, chcemy zadać panu pytanie. Wdzięczni bylibyśmy za zwięzłą odpowiedź. Sztandarze, zechciej kontynuować.

Wells podjął temat.

- Panie Varak, wykorzystując Chancellora uzyskał pan z wyprzedzeniem wiadomość, która mogła nas zaprowadzić do teczek Hoovera. Wystarczyłaby jedna z metod identyfikacji -

wizualna albo foniczna, przez zbadanie widma głosu. Przygotował pan pułapkę, co dowodzi, że rozumiał pan wagę sprawy. A jednak nie ujawniła się przy tym ani pańska znana dokładność, ani kwalifikacje zawodowe. Wystarczyłoby po prostu rozmieścić dwie, trzy, może nawet sześć kamer. Gdyby pan tak uczynił, polowanie byłoby skończone, a teczki znalazłyby się w naszym posiadaniu. Dlaczego, panie Varak? Lub dlaczego nie? Varakowi krew napłynęła do głowy, zaczerwienił się ze złości. Wszystkie objawy, których rozpoznawania nauczył St. Claire'a, wystąpiły właśnie u samego nauczyciela. Czy nie kontrolowane zmiany chemiczne, o których mówił, mogły być tak samo wywołane przez złość, jak przez strach? Bravo ujął leżący na kolanach rewolwer i położył palec na spuście. A potem wszystko minęło, Varak się opanował.

- Pytanie jest uzasadnione - odrzekł spokojnie. - Odpowiem tak zwięzle, jak potrafię.

Jak wiecie, działam sam, z wyjątkiem tych rzadkich wypadków, gdy zatrudniam ludzi, którzy nie są w stanie ustalić mojej tożsamości. W omawianym przypadku był to kierowca taksówki w Nowym Jorku. Zabrał on Chancellora z dziewczyną i zawiózł na lotnisko. Ich rozmowa została nagrana. Taksówkarz miał ze mną kontakt w Waszyngtonie i odtworzył ją przez telefon. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się, że zatrzymują się w Rockville. Miałem bardzo niewiele czasu na zabranie sprzętu, przejazd do tamtego domu i zainstalowanie urządzeń. Zdążyłem ustawić tylko jedną kamerę z odpowiednim filtrem podczerwieni. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Członkowie Inver Brass w ciszy przyglądali się Varakowi. St. Claire pod stołem zdjął palec ze spustu. Całe życie spędził na nauce odróżniania usłyszanej prawdy od kłamstwa.

Miał w Bogu nadzieję, że się i tym razem nie pomylił.

ROZDZIAŁ 21

Peter obudził się z przyzwyczajenia o wpół do piątej rano. Nawyk zmusił go do wstania z łóżka, wzięcia do ręki leżącej na fotelu w sypialni teki i wyjęcia z niej notesu.

Znajdowali się w apartamencie hotelu HayAdams, Alison zaś po raz pierwszy zetknęła się bezpośrednio z jego dziwnym rozkładem godzin pracy.

- Pożar? - zerwała się z łóżka.

- Przepraszam cię. Nie myślałem, że mnie usłyszysz.

- Wiem tylko tyle, że cię nie widzę. Jest ciemno. Co się stało? - Nic się nie stało. Jest już rano. Pora, kiedy lubię pracować. Śpij dalej. Przejdę do drugiego pokoju.

Alison potrząsnęła głową i opadła na poduszki. Peter uśmiechnął się i przeszedł z notesem do saloniku, gdzie znajdował się stolik do kawy i kanapa.

Trzy godziny później ukończył ósmy rozdział. Do konspektu nie zaglądał, nie było to potrzebne. Dobrze poznał uczucia, które miał opisać u Alexandra Mereditha. Sam znalazł się w kleszczach strachu, sam wpadł w panikę. Wiedział, co to znaczy być szcztą zwierzyną, i słyszał w ciemności kroki biegnącego.

Alison obudziła się tuż przed ósmą. Poszedł do niej i kochali się. Powoli, obejmując się nawzajem, przeżywając każdą czułą reakcję partnera jeszcze piękniej i jeszcze silniej niż poprzednią, aż wreszcie porwał ich szalony rytm wspólnego głodu, gdy jedno nie pozwala drugiemu opaść ze szczytu napięcia.

Aż zasnęli trzymając się w ramionach, darząc się wzajemnie spokojem, który obojgu tak bardzo był potrzebny.

Obudzili się o wpół do jedenastej, śniadanie zjedli w pokoju i zaczęli planować resztę dnia. Peter obiecał jej dzień „tarzania się w przyjemnościach” i chciał tego dotrzymać.

Zasłużyła na to. Przyglądając się Alison siedzącej przy stoliku, zauważył nagle coś, co powinien był dostrzec już wcześniej. Pomimo niedawnego wysiłku i smutku, nie opuściła jej dyskretna pogoda ducha, zawsze gotowa do ujawnienia.

Cathy była taka sama.

Peter wyciągnął rękę ponad stolikiem. Podała mu dłoń z uśmiechem, patrząc łagodnie w oczy.

Zadzwoił telefon. Mówił radca prawny jej ojca. Trzeba było podpisać różne papiery, wypełnić urzędowe formularze i uporządkować tytuły prawne. Ostatnia wola generała była sformułowana jasno, ale wojskowe procedury związane ze śmiercią bynajmniej. Czy Alison zechce odwiedzić go w kancelarii o drugiej? Jeśli nie wynikną żadne komplikacje, zakończą wszystko do piątej.

Wobec tego Chancellor obiecał, że przyjemności przełożą na jutro. A ściśle mówiąc, zaczną je dziś, minutę po piątej. „Bo nazajutrz pomyślał Peter - trzeba będzie powrócić do sprawy domu w Rockville”. O wpół do drugiej Alison poszła do biura radcy. Chancellor wrócił do swego oprawionego w skórę bloku.

Rozdział 9. Konspekt.

Tematem rozdziału jest spotkanie Alexa Mereditha z senatorem. Następuje ono po męczącym wyścigu, podczas którego Alex musi wymknąć się swym tropicielom. W czasie spotkania z senatorem Alex dowiaduje się, że istnieje grupa wpływowych osobistości, które podjęły walkę z Hooverem.

Nie jest osamotniony. Od tej chwili zaczyna się jego powrót do równowagi umysłowej. Obecnie może już stawić czoło niebezpieczeństwu, bo są ludzie, do których może się odwołać. Natychmiast nabiera do nich zaufania. Jego ulga staje się jeszcze większa, gdy senator podaje mu nazwiska swoich najbliższych współpracowników byłego ministra i dziennikarki. Również i oni pragną spotkać się z Meredithem.

Istnieje plan. Alex go nie zna, ale wystarczy sama świadomość jego istnienia. Nawet nie wiedząc w pełni, w co się angażuje, angażuje się całkowicie.

Godziny mijały, słowa same płynęły na papier. Chancellor doszedł do momentu, gdy senator wyjaśnia, w jaki sposób zwerbowano wysłannika Hoovera. Z satysfakcją odczytał słowa, które postanowił niemal bez zmian przenieść do rozdziału.

Alan Long zrozumiał swe dotychczasowe błędy i postanowił się ocalić. Jego przeszłość nie była bardziej niż innych ubezpieczona od rozgrzebywania. Odosobniony fakt może zostać tu naciągnięty, wyrwany z kontekstu. Ważne było źródło, piekielne imprimatur -

litery FBI. Long jest w przededniu wycofania się z Biura z powodu śmiertelnej choroby.

Raport na ten temat został przedstawiony dyrektorowi. W rzeczywistości Long ma rozpocząć pracę dla nas. Choć nie można powiedzieć z całym przekonaniem, że został on obmyty krwią Baranka, jest teraz mniej skłonny służyć archaniołowi ciemności. Jest przerażony. A strach jest bronią dobrze mu znaną.

„Całkiem niezły efekt dnia pracy” - pomyślał Peter patrząc na zegarek. Było już prawie wpół do piątej. Późne popołudniowe słońce rzucało wielkie plamycienia na budynki za hotelowym oknem. Grudniowy wiatr był ostry, od czasu do czasu za szybą przemykał

suchy liść. Wkrótce wróci Alison. Zabierze ją do dobrze mu znanej małej restauracji w Georgetown, gdzie zjedzą spokojnie kolację, patrząc na siebie i dotykając się nawzajem. Jej głos i oczy wypełnią się uśmiechem, on zaś będzie jej wdzięczny, że jest tak blisko. A później wrócą do hotelu i będą się kochać. Tak cudownie. I to będzie ważne. Od tak dawna nie odczuwał w łóżku, że dzieje się coś ważnego.

Peter wstał z kanapy i przeciągnął się, gimnastykując szyję. Miał taki nawyk; gdy zaczynały go boleć skronie, pomocne okazywało się kręcenie głową. Ale w tej chwili nie odczuwał bólu. Pomimo napięcia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, sygnały nadciągającego bólu czuł tylko przez kilka krótkich chwil. Do jego życia weszła Alison MacAndrew. I to wystarczyło.

Zadzwoił telefon. Uśmiechnął się, reagując jak młodzieniec. To musiała być Alison, nikt prócz niej nie wiedział, że był tutaj. Podniósł słuchawkę oczekując, że z niepodobnym do niczyjego śmiechem opowie mu, że wszystkie taksówki w Waszyngtonie uciekają przed nią, że ugrzęzła w betonowej dżungli, a wokoło ryczą dzikie zwierzęta. Głos był kobiecy, ale nie należał do Alison. Słysząc w nim było ostre, napięte tony przerażonej ludzkiej istoty.

- Coś ty, na litość boską, zrobił? Jak mogłeś umieścić mnie w swojej książce? Kto ci dał takie prawo?

Była to Phyllis Maxwell.

I to był początek obłądu.

Zostawił kartkę dla Alison, a na wypadek, gdyby jej nie zauważyła, drugą wiadomość w recepcji. Nie ma czasu na wyjaśnienia, zdarzyło się coś nagłego i musi wyjść na mniej więcej godzinę. Zadzwoń z miasta przy pierwszej okazji. I kocha ją.

Phyllis Maxwell! Szaleństwo! To, co powiedziała, było wariactwem. A Peter musi jej szybko i dużo wyjaśnić. Tak. Istniała postać w jego książce, która mogłaby - jedynie mogłaby

- znikoma była to możliwość - tylko znikoma - ją przypominać! Ale równie dobrze może przypominać pół tuzina innych osób!

N i e! Nie miał najmniejszego zamiaru jej szkodzić. Ani w ogóle nikomu! Z

wyjątkiem reputacji J. Edgara Hoovera, którą chce zniszczyć i nie zamierza za to przeproszać!

Na litość boską, n i e! Jakiegokolwiek okoliczności wprowadził, jakiegokolwiek źródeł użył, żadne nie ma nic wspólnego z nią! Ani... z Paulą Mingus... jakiegokolwiek, u diabła, on a się nazywa. Nie było szans na rzeczową rozmowę z głosem na drugim końcu linii, chwilami słabym i niezrozumiałym, chwilami przeszywającym i histerycznym. Phyllis Maxwell odchodziła od zmysłów. A on w jakiś sposób był temu winien.

Próbował przemawiać rzeczowo, ale to było beznadziejne. Próbował na nią krzyczeć, ale tylko się przekrzykiwali. Wreszcie wymusił na niej zgodę na spotkanie.

Nie, nie przyjdzie do HayAdamsa. Była z nim w HayAdamsie. Czy już nie pamięta?

Czy to było takie odrażające?

Jezu Chryste! Przestań!

Nie spotka się z nim w żadnym miejscu, które on wyznaczy. Nie ufa mu, bo, na Boga, jakżeby mogła? Jest dom przy Trzydziestej Piątej PółnocnoZachodniej, blisko rogu Wisconsin, za Dumbarton Oaks. Należy do przyjaciół nieobecnych w kraju, a ona ma klucz.

Nie jest pewna numeru, ale to bez znaczenia, jest tam biały ganek z witrażowym oknem na drzwiach. Będzie tam za pół godziny.

- Pracowałeś dla nich przez cały czas, prawda? Musisz być bardzo dumny z siebie -

odłożyła słuchawkę.

Podjechała taksówka, Chancellor wskoczył, podał kierowcy adres i próbował uporządkować myśli.

Ktoś czytał jego rękopis, to było jasne. Ale kto? J a k? I właśnie to „jak” go przeraziło.

Oznaczało bowiem, że kimkolwiek był ten człowiek, dołożył nadzwyczajnych wysiłków, by go dostać do ręki. Peter wiedział o środkach ostrożności, jakie podjęło biuro przepisywania na maszynie, należały do umowy i były jedną z jego największych zalet. Biuro należało więc wykluczyć.

Morgan! Nieumyślnie, bez jego zgody, ale przez przypadek! Tony'ego charakteryzowało arystokratyczne niedbalstwo. Jego ruchliwy umysł przerzucał się z tematu na temat, nadzorując równocześnie tuzin pomysłów. Było całkiem możliwe, że Morgan w roztargnieniu pozostawił rękopis na czyimś biurku. Albo, nie daj Boże, w męskiej toalecie.

Taksówka dotarła do skrzyżowania Pennsylvania Avenue z Dwudziestą Ulicą. Na rogu stała pusta budka telefoniczna. Peter spojrzął na zegarek, była za dziesięć piąta.

- Proszę podjechać do tego automatu, dobrze? - powiedział. Muszę zatelefonować. To niedługo potrwa.

- Może się pan nie śpieszyć. Licznik stuka.

Peter zamknął drzwi szklanej budki i nakręcił numer mieszkania Morgana.

- Tony, tu Peter. Muszę cię o coś zapytać.

- Gdzie ty się, u diabła, podziewasz? Dziś rano rozmawiałem z panią Alcott i powiedziała, że wyjechałeś do miasta. Zadzwoiłem do ciebie, ale była tylko włączona automatyczna sekretarka.

- Jestem w Waszyngtonie. Nie mam czasu na wyjaśnienia. Posłuchaj. Ktoś przeczytał rękopis powieści o Hooverze. Kimkolwiek jest, popełnił okropną rzecz, straszliwy błąd...

- Hej, chwileczkę - przerwał mu Morgan. - To wykluczone.

Mów od początku. Jaką okropną rzecz? Jaki błąd?

- Powiedział komuś, że jest ona... on... opisany w tej książce. - On czy ona?

- A co to za r ó ż n i c a? Istotne jest to, że ktoś przeczytał rękopis i użył go, by kogoś śmiertelnie wystraszyć!

- Czy to pomyłka, czy jest tam taka postać?

- Niezupełnie. Może się ona odnosić do półtuzina innych osób, ale to nieistotne. - Nie miał czasu odpowiadać na pytania Morgana. - Chciałem tylko zauważyć, że wiele twoich postaci opiera się w luźny sposób na konkretnych osobach. Choćby generał.

- O, Boże... - w skomplikowanym procesie tworzenia postaci wziął jeden z rysów z życia Phyllis Maxwell: jej zawód dziennikarki i na tym zbudował inną osobę. Inną osobę, nie jej portret! Nie Phyllis. Postać przez niego stworzona była ofiarą szantażu, więc nie była Phyllis! Była fikcją literacką! Ale głos w telefonie w hotelu HayAdams nie był fikcją. - Czy dałeś komuś rękopis do przeczytania?

- Oczywiście, że nie. Czy chcesz, aby wszyscy się dowiedzieli, do jakiego stopnia twoja produkcja nadaje się do druku, zanim nie weźmie się za nią moja redaktorska dłoń?

Był to ich stały prywatny żart, ale tym razem Chancellor się nie zaśmiał. - Więc gdzie jest twój egzemplarz?

- Gdzie? Ściśle mówiąc, jest w szufladzie mego nocnego stolika, a od sześciu miesięcy nie zostaliśmy obrabowani. To rekord. - Kiedy zaglądałeś tam ostatni raz?

Morgan zamilkł, nagle spowaźniawszy. Dopiero teraz pojął, jak głęboki jest niepokój Petera.

- Zeszłej nocy. A szuflada jest zamknięta na klucz.

- Czy zrobiłeś kserokopię dla Joshui?

- Nie, dam mu, gdy skończę redagowanie. Czy ktoś mógł przeczytać twój?

- Nie. Jest w mojej walizce... - Chancellor urwał. Walizka. Walizkę zostawił wraz z teczką w samochodzie! Noc w Rockville! Wczesny ranek, uciekające kroki, okropne, oderżnięte nogi zwierzęcia, zakrwawiona walizka. Wtedy mogło to się zdarzyć. - Nie ma sprawy, Tony. Zadzwoń do ciebie jutro albo w najbliższym czasie. - Co robisz w Waszyngtonie?

- Tego nie jestem pewien. Przyjechałem tu, by się czegoś dowiedzieć. Ale teraz nie wiem... - nim Morgan zdążył odpowiedzieć, odłożył słuchawkę.

Zobaczył biały ganek i słabe światło, sączące się przez witrażowe okno nad drzwiami wejściowymi. Osiedle składało się ze starych domów, niegdyś okazałych, teraz dożywających swych dni.

- To ten dom - powiedział do kierowcy. - Dziękuję bardzo, reszty nie trzeba.

Taksówkarz zawahał się.

- Hej, panie - powiedział wreszcie - mogę się mylić i to nie moja sprawa? Może pan się tego

spodziewał, może dlatego pan dzwonił. Ale zdaje mi się, że mieliśmy tu ogon.

- Co? Gdzie jest ten samochód? - Peter natychmiast się odwrócił i wyjrzał przez tylne okno taksówki.

- Wyglądanie może pan sobie darować. Czekał, aż zwolnimy, i wtedy skręcił za ostatni lewy róg. On także mocno zwolnił. Może po to, by zobaczyć, gdzie pan wysiada.

- Jest pan pewien?

- Jak powiedziałem, mogę się mylić. Ale w nocy wszystkie reflektory odrobinę się różnią. Znam się trochę na tym.

- Rozumiem, co pan ma na myśli - Peter zastanowił się chwilę. Nie zaczekałby pan tu na mnie? Oczywiście zapłacę.

- O, nie, dziękuję. I tak już zajechałem diabli wiedzą gdzie. Moja stara będzie burczeć.

Wisconsin jest niedaleko stąd. Masa wozów wraca tędy do miasta.

Chancellor wysiadł i zamknął drzwiczki. Taksówka szybko odjechała, Peter zwrócił

się ku domowi. Prócz słabego światła w holu panowały tam ciemności. A przecież od jego rozmowy z Phyllis Maxwell upłynęła prawie godzina. Powinna już tu być. Nie był pewien, czy jest na tyle przytomna, by stosować się do własnych instrukcji. Ruszył po dróżce prowadzącej do wejścia.

Gdy wstąpił na najwyższy stopień, usłyszał metaliczny szczęk zamka. Drzwi otworzyły się przed nim, ale nie było widać w nich nikogo. - Phyllis?

- Wchodź szybko - usłyszał szept.

Stała pod ścianą na lewo od wejścia, przyciśnięta plecami do wyblakłej tapety. W

półmroku wyglądała o wiele starszej niż w blasku świec jadalni HayAdamsa. Była blada ze strachu. Przeżywane napięcie wryło głębokie linie w kącikach ust. Spojrzenie miała nadal przenikliwe, ale brakowało w nim tej bystrości, którą zapamiętał. W jej oczach nie było już ciekawości, a tylko przerażenie. Zamknął drzwi.

- Nie musisz się mnie bać. Nigdy nie musiałaś. Mówię prawdę, Phyllis. - Ach, młody człowieku, należysz do najgorszego typu - jej szept pełen był smutku i pogardy - zabijasz z uśmiechem.

- To kompletna bzdura. Chcę z tobą porozmawiać. I nie stojąc tam, gdzie cię nie mogę widzieć.

- Nie pozwolę tu zapalać światła!

- Teraz przynajmniej cię słyszę. - Nagle Peterowi przypomniało się ostrzeżenie taksówkarza. Na

ulicy był samochód. Czekał, pilnował. Dobrze, bez światła. Czy możemy usiąść?

Jedyną jej odpowiedzią było pełne nienawiści spojrzenie, a po nim nagłe odsunięcie się od ściany. Peter poszedł za nią ciemnym korytarzem do bawialni. W dochodzącym z holu świetle zauważył przesadnie wielkie fotele i obszerną kanapę. Jedynym dźwiękiem był szelest sukni Phyllis. Dziennikarka skierowała się wprost do stojącego naprzeciw kanapy fotela.

Peter zdjął płaszcz i rzucił go na poręcz, po czym zajął miejsce na kanapie. Blask dochodzący z holu oświetlał jej twarz lepiej, niż gdyby siedziała obok niego.

- Teraz coś ci opowiem - zaczął. - Jeśli wypadnie niezdarnie, to dlatego, że nigdy przedtem nie musiałem tłumaczyć niczego podobnego. Być może dotąd nie analizowałem tego, co nosi wątpliwą nazwę wzruszył lekceważąco ramionami - procesu twórczego. Zrobiłaś na mnie wielkie wrażenie.

- Pan jest nazbyt uprzejmy.

- Chwileczkę. Wiesz, co mam na myśli. Mój ojciec przez całe życie był

dziennikarzem. Jestem pewien, że nasze spotkanie było dla mnie większym przeżyciem niż dla ciebie. Fakt, że chciałaś zrobić ze mną wywiad, uderzył mnie jako coś z lekka głupawego.

Podbudowało mnie, gdy okazało się, że to nie jest przykre i nie ma nic wspólnego z moimi książkami. Ty jesteś przedstawicielką czegoś bardzo ważnego. Byłem pod cholernym wrażeniem, a wieczór był wspaniały. Wypiłem za dużo i ty także, no i co z tego?

- Zabij mnie z uśmiechem, młody człowieku - szepnęła.

- Poszedłem do łóżka z wielką damą. - Peter wstrzymał oddech, próbując się opanować. - Jeśli to jest moja zbrodnia, jestem winien. - Mów dalej - Phyllis zamknęła oczy.

- Tego wieczoru zadałem ci mnóstwo pytań na temat Hoovera. Ty mi odpowiadałaś, mówiąc o rzeczach, o których nie miałem pojęcia. Twoja gwałtowność była porywająca.

Twój zmysł moralny został głęboko obrażony, twój gniew był potężniejszy od tego, któremu dawałaś wyraz we wszystkim, co piszesz.

- Do czego zmierzasz?

- To część moich niezdarnych wyjaśnień. Pojechałem do Waszyngtonu, by poznać tło sprawy, w parę dni później zacząłem pisać. Twoje oburzenie miałem nieustannie w pamięci. I do tego było to oburzenie kobiety! Kobiety mocnej, cieszącej się powodzeniem. Było więc logicznym krokiem wymyślić jakiś wariant tej kobiety, kogoś obdarzonego takimi cechami. I to zrobiłem. Takie jest moje wyjaśnienie. Dałaś mi pomysł na stworzenie postaci, ale nią nie jesteś. Ona jest tylko wymyślona.

- Czy generała, wczoraj pogrzebanego w Arlington, wymyśliłaś także?

Oszołomiony Chancellor siedział nieruchomo. W słabym świetle Phyllis wpatrywała się w niego martwym wzrokiem.

- Nie, nie wymyśliłem go - odrzekł spokojnie. - Kto ci o nim powiedział?

- Z pewnością wiesz. Okropny, bezbarwny, wysoki szept przez telefon. Niesłuchanie skuteczny. Z pewnością wiesz. - Phyllis mówiła z przerwami, jakby bała się usłyszeć samą siebie.

- Nie wiem - odpowiedział Peter. Rzeczywiście nie wiedział, ale zaczął rozumieć, w jaki sposób rozprzestrzenia się ta okropna metoda działania. Z najwyższym wysiłkiem starał

się opanować, mówić w sposób rozsądny, ale wiedział, że jego wściekłości nie da się ukryć. -

Uważam, że to wszystko posunęło się za daleko. Szepty przez telefon, słowa malowane na ścianach, zarzynane zwierzęta! Dosyć! - wstał i rozejrzał się. - Trzeba temu położyć kres.

Dostrzegł to, czego szukał: dużą lampę na stole. Podeszedł do niej zdecydowanym krokiem, sięgnął pod abażur i pociągnął za łańcuszek. Zapaliło się światło.

- Nie będzie więcej ukrywania się ani ciemnych pokoi. Ktoś próbuje doprowadzić do szaleństwa ciebie, doprowadzić do szaleństwa Alison i doprowadzić mnie do pomieszenia moich cholernych zmysłów! Mam dość. Nie pozwolę...

Tyle udało mu się powiedzieć. Szyba w jednym z frontowych okien rozprysnęła się.

Równocześnie dał się słyszeć ostry trzask rozłupywanego drewna, pocisk uwiązł gdzieś w karniszu. A potem rozprysnęła się następna szyba, odłamki szkła przeszły powietrze, pękający tynk porysował ściany zygzakami czarnych błyskawic.

Peter odruchowo machnął ręką, zrzucając lampę ze stołu na podłogę. Wylądowała na boku abażura, z nadal palącą się żarówką, rysującą przez cały pokój na podłodze dziwną smugę światła.

- Padnij! - wrzasnęła Phyllis.

Rzuciwszy się na podłogę Chancellor zrozumiał, że wprawdzie leciały pociski, ale nie było słychać strzałów! I przypomniał sobie przerażający widok.

Świt w Klasztorze! Człowiek zabity na jego oczach, kółko krwi nagle, bez ostrzeżenia; pojawiające się na białym czole. Ciało skręcające się w drgawkach, nim upadło na ziemię.

Wtedy też nie było słychać strzałów! Tylko obrzydliwe klaśnięcie, przerywające ciszę i niosące w niej śmierć.

Działać! Na litość boską, działać! Ogarnięty paniką rzucił się w stronę Phyllis, pociągając ją ze sobą na podłogę.

Znów roztrzaskała się szyba, znowu pocisk rozbił tynk. I jeszcze jeden, tym razem odbity rykoszetem od jakiegoś kamienia i miażdżący szkło wiszącej na ścianie fotografii.

Uciekać! Tutaj śmierć!

Musiał zlikwidować tę lampę. W świetle oboje byli dobrym celem. Odepchnął Phyllis, nie pozwalając jej wstać z podłogi, słysząc jej przerażone jęki. Rozejrzał się w prawo, potem w lewo. Kamień! Musiał tu być kominek. Znajdował się wprost za nim, a obok niego Peter ujrzał to, czego szukał. Pogrzebacz oparty o cegłę. Chyłkiem skoczył ku niemu./

Rozprysły się kolejne szyby, dwa pęknięcia ukazały się na ścianie, częściowo ukryte w cieniu. Phyllis wrzeszczała i przez chwilę Peter miał nadzieję, że może ktoś ją usłyszy. Ale przypomniał sobie, że dom stoi na rogu, a najbliższy ich sąsiad oddalony jest stąd o przynajmniej sto stóp. Noc była zimna, drzwi i okna pozamykane. Krzyki nie sprowadzą pomocy.

Podpełzł do lampy, podniósł pogrzebacz i zmiażdżył nim abażur, jakby zabijał niebezpieczne zwierzę.

Ale w holu nadal paliło się światło! Teraz zdawało się jasne jak reflektor penetrujący wszystkie kąty, zalewający pokój jasnością, której siły nawet nie podejrzewał. Zerwał się, skoczył do korytarza i rzucił pogrzebaczem w stronę żyrandola na suficie. Żelazny pręt zawirował w powietrzu, rozbijając szkło. Nastąpiła ciemność.

Ponownie dał nurka na podłogę i podpełzł w stronę Phyllis. - Gdzie jest telefon? - szepnął.

Poczuł, że kobieta drży. Nie była w stanie odpowiedzieć.

- Telefon? G d z i e j e s t?

Zrozumiała go wreszcie. Dostrzegł to w jej oczach, w twarzy, na którą kładły się cienie rzucane przez dalekie lampy uliczne. Jej przerywane szlochem słowa były ledwie słyszalne.

- Nie tutaj. Tu jest gniazdko, nie telefon.

- Co? - Co ona próbowała mu powiedzieć? Gniazdko? Bez telefonu? Kolejna wylatująca w powietrze szyba zasypała pokój odłamkami, pocisk z trzaskiem wbił się w ścianę o parę cali nad ich głowami. Nagle z zewnątrz dobiegł głośny wystrzał, kontrastujący z przytłumionymi poprzednimi strzałami i rozległ się gardłowy krzyk, szybko uciszony. Po nich zaś - pisk opon i zgrzyt metalu trącego o metal. Następny gniewny wrzask. Otwieranie i zamykanie drzwiczek samochodu.

- Kuchnia - wyszeptała Phyllis, pokazując ciemność po jej prawej stronie.

- Telefon jest w kuchni? Gdzie?

- Tam, prosto.

- Nie wstawaj! - Peter popęzł po podłodze przez korytarzyk do drzwi jak przestraszony owad. Poczł pod sobą terakotę kuchennej podłogi. Telefon! Gdzież on jest?

Próbował coś dojrzeć w zupełnej ciemności.

W panicznym pośpiechu zaczął obmacywać ścianę. Telefony kuchenne zwykle instalowano na ścianach, ze zwisającymi z nich spiralami przewodów... Znalazł! Chwycił

śluchawkę, zerwał ją z widełek i podniósł do ucha, drugą ręką sięgając do tarczy. Ostatnia dziurka, „0”. Telefon był odcięty.

Rozległ się ogłuszający łoskot. W ciemnej jak studnia kuchni posypało się szkło.

Okienko nad kuchennymi drzwiami zostało zmiażdżone, rzucona z zewnątrz cegła odbiła się od przeciwległej ściany.

Cegła! Kominek! Widział to coś w kącie, na prawo od paleniska. Tego był zupełnie pewien. Miał odpowiedź na atak! Jedyńą, jaka mu została.

Na czworakach, na wpół pełznąć, na wpół zataczając się, przesunął się do ciemnej bawialni. Zmartwiała ze strachu Phyllis skuliła się koło kanapy.

Jest! Jest, jeśli tylko właściciele domu w tym celu tutaj to położyli. Niektórzy nazywali to zapalarką nowoangielską, w środkowych Stanach znano ją jako starter znad jeziora Erie. Okrągły porowaty kamień, umocowany na mosiężnym pręcie i trzymany w garnku pełnym nafty. Wkładany pod kłody na kominku służył do ich zapalania. Sięgnął do garnka i zdjął pokrywkę. Wewnątrz znajdował się płyn. Nafta!

Trzasnęła salwa kłaśnieć. Pociski przeszywały powietrze, jedne rozbijały resztki szkła, inne przelatowały bez przeszkód przez puste framugi okien. Wbijały się w ściany i sufit, a gdy śmiertcionośne kule odbijały się gdzieś od metalowych przedmiotów i zmieniały kierunek lotu, słycać było ich gwizd.

Pot spływał Peterowi po twarzy. Wiedział już, że znalazł broń, ale nie wiedział

jeszcze, jak ją skonstruować. A wtedy przypomniały mu się słowa z jego własnej książki.

Odpowiedź na atak wymyślił dawno temu. Dobrze zerwał z siebie koszulę i zanurzył ją w beczce z benzyną. Żniwa ukończono, na polach stały stogi siana. Najbliźszy rozпали się jak pochodnia, a wiatr poniesie płomień. Wkrótce łąki staną w ogniu i przeszukującym okolicę plutonom żołnierzy zagrodzą drogę...

„Sarajewo!”. Podobny wypadek miał miejsce po zabójstwie arcyksięcia Ferdynanda.

Peter zerwał z siebie marynarkę i koszulę. Chyłkiem dotarł do stołu, na którym przedtem stała lampa. Ściągnął z niego serwetę i powrócił do kominka. Koszulę rozłożył na podłodze, przykrył ją serwetą i oblał naftą, zachowując tylko jej resztkę. Skoczył do kanapy i zabrał jedną z poduszek oparcia, na nią wylał pozostałą naftę.

Na dworze gęściej rozlegały się obrzydliwe klaśnięcia, częściej brzęczało w pokoju rozbijane szkło. Chancellor obawiał się, że ze strachu zwymiotuje. Ból skroni powrócił z taką siłą, że zaćmiewał mu wzrok. Na chwilę zamknął oczy. Chciało mu się krzyczeć, ale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Opróżniony żelazny garnek ustawił pośrodku serwety i owinał ją wraz z koszulą wokół naczynia. Wszystko mocno związał rękawami koszuli, jeden wyciągając z węzła. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął książeczkę zapalek.

Był gotów. Podpełzł wzdłuż ściany do okien z lewej strony, ciągnąc za sobą garnek i popychając poduszkę. Powoli wstawał, nadal w ukryciu, jedną ręką trzymając za rękaw.

Przesycona naftą poducha leżała na podłodze. Niezdarnie, z trudem otworzył książeczkę, wyrwał zapalną i potarł o draskę. Rzucił płomyk na mokrą tkaninę, wybuchła kulą ognia.

Dwoma błyskawicznymi ruchami zamachnął się garnkiem do tyłu i naprzód, wypuszczając rękaw w ostatnim momencie. Płonący garnek wybił resztę szyby i poleciał na trawnik jak ognisty piorun. Wiejący na dworze wiatr przeniósł płomień na kapiącą z pocisku naftę, rysując na ziemi zygzak skaczących z miejsca na miejsce płomieni.

Peter usłyszał kroki i niezrozumiałe krzyki. A potem jeszcze więcej kroków, dochodzących spod domu. Próbowano ugasić ognistą kulę. Był to moment, by użyć drugiej broni. Zapalił zapalną i przełożył do lewej ręki. Prawą podniósł poduszkę i podpalił.

Znów buchnął ogień, opalając mu włosy na ręce. Pobiegł do ostatniego okna na prawo i wybijając szkło cisnął płonąca poduszkę na zewnątrz. Upadła tam, gdzie chciał: pod samym gankiem.

Stare drewno pochwyciło rozwiewany wiatrem naftowy płomień. Ganek zaczął się palić.

Znów rozległy się krzyki, słowa wyrzaskiwane w jakimś nieznanym języku. Co to było? Jaki język? Nigdy przedtem go nie słyszał. Ostatnią salwę cichych wystrzałów skierowano beładnie w okna domu. Peter usłyszał zapuszczenie potężnego silnika. Drzwi samochodu otwarto i zatrzaśnięto, opony zapiszczały na jezdni w nagłym skręcie. Wóz szybko odjechał.

Peter podbiegł do Phyllis. Podniósł ją i przytrzymał w ramionach, czując, jak cała drży.

- Skończone. Wszystko się skończyło. Musimy stąd wyjść. Przez tylne drzwi. Ten dom spali się jak... jak stóg siana.

- O, Boże! O, mój Boże... - ukryła zapłakaną twarz na jego nagiej piersi.

- No, no, ruszajmy! Na policję zaczekamy na dworze. Ktoś zobaczy ogień i wezwie ją.

Ruszamy!

Phyllis powoli podniosła głowę. W oczach miała dziwny, żalospny przestach, dobrze widoczny w świetle rozszerzających się za oknem płomieni.

- Nie - powiedziała ostrym szeptem, którym mówiła początkowo. - Nie. Nie policja!

- Na litość boską! Próbowano nas zabić! Do cholery, powinnaś zrozumieć, że musisz porozmawiać z policją!

Odepchnęła go. Zdawało się, że ogarnia ją dziwna bierność. Pomyślał, że Phyllis próbuje choćby na chwilę odzyskać zdrowe zmysły. - Jesteś bez koszuli...

- Mam za to marynarkę. I płaszcz. Idziemy.

- Tak, rozumiem... Moja torebka. Czy możesz mi przynieść torebkę? Jest w holu.

Chancellor rozejrzał się po holu. Przez szpary we frontowych drzwiach sączył się dym. Ganek palił się, ale płomienie jeszcze nie przedarły się do środka.

- Oczywiście. - Puścił ją i podniósł leżącą obok kominka marynarkę.

- Chyba leży na schodach. A może zostawiłam ją w szafie. Nie jestem pewna.

- W porządku. Przyniosę ją. Ty wyjdź na dwór. Przez kuchnię. Phyllis odwróciła się i ruszyła przed siebie. Peter nałożył marynarkę i szybko skierował się do holu, zabierając po drodze leżący na kanapie płaszcz.

Było po wszystkim. Teraz nastąpią rozmowy z policją, z władzami. Ale dziś wieczorem wszystko się skończyło. Nie będzie pisał książki za taką cenę.

Na schodach torebki nie było. Przeszedł połowę ich wysokości, lecz jej nie dostrzegł.

Dym gęstniał. Musiał się pośpieszyć, drzwi wejściowe zaczęły się palić. Zbiegł ze schodów i na dole skręcił w lewo, szukając szafy. Znajdowała się w odległym prawym rogu holu.

Szybko tam przeszedł i otworzył drzwi. Wisiały tu na różnych haczykach i wieszakach palta, dwa męskie filcowe kapelusze i rozmaite szaliki, ale torebki nie było. Musiał szybko wyjść.

Dym zasłaniał już wszystko. Zaczął kaszleć, z oczu popłynęły mu łzy. Przebiegł z powrotem do bawialni, pod sklepieniem przejściem do jadalni, wreszcie do kuchni i przez otwarte drzwi na dwór.

Usłyszał odległe wycie syren.

- Phyllis?

Wzdłuż ściany domu pobiegł w stronę frontu. Tam jej nie było. Obiegł dom z przeciwnej strony,

przez podjazd, aż do tylnego podwórza. - Phyllis! Phyllis!

Nie było jej nigdzie. I wtedy zrozumiał. Nie było torebki na schodach ani w szafie.

Phyllis uciekła.

Syreny stawały się coraz głośniejsze, wyły już tylko o parę przecznic dalej. Stary dom palił się szybko. Cały front stał w płomieniach, błyskawicznie przenikających do środka.

Peter nie bardzo wiedział dlaczego, ale był pewien, że sam z policją rozmawiać nie może. Nie teraz, jeszcze nie.

Pobiegł przed siebie w ciemności.

ROZDZIAŁ 22

Czuł tak okropny ból w skroniach, że miał ochotę paść na ziemię i walić głową w betonowy chodnik. Ale był świadom, że to nie pomoże.

Zamiast tego szedł więc przed siebie, nie spuszczać oczu z ruchu ulicznego w kierunku centrum Waszyngtonu. Szukał taksówki. Powinien był zostać przy płonącym domu na Trzydziestej Piątej Ulicy i opowiedzieć policjantom tę niewiarygodną historię. Ale coś mu mówiło, że jeśli to zrobi nie mając ze sobą Phyllis, pojawią się pytania, na które być może nie znajdzie odpowiedzi. Odpowiedzi, które nie wyrządziłyby krzywdy Phyllis Maxwell. W jego myślach zaświtała odrobina poczucia odpowiedzialności: były fakty, o których nie wiedział, a powinien wiedzieć. Tyle był jej winien. Być może nie więcej, ale przynajmniej tyle. Wreszcie nadszedła taksówka, żółty znak na dachu świecił jak latarnia morska. Wszedł na jezdnię i zaczął machać rękami. - Proszę do hotelu HayAdams - powiedział.

- Wielki Boże! Co się stało? - spytała Alison zdławionym głosem, gdy otworzył drzwi.

- W mojej walizce jest flaszeczka z tabletkami. W wewnętrznej kieszeni. Daj mi ją szybko. Proszę.

- Peter, najdroższy! Co to było? - Alison przytrzymała go, gdy oparł się ciężko o drzwi. - Wezwę lekarza.

- Nie! Zrób, co powiedziałem. Wiem dokładnie, co mi jest. Tabletki. Szybko.

Czuł, że osuwa się na ziemię. Chwycił się rąk Alison i podtrzymywany przez nią dobiegł do łóżka. Padł na plecy i gestem wskazał walizkę, stojącą w kącie na półce bagażowej.

Zrobił coś, co rzadko mu się zdarzało: wziął dwie tabletki.

Wbiegła do łazienki, wynurzając się stamtąd po paru sekundach ze szklanką wody.

Usiadła obok niego, podtrzymując mu głowę, gdy pił. - Proszę, Peter. Lekarza!

Potrząsnął głową.

- Nie - odpowiedział słabym głosem, próbując uśmiechnąć się uspokajająco. - Lekarz nic tu nie pomoże. To mi przejdzie w parę minut. - Zapadał się w ciemność, miał straszliwie ciężkie powieki. Ale nie mógł pozwolić, by ciemności go ogarnęły, zanim jej nie uspokoił. I zanim przygotował ją na to, co mogło nastąpić, gdy straci przytomność. - Mogę zasnąć na chwilę. Niedługo, to nigdy nie trwa długo. Mogę wtedy mówić, nawet trochę krzyczeć. Nie martw się. To nic nie znaczy. Tylko bełkot, takie tam nonsensy.

Jego myśli rozplynęły się, zapadła jego wewnętrzna noc. Była tylko nicość, w której unosił się, kołysany cichym, łagodnym powiewem. Otworzył oczy nie mając świadomości, jak długo leżał na łóżku. Z góry spoglądała na niego piękna twarz Alison, jeszcze piękniejsza dzięki łzom przepelniającym jej oczy.

- Hej - powiedział wyciągając rękę, by dotknąć jej mokrego policzka. - Już w porządku.

- Miała na imię Cathy, prawda? - Ujęła jego dłoń i przycisnęła do ust.

Zrobił więc to, czego miał nadzieję uniknąć; powiedział to, czego pragnął nie mówić.

Nic na to nie mógł już poradzić.

- Tak - kiwnął głową.

- Ona nie żyje, prawda?

- Tak.

- Mój najmilszy. Tyle bólu, tyle miłości...

- Przepraszam cię.

- Nie rób tego.

- Nie mogło to być dla ciebie miłe.

Pochyliła się i pogłaskała jego oczy, policzek i usta.

- To był dar - powiedziała. - Wspaniały dar.

- Nie rozumiem.

- Najpierw powiedziałeś jej imię, a potem zawołałeś mnie. Opowiedział Alison, co wydarzyło się w

domu na Trzydziestej Piątej Ulicy. Zbagatelizował niebezpieczeństwo fizyczne, określiwszy chaotyczny ostrzał jako taktykę strachu, obliczoną na to, by ich przerazić, a nie zranić czy zabić.

Było jasne, że mu nie uwierzyła, ale była córką żołnierza. W takiej czy innej formie już dawno przyzwyczała się do wysłuchiwania tego rodzaju fałszywych zapewnień. Bez komentarzy przyjęła złagodzoną wersję wypadków, choć w jej oczach wyraźnie malowała się niewiara. Skończywszy opowiadanie stanął w oknie wychodzącym na Szesnastą Ulicę i przyglądał się gwiazdkowej dekoracji. Po drugiej stronie przyciszone dzwony kościelne biły w męczącym rytmie. Boże Narodzenie miało być już za parę dni, jeszcze o tym nie pomyślał.

I teraz też nie. Jedyne, o czym był w stanie myśleć, dotyczyło tego, co powinien zrobić.

Powinien pójść do Federalnego Biura Śledczego, do samego źródła tego szaleństwa i zażądać, by położono mu kres. Ale zniszczona została czyjaś własność, użyto śmiertelnej broni.

Phyllis Maxwell musi pójść wraz z nim. - Muszę się z nią skontaktować - powiedział cichym głosem. Muszę ją przekonać, że powinna ze mną pójść.

- Znajdę ci numer. - Alison wzięła z nocnego stolika książkę telefoniczną. - Nie ma.

Nie jest tu wymieniona.

Chancellor przypomniał sobie. Numeru Alison także nie było w książce. Zastanawiał

się, czy skontaktuje się z Phyllis równie łatwo, jak z MacAndrewem. Nowy wariant starej gry, zwykły podstęp dziennikarski. Stary przyjaciel, reporter, nocujący w Waszyngtonie, poszukujący za wszelką cenę kontaktu.

Ale gra nie udała się, człowiek z redakcji miejskiej sam go zapewne aż nazbyt często używał. W redakcji nie chciano dać numeru panny Maxwell.

- Może ja spróbuję - zaproponowała Alison. - W Pentagonie przez całą dobę jest na służbie oficer prasowy. Dla złych nowin i doniesień o ofiarach nie ma godzin urzędowania.

Znane nazwisko i stopień wojskowy nadal dają pewne przywileje. Albo ja tam kogoś znam, albo ktoś zna mnie.

W Pentagonie mieli dwa numery Phyllis Maxwell: jej telefonu prywatnego oraz centrali luksusowej kamienicy, w której mieszkała. Prywatny telefon nie odpowiadał.

Centrala nie udzielała żadnych informacji o lokatorach, mogła tylko przyjąć wiadomość do przekazania.. Ale ponieważ telefonujący nie był całkiem pewien adresu domu, telefonistka go podała.

- Chcę pojechać z tobą - powiedziała Alison.

- Sądzę, że nie powinnaś - odparł Peter. - Wspomniała o twoim ojcu, nie po nazwisku, ale mówiła o wczorajszym pogrzebie w Arlington. Jest wystraszona do ostatnich granic. Chcę ją tylko przekonać, że powinna ze mną pójść. Jeśli cię zobaczy, może odmówić.

- Zgoda. - Alison skinęła głową. Córka żołnierza rozumiała. Ale martwię się o ciebie.

A co, jeśli znowu będziesz miał atak? - Nie będę miał. - Zamilkł na chwilę, po czym przyciągnął ją do siebie. - Jest jeszcze coś - dodał patrząc jej w oczy. - Nie chcę ciebie w to mieszać. Było, przeszło. Sama mi to powiedziałaś, pamiętasz? Wtedy z tobą się nie zgodziłem. Teraz tak.

- Dziękuję ci za to. Chyba chciałam przez to powiedzieć, że cokolwiek uczynił, należy do przeszłości i nie może już się zmienić. On o coś walczył. Nie chcę, by to zostało narażone na szwank. - Ja też mam coś ważnego na myśli i to się także nie zmieni. I nie będzie narażone na szwank. To my. - Pocałował ją leciutko. - Gdy przeminie dzisiejsza noc, możemy rozpocząć nasze własne życie. Uważam tę perspektywę za niesłychanie nęcącą.

Uśmiechnęła się i oddała mu pocałunek.

- Zachowałam się bezwstydnie, przyłapałam cię na chwili słabości i uwiodłam.

Powinnam zostać napiętnowana. - A potem jej uśmiech znikł, patrzyła mu w oczy z wyrazem bezbronności. - Wszystko zdarzyło się tak szybko. Nie wymagam zobowiązań, Peter.

- A ja tak - odpowiedział.

- Jeśli zechce pan zająć miejsce w holu, wkrótce będę panu towarzyszył - powiedział

portier w domu Phyllis Maxwell. Nie zawahał się przy tym nawet na chwilę, wyglądało niemal tak, jakby oczekiwał Petera.

Chancellor usiadł na zielonym, plastikowym fotelu i czekał. Portier po prostu stał na zewnątrz, kołysząc się na obcasach, splótłszy dłonie w rękawiczkach za plecami swego mundurowego płaszcza.

Było to bardzo dziwne.

Minęło pięć minut. Portier ani przez moment nie zamierzał wrócić do holu. Czyżby mógł zapomnieć? Chancellor wstał i rozejrzał się. Rozmawiał wcześniej z telefonistką, gdzie więc była centralka?

W głębi holu, wciśnięte między skrzynkami na listy i wejściem do wind, zobaczył

małe oszklone okienko. Podeszedł tam i zajrzał do środka. Telefonistka mówiła do mikrofonu przymocowanego do pojedynczej słuchawki opasującej jej głowę. Mówiła szybko i z naciskiem, była to rozmowa między przyjaciółmi, a nie między telefonistką i klientem. Peter zastukał w szybę, telefonistka przerwała na chwilę konwersację i odsunęła okienko.

- Słucham, sir?

- Próbuję się skontaktować z Phyllis Maxwell. Może zechce pani zadzwonić do jej apartamentu i połączyć mnie z nią? Sprawa jest pilna. Reakcja telefonistki była nie mniej dziwna niż portiera. Inna, ale też dziwna. Zawahała się, wyraźnie skrępowana.

- Nie przypuszczam, by panna Maxwell była w domu - odrzekła

- Co do tego nie może pani mieć pewności, nie zadzwoniwszy uprzednio, prawda?

- Czy sprawdzał pan u portiera?

Peter zrozumiał. Ci ludzie mieli dokładne instrukcje.

- Co to, do diabła, wszystko znaczy? Proszę do niej zadzwonić! Jak było do przewidzenia, na telefon z centrali nie było odpowiedzi. A dalsze tracenie czasu mijało się z celem. Szybko wyszedł na dwór i stanął twarzą w twarz z portierem.

- Skończmy z tą komedyjką, dobrze? Ma pan mi coś powiedzieć? Co to takiego?

- To delikatna sprawa.

- Co mianowicie?

- Opisała pana, powiedziała, że nazywa się pan Chancellor. Gdyby przyszedł pan tu powiedzmy przed godziną, miałem panu przekazać, by wrócił pan o jedenastej. Że panna Maxwell telefonowała mówiąc, że będzie o tej porze.

- Dobra - Peter spojrzął na zegarek. - Jest prawie jedenasta. I co teraz?

- Jeszcze chwilkę, dobrze?

- Niedobrze. Teraz. Albo to, co pan ma mi do powiedzenia, powie pan mnie oraz policji.

- Dobrze, dobrze. Co tam, u diabła, to tylko parę minut.

Portier sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął kopertę. Podał ją Chancellorowi.

Peter spojrzął na portiera, a potem na kopertę. Była zaadresowana do niego.

Cofnąwszy się bliżej światła rozerwał ją i wyjął list. Mój drogi, Przepraszam za ucieczkę, ale wiedziałam, że mnie nie wypuszczą... Ocaliłeś mi życie, a w pewnym stopniu także zdrowie psychiczne. Zasłużyłeś więc na wyjaśnienie. Obawiam się, że będzie ono tylko częściowe. W chwili, gdy to przeczytasz, będę już siedziała w samolocie. Nie próbuj mnie odnaleźć. To się nie uda. Od dawna mam fałszywy paszport, obawiałam się bowiem, że pewnego dnia mogę go potrzebować. Widać nastąpił ten właśnie dzień.

Dzisiejszego popołudnia, po tym okropnym telefonie informującym mnie, że jestem postacią z twojej powieści, zawiadomiłam moją gazetę, że z przyczyn zdrowotnych prawdopodobnie udam się na dłuższy urlop. Prawdę powiedziawszy, mój redaktor nie bardzo mnie od tego odwodzi. W ostatnich miesiącach nie miałam szczególnie wybitnych osiągnięć dziennikarskich.

Decyzji wyjazdu nie podjęłam nagle. Zastanawiałam się nad tym już od pewnego czasu. Dzisiejsze wydarzenia spowodowały tylko, że stała się faktem. Jakikolwiek były moje wykroczenia, nie zasługiwały na karę śmierci. Na odebranie życia mnie, Tobie, komukolwiek.

Ani nie powinny narażać dobrego imienia mojego zawodu.

Ale to ostatnio nastąpiło. Moja praca została narażona na szwank. Zostały zatajone prawdy, które powinny być głośno wypowiedziane. Utraty życia dało się uniknąć - kto wie, na jak długo? - dzięki Tobie. Nie jestem w stanie wytrzymać tego dłużej.

Dziękuję ci za moje życie. I przyjmij wyrazy najgłębszego żalu za posądzenie Cię, że należysz do czegoś, do czego nie należysz. Jakiś głos wewnętrzny każe mi powiedzieć: na litość boską, porzuć pisanie tej książki! Ale równie silny, drugi głos mówi, że nie w o l n o Ci tego zrobić!

Mój młody, młody człowieku, nigdy więcej o mnie nie usłyszysz. Ale zawsze będzie Ci towarzyszyć częśćka mej miłości. I mojej wdzięczności. Phyllis Peter odczytał list dwukrotnie, starając się uchwycić sens zawarty między wierszami.

Phyllis dobrała sformułowania z namysłem, zrodzonym z niezwykłego strachu. Ale przed czym? Jakie były jej „wykroczenia”? Co mogła takiego popełnić lub czego nie zrobić, co zmusiłoby ją do wyrzeczenia się osiągnięć całego życia? To było czyste szaleństwo!

Wszystko tu było szaleństwem! Co do jednego! I temu trzeba wreszcie położyć kres!

Skierował się do wyjścia. Skądś doleciał go długi brzęczyk. Został przerwany w chwili, gdy położył rękę na szklanej klamce u drzwi. I wtedy usłyszał słowa, którym towarzyszył szmer odsuwanej szyby.

- Pan Chancellor? - zawołała za nim telefonistka, wychyliwszy się z okienka. -

Telefon do pana.

Phyllis? Może zmieniła zdanie! Pobiegł przez hol i wziął do ręki słuchawkę.

To nie była Phyllis Maxwell. To była Alison.

- Wydarzyło się coś okropnego. Telefonował jakiś człowiek z Indianapolis. Odchodził od zmysłów. Dzwonił z lotniska, gdzie czekał na samolot do Waszyngtonu...

- Kto to był?

- Ktoś nazwiskiem Bromley. Powiedział, że cię zabije.

Carroll Quinlan O'Brien z podziękowaniem przejął od strażnika dziennik Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wejście od strony Pennsylvania Avenue było zamknięte, lista nazwisk ludzi wchodzących i wychodzących

Manuskrypt.. sporządzona i przesłana do biura centralnego. W każdej chwili, każda osoba znajdująca się w kompleksie budynków FBI była policzona, nikomu i nigdy nie pozwalano opuścić budynku bez

oddania legitymacji. „A wszystko zaczęło się cztery miesiące temu od zapisów w dzienniku Bezpieczeństwa Wewnętrznego” - pomyślał O'Brien.

Od tej chwili nastąpił jego szybki upadek w Biurze. Cztery miesiące temu odnalazł w dzienniku popołudniowym z pierwszego maja trzy nazwiska: Salter, Krepps i Longworth.

Dwa były nie przydzielonymi nikomu pseudonimami operacyjnymi, trzecie odnosiło się do emerytowanego agenta zamieszkałego na wyspie Maui na Pacyfiku. Tych trzech nieznanymi mężczyzn wpuszczono owej nocy do budynku. A następnego ranka Hoover nie żył i po jego osobistych teczkach nie pozostało ani śladu. Nawet same tecki stały się piekielnym spadkiem, o którym szybko zapomniano i którego nikt nie pragnął ani odnaleźć, ani badać.

Dlatego Quinn O'Brien zaczął po cichu zadawać pytania, radząc się pewnych osób, przekonany, że go wysłuchają, bo ich także to obchodziło. Byli to ludzie z Biura, podobni do niego, których poczucie sprawiedliwości w ostatnich latach obrażano, w większości wypadków nawet bardziej niż jego własne. A przynajmniej dłużej. On bowiem bohater wojenny z Sacramento, środek upiększający wyprodukowany w wojskowym G-2, czterdziestoletni prawnik, który uciekł z więzienia Wietkongu i na którego cześć odbyła się parada w Kalifornii - dostał się tutaj niespełna cztery i pół roku temu. Został wezwany do Waszyngtonu, prezydent własnoręcznie przypiął mu order, Hoover go zatrudnił. To była dobra reklama. Nadawała Biuru tak potrzebną aurę dostojności. Dla Quinna też mogło to się okazać korzystne. W przyszłości mógł liczyć na dobrą pozycję w Departamencie Sprawiedliwości.

Ale to było kiedyś. Teraz już nie. Ponieważ zadawał pytania. Szept w telefonie rozkazał mu przestać. Bezbarwny, okropny, wysoki szept, który oznajmił mu, że wiedzą. Że mają pisemne zeznanie wziętego do niewoli podpułkownika, którego wraz z siedmioma innymi ludźmi spotkała śmierć z powodu działania podjętego przez niejakiego majora Carrolla Quinlana O'Briena. Major złamał jednoznaczny rozkaz. Ośmiu amerykańskich żołnierzy zostało z jego powodu zastrzelonych. Oczywiście to była tylko połowa tej historii.

Była i druga. Mówiła o tym samym majorze, opiekującym się w obozie chorymi i rannymi z o wiele większą troską niż rozstrzelany podpułkownik. Mówiła, jak ów major podejmował się pracy wyznaczonej innym, jak kradł żywność i lekarstwa strażnikom, by utrzymać przy życiu kolegów. Jak, w ostatecznym rachunku, uciekł nie tylko po to, by ratować siebie, ale także, by pomóc pozostałym.

Był prawnikiem, a nie żołnierzem. Kierował się logiką prawnika, a nie regulaminem wojskowym. Ani też żołnierską gotowością godzenia się z przekraczającym ludzką wytrzymałość okrucieństwem wojny. Na tym zresztą, jak sam rozumiał, polegała słabość jego obrony. Czy czynił to dla dobra wszystkich? Czy tylko dla własnego? O'Brien nie był nawet pewien, czy na takie pytania można dać jednoznaczną odpowiedź. Zdemaskowany „bohater wojenny” stawał się bardziej niż ktokolwiek inny człowiekiem godnym pogardy. Publiczność została oszukana, wprawiona w zażenowanie, co musiało doprowadzić ją do wściekłości.

To właśnie jasno wynikało ze słów wypowiedzianych okropnym szepciem. A wszystko dlatego, że zaczął zadawać pytania. Trzech obcych, niemożliwych do zidentyfikowania mężczyzn, przedostało się do Biura w noc poprzedzającą śmierć Hoovera. A następnego ranka tecki Hoovera znikły.

Gdyby O'Brien potrzebował dowodów na to, jak obniża się jego pozycja w Biurze, wystarczyłoby popatrzeć na wykaz przydzielanych mu zadań. Usunięto go z licznych komitetów, przestano umieszczać w rozdzielniku tajnych sprawozdań, odnoszących się do ponownie nawiązanych kontaktów z NRB i CIA. I nagle zaczęto bez przerwy wyznaczać mu nocne dyżury. Nocne dyżury! Dla pracownika w Waszyngtonie było to równoznaczne z przeniesieniem do placówki terenowej w Omaha. Zmuszało agenta do ponownego przemyślenia wielu spraw, a przede wszystkim własnej przyszłości.

O'Briena zaś zmusiło także do zastanawiania się, kto wewnątrz Biura jest jego prześladowcą. Kimkolwiek był, musiał coś wiedzieć o trzech nie zidentyfikowanych mężczyznach, używających fałszywej legendy w celu przeniknięcia do gmachu w noc poprzedzającą śmierć Hoovera.

I było jeszcze coś, co Quinn O'Brien, choć z wielkim niesmakiem, został zmuszony sobie uświadomić. Od chwili gdy cztery miesiące temu usłyszał ów szept przez telefon, opuściła go wola walki, wola obrony. Było więc całkiem możliwe, że tylko sam sobie zawdzięczał utratę pozycji w Biurze. Swoim słabym wynikiem.

Rozmyślenia przerwał mu dzwonek telefonu, przypominający o drobnych realiach nocnego dyżuru. Spojrzał na podświetlony guzik. Było to wezwanie wewnętrzne z jednego z dwóch biur przepustek przy wejściach. - Mówi portiernia z Dziesiątej Ulicy. Mamy problem.

Jest tutaj człowiek, domagający się przyjęcia przez kogoś odpowiedzialnego. Powiedzieliśmy mu, żeby przyszedł rano, ale odmawia.

- Pijany? Czy wariat?

- Tego bym nie powiedział. A prawdę mówiąc, wiem kim jest.

Czytałem jego książkę „Przeciwuderzenie!”. Nazywa się Chancellor. Peter Chancellor.

- Słyszałem o nim. Czego chce?

- Nie chce powiedzieć. Tyle tylko, że sprawa jest alarmowa. - Co o tym myślisz?

- Myślę, że będzie tu sterczał przez całą noc, póki ktoś go nie przyjmie. Myślę, Quinn, że to by dotyczyło ciebie.

- No dobrze. Sprawdź, czy nie ma broni, daj mu eskortę i przyślij do mnie.

ROZDZIAŁ 23

Peter wszedł do gabinetu, kiwnąwszy głową na pożegnanie umundurowanemu strażnikowi, który zamknął za nim drzwi i odszedł. Siedzący za biurkiem pod oknem krępy mężczyzna z rudawoblond włosami wstał i wyciągnął rękę na powitanie. Chancellor podszedł

i ujął jego dłoń. Uścisk był dziwny. Zimny, fizycznie zimny i przelotny.

- Panie Chancellor, jestem starszym agentem, nazywam się O'Brien. Nie muszę chyba wspominać, że pańskie przybycie tutaj o tej godzinie jest w wysokim stopniu niezgodne z przepisami.

- Okoliczności też są niezgodne.

- Czy jest pan pewien, że nie powinien pan zgłosić się do policji? Nasze kompetencje są ograniczone.

- Chcę rozmawiać z wami.

- Czy jest to sprawa tak niecierpiąca zwłoki, że nie może poczekać do rana? - spytał

O'Brien, nadal stojąc.

- Nie może.

- Rozumiem. Więc proszę siadać - agent wskazał jeden z dwóch stojących przed biurkiem foteli.

Peter zawahał się.

- Wolałbym postać przynajmniej w tej chwili. Jestem, prawdę powiedziawszy, bardzo zdenerwowany.

- Jak pan woli. - O'Brien usiadł. - Ale przynajmniej proszę zdjąć palto. Oczywiście, jeśli zamierza pan tu zostać dłuższy czas. - Być może zostanie na całą resztę nocy - odparł

Peter zdejmując płaszcz i rzucając go na oparcie fotela.

- Na pana miejscu nie liczyłbym na to - rzekł przyglądając mu się O'Brien.

- To zależy od pana. Czy tak może być?

- Jestem prawnikiem, panie Chancellor. Wymijające odpowiedzi, szczególnie gdy są formułowane jako pytania, są bezsensowne i irytujące oraz nudne.

Peter zamilkł na chwilę, patrząc na rozmówcę.

- Prawnikiem? Zdawało mi się, że powiedział pan „agentem”. Starszym agentem.

- Powiedziałem. Większość z nas jest prawnikami. Albo księgowymi. - Zapomniałem o tym.

- A ja panu przypomniałem. Ale nie wyobrażam sobie, jakie by to mogło mieć znaczenie.

- Nie, nie ma - odrzekł Chancellor zmuszając się, by powrócić do tematu. - Chcę panu o czymś opowiedzieć, panie O'Brien. Gdy skończę, pójdę z panem do każdego, do kogo pan uzna, że powinienem pójść, i wszystko powtórzę. Ale muszę zacząć od początku, inaczej to nie będzie miało

sensu. Zanim jednak zacznę, muszę poprosić, aby pan wykonał jeden telefon.

- Chwileczkę - przerwał agent. - Przyszedł pan tu z własnej woli i odrzucił naszą propozycję, by powrócić rano na oficjalne spotkanie. Nie przyjmuję żadnych warunków wstępnych i nigdzie nie zatelefonuję. - Proszę pana o to z uzasadnionej przyczyny.

- Jeśli to warunek wstępny, nie jestem zainteresowany. Proszę przyjść rano.

- Nie mogę. Między innymi dlatego, że w tej chwili leci tu człowiek z Indianapolis, który obiecał, że mnie zabije.

- Proszę się zgłosić na policję.

- Czy tylko tyle ma pan do powiedzenia? To oraz „proszę przyjść rano”?

Agent rozparł się w fotelu. W jego wzroku przebijała rosnąca podejrzliwość.

- Napisał pan książkę zwaną „Przeciwuderzenie!”, nieprawdaż? - Tak, ale to nie...

- Teraz sobie przypominam - przerwał O'Brien. - Ukazała się w zeszłym roku. Masa ludzi była zdania, że zawiera ona prawdę, inni czuli się zbulwersowani. Lansował pan w niej tezę, że CIA działa wewnątrz kraju. - Przypadkiem uważam, że to prawda.

- Rozumiem - kontynuował agent, ostrożnie dobierając słowa. W ubiegłym roku szło o Agencję. Czy w tym o FBI? Pakuje się pan tutaj z ulicy w środku nocy, próbując nas sprowokować do zrobienia czegoś, o czym mógłby pan napisać?

Peter chwycił oparcie fotela.

- Nie zaprzeczam, że zaczęło się od książki. Od pomysłu na książkę. Ale wszystko zaszło o wiele dalej. Zabito ludzi. Dziś wieczorem niewiele brakowało, a zostałbym zabity, podobnie jak i towarzysząca mi osoba. To wszystko jest powiązane.

- Powtarzam z całą stanowczością: proszę pójść do policji.

- Chcę, aby to p a n zawiadomił policję.

- Dlaczego?

- Ponieważ chcę, by mi pan uwierzył. Bo to dotyczy ludzi stąd, z Federalnego Biura Śledczego. I uważam, że tylko wy możecie położyć temu kres.

- Kres czemu? - O'Brien pochylił się w stronę Petera, nadal ostrożny, ale już zainteresowany.

Chancellor zawahał się. Musi zrobić wszystko, by ten podejrzliwy mężczyzna uznał

go za człowieka przy zdrowych zmysłach. Jeśli agent pomyśli, że ma do czynienia z wariatem, nawet półwariatem, odeśle go do policji. Peter nie odrzucił wciągnięcia w to policji. Mogła zapewnić ochronę i za to byłby jej wdzięczny. Ale nie mogła rozstrzygnąć sprawy, to leżało tylko w kompetencjach Biura. Przemówił zatem tak spokojnie, jak tylko potrafił:

- Oczywiście kres zabójstwom, to po pierwsze. Po drugie zaś, kres taktyce terroru, wymuszania, szantażu. Niszczy się ludzi. - Kto?

- Ci, którzy uważają, że są w posiadaniu informacji, mogących przynieść FBI szkody nie do naprawienia.

O'Brien nie poruszył się.

- Jakiego rodzaju są te „szkody nie do naprawienia”?

- Opierają się na teorii, że Hoover został zamordowany.

O'Brien zeszywniał.

- Teraz rozumiem ten telefon do policji. Czego ma dotyczyć? - Starego domu przy Trzydziestej Piątej PółnocnoZachodniej, koło Wisconsin, za Dumbarton Oaks. Gdy go opuszczałem kilka godzin temu, stał w ogniu. Ja go podpaliłem.

Agent otworzył szeroko oczy. Przemówił z naciskiem.

- Przyznaje się pan do całkiem grubej sprawy. Jako prawnik zalecałbym...

Nie słuchając zalecenia O'Briena, Peter kontynuował:

- Jeśli policja poszuka, na trawniku przed frontem znajdzie łuski, ślady pocisków w ścianach i stolarce, a także w meblach, oraz wybitą górną część drzwi kuchennych. I do tego przecięty przewód telefoniczny. Agent FBI wpatrywał się w Chancellora.

- Co, u diabła, pan opowiada?

- To była zasadzka.

- Użyto broni palnej w samym środku dzielnicy mieszkaniowej? - Strzelano z tłumikami. Nikt nic nie słyszał. Były przerwy w ostrzale, zapewne z powodu przejeżdżających samochodów. Dlatego pomyślałem o ogniu. Pożar musiał zostać przez kogoś zauważony.

- I opuścił pan to miejsce?

- Uciekłem. Teraz przykro mi z tego powodu.

- Dlaczego pan to zrobił?

Peter znów się zawahał.

- Bałem się... Nie wiedziałem, co robię.

- A osoba, która była z panem?

- To, jak sędzę, też należy do sprawy. - Chancellor przerwał, widząc we wzroku agenta oczywiste pytanie. Ze stu powodów nie mógł jej dalej chronić. Jak sama Phyllis to określiła, jej wykroczenia nie zasługiwały na śmierć. - Nazywa się Phyllis Maxwell.

- Dziennikarka?

- Tak. Uciekła pierwsza. Próbowałem ją znaleźć. Nie udało mi się. - Powiedział pan, że wszystko zdarzyło się przed paru godzinami. Czy pan wie, gdzie ona jest teraz?

- Tak. W samolocie. - Peter sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął list Phyllis.

Niechętnie, ale wiedząc, że musi to zrobić, podał go O'Brienowi. W miarę jak pracownik FBI czytał list, Peter nabierał coraz wyraźniej wrażenia, że z tym człowiekiem coś się dzieje.

Przez chwilę wydawało się, że cała krew odpłynęła mu z twarzy. W pewnym momencie podniósł oczy i spojrzał na Petera. Takie spojrzenie Chancellor dobrze znał, ale nie mógł

zrozumieć, skąd taki wyraz znalazł się u tego obcego człowieka. To był strach.

Skończywszy czytanie agent położył list na biurku zapisaną stroną do dołu, sięgnął po niewielką książeczkę i podniósł słuchawkę. Nacisnął guzik i nakręcił numer.

- Mówi nocny oficer dyżurny FBI, kod alarmowy siedempięćwróbel. Był pożar na Trzydziestej Piątej PółnocnoZachodniej. Koło Wisconsin. Macie tam kogoś?... Możecie mnie połączyć z dowodzącym oficerem? Dziękuję. - O'Brien spojrzał na Petera. Przemówił

szorstko, nie w formie zaproszenia, lecz rozkazu. - Proszę siadać!

Chancellor podporządkował się. Pomimo rozkazującego tonu, dziwny strach, który poprzednio dostrzegł w oczach agenta, teraz jakby wyczuł w jego głosie.

- Sierzancie, mówi FBI - O'Brien przełożył słuchawkę do prawej ręki. Peter ze zdumieniem zauważył, że lewa dłoń, którą przed chwilą trzymał telefon, jest mokra od potu. -

Podano wam moje upoważnienie. Chcę zadać parę pytań. Czy wiadomo w jaki sposób powstał pożar i czy są jakieś ślady ostrzału? Łuski po pociskach na zewnątrz lub ślady kul w środku?

Agent słuchał z oczami wlepionymi w biurko. W istocie nie patrzył na nic konkretnego, ale na jego twarzy malowało się wielkie napięcie. Osłupiały Chancellor nie spuszczał z niego wzroku. Na czoło

O'Briena wystąpiły kropelki potu. Bezmyślnie, wstrzymując oddech/agent FBI podniósł lewą dłoń i otarł pot. Gdy się wreszcie odezwał, jego głos był ledwie słyszalny.

- Dziękuję, sierzancie. Nie, to nie nasza sprawa. Nic o tym nie wiemy, sprawdzamy tylko anonimowy donos. Nie będziemy się w to mieszać. O'Brien odwiesił słuchawkę. Był

głęboko wstrząśnięty. W jego oczach pojawił się smutek.

- Na podstawie śladów stwierdzono - powiedział - że ogień został podłożony umyślnie. Znalaziono resztki materiału nasyconego naftą. Na trawniku były łuski, okna rozbito strzałami i są wszelkie powody, by przypuszczać, że wewnątrz domu, a w każdym razie w tym, co z niego zostało, są jeszcze pociski. Wszystko trafi wkrótce do laboratorium.

Peter pochylił się. Coś tu się nie zgadzało.

- Dlaczego pan powiedział sierżantowi, że o niczym nie wie? Agent przełknął ślinę.

- Bo chcę najpierw wysłuchać pana. Wspomniał pan, że to dotyczy Biura. Jakaś wariacka teoria, że Hoover został zamordowany. To mi wystarczy. Jestem zawodowcem.

Chcę być pierwszym, który to usłyszy. Zawsze mogę po raz drugi zadzwonić do tego komisariatu.

O'Brien powiedział to wszystko bezbarwnym, spokojnym tonem. „Wyjaśnienie jest rzeczowe” - pomyślał Chancellor. Wszystko, czego się dowiedział na temat Biura, wskazywało, że najważniejsza jest dla niego dobra opinia. Unikanie za wszelką cenę kłopotliwych sytuacji. Ochrona Siedziby Władzy. Przypomniał sobie słowa Phyllis Maxwell.

Tej historii nigdy nie opowiedziano. I nie sędzę, by to kiedykolwiek miało nastąpić... Biuro go obroni... Następcy tronu nie pozwolą, by jego obraz został zbrukany. Boją się, że zaraza przeniesie się na potomstwo i naprawdę bać się tego powinni.

„Tak” - pomyślał Chancellor. „O'Brien pasuje do tego obrazu. A odpowiedzialność ponosi największą, bo pierwszy usłyszał niezwykle nowiny. Coś gniło w Biurze, a ten agent musi zanieść wiadomość o zgniliźnie do swych przełożonych. Dylemat, w jakim się znalazł, był całkowicie zrozumiały: często za katastrofę obwiniano tych, którzy przynosili o niej wiadomość, a zaraza mogła się mimo wszystko już przenieść na potomstwo. Nic dziwnego, że ten zawodowiec siedział cały spocony”.

Ale to, co nastąpiło potem, przekroczyło najśmielsze wyobrażenia Petera.

- Wracając zaś do początku - powiedział Chancellor - cztery czy pięć miesięcy temu byłem na Zachodnim Wybrzeżu, mieszkałem w Malibu. Było późne popołudnie, a z plaży jakiś człowiek obserwował mój dom. Wyszedłem i zapytałem go, czemu to robi. Znał mnie, przedstawił się jako Longworth.

O'Brien podskoczył w fotelu i gwałtownie pochylił do przodu. Z jego ust wydobył się ledwie dosłyszalny szept:

- Longworth?

- Tak, Longworth. A więc pan wie, o kogo chodzi.

- Dalej - przynaglał agent.

Peter domyślał się przyczyn szoku O'Briena. Alan Longworth zdradził Hoovera, zdezerterował z Biura. Jakoś się tego dowiedziano. Hoover nie żył, a dezertor był po drugiej stronie kuli ziemskiej, plamę zmyto. I teraz starszy agent O'Brien miał zanieść przełożonym wiadomość, że zaginiony Longworth znów wypłynął. Chancellorowi zrobiło się dziwnie żal tego starzejącego się zawodowca.

- Longworth powiedział, że chce ze mną rozmawiać, ponieważ czytał moje książki.

Miał do opowiedzenia pewną historię i uważał, że na ten temat też mogę napisać książkę.

Powiedziałem mu, że nie poszukuję tematów. A wtedy złożył mi niezwykle oświadczenie na temat śmierci Hoovera, wiążąc ją z jakimś prywatnym, zaginionym archiwum dyrektora.

Zażądał, bym sprawdził jego tożsamość. Miałem takie możliwości, a on o tym wiedział.

Wiem, że to zabrzmie głupio, ale chwyciłem przynętę. Bogu wiadomo, że nie uwierzyłem w to wszystko, Hoover był starcem od dawna chorym na serce. Ale zafascynował mnie pomysł. A fakt, że Longworth zadał sobie tyle trudu, by...

O'Brien wstał. Stanął za biurkiem patrząc z góry na Petera płonącymi oczami.

- Longworth. Teczki. Kto pana do mnie przysłał. K i m pan jest? Kim, u diabła, ja jestem dla pana?

- Co?

- Spodziewa się pan, że w to uwierzę? Pojawia się pan w środku nocy, prosto z ulicy, by mi to opowiedzieć? Na litość boską, czego pan chce ode mnie? Czego jeszcze pan chce?

Chancellor osłupiał.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi! Nigdy w życiu pana nie widziałem.

- Salter i Krepps! No, dalej, mów pan! Salter i Krepps! Oni też tam byli!

- Kim są Salter i Krepps? I gdzie byli?

- Wiesz, gdzie byli. - O'Brien odwrócił się. Oddychał gorączkowo. Nie przydzielone pseudonimy

operacyjne. Longworth na Hawajach. - Mieszka na Manui - zgodził się Peter. -

Zapłacono mu w ten sposób. Tamtych dwóch nazwisk nie znam. Czy oni pracowali z Longworthem?

O'Brien stał sztywno, bez ruchu. Zmrużywszy oczy z wolna odwrócił się do Chancellora.

- Pracowali z Longworthem? - spytał głosem niewiele głośniejszym od szeptu. - Co chcesz powiedzieć przez: „pracowali z Longworthem”? - Właśnie to. Longworth został

przeniesiony z Biura. Fikcyjnie został zatrudniony przez Departament Stanu. Ale to nie była prawda, a tylko pozór, by go wynagrodzić. Tego już się dowiedziałem. Natomiast zdumiewa mnie, że wy tutaj w ogóle wiecie o Longworcie.

Starszy agent nadal w milczeniu wpatrywał się w Petera. Jego przerażone oczy otworzyły się szerzej.

- Jesteś czysty...

- Co?

- Jesteś czysty. Włazisz tu prosto z cholernej ulicy i jesteś czysty! - Co to znaczy, że jestem czysty?

- Bo inaczej nie powiedziałabyś mi tego, co właśnie powiedziałaś. Byłbyś szaleńcem.

Wynagrodzenie pod fikcyjną pokrywką, która do tego jest nieprawdą. Przez Departament...

O, Chryste! - O'Brien sprawiał wrażenie człowieka w głębokiej hipnozie, zdającego sobie sprawę ze swego stanu, lecz nie umiejącego z niego wyjść. Oparł się o biurko, przyciskając obie dłonie do blatu. Zamknął oczy.

Peter się przeraził.

- Może lepiej zaprowadzisz mnie do kogoś innego...

- Nie. Zaczekaj chwilę. Proszę.

- Jestem przeciwnego zdania. Sam powiedziałaś, że to nie twoja sprawa. Chcę rozmawiać z jakimś innym oficerem na nocnym dyżurze. - Nie ma nikogo innego.

- Powiedziałaś przez telefon...

- Wiem, co powiedziałem. Postaraj się zrozumieć. Musisz rozmawiać ze mną. Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz. Wszystkie szczegóły! „Za nic” - pomyślał Peter. Nie będzie ani słowa o Alison, nikt jej tu nie wplącze. Nie był też pewien, czy chce dalej rozmawiać z tym niezrozumiałe wstrząśniętym człowiekiem.

- Chcę, żeby inni usłyszeli to, co mam do powiedzenia.

O'Brien zaczął mrugać. Przełamał hipnozę. Szybkim krokiem podszedł do półki w drugim końcu pokoju, wyciągnął magnetofon kasetowy i wrócił do biurka. Usiadł, otworzył

dolną szufladę. Gdy podniósł rękę, miał w dłoni plastikowe pudełeczko z kasetą.

- Opakowanie jest nietknięte, taśma nie używana. Jeśli chcesz, mogę ją przegrać. -

Otworzył paczuszkę, wyjął kasetę i włożył do aparatu. Masz na to moje słowo. Inni usłyszą to, co masz do powiedzenia. - Nagranie nie wystarczy.

- Musisz mi zaufać - oświadczył O'Brien. - Cokolwiek byś myślał o moim zachowaniu sprzed paru minut, musisz mi zaufać. Możesz jedynie opowiedzieć do magnetofonu wszystko, co wiesz. I nie wymieniasz swego nazwiska. Powiedz, że jesteś pisarzem, i to wystarczy. Podaj wszystkie inne nazwiska, których sprawa dotyczy, z wyjątkiem tych ludzi, którzy są związani z tobą prywatnie lub zawodowo... Jeśli to będzie niemożliwe, jeśli te osoby są istotne dla sprawy, podnieś rękę. Zatrzymam taśmę i omówimy to. Czy wszystko jasne?

- Nie - Chancellor się zbuntował. - Teraz ty trochę poczekaj. Nie po to tu przyszedłem.

- Przyszedłeś, aby temu położyć kres! Sam to powiedziałaś. Położyć kres morderstwom, terrorowi, szantażowi. A ja chcę tego samego! Nie jesteś jedynym, którego przyparto do zasranej ściany! Ani ta Maxwell, ani ż a d n e z was. Chryste Panie, ja mam żonę i dzieci! Peter cofnął się, uderzony słowami O'Briena.

- Co ty powiedziałaś?

- Mam rodzinę - na wpół świadomie agent zniżył głos. - Ale to nieważne, możesz o tym zapomnieć.

- A ja myślę, że to bardzo ważne - odparł Peter. - Nie potrafię ci opisać, jakie to w tej chwili dla mnie ważne.

- Daj sobie z tym spokój - przerwał O'Brien. Nagle znów stał się zawodowym agentem śledczym. - Bo to ja teraz mówię. Zapamiętaj, co powiedziałem: nie zdradzaj swego nazwiska, ale wymień wszystkich, którzy się z tobą skontaktowali lub zostali do ciebie przysłani; ludzi, których przedtem nie znałeś. Pozostałe nazwiska podaj mi później, ale nie do magnetofonu. Nie chcę, abyś został wykryty. Mów powoli i myśl, o czym mówisz. Jeśli będziesz miał jakiegokolwiek wątpliwości, spójrz na mnie, zrozumieć. Teraz zaczynam nagranie. Daj mi chwilę na przedstawienie się i podanie okoliczności.

O'Brien nacisnął dwa guziki na małym magnetofonie i przemówił twardym głosem.

- Ten zapis został sporządzony przez starszego agenta C. Quinlana O'Briena, upoważnienie służbowe siedemnaściedwanaście, w nocy osiemnastego grudnia, w przybliżeniu o godzinie dwudziestej

trzeciej. Człowiek, którego teraz usłyszycie, został

przyprawiony do gabinetu dyżurnego nocnego. Wymazałem jego nazwisko z dziennika kontroli wejść i poinstruowałem agenta w biurze przepustek, działając na podstawie wyżej wymienionego upoważnienia, że ma mnie informować o wszelkich zapytaniach na ten temat.

- O'Brien przerwał, wziął ołówek i zanotował coś w bloku. - Jestem zdania, że informacje zawarte w tym nagraniu mają najwyższy stopień tajności i ze względu na bezpieczeństwo Biura nie zgodzę się na czyjąkolwiek ingerencję w tę sprawę. W pełni jestem świadom, że postępuję nieregularnie i z przyczyn osobistych przyjmuję za to pełną odpowiedzialność.

Agent zatrzymał magnetofon i spojrzał na Petera.

- Gotów? Zaczynaj od tego lata. Od Malibu i twego spotkania z Longworthem. -

Nacisnął guzik, taśma ruszyła.

Ciągle odczuwając cień nieufności Chancellor rozpoczął swoją opowieść. Mówił powoli, starając się zastosować do instrukcji człowieka, który nagle i w dziwny sposób okazał się dobrze znany. Człowieka, który po części został w jakiś sposób przez niego wymyślony.

C. Quinlan O'Brien. Alexander Meredith. Prawnik. Prawnik. Biuro. Biuro. Żona i dzieci...

Żona i dzieci...

Przerażony człowiek.

W miarę jak Peter opowiadał, agent był coraz bardziej zdumiony i zdenerwowany. A kiedy Chancellor wspominał o osobistych teczkach Hoovera, O'Brien sztywniał i zaczynały drżeć mu ręce.

Gdy Peter doszedł do podanego mu przez Phyllis opisu okropnego, wysokiego szeptu w telefonie, O'Brien już nie potrafił ukryć swej reakcji. Chwycił głęboko powietrze, odrzucił

głowę do tyłu i zamknął oczy. Peter przerwał, taśma obracała się nadal. Zapadła cisza.

O'Brien otworzył oczy, patrząc w sufit. Powoli zwrócił wzrok na Chancellora. - Mów dalej - powiedział.

- Niewiele więcej zostało. List czytałeś.

- Tak. Tak, czytałem list. Opisz, co nastąpiło. Ostrzał, pożar. I dlaczego uciekłeś.

Peter zastosował się do poleceń. I wtedy wszystko się skończyło. Powiedział

wszystko. Lub prawie wszystko. Nie wymienił Alison. O'Brien zatrzymał magnetofon, cofnął taśmę na kilka sekund i sprawdził czystość nagrania, odtworzywszy ostatnie słowa.

Zadowolony z wyniku zatrzymał aparat.

- Dobra. Podałeś te informacje, które chciałeś podać. A teraz opowiedz mi resztę.

- Co?

- Prosiłem, byś mi zaufała, ale nie wyjawiałaś wszystkiego. Pisałaś w Pensylwanii i nagle pojechałaś do Waszyngtonu. Dlaczego? Zgodnie z twoimi słowami, dokumentacja była skompletowana. Uciekłaś z płonącego domu na Trzydziestej Piątej Ulicy prawie pięć godzin temu. Dwie godziny temu wszedłaś tutaj. Gdzie się podziewałaś przez pozostałe trzy?

Zapełnij luki, Chancellor. One są ważne.

- Nie. To nie wchodziło w zakres naszej umowy.

- Umowy o co? O ochronę? - O'Brien ze złością wstał z miejsca. Ty ciężki głupcze, jak mogę ci zaproponować ochronę, gdy nie wiem, kogo mam ochraniać? I nie oszukuj sam siebie, po to się umawiałaś, by tę ochronę uzyskać. A ponadto mnie, czy komukolwiek, kto by tego naprawdę chciał, ustalenie każdego twego kroku od chwili, gdy opuściłaś Pensylwanię, zabierze w przybliżeniu godzinę.

Logika tej wypowiedzi była niepodważalna. Chancellor poczuł się jak nieudolny amator stojący twarzą w twarz z zahartowanym zawodowcem. - Nie chcę, by ją w to mieszano. Żądam, byś mi dała na to słowo. Dosyć już przeżyła.

- Tak jak my wszyscy - odparł O'Brien. - Czy do niej telefonowano? - Nie. Ale do ciebie owszem, prawda?

- To ja zadaję pytania. - Agent usiadł na swym miejscu.

Opowiedz mi o niej.

Peter opowiedział mroczną, smutną historię generałporucznika Bruce'a MacAndrewa, jego żony i córki, zmuszonej przedwcześnie, by stała się dorosła. Opisał samotny dom przy wiejskiej drodze w Marylandzie. I słowa nakreślone krwawoczerwoną farbą na ścianie: Mackie Majcher. Morderca z Chasongu.

Quinn O'Brien zamknął oczy i cicho powiedział:

- Han Czou.

- Czy to w Korei?

- Inna wojna. Ale taki sam sposób szantażu: raporty wojskowe, które nigdy nie dotarły do Pentagonu. A gdy nawet docierały, były usuwane. Lecz teraz ma je ktoś inny.

- Czy masz na myśli teczki Hoovera? - Peterowi zaparło dech. O'Brien wpatrywał się w niego milcząco. Chancellor poczuł się zupełnie rozbity. To było czyste szaleństwo.

- Zostały pocięte - szepnął Chancellor. Nie był już pewien własnego zdrowia psychicznego. - Zostały zniszczone! Co ty, u diabła, próbujesz mi wcisnąć? Przecież to jest powieść! Absolutna fikcja! Musisz bronić waszego przeklętego Biura! Ale nie t e g o! Nie teczek!

O'Brien

wstał,

podnosząc uspokajającym gestem dłoni, niczym ojciec

rozhisteryzowanego dziecka.

- Nie przejmuj się aż tak. Nie wspomniałem w ogóle o teczkach Hoovera. Wiele przeszedłeś tej nocy i robisz nieuzasadnione przypuszczenia. Na sekundę zrobiłem to samo, ale myliłem się. Dwóch odrębnych wypadków, odnoszących się do raportów wojskowych, nie można zaraz uważać za pozostające w związku. Te teczki zostały zniszczone. Wiemy o tym.

- Co to jest Han Czou?

- Nieistotne.

- Minutę temu byłeś przeciwnego zdania.

- Minutę temu wiele myśli przeleciało mi przez głowę. Ale teraz sprawa jest jasna.

Masz słuszość. Ktoś się tobą posługuje. Oraz mną i zapewne paroma tuzinami innych, by rozbić Biuro. Ktoś, kto zna nas i nasz sposób działania. Bardzo prawdopodobne, że jest jednym z nas. I to nie byłoby po raz pierwszy.

Peter nie spuszczał agenta z oczu. Od chwili śmierci Hoovera pojawiły się plotki, niektóre odnotowane w gazetach, że wewnątrz Biura walczą ze sobą różne kliki. A inteligencja i szczerść Quinna były przekonujące. - Przepraszam - powiedział. -

Przestraszyłeś mnie na śmierć. - Masz wszelkie prawo, by się bać. O wiele większe niż ja. Do mnie nikt nie strzelał. - O'Brien uśmiechnął się uspokajająco. - Ale z tym już koniec. Znajdę ludzi, którzy będą cię pilnować dzień i noc. Chancellor słabo uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Mam nadzieję, że wybierzesz najlepszych, jakich masz. I nie wstydę się przyznać, że nigdy w życiu tak się nie bałem. Uśmiech znikł z twarzy O'Briena.

- Nie będą to ludzie Biura.

- O? Czemu nie?

- Nie wiem, komu można ufać.

- Z tego wynika, że wiesz, iż są tu tacy, którym ufać nie możesz. Ktoś określony?

- Więcej niż jeden. Tu jest całe stado ekstremistów. Znamy niektórych z nich. Nie wszystkich. Określa się ich, nie całkiem ściśle, jako Grupę Hoovera. Gdy umarł, spodziewali się, że przejmą kierownictwo Biura. To im się nie udało i są wściekli. Niektórzy z nich są takimi samymi paranoikami, jakim był Hoover.

Chancellor znowu uderzyły słowa O'Briena. Potwierdzały bowiem jego przypuszczenia. Wszystko, co się zdarzyło, począwszy od Malibu przez Rockville aż do starego domu przy Trzydziestej Piątej Ulicy, było skutkiem ostrych walk wewnętrznych w FBI. I przy tym wypłynął Longworth. - Zawarliśmy umowę - przypomniał. - Chcę ochrony.

Dla dziewczyny i dla mnie także.

- Będziesz ją miał.

- Skąd? Kogo?

- Wspomniałeś o sędzi Sutherlandzie. Parę lat temu oddał wielkie usługi przy naprawianiu zerwanych więzi między Biurem i resztą agencji wywiadowczych. Hoover przeciął przepływ informacji do CIA i NRB. - O tym wiem < przerwał spokojnie Peter. -

Napisałem książkę na ten temat.

- Masz na myśli „Przeciwuderzenie!”, prawda? Chyba powinienem to przeczytać.

- Przyślę ci egzemplarz. Ty mi przyslesz ochronę. Powtarzam: kogo i skąd?

- Istnieje człowiek nazwiskiem Varak. Człowiek Sutherlanda. Ma wobec mnie zobowiązania.

O'Brien upadł na fotel. Odrzucił głowę do tyłu, oddychając szybko i nierówno, jakby nie potrafił dać płucom tyle powietrza, ile wymagały. Gdy ukrył twarz w dłoniach, poczuł, jak drżą mu palce.

Nie był pewien, czy potrafi to wytrzymać. Przez ostatnie dwie godziny miewał chwilami wrażenie, że wariuje.

Podczas ostatnich minut rozmowy zaraził się paniką, w jaką wpadł literat.

Równocześnie pojął, że Chancellora trzeba trzymać pod kontrolą, że nie można pozwolić, by poznał prawdę.

Teczki Hoovera nie zostały zniszczone, a Quinn wiedział o tym. To przynajmniej było pewne. A okazało się, że wie o tym ktoś jeszcze. Ile osób? Ile było rozmów telefonicznych?

Do ilu dotarł ten okropny, wysoki szept? Zmarły generał, zamordowany kongresman, dziennikarka, która znikła - ilu jeszcze?

Świat nie był już taki jak dwie godziny temu. Rewelacje Petera Chancellora oznaczały, że trzeba szybko brać się do roboty, a O'Brien z wielką ulgą poczuł się znów do tego zdolny.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Ale Stefan Varak był nieosiągalny.

Gdzie był Varak? Jakie zadanie mogło spowodować, że agent NRB nie miał kontaktu z Biurem? A szczególnie kontaktu z nim? Przecież byli przyjaciółmi. Dwa lata temu Quinn odważył się dla Varaka na ogromne ryzyko. Przekazał mu informacje personalne, które Hoover utajnił. To mogło kosztować O'Briena karierę.

A teraz Varak był potrzebny jemu. Ze wszystkich ludzi w agencjach wywiadu państwowego Varak był najlepszy. Jego umiejętności, a choćby sama liczba i zasięg jego kontaktów, były niezwykle. Quinn chciał, aby on przede wszystkim przesłuchał taśmę Chancellora. Varak będzie wiedział, co należy uczynić.

Na razie pisarzowi dano ochronę tymczasową. Jego nazwisko zostało wymazane z raportów dziennych Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wszelkie zapytania na jego temat skierowano do O'Briena. W CIA było paru ludzi, którym Quinn przekazywał kopie informacji w okresie, gdy Hoover tego zakazał. Gdy O'Brien powiedział im, że człowiekiem potrzebującym ochrony jest autor „Przeciwwuderzenia!”, byli cholernie bliscy odmowy. Ale oczywiście nie odmówili. Rozsądni ludzie w najbardziej nierozumnym z zawodów muszą sobie pomagać. W przeciwnym bowiem razie kierownictwo przejmą ludzie nierozsądni, a to doprowadzi do katastrofy. A może już przejęli. Może katastrofa już nastąpiła.

ROZDZIAŁ 24

Konwojent FBI dostarczył przesyłkę do holu hotelu HayAdams. Przesyłką był

Chancellor. Został pokwitowany kiwnięciem głowy wraz ze słowami: „Okay... Dobranoc.” grzecznie wypowiedzianymi przez człowieka z Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Nazywam się Chancellor - powiedział głupawo Peter w windzie, próbując nawiązać rozmowę z tym nieznajomym, który na ochotnika podjął się go chronić.

- Wiem - odpowiedział człowiek. - Czytałem pańską książkę. Niezłe się pan po nas przejechał.

Nie było to najserdeczniejsze z możliwych pozdrowień.

- Nie miałem takiego zamiaru. Mam kilku przyjaciół w CIA. - Chce się pan założyć?

To także nie podnosiło na duchu.

- Z Indianapolis leci tu człowiek nazwiskiem Bromley.

- Wiemy. Ma sześćdziesiąt pięć lat i jest słabego zdrowia. Na lotnisku w Indianie miał

przy sobie broń. Ma pozwolenie, więc powinna mu zostać zwrócona na terminalu National, ale nie będzie. Zaginie. - Może kupić inną.

- Wątpliwe. O'Brien posłał za nim człowieka.

Dotarli do właściwego piętra, drzwi windy rozsunęły się. Agent CIA zatrzymał Petera w kabinie ręką i wyszedł pierwszy, trzymając dłoń w kieszeni płaszcza. Zlustrował korytarz, odwrócił się i przyzwalająco skinął głową.

- A co będzie rano? - spytał Peter wychodząc z windy. - Bromley może wejść do pierwszego lepszego sklepu z bronią palną... - Z pozwoleniem z Indianapolis? Żaden kupiec nie sprzeda mu broni. - Niektórzy mogą. Są sposoby.

- Są jeszcze lepsze, by temu zapobiec.

Doszli do drzwi apartamentu. Funkcjonariusz CIA wyjął prawą dłoń z kieszeni, trzymał w niej niewielki pistolet. Lewą ręką odpiął środkowe guziki płaszcza i ukrył broń.

Peter zapukał.

Usłyszał podbiegającą Alison. Otworzyła drzwi i zrobiła ruch, by rzucić mu się w ramiona, ale widok obcego ją zatrzymał.

- Alison, to jest... Przepraszam, nie znam pana nazwiska... - Dziś nie mam żadnego -

odpowiedział agent, skinąwszy głową Alison. - Dobry wieczór, panno MacAndrew.

- O?! - Alison ze zrozumiałych powodów była zdziwiona.

Proszę wejść.

- Nie, dziękuję. - Agent spojrzał na Petera. - Będę przez cały czas na korytarzu. Mój zmiennik przyjdzie o ósmej rano, więc muszę pana obudzić i z nim zapoznać.

- Będę już na nogach.

- Świetnie. Dobranoc.

- Chwileczkę... - Peterowi przyszło coś do głowy. - Jeśli Bromlej się pokaże, a pan będzie miał pewność, że nie jest uzbrojony, może powinienem z nim pomówić? Nie znam go.

Nie wiem, z jakiego powodu na mnie poluje.

- Jak pan zechce. Rozgrywajmy to na nosa. - Zamknął drzwi. , - Tak długo cię nie było! - Alison objęła go mocno, przytuliwszy twarz do jego policzka. - O mało nie zwariowałam.

Przytrzymał ją łagodnie.

- Z tym już koniec. Nikt już nie będzie wariował. Już nikt więcej. - Powiedziałaś im wszystko?

- Tak. - Odsunął ją, by móc widzieć jej twarz. - Wszystko. O twoim ojcu także.

Musiałem. Człowiek, z którym rozmawiałem wyczuł, że coś ukrywam. Oświadczył bez ogródek, że może ustalić każdy nasz ruch. Nie musieliby daleko szukać, wystarczyłoby na drugim brzegu rzeki, w Pentagonie.

Skinęła głową i trzymając go za rękę poprowadziła do salonu. - Jak się czujesz?

- Świetnie. Ulżyło mi. Może drinka?

- Mój mężczyzna wrócił z pracy. Ja je przygotuję - powiedziała, zмирzając do baru z zapasami dostarczonymi przez hotel. Peter zwałił się bezwładnie na fotel, wyciągając nogi.

- Właśnie chciałam cię zapytać - rzekła Alison nalewając whisky i otwierając pojemnik z lodem - czy zawsze i wszędzie masz tak zaopatrzonego bar? Przecież aż tyle nie pijesz.

- Parę miesięcy temu piłem aż tyle - Chancellor roześmiał się. „Dobrze jest to sobie przypomnieć, gdy wszystko się zmieniło” pomyślał. - A odpowiadając na twoje pytanie, jest to słabość, która pojawiła się z pierwszą dużą zaliczką. Przypomniały mi się filmy. Pisarze zawsze mieli w hotelach ekstrawaganckie bary i paradowali w bonzurkach. Nie mam bonzurki.

Tym razem roześmiała się Alison. Przyniosła drinki i usiadła w fotelu naprzeciw niego.

- Kupię ci na Gwiazdkę.

- Na następną Gwiazdkę - odparł patrząc jej w oczy. - Na tę daj mi zwykłą złotą obrączkę. Pasującą na trzeci palec mojej lewej ręki. Tak samo, jak będzie pasowała twoja.

Alison wypięła łyk ze szklanki i spojrzała w bok.

- To, co powiedziałam parę godzin temu, mówiłam poważnie. Nie żądam żadnych zobowiązań.

Chancellor spojrzał na nią zaniepokojony. Odstawił szklankę i podszedł do niej.

Uklęknął obok i pogłaskał po twarzy.

- I co mam teraz powiedzieć? Dziękuję pani, panno MacAndrew, za parę miłych chwil? Tego nie powiem i nawet nie chcę o tym myśleć. I nie sądzę także, byś ty to potrafiła.

Popatrzyła na niego bolesnym wzrokiem.

- Jest tyle rzeczy, których o mnie nie wiesz.

Peter uśmiechnął się.

- Jakich? Jesteś córką pułku? Kurwą dwunastego batalionu? Dziewicą nie jesteś, ale tamto także nie pasuje. Nie jesteś w tym typie. Zbyt cholernie niezależna.

- Zbyt szybko oceniasz.

- Dobrze! Cieszę się, że tak uważasz. Jestem bardzo stanowczy, cecha, której mi wyraźnie przez długi czas brakowało... nim cię poznałem.

- Byłeś rekonwalescentem po bardzo bolesnym doświadczeniu. Ja byłam pod ręką. I także po uszy w kłopotach.

- Dzięki, madame Freud. Ale widzisz, ja wyzdrowiałem i ja jestem stanowczy.

Spróbuj to wypróbować. Wiem, że w tym roku małżeństwo nie jest modne, jest takie mieszczańskie. - Przynął się do niej bliżej. - Ale, uważasz, obstaję przy tym, co ci wcześniej powiedziałem. Wierzę w małżeństwo i chcę być z tobą przez resztę życia. Jej oczy napelniły się łzami. Potrząsnęła głową, przytrzymując jego twarz.

- Ach, Peter, gdzieś ty się podziewał przez tyle lat?

- W innym życiu.

- Ja też. Jak brzmi ten głupi wiersz? Wejdz do mego domu i bądź mą miłością.

- Marlowe. Nie taki głupi.

- Więc wejdę do twego domu, Peter. I będę twoją miłością. Tak długo, jak oboje będziemy tego chcieli. Ale nie wyjdę za ciebie za mąż.

Cofnął się, znów zaniepokojony.

- Ale ja chcę więcej.

- Więcej dać ci nie mogę. Przepraszam.

- Wiem, że możesz! Czuję to! Tak całkowicie, tak podobnie jak... Przerwał.

- Jak ona? Jak twoja Cathy?

- Tak. Tego się nie wyprę.

- Nie chcę, byś się kiedykolwiek wypierała. Być może przeżyjemy coś równie pięknego. Ale nie małżeństwo.

- Dlaczego?

- Bo małżeństwo oznacza... Nie mogę mieć dzieci, Peter - łzy potoczyły się po jej policzkach.

Coś dawała do zrozumienia i Chancellor zrozumiał. Ale nie był pewien, co.

- Za daleko wybiegasz w przyszłość. Nie myślałem ani na tak, ani na nie o... - nagle pojął. - Chodzi o twoją matkę. O jej chorobę umysłową.

Alison zamknęła oczy, łzy płynęły jej nadal.

- Najdroższy, postaraj się zrozumieć.

Peter nie ruszył się z miejsca. Pozostał przy jej boku i zmusił ją, by na niego popatrzyła.

- Posłuchaj. Ja rozumiem coś więcej. Nigdy nie uwierzyłaś w to, co ci powiedziano, co powiedział ci ojciec. Że choroba twojej matki była wynikiem utonięcia. Nigdy nie przyjęłaś tego wytłumaczenia. Dlaczego?

Patrzyła na niego smutnym wzrokiem.

- Nie byłam pewna. Nie jestem pewna. To straszne, straszne. - Dlaczego nie byłaś pewna? Z jakiego powodu ojciec miałby cię okłamać?

- Nie wiem! Znałam go tak dobrze, każdy odcień jego głosu, każdy gest. Opowiedział

mi tę historię chyba z pięćdziesiąt razy, zawsze z wielkim naciskiem, jakby chciał, bym ją pokochała tak, jak on ją kiedyś kochał. Ale w tym był zawsze jakiś fałsz, czegoś brakowało.

Wreszcie rozumiałam. Była po prostu obłąkana. Choroba umysłowa wystąpiła u niej z przyczyn wrodzonych. Wrodzonych. A on nie chciał, bym się o tym kiedykolwiek dowiedziała. Czy. teraz rozumiesz?

Peter ujął ją za rękę.

- Mógł ukrywać przed tobą coś innego.

- Co? Czemu miałby...?

Zadzwoił telefon. Peter spojrział na zegarek. Było już po trzeciej rano. Któż, u diabła, mógł do niego dzwonić o tej porze? Musiał to być O'Brien. Podniósł słuchawkę.

- Myślałeś, że mnie zatrzymasz, ale ci się nie udało! - Głos w telefonie był piskliwy, oddech ciężki.

- B r o m l e y?

- Ty bydlaku. Ty zgniłku, parszywy łajdaku! - Teraz było słychać, że mówi starzec.

Był to histeryczny głos starego człowieka. - Bromley, gdzie jesteś? Co ja ci zrobiłem? Nigdy w życiu cię nie spotkałem!

- To nie było potrzebne, prawda? Nie musisz znać kogoś, by go zniszczyć. Albo ją.

Zniszczyć dziecko! I jej dzieci!

Phyllis Maxwell użyła tego samego słowa. Zniszczyć. Czy Bromley miał na myśli Phyllis? Czy mówił o niej? Niemożliwe, nie miała dzieci. - Przysięgam, że nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ktoś ci nakłamał. Kłamano też innym.

- Nikt nie kłamał. Przeczytali mi! Wykopałeś akta sądowe, akta poufne, orzeczenia psychiatryczne. Wszystko to przepisałeś, każdy brud! Podałeś nasze nazwiska, gdzie mieszkamy, gdzie ona mieszka! - To wszystko nieprawda! Nie użyłem żadnych akt sądowych ani orzeczeń psychiatrycznych! Nie ma nic podobnego w moim rękopisie! Nie mam najbłedszego pojęcia, co to wszystko znaczy!

- Łajdak. Kłamca. - Starzec wypluł te słowa z nienawiścią. Uważasz mnie za głupiego? Myślisz, że nie dali mi dowodów? Odpowiadałem w życiu za druk tysięcy oficjalnych dokumentów. Bromley wybuchnął. - Podano mi numer i sprawdziłem ten numer i zadzwoniłem pod ten numer! Drukarnia Bedford! Rozmawiałem z drukarzem. Przeczytał mi, co napisałeś! Co składał tydzień temu! Peter osłupiał. Bedfordowi jego wydawca zlecał druk swoich książek. - To wykluczone! Rękopisu nie ma u Bedforda. I nie może być. Jeszcze daleko do jego ukończenia!

Nastąpiła chwila przerwy. Chancellor mógł mieć tylko nadzieję, że przekonał starca.

Ale następne słowa Bromley a przekonały go, że tak nie jest.

- W kłamstwie idziesz na całego! Publikacja wyznaczona jest na kwiecień. Twoje książki zawsze ukazują się w kwietniu.

- Nie na ten rok.

- Twoja książka jest już wydrukowana. A ja nie dbam już o nic. Nie wystarczyło ci, żeś mnie zniszczył. Teraz wzięłeś się za nią. Ale ja ci zamknę usta, Chancellor. Nie ukryjesz się przede mną. Znajdę cię i zabiję. Bo nic mnie już nie obchodzi. Moje życie jest skończone.

Peter myślał szybko.

- Posłuchaj! To, co ci się zdarzyło, przydarzyło się też innym. Chcę cię zapytać. Czy ktoś do ciebie dzwonił szepcząc przez telefon? Wysoki szept...?

Telefon się rozłączył. Chancellor spojrział na aparat, a potem zwrócił się do Alison.

Miała twarz ciągle jeszcze mokrą od łez.

- Postradał zmysły.

- Mamy sezon na takie wypadki.

- O tym nie chcę słyszeć - odpowiedział sięgając równocześnie do kieszeni po kartkę z notesu z zapisanym numerem O'Briena. Nakręcił numer. - Mówi Chancellor. Bromley do mnie telefonował. Jest zdesperowany. Myśli, że moja książka ma wyjść w kwietniu. Podobnie jak Phyllis Maxwell jest przekonany, że są tam kompromitujące go informacje.

- A są? - spytał O'Brien.

- Nie. Do tej chwili nigdy w życiu o nim nie słyszałem.

- Jestem zdumiony. To księgowy z GAW, który wystąpił do walki z Departamentem Obrony w związku z samolotem transportowym C-40. Oświadczył, że na skutek zmowy koszty zostały przekroczone. - Przypominam sobie... - w myślach Petera nagle błysnęły wspomnienia artykułów w gazetach. - Były przesłuchania w Senacie. A człowiek, o ile dobrze pamiętam, stał samotnie na straconej pozycji. Superpatrioci pomalowali go na czerwono i postawili do kąta. - O niego idzie. Znany był tutaj pod hasłem kodowym „Żmija”. - Bardzo stosownie. Co się z nim stało?

- Odsunięto go od „drażliwych”, tak oni to nazywają, badań księgowości. A potem jakiś kompletny dureń z Administracji Wojskowej chciał się wyróżnić w oczach przełożonych i wstrzymał jego awans. Wynikł z tego proces cywilny.

- I?

- Nie wiemy. Pozew został wycofany, a człowiek znikł.

- Ale my wiemy, prawda? - powiedział Chancellor. - Ktoś do niego zatelefonował, ktoś mówiący wysokim szeptem. A teraz był następny telefon. Z odrobiną prawdziwych informacji, wystarczających, by go przekonać, że wszystko jest prawdą.

- Spokojnie. Nie może cię nawet tknąć palcem. Bez względu na to, o co cię obwinia...

- Nie idzie mu tylko o siebie - przerwał Peter; - Mówił o „niej”, „dziecku” i „jej dzieciach”.

O'Brien zamilkł. Chancellor doskonale wiedział, co agent FBI w tej chwili myśli: Mam żonę i dzieci.

Alexander Meredith.

- Postaram się sprawdzić - powiedział wreszcie agent. - Zatrzymał się w hotelu w śródmieściu. Mamy go pod obserwacją.

- A czy twój człowiek wie, dlaczego? Czy nie może to być... - Oczywiście nie -

przerwał Quinn. - Kod „Żmija” wystarczy.

A fakt, że w Indianapolis znaleziono przy nim broń, więcej niż wystarczy. Jest unieruchomiony. Prześpij się trochę.

- O'Brien?

- Co?

- Wy tłumacz mi coś. Dlaczego on? Dlaczego stary, chory człowiek? Agent znów zrobił pauzę, nim odpowiedział. Ale gdy przemówił, Peter poczuł lodowate zimno w żołądku.

- Starzy ludzie poruszają się bez przeszkód. Bardzo rzadko takich zatrzymuje się lub podejrzewa. Nie przypisuje się im wielkiego znaczenia. Przypuszczam, że zdesperowanego starca można zaprogramować na mordercę.

- Bo już nic go nie obchodzi?

- Myślę, że częściowo dlatego. Ale nie martw się. Nie dopuścimy go do ciebie.

Chancellor odłożył słuchawkę. Potrzebował snu. Było wiele spraw do przemyślenia, ale nie był w stanie myśleć. Poczuł wreszcie skutki całonocnych wysiłków, a pigułki przestały działać.

Czuł, że Alison mu się przygląda, czekając, by coś powiedział. Ich spojrzenia się spotkały. Niespiesznie podszedł do niej, z każdym krokiem czując się bardziej pewnie.

Przemówił spokojnie, bardzo poważnym tonem. - Jeśli tylko pozostaniemy razem, przyjmę wszelkie twoje warunki i taką formę związku, jaką wybierzesz. Chcę cię mieć na zawsze. Ale i ja mam pewien warunek, na którego spełnienie nalegam. Nie pozwolę, byś się dręczyła czymś, co może w ogóle nie istnieje. Uważam, że twojej matce przydarzyło się coś, co ją wtrąciło w obłąd. Nigdy nie słyszałem o kimś, kto by w jednej chwili był normalny, a w następnej chory umysłowo. Chyba że coś go w chorobę wepchnęło. Chcę wykryć, co się zdarzyło. Może to będzie bolesne, ale uważam, że powinnaś to wiedzieć. Czy przyjmujesz mój warunek? - Peter na chwilę wstrzymał oddech. Alison kiwnęła głową. Uśmiechnęła się blado.

- Być może oboje powinniśmy poznać prawdę.

- Dobrze. - Peter zaczerpnął powietrza. - Teraz, gdy już podjęliśmy decyzję, przez pewien czas wolałbym do tego nie wracać. I nie musimy, nic nas nie pogania. A prawdę powiedziawszy, chciałbym, abyśmy przez wiele dni nie rozmawiali o sprawach nawet z lekka nieprzyjemnych.

Nie wstając z fotela Alison spojrzała na niego.

- Czy twoja powieść jest nieprzyjemnym tematem?

- Najgorszym z możliwych. A o co chodzi?

- Chcesz z niej zrezygnować?

Zamilkł na chwilę. Dziwna rzecz, z chwilą gdy podjął decyzję, gdy Poszedł naprawdę do Biura i opowiedział o wszystkim, znikło uczucie przymusu, a jego myśli stały się klarowniejsze. Znowu obudził się w nim pisarz.

- To będzie inna książka. Pewne osoby wyłączę, wprowadzę inne na ich miejsce, pozmieniam okoliczności. Ale ze starej też wiele pozostanie. - Potrafisz to zrobić?

- Mam ochotę. Przesłanka jest nadal kusząca. Znajdę sposób. Na początku nie będzie to łatwe, ale potem pójdzie gładko.

- Cieszę się - Alison uśmiechnęła się.

- To ostatnia decyzja tej nocy. Teraz chcę wrócić do pierwszej. - To znaczy?

Uśmiechnął się.

- Do ciebie. Wejdz do mego domu i bądź mą miłością.

Przez mgłę snu dotarło do niego pośpieszne stukanie. Obok poruszyła się Alison, głębiej wciskając głowę w poduszkę. Wysunął się z łóżka, \ chwytając po drodze wiszące na fotelu spodnie. Zamknął za sobą drzwi sypialni i przeszedł nago do salonu. Niezdarnie wciągając spodnie, na jednej nodze zaczął skakać do przedpokoju.

- Kto tam? - zapytał.

- Jest ósma rano - oświadczył głos człowieka z CIA za drzwiami. Peter przypomniał sobie. O ósmej strażnicy mieli się zmienić i wtedy miał poznać nowego. •

Niewiele mógł zrobić, by ukryć swój szok. By go nie zdradzić zamrugał, zdusił

ziewnięcie i przetarł oczy. Nowym strażnikiem był pracownik centrali CIA, który dostarczył

Peterowi materiałów do „Przeciwuderzenia!”. Dostarczył bez oporów. Oburzony. Głęboko zaniepokojony tym, że Agencja została zmuszona do popełniania czynów nielegalnych.

- Nazwisk nie potrzeba - oświadczył pierwszy przydzielony do Chancellora agent. -

On mnie zmienia.

Peter kiwnął głową.

- Okay. Ani nazwisk, ani podawania ręki. Nie chciałbym, abyście się czymś ode mnie zarazili.

- Od pana można złapać na odległość - spokojnie powiedział nowo przybyły, podobnie obraźliwym tonem, jakiego używał jego kolega. Zwrócił się też do niego: - On zostaje w hotelu, tak?

- Taka była umowa. Żadnej roboty na zewnątrz.

Dwaj agenci odwrócili się do Petera plecami i poszli w stronę wind, nie zwracając na niego uwagi. Peter cofnął się i zamknął drzwi. Słuchał, aż dotarł do niego słaby szmer ruszającej windy. Poczekał jeszcze dodatkowych dziesięć sekund, nim je ponownie otworzył.

Agent CIA prześliznął się obok niego do przedpokoiku apartamentu. Peter zamknął drzwi.

- Chryste! - powiedział agent. - Omal nie dostałem zawału przez ten telefon zeszłej nocy.

- Ty? A ja na twój widok o mało nie zemdlałem!

- Ale dałeś sobie radę. Przepraszam. Nie mogłem ryzykować telefonu do ciebie.

- Jak do tego doszło?

- O'Brien. Jest jednym z naszych kontaktów w Biurze. Gdy Hoover przeciął łączność, O'Brien i paru innych współpracowało z nami, dostarczając informacji, które powinniśmy mieć. Nie było żadnego sensu, by dzwonił do kogoś innego, prawdopodobnie by mu odmówiono. Wiedział, że my tego nie zrobimy.

- Mielicie wobec niego zobowiązania - zauważył Chancellor. - Większe niż sobie wyobrażasz. O'Brien i jego przyjaciele zaryzykowali dla nas kariery oraz głowy. Gdyby ich kiedykolwiek wykryto, Hoover wpadłby w amok. Zafundowałby sobie przyjemność wysłania ich do szczególnie smakowitych więzień na dziesięć albo dwadzieścia lat od łebka.

Peter drgnął.

- I mógł to zrobić?

- Mógł i robił. Do dziś w izolatkach gnije wiele zapomnianych trupów. To była jego Syberia. O'Brienowi coś zawdzięczamy i nie wolno o tym zapominać.

- Ale Hoover nie żyje.

- Może ktoś się stara, by zmartwychwstał. Bo czy nie o to właśnie chodzi? Inaczej po cóż by O'Brien nas wzywał?

Chancellor zamyślił się. Ze wszystkiego, co słyszał, taka możliwość była najbardziej prawdopodobna. O'Brien wspominał o Grupie Hoovera, z której niektórzy byli znani, inni nie, a nikomu nie wolno było ufać. Czy ci ludzie mieli teczki Hoovera? Czy próbowali odzyskać kierownictwo Biura? Gdyby tak było, aby przejąć władzę, musieli zniszczyć ludzi w rodzaju Quinna O'Briena.

- Być może masz słuszość - powiedział.

Mężczyzna potwierdził ruchem głowy.

- Znow się zaczyna. Choć, prawdę powiedziawszy, nigdy nie było przerwy. Gdy zeszłej nocy usłyszałem twoje nazwisko, zacząłem się zastanawiać, co zabrało ci tyle czasu.

- Co masz na myśli? - nie rozumiał Peter.

- Informacje, jakie ci przekazałem. Użyłeś ich niemal wyłącznie przeciw nam.

Dlaczego? Winę ponosiło wielu ludzi, nie tylko my. - Dziś napisałbym to samo, co dwa lata temu. Agencja używała jako swej wymówki błędów innych ludzi. Cholernie szybko i ze zbyt wielkim entuzjazmem. Myślałem, że byliśmy tego samego zdania. Myślałem, że właśnie dlatego dałeś mi te informacje.

Agent potrząsnął głową.

- Spodziewałem się, że rozłożysz winę nieco szerzej. A potem doszedłem do wniosku, że zachowujesz sobie coś z tego na inną książkę. Bo przecież o to chodzi, prawda? Pisziesz powieść o Biurze. Chancellor osłupiał.

- Gdzieś o tym słyszał?

- Nie słyszałem. Czytałem. W porannej gazecie. Artykuł Phyllis Maxwell.

ROZDZIAŁ 25

Zrobiła to. Artykuł był krótki, znaczący zarówno przez swą zwięzłość, jak zawartość, a wydrukowano go pośrodku kolumny, jako artykuł wstępny, do tego otoczony czarną ramką.

Będzie szeroko czytany, wywoła przerażające pytania i nie mniej przerażające sygnały alarmowe. Chancellor potrafił sobie wyobrazić bliską szaleństwa Phyllis Maxwell na lotnisku, jak zbiera resztki

zdrowego rozsądku, dochodzi do nieuchronnej decyzji i telefonuje do nocnej redakcji swej gazety. Żaden redaktor nie ośmieliłby się czegoś wyciąć z jej artykułu; opinia, że wszystkie jej teksty są oparte na solidnej dokumentacji, była od dawna utrwalona.

Ale ponadto był to jej ostatni gest, ostatnia wola, jasno sformułowany testament. Tyle była winna dziennikarstwu jako swemu powołaniu, a ono jej nie zdradziło. Waszyngton, 19

grudnia. - Informacje z nie podlegających wątpliwości źródeł ujawniły, że Federalne Biuro Śledcze wkrótce spotka się z nadzwyczajnym oskarżeniem o nadużywanie władzy, wymuszanie, ukrywanie dowodów zbrodni oraz nielegalne inwigilowanie obywateli z pogwałceniem praw konstytucyjnych. Te oskarżenia zostaną zawarte w przeznaczony wkrótce do publikacji powieści Petera Chancellora, autora „Przeciwuderzenia!” i

„Sarajewa!”. Chociaż książkę należy zaliczyć do beletrystyki, Chancellor oparł ją na faktach.

Dotarł do ofiar wielu działań i stał się świadkiem ich nieszczęść. Powodowany wyłącznie własnym poczuciem etyki nie ujawnił tożsamości tych osób, a wydarzenia opisał w konwencji powieściowej. Ta książka powinna była ukazać się dawno temu. W całym naszym wspaniałym mieście, pełnym symboli niezwykłej walki narodu o wolność, pełno jest przerażonych mężczyzn i kobiet. Lękają się o siebie, o swych bliskich, o własne myśli, a często o własne zdrowie psychiczne. Muszą żyć w takim strachu, bo potworna ośmiornica dosięga swoimi mackami każdego kąta, szerząc terror. A głowa tego potwora znajduje się gdzieś w FBI.

Taktyka tego terroru dotknęła także Waszego sprawozdawcę. Dlatego z czystym sumieniem będę nieobecna na tych stronicach przez czas nieokreślony. Mam nadzieję, iż pewnego dnia powrócę, ale nastąpi to tylko wówczas, gdy uzyskam pewność, że mogę wywiązywać się z moich obowiązków w sposób, do jakiego Wy, Czytelnicy, macie prawo.

Ostatnie słowo. Nazbyt wielu dobrych i mocnych ludzi w rządzie zostało skompromitowanych przez metody działania Federalnego Biura Śledczego. Tym atakom trzeba położyć kres. Być może powieść pana Chancellora przyczyni się do tego. Jeśli tak, część naszego aparatu władzy zostanie oczyszczona.

To był wybuch bomby, a brzegi leja jeszcze tliły się ogniem, obrysowane czarną ramką artykułu. Peter spojrzął na zegarek, było dwadzieścia po ósmej. Zdziwił się, że O'Brien jeszcze nie zadzwonił. Z pewnością widział już gazetę, z pewnością w FBI zapanował chaos.

Być może starszy agent był niezwykle ostrożny. Telefon nagle stał się niebezpiecznym narzędziem. A wtedy, jakby wywołany jego myślami, zadzwonił O'Brien.

- Wiem, że mieli cię obudzić o ósmej - powiedział Quinn.

Widziałeś gazetę?

- Tak. Zastanawiałem się, kiedy zadzwonisz.

- Telefonuję z budki. Jasne. Nie chciałem dzwonić z domu. Wyszedłem o czwartej rano i jeździłem sobie tu i tam, po prostu by mieć chwilę do namysłu. A potem udało mi się przespać parę godzin. Czy spodziewałeś się, że ona to zrobi?

- Ani przez moment. Ale ją rozumiem. Prawdopodobnie uznała to za jedyną rzecz, jaka jeszcze pozostała jej do zrobienia. - Ale to niepotrzebna komplikacja, ot co. Będą jej szukać. I niech jej Bóg dopomoże, jeśli znajdą. Jedni będą chcieli jej życia, drudzy zeznać.

Peter zastanowił się.

- Nie zrobiłaby tego, gdyby przypuszczała, że mogą ją znaleźć. To co napisała w liście, że od dawna coś takiego planowała, musiało być prawdą.

- A to oznacza schowanie się w mysią dziurę. Coś niecoś wiem na temat mysich dziur.

Aż nazbyt często wyciąga się z nich martwe myszy a żywe przechowują się rzadko. Ale to jej problem, mamy dość własnych. - Jestem wzruszony twym współczuciem. Czy skontaktowałeś się z tym Varakiem?

- Nadałem do niego awaryjny sygnał alarmowy. Będzie musiał odpowiedzieć. To jego specjalność.

- Co robimy do tego czasu?

- Siedź, gdzie jesteś. Później cię przeniesiemy. Varak będzie wiedział dokąd.

- Ja wiem dokąd - odparł Peter ze złością. O'Brien traktował ich jak zbiegłych przestępców. - Do mego domu w Pensylwanii. Tam pojedziemy. Tylko postaraj się...

- Nie - przerwał zdecydowanie człowiek z FBI. - Na razie trzymaj się z dala od tego domu i twego mieszkania. Pojedziesz tam, gdzie ci powiem. Chcę cię mieć żywego, Chancellor. Jesteś dla mnie bardzo ważny. Słowa wywarły należyty skutek, wróciły wspomnienia ostrzału. - Zgoda. Siedzimy i czekamy.

- Czy ktokolwiek w Nowym Jorku lub Waszyngtonie wie, gdzie jesteś? -

Niedokładnie. Wiedzą, że jestem w Waszyngtonie.

- Czy będą znali miejsce twego pobytu?

- Prawdopodobnie. Często zatrzymuję się w tym hotelu.

- Już nie jesteś tam zameldowany - oświadczył O'Brien.

Wyprowadziłeś się wczoraj w nocy, dyrektor zawiadomił o tym recepcję. Na tę wiadomość Peter

poczuł zimny dreszcz. Że to można było tak łatwo zorganizować, że agent uznał to także za niezbędne, wszystko to spowodowało, iż Peter z trudem przełknął ślinę. A potem coś sobie przypomniał.

- Dzwoniłem do obsługi hotelowej, składałem zamówienie. Podałem moje nazwisko i numer pokoju, podpisałem też rachunek.

- Jasna cholera! - wybuchnął O'Brien. - O tym nie pomyślałem. - Miło mi, że nie jesteś doskonałością.

- O wiele mniej, niżbym chciał. Takiego błędu Varak by nie popełnił. Ale damy sobie i z tym radę. To sprawa tylko paru godzin. Po prostu ty życzysz sobie zachować incognito.

- A jak się obecnie nazywam?

- Peters. Charles Peters. Niezbyt oryginalnie, ale to bez znaczenia. Teraz jak najszybciej zadzwoń do kogoś w Nowym Jorku, kto wie, że jesteś w Waszyngtonie. Powiedz, że ty i panna MacAndrew zdecydowaliście się wziąć parę dni urlopu. Jedźcie samochodem przez Wirginię, drogą fredericksburską w kierunku Shenandoah. Zapamiętałeś? -

Zapamiętałem, ale nie wiem, co to jest. Po co?

- Na tej trasie jest niewiele hoteli i moteli, w których moglibyście zanoć. Chcę zobaczyć, kto się tam pokaże.

Chancellor poczuł skurcz żołądka. Na chwilę odebrało mu głos. - Co ty, u diabła, wygadujesz? - szepnął. - Myślisz, że Tony Morgan albo Joshua Harris są w to wmieszani?

Upadłeś na głowę! - Już ci powiedziałem - odparł O'Brien. - Jeździłem tej nocy samochodem i tylko myślałem. Wszystko, co cię spotkało, spotkało cię wyłącznie z powodu książki, którą piszesz. Większość miejsc, gdzie byłeś, nie wszystkie, ale większość, były tym ludziom znane, bo ich sam zawiadomiłeś.

- Nie chcę tego słuchać! To moi przyjaciele!

- Mogli nie mieć wyboru - stwierdził O'Brien. - Lepiej od ciebie znam metody werbunku. I nie twierdzą, że oni są w to wmieszani, a tylko, że mogą być. Chcę ci przez to powiedzieć, że nie możesz ufać nikomu. Ani przez moment. Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. O'Brien zniżył głos. - Może nawet i mnie. Powiedziałem, że jestem gotów wystawić się na próbę, i sądzę, że tak jest. Ale jeszcze próbie się nie poddałem. Mogę ci tylko dać słowo, że będę się starał jak wszyscy diabli. Będziemy w kontakcie.

Quinn nagle przerwał połączenie, jakby nie mógł się zmusić do dalszej rozmowy.

Fakt, że potrafił powiedzieć, iż wątpi w samego siebie, był niezwykły. Był dzielnym człowiekiem. Wyraźnie się bał i godził się ze swym strachem w samotności, o jakiej Chancellor nie miał pojęcia.

Peter siadł do śniadania. Niejasno tylko zdając sobie z tego sprawę, pił sok, jadł jajka, bekon i tosty. Jego myśli zaprzętały słowa wypowiedziane przez O'Briena: Chcę ci powiedzieć, że nie możesz ufać nikomu. Było w tym coś nierzeczywistego.

Coś, co już kiedyś odrzucił jako nazbyt podobne do melodramatu, by mogło zdarzyć się w życiu. Nienormalne, fałszywe.

Fikcja literacka. >

Jego oczy bezmyślnie przesunęły się z dzbanka do kawy w stronę leżącego na stole przed kanapą notatnika. Wstał z fotela zabrawszy kawę i usiadł na kanapie. Otworzył blok i zapatrzył się w słowa napisane wczoraj, nim zaczęło się szaleństwo. Szaleństwo, które zaprowadziło go do Quinna O'Briena.

Poczucie przymusu. Rozpoznał je, gdy tylko się pojawiło: przymus przetłumaczenia przeżytego szaleństwa na rzeczywistość, którą mógł się podzielić z innymi. Bo je przeżył.

Zawsze próbował sobie wyobrazić co to znaczy być ściganym, schwytanym w pułapkę, zdezorientowanym i przerażonym, co to znaczy znaleźć się w obliczu śmierci i wysiliwszy: każde włókienko mięśni i każdą komórkę mózgu, szukać drogi ucieczki i ocalenia życia. Do dziś nigdy nie przeżywał takich uczuć. Zmian w książce może dokonać później, ale teraz musi podążyć za rozwojem fabuły, którą stworzył, a jutro zakończyć rozdział. Musi zapisać to nowe, z pierwszej ręki, przeżycie szaleństwa.

Rozdział 10. Konspekt.

Meredith został przyjęty do „Jądra”. Jego zadaniem jest zdobycie niepodważalnych dowodów, że wewnątrz FBI istnieje grupa określonych ludzi, którzy dopuścili się nielegalnych działań. Mają to być nie słowa na papierze, lecz głosy na taśmie.! W tym celu należy podjąć działania podstępne, i w tym zakresie Alexa szkoli Alan Long. Nawrócony rewolwerowiec

Hoovera mówi Meredithowi, że jedynym skutecznym podejściem będzie udawanie totalnej kapitulacji przed fanatykami wewnątrz Biura. Ma gotowy motyw: dłużej nie jest w stanie znieść prześladowania.

Pułapką natomiast będzie miniaturowy magnetofon, noszony w kieszonce na chusteczkę, włączany dotknięciem.

Następuje seria krótkich, naładowanych emocjonalnie spotkań, podczas których widzimy Alexa, jak nikiemnie „poddaje się” siłom Hoovera. Nie sprawia mu trudności odegranie tego w sposób przekonujący, gdyż jest to odbiciem stanu umysłu, którego poprzednio doświadczył.

Jest też nocna scena, w której Meredith podsłuchuje ze wszystkimi szczegółami plan

„wyeliminowania” informatora

FBI, który zagroził ujawnieniem udziału FBI w zabójstwie pięciu czarnych radykałów w Chicago. Ta

masakra była bezpośrednim wynikiem prowokacji zmontowanej przez FBI.

Zgładzenie informatora zostaje postanowione. Ma to być dokonane za pomocą niewykrywalnej broni w zatłoczonej kolei podziemnej. Alex włączył miniaturowe urządzenie.

Ma głosy nagrane na taśmę. Dowód jest niezaprzeczalny: jest to spisek w celu popełnienia morderstwa.

Ohyda takiego oskarżenia wystarczy, by pozbawić Hoovera stanowiska. I doprowadzi do wykrycia następnych nadużyć, ponieważ jest to tylko pojedynczy wypadek z całej sieci spisków. Hoover jest skończony.

Alex opuszcza budynek, ale ludzie Hoovera wyczuwają, że prowadzi on podwójną grę.

Meredith wybiega z Biura do swego samochodu. Na wypadek sytuacji alarmowej podano mu adres w McLean, Wirginia.

Nigdy jeszcze nie było takiej sytuacji jak dziś, ma w kieszeni dowody, które zniszczą Tego Człowieka oraz ludzi, którzy chcą przemienić kraj we własne państwo policyjne.

Wyjeżdżając z parkingu dostrzega jadący za nim samochód, który, jak sądzi, należy do FBI.

Wywiązuje się dzika pogoń na ulicach Waszyngtonu. Na skrzyżowaniu pod światłami człowiek siedzący obok kierowcy w samochodzie FBI opuszcza w dół okienko, krzycząc:

„Jest!” Wyskakuje, by schwycić za drzwiczki wozu Mereditha. Alex przejeżdża skrzyżowanie przy czerwonym świetle, zawracając w dół ulicy, zygzakiem mijają inne wozy, naciskając klakson. Przypomina sobie taktykę gubienia samochodu, gubienia inwigilacji. Zatrzymuje się przed jednym z budynków rządowych, wyskakuje, pozostawiając włączony silnik, i wbiega po schodach do środka.

Jest tam tylko umundurowany strażnik. Meredith macha mu przed nosem legitymacją FBI i biegnie po marmurowej posadzce koło szybów z windami. Naciska guziki, równocześnie rozglądając się za drugim wyjściem. Widzi podwójne szklane drzwi, prowadzące do pergoli łączącej ten budynek z drugim. Wybiega tamtędy, lecz zza filara wyłania się mężczyzna. Jest to jeden z tych dwóch, którzy za nim jechali. W ręku trzyma rewolwer, Alex uruchamia mikromagnetofon.

- To stary trik, Meredith. Nie jesteś w tym zbyt dobry.

- Jesteście mordercami! Jesteście katami Hoovera! - wrzeszczy zrozpaczony Alex.

Te wrzaski na chwilę rozpraszą uwagę fanatyka z FBI krzyk może ktoś usłyszeć.

Nagle Meredith robi coś, o co nigdy by siebie nie podejrzewał. Rzuca się na człowieka trzymającego rewolwer.

Wywiązuje się gwałtowna walka, padają dwa strzały.

Pierwszy rani Alexa w ramię. Drugi zabija mordercę z FBI. Ściskając ranę dłonią i zataczając się, Meredith idzie pergolą. Widać, jak drugi agent FBI ucieka w stronę oszklonych drzwi na jej przeciwległym końcu.

Meredith przedostaje się do drugiego budynku, a stamtąd na ulicę. Przywołuje taksówkę, pada na siedzenie i podaje kierowcy adres w McLean.

Do McLean dociera resztkami przytomności. Z najwyższym wysiłkiem przemierza ścieżkę do drzwi i opiera się dłonią na dzwonku. Otwiera były minister, to jego rezydencja.

- Jestem ranny. W mojej kieszeni. Magnetofon. Tam jest wszystko.

Traci przytomność.

Budzi się w zaciemnionym pokoju, leży na kanapie z zabandażowaną klatką piersiową i ramieniem. Zza zamkniętych drzwi słyszy głosy. Wstaje i trzymając się ściany podchodzi do drzwi. Uchyła je odrobinę. W środku, przy stole w jadalni, siedzi minister, dziennikarka i Alan Long. Senator jest nieobecny. Minimagnetofon Alexa leży na stole obok byłego ministra, który mówi do Longa.

- Czy wiesz coś na temat tych... plutonów egzekucyjnych?

- Były takie plotki - odpowiada ostrożnie Long. - Ja nigdy nie miałem z tym nic wspólnego.

- Nie starałeś się ocalić własnej głowy?

- A cóż tam można byłoby ocalić? - odpowiada Long.

Gdyby ktoś odkrył, co zrobiłem... co robię... jestem trupem. - Powróćmy do sprawy tych plutonów - mówi kobieta.

Co o nich słyszałeś?

- Nic określonego - odpowiada Long. - Żadnych dowodów. Hoover dzieli wszystkie zadania między różne komórki Różnych ludzi. I wszystko robi w tajemnicy. Nikt nie orientuje się w pełni, czym się zajmuje człowiek w sąsiednim gabinecie. Dlatego wszyscy są posłuszni.

- Gestapo! - wykrzykuje kobieta.

- Ale c o usłyszałeś? - pyta minister.

- Tyle tylko, że jeśli jakiś plan się nie powiedzie, istnieją rozwiązania ostateczne.

Kobieta wpatruje się w Longa, po czym na chwilę zamyka oczy.

- Ostateczne... O, Boże!

- Jeśli jeszcze potrzebujemy ostatniego, decydującego uzasadnienia - mówi łysiejący człowiek - uważam, że je mamy. Za dwa tygodnie od poniedziałku licząc, Hoover zostanie zabity, a teczki zabrane.

- Nie! - Alex pchnął drzwi z taką siłą, że uderzyły o ścianę. - Tego nie możecie zrobić!

Macie już wszystko, co potrzeba. Postawcie go przed sądem! Niech zostanie osądzony. Przez Sąd! Cały kraj!

- Nic nie rozumiesz - mówi eksminister. - Nie ma w tym kraju trybunału, sędziego ani członka Kongresu czy Senatu, ani prezydenta czy ministra, którzy ośmieliliby się wytoczyć mu proces. To przekracza ich siły.

- Nieprawda! Jest przecież prawo!

- I są teczki - odpowiada cicho dziennikarka. - Za ich pomocą do ludzi dotrą... inni ludzie, chcący się ocalić.

Meredith widzi wpatrujące się w niego oczy. Są zimne, bez cienia sympatii.

- A wy nie jesteście ani trochę lepsi od niego - oświadcza Alex, wiedząc, że jeśli zdoła się wydostać z tego domu, znów stanie się tropioną zwierzyną.

Chancellor wypuścił ołówek. Nagle uświadomił sobie, że Alison stoi w drzwiach i na niego patrzy. Miała na sobie błękitny szlafrok. Poczł gorącą wdzięczność za ciepłe spojrzenie i uśmiech.

- Czy wiesz, że stoję tu już od trzech minut, a ty mnie nie zauważyłeś? - Przepraszam.

- Nie trzeba. Jestem zafascynowana. Byłeś tak daleko.

- Byłem w McLean, Wirginia.

- To nie aż tak daleko.

- Lepiej, aby było. - Peter wstał z kanapy i wziął dziewczynę w ramiona. - Jesteś cudowna, kocham cię i chodźmy do łóżka. - Właśnie stamtąd wstałam. Daj mi kawy, muszę się obudzić. - Po co się budzić?

- Aby cię lepiej czuć. Czy to zbyt nieprzyzwoite? - Pocałowała go. - Kawa wystygła - powiedział. - Zamówię nową.

- Może być taka. Nie przeszkadza mi.

- I chcę coś pilnie wysłać. Wyniki pracy ostatnich paru dni. Do przepisania na maszynie.

- Teraz?

Peter kiwnął głową.

- Powinienem to przeczytać, dać do kserokopii, a potem wysłać przez gońca. Ale nie chcę już na to patrzeć, chcę się tego po prostu pozbyć. Mam w teczce kilka dużych kopert. -

Po drodze do stojącego w drugim kącie telefonu przypomniał sobie instrukcje O'Briena.

Centrala? Mówi Peters z pokoju pięćset jedenaście. Chciałbym zamówić coś do pokoju, ale także przesłać coś przez gońca. Czy mogę to dać kelnerowi, aby zaniósł do recepcji?

- Oczywiście, panie Peters.

Wydawało mu się, że w głosie telefonistki słyszy uśmiezek. Leżeli nadzy, obejmując się nawzajem, rozgrzani tym, co przeżyli, i budzącym się znów pożądaniem.

Z okien domu naprzeciwko padało do pokoju odbite słońce. A gdzieś z głębi wąwozu ulicy, od strony wystaw dalej położonego wielkiego magazynu, dolatywały ledwie słyszalne urywki kolędy. Peter zdał sobie sprawę, że spędzili tak większość dnia.

Zadzwonił telefon. Chancellor podniósł słuchawkę.

- Pan Peters? - Mówiła telefonistka, poznał jej głos.

- Tak?

- Panie Peters, zdaję sobie sprawę, że to jest bardzo niewłaściwe. Wiem, że pan nie chce, by wiadano, że pan u nas mieszka, i mogę pana zapewnić, że nie powiedziałam nic, co by mogło...

- Co się stało? - spytał Peter z bijącym sercem.

- Mam kogoś na linii. Mówi, że to sprawa alarmowa i że musi rozmawiać z niejakim panem Chancellorem. Sądząc z głosu, jest bardzo chory, sir.

- Kto to taki?

- Mówi, że nazywa się Longworth. Alan Longworth.

Straszny ból w skroniach zmusił Petera do zamknięcia oczu.

ROZDZIAŁ 26

- Daj mi święty spokój, Longworth! Wszystko skończone! Byłem w Biurze i wszystko im powiedziałem!

- Ty cholerny głupcze! Nie wiesz, co zrobiłeś.

Był to głos Longwortha, ale bardziej gardłowy od tego, jaki zapamiętał Peter, i z wyraźnym środkowoeuropejskim akcentem.

- Dokładnie wiem, co zrobiłem, i wiem, co ty próbujesz zrobić. Ty i twoi przyjaciele chcą opanować FBI. Wyobrażacie sobie, że z tytułu jakiegoś prawa czy dziedziczenia jest ono waszą własnością. Ale nie jest. I teraz was powstrzymają.

- Mylisz się, kompletnie się mylisz. To my chcemy ich powstrzymać. Tylko my -

Longworth zakaszłał okropnie. - Nie mogę mówić przez telefon. Musimy się spotkać. - I znowu ten dziwny akcent. - Po co? Abyś mógł dla mnie przygotować pluton egzekucyjny, jak to zrobiłeś przy Trzydziestej Piątej Ulicy?

- Byłem tam. Próbowałem cię bronić.

- Nie wierzę.

- Posłuchaj... - Longworthowi przerwał ponowny atak kaszlu. Używano tłumików.

Wyłącznie. Broń palna z tłumikami, tak jak to było w Forcie Tryon.

- Pamiętam. I nigdy nie zapomnę.

- Ale jeden strzał zeszłej nocy nie był oddany przez tłumik! Czy to zapamiętałeś?

Peter sobie przypomniał. Był taki strzał, głośny, ostro kontrastujący z cichym kłaśnięciem innych. I jeden okrzyk wściekłości. Wówczas nie zastanawiał się nad tym, zbyt wiele było zamętu wokół. Ale teraz wydało się jasne: strzelec zapomniał użyć tłumika.

- Pamiętasz? - kontynuował Longworth. - Musisz to pamiętać. - Tak. I co z tego?

~~ Ja się tam znajdowałem! - znowu ten obcy akcent oraz nazbyt poprawny język.

Większość Amerykanów powiedziałaaby tylko: ja tam byłem.

- Ty?

- Tak. Jechałem za tobą. Zawsze jestem przy tobie. Gdy tamci się pojawili, nie byłem na to przygotowany. Zrobiłem, co mogłem. I doprawdy nie wiem, jak wyszedłeś stamtąd żywy... - Longworth znów się rozkaszał, Chancellor nigdy nie słyszał rżenia w agonii, ale pomyślał, że słyszy je teraz. A jeśli tak było, to Longworth mówił prawdę.

- Mam pytanie - powiedział. - Może nawet oskarżenie, nie jestem pewien. Mówisz, że zawsze jesteś przy mnie. Wiem, że jeździsz srebrnym continental, ale o tym potem...

- Prędzaj!
- Jeśli zawsze jesteś przy mnie, to znaczy, że czekasz, aż ktoś się do mnie zbliży...
- Tak.
- Kto?
- Nie przez telefon! A szczególnie nie teraz.
- Więc byłem tylko przynętą!
- Nic złego nie miało cię spotkać - odrzekł Longworth.
- Ale nią byłem, prawda? I kurewsko blisko otarłem się o śmierć. A ty mówisz, że nie byłeś przygotowany. W Nowym Jorku i przedtem tutaj. Dlaczego nie?

Longworth milczał przez chwilę.

- Bo to, co nastąpiło, było sprzeczne z tym, czegośmy oczekiwali, cośmy planowali.
- Nieprawdopodobne? - z sarkazmem zapytał Peter.
- Tak. Że pójdą na takie ryzyko... Nie mam już czasu. Jestem bardzo osłabiony, można ustalić, skąd dzwonię. Dla własnego bezpieczeństwa musisz się ze mną spotkać. Dla bezpieczeństwa dziewczyny.
- Na korytarzu mam człowieka z CIA. Zostanie tutaj. A ja przyjdę z policją.
- Zrób to i natychmiast cię zabiją. A zaraz potem dziewczynę. Chancellor wiedział, że to prawda. Słyszał ją w głosie Longwortha. Głosie umierającego człowieka.
- Co się stało? Gdzie jesteś?
- Uciekłem. Słuchaj uważnie i zrób, co ci powiem. Dam ci trzy numery telefonów.

Czy masz ołówek?

Peter odwrócił się.

- Ołówek i papier są... - nie musiał kończyć. Alison wyskoczyła z łóżka i błyskawicznie mu je podała. - Dyktuj.

Longworth podyktował trzy numery, każdy powtarzając dwa razy. - Weź ze sobą bilon. Dokładnie za trzydzieści minut dzwoń pod każdy z tych numerów z budki telefonicznej. Pod jednym z nich rozpoznasz coś, co napisałeś. I będziesz wiedział, gdzie mnie odnaleźć. Zrozumiesz. Zostaną postawione pytania.

- Pytania? Coś, co napisałem? Napisałem trzy książki!

- To krótki akapit, ale sędzę, że pisząc go zastanawiałeś się bardzo głęboko. Możesz się spodziewać, że będziesz miał ogon. Weź ze sobą człowieka z korytarza. Masz trzydzieści minut. Zgub ogon. Agent z korytarza będzie wiedział, jak to zrobić.

- Nie - odpowiedział Peter zdecydowanie. - On tu zostanie. Z córką MacAndrewa.

Chyba że dołączy drugi człowiek.

- Na to nie ma czasu!

- Więc musisz po prostu zaufać, że wiem, co robię.

- Nie wiesz.

- Zobaczymy. Zadzwoń za trzydzieści minut - Chancellor odłożył słuchawkę i patrzył na nią.

Alison dotknęła jego ręki.

- Kto ze mną zostaje i dokąd ty idziesz?

- Człowiek z CIA. A ja wychodzę.

- Dlaczego?

- Bo muszę.

- To nie jest odpowiedź. Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałeś, że wszystko się skończyło.

- Myliłem się. Ale to szybko nastąpi, obiecuję. - Wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

- Co masz zamiar zrobić? Nie możesz, ot tak, wyjść, nic mi nie mówiąc. - Jej głos brzmiał ostro.

Zwrócił się do niej zapinając koszulę.

- Longworth jest ranny, jak sędzę, bardzo ciężko.

- A co to c i e b i e obchodzi? Pomyśl, co on ci zrobił. Co nam zrobił. - Nie rozumiesz.

Właśnie teraz go potrzebuję, to jedyny sposób, w jaki mogę go zmusić, by poszedł ze mną. -

Peter wyciągnął z walizki ciemnobrązowy sweter i nałożył.

- Dokąd poszedł?

- Do O'Briena. Gwiżdżę na to, co mówi Longworth, ufam tamtemu człowiekowi.

Quinn nie mówi mi wszystkiego, ale wie, co się dzieje. Słyszałem, co powiedział do magnetofonu. Ryzykuje karierę, może nawet życie. Ta cała parszywa historia miała początek w Biurze i tam powinna się skończyć. Kluczem jest Longworth. Przekażę go O'Brienowi. I niech O'Brien wyjaśnia resztę.

Alison położyła dłoń na jego rękę. Uścisk był mocny. - Dlaczego ty masz mu dostarczyć Longwortha? Czemu nie wezwać w tej chwili O'Briena? Niech on poszuka tego człowieka.

- Nie da rady. Longworth jest ekspertem w takich sprawach, widziałem na własne oczy. Zabezpieczy się. Jeśli będzie miał cień wątpliwości co do moich zamiarów, ucieknie. -

Chancellor nie wspomniał, że Longworth może umrzeć, nim O'Brien wydobędzie z niego odpowiedzi oraz nazwiska. Bo gdyby tak się miało zdarzyć, szaleństwo będzie trwało nadal. -

Po co dał ci trzy numery telefonów?

- Będzie pod jednym z nich. To jedno z jego zabezpieczeń, nie chce ryzykować.

- Rozmawiając z nim wspomniałeś o swoich książkach...

- Też zabezpieczenie - przerwał jej Peter wyjmując marynarkę z szafy. - On zacytuje coś, o czym wie, że ja to rozpoznam. I w tym będzie zawarta dokładna informacja, gdzie go znaleźć. Także z tego powodu O'Brien byłby w tej chwili nieużyteczny.

- Peter! - Alison zagroziła mu drogę. Patrzyła z lękiem i niepokojem. - On chciał, żeby ten człowiek z korytarza poszedł z tobą prawda?

- To, czego on chce, nie ma dla mnie znaczenia. - Chancellor przeszedł do salonu.

Zbliżył się do śniadaniowego stolika, wyrwał ze swego notatnika kilka nie zapisanych kartek

„i wyjął ołówek. Alison poszła za nim.

- Weź go ze sobą - powiedziała.

- Nie. Nie ma czasu - odpowiedział po prostu.

- Na co?

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Na dalszą rozmowę. Muszę iść.

Nie chciała go puścić.

- Powiedziałeś mi, że wezwiesz policję, wezmiesz ją ze sobą. Dlaczego tego nie robisz?

Miał nadzieję, że nie zada mu tego właśnie pytania. Odpowiedź była zawarta w groźbach śmierci, groźbach, o których wiedział, że są prawdziwe.

- Z tego samego powodu, dla którego nie mogę wezwać O'Briena. Longworth ucieknie. Muszę go znaleźć, zabrać i dostarczyć. Nie mogę pozwolić, by się wymknął. - Objął

ją. - Wszystko będzie w porządku. Zaufaj mi. Wiem, co robię.

Pocałował ją i wyszedł z przedpokoju nie obejrzawszy się. Człowiek z CIA drgnął ze zdumienia.

- Muszę wyjść - oświadczył Peter.

- Nic z tego - odrzekł agent. - To niezgodne z regułami gry. - Nie ma żadnych reguł.

Na przykład ty i ja umówiliśmy się dwa lata temu. Dwa lata temu potrzebowałem informacji, a ty mi je dałeś. Dałem ci słowo, że nigdy nie ujawnię, skąd je mam. A teraz to zmieniam. Jeśli mi nie pomożesz, wracam do pokoju, biorę za telefon, dzwonię do Agencji i ujawniam wszelkie źródła, z jakich dostałem informacje do „Przeciwuuderzenia!”. Czy wszystko jasne?

Ty parszywy sukinsynu...

- To nie ulega żadnej wątpliwości - Chancellor nie podniósł głosu. No więc jest tak: tego hotelu pilnują ludzie, którzy będą próbowali mnie śledzić. Jeśli uda mi się stąd wydostać bez ich wiedzy, mam duże szansę. Chcę je mieć, a ty mi powiesz, jak je zdobyć. I lepiej będzie dla ciebie, jeśli twój pomysł będzie dobry. Jeśli mnie złapią, ty też leżysz. Ale nie wyjdiesz z tego korytarza. Bo jeśli to zrobisz, a dziewczynie coś się stanie, koniec z tobą.

Agent nie odpowiedział. Zamiast tego nacisnął guzik wezwania windy. Pierwsza nadjechała z prawej strony, ale byli w niej pasażerowie. Przepuścił ją. Druga, jadąca z holu, była pusta.

Agent wszedł do środka, nacisnął guzik „stop” i podniósł wewnętrzny telefon. Gdy zgłosił się konserwator, agent przedstawił się jako inspektor budowlany, ale powiedział to żartobliwie.

Oświadczył, że potrzebuje pomocy. Czy jego nowy przyjaciel mógłby przysłać montera i to zaraz? Zepsuł tablicę rozdzielczą i nie ma ze sobą narzędzi. Odłożył telefon i zwrócił się do Chancellora.

- Masz przy sobie pieniądze?

- Trochę.

- Daj mi dwadzieścia dolarów.

Peter podał mu banknot.

- Co zamierzasz?

- Wydostać cię stąd.

Nie upłynęła nawet minuta, gdy otworzyły się drzwi lewej windy i ukazał się monter.

Ubrany był w kombinezon roboczy i miał dużą torbę narzędziową. Agent przywitał go, pokazał legitymację CIA i poprosił do kabiny. Rozmawiali tak cicho, że Chancellor ich nie słyszał, ale dostrzegł, że dwadzieścia dolarów przeszło z ręki do ręki. Agent wyszedł i kazał wejść Peterowi.

- Rób, co ci powie - szepnął. - On myśli, że to próbne ćwiczenia CIA.

Chancellor wszedł do windy. Monter zdejmował z siebie kombinezon. Peter patrzył

zdzumiony. Pod ubraniem roboczym monter miał brudną podkoszulkę i krótkie, białe kalesony w niebieskie i czerwone groszki, Przypominające trochę ozdobny papier do pakowania.

- Nie mogę ci, uważasz, dać torby narzędziowej. To moja własna. - Rozumiem -

odrzekł Chancellor. Naciągnął kombinezon i włożył czapkę montera., Zjechali bez zatrzymania do sutereny. Monter poprowadził Chancellora za róg, a potem po schodkach do pakamery.

Dwóch pracowników hotelu było już ubranych i gotowych do wyjścia. Monter coś im po cichu powiedział.

- Chodź pan, panie - odezwał się stojący po prawej stronie. Możemy przyjąć, że jesteś członkiem związku zawodowego.

- A co tam można wiedzieć? - rzekł jego kolega. - Ci superszpiedzy grają w różne gry.

Drzwi z sutereny wychodziły na przejście między domami, prowadzące na ulicę.

Zaułek był wąski i zastawiony kubłami na śmieci. Przy jego wylocie Peter zauważył sylwetkę człowieka w płaszczu przeciwdeszczowym, rysującą się w półmroku. Na ulicach wkrótce będzie ciemno. „Osłoni mnie ciemność i tłum” - pomyślał Chancellor. Ale najpierw będzie musiał przejść obok człowieka w płaszczu, który nie stał tam przypadkowo. Wsunął się między obu pracowników hotelu, kiwnąwszy głową w stronę postaci przed nimi. Zrozumieli i z przyjemnością wzięli udział w grze. Przechodząc koło mężczyzny przy wyjściu, obaj zaczęli głośno gadać, kierując słowa do Petera.

- Ty! - zawołał człowiek w płaszczu przeciwdeszczowym.

Chancellor zmartwiał. Na jego ramię opadła ciężka dłoń. Otrząsnął ją ze złością.

Mężczyzna obrócił Petera w miejscu i zdarł mu montera czapkę z głowy.

Chancellor rzucił się na niego całym ciałem, wpychając go do zaułka. Pracownicy hotelowi spojrzeli po sobie, nagle zaniepokojeni. - Coś wy, chłopcy, ostro się bawicie! -

powiedział ten z lewej. - Nie wygląda mi to na zabawę - ocenił jego kolega, szybko odchodząc z miejsca.

Więcej Peter już nie usłyszał. Rzucił się biegiem, wymijając przechodniów na chodniku. Dobiegł do rogu. Światła zmieniły się na czerwone i samochody ruszyły jezdnią.

Skręcił w prawo, czując, że prześladowca też za nim biegnie, i popędził przed siebie wzdłuż budynku. Skoczył na jezdnię ocierając się o błotnik samochodu i dotarł na przeciwległy chodnik. Przed wystawą sklepową zebrał się tłumek, obserwujący przedstawienie lalkowe o świętym Mikołaju i elfach. Chancellor przepchnął się między widzami jak wariat. Obejrzał

się nad głowami tłumu. Człowiek w płaszczu stał po drugiej stronie, nie próbując nawet przekroczyć jezdni. Trzymał podłużne, wygięte pudełko, którego jeden koniec miał

przytknięty do ucha, a drugi dotykał jego ust. Rozmawiał przez radiostację.

Peter chyłkiem prześliznął się wzdłuż domu, oddalając się od tłumu, Nim się zdążył

zorientować, stał przed kolejną wystawą, tym razem sklepu jubilerskiego. Nagle szyba zabrzęczała. Nigdy w życiu nie słyszał podobnego dźwięku.

Włączył się ogłuszający dzwonek alarmowy. Ludzie zaczęli się odwracać, patrząc w jego stronę. Peter stał jak wryty, wpatrując się w witrynę. Tylko o parę cali od niego w szybie była okrągła dziurka. Po pocisku! Ktoś strzelał do niego z ukrycia!

Ludzie na chodniku zaczęli krzyczeć. Peter rzucił się w stronę skrzyżowania, ktoś pobiegł za nim.

- Stój! Policja!

Peter dał nurka w tłum. Jeśli nawet policjant miał wycelowany rewolwer, nie odważy się strzelić. Ostro rozpychając się, Chancellor dotarł do skraju chodnika i ruszył biegiem.

Skrzyżowania ulic były zatłoczone, na jezdniach korek godziny szczytu.

Przed nim, w połowie drogi do następnego rogu, stała pusta taksówka. Chancellor skoczył w jej stronę z nadzieją, że nikt go nie wyprzedzi. To było więcej niż środek transportu, to był także azyl.

- Jestem po pracy, koleś. Nie biorę pasażerów.

- Ale masz zapalone „wolny”.

- Omyłka. Już zgaszone. - Taksówkarz spojrział na niego, potrząsając głową z niesmakiem.

Peter nagle uświadomił sobie, że roboczy kombinezon na nim pękł, że wygląda na włóczęgę, a może jeszcze gorzej. Nie zastanawiając się nawet, zaczął ściągać strój roboczy na środku jezdni.

Sliiiiiczna. dziewczynaaa... jest jak... meelodia...

Przyglądał mu się pijak stojący na skraju chodnika, klaszcząc w dłonie w rytmie tej rozbieranki. Samochody ruszyły z miejsca, taksówka odjechała. Chancellor wyskoczył z kombinezonu i cisnął nim w pijaczka. Samochody na jezdni znów stanęły. Peter rzucił się między zderzaki i bagażniki, zmieszał się z tłumem. Spojrzał na zegarek. Od rozmowy z Longworthem upłynęło dwadzieścia siedem minut. Musi znaleźć telefon. Obok następnego bloku, położonego ukośnie po drugiej stronie ulicy, w szybach budki odbijały się kolorowe światła reklam. A wyżej, nad Waszyngtonem, niebo było ciemne.

Znowu prześliznął się między pojazdami. Budka była zajęta. Nastolatka w drelichach i czerwonej flanelowej koszuli prowadziła ożywioną rozmowę. Peter spojrział na zegarek, minęło dwadzieścia dziewięć minut. Longworth powiedział, że ma być ściśle trzydzieści. Czy dokładność była ważna? Czy minuta lub dwie mogą sprawić różnicę?

Chancellor zastukał w szybę. Dziewczyna rzuciła mu wrogie spojrzenie. Pchnął drzwi i wrzasnął: - Jestem policjantem! Potrzebuję tego telefonu! - Tylko to przyszło mu do głowy.

Wystarczyło. Dziewczyna wypuściła słuchawkę.

- Dobra. - Zaczęła się usuwać z miejsca, ale nagle pochyliła głowę w kierunku zwisającej słuchawki.
- Zatelefonuję do ciebie, Jennie! I wybiegła w tłum.

Peter położył słuchawkę na widełki, wyciągnął kartkę z zapisanymi numerami, wrzucił monetę i nakręcił pierwszy.

- „ManfriedieY” - oznajmił głos po drugiej stronie. Słysząc muzykę, zadzwonił do restauracji.

- Peter Chancellor. Powiedziano mi, żebym tu zadzwonił. - Musiał to być fałszywy trop, tego Peter był pewien.

- W roku 1923 w Monachium, nastąpiło dziwne wydarzenie. Tysiące ludzi zebrały się na wiecu. Przepowiadało to rzeczy, które miały nastąpić w przyszłości, ale nikt nie zdawał

sobie z tego sprawy. Proszę opisać, co to było i podać tytuł książki, w której wydarzenie zostało

opisane. - To było na Marienplatz. Udział wzięły tysiące ludzi. Byli ubrani, w identyczne mundury, a każdy niósł szpadel. Nazwali się Armią Kopaczy. Schutzstaffel. Był to początek nazizmu. Tytuł książki brzmi „Reichstag!”.

Po krótkiej chwili głos odezwał się znowu.

- Proszę nie brać pod uwagę następnego podanego panu numeru. Ta sama centrala, ale ostatnie cztery cyfry powinny być: pięć, jeden,! siedem, siedem. Czy pan zapisał?

- Tak. Pięć, jeden, siedem, siedem. Ta sama centrala.

Rozmowę zakończono. Peter nakręcił nowy numer.

- Sztuka i Przemysł - zgłosił się kobiecy głos.

- Nazywam się Chancellor. Czy ma pani dla mnie pytanie?

- Tak - odpowiedział miły głos. - W Serbii istniała organizacja założona w drugiej dekadzie wieku, a na jej czele stał... - Pozwoli pani, że zaoszczędzę jej czasu - przerwał Peter.

Organizacja nazywała się „Jedność Śmierci”. Została założona w 1911 roku, a jej przywódca znany był jako „Apis”. W rzeczywistości nazywał się Dragutin i był szefem serbskiego wywiadu wojskowego. Książka nosi tytuł „Sarajewo!”.

- Doskonale, panie Chancellor. - Kobieta odezwała się takim głosem, jakby była nauczycielką i udzielała w klasie pochwały dobrze przygotowanemu uczniowi. - Oto pański następny numer telefoniczny. Podyktowała, a on nakręcił. Znow ta sama centrala.

- Historia i Technologia, Wydział Laboratoriów. - Rozmówcą był mężczyzna. Peter podał swe nazwisko i w odpowiedzi usłyszał, że musi chwilę poczekać. Po chwili usłyszał

inny głos, tym razem kobiecy z cudzoziemskim akcentem.

- „Chciałabym, abyś mi powiedział, co powoduje, że mężczyzna zrywa ze wszystkim, co zna i chwali, oraz podejmuje ryzyko stania się pariasem w oczach tych, którzy są mu równi.. Bo odmówić podjęcia tego ryzyka, kontynuować poprzednie życie oznaczałoby umrzeć wewnętrznie”. Chancellor zapatrzył się w białą obudowę telefonu. Były to jego własne słowa z „Przeciwuderzenia!”. Jeden krótki akapit z tysięcy, ale dla Petera był on kluczem do całej książki. Jeśli Longworth był w stanie to zrozumieć, być może jest człowiekiem większej wartości, niż Chancellor przypuszczał.

- „Świadomość, że sprawiedliwa i uczciwa administracja nie miała już dla przywódców znaczenia. Trzeba to wykazać narodowi i stawić czoło przywódcom” -

Chancellor poczuł się głupio, cytując samego siebie.

- Dziękuję, panie Chancellor - odrzekła kobieta z obcym akcentem. - Proszę przeanalizować tę swoją

odpowiedź oraz rozmowy telefoniczne, które odbył pan przed chwilą. Ich zestawienie powie panu to, co chce pan wiedzieć.

Peter zgłupiał.

- Nic mi to nie mówi! Muszę się spotkać z Longworthem! Proszę mi zaraz podać, gdzie on jest!

- Nie znam żadnego pana Longwortha, odczytuję tylko słowa, które stary przyjaciel podyktował mi przez telefon.

Rozległ się trzask, a następnie przerywany sygnał. Peter walnął w aparat. Co za bzdura! Trzy nie związane ze sobą rozmowy, dotyczące książek, które napisał w okresie...

Nie związane? No, chyba nie. Zawsze ta sama centrala. To zaś oznaczało miejsce... Gdzie ta książka telefoniczna?

Wisiąca na łańcuchu z prawej strony. Znalazł restaurację „ManfriedieY”. Adres brzmiał: Dwunasta PółnocnoZachodnia Ulica. Drugi telefon odebrała kobieta, która zgłosiła się słowami: Sztuka i Przemysł. A trzeci to była Historia i Technologia. Jaki miały związek?

Związek nagle stał się oczywisty. To były budynki w zespole Instytutu Smithsona!

Restauracja „ManfriedieY” była w pobliżu ulicy Mali. W pobliżu Instytutu! Prawdopodobnie była to jedyna restauracja w tej okolicy.

Ale gdzie w Instytucie? Zajmował ogromny teren.

Przeanalizuj swoją odpowiedź.

Świadomość, że sprawiedliwa i uczciwa administracja...

Administracja! Gmach administracji Instytutu! Jedna ze słynnych budowli Waszyngtonu.

To o to chodziło! Tam był Longworth!

Peter odrzucił książkę telefoniczną. Zrobił zwrot i pchnął drzwi. Zatrzymał się jak wryty. Przed nim stał mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym. W ciemności rozjaśnianej tylko błyskającymi kolorami gwiazdkowych dekoracji, Chancellor dostrzegł w jego ręku rewolwer. Na lufę miał nakręconą dziurkowaną rurę tłumika. Była wycelowana w jego brzuch.

ROZDZIAŁ 27

Nie miał czasu do namysłu. Wobec tego wrzasnął. Tak głośno i przeraźliwie, jak potrafił.

Zamachnął się lewą ręką od dołu, w stronę okropnej dziurkowanej rury. Dwukrotnie zawibrowała od strzałów, w powietrze wyleciał kawałek betonu. O parę jardów dalej mężczyzna i kobieta zaczęli histerycznie krzyczeć. Kobieta chwyciła się za brzuch i wijąc się padła na chodnik. Mężczyzna

chwiał się trzymając za twarz, przez palce ciekła mu krew.

Nastąpiło zamieszanie. Mężczyzna w płaszczu znowu pociągnął za spust. Chancellor usłyszał

klaśnięcie, na dłoni poczuł rozpalony żar tłumika, z tyłu rozprysło się szkło. Pomimo to nie wypuścił z ręki śmiertelnościanego narzędzia. Kopnął mordercę w nogę, z rozmachu uderzył go kolaniem w pachwinę i pchnął w stronę jezdni. Samochody toczyły się jeden za drugim, człowiek upadł na zderzak nadjeżdżającego Wozu, uderzenie odrzuciło go z powrotem na chodnik.

Peter miał oparzoną rękę, skórę na dłoni spaloną, ale w palcach nadal zaciskał przylepiony do skóry tłumik. Rewolwer był jego.

Z siłą zrodzoną z paniki człowiek w płaszczu chwiejnie się podniósł. W dłoni trzymał rękojeść noża sprężynowego. Wskoczyło z niej długie ostrze. Rzucił się na Chancellora.

Peter zrobił unik, oparłszy się o budkę. Wyrwał rewolwer z uchwytu lewej dłoni, część spalonej skóry poszła wraz z tłumikiem. Wycelował do człowieka w płaszczu.

Nie był w stanie pociągnąć za spust! Nie potrafił wystrzelić! Człowiek zamachnął się nożem, chcąc poderżnąć mu gardło. Peter odskoczył, ostrze przecięło mu sweter. Kopnął

prawą nogą do góry trafiając mordercę w pierś i odrzucając do tyłu. Mężczyzna upadł. Przez chwilę leżał oszołomiony.

Z dala dobiegło wycie syren i ostre gwizdki nadbiegających zewsząd policjantów.

Chancellor zareagował odruchowo. Trzymając rewolwer w ręce przyskoczył do półprzytomnego przeciwnika i z całej siły trzasnął go lufą w głowę.

A potem, rozpychając ogarnięty histerią tłum, pobiegł aż do skrzyżowania, na jezdnię, pod prąd. I biegł dalej.

Skręcił w wąską boczną uliczkę, zmieszane głosy syren i ludzkich wrzasków zostały w tyle. Uliczka była ciemniejsza niż te z dzielnicy handlowej, wzdłuż niej stały dwu i trzykondygnacyjne ceglane domy, mieszczące niewielkie biura.

W cieniu bramy Peter upadł na ziemię. Bolały go piersi, nogi i skronie. Był tak zdyszany, że obawiał się zwymiotować. Rozluźnił się więc, by znów zaczerpnąć w płuca powietrza.

W jakiś sposób musi się dostać do Instytutu. Do Alana Longwortha. Nie chciał o tym myśleć, przynajmniej nie teraz. Potrzebował chwili spokoju, ciszy pozwalającej na stłumienie pulsowania w głowie, ponieważ nie...

O, Jezu! Obok wylotu uliczki, w słabym świetle lamp ulicznych, dwóch mężczyzn zatrzymywało i wypytywało przechodniów. Zostawił za sobą ślad nie mniej wyraźny niż zbiegły więzień tropiony przez psy gończe.

Z ciemnej bramy wypełził w cień uliczki. Nie mógł pobiec, by nie zwrócić na siebie uwagi. Skręcił za żelazną kratę, podtrzymującą poręcz na kamiennych schodkach i wyrzwał

zza prętów. Mężczyźni rozmawiali ze sobą, ten z prawej trzymał przy uchu walkietalkie.

Ryknął samochodowy klakson. W uliczkę skręcało auto, mężczyźni stali mu na drodze. Odstąpili w lewo przepuszczając je i znikając z pola widzenia Petera. Więc on także im znikł. Lecz tylko na sekundy, najwyżej dwie lub trzy.

Chancellor wyskoczył zza kraty i pognął prawą stroną uliczki. Jeśli uda mu się pobiec mniej więcej tak szybko, jak zbliżał się samochód, zyska dodatkowe sekundy, wystarczyłyby nawet trzy lub cztery. Słuchał szumu zbliżającego się silnika. Udało się! Był już w pobliżu skrzyżowania. Skoczył za róg, przywierając plecami do muru. Wysunął odrobinę głowę i zerknął w uliczkę. Obaj mężczyźni ostrożnie przesuwali się od bramy do bramy. Ta ostrożność zdziwiła Petera. A potem zrozumiał. Podczas panicznej ucieczki zapomniał o tym, ale ciężar w kieszeni przypomniał mu, że ma rewolwer. Rewolwer, z którego nie był w stanie wystrzelić. Przechodnie rzucali mu zaniepokojone spojrzenia, jakaś para przyspieszyła przechodząc obok, matka z dzieckiem przeszła na drugą stronę ulicy, by go ominąć. Spojrzał

na tabliczkę z nazwą - New Hampshire Avenue. Po przeciwnej stronie powinna biec ukośnie ulica T. Znalazł się w dzielnicy handlowej na północ od placu Lafayette'a, więc przebiegł

wzdłuż piętnastu do dwudziestu kwartałów, może i więcej, gdyby brać pod uwagę skróty i boczne przejścia. Musiał w jakikolwiek sposób zawrócić i skierować się na południowy wschód, w stronę Mali. Śledzący go mężczyźni byli nie dalej niż trzydzieści jardów od niego.

Z prawej strony, o pół kwartału na północ, światła uliczne zmieniły się na zielone. Chancellor znowu pobiegł. Dotarł do skrzyżowania, przemknął przez jezdnię, skręcił w lewo i zatrzymał

się. Pod światłami stał policjant i patrzył na niego.

„A może - pomyślał Chancellor - to moja ostatnia szansa?” Może podejść do policjanta, podać swoje nazwisko i powiedzieć, że gonią go jacyś ludzie. Policjant zapyta przez radio i dowie się o awanturze dwadzieścia kwartałów dalej, w której padły strzały i zostali zranieni przechodnie. On też może o tym opowiedzieć i domagać się pomocy. Ale zaraz przyszło mu do głowy, że padną pytania, zaczniesz wypełnianie formularzy, będzie musiał składać zeznania. A Longworth może czekać tylko przez ograniczony czas. Poza tym szukali go ludzie z bronią i radiostacjami, w hotelu zaś pozostała sama Alison, z jednym tylko człowiekiem do obrony. Zgłoszenie się do policji nie zakończy szaleństwa. Tylko je przedłuży.

Światła zmieniły się. Peter szybko przeszedł skrzyżowanie obok policjanta i skierował

się w ulicę T. Skręcił w zacienioną bramę i obejrzał się. O półtora kwartału na południe czarna limuzyna jadąca na północ zatrzymała się na rogu dopiero co przebytej wąskiej uliczki i New Hampshire Avenue, tuż pod latarnią uliczną. Dostrzegł zbliżających się do niej dwóch mężczyzn i opuszczaną szybę tylnych drzwi.

Przez New Hampshire w kierunku południowym jechała taksówka. Zatrzymała się pod czerwonym światłem. Chancellor rzucił się do niej. Tylne siedzenie zajmował starszy, elegancko ubrany jegomość. Chancellor otworzył drzwi.

- Hej tam! - wrzasnął taksówkarz. - Mam pasażera!

Chancellor zwrócił się do starszego pana. Starał się mówić spokojnie, „jak człowiek próbujący za wszelką cenę opanować się w ciężkiej sytuacji. - Proszę mi wybaczyć, ale sprawa jest bardzo pilna. Muszę dotrzeć do centrum. Moja... moja żona jest bardzo chora.

Właśnie usłyszałem, że... - Bardzo proszę, proszę wsiadać - odparł bez wahania starszy pan. -

Jadę tylko do ronda Dupont. Czy to panu odpowiada? Mogę... - Bardzo, sir. Jestem panu ogromnie wdzięczny. - W chwili gdy Peter wsiadał, zmieniły się światła. Zatrzasnął

drzwiczki, taksówka ruszyła, Czy było to skutkiem trzaśnięcia drzwiczek czy donośnego głosu taksówkarza, nie wiadomo. Lecz w chwili gdy mijali stojącą po drugiej stronie New Hampshire limuzynę, Chancellor przekonał się, że dwaj mężczyźni go zauważyli. Wyjrzał

przez tylne okienko. Człowiek z prawej strony miał walkietalkie przy ustach.

Dojechali do ronda Dupont, starszy pan wysiadł. Chancellor polecił kierowcy, by jechał na południe przez Connecticut Avenue. Ruch na jezdni zgęstniał i pewne było, że w miarę zbliżania się do centrum będzie jeszcze gęściejszy. Miało to i dobre, i złe strony.

Zatłoczone jezdnie pozwalały Peterowi rozglądać się we wszystkie strony, by sprawdzić, czy ktoś podąża w ślad za nim. Ale równocześnie pozwalało to tamtym łatwiej go odnaleźć, nawet dogonić na piechotę.

Dotarli do ulicy K, na prawo była Siedemnasta. Peter próbował wyobrazić sobie plan Waszyngtonu, główne przelotowe prostopadłe na południe od Elipsy.

Constitution Avenue! Może polecić kierowcy skręcić w lewo w Constitution i podjechać pod Instytut przed wejście od strony Mali? Ale czy na tym odcinku było wejście?

Musiało być. Tego ranka, w konspekcje rozdziału, wyobraził sobie Alexandra Mereditha, jak wyjeżdża... ucieka... z Mali. Czy on to naprawdę napisał? Czy tylko...?

Przez tylne okienko Chancellor zauważył, że czarne auto opuściło swój szereg i wyskoczyło na lewy pas. Podjechało równoległe do taksówki. Nagle z jego wnętrza wytrysnął

strumień światła, przecinając smugi reflektorów aut jadących z tyłu. Peter pochylił się, trzymając twarz w cieniu karoserii i wyjrzał. Tuż obok człowiek siedzący koło kierowcy opuścił szybę i skierował latarkę na wymalowany na drzwiczkach numer taksówki.

Chancellor usłyszał, co mówił.

- Tutaj! Jest!

To było szaleństwo wewnątrz szaleństwa. W tekście pisanym tego ranka przez Chancellora dwaj mężczyźni ścigali Alexandra Mereditha po ulicach Waszyngtonu.

Samochód zrównał się z wozem Mereditha, opuszczono szybę i rozległ się głos:

- Tutaj!

Człowiek wysiadł. Przeskoczył wąską przestrzeń między obu samochodami, chwycił

wyciągniętą ręką za klamkę taksówki. Światła zmieniły się, a Chancellor wrzasnął do kierowcy:

- Wzdłuż Siedemnastej! Gazem!

Taksówka skoczyła do przodu. Kierowca tylko niejasno zdawał sobie sprawę, że ma tu do czynienia z jakimś problemem, w który nie chce być wmieszany. Za nimi ryknęły klaksony. Peter wyjrzał przez okno. Na jezdni nadal stał mężczyzna. Był zdezorientowany, zły i przeszkadzał w ruchu. Taksówka pomknęła na południe przez Siedemnastą Ulicę obok gmachu rządowego do New York Avenue i Galerii Corcorana. Zatrzymała się pod czerwonym światłem. Galeria była oświetlona, Chancellor czytał w którejś gazecie, że ma się tam odbyć wystawa dzieł z muzeum w Brukseli.

Zmiana świateł trwała zbyt długo. Czarny samochód mógł ich lada chwila dogonić.

Peter sięgnął po portmonetkę. Były w niej dwie dziesięciodolarówki i kilka jedynek.

Wyciągnął wszystko i pochylił się do kierowcy. - Chciałbym, żeby pan coś dla mnie zrobił.

Muszę wejść do Galerii Corcorana, ale proszę na mnie czekać pod wejściem z zapalonym silnikiem i z oznaczeniem, że jest pan zajęty. Jeśli nie wyjdę za dziesięć minut, proszę odjechać, pieniądze są pańskie.

Taksówkarz spojrział na dziesiątki i wziął je do ręki.

- Zdawało mi się, że idzie o chorobę pańskiej żony. Kto tam był, u diabła? Próbował otwierać drzwi...

- To bez znaczenia - przerwał mu Chancellor. - Światła się zmieniają, proszę zrobić, co

powiedziałem.

- Pańskie pieniądze. Ma pan dziesięć minut.

- Dziesięć minut - potwierdził Peter. Wysiadł. W górę prowadziło kilka stopni, za nimi zamknięte szklane drzwi, a w środku umundurowany strażnik stojący w niedbalej postawie obok małego biurka. Chancellor szybko przebiegł schody i otworzył drzwi. Strażnik spojrzął

na niego, ale nie zagroził mu drogi.

- Czy mogę zobaczyć pana zaproszenie, sir?

- Na wystawę?

- Tak, sir.

- Jestem, wie pan, w kłopotcie - szybko powiedział Peter sięgając po portfel. -

Reprezentuję New York Timesa i mam napisać o tej wystawie do najbliższego niedzielnego wydania. Kilka minut temu przydarzył mi się wypadek uliczny i nie mogę znaleźć...

Miał szczerą nadzieję, że ma to w portfelu. Rok wcześniej napisał kilka artykułów dla Times Magazine, redakcja wydała mu tymczasową legitymację prasową.

Znalazł ją między kartami kredytowymi. Pokazał ją strażnikowi, zakrywając palcami datę ważności. Ręka mu drżała, zastanawiał się, czy strażnik to zauważy.

- Okay, okay - rzekł strażnik. - Proszę się nie przejmować. Tylko podpisać w książce gości.

Chancellor pochylił się nad biurkiem, ujął przymocowany na łańcuszku długopis i naskrobał swoje nazwisko.

- Gdzie jest wystawa?

- Proszę pojechać na drugie piętro jedną z wind z prawej strony. Szybko podszedł do szybów windowych i nacisnął guzik. Zerknął na strażnika, który nie zwracał na niego uwagi.

Drzwi windy rozsunęły się, ale Peter nie miał zamiaru wsiadać. Chciał tylko, by ich szum skrył odgłos jego kroków, gdy pobiegnie do wyjścia po przeciwległej stronie gmachu.

Ale usłyszał też inny hałas. Za jego plecami otworzyły się szklane drzwi. Peter rozpoznał człowieka z czarnego samochodu. Bieg wydarzeń zdecydował za niego. Szybko wsiadł do pustej windy, naciskając pierwszy guzik, jaki wpadł mu pod rękę. Drzwi się zamknęły, winda ruszyła. Po chwili znalazł się wśród przewalającego się w miejscu tłumy, zalewanego potokami światła z sufitu. Kelnerzy w czerwonych kurtkach, niosący srebrne tace, prześlizgiwali się między gośćmi. Wszędzie dokoła wisały obrazy i stały rzeźby, oświetlone punktowcami. Goście należeli do korpusu dyplomatycznego i tej kategorii ludzi, która się ich trzyma, także waszyngtońskich dziennikarzy.

Wielu znał osobiście.

Peter zatrzymał kelnera i wziął kielich szampana. Wypił go szybko, kieliszek przynajmniej częściowo zakrywał mu twarz. Rozejrzył się. - Peter Chancellor! To pan!

Poznałabym pana na końcu świata! pozdrowiła go Brunhilda, postać rodem z opery Wagnera, w ukwieconym kapeluszu na głowie zamiast hełmu Walkirii. - Kiedy wyjdzie pana nowa powieść?

- W tej chwili nie pracuję nad żadną.

- Po co przyjechał pan do Waszyngtonu?

Peter spojrział na ścianę.

- Mam słabość do malarstwa flamandzkiego.

Brunhilda w lewej ręce trzymała mały notesik, w prawej ołówek. Nie przestając mówić zapisywała. „Zaproszony przez Ambasadę Belgijską... znawca sztuki flamandzkiej...”

- Tego nie powiedziałem - zaprotestował Chancellor. - Nie jestem znawcą.

Poprzez tłum dostrzegł rozsuwające się drzwi windy. Wszedł z nich mężczyzna, który przed chwilą przecisnął się do holu przez szklane drzwi na parterze.

Brunhilda coś mówiła, ale on nie zwracał na to uwagi.

- ...jakżebym chciała, by miał pan romans z żoną pracownika ambasady. Wszystko jedno, którego.

- Czy jest tutaj klatka schodowa?

- Co?

- Klatka schodowa. Wyjście! - Chancellor ujął ją pod ramię i obrócił tak, by znalazła się między nim i linią wzroku człowieka z windy. - Byłam p r z e k o n a n a, że to pan! -

Cienki, wysoki głos należał do jasnowłosej dziennikarki, którą Peter niejasno sobie przypominał. Pan nazywa się Peter Chancellor i jest pan literatem.

- To by się zgadzało. Czy nie wie pani, którędy do wyjścia? Muszę natychmiast znaleźć się na parterze.

- Niech pan jedzie windą - odrzekła. - O, proszę, właśnie jest wolna. - Odsunęła się o krok, by pokazać ręką.

- Manuskrypt...

Gest zwrócił uwagę człowieka z samochodu. Ruszył w stronę Petera. Chancellor zaczął się cofać.

Mężczyzna przeciskał się przez tłum. W drugim końcu sali, za stołem z zakąskami, przez wahadłowe drzwi wszedł kelner. Chancellor puścił swój kieliszek i chwycił za ramiona zdumione dziennikarki, popychając je w stronę drzwi.

Człowiek był już parę metrów od nich, a wahadłowe drzwi tuż za stołem. Peter skoczył w bok, nie uwalniając dziennikarek. Gdy ścigający wy dostał się z ciżby, Chancellor zakręcił kobietami i popchnął je z całej siły w stronę nadbiegającego. Mężczyzna krzyknął, ołówek Brunhildy przebił jego dolną wargę, z ust pociekła mu krew. Peter chwycił od spodu szeroki stół zastawiony zakąskami oraz dwiema ogromnymi wazami ponczu i podniósł jego brzeg, z hukiem zrzucając na podłogę zmieszana masę sreber, szkielek, płynów i pokarmów.

Krzyki przybrały na sile, ktoś dmuchał w gwizdek. Chancellor przez wahadłowe drzwi wpadł do bufetu. Na ścianie z lewej strony dostrzegł oświetlony na czerwono znak wyjścia.

Złapał wózek bufetowy na kółkach i pociągnął go z taką siłą, że koła odpadły. Przed wahadłowymi drzwiami zwały się na podłogę salaterki z sałatkami. Podbiegł do wyjścia i napał na drzwi całym ciałem. Spojrzał za siebie. Przy wejściu do bufetu kłębili się ludzie, ale nie dostrzegł wśród nich ścigających.

Schody były puste. Zbiegł po trzy stopnie naraz na podest i trzymając się poręczy z rozpędu skręcił dalej. Lecz w tej samej chwili stopy wrosły mu w ziemię, lewym kolaniem uderzył w żelazny słupek. Poniżej, przed drzwiami ze schodów do holu, stał człowiek, którego ostatnio widział na Connecticut Avenue. Ten, który wyskoczył z samochodu. I nie był postacią powieściową, był realny. Tak samo jak realny był rewolwer w jego dłoni.

Obłąd! Peterowi przyszła do głowy szalona myśl, że w kieszonce na chustkę musi mieć minimagnetofon. Odruchowo podniósł lewą rękę, by nacisnąć guzik przez materiał. By uruchomić magnetofon. Nie istniejący! Co się z nim działo?

- Czego ode mnie chcecie? Dlaczego mnie śledzicie? - wyszeptał, niepewny już, co jest rzeczywistością.

- Chcemy tylko z panem porozmawiać. Upewnić się, że pan rozumie...

- Nie! - W jego głosie coś wybuchło. Skoczył z podestu przed siebie. A gdzieś z głębi usłyszał ohydne klaśnięcie wystrzału. Ale to go nie dotyczyło, niczemu już nie wierzył.

Nagle poczuł w rękach skórę i włosy. Jego przecinające przestrzeń ciało w coś uderzyło, rozbijając głowę mężczyzny o metalowe drzwi.

Realny człowiek z realnym rewolwerem upadł nieprzytomny, z twarzą i włosami we krwi. Peter wstał i przez chwilę zamarł w szoku, próbując oddzielić fantazję od rzeczywistości.

Musiał uciekać. Nic mu już nie pozostawało poza ucieczką. Kopniakiem otworzył

drzwi i ruszył po marmurowej posadzce. Strażnik stał przy wyjściu na ulicę, trzymając jedną rękę na kaburze rewolweru, a w drugiej walkietalkie.

Gdy Peter się zbliżył, strażnik przemówił.

- Jakies kłopoty tam na górze, he?

- Tak. Paru pijanych, o ile mogłem się zorientować.

- Czy ci dwaj faceci pana znaleźli? Powiedzieli mi, że pan pracuje w FBI.

- Cooo?! - Peter stanął jak wryty, trzymając się drzwi wejściowych. - Pańskie posiłki.

Ci dwaj faceci. Weszli zaraz za panem. Pokazali mi legitymacje. Oni też są z FBI.

Chancellor już nie czekał na resztę opowieści. Kompletny obłęd. FBI! Bez tchu, z zamglonym wzrokiem, zbiegł po schodkach.

- Panie, według licznika ma pan jeszcze czas.

O niecałe trzy jardy, przy brzegu chodnika stała jego taksówka. Podbiegł i wskoczył do środka.

- Na Elipsę! I na litość boską, szybko! Drogą okrężną do parku Instytutu Smithsona.

Pokażę panu, gdzie się zatrzymać.

Taksówkarz dodał gazu.

- Tak czy inaczej pan już zapłacił.

Peter odwrócił się i wyrztał przez tylne okno w stronę Galerii Corcorana. Właśnie zbiegał ze schodów na chodnik mężczyzna, trzymający jedną rękę przy twarzy, a w drugiej walkietalkie. To był ten, który przyjechał windą na wystawę i któremu ołówek dziennikarki przebił wargę. Zauważył taksówkę. Inni już będą czekać. Gdzieś tam. Wjechali na zakręt wokół Elipsy. Na południe od nich stał pomnik Waszyngtona, z alabastrowym cokołem zalany światłem reflektorów. - Proszę zwolnić - polecił Peter - tuż przy trawniku. Ale bez zatrzymywania. Wskoczę, lecz nie chciałbym... - Peter przerwał. Nie wiedział, jak to powiedzieć.

- Lecz nie chce pan - kierowca mu pomógł - aby ten, kto tam śledzi moją brykę, widział, że pan skacze. Tak?

- Tak.

- Kłopoty?

- Tak.

- Z gliniarzami?

- Jezu, nie! To sprawa... osobista.

- Wyglądasz mi pan na równego. Pan uczciwie ze mną, ja uczciwie z panem -

kierowca zwolnił trochę - za jakieś pięćdziesiąt jardów, na samym końcu zakrętu, nim droga przejdzie w prostą, skacz. A ja wtedy ruszę, jakbym miał ogień pod tyłkiem, i tak pojedę kawał drogi. Nikt pana nie zobaczy. Kapewu?

- Tak. Skapowałem. Dzięki.

- Teraz!

Taksówka przyhamowała. Chancellor otworzył drzwi i skoczył nad krawężnikiem.

Siła odśrodkowa i własnego skoku przeniosły go daleko na trawę.

Taksiarz włączył klakson na stałe. Inne auta zjeżdżały na prawo, dając mu wolną drogę. To był sygnał alarmu, coś się komuś musiało stać. Ukryty na trawniku Peter patrzył, co będzie dalej. Tylko jeden samochód nie zatrzymał się ani nie zawahał i nie skręcił w prawo, jak to robili inni. Sygnał alarmowy nie sprawił na nim najmniejszego wrażenia. Wskoczył na pas za taksówką i pomknął jej śladem.

Była to czarna limuzyna, którą Peter widział na New Hampshire Avenue.

Przez chwilę leżał nieruchomo. W oddali piszczały opony. Po drugiej stronie Elipsy, od strony Continental Hali, jakiś inny wóz skręcał ostro w obwodową ulicę. Szukał go? Wstał

i rzucił się biegiem przez ziemię i trawę.

Pod stopami poczuł beton, był na jezdni. Przed nim wyrosły budynki, a obok siebie miał jadące powoli samochody. Nie ustawał w biegu wiedząc, że za tymi ciemnymi budynkami i pojedynczymi drzewami znajduje się Instytut.

Nagle upadł i potoczył się po chodniku. Z tyłu usłyszał wyraźny odgłos biegnących kroków. Znaleźli go!

Z trudem wstał, ale zaraz rzucił się do biegu jak nazbyt nerwowy sprinter przy falstarcie. Biegł na oślep, na wycucie. Nagle dostrzegł to, czego szukał! Na tle nieba zarysowała się znana balustrada. Sylwetka Instytutu! Biegł tak szybko, jak tylko potrafił przez nie kończące się trawniki, przeskakując

nisko zwisające łańcuchy, oddzielające je od ścieżek, aż wreszcie stanął bez tchu przed frontem ogromnego budynku.

Był na miejscu, ale gdzie jest Longworth?

Przez sekundę miał wrażenie, że coś za sobą słyszy. Odwrócił się. Nie było nikogo.

Nagle gdzieś w ciemnościach zabłysły dwie iskierki światła, dalej niż zza schodów wiodących do głównego wejścia. Pojawiły się tuż nad ziemią, na lewo od stojącego na szczycie schodów posągu. Znowu błysnęły. Wyraźnie były skierowane do niego! Szybkim krokiem zaczął się do nich zbliżać. Bliżej, jeszcze bliżej, trzydzieści stóp, dwadzieścia.

Szedł w stronę ciemnego rogu potężnego gmachu muzealnego, rosła tam czarna kępa krzaków.

- Chancellor! Padnij!

Peter rzucił się na ziemię. W ciemnościach błysnęło dwa razy, usłyszał przytłumione strzały rewolwerowe, a następnie z tyłu odgłos padającego na ziemię ciała. W nocnym półmroku w dłoni zabitego dostrzegł rewolwer. Był skierowany w jego stronę.

- Przyciągnij go tutaj! - rozległ się w ciemnościach wyszeptany rozkaz.

Chancellor odruchowo wykonał polecenie. Wciągnął leżące na trawie ciało w cień, a potem podpełzł do Alana Longwortha.

Longworth umierał. Był oparty plecami o mur Instytutu. W prawej ręce trzymał

rewolwer, który ocalił życie Petera, lewą przyciskał brzuch. Po palcach ciekła mu krew.

- Nie miałem czasu, by panu podziękować - rzekł Chancellor tak cicho, że ledwie usłyszał własne słowa. - Choć może nie powinienem. To był jeden z pańskich ludzi.

- Nie mam żadnych ludzi - odpowiedział jasnowłosy zabójca. - O tym potem. Pójdzie pan ze mną. Zaraz. - Rozzłoszczony Peter podniósł się.

- Nigdzie nie idę, Chancellor. Jeśli zostanę tu i nie będę się poruszał, mam jeszcze parę minut. Jeśli się ruszę, to ani minuty.

Longworth znowu mówił z tym dziwnym, gardłowym akcentem.

- W takim razie poszukam pomocy - odparł Peter, teraz już z lękiem. Nie mógł pozwolić, by Longworth umarł. W każdym razie nie teraz. - Wezwę pogotowie!

- Pogotowie nie pomoże. Uwierz mi na słowo. Ale chcę ci coś powiedzieć. A ty postaraj się

zrozumieć.

- Rozumiem wszystko. Grupa nawiedzonych próbuje rozwalić FBI, aby móc je opanować. A ty do niej należysz.

- To nieprawda. Sprawa wykracza poza Biuro. To my staramy się ich powstrzymać, ja się starałem. A teraz tylko ty możesz to uczynić. Znalazłeś się najbliżej rdzenia, nikt inny nie ma twoich możliwości. - Dlaczego?

Longworth pominął milczeniem jego pytanie. Głęboko zaczerpnął powietrza.

- Brakujące teczki. Prywatne archiwum Hoovera...

- Nie ma brakujących teczek! - przerwał rozwścieczony

Peter. - Są tylko ludzie tacy jak ty i ten, którego właśnie zabiłeś. Pomyliłeś się, Longworth. On mnie tropił, ścigał. Wylegitymował się, był z FBI! Był jednym z was!

Longworth spojrzał na zwłoki zabitego przez siebie człowieka.

- A więc fanatycy dowiedzieli się o teczkach. To, jak myślę, było nieuniknione. Kto je ma, może ich użyć. Świetny sposób zacierania śladów, cała wina spadnie na niego.

Chancellor nie słuchał. Najważniejsze było dla niego wydanie Longwortha w ręce Quinna O'Briena.

- Twoje uwagi przestały mnie interesować.

- Twierdzisz, że kochasz tę dziewczynę - odrzekł Longworth ciężko oddychając. -

Jeśli to prawda, musisz mnie wysłuchać. - Ty bydlaku! Daj jej wreszcie spokój!

- Jej matka, ojciec... To oni. Coś się stało z matką.

Peter przyklęknął bliżej Longwortha.

- Co wiesz o jej matce?

- Nie tyle, ile trzeba. Ale ty możesz się dowiedzieć. Słuchaj mnie cierpliwie. Po pierwsze, nie nazywam się Longworth.

Chancellor wpatrzył się w niego z powątpiewaniem, choć przecież wiedział, że słyszy prawdę. Kółka w kółkach. Wyobraźnia i rzeczywistość, ale jak je odróżnić? Na ciemne nocne niebo wypłynął księżyc. Po raz pierwszy Peter mógł wyraźnie widzieć twarz Longwortha.

Umierający nie miał brwi ani rzęs. Wokół oczodołów miał tylko zdartą do żywego mięsa skórę, a

całą twarz poparzoną. Był bity i torturowany.

ROZDZIAŁ 28

- Nazywam się Stefan Varak. Jestem ekspertem .do spraw szyfrów w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa, ale także wykonuję pewne funkcje na rzecz grupy...

- Varak! - dopiero po dłuższej chwili do Petera dotarło to nazwisko. Ale wtedy zatrzęsł się z zimna. - Więc ty jesteś człowiekiem, którego szuka O'Brien?

- Quinn O'Brien? - spytał Varak krzywiąc się z bólu.

- Tak. To z nim rozmawiałem i jemu powiedziałem wszystko. Próbował się z tobą skontaktować!

- Byłem w takiej sytuacji, że żadne wiadomości do mnie nie docierały. Miałeś szczęście. Quinn jest tam jednym z najbystrzejszych i najczystszych ludzi. Ufaj mu. - Varak zakaszłał z wyrazem bólu na twarzy. - Jeśli fanatycy się ujawnili, Quinn zagrozi im drogę.

Co chciałeś mi powiedzieć? Co wiesz o żonie MacAndrewa?

Varak podniósł zakrwawioną dłoń.

- Muszę wyjaśnić. Tak szybko, jak się da. Postaraj się zrozumieć... Od początku zostałeś zaprogramowany. Mieszaniną prawdy i kłamstwa. Musieliśmy spowodować, abyś się w to wmieszał, abyś zaczął działać, zmusił wroga do reakcji, do ujawnienia... - Varaka chwycił kurcz. Chancellor poczekał, aż mu przejdzie, po czym spytał:

- Mieszaniina prawdy i kłamstwa. Co jest czym?

- Powiedziałem ci. Teczki. Znikły.

- Więc nie było morderstwa?

- Nie do pomyślenia - Varak wpatrywał się w Petera, dysząc coraz szybciej. - Ludzie zwalczający Hoovera są godni szacunku. Bronili ofiar Hoovera środkami prawnymi, nie pozaprawnymi.

- Ale teczki zabrano.

- Tak. To jest częściowo prawdziwe. Dossiers od litery „M” do •”Z”. Zapamiętaj sobie

- znowu chwycił go kurcz. Peter przytrzymał mężczyznę za ramiona, to wszystko, co mógł

zrobić. Drgawki ustąpiły Varak kontynuował: - A teraz opiszę to szczegółowo. Używając twoich słów.

Jego słów? Varak miał szkliste oczy, znów przemawiał z obcym akcentem.

- Moich słów? Co chcesz powiedzieć?

- W twoim czwartym rozdziale...

- Moim czym?

- Twoim rękopisie.

- Czytałeś go?

- Tak.

- Jakim sposobem?

- Nieważne. Nie mam czasu... Twoje „Jądro”. Skupiłeś głównie uwagę na trzech osobach: senatorze, dziennikarce i byłym ministrze... Varakowi zamgłiły się oczy, głos ucichł.

- Więc co z nim? - dopytywał się Chancellor, nic nie rozumiejąc, - Użyć teczek w dobrej sprawie... - Umierający nagle odetchnął głęboko. - To ty powiedziałaś.

Peter przypomniał sobie. Teczki. W rękopisie włożył te słowa w usta eksministra. Jeśli można używać w taki sposób, jak czyni to Hoover, można sytuację odwrócić. Można ich użyć w dobrej sprawie! - To był ten błąd w rozumowaniu, który miał doprowadzić do tragedii. - Co z tego, że powiedziałem? O czym ty mówisz?

- To właśnie się zdarzyło... - przez chwilę Varakowi udało się skupić spojrzenie na Peterze. Wysiłek pochłaniał resztkę jego sił. - Ktoś stał się mordercą. Mordercą wynajmującym innych morderców. - Cooo?!

- Pięciu ludzi. Jeden z czterech... Nie Bravo. Nigdy Bravo... - Co ty powiedziałaś?

Kim jest Bravo?

- Jakaż cudowna pokusa! Użyć teczek, aby czynić dobro.

- Cudowna...? Nic w tym cudownego! To wymuszenie!

- W tym cała tragedia.

Chryste! Znowu jego słowa!

- Jakich pięciu ludzi? Co to ma znaczyć?

- Wenecję znasz... Bravo też, ale to nie Bravo! Nigdy Bravo! Varak z najwyższym trudem odsunął swą krwawą rękę od rany na brzuchu i włożył do kieszeni marynarki.

Wyciągnął kawałek białego splamionego krwią papieru. - Jeden z tych czterech. Myślałem, że to Sztandar lub Parys. Teraz nie jestem pewien. - Wepchnął kartkę w dłoń Chancellora. -

Pseudonimy: „Wenecja”, „Krzysztof”, „Sztandar”, „Parys”. To jeden z nich. Nie „Bravo”.

- „Wenecja”... „Parys”... Kim oni są?

- Grupą. To twoje „Jądro”. - Varak znów przycisnął dłoń do rany. - Jeden z nich wie.

- Co wie?

- Co oznacza „Chasong”. Matka.

- MacAndrew? Jego żona?

- Nie on. Ona! On jest tylko przynętą.

- Przynętą? Mów jaśniej.

- Rzeź. Znaczenie ukryte za rzezią w Chasongu!

Peter spojrział na zakrwawioną kartkę w ręce. Na wypisane nazwiska i pseudonimy.

- Jeden z nich? - spytał umierającego, niepewny, co jego własne pytanie miałoby znaczyć.

- Tak.

- Dlaczego?

- Ty i córka. T y! Szło o to, by cię zbić z tropu. Byś pomyślał, że tu się kryje odpowiedź. A tak nie jest.

- Jaka odpowiedź?

- Chasong. Coś, co się za tym kryje.

- Przestań! O czym ty mówisz?

- Nie Bravo... - oczy Varaka skryły się pod powiekami.

- Kim jest Bravo? Czy to jeden z nich?

- Nie. Nigdy Bravo.

- Varak, co się s t a ł o? Skąd masz taką pewność co do Chasongu? - Inni ci pomogą...

- Ale co z C h a s ó n g i e m?

- Trzydziesta Piąta Ulica. Dom. Złapali mnie i zakleili plastrem oczy, twarz. Nie widziałem ich ani przez chwilę. Potrzebowali zakładnika. Wiedzieli, co zrobiłem... Nie widziałem ich, ale słyszałem. Mówili językiem, którego nie znam, a to znaczy, że wiedzieli, iż nie znam. Ale powtarzali nazwę C h a s ó n g. Za każdym razem... jak maniacy. Więc to ma jeszcze inne znaczenie. Ustal, co się kryje za rzezią w Chasongu. To cię zaprowadzi do teczek.

Varak upadł na twarz. Chancellor chwycił go i wyprostował. - Musi być coś jeszcze!

- Bardzo niewiele. - Szept Varaka ucichł. By go słyszeć, Peter musiał przyłożyć ucho do jego ust. - Wzięli mnie przez miasto, myśleli, że jestem nieprzytomny. Posłyszałem samochody. Wypchnąłem drzwi i wyskoczyłem z plastrami na twarzy. Strzelili do mnie, ale odjechali. Musiałem się z tobą spotkać w cztery oczy. Nie mogłem mówić przez telefon.

Miałem rację. Pod dwa mylne numery, jakie ci dałem, zadzwoniono. Gdybym ci Podał przez telefon to, co ci mówię teraz, zostałbyś zabity. Chroń dziewczynę. Wykryj znaczenie rzezi pod Chasongiem.

Chancellor poczuł, że ogarnia go panika, głowa mu pękała. Varak był bliski śmierci. O parę chwil! O sekundy!

- Mówiłeś, że są inni! Do kogo mogę się zwrócić? Kto mi pomoże? - O'Brien -

wyszeptał Varak. A potem spojrzał na Petera z dziwnym uśmiechem na bezkrwistych wargach. - Zajrzyj do swego rękopisu. Jest tam senator. To mógłby być... Idź do niego. On się nie boi. Varak zamknął oczy. Umarł.

A w głowie Chancellora rozszalała się burza z piorunami. Ziemia zatrzęsała się od wybuchów, nie było już na niej miejsca dla zdrowego umysłu. Senator... Przekroczył linię, której nikomu nie wolno było przekraczać. Pozwolił głowie Varaka opaść na kamienną ścianę i powoli wstał, cofając się pełen trwogi tak głębokiej, tak absolutnej, że nie mógł nawet myśleć.

Ale mógł uciekać. I na ślepo pobiegł przed siebie.

Był blisko wody. Odbijające się światła połyskiwały na powierzchni jak tysiące miniaturowych świeczek, drżących w niewyczuwalnym powiewie. Jak długo uciekał, nie wiedział. Gdy zaczął porządkować myśli, najpierw mu się wydało, że jest znów w Nowym Jorku, o świcie, wśród rzeźb klasztoru Fort Tryon, gdzie przed chwilą jasnowłosy człowiek nazwiskiem Longworth ocalił mu życie.

Ale on nie nazywał się Longworth. To był Varak i już nie żył. Peter zamknął oczy.

Ogarnął go od tak dawna upragniony spokój. Powoli osunął się na ziemię, kolanami dotknął

trawy i zadrzał. Usłyszał dźwięk zbliżającego się silnika i miażdżonego kołami żwiru.

Otworzył oczy i rozejrzał się.

Zatrzymał się motocykl, z reflektorem skierowanym ukośnie w dół. Zsiadł z niego policjant. Oświetlił Petera latarką.

- Z panem wszystko w porządku?

- Tak. Tak. Czuję się dobrze.

Policjant podszedł bliżej. Chancellor niepewnie podniósł się, zauważywszy, że ukryta w półcieniu dłoń policjanta odpięła kaburę. - Co pan tu robi?

- Ja... nie jestem pewien. Prawdę powiedziawszy, wypłem odrobinę za dużo, więc poszedłem na spacer. Zawsze tak robię, to lepsze od siadania za kółkiem.

- Na pewno lepsze - zgodził się policjant. - A nie ma pan zamiaru zrobić czegoś głupiego, co?

- Co? Co pan ma na myśli?

- Na przykład popływać sobie bez chęci powrotu?

- Co?

Policjant stał przed nim, badając go wzrokiem.

- Wy brudził się pan pierwszorzędnie.

- Upadłem. Powiedziałem panu, że...

- Wiem. Pochlał pan. Dziwne, nic nie czuję.

- Wódka.

- Depresja? Problemy rodzinne? Kłopoty? Chciałby pan porozmawiać z księdzem lub rabinem? Czy może z adwokatem?

- Ach! Pan myśli, że chcę się utopić? - Peter wreszcie zrozumiał. - Zdarzało się.

Wyciągaliśmy ciała z Basenu.

- Jesteśmy przy Basenie Tidal? - spytał Chancellor.

- W jego południowozachodnim skraju. - Policjant machnął ręką w prawo. - Tam jest Droga Ohio, a po drugiej stronie wody - pomnik Jeffersona.

Peter spojrzął na świecące wskazówki swego zegarka. Było trochę po wpół do dziesiątej. Stracił ponad dwie godziny, przez dwie godziny był bez przytomności. A miał tyle do roboty. Najpierw ułagodzić zaniepokojonego policjanta. Zaczął dobierać słowa.

- No więc, proszę pana, czuję się doskonale. Naprawdę. A także, prawdę powiedziawszy, muszę się dostać do telefonu. Czy tu jest w pobliżu jakaś budka?

Policjant sięgnął do pasa i zapiął kaburę.

- Tam, przy drodze, jakieś sto jardów na południe, może mniej. Prawdopodobnie może pan tam również złapać taksówkę. Ale jeśli znów pana zatrzymają, to uwaga! Inni gliniarze mogą być ostrzejsi ode mnie. - Dziękuję za ostrzeżenie - uśmiechnął się Peter. - I dziękuję za troskliwość.

- To nasz obowiązek. A teraz ostrożnie.

Chancellor skinął głową i poszedł przez trawnik w kierunku wskazanym przez policjanta. Mógłby zadzwonić do Alison, ale jego telefon hotelowy był na podsłuchu, nic zatem i tak jej nie może powiedzieć. Zamiast tego powinien się połączyć z Quinnem O'Brienem.

- Gdzie ty się, u diabła, podziewasz?! Wyraźnie kazałem ci nie ruszać się z hotelu! Ty cholerny...

- Fanatycy próbowali mnie zabić - szybko przerwał mu Chancellor, przypominawszy sobie określenie Varaka.

- Fanatycy? - O'Brien był wstrząśnięty. - Gdzie usłyszałeś to określenie?

- O tym właśnie musimy pomówić. O tym i o innych sprawach. Właśnie się wydostałem z Galerii Corcorana.

- Corcorana... To ty tam byłeś?

- Tak.

- O, mój Boże! - W głosie O'Briena zabrzmiał przestach.

- Jestem w tej chwili na...

- Zamknij się! - wrzasnął nagle agent FBI. - Ani słowa! Zaczekaj chwilę... nie odkładaj słuchawki. - Peter słyszał oddech O'Briena, agent namyślał się. - Nasza rozmowa zeszłej nocy. Przypomnij sobie dokładnie. Powiedziałeś mi, że z trzech różnych budek dzwoniłeś trzy razy do Nowego Jorku.

- Aleja...

- Powiedziałem: zamknij się! Myśl. Dzwoniłeś przed i po strzelaninie na Trzydziestej Piątej Ulicy.

- Ja...

- Słuchajże! Jedna z tych rozmów... sądzę, że późniejsza, nie jestem pewien... Dostań się do tej budki, z której ją odbyłeś. Teraz rozumiesz? Nie odpowiadaj natychmiast. Zastanów się.

Peter próbował zrozumieć, co O'Brien chce mu powiedzieć. Nie odbył trzech rozmów, tylko jedną. Dzwonił do Tony'ego Morgana przed tym wariactwem na Trzydziestej Piątej. A potem do nikogo.

Zastanów się! Eliminuj! To o to chodzi! Agent miał na myśli ten jedyny telefon, tę jedną budkę.

- Rozumiem - powiedział.

- Dobrze. To było potem, prawda? Po Trzydziestej Piątej Ulicy. - Tak - odparł

Chancellor wiedząc, że to kłamstwo.

- Gdzieś w Wisconsin, o ile pamiętam.

- Tak. - Znowu wprowadzenie w błąd.

- Dobrze. Pojedź tam. Będę dzwonił co dziesięć minut. Przypomnij sobie jakieś zdanie z naszej rozmowy, które i ja bym pamiętał, i powiedz je, gdy będziesz przyjmował telefon.

Zrozumiałeś?

- Tak.

Peter odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki. Szedł na południe w stronę świateł nad mostem przez Potomak, rozglądając się za taksówką. Idąc starał się przypomnieć sobie dokładne położenie budki, z której dzwonił do Morgana. Była koło Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona. Nadjechała taksówka. Budkę znaleźli bez trudu. Znowu był tłum wokoło, kolorowe światła i kolędy dochodzące z niewidocznych głośników. Poleciał kierowcy zaczekać - taksówka będzie mu potrzebna nadal. Miał przy sobie tylko dwie pięćdziesięciodolarówki, a więc musiał je rozmienić. Wiedział dokładnie, co ma zrobić.

Odkryć znaczenie Chasongu.

Zamknął drzwi budki i zdjął słuchawkę z widełek, trzymając na nich palec. Ledwie usłyszał dzwonek, natychmiast je zwolnił i przemówił. „Być może zostanę tu przez całą noc...

To pan ma zdecydować”. Było to jedno z pierwszych zdań, jakie skierował do agenta podczas ich spotkania.

- Bardzo dobrze - odrzekł O'Brien. - Jestem o dziesięć kwartałów stamtąd, na Dwudziestej Ulicy. Być może śledzą mnie, więc nie możemy się spotkać. A teraz powiedz mi, co się zdarzyło. Gdzie

usłyszałeś określenie „fanatycy”?

- Dlaczego? Czy to takie ważne?

- Bez żartów. Nie masz na to czasu.

- Nie żartuję. Jestem ostrożny. Jeśli zauważę, że ktoś mi się przygląda albo że zatrzymuje się samochód, zacznę uciekać. Myślę, O'Brien, że jesteś czysty, tak mi przynajmniej powiedziano. Ale chcę mieć pewność. Więc to ty mi powiedz, co to słowo oznacza. Kim są fanatycy?

O'Brien odetchnął głęboko.

- Pięciu czy sześciu specjalnych agentów, którzy działali w najgłębszej konspiracji, bezpośrednio dla Hoovera. Miał do nich zaufanie. Chcą, aby wszystko było znów po staremu, chcą kierować Biurem. To właśnie dałem ci do zrozumienia ostatniej nocy. Ale nie użyłem określenia „fanatycy”.

- Ale oni nie należą do sprawy, prawda? Nie mają brakujących teczek.

O'Brien zamilkł. Wstrząs, jakiego doznał, był do rozpoznania nawet przez telefon.

- A więc wiesz!

- Tak! Powiedziałeś, że te czki zostały zniszczone, że nie ma w tej sprawie żadnego planu. Ale skłamałeś. Plan jest, bo nie zostały zniszczone. Ktokolwiek je ma, jest przekonany, że jestem bliski jego zdemaskowania... czy ich zdemaskowania. I na tym polegał cały pomysł. Byłem przynętą. Prawie się udało, ale człowiek, który mnie zaprogramował, został

zabity przez własną pułapkę. A teraz powiedz mi, co wiesz, i to do końca!

O'Brien odpowiedział spokojnie, opanowawszy podniecenie:

- Przypuszczam, że te te czki mają fanatycy. Działali za ich pomocą, mieli do nich dostęp. Dlatego nie mogłem rozmawiać z tobą z mego biura, założyli podsłuch w moim telefonie. Musieli to zrobić. A teraz, na litość boską, mów, co się zdarzyło.

- W porządku. Znalazłem tego twojego Varaka.

- Co?

- Znałem go jako Longwortha.

- Longwortha? Pierwszego maja... dzienne raporty bezpieczeństwa! To o n ma te czki!

- O'Brien mimo woli krzychał do telefonu. - To n i e ma sensu! - odpowiedział zdumiony Peter. - On nie żyje. Poświęcił życie, by odnaleźć te te czki. - Zrelacjonował agentowi wszystko, co się

przydarzyło od telefonu Varaka, nie pominawszy śmierci Varaka oraz wyrażonego w agonii przekonania, że O'Brien jest w stanie powstrzymać fanatyków. Ale nie wspomniał o Chasongu. Na razie była to jego sprawa osobista.

- Varak nie żyje - cicho powiedział O'Brien. - Trudno w to uwierzyć. Był jednym z tych, na których liczyliśmy. Niewielu takich zostało.

- Ten facet z CIA... my się znamy. Powiedział, że wielu z was współpracuje ze sobą.

W całym Waszyngtonie. Że musicie to robić. - I robimy. Ale całe przekleństwo polega na tym, że nie mamy się do kogo zwrócić po poradę prawną. W Departamencie Sprawiedliwości nie ma ani jednego prokuratora, któremu bym ufał.

- Może ktoś jest. Senator. Varak mi powiedział. Ale jeszcze nie... Nie teraz. Umiesz wydawać rozkazy, O'Brien. Czy umiesz też ich słuchać?

Nie bardzo. Muszą być sensowne.

- Czy sprawa tych teczek ma sens?

- Głupie pytanie.

- Więc zrób dla mnie dwie rzeczy. Wydostań Alison MacAndrew z hotelu HayAdams, zostań z nią i zabierz tam, gdzie będzie bezpieczna. Polują na mnie. Będą chcieli jej użyć, by mnie dosięgnąć. - Zgoda, to mogę zrobić. A druga sprawa?

- Potrzebny mi adres majora o nazwisku Pedro Ramirez. Ma przydział do Pentagonu.

- Chwileczkę.

Nagle Peter przestraszył się. Przez telefon usłyszał szelest papieru. Papieru! Położył rękę na obudowie telefonu, gotów przerwać połączenie i uciekać.

- O'Brien! Powiedziałeś mi, że jesteś dziesięć kwartałów stąd. W budce telefonicznej!

- I jestem. Przeglądam książkę telefoniczną.

- O, Jezu... - Chancellor przełknął ślinę.

- Jest. Ramirez, P. Mieszka w Bethesdzie. - Agent przeczytał adres, Peter go zapamiętał. - Czy to wszystko?

- Nie. Będę chciał zobaczyć się z Alison dziś w nocy albo jutro rano. W jaki sposób się dowiem, dokąd ją zabrałeś, gdzie jesteście? Masz jakiś pomysł?

Milczenie. W pięć sekund później O'Brien się odezwał.

- Znasz Quantico?

- Bazę marynarki?

- Tak, ale nie teren wojskowy. Jest tam motel nad zatoką. Nazywa się „Sosny”. Tam ją zabiorę.

- Wynajmę samochód.

- Nie rób tego. Agencje wynajmu łatwo skontrolować. Jest komputer, który monitoruje wszystkie w mieście. Złapią cię. To samo dotyczy firm taksówkowych, żadna z nich nie utrzymuje w tajemnicy kierunków jazdy. Będą wiedzieli, dokąd pojechałeś.

- Więc co, u diabła, mam zrobić? Pójść piechotą?

- Mniej więcej co godzinę są pociągi do Quantico. To najlepsze, co masz do wyboru.

- W porządku. Do zobaczenia.

- Chwileczkę - O'Brien mówił z naciskiem, lecz nadal był opanowany. - Znów coś ukrywasz, Chancellor. Idzie o MacAndrewa. Peter podskoczył w miejscu. Zapatrzył się w tłumy za szybą. - Robisz nieuzasadnione przypuszczenia.

- A ty robisz z siebie głupca. Widać nawet gołym okiem, o co tu chodzi. Ramirez pracuje w Pentagonie, czyli tam, gdzie pracował MacAndrew.

- Nie naciskaj, O'Brien. Proszę.

- Dlaczego miałbym tego nie robić? Nie przekazałeś mi najważniejszej rzeczy: w jakim celu chciał się z tobą zobaczyć Varak? - Ależ powiedziałem. Wyjaśnił mi swoją taktykę. Jak zostałem zaprogramowany.

- Na to nie traciłby czasu. Przynajmniej nie w chwili śmierci. Dowiedział się czegoś i powiedział ci, co to jest.

Chancellor potrząsnął głową, czoło miał pokryte potem. Nie mógł powiedzieć O'Brienowi o Chasongu, póki sam nie odkryje jego znaczenia. Bo im bardziej się w to zagłębiał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że od tego zależy życie Alison.

- Daj mi czas do jutra rana.

- Dlaczego?

- Bo ją kocham.

Paul Bromley gapił się w pęknięte lustro, stojące na toalecie, której brakowało gałek przy

środkowych szufladach. Zasmucił go ujrzenie tam obraz wybladłej twarzy starego, chorego człowieka. Na jego podbródku jeżyła się szara szczecina, nie golił się od przeszło czterdziestu ośmiu godzin. Brudny, krochmalony kołnierzyk koszuli luźno zwisał wokół jego wychudzonej szyi, świadcząc o postępującej chorobie. Zostało mu niewiele czasu. Ale powinno wystarczyć. Musi.

Odwrócił się od lustra i poszedł do łóżka. Pościel była ohydnie brudna. Omiótł spojrzeniem ściany i sufit. Wszędzie popękany tynk i odłaząca farba.

Myśleli, że dał się złapać w pułapkę, ale ich arogancja była nieuzasadniona. Ludzie mieli wobec niego zobowiązania. Życie spędził w Waszyngtonie na kontrolowaniu wielkich wydatków, wielu ludzi stało się jego dłużnikami. Zawsze było coś za coś: będziesz mógł

zrobić to, jeśli dasz mi tamto. Przez większość czasu funkcjonowało to doskonale. Ogólnie rzecz biorąc, był dumny ze swych waszyngtońskich osiągnięć, uczynił wiele dobrego.

Zrobił też kilka rzeczy, z których nie był już taki dumny. Szczególnie z jednej, dokonanej dla łajdaka, który dostarczył mu danych potrzebnych do wzięcia się za złodziei w Departamencie Obrony. To był ten dług, którego zapłacenia miał zażądać. W razie odmowy może zadzwonić do redakcji Washington Post. Ale kanalia nie odmówi.

Bromley wziął leżącą na łóżku marynarkę, nałożył ją i wyszedł na brudny korytarz, a potem schodami na dół, do holu. W kącie tkwił w niezdarnej postawie pilnujący go agent FBI, niczym wymuskany manekin ze sklepowej witryny, ustawiony pośród zbiorowiska ludzkich wraków. Nie musiał pełnić dyżuru na korytarzu pierwszego piętra, hotel miał tylko jedno wejście, co jasno świadczyło, jakim zaufaniem dyrekcja darzy swoich klientów.

Bromley podszedł do wiszącego na ścianie automatu telefonicznego, wrzucił monetę i nakręcił numer.

- Halo? - Głos był nosowy i niemiły w brzmieniu.

- Mówi Paul Bromley.

- Kto?

- Trzy lata temu. Detroit. Projekt.

Głos odpowiedział dopiero po chwili:

- Czego chcesz?

- Tego, co mi jesteś winien. Chyba że wolisz, abym zadzwonił do przyjaciela w Washington Post. Trzy lata temu prawie cię przyłapali. Mogą to zrobić i dziś. Przygotowałem także list. Zostanie wysłany, jeśli nie wrócę do domu.

Znowu chwila ciszy.

- Gadaj.

- Przyślesz po mnie auto. Powiem ci, gdzie. A wraz z nim przyślij jednego z twoich zbirów. Pilnuje mnie tu człowiek z Federalnego. Chcę, by na chwilę został zablokowany. Ty doskonale robisz takie rzeczy. Bromley czekał na chodniku przed hotelem HayAdams. Gotów był stać tak przez całą noc, jeśli zajdzie potrzeba. A we dnie może się skryć w bramie kościoła po drugiej stronie alei. Prędzej czy później Chancellor się pokaże. A gdy to zrobi, Bromley go zabije.

Rewolwer, który miał w kieszeni, kosztował pięćset dolarów. Wątpliwe, czy był wart więcej niż dwadzieścia. Ale zażądał od swojego człowieka ze sprawy Detroit pomocy, a nie dobroczynności. Co chwila rzucał niespokojne spojrzenie w stronę okien po prawej stronie hotelu na skraju piątego piętra. Tam był apartament Chancellora. Drogi apartament. Zeszłego wieczoru, nim zadzwonił do pisarza, poprosił nie podejrzewającą niczego telefonistkę w centrali o numer apartamentu. Dobrze sobie żył ten pisarzyna!

Ale nie pożyje długo.

Bromley usłyszał, jak po Szesnastej Ulicy w kierunku południowym pędzi samochód.

Zatrzymał się przed wejściem do hotelu. Wsiadł z niego rudowłosa mężczyzna, zamienił kilka słów z portierem i wszedł do holu.

Księgowy zauważył, że samochód nie ma znaków rozpoznawczych. W dawnych czasach, gdy na wniosku trzeba było przystawić pieczętkę, zatwierdzał całe tuziny takich zakupów. Był to wóz FBI. Portier podszedł do skraju chodnika, by zatrzymać jakąś taksówkę.

Za nim podążyła para ludzi.

Świetnie się składało! Chancellor umrze!

W chwilę później ukazała się kobieta. Towarzyszył jej rudowłosa. Ale nie było Chancellora!

Musi gdzieś tu być!

- Jest pan pewien? - dobiegło go pytanie zaniepokojonej kobiety. - Przyjedzie pociągiem dziś późnym wieczorem. Albo jutro rano zapewnił rudowłosa. - Proszę się nie niepokoić.

Pociąg.

Bromley podniósł kołnierz palta i ruszył w długą drogę na Union Station.

ROZDZIAŁ 29

Jadąc taksówką do domu Ramireza, Peter wyjął zakrwawioną kartkę z nazwiskami nakreślonymi ręką zmarłego Varaka. Znowu napełniły go zgrozą. Zgrozą i lękiem, bo były to nazwiska ludzi niezwykłych. Każdy był słynny, każdy znakomity, każdy niezwykle potężny.

A jeden z nich miał teczki Hoovera.

Ale w jakim celu, na Boga?! Peter przyjrzał się kolejno wszystkim nazwiskom, każde coś mu przypominało.

Szczupły, o ostrych rysach Frederick Wells, pseudonim „Sztandar”. Prezydent uniwersytetu, rozdawca milionów za pośrednictwem potężnej Fundacji Roxtona, jeden z najbardziej błyskotliwych architektów polityki Kennedy'ego. Znany z tego, że gdy chodziło o zasady, nigdy nie szedł na kompromisy, nawet jeśli jego decyzje budziły nienawiść całego Waszyngtonu.

Daniel Sutherland, „Wenecja”, może najbardziej szanowany czarny obywatel kraju.

Szanowany nie tylko z powodu osiągnięć, ale i dla mądrości rozstrzygnięć prawnych. Podczas krótkiej, półgodzinnej rozmowy parę miesięcy temu Peter czuł, jak pełen współczucia jest ten człowiek. Litości widocznej nawet w spojrzeniu.

Jakub Dreyfus, „Krzysztof. Jego Peter przypominał sobie mniej wyraźnie od pozostałych. Bankier unikał wystawiania się na widok publiczny, ale świat finansów nie mógł

go ignorować. Prasy finansowej również to dotyczyło. To on często kształtował politykę monetarną państwa. Bank Rezerw Federalnych rzadko podejmował decyzje bez wcześniejszych z nim konsultacji. Jego działalność dobroczynna znana była na całym świecie, a szczodrość bezgraniczna.

Carlos Montelan, „Parys”. Był nauczycielem prezydentów, potęgą w Departamencie Stanu, gigantem naukowym, którego analizy polityki światowej były śmiałe i wnikliwe.

Montelan był naturalizowanym Amerykaninem, jego rodzina pochodziła z Hiszpanii. Byli to intelektualiści kastylijscy, walczący zarówno ze skompromitowanym Kościołem, jak i z generałem Franco. On sam był zaciekłym wrogiem jakichkolwiek form ucisku.

Jeden z tych czterech niezwykłych ludzi zdradził ideały, które miał rzekomo wyznawać. Czy na skutek „cudownej pokusy”, jak to określił Varak? Popęlniać okropne czyny z idealistycznych motywów? To było nie do przyjęcia. Mogli to robić ludzie mniejszej miary. Ale nie ci. Chyba że jeden z nich nie był taki, za którego się podawał. Nie istniało nic bardziej przerażającego od takiej perspektywy. Wizji człowieka, który może wznieść się na takie wyżyny, ukrywając głęboką zgniliznę. Chasong.

Varak był świadom, że umiera, dobierał więc słów jak najstaranniej. Początkowo zawęził zakres swych podejrzeń do Wellsa i Montelana, czyli Sztandara i Parysa, a potem zmienił zdanie i rozszerzył je także na Sutherlanda i Dreyfusa, Wenecję i Krzysztofa. Zmiana ta była w jakiś sposób związana z językiem, którego nie znał, i z maniackim powtarzaniem nazwy „Chasong”. Ale dlaczego właśnie oni? Co spowodowało, że Varak tak mocno podkreślał wagę nieznanego języka i powtarzającego się słowa? Jak do tego doszedł? Nie wystarczyło mu czasu na wyjaśnienia.

Znaczenie kryjące się za rzezią w Chasongu. Rzezią! Peter zapamiętał twarz Ramireza z malującym się na niej wyrazem zimnej nienawiści na pogrzebie MacAndrewa. Ramirez nie znosił MacAndrewa. Ale czy to się wiązało z Chasongiem? Czy był to tylko atak zawiści, nie kończącej się wraz ze śmiercią rywala? To nie było wykluczone, ale w spojrzeniu Ramireza kryło się coś więcej.

Wkrótce się dowie, taksówka wjeżdżała do Bethesdy. A jeśli tajemnica kryła się tutaj, to do którego z czterech niezwykłych ludzi zaprowadzi Chasong? I jak?

Peter złożył kartkę Varaka i ukrył w kieszeni marynarki. Był jeszcze piąty człowiek.

Varak nie podał jego nazwiska, a tylko pseudonim: Bravo. Kim był? I czy Varak chroniąc go nie pomylił się? Czy nie znany Bravo mógł być posiadaczem teczek? I nagle Peterowi przypomniało się coś jeszcze. Wenecję znasz... Bravo także.... Skądże Peter mógłby znać takiego człowieka? Kim był Bravo?

Zbyt wiele pytań, za mało odpowiedzi. Wyraźna była tylko jedna: Alison MacAndrew.

Ona stała się dla niego tak ważną odpowiedzią. Dom był nieduży, ceglany. Mieścił się w jednym z owych średnio zamożnych osiedli, których namnożyło się wokół Waszyngtonu: działki budowlane tej samej wielkości, identyczne fasady. Chancellor szczerze oświadczył

taksówkarzowi, że nie ma pojęcia, jak długo tu pozostanie. Nie wiedział nawet, czy Ramirez jest w domu. Ani czy jest żonaty i czy ma dzieci. Możliwe było, że Peter niepotrzebnie przyjechał do Bethesdy ale gdyby najpierw zatelefonował, major Ramirez niewątpliwie nie zgodziłby się go przyjąć.

Drzwi się otworzyły. Peter z ulgą stwierdził, że stoi w nich Pablo Ramirez z pytającym wyrazem twarzy.

- Major Ramirez?

- Tak. Czy my się znamy?

- Nie, ale obaj byliśmy na cmentarzu Arlington tamtego ranka. Nazywam się...

- Pan był z dziewczyną - przerwał major. - Z jego córką. Jest pan pisarzem.

- Tak. Nazywam się Peter Chancellor. Chciałbym z panem pomówić. - O czym?

- O MacAndrewie.

Nim odpowiedział, dłuższą chwilę badał spojrzeniem twarz Petera. Gdy się odezwał, miał głos spokojny, z ledwie zauważalnym obcym akcentem. Ale ku zdumieniu Chancellora nie było w tym głosie wrogości. - Doprawdy nie mam nic do powiedzenia na temat generała.

On nie żyje. Niech pan zostawi go w spokoju.

- Podczas pogrzebu pan myślał inaczej. Jeśli zmarłego można by zabić po raz drugi, uczyniłby pan to wzrokiem.

- Przykro mi.

- Czy to wszystko, co ma pan do powiedzenia?

- Sądzę, że wystarczy. A teraz, wybacz pan, mam robotę.

Ramirez cofnął się o krok z ręką na klamce.

Peter odpowiedział pośpiesznie:

- Chasong. R z e ż w Chasongu.

Major zeszywniał i zatrzymał się. A więc tutaj kryła się tajemnica. - To stara historia.

Sprawę „rzezi”, jak pan ją określił, zbadał gruntownie Inspektor Generalny. Ciężkie straty zostały spowodowane przez niespodziewany, przygniatający ogień chińskiej komunistycznej artylerii.

- A może także przygniatającą zawiść w środowisku dowódców dodał szybko Peter -

na przykład wobec dowódcy Mackie Majchra, mordercy z Chasongu.

Major stał nieruchomo, mierząc Petera owym spotykanym tylko wśród wojskowych, dziwnie obojętnym spojrzeniem.

- Sądzę, panie Chancellor, że powinien pan wejść do środka. Petera ogarnęło poczucie deja vu. Znow znalazł się u drzwi obcego człowieka, którym był oficer armii, i wymusił

przyjęcie za pomocą informacji, której nie powinien posiadać. Nawet gabinety Ramireza i MacAndrewa były podobne. Ściany pełne fotografii i pamiątek ze służby wojskowej.

Chancellor zwrócił wzrok na otwarte drzwi pokoju, na chwilę przypomniał sobie samotny wiejski dom. Ramirez inaczej zrozumiał jego spojrzenie.

- Poza mną nie ma tu nikogo - powiedział sucho. Tak sucho jak mówił przed miesiącami MacAndrew. - Jestem nieżonaty.

- Tego nie wiedziałem. Niewiele wiem o panu, majorze. Zaledwie tyle, że studiował

pan w West Point mniej więcej w tym samym czasie, co MacAndrew. I że odbywał pan z nim służbę w Afryce Północnej, a później w Korei.

- Jestem pewien, że wie pan więcej. Nawet tego, co pan powiedział, nie mógł pan usłyszeć, nie dowiadując się jeszcze czegoś. - Na przykład?

Ramirez usiadł w fotelu naprzeciw Petera.

- Że jestem człowiekiem rozgoryczonym, a może nawet i notorycznym malkontentem.

Intrygantem z Puerto Rico, który uważa, że go pomijano w awansach z powodu narodowości.

- Słyszałem niesmaczny dowcip na temat Marynarki Wojennej, który nie spodobał mi się.

- Ten na temat cocktailparty w Marynarce? Że mieli mnie ubrać w strój kelnera? -

mdły uśmiech ukazał się na twarzy majora. Chancellor kiwnął głową. - Wcale nie najgorszy.

Sam go wymyśliłem.

- Co takiego?

- Pracuję w specjalnym, bardzo ważnym dla armii wydziale Pentagonu. Nie ma on nic wspólnego z klasycznym wywiadem. Z braku lepszego określenia nazywamy to „działem stosunków z mniejszościami narodowymi”.

- Majorze, co pan mówi...?

- Nie jestem majorem. Jestem generałembrygadierem. Niewątpliwie w czerwcu otrzymam drugą gwiazdkę. Major, widzi pan, może się zapuszczać w różne miejsca i łatwiej nawiązywać z ludźmi kontakty niż pułkownik czy generał.

- Aż po takie środki musicie sięgać?

- Współczesne wojsko stoi w obliczu niezwykłych problemów. Nikt nie chce o nich mówić, ale też nikt nie może ich przemilczeć. Mamy wśród szeregowców całą masę wyrzutków społecznych, ludzi bez żadnych kwalifikacji. Czy pan się orientuje, jakie mogą być tego skutki? - Oczywiście. Jakość sił zbrojnych gwałtownie się pogarsza. - To tylko pierwsze stadium. Mamy wśród skutków takie wydarzenia jak My Lai, mamy żołnierzy nieustannie naćpanych, handlujących narkotykami jakby to były wojskowe konserwy. A potem następne stadium, niezbyt odległe. Z powodu naturalnego wyczerpywania się kadr, obniżenia wymagań przy rekrutacji oraz przewagi liczebnej takich właśnie ludzi, poziom dowodzenia nieustannie się pogarsza. Ujmując rzecz w aspekcie historycznym jest to przerażające. Nie idzie o czasy Dżyngischana czy nawet późniejszych Kozaków; tamci ludzie żyli w barbarzyńskim otoczeniu. Mamy bardziej współczesne przykłady. Dowództwo armii niemieckiej przejęli kryminaliści i w rezultacie mieliśmy nazistowski wermacht. Czy zaczyna pan rozumieć?

Peter wolno pokręcił głową. Tego rodzaju ocena wydała mu się przesadna, zbyt wiele istniało zabezpieczeń przed taką sytuacją. - Nie mogę uwierzyć w istnienie jakiejś junty czarnych terrorystów

- powiedział.

- My także nie. Statystyka, a konkretnie podstawowe dane demograficzne potwierdzają nasze przypuszczenia. Przeciętny czarny powołany do służby wojskowej ma silniejszą i lepszą motywację niż jego biały rówieśnik. Ci zaś, którzy motywacji nie mają, tak czy inaczej trafiają do chuligańskich band. To bardzo demokratyczny system filtracji: śmiecie przyciągają śmiecie. Ponadto istnieją mniejszości: Hiszpanie z Harlemu, chicagowscy Słowacy, Meksykanie z Los Angeles. A kluczem jest bezrobocie, nędza i ignorancja.

- A pan próbuje rozwiązać problem przy pomocy armii?

- Jego początek. Staramy się docierać do takich ludzi, podnosić ich, doskonalić.

Programy oświatowe, łagodzenie niechęci, budzenie ambicji. Wszystko to, czego w wyobrażeniach liberałów nie jesteśmy w stanie dokonywać.

Czegoś tu brakowało, coś się nie zgadzało.

- To wszystko jest bardzo nowatorskie i daje wiele do myślenia zgodził się Peter. - Ale co to ma wspólnego z generałem MacAndrewem? I z tym, co widziałem w Arlington?

- A czemu wraca pan do sprawy Chasongu? - odparował brygadier. Peter odwrócił

wzrok i popatrzył na zdjęcia i odznaczenia, tak bardzo przypominające gabinet MacAndrewa.

- Nie mogę panu powiedzieć w jaki sposób, ale nazwa Chasong wypłynęła po dymisji MacAndrewa. Sądzę, że ma coś wspólnego z jego odejściem z wojska.

- Wysoce nieprawdopodobne.

- Następnie ujrzałem pana w Arlington - kontynuował Chancellor ignorując uwagę Ramireza. - Nie wiem dlaczego, ale uważam, że może istnieć związek między tymi sprawami.

I myślę, że mam rację. Parę minut temu zamykał mi pan drzwi przed nosem, ale na słowo

„Chasong” zaprosił mnie pan do środka.

- Bo byłem ciekaw - oświadczył oficer. - To punkt w najwyższym stopniu zapalny.

- Poza tym - rzekł Peter znowu nie zwracając uwagi na słowa Ramireza - starał się pan jak cholera, aby mnie dokładnie poinformować o zadaniach tego bardzo specjalnego wydziału, w którym pan pracuje. Pan mnie do czegoś przygotowuje. Dlaczego? I dlaczego nienawidził pan MacAndrewa?

- No, dobrze. - Brygadier zmienił pozycję w fotelu. Dla Petera było oczywiste, że rozmówca chce go wystrychnąć na dudka, a dla siebie zyskać nieco czasu na zastanowienie się, co zdoła zataić. W efekcie powstanie mieszanina prawdy i kłamstwa. Wielokrotnie Peter opisywał postacie powieściowe, które robiły to samo. - Każdy z nas najlepiej działa wówczas, gdy głęboko wierzy w

to, co robi. Choć nie uważam siebie za malkontenta, jestem rozgoryczony. I byłem przez cały czas mojej służby wojskowej. Przepęłniał mnie gniew. A MacAndrew wielokrotnie się do tego przyczyniał. Był rasistą, człowiekiem uznającym tylko elitę. A przy tym, co dziwniejsze, był doskonałym dowódcą, ponieważ szczerze wierzył w swoją wyższość i niższość wszystkich innych. Według niego błędy popełniane na średnim szczeblu dowodzenia wynikały z tego, że mało wartościowych ludzi obarczano odpowiedzialnością przekraczającą ich możliwości. Studiował listy ocen i zestawiał osoby z końca listy z ich pochodzeniem etnicznym. Aż nazbyt często na podstawie takich skojarzeń podejmował decyzje.

Ramirez przerwał. Peter przez chwilę milczał, zbyt poruszony, by zabrać głos.

Wyjaśnienie brzmiało po części jak prawda, ale po części jak fałsz. To była mieszanina prawdy i kłamstwa.

- A więc znał go pan bardzo dobrze - powiedział wreszcie Chancellor. - Wystarczająco dobrze, by przejrzeć jego fałszywą grę.

- Czy znał pan jego żonę?

Znów to dostrzegł. Nagłe zeszywnienie Ramireza, które znikło równie szybko, jak się pojawiło.

- To był przykry wypadek. Nieszczęsna, chwiejna istota... Pusta kobieta mająca zbyt liczną służbę, zbyt mało pracy i za dużo do picia. Aż postradała zmysły.

- Nie wiedziałem, że była alkoholiczką.

- Nieważne, jak to nazwać.

- Zdarzył się jakiś wypadek? Słyszałem, że się prawie utopiła? - Było kilka różnych

„wypadków”. Parę z nich, o ile mi wiadomo, zgoła niesmacznych. Ale w moim przekonaniu najważniejszym jej wypadkiem był brak zajęcia. Naprawdę niewiele o niej wiem. I znów Peter poczuł, że Ramirez kłamie. Ten człowiek wiedział bardzo dużo o matce Alison, ale zdecydował się o tym nie mówić. „Niech i tak będzie” - pomyślał Chancellor. To nie on. Ona!

On jest tylko przynętą. Słowa Varaka.

- I to wszystko? - spytał Peter.

- Nie. Ale byłem wobec pana uczciwy. Co pan słyszał o Chasongu? - Że nastąpiła tam niepotrzebna rzeź, w efekcie której tysiące ludzi straciło życie lub zostało kalekami.

- W szpitalach dla weteranów znajdują się ludzie z wielu bitew, nie tylko z Chasongu.

Powtarzam, ten wypadek został zbadany.

Chancellor pochylił się do przodu.

- Okay, generale. Też będę wobec pana uczciwy. Nie sędzę, aby nawet w przybliżeniu został zbadany wystarczająco. A jeśli został, wyniki schowano pod sukno tak szybko, że aż się kurzyło. Jest jeszcze wiele rzeczy, o których nie wiem, ale obraz rysuje się coraz wyraźniej. Nienawidził pan MacAndrewa, sztywnieje pan na słowo Chasong, prawi mi pan kazanie, tłumacząc, jaki z pana fantastyczny facet, a potem znów sztywnieje, gdy wspominam o żonie MacAndrewa, i opowiada równocześnie, że mało pan o niej wie. To kłamstwo... jedno z wielu pańskich kłamstw i wykrętów. Powiem panu, co myślę. Myślę, że Chasong ma związek z MacAndrewem, jego dymisją i śmiercią, z luką w stanie służby i z brakującymi teczkami w Federalnym Biurze Śledczym. A gdzieś w tym kłębowisku tkwi żona MacAndrewa. Ile tam jeszcze jest do rozwikłania, nie mam pojęcia. Ale lepiej będzie dla pana, jeśli mi pan powie. Bo ja to wykryję. Jest w to wplątana kobieta, którą kocham, i nie pozwolę, by ktokolwiek z was dłużej działał. Przestań pleść duperele, Ramirez! Gadaj prawdę!

Reakcja brygadiera była taka, jakby nagle pocisk przeleciał mu koło ucha. Był skrajnie napięty, zamiast głosu wydobył ledwie szept. - Luka w jego stanie służby. Skąd pan to wie?

Nie wspomniał pan o tym. Nie miał pan prawa... Pan mnie oszukał. - Zaczął wrzeszczeć. Nie miał pan do tego prawa! Nie potrafi pan zrozumieć! A my rozumieliśmy. Próbowaliśmy!

- Co się zdarzyło w Chasongu?

Ramirez zamknął oczy.

- Tylko to, co pan myśli. Rzeź była niepotrzebna. Decyzje dowództwa błędne... To było tak dawno temu. Zostawcie to w spokoju! Chancellor wstał z fotela i z góry spojrzał na swego rozmówcę. - Nie. Bo wreszcie zacząłem rozumieć. Uważam, że w historii tego kraju Chasong był największą wojskową operacją maskującą. I jakieś dowody na to znajdują się w teczkach Hoovera. A także uważam, że nawet po tylu latach MacAndrew nie był w stanie dłużej żyć z tą świadomością. Wreszcie musiał o tym powiedzieć. Wtedy wy porozumieliście się i zatłukliście go, bo nie mogliście dłużej żyć pod groźbą, że on to może zrobić.

Ramirez otworzył oczy.

- To nieprawda. Na litość boską, niech pan da temu spokój!

- Nieprawda? - spokojnie zdziwił się Peter. - Nie jestem nawet pewien, czy pan zna prawdę. Jest pan tak bardzo przepełniony winą, że próbuje pan uciekać, nie ruszając się z miejsca. Pańska cnotliwość, generale, jest bardzo podejrzaną próbą. O wiele bardziej podobał mi się pan wtedy w Arlington, pańska złość była przynajmniej autentyczna. Coś pan ukrywa... może sam przed sobą, tego nie jestem pewien. Ale wiem przynajmniej, że odkryję, co oznacza Chasong.

- A wtedy niech Bóg zlituje się nad panem - szepnął generałbrygadier Pablo Ramirez.

Chancellor szybkim krokiem zmierzał przez Union Station w stronę peronu Amtrak.

Była druga po północy. Przepastna, przykryta kopułą hala dworcowa prawie opustoszała. Tu i ówdzie na ławkach kulili się w poszukiwaniu odrobiny ciepła starcy, w obawie przed grudniowym chłodem waszyngtońskiej nocy. Śpieszącemu w stronę peronu Peterowi wydało się przez chwilę, że jeden z mijanych starców wyprostował się i obrzucił go spojrzeniem.

Może przechodząc przerwał mu długi sen z marzeniami o tym, co niemożliwe.

Najbliższy pociąg do Quantico był ostatni przed szóstą rano. Chancellor musiał się pośpieszyć. Chciał dotrzeć do Alison, porozmawiać z nią, sięgnąć do jej wspomnień. A poza tym musiał się wyspać, miał jeszcze tyle do zrobienia, że dalsze pozostawanie bez odpoczynku mogło wyczerpać resztkę siły, jaka mu została. Zaczynał mu się zarysowywać plan. Za punkt wyjścia miała posłużyć rzucona mimochodem przez Ramireza uwaga: Ludzie z Chasongu... są w tuzinach szpitali dla weteranów. Peter wszedł do pustego wagonu i zajął

miejsce przy oknie. Przejrzał się w zakurzonej szybie. Choć odbicie było ciemne i mgliste, ujrzał twarz wymizernowaną, o niezbyt przytomnym wyrazie. Gdzieś z zewnątrz, z ukrytego koła peronu głośnika, dobiegł mechaniczny głos zapowiedzi. Chancellor zamknął oczy i powoli zaczął zapadać się w otchłań znużenia. Pociąg nabierał szybkości, koła stukwały w hipnotycznym rytmie. Z tyłu, w przejściu między ławkami usłyszał przyciszone kroki.

Usłyszał pomimo metalicznego hałasu pędzącego pociągu. Przypuszczając, że to konduktor, nie otwierał oczu. Czekał, aż zostanie zapytany o bilet. Lecz nikt nie pytał. Kroki zatrzymały się. Peter otworzył oczy i odwrócił się.

Wszystko nastąpiło bardzo szybko. Błada, chora, szalona twarz tuż za nim, stłumiony wystrzał, rozlatujące się obok niego obicie ławki. W oparciu widniała wielka dziura!

Człowiek stojący niespełna trzy stopy od niego próbował go zabić! Chancellor zerwał się, sięgając po broń, na której zaciskały się białe, kościste palce. Przewrócony zderzeniem starzec usiłował wstać i skierować lufę w brzuch Petera. Chancellor zmiażdżył chudy przegub przeciwnika o metalowe oparcie siedzenia, broń upadła na podłogę. Peter skoczył w przejście między ławkami, przykrył ciałem rewolwer, a potem chwycił go w rękę. Zerwał się z podłogi.

Starzec tymczasem rzucił się do ucieczki wzdłuż wagonu. Chancellor go dopadł i zatrzymał, przyciskając do brzegu ławki. - Bromley!

- Morderca dzieci!

- Ty głupi wariat! - Peter z całej siły przyciskał ciało Bromleya; do ławki pustego wagonu. Gdzie podziewał się konduktor? Konduktor mógł zatrzymać pociąg i wezwać policję. I naraz Chancellor zawahał się: czy miałby ochotę spotkać się teraz z policją?

- Jak on mógł to zrobić? - zaskowyczał stary, z goryczą wyrzucając przerywane łkaniem słowa. - Jak

on mógł ci powiedzieć?

- O czym ty gadasz?

- Wiedział tylko jeden człowiek. St. Claire... Munro St. Claire. Myślałem, że to tak wielki, tak pełen honoru człowiek. - Bromley załamał się i wybuchnął niepoohamowanym płaczem.

Peter wypuścił starca, niezdolny do panowania nad sobą. Doznał wstrząsu. Munro S t.

Claire. Nazwisko z przeszłości, lecz ciągle obecne w terażniejszości. Człowiek odpowiedzialny za bieg wydarzeń od czasu, gdy odrzucony przez Uniwersytet Park Forest, Chancellor nie wiedział, co czynić dalej.

- O, mój Boże...

Wenecję znasz... Bravo też, ale to nie Bravo! Nigdy Bravo! Piąty człowiek. Bravo.

Munro S t. Claire.

Umysł Chancellora utonął we mgle, ból znowu przeszył skronie. Niezdolny do żadnej reakcji, znieruchomiały, bezradny patrzył, jak stary wywija mu się, skacze do metalowych drzwi między wagonami i odsuwa je szarpnięciem. I nagle trzasnęły drugie drzwi, a do wagonu wdarł się, wraz z głośnym stukotem kół o szyny, przerażająco silny powiew. Rozległ

się okrzyk bólu, a może okrzyk bojowy. Który z nich? Nieważne, był to krzyk śmiertelny.

Bromley skoczył w noc. I nie było już pokoju w sercu Petera Chancellora.

Munro St. Claire.

Bravo.

ROZDZIAŁ 30

Taksówka skręciła z szosy nad zatoką i przejechała między kamiennymi słupami u wejścia do motelu i restauracji „Sosny”. Motel stał w oddaleniu od wszystkich budowli tej nadmorskiej okolicy. Po obu jego stronach były tylko wysokie ceglane mury, żadnych innych budynków, a sam motel, jak się zdawało, znajdował się wprost nad wodą. Przy jasno oświetlonym wejściu Peter wysiadł i zapłacił taksówkarzowi. Wszystko dokoła oświetlały mocne reflektory. Taksówka szybko odjechała. Chancellor odwrócił się i uczynił krok w stronę wielkich staromodnych drzwi.

- Stój! Nie ruszaj się!

Chancellor zamarł. Ostra komenda padła z ciemności za reflektorami, na lewo od wejścia.

- Odwróć się w moją stronę - rozkazał człowiek w ciemnościach. Powoli! A, to pan!

Nie byłem pewien.

- Kim pan jest?

- Nie należę do fanatyków. Proszę wejść do środka i zapytać o pana Morgana.

- Morgana?

- Pana Anthony'ego Morgana. Zostanie pan zaprowadzony do pokoju.

Znowu szaleństwo. Anthony Morgan! Ogłupiały, posłusznie wykonał niezrozumiałe polecenie i wszedł do holu. Podszedł do recepcji. Wysoki, muskularny pracownik stanął na baczność za kontuarem. Oszołomiony Chancellor spytał o pana Anthony'ego Morgana.

Recepcjonista skinął głową. Jego jasne oczy patrzyły nie tylko inteligentnie, ale i konspiracyjnie. Nacisnął dzwonek na kontuarze. W parę sekund zjawił się umundurowany boy. On także był wysoki i potężnie zbudowany.

- Proszę zaprowadzić tego pana do pokoju numer siedem.

Peter poszedł za chłopcem wzdłuż wyłożonego dywanem korytarza. Okno na jego końcu wychodziło na wody zatoki. Chancellorowi wydało się, że dostrzega za jego szybami żelazne kraty. Dotarli do drzwi z siódmką, boy lekko zastukał.

- Tak? - odezwał się głos z wewnątrz.

- Igła jeden - powiedział cicho chłopiec.

- Cztery - odrzekł głos zza drzwi.

- Jedenaście.

- Trzynaście.

- Dziesięć.

- Koniec - oświadczył niewidoczny mężczyzna. Odsunął się rygiel i drzwi otwarto. W

przyćmionym świetle padającym z komfortowej bawialni zarysowała się sylwetka O'Briena.

Kiwnął głową do młodzieńca i ruchem ręki zaprosił Chancellora do środka. Peter zauważył, że agent wkłada rewolwer do kabury.

- Gdzie ona jest? - spytał pośpiesznie Peter.

- Cśśś... - Agent FBI położył palec na ustach i zamknął drzwi. Zdrzemnęła się jakieś dwadzieścia

minut temu. Nie była w stanie zasnąć, jest zaniepokojona do granic szaleństwa.

- Gdzie ona jest?

- W sypialni. Nie obawiaj się, od strony morza okna są otwierane elektronicznie, zabezpieczone kratami i mają kuloodporne szyby. Nikt jej nie tknie. Daj jej spokój, musimy porozmawiać.

- Chcę ją zobaczyć!

O'Brien skinął głową.

- Jasne. Jazda. Tylko cicho.

Chancellor uchylił drzwi na palec. Palilo się tam światło. Alison leżała na łóżku przykryta kocem. Głowę odchyliła do tyłu, jej piękne, zdecydowane rysy były dobrze widoczne. Oddychała głęboko. Spała od dwudziestu minut. Mógł jej pozwolić tylko na krótki wypoczynek. To co musi zrobić, najlepiej zrobić, gdy Alison będzie bliska wyczerpania.

Zamknął drzwi.

- Mamy tu wnękę na posiłki w głębi pokoju - poinformował

O'Brien.

Bawialnia była większa, niż się to początkowo Peterowi zdawało. W jej wschodnim końcu, za wyłożoną glazurą ścianką działową, przy okrągłym oknie wychodzącym na morze, stał okrągły stół. Peter zobaczył teraz wyraźnie, że za szybą jest krata. Obok znajdowała się kuchenka, a na niej dzbanek z kawą. O'Brien zdjął z półki dwa kubki i napełnił. Peter usiadł.

- To nie jest zwykły motel, prawda?

O'Brien uśmiechnął się.

- Ale ma dobrą restaurację. Bardzo modną wśród lepszego towarzystwa.

- Kto jest właścicielem? CIA?

- Na pierwsze pytanie odpowiedź brzmi „tak”. Na drugie „nie”. Należy do Wywiadu Marynarki Wojennej.

- A ci ludzie na zewnątrz? Recepcjonista, boy? Co to za jedni? - Varak ci powiedział.

Nie ma nas wielu, ale znamy się wzajemnie. Pomagamy sobie. - O'Brien łyknął z kubka. -

Przepraszam, że cię zaskoczyłem nazwiskiem Morgan. Miałem powody. -

- Jakie?

- Ty i dziewczyna wyjedziecie stąd rano, ale Morgan nadal będzie zameldowany. Jeśli ktoś cię wytropi, a ślad zaprowadzi tutaj, nazwisko Morgana w rejestrze gości zwróci ich uwagę. Przyjdą do pokoju numer siedem. I będziemy wiedzieli, kto to jest.

- Sądziłem, że wiesz, kim są fanatycy. - Peter pił kawę, uważnie przyglądając się O'Brienowi.

- Znam tylko niektórych z nich - odparł agent. - Gotów do rozmowy?

- Za chwileczkę. - Ból głowy ustępował, ale nie znikł całkowicie. Peter potrzebował jeszcze odrobiny czasu, by powróciła mu jasność myśli. - Dziękuję, że się nią zaopiekowałeś.

- Proszę bardzo. Moja siostrzenica jest mniej więcej w jej wieku. Córka mego brata.

Są bardzo podobne do siebie. Dobre, interesujące twarze. Nie tylko zwyczajnie ładne, rozumiesz?

- Rozumiem. - Ból prawie ustał. - Co oznaczały te wszystkie liczby przez drzwi?

Agent uśmiechnął się.

- Stary, ale dobry sposób. Niewiele różniący się od opisywanych w powieściach szpiegowskich, polega głównie na postępie arytmetycznym i koordynacji czasowej. A tego wy, literaci, jak się zdaje, nie wiecie. - Na czym to polega?

- Elementarny kod cyfrowy. Jako respondent dodaję liczbę, a kontaktujący jest wyćwiczony w kojarzeniu jej z inną, dodając lub odejmując. I musi odpowiadać szybko jak cholera.

- A co by się stało, gdyby tego nie zrobił?

- Widziałeś, że miałem rewolwer w ręce. Nigdy z niego nie korzystałem w taki sposób, ale też i nie zawahałbym się w razie potrzeby. Zastrzeliłbym przez drzwi.

Chancellor odstawił kubek na stół.

- Możemy już rozmawiać.

- Dobrze. Co się stało?

- Bromley wsiadł za mną do pociągu. Próbował mnie zabić. Ja miałem szczęście, a on nie. Uciekł ode mnie i rzucił się pod pociąg. - Bromley? To niemożliwe!

Peter wyciągnął z kieszeni rewolwer, który podniósł w pociągu. - Z tego wystrzelono przez oparcie w środkowej części trzeciego czy, czwartego wagonu, w pociągu odchodzącym o drugiej w nocy z Waszyngtonu. Nie ja strzelałem.

O'Brien wstał z krzesła i podszedł do telefonu we wnęce. Nakręcając numer równocześnie objaśniał.

- Człowiek, którego przystawiliśmy do Bromleya, był przydzielony oficjalnie.

Możemy to natychmiast sprawdzić. - W tym momencie agent zmienił się w dowódcę. -

Bezpieczeństwo. Nadzór obszaru Dystryktu Kolumbia. Oficer służbowy O'Brien... Tak, Chet, to ja.

Dziękuję. Połącz mnie, proszę... Mówi O'Brien. Do niejakiego Bromleya został

przydzielony specjalny agent. Hotel Olympic, dzielnica centralna. Wywołajcie go, proszę.

Natychmiast. - O'Brien przykrył ręką mikrofon i zwrócił się do Chancellora. - Czy wróciłeś do hotelu? Czy wspominałeś komukolwiek... Ramirezowi, komukolwiek, że pojedziesz pociągiem?

- Nie.

- Taksówkarze?

- Od dziewiętej trzydzieści wzięłem tylko jedną taksówkę. Zawiozła mnie do Bethesdy i czekała na mnie. Kierowca nie wiedział, że będę wracał na Union Station.

- Jezu, to przecież nie... Tak, tak, co się stało? Nie możecie? Agent zmrużył oczy mówiąc do telefonu.

- Żadnej w ogóle odpowiedzi? Natychmiast wyślijcie posiłki do hotelu Olimpie. Uzgodnijcie to z policją Dystryktu i niech pomogą. Ten człowiek może być w tarapatach. Jeszcze do was zadzwonię. - O'Brien odwiesił słuchawkę. Był zdumiony i nie ukrywał tego.

- Jak myślisz, co się zdarzyło?

- Nie mam pojęcia. Wiedziały tylko dwie osoby. Dziewczyna i ja. Agent spojrzał na Chancellora.

- Hej, chwileczkę. Jeżeli masz zamiar...

- Nie mam - przerwał O'Brien. - Nie rozdzielałem się z nią nawet na sekundę. Nie telefonowała, a tutaj musimy łączyć się przez centralę.

- A ci ludzie na zewnątrz? Ci, tacy dobrzy w arytmetyce?

- Nie ma sposobu. Nim powiedziałem, że ktoś ma się tu pojawić, poczekałem do odejścia ostatniego pociągu. I nawet wtedy nie podałem, jakim środkiem transportu przyjedziesz. Nie zrozum mnie źle, tym ludziom zawierzyłbym nasze życie. Po prostu tak jest łatwiej, odpowiedzialność rozkłada się na mniej osób. - Agent wolno powrócił do stołu i nagle chwycił się za głowę. - Matko Boska, to mogłem być ja! Przed HayAdamsem, gdy wsiadaliśmy do auta. Dziewczyna była zdenerwowana, więc jej powiedziałem. A on mógł

czekać pod ścianą na podjeździe. W cieniu.

- O czym mówisz?

O'Brien opadł na krzesło zmęczony i zde gustowany.

- Bromley wiedział, gdzie mieszkasz, mógł czekać na ciebie przed hotelem w nadziei, że wyjdiesz mu na strzał. Jeśli tak było, to mógł mnie podsłuchać. Chyba powinienem cię przeprosić za to, że z mojej winy o mało cię nie zabito.

- Trudno mi przyjąć takie przeprosiny.

- I masz rację. A co z tym Ramirezem? Po co do niego pojechałeś? Dla Petera przejście od Bromleya do Ramireza było zbyt nagłe. Ciągle miał przed oczami widok starego, chorego człowieka. Ale już podjął decyzję. Powie agentowi wszystko. Wyciągnął z kieszeni zakrwawiony kawałek papieru, na którym zapisano nazwiska.

- Varak miał rację. Powiedział, że kluczem jest Chasong.

- To właśnie przemilczałeś w rozmowie telefonicznej, prawda? spytał O'Brien. - Z

powodu MacAndrewa i jego córki. Czy Ramirez był zamieszany w sprawę Chasongu?

Chancellor skinął głową.

- Tego jestem pewien. Oni wszyscy coś ukrywają. Uważam, że to operacja maskująca na wielką skalę. Nawet po dwudziestu dwóch latach na samą wzmiankę odchodzą od zmysłów ze strachu. Ale to dopiero początek. Cokolwiek kryje się za Chasongiem, doprowadzi do jednego z czterech ludzi. - Chancellor podał kartkę O'Brienowi. - Jeden z nich ma teczki Hoovera.

• Boże! - Agent przeczytał nazwiska i zbladł jak ściana. - Czy ty masz pojęcie, o jakich ludzi tu idzie?

Oczywiście. Jest też piąty człowiek, ale Varak nie chciał podać jego nazwiska. Bardzo go szanował i pragnął osłonić. Był przekonany, że tym piątym tylko się posłużono, że nie był

on zamieszany w kradzież teczek.

- Chciałbym wiedzieć, kto to taki.

- Ja wiem.

- Zdumiewasz mnie.

- Dowiedziałem się tego od Bromleya, który nie miał pojęcia, że mi o tym mówi. Bo ja, rozumiesz, poznałem kiedyś tego człowieka. Wiele lat temu. Byłem w kłopotliwej sytuacji, a on pomógł mi się z niej wywikłać. Jestem jego dłużnikiem, i to wielkim. Jeśli będziesz nalegał, podam ci to nazwisko. Ale wolałbym najpierw sam się z nim zobaczyć.

O'Brien zastanowił się.

- W porządku. Zgoda. Ale pod warunkiem, że udzielisz mi pełnomocnictwa obrońcy.

- Mów po ludzku.

- Napisz nazwisko tego człowieka i przekaż je adwokatowi, który doręczy mi je w rozsądnie krótkim czasie.

- Po co?

- Na wypadek, gdyby piąty człowiek cię zabił.

Chancellor przyjrzał się agentowi uważnie. O'Brien miał na myśli dokładnie to, co powiedział.

- Zgoda.

- Pomówmy o Ramirezie. Powtórz mi wszystko, co powiedział, opisz każdą jego reakcję, jaką sobie przypominasz, każde słowo. Jaki był jego związek z MacAndrewem? Z

Chasongiem? Skąd się o tym dowiedziałeś? Co cię naprowadziło na jego ślad?

- Coś, co zobaczyłem na cmentarzu w Arlington, i coś, co mi powiedział Varak.

Skojarzyłem sobie te dwie sprawy, wyciągnąłem wnioski... a może to pasowało do czegoś, co wcześniej mogłem napisać. Nie wiem. Po prostu uważałem, że nie powinienem się tu pomylić. I nie pomyliłem się.

Opowieść zabrała Chancellorowi mniej niż dziesięć minut. W tym czasie Peter widział

wyraźnie, jak O'Brien notuje sobie w pamięci poszczególne punkty. Dokładnie tak, jak to robił poprzedniej nocy w Waszyngtonie.

- Odłóżmy na chwilę Ramireza i wróćmy do Varaka. Związek między Chasongiem i jednym z czterech z listy został przez niego ustalony, ponieważ nastąpił przeciek informacji, którego źródłem mógł być tylko jeden z nich. Zgadza się?

- Tak. On dla nich pracował. I on podrzucił im informację. - Do tego dochodzi fakt, że mówiono językiem, którego nie znał. - Z czego wynika, że znał ich wiele.

- O ile wiem, sześć czy siedem - potwierdził O'Brien.

- Chciał przez to podkreślić, że ludzie, którzy go schwytali pod domem na Trzydziestej Piątej Ulicy, musieli wiedzieć, iż używany przez nich język nie jest mu znany.

Czyli musieli go znać. A więc znów wracamy do jednego z czterech. Oni wszyscy go znali i znali jego przeszłość.

- Jeszcze jedno zatem ogniwo dowodu. Czy był przynajmniej w stanie podać, do jakiej grupy językowej należała ich mowa? Wschodniej czy bliskowschodniej?

- Nie powiedział. Mówił tylko, że gdy używali słowa „Chasong”, wymawiali je jak maniacy, po maniacku powtarzali.

- Być może chciał przez to powiedzieć, że Chasong stał się jakimś obiektem kultu.

- Kultu?

- Wracajmy do Ramireza. Potwierdził, że była rzeź, przyznał istnienie poważnego błędu dowodzenia?

- Tak.

- Ale przedtem już ci powiedział, że ta sprawa była badana przez Inspektora Generalnego, że poniesione straty były skutkiem niespodziewanego natknięcia się na nieprzyjaciela, przeważającego liczebnością i siłą ognia.

- Kłamał.

- Że I.G. wdrożył dochodzenie? Wątpię. - O'Brien wstał i dolał sobie kawy.

- Wobec tego kłamał o jego wynikach - odrzekł Peter.

- W to także wątpię. Zbyt łatwo możesz do nich dotrzeć.

- No więc o co wreszcie chodzi?

- O kolejność. Pamiętaj, że jestem prawnikiem. - Postawił dzbanek na kuchence i wrócił do stołu. - Ramirez mówi ci bez cienia wahania o dochodzeniu Inspektora Generalnego. Po prostu zakłada, że jeśli sprawdzisz jego wyniki, przyjmiesz je. Ale w kilka chwil później sam sobie zaprzecza. Nagle nie jest pewien, czy w nie uwierzysz, i to go niepokoi. Wręcz błaga cię, byś dał temu spokój. To ty musiałeś spowodować taką zmianę.

Musiało to być coś, co mu powiedziałeś.

- Oskarżyłem go. Powiedziałem, że to była tylko maska.

- Ale o co oskarżyłeś? Co oni chcieli ukryć? Tego nie wyjawileś, boś sam nie wiedział. Do diabła, właśnie takie oskarżenia wywołują wkroczenie I.G. A on się ich nie obawiał. Więc to musiało być coś innego. Pomyśl. Chancellor spróbował zastosować się do polecenia.

- Powiedziałem mu, że nienawidzi MacAndrewa, że drętwieje na słowo „Chasong”, że to jest związane z rezygnacją MacAndrewa, z luką w jego stanie służby, z brakującymi teczkami. Że on, to znaczy Ramirez, bez przerwy kłamie i wymiguje się. Że on i inni porozumieli się, ponieważ śmiertelnie ich przeraził...

- Chasong - odpowiedział Quinn O'Brien. - Teraz się cofnij. Co dokładnie powiedziałeś o Chasongu?

- Że to dotyczy MacAndrewa. Że z tego powodu złożył dymisję, ponieważ był

zdecydowany to ujawnić! Że informacja na ten temat znajduje się w brakujących teczkach FBI. I że z tego powodu został zamordowany.

- I to wszystko? Absolutnie wszystko, co mu powiedziałeś? - Jezu, przecież się staram.

- Uspokój się. - Quinn położył mu rękę na ramieniu. - Czasami najważniejsze dowody są tuż przed nosem i się ich nie widzi. Tak usilnie poszukujemy szczegółów, że nie dostrzegamy rzeczy oczywistych.

Oczywiste. Słowa, zawsze tylko słowa. Ich tajemnicza zdolność prowokowania myśli, wywoływania obrazu, pobudzania wspomnień... wspomnienia nagłego błysku zrozumienia w oczach przerażonego generała. I słów człowieka w agonii: Nie on. Ona! On jest fałszywą przynętą. Peter skierował wzrok poza przepierzenie pokoju, na drzwi do sypialni Alison.

Odwrócił się do O'Briena.

- O, Boże, to było to - powiedział spokojnie.

- Co?

- Żona MacAndrewa.

ROZDZIAŁ 31

Starszy agent Carroll Quinlan O'Brien zgodził się odjechać. Rozumiał sytuację. Za drzwiami będzie mowa o sprawach bardzo delikatnej natury. A poza tym miał coś do zrobienia. Trzeba było zebrać informacje o czterech słynnych ludziach oraz o dalekim łańcuchu górskim w Korei, który przeszło dwadzieścia lat temu był terenem masowej rzezi.

Koła musiały zacząć się obracać, prawdę trzeba było wydobyć spod ziemi. Wchodząc do sypialni Peter nie wiedział jeszcze, jak zacząć. Pewien był tylko, że musi to zrobić. Na odgłos jego kroków Alison poruszyła głową. Otworzyła oczy jakby czymś przestraszona i przez chwilę patrzyła na sufit. - Halo - powiedział cicho Chancellor.

Alison nagle zaczerpnęła powietrza i usiadła.

- Peter! Ty tutaj!

Szybko podszedł do łóżka i usiadł na brzegu, obejmując ją. - Wszystko w porządku -

powiedział i nagle przypomnieli mu się jej rodzice. Ileż razy Alison musiała słyszeć te słowa, kierowane przez ojca do obłąkanej, która była jej matką?

- Przestraszyłam się. - Alison ujęła jego twarz w dłonie. Wielkimi, piwnymi oczami szukała na niej oznak bólu. Cała jej twarz wyrażała niepokój. Alison była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał, przy czym wiele z tej piękności miało źródło w jej wnętrzu. - Nie ma się czego obawiać - powtórzył wiedząc równocześnie, iż jest to nedorzeczne kłamstwo i ona także o tym wie. - Już prawie po wszystkim. Muszę cię tylko o coś jeszcze zapytać.

- Zapytać? - Powoli odsunęła dłonie od jego twarzy.

- Na temat twojej matki.

Alison zmrużyła oczy. Przez chwilę Peter czuł jej niechęć. Zawsze tak było, gdy wspomniano o matce.

- Powiedziałaś mi, co mogłam. Zachorowała, gdy byłam bardzo mała.

- Ale przecież mieszkaliście razem. Musiałaś ją widywać nawet, gdy była chora.

- Niezupełnie tak było. - Alison oparła się o wezglowie łóżka, nie była bynajmniej odprężona. Miała się na baczności i obawiała czekającej ją rozmowy. - Zawsze miała kogoś do opieki, a ja wcześniej nauczyłam się trzymać dystans. Mając dziesięć lat, zaczęłam chodzić do szkół z internatem. Gdy tylko ojciec dostawał przeniesienie służbowe pierwszą rzeczą, jaką robił, było znalezienie dla mnie szkoły. Przez dwa lata, gdy był w Niemczech, chodziłam do szkoły w Szwajcarii. Kiedy go przerzucano do Londynu, wysłał mnie do Akademii dla Dziewcząt w Gateshead. To jest już na północy kraju, tuż koło granicy Szkocji. Jak więc widzisz, nieczęsto mieszkalam razem z nią.

- Opowiedz mi o matce. Nie z okresu, gdy zachorowała, lecz wcześniejszego.

- Co ja mogę pamiętać? Byłam dzieckiem.

- Wszystko, co o niej wiesz. Twój dziadkowie, jej dom rodzinny, gdzie mieszkała. Jak poznała twego ojca.

- Czy to potrzebne? - Alison sięgnęła po leżącą na nocnym stoliku paczkę papierosów.

Chancellor nie spuszczał z niej oczu.

- Zeszłej nocy ja się zgodziłem na twoje warunki. Ty powiedziałaś że przyjmiesz moje. Pamiętasz? - Wyjął zapalki z jej ręki i podał ogień. Płomyk oświetlił ich twarze.

Spojrzała mu w oczy i przytaknęła ruchem głowy.

- Zgoda. Pamiętam. Co wiem o mojej matce? Urodziła się w Tulsie w stanie Oklahoma. Jej ojciec był biskupem Kościoła Niebiańskiego Chrystusa. Jest to kościół

baptystów, bardzo bogaty i bardzo surowy. rodzice byli misjonarzami. W młodości podróżowała prawie tyle co ja. Do dalekich krajów. Indie, Birma, Cejlon, zatoka Po Hai.

- Gdzie się uczyła?

- Chodziła głównie do szkół misyjnych. To należało do systemu wychowawczego.

Wszystkie dzieci Boga są równe w oczach Jezusa, i to było kłamstwo. Ona i inni chodzili z nimi do szkoły zapewne dlatego, że to ułatwiało pracę nauczycielom, ale za żadne skarby nie wolno im było dzielić z nimi posiłków czy bawić się.

- Czegoś tu nie rozumiem - oświadczył Peter. Oparł się na łokciu nad wyciągniętymi nogami dziewczyny, podparłszy ręką głowę. - Czego?

- Kuchni w Rockville. Wnętrze z lat trzydziestych. Z tą cholerną maszynką do kawy włącznie. Mówiłaś, że twój ojciec tak to wszystko urządził, by przypominało jej lata dzieciństwa.

- Powiedziałam „szczęśliwsze chwile”. Albo powinnam była tak powiedzieć. Matka jako dziecko czuła się najlepiej, gdy wracali do Tulsy. Na duchowy wypoczynek i odprężenie.

Nieczęsto tak bywało. Dalekiego Wschodu nienawidziła, nienawidziła też podróży.

- Wobec tego dziwne, że wyszła za wojskowego.

- Może ironia losu, ale nic aż tak dziwnego. Jej ojciec był biskupem, mąż został generałem. Obaj byli mocnymi, zdecydowanymi mężczyznami o wielkiej sile przekonywania.

- Alison odwróciła oczy, Peter nie próbował ich szukać.

- Gdzie spotkała twego ojca?

Zaciągnęła się dymem.

- Muszę pomyśleć. Rzecz jasna opowiadał mi o tym często, ale za każdym razem jakoś inaczej. Jakby wciąż próbował coś wyolbrzymić czy ubarwiać.

- Albo przemilczeć?

Wpatrywała się w ścianę po drugiej stronie pokoju. A potem szybko zwróciła się do niego.

- Tak. To także. W każdym razie poznali się podczas drugiej wojny światowej, tu, w Waszyngtonie.

Ojciec został odwołany z frontu północnoafrykańskiego. Miał być przeniesiony na Pacyfik, a to oznaczało przeszkolenie w Dystrykcie Kolumbia i w Forcie Benning. Spotkał ją na jednym z wojskowych przyjęć.

- A co córka biskupa baptystów robiła podczas wojny na wojskowym przyjęciu w Waszyngtonie?

- Pracowała w wojsku jako tłumaczka. Nic nadzwyczajnego, broszury, podręczniki, teksty w rodzaju: „Jestem amerykańskim pilotem, który na spadochronie dostał się do waszego pięknego kraju i jestem waszym sprzymierzeńcem”. Tego typu rzeczy. Czytała i pisała w kilku językach Dalekiego Wschodu. Dawała sobie radę nawet z podstawami dialektu mandaryńskiego.

Chancellor wyprostował się nagle.

- Chińskiego?

- Tak.

- Była w Chinach?

- Przecież ci powiedziałam. W prowincjach zatoki Po Hai. O ile wiem, spędziła tam cztery lata. Jej ojciec operował jeśli to jest właściwe słowo - między Tientsinem i Tsingtao.

Peter odwrócił oczy, próbując ukryć nagle zrozumienie. W tym miejscu zabrzmiał dysonans, jego niemiły dźwięk niepokoił. Postarał się ukryć to wrażenie możliwie dokładnie.

Zwrócił się ponownie do Alison. - Czy znałaś swoich dziadków?

- Nie. Przypominam sobie niejasno matkę taty, ale jego ojca... - Mówię o rodzicach twojej matki.

- Nie. - Alison przechyliła się i zgmiotła papierosa w popielniczce. - Zmarli podczas nawracania.

- Gdzie?

Odpowiedziała cicho, nie odrywając zgaszonego papierosa od szkła popielniczki i nie patrząc na Petera.

- W Chinach.

Oboje zamilkli. Alison znowu oparła się o wezglowie. Chancellor nieruchomo patrzył jej w oczy.

- Sądzę, że oboje wiemy, o czym mówisz. Czy chcesz o tym porozmawiać?

- O czym?

- Tokio. Przed dwudziestu dwu laty. Wypadek twojej matki.

- Nie pamiętam.

- Jestem przeciwnego zdania.

- Byłam bardzo mała.

- Nie tak bardzo. Mówiłaś, że miałaś pięć czy sześć lat, ale parę sobie odjęłaś. Miałaś dziewięć. Dziennikarze zwykle są bardzo dokładni gdy idzie o wiek, bo to łatwo sprawdzić.

Ten artykuł o śmierci ojca podawał twój prawdziwy wiek...

- Proszę...

- Alison, kocham cię. Chcę pomóc tobie i nam obojgu. Z początku szło tylko o to, abym przestał poszukiwać prawdy. Ale teraz ty zostałaś w to wmieszana, bo jesteś jej częścią.

I Chasong jest jej częścią. - O jakiej prawdzie mówisz?

- O teczkach Hoovera. Zostały skradzione.

- Nie! Tak jest tylko w twojej książce! To nieprawda!

- To od początku była prawda. Zostały zabrane, zanim umarł, A teraz ktoś się nimi posługuje. I ci, co je mają, mają też coś wspólnego z Chasongiem. Tyle tylko wiemy. Twoja matka była w to zamieszana a ojciec ukrywał ten fakt przez całe życie. Teraz musimy się dowiedzieć o co tu chodziło. Tylko to może nas doprowadzić do człowieka, który ma te czki. I musimy go odnaleźć.

- Mówisz zupełnie bez sensu! Była chorą kobietą, coraz bardziej chorą! Nie była ważna!

- Dla kogoś była. I jest nadal. Na miłość boską, przestań od tego uciekać! Nie potrafisz kłamać, więc prześliznęłaś się nad tym, potem zatoczyłaś koło i wreszcie powiedziałaś: Chiny. Prowincje nad Po Hai to C h i n y. Rodzice twojej matki zginęli w Chinach. A pod Chasongiem walczyliśmy z C h i n a m i!

- Co to wszystko znaczy?

- Nie wiem! Mogę się mylić, ale nie potrafię się powstrzymać od myślenia. Lata pięćdziesiąte... Tokio. Korea. Nacjonałści chińscy wypchnięci z kontynentu. O ile wiem, mieli całkowitą swobodę poruszania się. A jeśli tak, mogli bez przeszkód zajmować się wywiadem. Ludzie Wschodu potrafią się rozróżniać wzajemnie, ci z Zachodu tego nie umieją.

Czy nie jest możliwe, że dotarto do twojej matki? Żona jednego z wyższych dowódców w Korei, z którą nawiązano kontakt i w jakiś sposób zagrożono kompromitacją, bo miała rodziców w Chinach. Do chwili, gdy coś pękło. Co się zdarzyło dwadzieścia dwa lata temu? -

Myślę, że to się zaczęło o kilka miesięcy wcześniej. - Słowa Alison brzmiały boleśnie. - Gdy po raz pierwszy zamieszkaliśmy w Tokio. Ona po prostu zaczęła się stopniowo oddalać.

- Co to znaczy „oddalać się”?

- Kiedy do niej mówiłam, patrzyła na mnie, nic nie słysząc. A potem nagle odwracała się i wychodziła z pokoju, podśpiewując urywki piosenek. - Słyszałem to w domu w Rockville. Śpiewała starą piosenkę „Niech pada śnieg”.

- Tego rodzaju rzeczy pojawiły się później. Czepiała się jednej piosenki na całe miesiące. Bez przerwy.

- Czy była alkoholiczką?

- Piła, ale nie do tego stopnia. W każdym razie nie wówczas. - Bardzo dobrze ją pamiętasz - powiedział cicho Peter.

Alison spojrzała na niego.

- Lepiej niż myślał mój ojciec i gorzej niż myślisz.

- Opowiadaj dalej - rzekł łagodnym głosem. Nie spierał się z nią. Zaczęła się oddalać.

Czy ktoś o tym wiedział? Czy cokolwiek dla niej wtedy zrobiono?

Alison nerwowo zapaliła następnego papierosa.

- Przypuszczam, że jeśli coś robiono, to z mojego powodu. Bo widzisz, nie było z kim porozmawiać. Cała służba była japońska. A ci nieliczni goście, którzy nas odwiedzali, to były żony wojskowych. Nie rozmawia się o matce z żonami wojskowych.

- Byłaś więc samotna. I to będąc dzieckiem.

- Byłam sama. I nie wiedziałam, jak sobie dawać z tym radę. A potem zaczęły się telefony późno w nocy. Wtedy ona ubierała się i wychodziła z błędnym wzrokiem, a ja nie wiedziałam, czy w ogóle wróci. Którejś nocy ojciec zatelefonował z Korei. Zawsze podawał

listownie dzień i godzinę, a ona czekała na jego telefon. A tej nocy wyszła, więc mu wszystko opowiedziałam. Teraz rozumiem, że zdradziłam Jej tajemnicę. W parę dni później on przyleciał do Tokio. - Jak zareagował?

- Byłam tak uszczęśliwiona jego widokiem, że nie pamiętam. Tyle tylko wiedziałam, że odtąd wszystko będzie w porządku.

- A było?

- Na pewien czas się uspokoiło, tak bym to teraz określiła. Do naszego domu zaczął

przychodzić lekarz wojskowy. Potem przyprowadził innych i co parę dni zabierali ją na kilka godzin. Skończyły się nocne telefony, a ona przestała wychodzić.

- Czemu powiedziałaś „na pewien czas”? Czy potem wszystko wymknęło się spod kontroli?

W oczach Alison pojawiły się łzy.

- Bez ostrzeżenia. Po prostu nagle oszalała. To nastąpiło po południu pewnego jasnego, słonecznego dnia. Właśnie wróciłam ze szkoły. Wrzeszczała. Wypędziła służbę z domu, miotała nią furia, rozbijała wszystko, co pod ręką. Potem spojrzała na mnie. Nigdy nie widziałam u niej takiego wzroku. Jakby w jednej chwili mnie kochała, następnie nienawidziła i wreszcie panicznie się bała. - Alison zakryła dłonią drżące wargi. Rozszerzonymi ze strachu oczami patrzyła na dół, na prześcieradło. Gdy wreszcie przemówiła, był to tylko szept. - A potem mnie zaatakowała. To było okropne. Miała w ręku kuchenny nóż. Złapała mnie za gardło, próbując wbić mi go w brzuch. Trzymałam ją za przegub i krzyczałam, krzyczałam. A ona ciągle próbowała mnie przebić. Chciała mnie zabić. O, B o ż e! Chciała mnie zabić!

Alison padła na łóżko w konwulsjach. Twarz miała białą jak papier. Peter chwycił ją w ramiona i zaczął kołysać.

- Błagam, postaraj się sobie przypomnieć. - Teraz już nie mógł jej pozwolić, by zamilkła. - Gdy weszłaś do domu, gdy ją zobaczyłaś, co krzyczała? Co mówiła?

Alison wyrwała mu się i znów oparła na wezglowiu z mocno zaciśniętymi oczami i twarzą mokrą od łez. Wreszcie przestała płakać. - Nie wiem.

- Przypomnij sobie!

- Nie mogę! Ja jej nie rozumiałam! - Nagle otworzył, oczy i spojrzała na Petera. Oboje zrozumieli.

- Bo mówiła w obcym języku - stwierdził zdecydowanie.

Wrzeszczała po chińsku. Twoja matka, która spędziła cztery lata w prowincjach nad zatoką Po Hai, biegle znająca dialekt mandaryński, wrzeszczała na ciebie po chińsku.

Alison skinęła głową.

- Tak.

Na istotne pytanie nie dała odpowiedzi, ale Peter to rozumiał Czemu matka miałaby zaatakować córkę? Przez chwilę pozwolił swym myślom biec swobodnie, niewyraźnie przypominając sobie setki własnych napisanych stronic, gdzie straszliwe akty przemocy były wywoływane przez irracjonalne konflikty. Nie był psychologiem, musiał myśleć prostszymi kategoriami. Schizofrenia dzieciobójcza, kompleks Medeii nie były to tematy, w które mógł

się zapuszczać, nawet gdyby je znał. Odpowiedzi należało szukać gdzie indziej. Sprawy mogły wyglądać inaczej... Wyglądać? Kobieta chora umysłowo w ataku szału, wytrącona z równowagi, z błędnym wzrokiem. Błędny wzrok. Późne popołudnie. Jasne słońce. Większość domów w Japonii jest jasna i przewiewna. Światło wpada przez okna strumieniami. W

drzwiach ukazuje się dziecko. Peter ujął dłoń tego dziecka w swoją. - Zrób wysiłek i postaraj się przypomnieć, jak byłaś ubrana. - To wcale nie wymaga wysiłku. Codziennie nosiłyśmy to samo. Sukienki uważano za nieprzyzwoite. Nosiłyśmy więc lekkie, luźne spodnie i kurtki. To był nasz szkolny mundur.

Peter odwrócił wzrok. Mundur. Znow spojrział na dziewczynę. - Włosy nosiłaś długie czy krótkie?

- W tym czasie?

- Tego dnia. Tego popołudnia, gdy matka zobaczyła, jak wchodzisz do domu.

- Nosiłam czapkę z daszkiem. Wszystkie miałyśmy takie czapki, a pod nimi włosy z zasady krótkie.

Tak musiało być! Chora umysłowo kobieta w ataku szału, oślepiąca słońcem wpadającym przez okna, może także przez drzwi i wchodząca postać w mundurze.

- Ona cię w ogóle nie widziała. - Ujął drugą dłoń Alison. - Co?!

- Twoja matka cię w ogóle nie widziała. I o to idzie w całej sprawie Chasongu. To wyjaśnia potłuczone szkło, starą nocną koszulę rzuconą pod ścianę, słowo wypisane na ścianie gabinetu twojego ojca, wzrok Ramireza, gdy wspomniałem o twojej matce.

- Co chcesz powiedzieć przez to, że mnie nie widziała? Przecież tam byłam!

- Ale ona widziała nie ciebie. Widziała mundur. Nic więcej. Alison ponownie zakryła usta ręką. W jej spojrzeniu strach mieszał się z ciekawością.

- Mundur? Ramirez? Widziałeś się z Ramirezem?

- Wielu rzeczy nie mogę ci powiedzieć, bo sam ich nie wiem. Ale zbliżamy się do rozwiązania. Oficerów przenoszono na zasadzie rotacji z frontu koreańskiego do Tokio i z powrotem. O tym wszyscy wiedzieli. Mówiłaś, że twoja matka często wychodziła w nocy. To ma związek, Alison. - Twierdzisz, że była kurwą. Że się kurwiła, by zdobywać informacje! -

Twierdzą tylko, że zmuszano ją do takich czynów, które spowodowały jej rozpad psychiczny.

Mąż i ojciec. Z jednej strony jej mąż, wybitny dowódca frontowy, z drugiej ukochany ojciec trzymany w więzieniu w Chinach. Cóż mogła zrobić?

Alison podniosła wzrok do góry. Raz jeszcze zrozumiała; to był konflikt wewnętrzny, który mogła sobie wyobrazić.

- Nie chce dalej opowiadać. Nie chcę nic więcej wiedzieć. - Musimy. Co nastąpiło po jej ataku?

- Wybiegłam z domu. Był tam jeden ze służących, wezwał policję od sąsiadów. Zabrał

mnie do nich i tam czekałam... czekałam, a japońska rodzina patrzyła na mnie jak na zapowietrzoną. Wreszcie nadjechał żandarm i zabrał mnie do bazy. Przez kilka dni mieszkałam u żony pułkownika, póki nie przyjechał ojciec.

- A wtedy co? Czy widziałaś się z matką?

- Chyba w jakiś tydzień później. Trudno mi to sobie dokładnie przypomnieć. Gdy wróciła do domu, była przy niej pielęgniarka. Od tej chwili ani na moment nie zostawiano jej bez pielęgniarki lub osoby towarzyszącej..

- Jakie robiła wrażenie?

- Zamkniętej w sobie.

- Nieuleczalnie chorej?

- Trudno powiedzieć. Teraz jest dla mnie jasne, że to było coś więcej niż atak nerwowy. Ale wówczas mogła jeszcze na tyle wydobrzeć, by jakoś funkcjonować.

- Wówczas?

- Gdy po raz pierwszy wróciła ze szpitala. Z pielęgniarką. Ale już nie drugim razem.

- Opowiedz mi o tym. O drugim razie.

Alison zamrugała. To wspomnienie było dla niej równie bolesne jak obraz próbującej ją zabić matki.

- Załatwiono mój powrót do Stanów, do rodziców taty. Jak ci mówiłam, matka była spokojna, zamknięta w sobie. Trzy pielęgniarki zmieniały się co osiem godzin, ani na chwilę nie zostawiano jej samej. Mój ojciec znowu był potrzebny w Korei. Pojechał tam przekonany, że wszystko jest pod kontrolą. Do domu przychodziły żony innych oficerów by odwiedzać matkę, zabierać nas obie na pikniki albo tylko ją, popołudniami po zakupy. Ot, tego rodzaju sprawy. Wszyscy byli bardzo mili. Aż nazbyt mili, prawdę mówiąc. Bo nie wiem, czy wiesz, ale chorzy umyślowo przypominają alkoholików. Gdy są w szponach obsesji, gdy chcą uciec, zaczynają nagle udawać powrót do zdrowia, bardzo przekonująco uśmiechać się i kłamać. A gdy najmniej można się tego spodziewać znikają. Przypuszczam, że tak właśnie było.

- Przypuszczasz? Nie jesteś pewna?

- Nie. Powiedziano mi, że została wyciągnięta z morza. Przebywała tak długo pod wodą, że sądzili, iż nie żyje. Ja byłam dzieckiem i dlatego mogłam uwierzyć w takie tłumaczenie. Nawet było sensowne: w niedzielę matkę zabrano na całodniową wycieczkę do zatoki Funabashi. Ja się przeziębiam, więc zostałam w domu. I nagle po południu zaczął

dzwonić telefon. Czy moja matka jest w domu? Czy wróciła? Najpierw telefonowały kobiety, które zabrały ją do Funabashi, ale one nie chciały mi tego powiedzieć. Udawały, że są kimś innym, aby mnie nie zaniepokoić. Tak przypuszczam. A potem podjechało pod nasz dom dwóch oficerów armii. Byli zdenerwowani i podnieceni, ale i oni nie chcieli, bym to zauważyła. Poszłam do mego pokoju. Wiedziałam, że stało się coś złego, ale jedyne, o czym mogłam myśleć, było pragnienie zobaczenia ojca.

W jej oczach znów ukazały się łzy. Peter nie puszczał jej rąk. Powiedział bardzo łagodnie:

- Dalej.

- To było okropne. W nocy, o bardzo późnej porze, usłyszałam wrzaski. A potem na zewnątrz krzyki i kroki biegających ludzi. I odgłosy silników samochodowych, syren i pisku opon na jezdni. Wstałam z łóżka, podeszłam do drzwi i otworzyłam je. Do mego pokoju wchodziło się z podestu nad holem. Poda mną dom był pełen Amerykanów. W większości wojskowych, ale także i cywilów. Zapewne wszystkich razem nie było więcej niż dziesięciu, ale biegali po holu, rozmawiali przez telefon, przez ręczne radiostacje. I nagle otworzyły się drzwi wejściowe i wniesiono ją do domu. Na noszach. Była przykryta prześcieradłem, ale na nim były plamy krwi. A jej twarz... zupełnie biała. Oczy miała szeroko otwarte, patrzące bez wyrazu, jakby już była martwa. Z kącików ust ciekły strużki krwi, płynąc po twarzy aż na szyję. A gdy nosze znalazły się pod lampą, nagle zaczęła się wyrywać i krzyczeć, rzucając głową naprzód i w tył. Jej przytrzymywane pasami ciało skręcało się w drgawkach.

Krzyknęłam i zbiegłam ze schodów, ale major - przystojny czarny major, nigdy tego nie zapomnę - zatrzymał mnie, podniósł z ziemi i objął, tłumacząc, że wszystko będzie dobrze.

Nie chciałam do niej podchodzić, nie w tej chwili. I miał rację; miała atak histeryczny i nie poznałaby mnie. Opuścili nosze na podłogę, rozpięli pasy, ale nadal przytrzymywali ją w pozycji leżącej. Lekarz rozerwał jakiś materiał. W ręku miał strzykawkę, zrobił jej zastrzyk i po paru sekundach umilkła. A ja płakałam. Próbowałam Pytać, ale nikt mnie nie słuchał.

Major odniósł mnie do mego pokoju i położył do łóżka. Siedział przy mnie długo i próbował

uspokajać opowiadając, że matka miała wypadek, ale wszystko będzie dobrze. Ale ja wiedziałam, że już nigdy nie będzie dobrze. Zabrano mnie do bazy i zostałam tam do chwili, gdy po raz przedostatni przed naszym odlotem do Ameryki wrócił tata, któremu pozostało jeszcze tylko parę miesięcy służby frontowej.

Chancellor ją przytulił.

- Jedno w tym wszystkim jest oczywiste: że wypadek nie miał nic wspólnego z porwaniem jej na plaży przez prąd przydenny i wyniesieniem w morze. Przede wszystkim przywieziono ją do domu, a nie do szpitala. Była to przemyślna mistyfikacja, w którą udawałaś, że wierzysz. Ale nigdy nie uwierzyłaś. I teraz też nie wierzysz. Po co udawałaś przez te wszystkie lata?

- Myślę, że tak było mi łatwiej - szepnęła Alison.

- Bo wyobrażałaś sobie, że ona próbowała cię zamordować? wrzeszczała na ciebie po chińsku, a ty nie chciałaś o tym myśleć? Nie chciałaś dopuścić myśli, że tu może kryć się coś innego.

- Tak - odrzekła Alison drżącymi wargami.

- Ale teraz musisz temu stawić czoło, rozumiesz? Już nie możesz od tego uciekać. Bo to się znajduje w teczkach Hoovera. Twoja matka pracowała dla Chińczyków. Była odpowiedzialna za rzeź w Chasongu. - O, Boże...•

- Nie robiła tego dobrowolnie. Może nawet nie z pełną świadomością. Kilka miesięcy temu, gdy odwiedziłem twego ojca spostrzegła mnie i zaczęła krzyczeć. Cofnąłem się do gabinetu, ale twój ojciec wrzasnął na mnie i kazał podejść do lampy. Chciał, aby zobaczyła moją twarz, moje rysy. Popatrzyła na mnie i uspokoiła się, już tylko szlochając. Myślę, że twój ojciec chciał, aby ujrzała, że nie jestem żółty. Przypuszczam, że ten wypadek w niedzielne popołudnie nie był w ogóle wypadkiem. Przypuszczam, że była porwana i torturowana przez ludzi którzy się nią posługiwali i zmuszali, by dla nich pracowała.

Możliwe, że twoja matka była o wiele dzielniejszą kobietą, niż ktokolwiek przypuszczał.

Potrafiła na koniec stawić im czoło i ponieść konsekwencje. To nie była wrodzona choroba umysłowa, Alison. Ją po prostu w pędzono w szaleństwo.

Pozostał z nią jeszcze blisko godzinę, aż wyczerpanie zmusiło wreszcie dziewczynę do zamknięcia oczu. Było po piątej, niebo za oknem zaczęło się rozjaśniać. Wkrótce nadejdzie świt. Za parę godzin Quinn O'Brien przewiezie ich w bezpieczne miejsce. Peter zdał sobie sprawę, że także powinien się przespać.

Ale najpierw musiał przemyśleć, czy to, w co uwierzył, jest prawdą. Jeśli tak, powinno zostać potwierdzone. Tylko jeden człowiek mógł to zrobić. Ramirez.

Wyszedł z pokoju, by zatelefonować. Szperał w kieszeniach tak długo, aż znalazł

skrawek papieru, na którym zapisał numer Ramiresa. Niewątpliwie człowiek O'Briena będzie podsłuchiwał w centralce, ale to było bez znaczenia. Nic poza prawdą nie miało już znaczenia. Nakręcił numer. Telefon odebrano prawie natychmiast.

- Tak, o co chodzi? - Głos był niewyraźny, jak u człowieka wyrwanego ze snu. A może na skutek alkoholu?

- Ramirez?

- Kto mówi?

- Chancellor. Znalazłem już odpowiedź, a ty potwierdzisz, czy jest prawdziwa. Jeśli się zawahasz, znaczy, że kłamiesz. A wtedy pojedę prosto do mego wydawcy. On będzie wiedział, co zrobić.

- Powiedziałem ci, żebyś trzymał się od tego z daleka! - Plątał mu się język, był pijany.

- Żona MacAndrewa. Tam był kanał chiński, tak? Dwadzieścia dwa lata temu przekazywała informacje Chińczykom. To ona ponosiła winę za Chasong!

- Nie! Tak. Nie rozumiesz. Daj temu spokój.

- Chcę usłyszeć prawdę!

Ramirez zamilkł na chwilę.

- Oboje już nie żyją.

- Ramirez!

- Trzymali ją na narkotykach. Była całkowicie uzależniona, nie mogła przeżyć dwóch dni bez zastrzyku. Wykryliśmy to. Pomogliśmy jej. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Sprawy miały się źle. To miało sens... to, co zrobiliśmy. Wszyscy się zgodzili!

Peter przymrużył oczy. Znów usłyszał fałszywą nutę, głośniejszą i jeszcze wyraźniej brzmiącą niż poprzednio.

- Pomogliście jej, bo to miało sens? Sprawy miały się źle, a to miało jakiś zaskarany sens?

- Wszyscy się zgodzili. - Głos oficera był niemal niesłyszalny. - O, mój Boże! Wcale jej nie pomogliście, trzymaliście ją na narkotykach! Podtrzymywaliście jej narkomanię, aby móc tą drogą przekazywać takie informacje, na jakich wam zależało.

- Sprawy miały się źle. Nad Jalu...

- Zaczekaj! Czy chcesz mi powiedzieć, że MacAndrew brał w tym udział? Że zgodził się, abyście w ten sposób używali jego żony? - MacAndrew nic nie wiedział.

Chancellor poczuł mdłości.

- Ale mimo wszystkiego, co jej zrobiliście, nastąpił Chasong. I przez te wszystkie lata MacAndrew sądził, że jego żona jest za to odpowiedzialna. Znarkotyzowana, torturowana, pobita prawie na śmierć, zmuszona do zdrady przez nieprzyjaciela, trzymającego w niewoli jej rodziców. Wy skurwysyny!

Ramirez wrzasnął do telefonu:

- On też był skurwysynem! Zapamiętaj to sobie! Był mordercą!

ROZDZIAŁ 32

On też był skurwysynem! Zapamiętaj to sobie! Był mordercą! On też był

skurwysynem!... Mordercą! Pijacki wrzask rozbrzmiewał w uszach Chancellora. Siedząc z Alison na tylnym siedzeniu rządowego samochodu, spoglądał na szybko przesuwany się za oknem krajobraz i próbował zrozumieć. On też był skurwysynem! To się nie trzymało kupy.

MacAndrew i jego żona byli ofiarami. Byli manipulowani przez obu przeciwników kobieta zniszczona, generał żyjący od tej pory w okropnym strachu, że wszystko może się wydać.

On też był skurwysynem!... Mordercą! Jeśli Ramirez chciał przez to powiedzieć, że MacAndrew stracił rozum, że stał się dowódcą nie dbającym o to, jakim kosztem zniszczyć nieprzyjaciela, który zniszczył jego żonę, określenie „skurwysyn” zupełnie tu nie pasowało.

Mackiei Majcher posłał na śmierć setki, może tysiące ludzi w bezowocnej próbie zemsty.

Rozsądek go opuścił, zemsta była ponad wszystko. Jeśli z takich właśnie przyczyn Ramirez określił MacAndrewa jako skurwysyna, to niech będzie. Ale Petera niepokoił, i to niepokoił

głęboko, ten nowo nakreślony, niejasny portret przedstawiający MacAndrewa jako skurwysyna i mordercę. Zupełnie nie zgadzał się z wizerunkiem człowieka, jakiego Chancellor poznał - żołnierza głęboko nienawidzącego wojny, ponieważ poznał ją do głębi. A może ojciec Alison na pewien czas sam stracił zmysły i ma krótką przerwę w życiorysie.

W każdym razie tajemnica Chasongu została odkryta. Ale dokąd prowadzi? W jaki sposób zdradzona, manipulowana żona MacAndrewa mogła mieć związek z czterema ludźmi na liście Varaka? Varak był przekonany, że cokolwiek kryło się za Chasongiem, musi przywieść wprost do człowieka, który ma teczkę Hoovera. Ale jak?

A może Varak się mylił? Tajemnica została wyjaśniona, ale prowadziła donikąd.

Rządowy wóz dotarł do skrzyżowania. Po prawej stronie samotnie stała stacja benzynowa, koło pompy zaparkował jeden tylko samochód. Siedzący koło O'Briena kierowca zakręcił i podjechali do samotnego auta. Skinął głową do agenta i wysiadł. O'Brien wśliznął

się za kierownicę. Kierowca podszedł do tamtego wozu, przywitał się z siedzącym w środku człowiekiem i usiadł na przednim siedzeniu.

- Będą przy nas, aż dojedziemy do Saint Michael's - oświadczył zza kierownicy O'Brien.

W minutę później znów jechali szosą. Drugi wóz podążał za nimi w dyskretnym oddaleniu.

- Gdzie jest Saint Michael's? - spytała Alison.

- Na południe od Annapolis, nad Chesapeake. Możemy korzystać ze znajdującego się tam domu. Jest czysty. Czy chcecie teraz porozmawiać? Radio wyłączone, nie ma magnetofonu. Jesteśmy sami.

Peter wiedział, do czego Quinn robi aluzję.

- Czy rozmowa między mną i Ramirezem została nagrana?

- Nie. Jest tylko stenogram. W jednym egzemplarzu, mam go w kieszeni.

- Nie miałem czasu, by wszystko wytłumaczyć Alison, ale część już zna. - Zwrócił się do niej. - Twoja matka została wtrącona w narkomanie, prawdopodobnie heroinową, przez Chińczyków. Została uzależniona, na tym zapewne polegało opisanie przez ciebie „oddalanie się”. Używano jej do zbierania różnych informacji. Przesunięcia oddziałów, siła bojowa, drogi zaopatrzenia - setki rzeczy, których mogła dowiadywać się od spotykanych nocami oficerów. A poza narkotykami byli jej rodzice trzymani w chińskim więzieniu. To znaczyło dla niej więcej niż najcięższe kajdany. - Okropność... - Alison skierowała wzrok za okno.

- Wątpię, czy była jedyną osobą w takiej sytuacji - powiedział Peter. - Jestem pewien, że byli inni.

- A ja, do jasnej cholery, wiem, że byli inni - dodał O'Brien. - Obawiam się, że to żadna pociecha - rzekła Alison. - Czy ojciec wiedział? To musiało być dla niego zabójcze...

- Twój ojciec wiedział tylko tyle, ile armia chciała, by wiedział. Tylko część prawdy, chińską część. Nigdy nie powiedziano mu reszty. Alison odwróciła się od okna.

- Jakiej reszty?

Peter wziął ją za rękę.

- Był jeszcze drugi kanał. Armii. Manipulowano nią tak, by Przekazywała Chińczykom odpowiednio

dobrane, bałamutne informacje. Alison zeszywniała nie odrywając od niego wzroku.

- Jak?

~ Na to jest wiele sposobów. Dawać jej narkotyki z większymi przerwami albo dawać środki, zwiększające bóle wywołane głodem narkotycznym. Zapewne na tym to polegało, męczarnia zmuszała ją do ponownego nawiązania chińskiego kontaktu. Z informacjami, które armia chciała przekazać.

Alison ze złością wyszarpnęła dłoń. Zamknęła oczy, głęboko oddychając, pogrążona we własnym cierpieniu. Chancellor nie dotykał jej. Ta chwila należała tylko do niej.

Odwróciła się do Petera.

- Zmusz ich, by za to zapłacili - powiedziała.

- Teraz już wiemy, co oznacza „Chasong” - oświadczył Quinn O'Brien z przedniego siedzenia. - Ale dokąd to prowadzi?

- Do jednego z naszych czterech ludzi. Varak w to wierzył Chancellor zauważył, że O'Brien nagle podniósł głowę, przypatrując mu się we wstecznym lusterku. - Powiedziałem jej, że jest czterech ludzi wyjaśnił. - Nie podałem nazwisk.

- Czemu nie? - spytała Alison.

- Dla pani bezpieczeństwa, panno MacAndrew - odpowiedział agent. - Zająłem się nimi. I nie bardzo wiem, czego szukać. - Czegoś, co ma związek z Chinami - powiedział

Peter. - Czegokolwiek chińskiego.

- Mówiłeś, że chcesz się skontaktować z piątym człowiekiem. Kiedy? - Nim minie dzień.

Quinn zamilkł. Upłynął dłuższy czas, nim się odezwał.

- Obiecałeś zostawić jego nazwisko u adwokata.

- Nie potrzebuję adwokata. Zostawię je Morganowi w Nowym Jorku. Znajdź mi telefon. Gdzieś po drodze powinien być.

O'Brien zmarszczył brwi.

- Nie masz doświadczenia w tego typu kontaktach. Nie chcę, abyś] niepotrzebnie ryzykował. Nie wiesz, co robisz.

- Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, ile konspiracyjnych spotkań wymyśliłem.

Postaraj się tylko dla mnie o nie oznakowany wóz i daj mi parę godzin. I nie cofaj danego słowa. Będę wiedział, jeśli każesz mnie śledzić. Tego możesz być pewien.

- Jestem do tego zmuszony. Matko Boska! Literat!

- Do jasnej cholery, gdzie ty się podziewasz?! - wrzasnął Tony. Jego dalsze słowa były tylko odrobinę cichsze. - W hotelu powiedziano mi, że się wymeldowałeś, a nocny recepcjonista oświadczył, że jesteś w drodze do Doliny Shenandoah! I dzwonił twój lekarz pytając, czy spodziewam się ciebie w Nowym Jorku. Czy zechcesz wytłumaczyć...?

- Nie mam czasu. Z wyjątkiem informacji, że to nie był nocny recepcjonista, tylko człowiek z FBI. I wątpię, czy to mój lekarz do ciebie dzwonił. Kto inny mnie poszukuje.

- Co ty wyprawiasz?

- Próbuję odnaleźć człowieka, który ma teczki Hoovera.

- Przestań! O tym była mowa już parę miesięcy temu. Znowu chcesz się wyłożyć! Nie jesteś postacią z którejś z twoich cholernych książek!

- Ale teczki naprawdę zginęły. Zginęły na samym początku i w tym cała rzecz.

Obiecuję, że wrócę do Nowego Jorku, ale chcę, abyś najpierw do kogoś w moim imieniu zadzwonił. Chcę, byś mu powiedział, że ma się ze mną spotkać w samochodzie dokładnie w miejscu i czasie, które ci podam. On mieszka w Waszyngtonie i zapewne trudno się do niego dostać. Ale to ci się uda, jeśli powiesz, że nazywasz się Varak. Stefan Varak. Zapisz to sobie, nie wolno ci podawać własnego nazwiska.

- I przypuszczam - dodał sarkastycznie Morgan - że mam do niego telefonować z automatu.

- Dokładnie. I to takiego na ulicy, nie z budynku.

- Posłuchaj no, to jest...

- Człowiekiem, do którego masz zadzwonić, jest Munro St. Claire. Nazwisko odniosło skutek, Morgan osłupiał.

- I ty nie żartujesz, to prawda. - Nie było to pytanie.

- Nie żartuję. Gdy odezwie się St. Claire, powiedz mu, że mówisz w moim imieniu.

Powiedz mu także, że Varak nie żyje. On może już o tym wiedzieć albo i nie. Masz ołówek?

- Tak.

- Więc zapisz to sobie: St. Claire używa pseudonimu „Bravo”. Peter czekał w nie oznakowanym wozie na bocznej, ślepej drodze, prowadzącej nad bagnisty brzeg Chesapeake.

W grudniowym wietrze kołysały się wysokie dzikie trzciny. Było kilka minut po drugiej po południu, niebo pochmurne i przenikliwa wilgoć.

Alison i O'Brien czekali w czystym domu o wiele mil na północ, w Saint Michael's.

Agent zgodził się dać Peterowi trzy godziny do piątej po południu - nim zadzwoni do Morgana, by dowiedzieć się nazwiska Bravo. Jeśli Chancellor nie wróciłby do tej pory, Quinn nie ukrywał, że będzie go uważał za nieżyjącego i podejmie stosowne kroki.

Chancellor pamiętał słowa Varaka. Pozostał jeszcze senator. Człowiek, który się nie bał, jedyny w Waszyngtonie, do którego można się zwrócić o pomoc. Z punktu widzenia Petera był to jeszcze jeden fragment koszmaru. Senatora wymyślił także dla swego „Jądra”.

Paralela raz jeszcze okazała się zbyt bliska, pierwowzorem postaci literackiej okazał się żywy człowiek.

Na wypadek gdyby nie powrócił, podał nazwisko senatora Quinnowi. W oddali czarna limuzyna minęła zakręt drogi i zbliżała się powoli. Otworzył drzwi swego wozu i wysiadł.

Limuzyna zatrzymała się o dwadzieścia stóp dalej. Okienko po stronie kierowcy było opuszczone.

- Pan Peter Chancellor? - zapytano.

- Tak - odrzekł zaniepokojony. Nikt nie siedział z tyłu samochodu. - Gdzie jest ambasador St. Claire?

- Jeśli zechce pan wsiąść, sir, zawiozę pana do niego.

- Nie tak brzmiały moje instrukcje!

- Ale tak musi być.

- Nie, nie musi!

- Ambasador polecił mi przekazać, że jest to dla pana bezpieczeństwa. Polecił mi także przypomnieć waszą rozmowę sprzed czterech i pół roku. Nie oszukał pana wówczas.

Peterowi na chwilę zaparło dech. Munro St. Claire nie oszukał go cztery i pół roku temu. Podarował mu jego obecne życie. Chancellor skinął głową i wsiadł do limuzyny.

Nad brzegiem wody stał olbrzymi wiktoriański dom. Ze środkowej części frontowego trawnika wysuwał się z wody zatoki pomost. Dom miał cztery kondygnacje. Na parterze, przez całą długość budynku od strony Chesapeake, ciągnęła się szeroka, kryta weranda.

Kierowca wyprzedzając Chancellora wspiał się po schodkach do wejścia. Otworzył

drzwi kluczem i gestem zaprosił Petera do wnętrza. - Proszę skrócić na prawo, korytarzem do salonu. Ambasador,, czeka tam na pana.

Chancellor wszedł do holu. Nie było tam nikogo. Przeszedł przez korytarz do wysokiego pokoju i wyczuł wzrok. Na drugim końcu salonu, przy wychodzących na werandę i wody Chesapeake oknach, ujrzał samotną postać. Była odwrócona tyłem do Chancellora i spoglądała na nieustannie zmieniającą się powierzchnię zatoki.

- Witam - rzekł Munro St. Claire odwracając się do Petera. Ten dom należał do człowieka zwanego Genesis. Był przyjacielem Bravo. - Słyszałem o Sztandarze i Parysie, Wenecji i Krzysztofie. I oczywiście o Bravo. Ale nie o Genesis.

St. Claire w oczywisty sposób starał się go wybadać. Próbował pohamować zdziwienie, ale nie w pełni mu się to udało.

- Nie było powodu, by pan słyszał. On nie żyje. Wydaje mi się nieprawdopodobne, że Varak podał panu moje nazwisko.

- Nie podał. Co więcej, wręcz tego odmówił. Powiedział mi że człowiek nazwiskiem Bromley, ale nie zdawał sobie sprawy, że to robi. Był zakodowany w Biurze pod hasłem

„Żmija”. „B” zmieniło się na „Z” i to była jedna z brakujących teczek. Mieszanina prawdy i kłamstwa. W taki sposób i ja zostałem zaprogramowany.

St. Claire zbliżając się do Chancellora zmrużył oczy.

- „Mieszanina prawdy i kłamstwa”. Czy Varak to powiedział? - Tak. Umarł na moich rękach. Ale przedtem wyznał mi wszystko. - Wszystko?

- Od samego początku. Od Malibu po Waszyngton. Jak mnie sprowokowano, bym się w to wmieszał, jak wykorzystano mnie jako pułapkę, która miała sprowokować innych do ujawnienia się. Jednego nie powiedział wprost, mianowicie, że było zupełnie obojętne, czy przeżyję, czy umrę, nieprawdaż? Jak mogliście do tego dopuścić?

- Proszę usiąść.

- Wolę stać.

- Doskonale. Czy jesteśmy parą krążących koło siebie gladiatorów? - Być może.

- Jeśli tak, już przegrał pan bitwę. Mój kierowca pilnuje nas z werandy.

Chancellor odwrócił się w stronę okna. Kierowca stał nieruchomo z pistoletem w ręku.

- Pan sądzi, że przyszedłem pana zabić? - spytał Peter.

- Nie wiem jeszcze, co sądzić. Wiem tylko, że nic nie może mi przeszkodzić w odzyskaniu tych

teczek. Chętnie oddałbym za to życie, gdyby zaszła potrzeba.

- Litery od „M” do „Z”. Człowiek, który je ma, szepcze przez telefon grożąc swym ofiarom. I jest to jeden z czterech ludzi: Sztandar, Parys, Wenecja lub Krzysztof. A może jest nim Bravo, to też możliwe. Zgaduję. Ten człowiek dotarł do Phyllis Maxwell, Paula Bromleya i generałaporucznika Bruce'a MacAndrewa. Generał miał właśnie zdemaskować coś ukrywanego od dwudziestu dwóch lat. Coś, z czym nie mógł już dłużej żyć, gdy go zmuszono do dymisji. Do ilu jeszcze innych ten człowiek dotarł, nie wie nikt. Ale jeśli nie zostanie odnaleziony, jeśli teczki nie zostaną odnalezione i zniszczone, będzie miał w ręku dźwignie rządów.

Peter powiedział to wszystkim monotonnym głosem, ale oświadczenie wywarło skutek.

- Wie pan o rzeczach, które mogą pana kosztować życie - oznajmił St. Claire.

- Ponieważ wam zawdzięczam, że omal nie straciłem go kilka razy, nie dziwi mnie to.

Tylko przeraża. I chcę temu położyć kres. - Ja też bym chciał, by pan tego dokonał. Bogu tylko wiadomo, jak bardzo pragnę, by wszystko się skończyło, a teczki zostały odnalezione. Z

całego serca chciałbym być przekonany, że to się może w ten sposób zakończyć.

- Jest sposób, by tego dokonać. By stało się to faktem.

- Jaki?

- Ujawnijcie się. Przyznajcie, że brak części teczek Hoovera. Wymyślcie rozwiązanie.

- Pan oszalał.

- Dlaczego?

- Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż pan sobie wyobraża. - St. Claire podszedł do fotela. Złożył dłonie na brzegu jego oparcia, wyciągając delikatne palce wzdłuż obicia. Jego ręce drżały. Powiedział pan, że Bromley podał panu moje nazwisko? Jak? -

Wytropił mnie w pociągu i próbował zabić. Powiedziano mu że mój rękopis jest ukończony, że zawiera informacje o jego rodzinie. Wiem, że tego rodzaju wiadomości mogły pochodzić tylko od pana. Wymienił pana nazwisko i nagle wszystko stało się jasne. Od początku od samego początku. Od Uniwersytetu Park Forest przed laty. Miałem wobec pana dług, a pan sam go sobie odebrał. Dług jest anulowany.

St. Claire podniósł wzrok.

- Pana dług wobec mnie? Nigdy czegoś takiego nie było. Ale chciałbym poddać panu pod rozwagę, że ma pan dług wobec swego kraju. - Na to mogę się zgodzić. Ale chcę wiedzieć, czym go spłacam. Peter podniósł głos. - Podajcie do publicznej wiadomości nazwiska waszej grupy! Powiedzcie całemu krajowi - ponieważ długi należy płacić - że zginęły osobiste teczki Hoovera!

- Proszę! - St. Claire podniósł dłoń. - Niech pan się postara zrozumieć. Myśmy się zebrali w nadzwyczajnych okolicznościach...

- Aby powstrzymać szaleńca - przerwał Chancellor.

Bravo potwierdził skinieniem.

- Aby próbować powstrzymać szaleńca. A robiąc to prze kroczyliśmy wielokrotnie granice naszych uprawnień. Naginaliśmy w inną stronę poczynania rządu, uważając to za usprawiedliwione. Mogliśmy zostać zrujnowani, wszystko, o co walczyliśmy, byłoby zniszczone, z tego zdawaliśmy sobie sprawę. Jedyńym motywem naszego działania była, uczciwość, jedyną obroną anonimowość.

- Zmieńcie zasady! Jeden z was już to zrobił!

- A więc musi zostać wykryty. Ale nie można za to winić innych! - Nie dociera do pana to, co mówię. Dług jest anulowany, panie St. Claire. Wykorzystaliście mnie. Byłem manipulowany, wytrącany z równowagi w tak diabelski sposób, że o mało nie postradałem zmysłów. Po co? Abyście wy, Pentagon, Federalne Biuro Śledcze, a o ile mi wiadomo także Biały Dom, Departament Sprawiedliwości... połowa zasranego aparatu państwowego mogła nadal kłamać? Opowiadać ludziom, że teczki zostały zniszczone, podczas gdy nie są? Ja pana nie proszę, ja żądam! Albo sami się ujawnicie, albo ja to zrobię! St. Claire próbował

pohamować drżenie dłoni, ale nie mógł go całkowicie ukryć. Długie, smukłe palce wbił w oparcie fotela. - Proszę mi opowiedzieć o Varaku - rzekł cicho. - Mam prawo to usłyszeć, był

moim przyjacielem.

Chancellor opowiedział, pomijając konkluzję Varaka, że kluczem jest Chasong.

Alison była zbyt blisko związana z tą sprawą i nie miał zamiaru ujawniać St. Claire'owi jej osoby.

- Umarł - zakończył Peter - przekonany, że to nie pan, lecz jeden z pozostałej czwórki.

„Nigdy Bravo”. Powtarzał to w kółko. - A pan? Jest pan przekonany?

- Jeszcze nie, ale może mnie pan przekonać. Proszę się ujawnić. - Rozumiem - St.

Claire odwrócił się i spojrzał na wody zatoki. Varak powiedział, że został pan zaprogramowany mieszaniną prawdy i kłamstwa. Czy wyjaśnił jak?

- Oczywiście. Prawdą było zniknięcie teczek, kłamstwem morderstwo. Zresztą i tak w nie nie uwierzyłem. Był to tylko pomysł na powieść... Rozmawialiśmy wystarczająco długo.

Żądam pańskiej odpowiedzi. Czy ujawni pan całą historię, czy ja mam to zrobić?

St. Claire powoli odwrócił się do niego. Znikł jego niedawny niepokój. Spojrzenie miało tak zimne, że Peter aż się przestraszył.

- Proszę mi nie grozić. Nie znajduje się pan w sytuacji, która na to pozwala.

- Tego nie może być pan pewien. Nie wie pan, jak się zabezpieczyłem.

- Czy sądzi pan, że jest postacią z jednej ze swych powieści? Proszę się nie wygłupiać.

- Bravo spojrzął w stronę okna. Kierowca przyglądał się im uważnie, z dokładnie wycelowaną bronią. - Pan nie jest ważny. Ja także nie.

Chancellor poczuł, że zaczyna go ogarniać panika.

- Pewien człowiek w Nowym Jorku wie, że pojechałem na spotkanie z panem. Jeśli cokolwiek mnie spotka, zdemaskuje pana. A prawdę powiedziawszy pan z nim rozmawiał.

- Słuchałem, co mówił - sprostował St. Claire. - Nie wyraziłem na nic zgody. Pan wjechał samochodem w ślepo kończącą się drogę nad brzegiem Chesapeake. W raporcie dziennym Departamentu Stanu jestem wymieniony jako obecny w tym momencie na konferencji z wiceministrem, który przysięgnie, że tak było. Ale nie potrzebuję alibi. Możemy pana zabić w każdej chwili. Dziś, jutro, za tydzień, miesiąc. Ale nikt tego nie zamierza. To nigdy nie było w planach... Cztery i pół roku temu skierowałem pana do świata literatury.

Niech pan do niego wraca, a ten zostawi innym.

Peter osłupiał. Role się odwróciły. Lęki St. Claire'a znikły, jakby nowiny przyniesione przez oburzonego młodego człowieka nie miały już znaczenia. To było bezsensowne. Co spowodowało taką zmianę? Skierował spojrzenie w okno. Kierowca musiał wyczuć napięcie, bo podszedł bliżej szyby. St. Claire dostrzegł niepokój Petera i uśmiechnął się. -

Powiedziałem, że może pan wracać. Tamten człowiek jest tylko dla mej obrony. Nie wiedziałem, w jakim stanie ducha pan przybędzie. - I nadal pan nie wie. Skąd ma pan pewność, że wyjechawszy stąd nie opowiem całej historii?

- Bo obaj wiemy, że byłoby to niemożliwe. Zbyt wielu ludzi mogłoby stracić życie, a tego obaj sobie nie życzymy.

- Więc powiem panu, że wiem kim są: Sztandar, Parys, Wenecja i Krzysztof! Varak zapisał mi ich nazwiska!

- To zakładałem z góry. A pan musi zrobić to, co pan musi. - Jasna cholera, opowiem tę historię! Koniec z zabijaniem Koniec z kłamstwami!

- W moim przekonaniu - odparł lodowatym tonem St. Claire jeśli pan to zrobi, Alison MacAndrew

będzie martwa, nim minie dzień.” Peter zacisnął pięści i postąpił krok w stronę Bravo.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Jedna z szyb została wybita w otworze ukazał się pistolet kierowcy.

- Niech pan wraca do domu, panie Chancellor. I zrobi to, co powinien.

Peter odwrócił się i wybiegł z pokoju.

Munro St. Claire otworzył oszklone drzwi i wyszedł na balkon Powietrze pochłodziło, wiatr od zatoki powiał mocniej. Niebo ściemniało. Wkrótce spadnie deszcz.

„To nadzwyczajne - pomyślał St. Claire. - Varak nawet w agoni pokierował biegiem wypadków. Zrozumiał, że pozostała mu tylko jedna możliwość: Peter Chancellor musi zająć jego miejsce. Teraz literat stał się prowokatorem. Nie miał innego wyboru, jak wziąć się za Sztandara, Parysa, Wenecję i Krzysztofa.

Chancellor oświadczył, że nim manipulowano. Ale nie wiedział, że manipulacja trwa nadal. Teraz trzeba było tylko bardzo dokładnie śledzić pisarza, każdy jego ruch, aż doprowadzi on do posiadacza teczek. Koniec będzie tragiczny, ale nie do uniknięcia. Tak, jak nie do uniknięcia było zamordowanie Johna Edgara Hoovera. Umrze dwóch ludzi. Zdrajca Inver Brass i bez cienia wątpliwości Peter Chancellor. Stefan Varak do samego końca był

zawodowcem. Ze śmiercią

Chancellora wszystkie drogi zostaną zatrzaśnięte. A Inver Brass rozwiązany, nigdy nie ujawniony”.

ROZDZIAŁ 33

- Nadal nie chcesz mi powiedzieć, kto to jest? - spytał O'Brien, siedząc przy kuchennym stole naprzeciw Petera. Przed nimi stały na wpół opróżnione szklaneczki whisky.

- Nie. Varak powiedział prawdę. On nie ma teczek.

- Skąd ta pewność?

- Bo inaczej nie wypuściłby mnie żywego.

- No to okay. Nie będę naciskał. Uważam, że masz fioła, ale nie będę naciskał.

Chancellor uśmiechnął się.

- To by ci nic nie dało. Czego się dowiedziałeś o naszych czterech kandydatach? Czy istnieje jakiś związek z Chinami? Choćby odległy? - Tak. Są dwie możliwości. Dwie pozostałe raczej nie wchodzi w rachubę. Jedna z nich jest bardzo dramatyczna.

Powiedziałbym, że istnieje tu prawdopodobieństwo.

- Kogo dotyczy?

- Jakuba Dreyfusa. Krzysztofa.

- Dlaczego?

- Z powodu pieniędzy. Był organizatorem ogromnego poparcia finansowego dla szeregu wielonarodowych koncernów, operujących z Tajwanu.

- Otwarcie?

- Tak. Oficjalnie miało to na celu pomoc w tworzeniu zdrowej gospodarki tajwańskiej.

Spotkał się z poważnym oporem, wiele banków było zdania, że Formoza upadnie. Ale Dreyfus walczył jak tygrys. Wszystko wskazuje, że otrzymał stosowne zapewnienia od Eisenhowera i Kennedy'ego. Skupił wokół siebie różne towarzystwa i praktycznie sam zbudował tam nowy przemysł.

To wywołało u Petera wątpliwości, sprawa była zbyt jawna. A człowiek w rodzaju Dreyfusa nie działałby jawnie.

- I nie było tam nic tajnego? Żadnych zakulisowych porozumień czy czegoś podobnego?

- Nie znaleźliśmy ich. A do czego są one potrzebne? Pieniądze oznaczają zaangażowanie. A tego właśnie poszukujemy.

- Jeśli kluczową sprawą są pieniądze, to tak. Ale nie jestem przekonany, że to o nie chodzi. Jaka jest druga możliwość? - Frederick Wells. Sztandar.

- Jakie ma powiązania z chińskimi nacjonalistami?

- Z Chinami, niekoniecznie z chińskim rządem. Jest sinofilem. Jego hobby to historia starożytna Dalekiego Wschodu. Jest jednym z największych kolekcjonerów sztuki chińskiej na świecie. Muzea bez przerwy wypożyczają dzieła z jego zbiorów.

- Zbiory sztuki? A z czym by to się miało wiązać?

- Nie wiem. Szukamy powiązań.

Chancellor zmarszczył brwi. Logicznie rzecz biorąc, Wells byłby lepszym kandydatem niż Dreyfus. Człowiek rozmiłowany w kulturze jakiegoś narodu łatwiej mógł

poddać się mistyce tej kultury niż ktoś zajęty tylko pieniędzmi. Czy możliwe, by pod skorupą zachodniego pragmatyzmu tkwiła we Fredericku Wellsie dusza wschodniego mistyka, w wiecznym wewnętrznym konflikcie? Czy też takie przypuszczenie jest absurdalne? Wszystko było możliwe.

Niczego nie wolno przeoczyć.

- Powiedziałaś, że pozostali raczej nie wchodzą w rachubę. Co masz na myśli?

- Żaden nie zdradza jakichkolwiek uchwytnych sympatii prochińskich per se.

Niemniej Sutherland, Wenecja, wydał wyrok na niekorzyść rządu w procesie z pozwu trzech nowojorskich dziennikarzy, którym Departament Stanu odmówił paszportów na kontynent chiński. Istotą jego uzasadnienia było to, że jeśli Pekin gotów jest ich wpuścić, wówczas odmowa paszportu jest naruszeniem Pierwszej Poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

- To brzmi logicznie.

- I tak jest. Od wyroku nie było apelacji.

- A co z Montelanem?

- Parys przez długi czas był czynnym antynacjonalistą. Lata temu określił Czang Kajszeaka jako skorumpowanego wojskowego dygnitarza. Jawnie popierał przyjęcie Chin Ludowych do ONZ.

- Wiele osób to robiło.

- Dlatego określiłem te dane jako raczej negatywne. Stanowiska zajęte w tych sprawach przez Wenecję i Parysa mogły być niepopularne, ale nie były rzadkością.

- Chyba że miały inne uzasadnienia.

- Chyba że cokolwiek. W tej fazie opieram się zaledwie na prawdopodobieństwach.

Sądzę, że powinniśmy się skupić na osobach Dreyfusa i Wellsa.

- Może w pierwszej kolejności, ale zamierzam się zająć całą czwórką. Spotkać się z każdym z nich. - Peter dopił whisky.

O'Brien odchylił się na oparcie fotela.

- Czy zechcesz uprzejmie to powtórzyć?

Peter wstał i ze szklanką w ręku podszedł do bufetu, gdzie stała butelka szkockiej.

Wypili dotychczas po jednej szklance; Peter zawahał się i w końcu nalał sobie drugą.

- Na ile osób możesz liczyć? W taki sposób, jak na tych ludzi w motelu w Quantico i tych, którzy tu jechali za nami?

- Prosiłem cię, abys powtórzył to, co powiedziałaś przed chwilą. - Nie kłóć się ze mną

- odparł Peter. - Pomóż mi, ale się nie sprzeciwiaj. Ja jestem ogniwem łączącym tych czterech. Każdy z nich wie, jak mną manipulowano. Jeden zaś wie, a przynajmniej będzie uważał, że wie, iż mam go na muszce.

- A wtedy?

- Wtedy spróbuje mnie zabić. - Chancellor napełnił swą szklankę. - To mi już przyszło na myśl - odparł O'Brien. - Sądzisz, że wezmę za to odpowiedzialność? Nie łudź się.

- Powstrzymać mnie nie możesz. Możesz mi tylko pomóc.

- Cholerę w bok, nie mogę powstrzymać! Mogę sformułować przeciw tobie z tuzin oskarżeń, które zaprowadzą cię za kraty.

- I co wtedy? T y nie możesz się z nimi spotkać.

- Czemu nie?

Chancellor podszedł do stołu i usiadł.

- Bo do ciebie już się dobrano. Pamiętasz Han Czou?

O'Brien siedział bez ruchu, wpatrując się w Petera.

- Co wiesz na temat Han Czou?

- Nic, Quinn. I nie chcę wiedzieć. Ale potrafię zgadywać. Pierwszej nocy, gdy rozmawialiśmy, gdy wymieniałem nazwisko Longwortha, gdy powiedziałem, co spotkało Phyllis Maxwell... gdy wymieniałem nazwę „Chasong”, twoja twarz, twoje spojrzenie mówiły, jak się boisz. I wypowiedziałeś słowa „Han Czou”, jakby to była twoja śmierć. Patrzyłeś na mnie tak, jak patrzysz teraz; zaczęłaś mnie oskarżać o rzeczy, o których nie miałem pojęcia.

Możesz w to nie uwierzyć, ale wymyśliłem cię, zanim się spotkaliśmy. - Co to za bzdury? -

spytał O'Brien z wysiłkiem.

Peter w zakłopotaniu napił się whisky. Odwrócił wzrok od Quinna i wpatrzył się w szklankę.

- Byłeś moją operacją oczyszczającą. Przyzwoitym człowiekiem, który stawiał czoło swym słabościom i zwalczył je.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Każde opowiadanie dotyczące destrukcji musi zawierać przeciwwagę. Jakąś postać ze świata aniołów. Uważam, że różnica między prawdziwą powieścią a komiksem polega na tym, że w powieści nikt nie jest od początku bohaterem. Jeśli się nim staje, to tylko dzięki temu, że zmusza się do przewyciężenia własnego strachu. Nie jestem aż tak dobrym literatem, by napisać tragedię, więc

nie można nazwać tego strachu rysem tragicznym. Ale można słabością Han Czou było twoją słabością, prawda? Ty też znalazłeś się w teczkach.

Quinn nieświadomie przełknął ślinę, nie spuszczając oczu z Chancellora. - Czy chcesz o tym usłyszeć?

- Nie. I mówię poważnie. Ale chcę wiedzieć, po co do ciebie się dobrano? To musiało nastąpić przed naszym pierwszym spotkaniem. O'Brien przemówił urywanie, jakby przerażony własnymi słowami. - W nocy przed śmiercią Hoovera w raporcie Bezpieczeństwa Wewnętrznego Biura zanotowano trzy nazwiska. Longworth, Krepps i Salter. - Longworth to był V a r a k! - przerwał szorstko Peter.

- Czy naprawdę był? - odparł Quinn. - To ty mi powiedziałaś, że Varak zginął starając się odzyskać teczkę. Człowiek nie pozwala się zabić, by odnaleźć to, co już posiada. To był

ktoś inny.

- Dalej.

- W żaden sposób prawdziwy Longworth nie mógł tam się znaleźć. A Krepps i Salter to były pseudonimy, których nikomu nie przydzielono. Nie udało mi się ustalić tożsamości żadnego z nich. Innymi słowy, trzem obcym ludziom udzielono tej nocy zezwolenia na wejście do biura Hoovera. Zacząłem zadawać pytania. I zatelefonowano do mnie... - Wysoki szept? - spytał Peter.

- Szept. Bardzo uprzejmy, bardzo precyzyjny. Powiedziano mi, że mam zaprzestać poszukiwań. Groźbą było Han Czou.

Chancellor pochylił się w jego stronę. Dwie noce temu przesłuchiwał go O'Brien, teraz on przesłuchiwał O'Briena. Amator kierował zawodowcem. Bo zawodowiec był

przestraszony.

- Co to jest nie przydzielony pseudonim?

- Legenda przygotowana zawczasu na nagłe wypadki. Życiorys. Rodzice, szkoły, przyjaciele, zawód, stan służby. Tego rodzaju rzeczy. - W ciągu dziesięciu minut człowiek ma gotową biografię.

- Powiedzmy, kilku godzin. Musi wyuczyć się na pamięć wielu danych.

- Co przede wszystkim zwróciło twoją uwagę na raporty dzienne bezpieczeństwa?

- Teczki - odpowiedział O'Brien. - Kilku z nas zaczęło się zastanawiać, co się z nimi stało. Rozmawialiśmy o tym. Po cichu, tylko we własnym gronie.

- Ale dlaczego raporty bezpieczeństwa?

- Nie jestem pewien. Przypuszczam, że w drodze eliminacji. Sprawdziłem w kralalni dokumentów, w spalarni, na wejściach komputerowych. Nigdzie nie było godnych uwagi ładunków. Zbadałem nawet sprawę kartonów Hoovera we Flagach.

- Flagach?

- Gabinet Hoovera. Nie lubił tego określenia. W jego obecności nigdy go nie używano.

- Czy kartonów było dużo?

- Nawet w przybliżeniu nie tyle, aby mogły zawierać teczek. Dla mnie oznaczało to, że je usunięto. I to mnie śmiertelnie przeraziło. Pamiętaj, że byłem świadkiem posługiwania się nimi.

- Alexander Meredith... Już tam bywałem dawniej.

- Co za Meredith?

- Ktoś, kogo powinieneś poznać. Tyle tylko, że on nie istnieje. - Twoja książka?

- Tak. Mów dalej,

- Ponieważ usunięcie teczek z Biura było fizycznie możliwe, zacząłem badać raporty dzienne. Wszyscy wiedzieli, że Hoover jest umierający. Istniała nawet nazwa kodowa jego śmierci: „otwarty teren”. Jej znaczenie, jak sądzę, jest jasne. Kto po dyrektorze?

- Albo co?

- Właśnie. Ślęczałem nad raportami, wracając myślą do miesięcy poprzedzających jego śmierć. Koncentrowałem się na zapisach nocnych, ponieważ w ciągu dnia niezręcznie byłoby wywozić całe wózki usuniętych z Flag kartonów. Wszystko było w porządku, wszyscy i wszystko posprawdane. Aż wreszcie zwróciłem uwagę na raporty z nocy pierwszego maja, gdzie znalazłem trzy nazwiska. Dwa z nich były bezsensowne, nie odpowiadały żadnym konkretnym osobom... - Quinn przerwał i pociągnął whisky.

- Jaką wówczas miałeś teorię? Czy stwierdziłeś, że nie istniały takie osoby?

- Częściowo podzielam ją do dziś. - O'Brien zapalił papierosa. Uważam, że Hoover zmarł o dzień wcześniej, niż podano. - Agent zaciągnął się głęboko.

- To bardzo poważne twierdzenie.

- To jest logiczne.

- Dlaczego?

- Nie przydzielone pseudonimy. Ktokolwiek je sobie przywłaszczył, musiał być dobrze zaznajomiony z tajnymi operacjami, musiał mieć przygotowane autentyczne dowody tożsamości. Dyżurny agent z tej

nocy, nazwiskiem Parke, nie chciał rozmawiać na temat tych wydarzeń.

Twierdził tylko, że wszystkim trzem zezwolenia na wejście udzielił osobiście Hoover własnym kodowanym telefonem. To się zgadza, telefon został użyty. Ale nie sądzę, by Parke rozmawiał z Hooverem. Rozmawiał z kimś innym, znajdującym się w domu Hoovera.

Agentowi to wystarczyło. Ten telefon był świętością.

- A więc rozmawiał z kimś w domu Hoovera. I co z tego?

- A więc z kimś, czyich uprawnień nie mógł zakwestionować. Kimś, kto znalazł

Hoovera martwego i chciał usunąć teczki, nim rozejdzie się wiadomość o jego śmierci i wszystko zostanie szczelnie zatrzaśnięte. Uważam, że teczki zabrano w nocy pierwszego maja.

- Masz jakiś pomysł co do tego?

- Jeszcze dwie godziny temu miałem. Myślałem, że był to pierwszy zastępca Hoovera, Tolson, i fanatycy. Ale ty spowodowałeś, że to przestało być prawdopodobne.

- Ja?

- Tak. O mały włos nie zabiłeś człowieka w Galerii Corcorana. Znalezione go w szybie klatki schodowej. Był to jeden z fanatyków. Przesłuchano go w szpitalu i postawiono przed alternatywą. Albo poda nazwiska innych i poprosi o dymisję, albo zostanie postawiony w stan oskarżenia, utraci prawa do emerytury i dostanie piekielnie długą karę więzienia.

Oczywiście wybrał to pierwsze. Dwie godziny temu dostałem wiadomość od jednego z naszych. Wszyscy fanatycy poprosili o dymisję. Nie zrobiliby tego, gdyby mieli teczki.

Chancellor uważnie przyglądał się O'Brienowi.

- A więc znów powracamy do naszych czterech kandydatów.

Sztandar, Parys, Wenecja i Krzysztof.

- I Bravo - dodał O'Brien. - Chcę, abyś go wykorzystał. Posłuchaj samego siebie: zrób tak, by on musiał rozwiązać ten problem. Jeśli jest takim człowiekiem, jak oceniasz albo jak Varak go oceniał, nie odmówi. Wróć do niego.

Chancellor wolno pokręcił głową.

- Czegoś nie rozumiesz. On jest zmęczony, nic już nie może zrobić. Varak to wiedział.

Dlatego zwrócił się do mnie. Tylko my dwaj, O'Brien. Nie szukaj nikogo więcej.

- No, to wymuśmy rozwiązanie! Ujawnijmy ich!

- Po co? Zaprzeczą wszystkiemu, co powiemy. Mnie załatwią epitetem pismaka, promującego nową książkę. A ty, co gorsza, będziesz musiał żyć z odpowiednio nagłościoną sprawą Han Czou. - Peter odepchnął swą szklankę. - Tak ich nie powstrzymamy. Bravo wypowiedział się na ten temat bardzo jasno. Wcześniej czy później zdarzy się kilka nieszczęśliwych wypadków. Musimy zdawać sobie z tego sprawę. Zostaniemy przeznaczeni na odstrzał.

- Do jasnej cholery, przecież nie mogą zaprzeczyć istnieniu brakujących teczek!

Chancellor uważnie przyjrzał się rozzłoszczonemu, sfrustrowanemu agentowi. W

Quinnie O'Brienie żył Alex Meredith. Peter zdecydował, że musi mu powiedzieć.

- Obawiam się, że zaprzeczą temu bardzo skutecznie. Ponieważ brakuje tylko połowy teczek. Na litery od „M” do „Z”. Resztę odzyskano. O'Brien osłupiał.

- Kto je odzyskał?

- Varak nie wiedział.

Quinn rozduśił papierosa.

- Albo nie chciał powiedzieć!

- Peter! Quinn!

Alison krzyczała z salonu. O'Brien pierwszy rzucił się do drzwi. W pokoju było ciemno. Alison stała w oknie, trzymając ręką zasłonę. - Co się stało? - podbiegając spytał

Chancellor. - Coś złego? - Tam, na drodze - odpowiedziała głuchym głosem. - Na wzniesieniu między bramami. Zobaczyłam tam kogoś, wiem na pewno Stał i przyglądał się domowi. A potem się cofnął.

Quinn szybkim krokiem podszedł do częściowo zasłoniętej firanką, wmontowanej w ścianę płyty. Były na niej ledwie widoczne w mroku dwa rzędy białych, wypukłych dysków.

Wyglądały jak dwa szeregi martwo patrzących oczu.

- Nie zareagowała ani jedna fotokomórka - oświadczył tak, jakby: mówił o braku zmian atmosferycznych.

Peter nagle zaczął się zastanawiać, na czym właściwie polega „czysty” dom, nie licząc wszechobecnych kuloodpornych szyb, krat w oknach i aparatów radiowych.

- Czy wszystko tutaj jest chronione elektronicznie? Bo chyba o tym mówią te kontrolne światełka?

- Tak. Ochrona okrężna krzyżujących się wiązek. Na podczerwień. I są też pod ziemią pomocnicze dynama na wypadek wyłączenia prądu. Sprawdzane co tydzień.

- Tak jak w motelu w Quantico?

- Oba obiekty projektował ten sam architekt, budowała ta sama firma. Wszystko jest stalowe, nawet drzwi.

- Wejściowe są drewniane - przerwał mu Chancellor.

- Fornir - odpowiedział spokojnie Quinn.

- A może po prostu jakiś sąsiad wyszedł na spacer? - zapytała Alison.

- Możliwe, lecz mało prawdopodobne. Wszystkie domy stoją tutaj na trzykrowych działkach. Te po bokach należą do pracowników państwowych na bardzo wysokim szczeblu dyplomatycznym. Powiadomiono ich o zakazie przyjazdu tutaj.

- Oł, tak po prostu?

- Nic w tym niezwykłego. Ten dom służy jako rezydencja na okres przesłuchań dla ludzi, którzy wybrali wolność.

- Jest znowu! - zawołała Alison odchylając zasłonę.

W oddali, między kamiennymi słupami bramy, rysowała się sylwetka człowieka w płaszczu. Stał na tle nocnego nieba, w miejscu, gdzie droga biegła po małym wzniesieniu.

- On tylko tam stoi - zauważył Peter.

- I nie próbuje przejść przez bramę - dodał Quinn. - Wie o urządzeniu alarmowym. I chce, abyśmy wiedzieli, że on o tym wie. - Patrzcie - szepnęła Alison. - Poruszył się!

Postać uczyniła krok naprzód i podniosła prawą rękę. Opuściła ją wyprostowaną przed sobą, jakby w jakimś rytualnym geście. Natychmiast z tablicy rozległ się brzęczyk, a jeden z białych krążków poczerwieniał. Człowiek zwrócił się w lewo i znikł w ciemnościach.

- O co tutaj chodziło? - spytał O'Brien, raczej samego siebie niż innych.

- Właśnie o to, co powiedziałeś - odrzekł Chancellor. - Chciał, abyśmy się dowiedzieli, że on też wie o zabezpieczeniach. - Nie są niczym nadzwyczajnym. Większość tych domów ma systemy alarmowe.

Nagle znów zabrzęczała tablica i drugi krążek zaświecił czerwono. A potem w krótkich odstępach brzęk następował po brzęku, czerwone światła zapalały się jedno po drugim. Alarmy rozbrzmiały

taką kakofonią, że aż uszy bolały. W ciągu trzydziestu sekund wszystkie krażki rozpały się czerwono, uruchomiły wszystkie brzęczyki. Pokój zalał

karmazynowy blask.

O'Brien zapatrzył się w tablicę.

- Znają wszystkie, wszystkie wiązki! Wszystkie cholerne wiązki! Przebiegł przez pokój do szafki ściennej. Znajdowała się w niej radiostacja. O'Brien nacisnął guzik i przemówił z usilnym naleganiem. - Tu Saint Michael's Jeden, przybywajcie! Powtarzam, Saint Michael's Jeden, alarm! Jedyłą odpowiedzią był biały szum.

- Proszę, przyjeżdżajcie! Tu Saint Michael's Jeden. Alarm! Nic. Tylko szum, który stawał się coraz głośniejszy. Peter rozejrzał się po pokoju, starając się coś dojrzeć w chaosie czerwonego blasku i cienia. - Telefon! - powiedział.

- Daj sobie spokój. - O'Brien cofnął się od radiostacji. - Tego by nie przeoczyli, kabel jest przecięty. Nie działa.

I tak było.

- Co się stało z radiem? - spytała Alison, starając się mówić spokojnym głosem. -

Czemu nie dostałeś połączenia?

Quinn spojrział na nich.

- Zagłuszyli częstotliwość, co znaczy, że musieli ją znać. Jest zmieniana codziennie.

- To spróbuj na innej! - powiedział Chancellor.

- Nie da rady. Gdzieś w pobliżu, jakieś pięćdziesiąt do stu jardów stąd mają skomputeryzowany skaner. Gdy tylko otrzymam połączenie zanim zdążę coś powiedzieć, zagłuszą ją także.

- Niech cię diabli, spróbuj chociaż!

- Nie - odparł O'Brien znowu patrząc na tablicę. - Właśnie o to im chodzi. Chcą, abyśmy to robili, abyśmy wpadli w panikę. Liczą na to. - A czemu nie mielibyśmy w nią wpadać? Co za różnica? Powiedziałaś, że nikt nie może nas tu wysledzić. No i ktoś to zrobił, radio nie nadaje się do użytku, a ja nie mam zaufania do twoich stalowych konstrukcji i dwucalowych szyb! Co one znaczą wobec paru palników i kowalskiego młota! Na litość boską, zrób coś!

- Nie zrobię niczego, bo tego się właśnie nie spodziewają. Za dwie, trzy minuty wracam na pierwszą częstotliwość i nadam wiadomość. Zwrócił się do Alison.

- Wejdź na piętro i sprawdzaj, co widać przez frontowe i tylne okna. Zawołaj, jeśli coś zobaczysz. Chancellor, wracaj do stołowego! Rób to samo.

Peter nie ruszył się z miejsca.

- Co masz zamiar zrobić?

- Nie mam czasu na wyjaśnienia. - Podeszedł do frontowego okna. Peter poszedł za nim. Na tle nocnego nieba między słupami bramy znów pojawiła się sylwetka człowieka.

Przez dziesięć czy piętnaście sekund stał bez ruchu, a potem uniósł obie ręce.

I wtedy zapłonął reflektor o sile kilku tysięcy watów rozcinając ciemności.

- Od frontu! - krzyknęła Alison. - Jest tam...

- Widzimy! - ryknął O'Brien. Zwrócił się do Chancellora.

Sprawdź tył domu! .

Peter pobiegł przez pokój do małego korytarza, prowadzącego do jadalni. Drugi oślepiający snop światła wpadł przez znacznie mniejsze okienka w tylnej ścianie stołowego.

Odwrócił głowę zamykając oczy; od światła rozboleło go czoło.

- Z tyłu jest drugi! - wrzasnął.

- I po tej stronie! - odkrzyknął O'Brien z wnęki na końcu salonu. - Sprawdź od strony kuchni! Z północy!

Peter pomknął do kuchni. Jak przewidział Quinn, przez zakratowane okna w północnej ścianie domu wpadał czwarty snop światła. Peter znowu zasłonił oczy. Co za koszmar! Gdziekolwiek próbowali patrzeć na zewnątrz, oślepiało ich rozpalone do białości światło. Atakowano ich tym światłem, oślepiając!

- Chancellor! - wrzasnął O'Brien skądś spoza kuchni. - Leć na górę! Zabierz Alison i trzymajcie się z dala od okien! Zostańcie pośrodku domu! Biegiem!

Nie było czasu na myślenie, Peter mógł tylko wykonać polecenie. Dobiegł do schodów, chwycił za poręcz i rzucił się do góry. Wspinając się po schodach usłyszał głos O'Briena. Pomimo rozpętanego piekła mówił spokojnie i precyzyjnie. Nadawał przez radio.

- Jeśli mnie słyszycie, alarm zostaje odwołany. Saint Michael's Jeden, powtarzam, alarm odwołany. Dostaliśmy połączenie z Chesapeake na aparaturze zapasowej. Są już w drodze. Przybędą za trzy do czterech minut. Powtarzam. Nie przyjeżdżajcie do nas. Alarm odwołany.

- Co ty robisz? - wrzasnął Chancellor.

- Do diabła z tobą, włącz na górę! Zabierz dziewczynę i trzymajcie się środka domu!

- Po czyjej jesteś stronie?

- Te upiory próbują nas wziąć podstępem! Wabią nas do okien i oślepiają!

- Co ty pleciesz...?

- To nasza jedyna nadzieja! - ryknął agent. - A teraz zabieraj Alison i rób, co powiedziałem! - Odwrócił się do radia i znów nacisnął guzik mikrofonu.

Peter nie czekał. Dostrzegł jeszcze tylko, że agent skulił się pod szafką, za fotelem, tak blisko ziemi, jak się dało, z jedną ręką wyciągniętą do radia. Chancellor pomknął po schodach.

- Alison!

- Tutaj! We frontowym pokoju!

Peter skoczył przez hol pierwszego piętra do sypialni. Alison stała przy oknie, zahipnotyzowana widokiem na zewnątrz.

- Ktoś biegnie!

- Uciekaj stamtąd! - Wyciągnął ją z pokoju do holu.

Najpierw usłyszał metaliczny odgłos przedmiotu zderzającego się ze szkłem czy kratą w oknie sypialni. A potem to nastąpiło.

Eksplozja była ogłuszająca, wstrząs rzucił ich na podłogę. Grube szyby okienne rozprysły się we wszystkie strony, odłamki powbijały w ściany i w podłogę, kawałki kraty z brzękiem zderzały się z twardymi przedmiotami.

Zatrząsał się cały dom, belki zaczęły się zginać, a tynk pękać. Trzymając Alison w ramionach Peter zrozumiał, że musiały być dwa lub trzy wybuchy, tak bliskie sobie, że niemal nie do odróżnienia. Nie. Były cztery wybuchy, każdy z jednej strony domu, z pobliza źródeł oślepiającego światła. O'Brien miał rację. Podstawą tej strategii było zwabienie ich do okien, a następnie rzucenie materiałów wybuchowych. Gdyby stali przy oknach, ich ciała zostałyby dokładnie naszpikowane odłamkami szkła. Żyły i tętnice mieliby poprzecinane, głowy przebite tak, jak jego własna przed wieloma miesiącami na autostradzie pensylwańskiej. Analogia stała się nazbyt bolesna. Nawet kurz unoszący się z rozbitego tynku przypominał mu kurz i błoto w koziółkującym samochodzie, kobieta trzymana w ramionach -

tamtą kobietę. - Chancellor? Żyjesz? Odpowiadaj!

Był to głos Quinna, wysilony, piskliwy, dobiegał gdzieś z dołu. Peter usłyszał odgłos oddalających się samochodów.

- Tak.

- Odjechali. - Głos O'Briena był teraz słabszy. - Musimy się stąd wydostać.

Natychmiast!

Peter podpełzł do skraju schodów i wyciągnął rękę do wyłącznika oświetlenia holu.

Nacisnął. O'Brien siedział skurczony na dolnym stopniu, z ręką wczepioną w poręcz. Twarz miał we krwi.

Prowadził Chancellor; Alison na tylnym siedzeniu nie oznakowanego auta przytrzymała w ramionach O'Briena. Odłamki szkła powbiły się agentowi w prawe ramię i bark; na twarzy i szyi miał liczne cięcia. Na szczęście rany nie były groźne, tylko bolesne.

- Uważam, że powinniśmy cię zawieźć do domu - powiedział

Peter, ciągle jeszcze dysząc ze strachu - do twojej żony i osobistego lekarza. - Rób, co ci powiedziałem - odparł Quinn starając się opanować ból. - Żona myśli, że jestem w Filadelfii, mój lekarz zacząłby zadawać pytania. Skorzystamy z kogoś innego.

- Uważam, że najwyższy czas na zadawanie pytań!

- Nikt nie zechce słuchać odpowiedzi.

- Nie możesz tak postępować - wtrąciła się Alison ocierając chusteczką twarz O'Briena. - Peter ma rację.

- Nie, nie ma. - O'Brien się skrzywił. - Jesteśmy bliżej tych teczek niż kiedykolwiek.

Musimy je odnaleźć. Odebrać je. To jedyne rozwiązanie. Dla nas.

- Dlaczego? - spytał Peter.

- Dom w Saint Michael's leży na terenie zakazanym. Posiadłość warta cztery miliony dolarów, na którą nie ma wstępu.

- Ale ty go uzyskałeś - przerwał Chancellor.

- Może to dziwne, ale nie uzyskałem. - Quinn głośno zaczerpnął powietrza. Atak bólu minął i agent kontynuował. - Gdyby Departament Stanu albo Biuro dowiedziały się, jak nakłamałem i co ujawniłem, posiedziałbym dwadzieścia lat w więzieniu federalnym.

Złamałem wszystkie złożone przysięgi.

- Co się stało? - Peter poczuł do niego nagły przyływ sympatii. - W Departamencie Stanu użyłem nazwiska Varaka. On był specjalistą od wybierających wolność, a ja znam procedurę uzyskiwania zezwolenia na korzystanie z czystego domu. Biuro też wcześniej miało do czynienia z uciekinierami stamtąd. Powiedziałem, że jest to wspólna operacja mego Biura i NRB. Nazwisko Varaka zapewniło uzyskanie pozwolenia. Moje uprawnienia mogłyby zostać zakwestionowane. Varaka nigdy.

Chancellor wprowadził wóz w długi skręt na prawo. Nawet po śmierci Varak był wszechobecny.

- Czy posługiwanie się Varakiem nie było niebezpieczne? On nie żyje, ale ciało na pewno odnaleziono.

- Tylko że jego odciski palców w aktach zostały dawno spalone. Przypuszczam, że nawet do dentysty chodził pod fałszywym nazwiskiem. A biorąc pod uwagę liczbę zabójstw w tym mieście i czas trwania procedury policyjnej, może upłynąć tydzień, nim zostanie zidentyfikowany.

- Do czego zmierzasz? Użyłeś nazwiska Varaka, by dostać zezwolenie na wejście do domu Saint Michael's. No i co? Dlaczego mamy być bliżej teczek?

- Prawnikiem nie będziesz nigdy. Kimkolwiek był ten, kto dziś na nas napadł, musiał

wiedzieć dwie bardzo konkretne rzeczy. Po pierwsze: że w Departamencie Stanu przydzielono komuś ten dom. I po drugie: że Varak nie żyje. Ci czterej ludzie, z którymi masz się zobaczyć - Sztandar, Parys, Wenecja albo Krzysztof - jeden z nich wiedział obie rzeczy.

Peter zacisnął dłonie na kierownicy. Przypomniały mu się słowa usłyszane zaledwie parę godzin temu.

W raporcie dziennym Departamentu Stanu jestem wymieniony jako obecny w tym momencie na konferencji...

Munro St. Claire, ambasador nadzwyczajny z dostępem do tajemnic państwowych, wiedział, że Varak nie żyje.

- Albo Bravo - powiedział Chancellor ze złością. - Piąty człowiek.

ROZDZIAŁ 34

O'Brien nie miał już do dyspozycji żadnego czystego miejsca. Jego możliwości wyczerpały się. Nawet najprzychylniejsi z jego współpracowników nie mogli mu pomóc. Saint Michael's Jeden został zniszczony, czteromilionowej wartości posiadłość rządowa została rozbita.

Mogły istnieć sposoby wytłumaczenia tej katastrofy i niewykluczone, iż można by ich użyć w obronie O'Briena. Ale szokującej informacji, że Varak został zamordowany, instytucje wywiadu państwowego nie były w stanie wyjaśnić.

Poszarpane pociskami ciało Varaka znaleziono bowiem pod czystym domem. Trzeba było zatem brać pod uwagę możliwość zdrady. Peter wszystko rozumiał, ale to, że rozumiał, było bez znaczenia. Ludzie, którzy go tropili i polowali na niego na trawniku Smithsona, znaleźli ciało Varaka i przywieźli je do Saint Michael's, by stworzyć podstępłą komplikację.

Rzesłano wiadomość. Starszy agent Carroll Quinlan O'Brien znikł. Pilne zapotrzebowanie na użycie domu Saint Michael's. Jeden zostało skierowane do Departamentu Stanu z biura O'Briena w FBI. Zezwolenia udzielono z powodu nazwiska Varaka oraz oświadczenia, że sprawa dotyczy wspólnej akcji FBI i NRB. Oświadczenie było niezgodne z prawdą, a O'Brien okazał się nieosiągalny.

A poza tym zostało zniszczone tajne miejsce przesłuchań.

Rozmowy telefoniczne O'Briena z budek stojących przy szosach i bocznych drogach ujawniły, że sieć zarzucona przez państwo zaciska się z alarmującą szybkością. Żona Quinna wpadła w panikę. Odwiedzono ją, opowiadając okropne rzeczy. Zrobili to ludzie, którzy jeszcze parę dni temu byli ich przyjaciółmi. O'Brien mógł tylko próbować ją uspokajać.

Szybko. Nie mówiąc nic istotnego. Bez żadnej wątpliwości ich telefon był na podsłuchu.

Ponadto on, Peter i Alison musieli jak najszybciej uciekać z miejsc, z których telefonował.

Można było bowiem ustalić, z których budek to robił.

Chancellor zadzwonił do Tony'ego Morgana w Nowym Jorku.

Wydawca był przerażony, przedstawiciele władz skontaktowali się z nim. I z Joshuą Harrisem. Oskarżali Petera o wstrząsające rzeczy. Że złożył fałszywe zeznania nocnemu oficerowi służbowemu w Federalnym Biurze Śledczym, że zaatakował agenta FBI w Galerii Corcorana. Człowiek ten był w stanie krytycznym, jeśli umrze, zostanie wniesione oskarżenie o morderstwo. Prócz tych zarzutów istniały dowody, że jest zamieszany w zniszczenie tajnej własności rządowej, o wartości czterech milionów dolarów. - Kłamstwa - wrzasnął Peter. -

Człowiek, na którego napadłem, próbował mnie zabić! To był fanatyk, został zmuszony do dymisji. Czy to ci powiedzieli?

- Nie. A kto powiedział tobie? Agent nazwiskiem O'Brien?

- Tak.

- Nie wierz mu. O'Brien jest rozgoryczonym karierowiczem, człowiekiem niekompetentnym. Ci ludzie bardzo jasno to stwierdzili. Właśnie miał być usunięty z pracy, gdy ty się pojawiłeś.

- Ocalił mi życie!

- A może tylko chciał, abyś tak sądził. Wracaj, Peter. Weźmiemy dla ciebie najlepszych adwokatów. Istnieją okoliczności łagodzące, tamci ludzie to rozumieją. Mój Boże, byłeś w okropnym stresie, w zeszłym roku ledwie wyżyłeś. Odcięło ci pół głowy, nikt nie wie, jaki był zakres uszkodzeń.

- Gówno prawda, i ty o tym wiesz!

- Nic o tym nie wiem. Staram się zrozumieć przyczyny - Morganowi drgnął głos.

Zależało mu na Peterze.

- Tony, posłuchaj. Mam niewiele czasu. Czy nie rozumiesz, co oni robią? Nie mogą ujawnić prawdy. Starają się naprawić to, co się stało, ale nie mogą się przyznać, że w ogóle się stało! Teczki Hoovera znikły! - Skończ wreszcie z opowiastkami przy obozowym ognisku! Zabijasz sam siebie! - wybuchnął Morgan z głębi serca.

Chancellor zrozumiał. Teraz ustawiano także Tony'ego, manipulowano nim.

- Czy wspomniałeś o teczkach?

- Tak... - głos Tony'ego był ledwie słyszalny.

- Czy zaprzeczyli, jakoby teczki znikły?

- Oczywiście. Nigdy nie zaginęły, ponieważ zostały zniszczone. Sam Hoover to polecił.

Kłamstwo było totalne. Peterowi przypomniały się słowa Phyllis Maxwell. Boją się, że zaraza przeniesie się na potomstwo. Czy powiedziała to Phyllis, czy on to wymyślił? Już nie był tego pewien. Fakty i zmyślenia zetknęły się i stały się jednością. Jedyne, co pozostało pewne, to ocena sytuacji dokonana przez Quinna O'Briena:

- Trzeba odnaleźć i okazać teczki. Nie ma innej drogi. Do tej chwili jesteśmy trójką uciekinierów.

- Okłamano cię, Tony. Bogu jednemu wiadomo, jak bardzo chciałbym, aby tak nie było. Ale tak jest. - Odwiesił słuchawkę i pobiegł z budki do samochodu.

Znaleźli opustoszały motel przy plaży w Ocean City. Zima dwa dni przed Bożym Narodzeniem, zupełny brak gości. Lekarz opatrzył Quinna wzięwszy pieniądze i nie interesując się niczym więcej. Przejedny gość wypadł przez szklane drzwi. To wytłumaczenie wystarczyło.

W Wigilię zbiegły agent był bliski załamania. Jego żona i dzieci były o dwie godziny drogi stąd. Ale równie dobrze mogli się znajdować na drugim końcu świata, za drutami kolczastymi, oświetlonymi krzyżowo przez reflektory. Nie mógł im przekazać żadnych słów pociechy, nawet słów nadziei. Istniała tylko rozłąka i świadomość wywołanego przez nią bólu. Peter patrzył, jak O'Brien walczy z

lękiem, poczuciem winy i samotnością, wiedząc, że pewnego dnia jego słowa i emocje zostaną przypisane komuś innemu. Na papierze. Peter widział człowieka ze złamanym sercem, zmuszonego do odwagi, zżeranego przez panikę.

Wszystko to zarówno go wzruszało, jak oburzało.

Jeden zawodowiec. Dwoje amatorów. Trójka uciekinierów. I wszystko zależało od nich. Nie było nikogo więcej. Alison już nie można było wyłączyć, stała się potrzebna.

Musieli razem rozwiązać zagadkę; inaczej niszczenie będzie trwało. I sami zostaną w trakcie tego zniszczeni, ta niesprawiedliwość była przerażająca.

Gwiazdkę mieli bolesną. We troje zamieszkali w tym, co kierownik motelu nazywał

górnym południowym apartamentem. Mieścił się na drugim piętrze, z oknami wychodzącymi zarówno na boczną ścianę budynku, jak i na plażę. Poniżej widać było wejście. Apartament składał się z sypialni, salonu z kanapą do spania i małej kuchenki. Umeblowany był w stylu Średniego Plastyku.

Czekali wiedząc, że czekanie jest konieczne. Radio i telewizję włączyli na stałe, by nie umknął im żaden komunikat nadzwyczajny, jakkolwiek aluzja, że sto mil dalej ktoś w Waszyngtonie zdecydował się ujawnić fakt ich zniknięcia. W automacie stojącym w holu kupili gazety i przeczytali je dokładnie. Jedna wiadomość zwróciła ich uwagę.

Saint Michael's Md. - Wybuch spowodowany przez wadliwe działanie pieca gazowego wyrządził poważne szkody w podmiejskim domu, leżącym w tej ekskluzywnej okolicy nad Chesapeake. Właściciele, pan i pani Chancellor O'Brien, są za granicą. Kontakt z nimi zostanie wkrótce nawiązany...

- Co to ma znaczyć? - spytał Peter.

- Chcą nas zawiadomić, że mają dowody naszego tam pobytu odrzekł Quinn. -

Misterna metoda, co?

- Skąd mogą wiedzieć?

- Łatwe. Odciski palców. Ty służyłeś w wojsku, moje znajdują się w wielu aktach.

- Ale nie wiedzą o Alison. - Chancellor poczuł falę ulgi. Szybko się rozplynęła.

- Obawiam się, że wiedzą - odparł O'Brien. - Dlatego użyli zwrotu „pan i pani”.

- Nic mnie to nie obchodzi! - Alison rozzłościła się. - Chcę, aby wiedzieli. Wydaje im się, że mogą grozić każdemu, gdy im się to spodoba. Mnie grozić nie będą. Mam wiele do powiedzenia!

- I odpowiedzą ci, że oni także - rzekł łagodnie Quinn, podchodząc do okna, za którym widać było plażę i ocean. - Jak się domyślam, postawią cię przed wyborem, powołując się na bezpieczeństwo państwa. Albo będziesz siedzieć cicho, nie wspominając o niczym, coś widziała i słyszała, albo liczy się z ujawnieniem działalności twojej matki dwadzieścia dwa lata temu. Działalności właśnie teraz odkrytej, kosztującej życie ponad tysiąca Amerykanów w ciągu jednego dnia. Niewątpliwie wywoła to wątpliwości co do udziału twego ojca.

- Mackie Majcher? - zimno spytał Peter. - Morderca z Chasongu? O'Brien odwrócił się.

- To zbyt dwuznaczne. Lepsze będzie „zdrajca z Chasongu”. Zdrajca, którego żona narkomanka kurwiła się dla nieprzyjaciela dwadzieścia dwa lata temu i zabijała amerykańskich żołnierzy. - Nie ośmieliła się! - krzyknęła Alison.

- To zbyt naciągane - dodał Chancellor. - Znajdą się na niebezpiecznym terenie. Może to uderzyć w nich samych.

O'Brien odpowiedział ze spokojnym przekonaniem, które jak Peter się zorientował, wynikało z osobistych przeżyć:

- Rewelacje tego typu są zawsze najdramatyczniejsze. Drukuje się je na pierwszej stronie. A później, gdy pojawią się jakiegokolwiek wyjaśnienia, już nie wydają się ważne.

Szkoda została wyrządzona, niełatwo ją naprawić. - Nie wierzę - nerwowo sprzeciwiła się Alison. - Nie chcę w to wierzyć.

- To uwierz mi na słowo. Na tym polegają teczki Hoovera.

- A więc zdobądźmy teczki - odparł Peter składając gazetę. Zaczniemy od Jakuba Dreyfusa.

- Od Krzysztofa, tak? - spytała Alison.

- Tak.

- To dobry sposób - odrzekła spoglądając na O'Briena. - Nie wierzę, by nie istniał nikt, do kogo moglibyśmy się zwrócić. - Jest senator - przerwał jej Peter. - Możemy pójść do niego. - Ale będzie żądał więcej materiału od tego, który mam - zauważył Quinn. - Dwa dni temu może by tego jeszcze nie zrobił, ale teraz robi na pewno.

- Co masz na myśli? - Chancellor był zaniepokojony. Zeszłego wieczoru O'Brien był

tak pewny siebie. Teczki znikły; Quinn miał dowody. A teraz wszystko wyglądało beznadziejnie.

- To, że obecnie nie możemy pójść do niego.

- Czemu nie?

- Bo nastąpiło Saint Michael's. Zniszczenie własności państwowej, naruszenie przepisów bezpieczeństwa. Jeśli się z nim skontaktujemy, przysięga, jaką złożył, zobowiązuje go do zawiadomienia policji. Gdyby] tego nie zrobił, byłoby to działanie na szkodę wymiaru sprawiedliwości. - Gównu! To puste słowa!

- To prawo. Być może zaproponuje nam pomoc. Varak miał rację, zapewne tak zrobi.

Ale dopiero później. Będzie nalegał, abyśmy się oddali w ręce policji. Z prawnego punktu widzenia nie wolno mu nic innego zrobić.

- Ale jeśli tak postąpimy, znajdziemy się dokładnie w takiej sytuacji jakiej oni chcą!

To do niczego!

Alison dotknęła jego ręki.

- Kto to są „oni”, Peter?

Chancellor zamilkł. Odpowiedź na jej pytanie była nie mniej zatrważająca, niż sytuacja w jakiej się znaleźli.>

- Wszyscy. Człowiek, który ma teczki, ma zamiar nas zamordować, tyle już wiemy.

Ludzie, którzy wiedzą, że teczki zginęły, nie chcą tego przyznać i żądają, abyśmy byli cicho.

By zapewnić milczenie, gotowi są nas poświęcić. Pomimo że dążą do tego samego co my. -

Peter wolnym krokiem przeszedł przez pokój, wyminął O'Briena i spojrzał przez okno na ocean. -
Wicie, Bravo coś mi powiedział. Oświadczył, że cztery i pół roku temu skierował

mnie na obszar, którego nie brałem pod uwagę. Poradził mi, bym powrócił tam pozostawiając rzeczywistość innym, jemu i ludziom jemu podobnym - odwrócił się od okna. - Ale oni nie są na to dość dobrzy. Nie wiem, czy my jesteśmy, ale wiem, że oni nie. Jakub Dreyfus wstał od stołu, przy którym jadł śniadanie, całkiem poważnie zirytowany. Kamerdyner zawiadomił go, że jest telefon z Białego Domu. Ten cholerny głupiec pewnie dzwoni, by życzyć mu wesołych świąt Bożego Narodzenia. Bożego Narodzenia! Prezydentowi nie przyszłoby do głowy, by do niego zatelefonować pierwszego dnia Chanuki. Przypadał na dwudziesty piąty dzień miesiąca Kislev, daty bynajmniej nie zbiegającej się z obchodami narodzenia Chrystusa.

Mówiło się, że ten człowiek popadł w pijaństwo. Nie byłoby w tym nic dziwnego. W

historii republiki nie było jeszcze takiego rządu jak obecny. Korupcja sięgała szczytów, żądza władzy tkwiła u podstaw systemu. Oczywiście, że ten człowiek pił! To był jego balsam gileadzki. Jakubowi przeleciała przez głowę myśl, żeby nie odbierać telefonu, ale wymagał

tego szacunek dla urzędu.

- Dzień dobry, panie prezy...

- Nie jestem prezydentem - powiedział głos. - Jestem kimś innym. Podobnie jak pan jest kimś innym, Krzysztofie.

Jakub zbladł. Nagle odebrało mu dech. Poczł słabość w swych wychudzonych nogach, myślał, że upadnie na podłogę. Tajemnica jego życia została odkryta, nie do wiary.

- Kto mówi?

- Ktoś, kto dla was pracował. Nazywam się Peter Chancellor i wykonałem moje zadanie aż za dobrze. Dowiedziałem się rzeczy, których według was nigdy nie miałem się dowiedzieć. I z tego powodu musimy się spotkać. Dziś. Wczesnym popołudniem.

- Dziś po południu...? - Dreyfus był bliski omdlenia. Peter Chancellor, pisarz? Jak, na litość boską, mógł to osiągnąć? - Nie umawiam się na tak krótkie terminy.

- Tym razem to zrobisz - oświadczył Chancellor.

Pisarz był zdenerwowany, Jakub to wyczuł.

- Nie przyjmuję rozkazów. I nigdy nie słyszałem o żadnym Krzysztofie. By do mnie dotrzeć, posłużył się pan sprytnym podstępem. Spodobał mi się pański dowcip. Może zechce pan zjeść ze mną lunch któregoś dnia w przyszłym tygodniu?

- Dziś po południu. Żadnego lunchu.

- Pan nie słucha...

- I nie muszę. Możliwe także, że moje „dowcipy” są już bez znaczenia. Być może interesuje mnie coś innego. I może będziemy w stanie dojść do porozumienia.

- Nie wyobrażam sobie żadnego porozumienia między nami.

- Nie będzie go, jeśli zawiadomi pan pozostałych. Któregokolwiek z nich.

- Pozostałych?

- Sztandara, Parysa, Wenecję czy Bravo. Proszę z nimi nie rozmawiać.

Jakub zadrżał.

- Co pan mówi?

- Mówię, że oni pana nie rozumieją. A przypuszczam, że ja owszem. Na tym polega praca pisarza:

starać się rozumieć ludzi. Dlatego wykorzystaliście mnie, prawda? Uważam, że pana rozumiem. Inni tego nie potrafią.

- O czym pan mówi? - Dreyfus nie potrafił opanować drżenia rąk. - Nazwijmy to wspaniałą pokusą. Ktokolwiek wie coś o Chasongu, pojmie tę logikę. Ale tamci zabiją za to pana.

- Chasong? Zabiją mnie? - Jakub widział wszystko jak przez mgłę. Popełniono straszliwy błąd! - Gdzie pan się chce spotkać? - Na północ od Ocean City w stanie Maryland jest plaża, każdy taksówkarz ją znajdzie. Proszę więc wziąć taksówkę i przyjechać. Tylko ty.

Weź ołówek, Krzysztofie. Podyktuję trasę. Bądź tam o wpół do drugiej. Po czole Petera spływał pot. Oparł się o szybę budki telefonicznej. Udało mu się, naprawdę udało. Pomysł

literacki sprawdził się w rzeczywistości!

Taktyka miała polegać na tym, aby postawić Krzysztofa - podobnie jak miał postawić innych - przed wyborem. Jeśli Krzysztof ma teczki, może wyciągnąć tylko jeden wniosek: został zdemaskowany. A jeśli tak, zgodzi się na spotkanie w jednym tylko celu: by zabić człowieka, który tego dokonał. W takim wypadku wątpliwe jest, czy przyjedzie sam. Jeśli Krzysztof nie ma teczek, są dwie możliwości. Albo spławić rozmówcę, odmawiając spotkania. Albo spotkać się z powodu okropnej możliwości, że jeden albo wszyscy pozostali zdradzili ich sprawę. W takim wypadku przybędzie sam.

Jedynie pierwsza z tych dwóch możliwości była dowodem niewinności kandydata.

Ale Krzysztof jej nie wybrał. Peter wątpił, czy którykolwiek z nich ją wybierze.

Alison zastukała do drzwi budki. Przez sekundę patrzył na nią, uderzony pięknnością jej twarzy i inteligentnymi oczami, których spojrzenie pomimo niepokoju wyrażało miłość.

Otworzył drzwi.

- Jeden załatwiony.

- Jak poszło?

- Zależy, jak na to patrzeć. Przyjedzie tutaj.

Spojrzenie Alison nadal wyrażało mieszaninę miłości i niepokoju. Ale także coś nowego.

Strach.

ROZDZIAŁ 35

Frederick Wells zdumiony spojrzał znad świątecznego stołu. Nie był pewien, czy wrzaski dzieci nie zagłuszyły słów pokojówki. - Cisza! - rozkazał i tak się stało. - Co powiedziałaś?

- Biały Dom na linii, sir - odrzekła pokojówka.

Piski, które rozległy się prawie natychmiast, przypomniały Wellsowi, że zbyt późno się ożenił. A przynajmniej zbyt późno, by mieć małe dzieci. Prawdę powiedziawszy, choć o tym nie wiedziano, nie lubił dzieci. Były zasadniczo nieinteresujące.

Wstał od stołu, wymieniwszy spojrzenia z żoną. Wydawało się, że czyta W jego myślach.

Dlaczego, na miłość boską, miałby do niego telefonować Biały Dom? O mały tylko włos nie posuwając się do głośnej obrazy prezydenta i jego bandy nieudolnych urzędników, Frederick Wells bardzo jasno określił swą pozycję. Nie podobał mu się lokator Białego Domu.

Czy było możliwe, aby pod pretekstem świątecznych życzeń prezydent wyciągał do swych wrogów gałązkę oliwną? Ten człowiek był w żenująco kłopotliwej sytuacji.

Wells zamknął za sobą drzwi gabinetu i podszedł do biurka, spoglądając po drodze na szereg waz z epok Vuan i Ming, ustawionych za szkłem witryny. Były cudowne, ich oglądanie nigdy go nie nużyło. Przypominały mu, że w świecie brzydoty może istnieć pokój i piękno. Podniósł słuchawkę.

- Pan Frederick Wells?

W sześćdziesiąt sekund później jego świat się zawalił. Dokonał tego pisarz! Nieistotne było w jaki sposób, wystarczył sam fakt! Inver Brass potrafi się obronić. Natychmiastowe samorozwiązanie, brak jakichkolwiek dokumentów... A jeśli będzie trzeba, drugie usprawiedliwione morderstwo, usunięcie Petera Chancellora z tego świata. Ale co z nim?

Sztandar miał do dyspozycji każdą broń z wyjątkiem jednej. A tą jedną było ujawnienie nazwiska. Ujawnienie, nad którym nie miał żadnej kontroli. Dla Wellsa ujawnienie było równoznaczne z zagładą.

Dzieło życia zmarnowane!

Ale mógł jeszcze walczyć. Tym razem na wiejskiej drodze na zachód od Baltimore.

Można osiągnąć ugodę. Dla dobra wszystkich. Raz jeszcze jego spojrzenie padło na chińskie wazy za szkłem. Nic dla niego nie znaczyły.

Carlos Montelan oparł się plecami o ławkę kościelną i z obojętną wrogością śledził

księdza, wyśpiewującego bożonarodzeniową mszę. Nie klękał; hipokryzja, na którą zgadzał się ze względu na żonę i rodzinę, miała swoje granice.

Boston to nie Madryt, ale wspomnienia nadal były bolesne. Kościół hiszpański był

zagorzałym zwolennikiem płynięcia z prądem wydarzeń politycznych, koncentrował się wyłącznie na własnych interesach bez cienia współczucia dla swych ogłupianych owieczek.

Montelan poczuł wibrację, zanim usłyszał brzęczyk. Siedzący tuż obok wierni zdumieli się, kilku zwróciło ku niemu gniewne twarze. Do Domu Pana wdarł się obcy gość, lecz swe wezwanie kierował do wielkiego człowieka, doradcy prezydentów. Dom Pana nie był uodporniony na krytyczne momenty tego świata.

Carlos włożył rękę do kieszeni, wyłączając dźwięk. Żona i dzieci zwróciły się w jego stronę, kiwnął im głową, wstał z ławki i pomaszerował po marmurowej posadzce nawy wzdłuż szeregu migocących świec. Wyszedł na zewnątrz, znalazł budkę telefoniczną i zadzwonił do swego biura.

Biały Dom próbował go odnaleźć, ale nie życzył sobie, by Montelan sam telefonował.

Rozmowa odbędzie się na linii specjalnej. Ma zostawić numer, pod którym będzie osiągalny.

„Idiotas konspiratorzy! „ - pomyślał Montelan. Podał numer budki. Telefon zadzwonił. Jego przenikliwy dzwonek odbił się wewnątrz budki ostrym echem. Carlos szybko podniósł słuchawkę i przyłożył do ucha.

Słowa, które usłyszał, wywarły taki skutek, jakby ostre noże wbito mu w brzuch. Ból był lodowato zimny. Pisarz go wykrył! W jednym wybuchu wściekłości Peter Chancellor rzucił mu w twarz wszystko, co zrobił, wszystko, na co się zgadzał.

Porozumienie, umowa stały się konieczne! By skutecznie ocalić istnienie Inver Brass!

Nie było innego wyjścia!

Trzeba będzie zmusić pisarza, by zrozumiał. Tak, oczywiście, spotka się z nim. Pole golfowe, na wschód od Annapolis, dziesiąty trawnik? Tak, znajdzie go. Czas nie ma znaczenia, będzie tam zaraz po północy. Drżącymi rękami Montelan odwiesił słuchawkę.

Przez dłuższy czas stał na zimnie, wpatrując się w aparat. Przez chwilę zastanawiał się, czy jej nie podnieść ponownie i nie zadzwonić do Dreyfusa.

Nie, tego nie mógł zrobić. Krzysztof był bardzo starym człowiekiem. Mógłby przypłacić to zawałem.

Daniel Sutherland pił sherry i słuchał syna Aarona, rozprawiającego ze swymi dwiema siostrami i ich mężami. Oba małżeństwa przyleciały z Cleveland na święta; dzieci znajdowały się na oszklonej werandzie z babcią i żoną Aarona i pakowały prezenty. Aaron jak zwykle zahipnotyzował swych rozmówców.

Sędzia przyglądał się synowi z bardzo mieszanymi uczuciami. Oczywiście przede wszystkim z miłością, ale towarzyszyła jej dezaprobata. Gazety nazywały Aarona podżegaczem, błyskotliwym adwokatem legalnej czarnej lewicy. Lecz Daniel wolałby, aby jego syn nie był aż tak porywczy, tak pewien, że tylko on zna rozwiązanie problemów swej rasy.

Tyle nienawiści płonęło w oczach syna, a nienawiść nie była właściwą drogą, brakowało jej istotnej siły. Pewnego dnia i syn to zrozumie. Zrozumie także, że jego obsesyjna nienawiść do wszystkich białych jest nie tylko jałowa, ale często też źle skierowana.

Jego imię coś o tym mówiło. Zostało nadane przez najbliższego przyjaciela, jakiego Daniel miał kiedykolwiek. Jakuba Dreyfusa. Ma nosić imię Aarona - postanowił Jakub -

starszego brata Mojżesza i pierwszego kapłana Hebrajczyków. To piękne imię, Danielu, A on jest pięknym synem.

Zadzwoił telefon.

Weszła żona Aarona, Abby. Daniel jak zawsze spojrział na nią z miłością i nie bez pewnego lęku. Alberta Wright Sutherland była zapewne najlepszą czarną aktorką w kraju.

Wysoka, wyprostowana, z majestatyczną postawą, potrafiła nawet, gdy było to konieczne, ujarzmić własnego męża. Natomiast jej audytorium było niestety z jej własnej woli ograniczone. Nie przyjmowała ról, eksponujących jedynie jej płeć lub kolor skóry.

- Postaram się wypowiedzieć tę kwestię poważnie, dobrze? zaproponowała.

- Dobrze, kochanie.

- Telefonuje Biały Dom.

- To co najmniej zdumiewające - powiedział Daniel wstając z fotela. - Odbiorę w jadalni.

Bo to było zdumiewające. Jego ostatnie cztery wyroki w sądzie apelacyjnym rozwścieczyły rząd, który swoją dezaprobatę wyraził także w druku.

- Mówi sędzia Sutherland.

- Jesteś także Wenecją - oświadczył twardy, głuchy głos.

Więc pisarz trafił! To, w co Sutherland zaangażował się na całe życie, zostało nagle, przerażająco zagrożone. A jeśli będzie zniszczone, koniec z nim, bo nic nie mogło zrównoważyć takiej straty. Ziemię posiadają oszuści. Daniel słuchał bardzo uważnie, ważąc każde wypowiedziane przez literata słowo, każdy ton głosu.

Być może istnieje wyjście. Była to desperacka taktyka; nie był pewien, czy ją przeżyje, a tym bardziej zrealizuje. Ale trzeba spróbować. Podstęp.

- Jutro rano, panie Chancellor. O świcie. Zatoczka na wschód od Deal Island, przystań rybacka. Znajdę ją. Znajdę pana.

Sutherland bezmyślnie patrzył w przestrzeń ponad telefonem, przez sklepiony korytarz, na odległy salon. Ujrzał swą synową. Stała dumna i wyprostowana.

Daniel przypomniał sobie, że była znakomitą Medeą. Przyszły mu na myśl końcowe słowa ostatniego aktu i jej krzyk do niebios. Oto moje dzieci, skrwawione i zabite dla miłości mego boga imieniem Jazon!

Sutherland zdziwił się, dlaczego te właśnie słowa sobie przypomniał. Po chwili już wiedział.

Jeszcze przed paroma sekundami tkwiły w jakimś zakątku jego mózgu.

ROZDZIAŁ 36

Zimowy wiatr pory wiście wiał od wody, przygniatając do ziemi rosnącą na wyspach dziką trawę. Przez galopujące chmury co chwila przeglądało słońce, bardzo jasne, lecz nie dające ani odrobiny ciepła. Był to pierwszy dzień Bożego Narodzenia, popołudnie, a na plaży panowało zimno.

Chancellor popatrzył na ślady własnych stóp. Maszerował tam i z powrotem w granicach ustanowionych przez O'Briena. Z tego dziesięciojardowego odcinka miał dobry wgląd w kępę dzikich krzaków nad wydmi, na lewo od wyłożonej deskami ścieżki prowadzącej do drogi. Tam ukrył się O'Brien, zasłonięty przed wszystkimi poza Peterem.

Wedle O'Briena była to elementarna taktyka. Będzie czekał w kępie na przybycie Jakuba Dreyfusa. Upewni się, czy Dreyfus zgodnie z instrukcjami odesłał taksówkę. Na wypadek zaś, gdyby Krzysztof ich zdradził, czy to nie odsyłając auta, czy umieściwszy w pobliżu własnych ludzi w samochodach, Quinn zasygnalizuje to Peterowi i obaj pobiegną do osłoniętego miejsca nad sąsiednią plażą, gdzie Alison czekała w nie oznakowanym wozie.

Ten sposób ochrony Quinn nazywał „wyprzedzającym”. Ochrona bardziej bezpośrednia i mniej obliczalna należała do Petera. W kieszeni marynarki miał krótkolufowy rewolwer kalibru 38, odebrany Paulowi Bromleyowi w pociągu. Broń, z której miał zostać zabity. Teraz jej użyje, jeśli zostanie zmuszony.

Do uszu Petera doleciał krótki, przenikliwy gwizd: pierwszy sygnał. Pojawiła się taksówka.

Nie potrafił określić, ile czasu upłynęło, nim ujrzał wychudzoną postać. Każda sekunda zdawała się wiecznością, serce łomotało nie do wytrzymania. Patrzył, jak kruchy, drobny Dreyfus niepewnym krokiem posuwa się wyłożoną deskami ścieżką w stronę otwartej plaży. O ileż był starszy, niż Peter sobie wyobrażał, starszy i nieskończenie bardziej wąły.

Borykał się z oceanicznym wiatrem i biczującym go piaskiem, który zmuszał go do opuszczania i wykręcania głowy, jego laska zaś co chwila ślizgała się po deskach.

Dotarł do końca ścieżki i zanim stanął na piasku, wbił weń laskę. Chancellor mógł już wyczuć pytanie, malujące się w oczach starca za grubymi szklami okularów. Ruina, jaką było jego ciało, odmawiała dalszej podróży. Czy młody człowiek nie mógłby do niego podejść?

Lecz Quinn był nieugięty. Wszystko zależało od zajmowanych miejsc, trzeba było baczyć na możliwość natychmiastowej ucieczki. Peter nie ruszył się z miejsca, a Dreyfus musiał podjąć swą bolesną podróż po chłostanej wiatrem plaży.

Dreyfus upadł. Chancellor postąpił krok w jego stronę, ale O'Brien wymachując ramionami zatrzymał go w miejscu. Agent trwał przy swoim, to było jasne.

Dreyfus był oddalony o trzydzieści stóp, jego twarz była już dobrze widoczna. W jakiś sposób bankier zrozumiał, na jego twarzy pojawił się wyraz determinacji. Podparty laską, dźwignął się na nogi. Chwiejnym krokiem, mrużąc oczy przed wiatrem i piaskiem, podszedł

do Chancellora. Żaden nie wyciągnął ręki.

- Spotkaliśmy się - powiedział Dreyfus po prostu. - Ja mam panu coś do powiedzenia, a pan mnie. Który z nas zaczyna? - Czy zastosował się pan do moich instrukcji? - spytał Peter zgodnie z nakazem agenta.

- Oczywiście. Mamy wymienić informacje, obaj chcemy się dowiedzieć, co wie ten drugi. Po co komplikować sprawę? Jest pan poszukiwany, jak pan wie.

- Tak. Pod fałszywymi zarzutami.

- Ludzie, którzy pana ścigają, są odmiennego zdania. Jednakże jest to bez znaczenia.

Jeśli nie jest pan winien, niewinności można dowieść. - Jedyne, czego jestem winien, to cholerna głupota! Poza tym nie spotkaliśmy się po to, by dyskutować o mnie.

- Spotkaliśmy się, by przedyskutować sprawy, które dotyczą nas obu. - Dreyfus osłonił dłonią twarz przed nagłym powiewem wiatru. Powinniśmy dojść do porozumienia.

- Nie potrzebuję żadnego porozumienia z wami! Byłem manipulowany, kłamano mi, strzelano do mnie. Czterech ludzi zostało zabitych, przynajmniej o tym wiem. Trzech zamordowano na moich oczach. Bóg jeden wie, ile osób utraciło zdrowe zmysły z powodu szeptów w telefonie! Wie pan, o kim mówię. Ja znam ich sporo. - Peter na chwilę spojrział na dalekie wody, po czym znów odwrócił się do Dreyfusa. - Wszystko to opisałem. Nie w taki sposób, jak się tego spodziewaliście, ale opisałem. A teraz albo dojdzie pan ze mną do porozumienia, albo świat dowie się, kim naprawdę jesteście.

Dreyfus patrzył na niego przez dłuższy czas. Milczenie przerywał tylko świst wiatru.

Ale w oczach bankiera nie było lęku.

- A kim według pana jestem? Czym według pana jestem?

- Jest pan Jakubem Dreyfusem, znanym jako Krzysztof.

- To przyznaję. Nie wiem tylko, w jaki sposób pan to wykrył, ale to imię noszę z dumą.

- Być może zasługiwał pan na to, nim zwrócił się przeciw nim. - Zwrócił przeciw komu?

- Innym. Sztandarowi, Parysowi, Wenecji, Bravo. Zdradził ich pan. - Zdradził ich?

Zdradził Parysa? Wenecję? Nie wie pan, o czym mówi.

- Chasong! Chasong w teczkach Hoovera, a pan je ma!

Jakub Dreyfus stał nieruchomo. Wyraz doznanego wstrząsu malował się na jego podobnej do trupiej czaszki twarzy.

- Wszchemogący Boże, i pan w to wierzy?

- Współpracował pan z Departamentem Stanu!

- Wielokrotnie.

- Mógł pan łatwo uzyskać adres czystego domu!

- Być może. Gdybym wiedział, co to oznacza.

- Wiedział pan, że Varak nie żyje!

- Varak nie żyje? Niemożliwe!

- Kłamie pan!

- Jest pan wariatem. I to niebezpiecznym. Cokolwiek pan napisał, musi to zostać zniszczone. Nie wie pan, co zrobił. Ponad czterdzieści lat w służbie kraju, niezliczone miliony wydane. Musi pan zrozumieć. Ja zmuszę pana do zrozumienia!

Nastąpiło coś niewiarygodnego. Dreyfus kościstą, drżącą dłonią sięgnął do kieszeni palta. Peter wiedział, że sięga po broń. - Proszę tego nie robić! Na litość boską, nie to!

- Nie mam wyboru.

Za Dreyfusem na piaszczystym pagórku w kępie dzikich krzewów Chancellor dostrzegł nagle podrywającego się O'Briena. Zobaczył to samo co Peter: starzec sięga po broń. Przyjechał sam, ale przyjechał uzbrojony. I był przygotowany na to, że w ostateczności zabije. Chancellor chwycił w kieszeni za swój rewolwer, z palcem na spuście. Ale nie potrafił

go nacisnąć! Nie potrafił nacisnąć spustu! Rozległ się strzał głośniejszy od wiatru. Głowa Dreyfusa odskoczyła do tyłu, jego szyja stała się jedną masą krwi i strzaskanych kości. Ciało wygięło się, a

potem upadło na bok. O'Brien opuścił pistolet i pobiegł po wydmach.

Krzysztof nie żył, zastrzelony na opustoszałym odcinku smaganej wiatrem plaży.

A wtedy Peter dostrzegł wreszcie, co bankier miał w dłoni. Była to złożona kartka papieru. Nie broń. List.

Pełen sprzecznych uczuć uklęknął i wyjął papier z dłoni zmarłego. Wstał dysząc nierówno, czując w skroniach ból uniemożliwiający jakiegokolwiek myślenie. O'Brien już był

przy nim, wziął kartkę i rozwinął. Chancellor spojrział na nią i wspólnie ją przeczytali. Była to kserokopia odręcznego listu. Adresem było tylko jedno słowo: „Parys”. I.B. musi być rozwiązany. Wenecja i Bravo zgadzają się z tym wnioskiem. Widzę to w ich oczach, choć nie dyskutowaliśmy o tej sprawie. Zzerają nas wspomnienia. Jesteśmy starzy i pozostało nam niewiele czasu. Niepokoi mnie głęboko tylko to, że dla jednego z nas lub wszystkich może nadejść koniec, nim zostaną podjęte niezbędne kroki w celu rozwiązania. Lub, co gorsza, że opuszczą nas władze umysłowe, a nasze języki zaczną paplać. Na to nie wolno pozwolić.

Dlatego błagam Cię, jeśli starość zaćmi rozsądek, abyś zrobił dla jednego z nas lub dla wszystkich to, czego nie możemy zrobić sami. Przez posłańca zostały Ci wysłane w osobnej kopercie tabletki. Włóż je do ust starców i pomódl się za nas.

Jeśli dla Ciebie jest to niemożliwe, pokaż ten list Varakowi. On to zrozumie i wykona, co wykonać trzeba.

Na koniec o Sztandarze, którego słabością jest wiara we własne, naprawdę nadzwyczajne, zdolności. Będzie odczuwał pokusę przedłużenia istnienia I.B. Na to nie wolno pozwolić. Nasz czas przeminął. Gdyby nalegał, raz jeszcze Varak będzie wiedział, co ma zrobić. To, co napisałem powyżej, jest naszym wspólnym obowiązkiem. Krzysztof Powiedział, że nie wie, co to jest czysty dom - rzekł słabym głosem Peter.

- Nie wiedział, że Varak nie żyje - dodał cicho O'Brien, raz jeszcze przeczytawszy list.

- A więc to nie był on.

Chancellor odwrócił się i na wpół świadomie zaczął brnąć w stronę wody. Upadł na kolana w falach przyływu i zwymiotował.

Ciało Jakuba Dreyfusa pogrzebali w piasku pod wydhami. Nad problemem odpowiedzialności nie zastanawiali się, potrzebowali na to więcej czasu. Rozpaczliwie. Czas odpowiedzialności przyjdzie później. Spotkanie z Frederickiem Wellsem nie miało nastąpić na pasie opuszczonej plaży. Zamiast tego człowiek znany jako Sztandar miał przyjść na pole, leżące na południe od odcinka drogi prowadzącej do szosy numer czterdzieści na zachód od Baltimore. O'Brien niecałe sześć miesięcy temu używał tego miejsca jako punktu kontaktowego z informatorami. Znał je dobrze.

Mieściło się niedaleko od łuku szosy, z dala od nocnych barów i stacji benzynowych; otaczały je pola, w ciemności wyglądające jak bagna. Peter czekał na polu paręset stóp od pobocza, na którym

Wells miał zaparkować swój samochód. Spoglądał na przesuwające się wyżej, po szosie, reflektory mknących aut, rozbłyskujące na deszczu. Pole było mokre, Petera przenikały dreszcze. O'Brien ukrył się w połowie wysokości nasypu, czekając z wyciągniętą bronią. I tym razem dał Chancellorowi dokładne instrukcje: przy pierwszych oznakach czegoś nieoczekiwanego miał sterroryzować Fredericka Wellsa rewolwerem. A jeśli zajdzie potrzeba, strzelać.

Jako dodatkowe zabezpieczenie O'Brien miał latarkę elektryczną. Jeśli Wells przywiezie kogoś ze sobą, Quinn włączy światło, położy palce na szkle i zacznie robić koła.

Będzie to dla Petera znakiem, że ma pobiec przez pole do drogi, gdzie Alison będzie czekać w samochodzie. Z szosy dobiegł dwukrotny klakson zniecierpliwionych kierowców. Jeden wóz zwolnił i zjechał na pobocze; jadący za nim wyminął go i natychmiast przyśpieszył.

Auto zatrzymało się na skraju szosy. Wysiadł z niego tylko jeden człowiek. Był nim Frederick Wells. Podszedł do barierki szosy powyżej pola, starając się dostrzec coś w deszczu.

Z oddalonego odcinka nasypu, nad powierzchnią ziemi błysnęło światło. Pierwszy sygnał O'Briena. Oznaczał, że Wells przybył samotnie i że nie widać, by miał broń. Peter nie ruszył się z miejsca, to Sztandar powinien do niego podejść.

Wells przelazł przez barierę i zaczął schodzić po pochyłości. Chancellor przycupnął w mokrej trawie, wyciągając rewolwer.

- Wyjmij ręce z kieszeni! - krzyknął zgodnie z instrukcją agenta. Idź przed siebie powoli, z opuszczonymi rękami.

Wells zatrzymał się i przez chwilę stał nieruchomo w deszczu. Potem zrobił to, co mu kazano. Trzymając puste dłonie po bokach szedł w ciemności przez pole. Gdy był oddalony o pięć stóp, Peter podniósł się z ziemi.

- Zatrzymaj się!

Wells ze zdziwienia aż stracił oddech, a jego oczy rozszerzyły się. - Chancellor? -

Odetchnął parę razy, mrugając oczami w siekącym w twarz deszczu i nie odzywając się, nim nie uregulował oddychania. Było to wschodnie ćwiczenie powstrzymujące bieg myśli, przywracające spokój.

- Posłuchaj mnie, Chancellor - powiedział wreszcie Wells. Zupełnie straciłeś orientację. Zaprzyjaźniłeś się nie z tymi co trzeba. Jeśli tylko został ci choć cień przywiązania do tego kraju, mogę tylko do niego zaapelować, abys podał mi ich nazwiska. Jedno oczywiście znam. Podaj mi pozostałe.

Peter osłupiał. Wells przejął inicjatywę.

- O czym ty gadasz?

- O teczkach! Teczkach od „M” do „Z”! Oni je mają, a tobą się posługują. Nie wiem, co ci obiecali... co on ci obiecał. Jeśli gwarancję twego życia, ja potrafię zrobić to o wiele skuteczniej niż on. Życie dziewczyny także.

Chancellor przyjrzał się spowitej mrokiem, mokrej twarzy Fredericka Wellsa.

- Myślisz, że ktoś mnie wysłał. Myślisz, że jestem posłańcem. Przez telefon nie powiedziałem ci ani słowa o teczkach.

- A myślisz, że musiałeś? Na litość boską, przestań! Zniszczenie Inver Brass nie jest żadnym rozwiązaniem! Nie pozwól im na to! - Inver Brass? - Peter błyskawicznie przypomniał sobie odręczny list w dłoni zabitego, umowę między Krzysztofem i Parysem.

I.B. musi zostać rozwiązany... I.B. ... Inver Brass.

- Nie możesz w tym uczestniczyć, Chancellor! Czy nie widzisz, co on zrobił?

Zaprogramował cię aż nazbyt dobrze, nauczyłeś się o wiele za prędko. Już się do niego zbliżałeś! Teraz nie może cię zabić z obawy przed zdemaskowaniem się przed nami. Więc opowiada ci różne rzeczy, ujawnia Inver Brass, karmi cię kłamstwami, abyś zaczął nas sobie wzajemnie przeciwstawiać!

- Kto?

- Człowiek, który ma teczki. Varak!

- O, Chryste... - Peter poczuł skurcz żołądka.

A więc to nie był Frederick Wells.

- Mam rozwiązanie - przemówił Wells swym ostrym, nosowym głosem. Peter prawie go nie słuchał, tak wszystko nagle wydało mu się daremne. - To cię wyplącze ze sprawy i spowoduje zwrot teczek. One muszą zostać zwrócone! Powiedz Varakowi, że nie znajdzie sposobu, by powiązać Inver Brass z wydarzeniami z maja. Nie ma zapisów, nie ma protokołów, które można by odnaleźć. Varak był mordercą, nie Inver Brass. Wykonał tę robotę aż nazbyt dobrze, nie ma śladu powiązań. Ale ja mogę postawić krępujące pytania na temat każdego jego kroku, od dziesiątego kwietnia aż do nocy pierwszego maja, i zaiste tak zrobię. I to w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Varak zostanie zdemaskowany. A my nieznani. Przekaż mu to.

Dla Petera było tego za wiele. Prawdy, półprawdy i kłamstwa oparte na abstrakcjach, daty powiązane z oskarżeniami.

- Uważasz, że to Varak zdradził pozostałych?

- Wiem o tym! Dlatego musisz ze mną współpracować. Kraj mnie potrzebuje. To Varak ma teczki!

Deszcz padał strumieniami.

- Wynoś się stąd - powiedział Peter.

- Nie pójdę, póki nie dasz mi słowa.

- Wynoś się stąd!

- Ty nic nie rozumiesz! - Wells nie mógł się pogodzić z taką odprawą. Jego arogancja zmieniła się w desperację. - Kraj mnie potrzebuje! Muszę pokierować Inver Brass! Tamci są starzy, słabi! Ich czas się skończył. Ja jestem tym, kogo trzeba! Muszę mieć te teczki. Ja też w nich jestem! - Wynoś się stąd, zanim cię zabiję. - Chancellor podniósł rewolwer. -

Potrzebujesz pretekstu, prawda? Tego naprawdę chcesz!

Sztandar szybko wyrzucał słowa głosem pełnym paniki. - Varak powiedział ci, że to ja, prawda? A ja nie miałem z tym nic wspólnego! To o n! Prosiłem go, aby się wstawił u Bravo i tylko tyle! Był najbliższym człowiekiem St. Claire'a, wszyscy to wiedzieli. Złożył

przysięgę, że będzie nas bronił, każdego z nas... Ty zaczęłaś rozgrzebywać Norymbergę! Na to nie mogliśmy ci pozwolić! Varak to rozumiał!

- Norymberga... - Peter poczuł, jak krople deszczu spływają po jego skórze. Padało tamtej nocy, gdy jego srebrny continental został zepchnięty, nocy śmierci Cathy. Niedaleko była szosa, tak jak była teraz. I skarpa. I deszcz.

- Ale klnę się na Boga! Nigdy nie chciałem, by on cię zabijał! Ani dziewczynę! To była jego decyzja, on się nie cofał przed niczym. Varak. Longworth. Okropna maska zamiast twarzy za kierownicą. Nocny kierowca nie zwracający uwagi na burzę, patrzący prosto przed siebie, gdy zabijał.

Varak, zawodowiec używający samochodów jako broni.

Ból w skroniach był nie do zniesienia. Peter podniósł rewolwer, celując w głowę Sztandara. Nacisnął spust.

Brak doświadczenia u amatora ocalił Sztandarowi życie. Nie wyłączony bezpiecznik nie pozwolił iglicy uderzyć w spłonkę.

Frederick Wells pobiegł w deszczu w kierunku szosy.

Na wschód od Annapolis, kilka mil za rzeką Seveln, znajdują się faliste pagórki Chanticleire. Mieścił się tam ekskluzywny klub golfowy, założony przez autentycznych arystokratów pieniądza, który następnie rozszerzywszy swój zasięg, stał się też miejscem spotkań kierowniczych osobistości z Centralnej Agencji Wywiadowczej, instytucji skłonnej do preferowania ludzi z paru wybranych, najlepszych uniwersytetów. Był również punktem kontaktowym pomiędzy agentami FBI i CIA w okresie, gdy J. Edgar Hoover przeciął

strumień informacji z Biura do Agencji. O'Brien znał dobrze to miejsce, tam więc miało nastąpić spotkanie między Peterem i Carlosem Montelanem. Parys powinien się tam stawić nie wcześniej niż o północy, nie później niż zero trzydzieści! Przy dziesiątym trawniku, instrukcje były jasne.

Quinn zasiadł za kierownicą, znał dobrze boczne drogi od szosy numer czterdzieści do Chanticleire. Alison i Peter siedzieli z tyłu. Peter ze wszystkich sił starał się wyschnąć, ciągle pod przemożnym wrażeniem rewelacji zasłyszanych od Sztandara.

- Zabił ją - powiedział wyczerpany Peter, z roztargnieniem patrząc jak w świetle reflektorów samochodu pada coraz mniejszy deszcz. Varak zabił Cathy. Co z niego był za człowiek?

Alison chwyciła go za rękę. Z przodu odezwał się O'Brien. - Na to nie mam odpowiedzi. Ale nie przypuszczam, by myślał w kategoriach życia i śmierci. W pewnych sytuacjach interesowały go jedynie problemy eliminacji.

- Nie był człowiekiem.

- Był specjalistą.

- To najokrutniejsze określenie, jakie w życiu słyszałem. O'Brien znalazł leżącą na uboczu wiejską gospodę. Weszli tam, by się ogrzać i napić kawy.

- Inver Brass - powiedział Quinn, gdy usiedli przy stole w słabo oświetlonej jadalni. -

Co to jest?

- Frederick Wells był przekonany, że wiem - odparł Peter. - Tak jak był przekonany, że przysłał mnie Varak.

- Jesteś pewien, że nie próbował ci podrzucić fałszywych informacji, Zbić z tropu?

- Jestem pewien. Był w autentycznej panice. Istnieje teczka z jego nazwiskiem. A jej zawartość może go zrujnować.

- Inver Brass - powtórzył spokojnie O'Brien. - „Inver” to po szkocku, a „Brass” może znaczyć cokolwiek. Co to zestawienie oznacza? - Uważam, że niepotrzebnie komplikujesz sprawę - odrzekł Peter. - To jest nazwa, jaką nadali swemu jądru.

- Ich czemu?

- Przepraszam. Mojemu „Jądru”.

- Twoja książka? - spytała Alison.

- Tak.

- Powiniennem chyba przeczytać ten cholerny rękopis - zauważył O'Brien.

- Czy możemy w jakikolwiek sposób - spytał Chancellor - ustalić poruszenia Varaka od dziesiątego kwietnia do drugiego maja tego roku? - Obecnie już nie - odpowiedział

O'Brien.

- Wiemy, że Hoover zmarł drugiego maja - kontynuował Peter. Wynika z tego, że...

- To, co wynika, nie utrzyma się w obliczu faktów - przerwał mu Quinn. - Hoover zmarł na atak serca. To zostało ustalone. - Przez kogo?

- Przez badania lekarskie. Były fragmentaryczne, ale wystarczające. - A więc znów jesteśmy na początku - podsumował ze znużeniem Peter.

- Nie, nie jesteśmy - oświadczył Quinn spoglądając na zegarek. Wyeliminowaliśmy dwóch kandydatów. Czas na trzeciego.

Było to najlepiej zabezpieczone miejsce kontaktowe, jakie agent mógł zapewnić i właśnie z tego powodu był szczególnie ostrożny. Przyjechali do Chanticiare godzinę przed czasem wyznaczonym Montelanowi; agent dokładnie zbadał cały teren. Gdy ukończył, polecił Peterowi udać się do dziesiątego punktu startowego, podczas gdy Alison miała pozostać w samochodzie na drugim końcu pola blisko bramy, on sam zaś ukrył się w trawie niedaleko głównego toru.

Ziemia była mokra, ale deszcz przestał padać. Księżyc z trudem przebijał się przez płynące chmury, świecąc coraz jaśniej. Chancellor czekał w cieniu zwisających gałęzi drzewa.

Usłyszał samochód wjeżdżający przez otwartą bramę i spojrzał na świecący cyferblat zegarka. Było pięć po północy; Montelan był zaniepokojony. „Ale nie bardziej niż ja sam” -

pomyślał Peter. Namacał w kieszeni kolbę rewolweru.

Nie upłynęła nawet minuta, gdy zobaczył Carlosa Montelana, szybkim krokiem okrążającego narożnik budynku klubowego. „Hiszpan idzie zbyt szybko” - pomyślał Peter.

Człowiek przerażony jest o wiele bardziej ostrożny.

- Pan Chancellor? - zawołał Parys z odległości pięćdziesięciu metrów od punktu.

Zatrzymał się i lewą ręką sięgnął do kieszeni palta. Chancellor wyciągnął rewolwer i wycelował, czekając w milczeniu. Montelan wyjął rękę z kieszeni. Chancellor opuścił broń.

Parys trzymał latarkę elektryczną; zapalił ją, rzucając snopy światła w różne strony. Także na Petera.

- Zgaś światło! - wrzasnął Chancellor przypadając do ziemi. - Jak pan chce. - Światło zgasło.

Zgodnie z instrukcjami O'Briena, Peter odbiegł kilka kroków od miejsca, gdzie się poprzednio

znajdował, nie spuszczać z oczu Montelana. Hiszpan nie poruszył się, nie miał

przy sobie broni. Chancellor powstał wiedząc, że jest widoczny w blasku księżyca.

- Jestem tutaj - powiedział.

Montelan zwrócił się w jego stronę, mrużąc oczy.

- Przepraszam za światło. Drugi raz tego nie zrobię. - Zbliżył się do Petera. - Nie miałem żadnych problemów ze znalezieniem tego miejsca. Pańskie wskazówki były doskonałe.

W bladożółtym świetle Peter widział twarz Montelana. Była to mocna twarz, o latynoskich rysach, z przenikliwymi oczami. Peter zrozumiał, że w tym człowieku nie ma lęku. Pomimo iż kazano mu się spotkać z kimś obcym, znanym mu jedynie z nazwiska, na dalekim polu golfowym w środku nocy. Obcym, którego mógł przynajmniej podejrzewać o zdolność do użycia przemocy. Parys zachowywał się tak, jakby ich spotkanie było co najwyżej wzajemnie pożądaną konferencją biznesmenów. - Mam w ręku rewolwer -

oświadczył Chancellor podnosząc lufę do góry.

Montelan rzucił na nią okiem.

- Po co?

- Po tym wszystkim, co mi zrobiliście... co Inver Brass mi zrobił, pan jeszcze pyta?

- Nie wiem, co panu zrobiono.

- Pan kłamie.

- Pozwoli pan, że to wytłumaczę. Wiem, że podano panu fałszywe informacje.

Zakładano, że na ich podstawie napisze pan powieść. Istniała nadzieja, że może zaalarmuje ona pewne osoby, należące do spisku i zmusi je do wyjścia na powierzchnię. Zupełnie otwarcie wyrażałem wątpliwość co do tej operacji, gdy tylko o niej usłyszałem. - I to wszystko, czego się pan dowiedział?

- O ile wiem, miały miejsce pewne nieprzyjemne fakty, ale zapewniono nas, że nie spotka pana nic złego.

- Co to za „pewne osoby”? Co to za „spisek”?

Parys zamilkł na chwilę, jakby tocząc walkę wewnętrzną.

- Jeśli nikt panu nie powiedział, być może nadszedł czas, by ktoś to zrobił. Istnieje spisek. Bardzo realny i niebezpieczny. Znaczna część prywatnych teczek J. Edgara Hoovera znikła. Brak jej.

- Skąd pan o tym wie?

Montelan znów zamilkł na chwilę, a potem, podjąwszy decyzję kontynuował:

- Nie mogę podać panu szczegółów, ale ponieważ wymienił pan nazwisko, a przede wszystkim wspomniał o innych w swym telefonie dzisiejszego ranka, muszę założyć, że dowiedział się pan więcej, niż miał się pan dowiedzieć. To i tak nie ma znaczenia, zbliżamy się do końca. Inver Brass udało się dostać w swe ręce pozostałe teczki. - Jak?

- Tego nie mogę panu powiedzieć.

- Nie mogę czy nie chcę?

- Być może trochę jedno, trochę drugie.

- To mi nie wystarczy!

- Czy zna pan człowieka nazwiskiem Varak? - spytał cicho Parys, jak gdyby nie słysząc krzyku Chancellora.

- Tak.

- Proszę go zapytać. Może panu powie, a może nie.

Peter badał wzrokiem oświetloną księżycem twarz Hiszpana. Montelan nie kłamał.

Nie wiedział o śmierci Varaka. Chancellor poczuł, że zaschło mu w gardle; trzeci kandydat został wyeliminowany. Pytania pozostały, ale najważniejszy problem był rozwiązany: Parys nie miał teczek.

- Co pan chciał powiedzieć przez to, że nie ma znaczenia, czego się dowiedziałem? Że „zbliżamy się do końca”?

- Dni Inver Brass przeminęły.

- Czym dokładnie jest Inver Brass?

- Zakładałem, że pan wie,

- Proszę niczego nie zakładać!

Hiszpan raz jeszcze zrobił pauzę, nim przemówił:

- Grupą ludzi, których celem było dobro tego narodu.

- Jądro - powiedział Peter.

- Sądzę, że można by to tak określić - odparł Montelan.

Złożone z wybitnych ludzi, ludzi o niezwykłych wartościach charakteru i ogromnej miłości do kraju.

- Czy jest pan jednym z nich?

- Miałem ten zaszczyt, że mnie zaproszono.

- Czy była to grupa utworzona w celu ostrzegania ofiar Hoovera? - Miała wiele funkcji.

- Ile tygodni temu został pan zaproszony? Czy też miesięcy? Po raz pierwszy w całej rozmowie Parys wyglądał na zdziwionego. - Tygodni? Miesiące? Byłem członkiem od czterech lat.

- Czterech lat?! - Znow ten dysonans. O ile było Peterowi wiadomo, grupa, czy jądro St. Claire'a, ten Inver Brass został utworzony do walki z ostatnią i najjadowitszą taktyką Hoovera: wykorzystania ludzkiego strachu przy użyciu prywatnego archiwum. Była to więc obrona poniewczasie, zrodzona z konieczności. Mogła istnieć rok, półtora, najwyżej dwa lata.

Ale Parys mówił o czterech...

A Jakub Dreyfus użył zwrotu „czterdzieści lat służby” i powołał się na „wydane niezliczone miliony”. Wtedy, w chwili paniki na plaży, Chancellor myślał, że Dreyfus w jakiś sposób odnosi to do siebie. Ale teraz... „czterdzieści lat”... „niezliczone miliony”.

Nagle przypomniały się Peterowi ostre słowa Fredericka Wellsa. Kraj mnie potrzebuje. Muszę pokierować Inver Brass. Tamci są starzy, słabi! Ich czas się skończył. Ja jestem tym, kogo trzeba!

Cztery lata.. Czterdzieści lat! Niezliczone miliony.

A na koniec Peterowi przypomniał się list Dreyfusa do Montelana. Umowa między Krzysztofem i Parysem.

Zżerają nas wspomnienia...

Wspomnienia czego?

- Kim wy jesteście? - spytał patrząc uważnie na Montelana. - Poza tym, co powiedziałem, nic więcej nie powiem. Miał pan rację, panie Chancellor. Zrobiłem założenie. I w żadnym razie nie przybyłem tu, by dyskutować o takich rzeczach. Przyjechałem, by spróbować pana przekonać, aby przestał się pan wtrącać. Włączenie pana było błędem popełnionym przez wybitnego, ale sfrustrowanego człowieka. Jak długo pozostawał pan na dalszym planie, pańskie grzebanie w ruinach nie przynosiło szkody. Ale gdyby wypłynął pan na wierzch i usłyszał zadawane publicznie pytania, to by oznaczało klęskę. - Pan się boi -

stwierdził ze zdziwieniem Chancellor. - Udaje pan pełne opanowanie, ale jest pan śmiertelnie wystraszony.

- Z całą pewnością tak. Boję się zarówno o pana, jak i o nas wszystkich. - Czy „nas” oznacza Inver Brass?

- I wielu innych. W tym kraju nastąpił rozłam między narodem i jego przywódcami.

Na najwyższych szczeblach rządowych panuje korupcja, a to daleko wykracza poza walkę o władzę. Konstytucja została poważnie pogwałcona, nasz styl życia zagrożony. Nie próbuje/

opowiadać panu melodramatów, lecz tylko czystą prawdę. Być może człowiek urodzony gdzie indziej, który miał okazję widzieć to samo wcześniej, jaśniej rozumie, co to wszystko oznacza.

- Jakie jest rozwiązanie? I czy w ogóle jest?

- Na pewno jest. Nieugięte, beznamiętne podjęcie działań prawnych. Powtarzam: beznamiętne. Narodowi trzeba uświadomić realne niebezpieczeństwo nadużyć. Jasno, rozumnie, nie za pomocą emocjonalnych oskarżeń czy wzajemnego obwiniania się. Nasz system, jeśli tylko da mu się szansę, będzie znów funkcjonował, ten proces już się zaczął. To n i e jest stosowny czas dla ujawniania rzeczy mogących spowodować wybuch. To jest czas na podjęcie intensywnych analiz. I refleksji. - Rozumiem - odparł powoli Peter. - I to nie jest czas na ujawnienie Inver Brass, prawda?

- Nie czas - odrzekł zdecydowanie Montelan.

- Być może on nigdy nie nadejdzie.

- Być może. Powiedziałem panu. Jego czas przeminął.

- I to dlatego zawarł pan tę umowę z Jakubem Dreyfusem?

Z Krzysztofem?

Parys zachował się tak, jakby otrzymał brutalny policzek. - Zastanawiałem się nad tym

- powiedział bardzo cicho. - Niemal gotów byłem do niego zadzwonić, ale rozmyśliłem się. A więc dotarł pan również do niego.

- Dotarłem.

- Jestem pewien, że powiedział panu to samo, co ja. Jego oddanie dla kraju jest bezgraniczne. On rozumie.

- Ale ja nie. Nie rozumiem żadnego z was.

- Bo pańska wiedza jest ograniczona. I niczego więcej się pan ode mnie nie dowie.

Mogę tylko prosić, aby dał pan temu spokój. Jeśli będzie pan kontynuował, sądzę, że pana zabiją.

- Już mi to sugerowano. Ostatnie pytanie: co się zdarzyło w Chasongu?

- Chasongu? Bitwa o Chasong?

- Tak.

- Tysiące poległych w walce o kawałek jałowego terenu bez żadnego znaczenia.

Strasliwe straty. Megalomania zamiast posłuszeństwa wobec władzy cywilnej. To powszechnie wiadome.

Peter zdał sobie sprawę, że nadal trzyma rewolwer w ręce. Był niepotrzebny, schował go do kieszeni.

- Niech pan wraca do Bostonu - powiedział.

- Czy zastanowi się pan dokładnie nad wszystkim?

- Tak - odrzekł, wiedząc równocześnie, że nie może zaprzestać poszukiwań.

Dla Daniela Sutherlanda O'Brien wybrał zatoczkę na wschód od wyspy Deal w wodach Chesapeake. Miejscem spotkania miała być przystań rybacka, gdzie cumowały przede wszystkim kutry do połowu ostryg, które z pewnością musiały tam pozostać jeszcze przez tydzień lub dwa. Ławice były ubogie, a ocean niegościnnie w tej okolicy w grudniu.

Fale nieustannie rozbijały się o pale basenu portowego. Skrzypienie rozkołysanych kutrów brzmiało jak uporczywy, urywany werbel. W świetle wczesnego ranka mewy kotłowały się w powietrzu.

Wenecja. „Ostatni z kandydatów” - pomyślał Peter, siedząc na zatłuszczonym relingu trawlera, w samym końcu basenu. Ostatni, oczywiście, jeśli poszukiwanym nie jest Bravo.

Zdawało się prawie pewne, że Peter będzie musiał wrócić do Munro St. Claire'a.

Prawdopodobieństwo, że to Sutherland okazał się zdrajcą Inver Brass, szepejącym mordercą posiadającym teczkę, było niewielkie. Ale nic nie było takie, jak się zdawało na pierwszy rzut oka.

Wszystko było możliwe.

Sutherland powiedział mu, że komitet stworzony do walki z nieprawościami Hoovera został rozwiązany. Twierdził także, że teczki zostały zniszczone. Jako członek Inver Brass wiedział, że jedno i drugie to kłamstwo.

Ale po co Sutherlandowi byłyby teczki? Dlaczego miałby zabijać? Z jakiego powodu miałby zadawać kłam prawu, w którego obronie walczył?

Wejście do basenu, zasłonięte przez wyciągarki i motorowe windy ładunkowe, było ledwie widoczne. Wszystkie te urządzenia tworzyły dziwaczny korytarz, rysujący się ostrymi, czarnymi liniami na tle szarego nieba. Peter popatrzył w prawo, ponad wąską przestrzenią wody, gdzie, leżał ukryty na pokładzie krypy O'Brien. Zwrócił twarz w lewo, próbując dostrzec samochód wciśnięty między ostrygowce, wyciągnięte dla naprawy do suchego doku.

W wozie siedziała Alison. Trzymała w dłoni książeczkę zapalek, z jedną wyrwaną i gotową do zapalenia. Miała zostać zapalona i przytrzymana w oknie, z płomykiem osłoniętym od przodu, gdyby w aucie Sutherlanda znajdował się ktokolwiek poza sędzią. Nagle Peter usłyszał niskie tony zbliżającego się potężnego silnika. W chwilę później podwójne czołowe reflektory oświetliły ogrodzenie, penetrując głąb stoczni. Jasny snop odbijał się od stojących w suchym doku kadłubów. Samochód potoczył się dalej, skręcając w prawo, gdzie duża luka między statkami prowadziła aż do wody.

Reflektory wyłączono, pozostawiając świetlisty refleks w oczach Chancellora.

Przykucnął za nadburciem trawlera, nie spuszczając z oczu nabrzeża basenu. Pluskające fale biły o pale w nierównym rytmie, statki skrzypiały nieprzerwanie.

Drzwi samochodu otworzyły się i zamknęły, a w chwilę później z ciemności wynurzyła się ogromna postać Sutherlanda, wypełniając wolną przestrzeń pod arkadą stalowych belek i sztywnych metalowych kabli wyciągarek. Sędzia szedł wzdłuż basenu w stronę Petera, stawiając kroki ciężko i ostrożnie, ale bez wahania.

Dotarł do końca i zatrzymał się, spoglądając na zatokę - czarny gigant stojący o świcie na brzegu morza. Daniel Sutherland wyglądał, jakby był ostatnim człowiekiem na Ziemi, kontemplującym koniec świata. Albo oczekującym na wpłynięcie do portu barki, by na rozkaz innych rozpocząć rozładunek.

Peter odepchnął się od burty trawlera i wstał z ręką w kieszeni zaciśniętą na rewolwerze.

- Dzień dobry, sędzio. A może raczej powinienem powiedzieć: Wenecjo?

Sutherland odwrócił się i popatrzył w stronę wyciągu dla trawlerów, gdzie na wąskim pomoście stał Chancellor. Nie odpowiedział. - Powiedziałem: dzień dobry - kontynuował

Chancellor łagodnie, a nawet uprzejmie, niezdolny do pozbycia się szacunku dla człowieka, który tak wiele osiągnął w życiu.

- Słyszałem pana - odpowiedział Sutherland swym dźwięcznym głosem, który sam w sobie już był bronią. - Nazwał mnie pan Wenecją. - Pod tym imieniem jest pan znany. Jest to imię, jakie nadał panu Inver Brass.

- Tylko w połowie ma pan słuszność. Jest to imię, które sam sobie nadałem.

- Kiedy? Przed czterdziestu laty?

Sutherland nie od razu odpowiedział. Wydawało się, że przyjął oświadczenie Petera z mieszaniną zarówno zdziwienia, jak i złości, jednakowo opanowanych.

- Nieważne kiedy. Ani samo imię.

- A ja sądzę, że obie rzeczy są ważne. Czy Wenecja oznacza to, co myślę?

- Tak. Maura.

- Otello był zabójcą.

- Ten Maur nie jest.

- Jestem tu po to, aby to ustalić. Pan mnie okłamał.

- Wprowadziłem pana w błąd dla pana własnego dobra. Od samego początku nie należało pana do tego mieszać.

- To stwierdzenie wychodzi mi już gardłem. Dlaczego tak się stało? - Bo inne rozwiązania zawiodły. Wydawało się, że warto spróbować z panem. Staliśmy w obliczu katastrofy narodowej.

- Brakujące teczki Hoovera?

Sutherland zamilkł, patrząc wielkimi, czarnymi oczami prosto w oczy Chancellora.

- A więc i o tym pan wie - powiedział. - To prawda. Teczki należało odnaleźć i zniszczyć, ale wszelkie próby ich wykrycia zawiodły. Bravo był zdesperowany i szukał

desperackich rozwiązań. Pan był jednym z nich.

- Wobec tego, dlaczego powiedział mi pan, że teczki zniszczono? - Proszono mnie, abym potwierdził pewne aspekty historyjki, którą panu opowiedziano. Nie chciałem jednak, aby potraktował pan swoją rolę zbyt poważnie. Jest pan powieściopisarzem, nie historykiem.

Umożliwienie panu działania w szerszym zakresie stawiało pana w niebezpiecznej sytuacji.

Na to nie mogłem pozwolić.

- Zwabić mnie, ale nie do końca, to o to chodziło?

- Można to tak określić.

- Nie, nie można. Jest coś więcej. Chronił pan grupę ludzi, którzy nazwali się Inver Brass. Jest pan jednym z nich. Powiedział mi pan, że kilku zaniepokojonych mężczyzn i kobiet zebrało się, aby walczyć z Hooverem, a następnie rozwiązało grupę po jego śmierci. I w tym wypadku pan kłamał. Ta grupa istnieje od czterdziestu lat. - Pozwolił pan ponieść się własnej wyobraźni. - Sędzia zaczął ciężiej oddychać.

- Nie, nie pozwoliłem. Rozmawiałem z innymi.

- Zrobił pan c o?! - Opanowanie sędziego prysnęło wraz z zawartą w każdym jego zdaniu prawniczą ścisłością. W świetle poranka widać było, że Sutherlandowi zadrżały ręce. -

Co, na litość boską, pan nawyrabiał?!

- Wysłuchałem słów umierającego człowieka. I uważam, że pan wie, kto to był.

- O, Boże! Longworth! Czarny olbrzym zmarł.

- Pan wiedział! - Wstrząs odebrał Peterowi oddech. Naprężył mięśnie, jego stopy pośliznęły się, wreszcie odzyskał równowagę. A więc to b y ł Sutherland. Żaden z pozostałych nie powiązał tych spraw. Tylko Sutherland! A nie mógłby tego zrobić, nie byłby w stanie, gdyby nie śledził Varaka, nie założył podsłuchu w centrali hotelu HayAdams! -

Teraz już wiem - oświadczył sędzia głuchym, monotonnym i złowieszczym głosem. -

Odnalazł go pan na Hawajach, przywiózł tutaj i złamał. Być może ruszył pan z miejsca lawinę wydarzeń, które wyprowadziły fanatyków z równowagi! Wygnały ich wywrzaskujących oskarżenia o spisek i jeszcze gorsze! To, co zrobił Longworth, było konieczne. Było słuszne!

- O czym, u diabła, pan opowiada? Longworthem był Varak, a pan cholernie dobrze o tym wie! To o n mnie odnalazł! Uratował mi życie i zmarł w moich oczach.

Widać było, że Sutherland traci równowagę. Dech mu zaparło, jego potężne ciało zachwiało się, jakby miał upaść. Odezwał się cicho, z głębokim bólem.

- A więc to był Varak. Myślałem o tym, ale nie chciałem w to wierzyć. Pracował z innymi ludźmi, sądziłem, że jest jednym z nich. Nie Varak. Rany z dzieciństwa nigdy się nie zabiżniły, nie potrafił się oprzeć pokusie. Musiał zdobyć cały arsenał.

- Chce pan przez to powiedzieć, że on zabrał teczki? To się nie trzyma kupy. On ich nie miał.

- Oddał je komuś innemu.

- Co? - Oszołomiony słowami Sutherlanda, Chancellor postąpił krok naprzód.

- Jego nienawiść była zbyt głęboka. Opuściło go poczucie sprawiedliwości, nie chciał już niczego prócz zemsty. Mógł tego dokonać dzięki teczkom.

- Wszystko, co pan powiedział, to nieprawda! Varak oddał życie w poszukiwaniu tych teczek! Pan kłamie! Wyznał mi prawdę! Oznajmił, że ma je jeden z was czterech!

- To jest... - Sutherland popatrzył w dal na wodę. Okropne milczenie przerywały tylko odgłosy przystani. - Gdybyż tylko przyszedł do mnie. Może mógłbym go przekonać, że istnieje lepsza droga. Gdyby tylko przyszedł do mnie...

- Po cóż miałby to robić? Pan nie stoi ponad podejrzeniami. Rozmawiałem z innymi i nic pana nie wyklucza. Jest pan jednym z czterech!

- Ty, młody, arogancki głupcze! - ryknął Daniel Sutherland. Jego głos odbił się echem w zatoce. A potem przemówił spokojnie, ale z ogromnym naciskiem. - Mówi pan, że kłamie.

Mówi pan, że rozmawiał z innymi. No, więc zechce pan przyjąć do wiadomości, że ktoś inny nakłamał panu znacznie skuteczniej.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że wiem, kto ma te teczki! Wiedziałem o tym od tygodni. Rzeczywiście są w rękach jednego z nas czterech, ale nie w moich! Nie tak trudno to wykryć, trudno będzie wydobyć je z powrotem! Przekonać człowieka, który zwariował, by poszukał pomocy. Pan i Varak uniemożliwiliście to!

- Nigdy i nikomu pan nie powiedział... - Peter wpatrywał się w czarnego olbrzyma.

- Nie mogłem! - przerwał sędzia. - Należało opanować sytuację, ryzyko było za duże.

On wynajmuje morderców. Ma w tych teczkach tysiące zakładników. - Sutherland zrobił krok w stronę Chancellor a. Czy powiedział pan komukolwiek, że się tu wybiera? Czy uważał pan, by nikt za panem nie jechał?

Chancellor zaprzeczył ruchem głowy.

- Podróżuję z własną ochroną. Nikt za mną nie jechał.

- Podróżuje pan z czym?

- Nie jestem tu sam - odrzekł spokojnie Peter.

- Są z panem inni?

- I tak jest w porządku - odparł Peter, zaniepokojony nagłym pojawieniem się strachu w oczach starego sędziego. - On jest z nami. - O ' B r i e n?

- Tak.

- O Boże!

Nagle coś głośno chlupnęło w wodzie. I nie była to w żadnym wypadku zaniepokojona ryba. W basenie portowym był człowiek. W ciemności. Peter podbiegł do skraju wody.

Z tyłu rozległy się dwa szybko po sobie następujące strzały. Od strony statku Quinna!

Chancellor padł na pomost, rozplaszczając się na deskach.

Nagle wszystko dookoła wybuchło. Strzały padały z powierzchni wody i zza burt innych łodzi. Powietrze rozdzierały kłaśniecia, gwizdały pociski wystrzeliwane z broni zaopatrzonej w tłumiki. Peter potoczył się w lewo, instynktownie szukając osłony pobliskich pali. Tuż przed jego twarzą posypały się drzazgi; zakrył oczy otwierając je akurat na czas, by ujrzeć ogień wystrzału z przeciwległego doku. Wyciągnął swój rewolwer i w panice nacisnął

spust.

Usłyszał krzyk, a po nim odgłos padającego ciała, uderzającego w jakieś nie zidentyfikowane przedmioty i wreszcie toczącego się do wody. Z lewej strony usłyszał

pomruk. Odwrócił się. Człowiek w mokrym czarnym stroju płetwonurka gramolił się na skraj nabrzeża. Peter wycelował i strzelił, potworny człowiek zgiał się i upadł na twarz w ostatnim wysiłku pochwycenia Chancellora.

A l i s o n! Musi do niej się dostać! Szarpnął się do tyłu i ze zdumieniem zobaczył

ludzkie ciało. Było to ciało Sutherlanda! Miał zakrwawioną twarz, górną część palta pokrytą krwawymi plamami. Dokoła było pełno plam ciemnej czerwieni.

Czarny olbrzym był m a r t w y.

- Chancellor! - wrzasnął do niego O'Brien głośniejszym niż wystrzały i kłaśniecia z tłumików. W jakim celu? By go zabić? Kim jest O'Brien? Czym jest O'Brien?

Nie odpowiedział, nie chciał wystawić się na cel. Instynkt samozachowawczy zmusił

go do ruszenia z miejsca. Przepelznął nad zabitym Danielem Sutherlandem w kierunku stłoczonej u wejścia do doku stalowej maszynerii. Posuwał się na czworakach tak szybko, jak potrafił, to zygzakiem, to kurcząc się i przypadając do brudnych desek. Rozległ się śpiew rykoszetującego pocisku. Dostrzeżono go! Nie miał już wyboru; podniósł się skulony, z nogami zdrętwiałymi ze strachu, i popędził w stronę czarnego żelastwa. Był tuż przed nim, rzucił się między girlandy zwisających lin, skręcając w prawo za płat stalowej blachy. -

Chancellor! Chancellor! - nieprzerwanie wśród huku wystrzałów krzyczał O'Brien. A Peter nadal mu nie odpowiadał. Bo mogło być tylko jedno wytłumaczenie. Człowiek, którego podziwiał, któremu współczuł, powierzył swe życie, wciągnął go w pułapkę.

Nagle rozległy się salwy, a po nich wybuch. Z rufy stojącego o dwa baseny dalej trawlera podniosły się płomienie. A potem następna detonacja i drugi stateczek wybuchnął

ogniem. Słysząc było krzyki, rozkazy ludzi biegnących po nabrzeżach i przeskakujących przez bariery do wody. W ogólnym zamęciu wymiana strzałów zaczęła jakby cichnąć. A potem nastąpił pojedynczy głośny wybuch i trzeci statek stanął w płomieniach. Padł

odosobniony strzał, krzyknął człowiek. Wykrzykiwał słowa.

Słowa były niezrozumiałe. Wszystkie z wyjątkiem jednego: Chasong. C h a s ó n g!

Człowiek został trafiony, jego przedśmiertne słowa były rykiem wyzwania, żaden inny motyw nie uzasadniał takiej wściekłości. To był język, którego nie rozumiał Varak! Teraz usłyszał go Chancellor. Nie był to język podobny do jakiegokolwiek mu znanego.

Hałas przycichł. Dwóch ludzi w strojach pletwonurków wypelzło na koniec krótkiego mola, gdzie leżał martwy Daniel Sutherland. Z położonego naprzeciw doku doleciały przez wodę trzy szybko po sobie następujące wystrzały. Rykoszetujący pocisk otarł się głośno o pudło narzędziowe nad głową Petera i wbił nie opodal w drewno. Jakaś postać między kadłubami statków pomknęła w stronę brzegu, przeskakując relingi, pokłady i okrążając sterówki. Znowu gęściejsze wystrzały, Chancellor skoczył za stalową osłonę. Postać biegnącego dotarła do błotnistej brzozy i dała nurka za wyciągniętą na brzeg łódź wiosłową.

Pozostała tam tylko parę sekund, po czym wstała i pobiegła w ciemność. To był O' B r i e n!

Peter z niedowierzaniem patrzył, jak agent znika wśród otaczających przystań rybacką drzew.

Alison leżała twarzą do ziemi obok samochodu. Miała szkliste oczy, jej ciałem wstrząsały dreszcze. Peter padł na ziemię obok i wziął ją w ramiona.

- Byłam pewna, że już cię żywego nie zobaczę! - szepnęła wczepiwszy się w niego palcami i przytuliwszy mokrym policzkiem do twarzy. - Wstawaj! Szybko! - Pomógł jej wstać. Szarpnął drzwiczki samochodu i wepchnął dziewczynę do środka.

Wokół doku panowało zamieszanie. Motorówka, którą posłyszał w oddali, podpłynęła do nabrzeża. Zaczęła się kłótnia, ludzie poruszali się, kilku poszło w stronę brzegu.

Był to czas, by wyruszyć. Za parę sekund może być za późno. Peter spojrzął przez przednią szybę i przekręcił klucz w stacyjce. Silnik warknął, ale nie zaskoczył.

Poranna wilgoć! Do tego kilka godzin postoju.

Od wejścia do doku dobiegły krzyki. Alison też je usłyszała. Chwyciła rewolwer, który Chancellor rzucił na siedzenie. Automatycznie, z wprawą, otworzyła bębenek.

- Są tylko dwa naboje! Czy masz jeszcze?

- Naboje? Nie! - Peter znów przekręcił kluczyk, naciskając na gaz. Człowiek w czarnym gumowym kombinezonie pojawił się między kadłubami wyciągniętych na brzeg trawlerów. Ruszył w ich stronę.
- Uważaj na oczy! - krzyknęła Alison.

Wystrzeliła. Wewnątrz samochodu zabrzmiało to jak grzmot. Rozleciała się boczna szyba. Silnik zaskoczył.

Chancellor wrzucił bieg i z całej siły nacisnął pedał gazu. Samochód ostro szarpnął do przodu. Peter skręcił kierownicę w prawo, wóz wpadł w boczny poślizg, podnosząc fontannę błota i kurzu, wyprostował i po chwili pędził prosto do wyjścia.

Usłyszeli za sobą strzały, rozprysnęło się tylne okienko. Chancellor zepchnął Alison na podłogę i szarpnął kierownicę w lewo. Ale dziewczyna nie chciała tam zostać, wypełzła na siedzenie i wystrzeliła drugi i ostatni nabój. Strzały za nimi na chwilę ucichły. A po chwili znów się rozległy, padając chaotycznie, bez skutku. Peter dotarł do wejścia do przystani i pomknął leśną drogą w stronę szosy. Byli sami. Jeszcze godzinę wcześniej stanowili trójkę uciekinierów. Teraz zostało ich dwoje.

Zawierzyli Quinnowi O'Brienowi, a on ich zdradził.

Do kogo teraz mieli się zwrócić?

Mieli tylko siebie. Domy i biura były pod obserwacją. Przyjaciele, znajomi -

inwigilowani. Telefony na podsłuchu, ich samochód znany. Wkrótce zaczną się patrolowanie szos i bocznych dróg.

Peter poczuł w sobie niezwykłą zmianę. Przez chwilę zastanawiał się, czy było tak naprawdę, czy tylko miał do czynienia z jeszcze jednym wybuchem własnej wyobraźni. Ale jakkolwiek rzecz się miała, postanowił być za to wdzięczny.

Przerażenie, poczucie całkowitej bezsilności zostały zastąpione przez gniew.

Mocno uchwycił kierownicę i pruć przed siebie, ciągle mając w uszach przedśmiertny wrzask, słyszany zaledwie parę minut temu.

C h a s ó n g!

Więc pomimo wszystkiego, co mu powiedziano, to nadal był klucz.

ROZDZIAŁ 37

Zwykły obywatel nic nie wiedział o ich ucieczce. W żadnym komunikacie radiowym nie podano ich rysopisów; nie pokazano fotografii w telewizji ani nie wydrukowano w gazetach. A przecież uciekali, bo nie mieli już nic na swoją obronę: prawo zostało złamane, ludzie pozabijani. Oddanie się w ręce władz oznaczało wpędzenie się w tuzin pułapek.

Podejrzani ludzie kryli się wszędzie w aparacie władzy.

Ich jedyną obroną było prywatne archiwum Hoovera, jedyną nadzieją na przeżycie.

Śmierć doprowadziła ich bliżej odpowiedzi. Varak powiedział, że jest to jeden z czterech ludzi. Peter dodał piątego. Teraz martwy był Sutherland i martwy był Dreyfus, a to pozostawiało trzech. Sztandara, Parysa i Bravo.

Frederick Wells, Carlos Montelan, Munro St. Claire.

Ktoś inny nakłamał panu znacznie skuteczniej.

Ale istniał przecież klucz. Chasong. To nie było kłamstwo. Jeden z trzech pozostałych członków Inver Brass był znacznie głębiej, nieodwołalnie powiązany z rzezią w Chasongu dwadzieścia dwa lata temu. Kimkolwiek był, miał teczki.

Peter przypomniał sobie słowa Ramireza. W szpitalach dla weteranów znajdują się ludzie z wielu bitew, nie tylko z Chasongu... Szansa, że czegoś będzie można się dowiedzieć od ocalałych, istniała wprawdzie, ale była niewielka. Ich wspomnienia mogą okazać się niejasne, był to jednak jedyny krok, jaki przyszedł mu na myśl. Być może ostatni. Pomyślał o Alison. Ogarnął ją gniew równy jego własnemu, a ten gniew wzbudził w niej ogromną determinację i wywołał inwencję. Córka generała miała możliwości, teraz użyła ich; jej ojciec przez całe życie spędzone w służbie wojskowej pozyskał wielką liczbę ludzi, którzy mieli wobec niego długi wdzięczności. Zwróciła się tylko do tych, o których wiedziała, że są daleko od centrum wpływów i władzy Pentagonu.

Ludzie, z którymi od lat nie miała styczności, usłyszeli przez telefon wezwania o pomoc, o taktowne poparcie udzielone prywatnie i bez zadawania pytań. Aby zaś nie można było dotrzeć po śladach do źródła, prośby zostały skierowane do różnych ludzi.

Pułkownik lotnictwa, przydzielony do działu zaopatrzenia NASA, spotkał się z nimi za linią Delaware w Laurel i oddał im swój samochód. Auto O'Briena zostało ukryte w lasach nad brzegiem rzeki Nanticoke. Kapitan artylerii zarezerwował dla nich na swoje nazwisko miejsca w Holiday Inn na przedmieściu Arundel Village.

Komandor porucznik w Trzecim Okręgu Marynarki Wojennej, niegdyś dowódca okrętu desantowego na „Plaży Omaha”, przyjechał samochodem do Arundel i przyniósł do ich pokoju trzy tysiące dolarów. Nie zadając żadnych pytań, przyjął od Chancellora list do Joshuy Harrisa, polecający wypłatę pożyczonej sumy.

Ostatnia potrzebna im rzecz była najtrudniejsza do uzyskania: lista ofiar bitwy o Chasong. A w szczególności adresy tych, którzy ocaleli jako całkowici inwalidzi. Trzeba było w tym wypadku działać mając na uwadze, że niewidzialni ludzie tylko czekają na oznaki zainteresowania. Była już prawie ósma wieczór. Komandor porucznik położywszy niedbałym ruchem trzy tysiące dolarów na nocnym stoliku, odjechał przed paroma minutami. Peter spoczywał półleżąc na łóżku, oparty o wezgłowie. Alison siedziała po drugiej stronie pokoju przy biurku. Miała przed sobą notes. Tuziny nazwisk, większość skreślonych z takich czy innych powodów. Uśmiechnęła się.

- Czy zawsze masz tak nonszalancki stosunek do pieniędzy? - Czy zawsze tak fachowo posługujesz się bronią? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Przez całe życie wokół mnie było mnóstwo broni. Co nie oznacza, że ją pochwalam.

- Od trzech i pół roku wokół mnie są pieniądze. I bardzo to pochwalam.

- Mój ojciec zabierał mnie na strzelnicę parę razy w miesiącu. Oczywiście, gdy nie było tam nikogo innego. Czy wiesz, że mając trzynaście lat potrafiłam z zawiązanymi oczami rozebrać karabin i pistolet służbowy kalibru 45? Boże, jak on pragnął, żebym była chłopcem!

- Boże, jak on musiał nie być przy zdrowych zmysłach - odrzekł Chancellor, naśladując jej ton. - Co zrobimy z listą strat? Czy możesz jeszcze pociągnąć za jakiś sznurek?

- Być może. W szpitalu Waltera Reeda jest pewien lekarz, Phil Brown. Był

sanitariuszem w Korei, gdy mój ojciec na niego natrafił. Latał helikopterem na linię bojową i opatrywał rany tam, gdzie lekarze mówili „nie, dziękuję”. Później tata skierował go na właściwą drogę, z akademią medyczną włącznie, na koszt armii. Był z biednej rodziny, inaczej nie mógłby ukończyć studiów.

- To było bardzo dawno temu.

- Tak, ale byli w kontakcie. My byliśmy w kontakcie. Warto spróbować. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

- Czy możesz sprowadzić go tutaj? Nie chciałbym o tym mówić przez telefon.

- Mogę spróbować - powiedziała Alison.

Po godzinie szczupły, czterdziestotrzyletni lekarz wojskowy wszedł i ucałował Alison.

„Jest w tym człowieku jakiś rys życzliwości” pomyślał Chancellor. Spodobał mu się, choć już wtedy, gdy Alison powiedziała, że „byli w kontakcie” pomyślał, że oznaczało to właśnie to.

Byli dobrymi przyjaciółmi; kiedyś byli jeszcze lepszymi.

- Phil, jak się cieszę, że cię widzę!

- Przykro mi, że nie mogłem być na pogrzebie Maca - powiedział doktor, trzymając dłonie na ramionach Alison. - Pomyślałem, że zrozumiesz. Te wszystkie świętoszkowate słowa od tych wszystkich skurwysynów, którzy chcieli mu odebrać gwiazdki.

- Nic nie utraciłeś ze swej bezpośredniości, Charlie Brown. Major pocałował ją w czoło.

- Od lat nie usłyszałem tego imienia. - Zaraz potem zwrócił się do Petera. - Wie pan, ona ma fioła na punkcie komiksu Peanuts. Zawsze czekaliśmy na niedzielne gazety...

- To jest Peter Chancellor, Phil - przerwała Alison.

Lekarz przyjrzał się Peterowi i wyciągnął rękę.

- Podwyższyłaś klasę swych przyjaciół, Ali. Jestem pod wrażeniem. Lubię twoje książki, Peter. Czy mogę ci mówić po imieniu? - Tylko jeśli mogę mówić ci Charlie.

- Ale nigdy w sytuacjach służbowych. Pomyślą, że jestem intelektualistą, a to jest źle widziane... A teraz, o co właściwie chodzi? Ali tak mówiła, jakby uciekła z obławy na narkomanów.

- Pierwsze się zgadza - powiedziała Alison. - Drugie jest znacznie gorsze. Peter, czy mogę mu powiedzieć?

Chancellor popatrzył na majora. Dostrzegł w jego oczach nagły niepokój, ale zauważył też w nim siłę, ukrywaną za zasłoną uprzejmości. - Uważam, że możemy mu powiedzieć wszystko.

- A ja sądzę, że nawet powinniście - rzekł Brown. - Ta dziewczyna jest dla mnie kimś ważnym. Jej ojciec odegrał wielką rolę w moim życiu.

Opowiedzieli mu... Wszystko. Alison zaczęła, Peter uzupełniał. Opowiadanie podziałało na nich oczyszczająco; nareszcie był ktoś, komu mogli zaufać. Alison zaczęła wyjaśniać, co się zdarzyło dwadzieścia dwa lata temu. Przerwała, gdy doszła do momentu, w którym została zaatakowana przez matkę; dalsze słowa uwięzły jej w gardle. Doktor uklęknął

przed nią.

- Posłuchaj mnie - powiedział profesjonalnym tonem lekarza. Chcę usłyszeć wszystko.

Przykro mi, ale musisz mi opowiedzieć całą historię. Nie dotykał jej, jednak jego głos zawierał rozkaz zarówno łagodny jak i zdecydowany.

Gdy skończyła, Brown kiwnął Peterowi głową i wstał, by zrobić sobie drinka.

Chancellor objął Alison.

- Skurwysyny - powiedział Brown obracając szklanę w ręce. Halucynogeny, oto w co ją wpędzili. Mogli ją najpierw zatruć pochodnymi morfiny czy kokainą, ale halucynogeny powodują omamy wzrokowe, podstawowy symptom. Obie strony w tym okresie na wielką skalę eksperymentowały z halucynogenami. Skurwysyny!

- Co za różnica, jakich narkotyków użyto? - spytał Chancellor wciąż trzymając rękę na ramieniu Alison.

- Być może nie ma żadnej - odrzekł Brown. - Ale mogła być. Te eksperymenty były absolutnie zastrzeżone i ściśle tajne. Gdzieś muszą być protokoły na ich temat, Bóg jeden wie gdzie, ale na pewno istnieją. Powinny nam ujawnić ich strategię, podać nazwiska i daty, określić, jak szeroko była zarzucona sieć.

- Wolałbym porozmawiać z ludźmi, którzy byli pod Chasongiem rzekł Peter. -

Kilkoma spośród ocalałych, z im wyższym stopniem, tym lepiej. Tymi w wojskowych szpitalach dla weteranów. Ale nie ma czasu by polować na nich po całym kraju.

- Myślisz, że w ten sposób znajdziesz odpowiedź?

- Tak. Chasong stał się przedmiotem kultu. Słyszałem, jak tę nazwę wykrzykiwał

umierający, jakby jego śmierć była dobrowolną ofiarą. Co do tego nie ma wątpliwości.

- Zgoda. - Brown skinął głową. - Ale w takim razie czemu motywem dla ofiary nie miałyby być zemsta? Zapłata za działalność żony Maca, jej matki? - Lekarz popatrzył

przepraszająco na Alison. - Na te działania nie miała wpływu, ale poszukujący zemsty o tym nie wie.

- I o to chodzi - przerwał Peter. - Ludzie, którzy w tym biorą udział, gotowi są umierać - szeregowcy, nie dowódcy. Niczego by nie wiedzieli na temat jej matki. Ty to powiedziałaś. Ramirez potwierdził. Te eksperymenty były ograniczone, ściśle tajne.

Wiedziało o nich tylko kilka osób. Nie ma tu powiązania.

- Ty je wykryłeś. Przy pomocy Ramireza.

- Bo spodziewano się, że je wykryję, że na to się nastawię. Ale pod Chasongiem zdarzyło się jeszcze coś innego. Varak to wyczuwał, nie potrafił określić, dlatego nazwał to fałszywą przynętą.

- Przynętą?

- Tak. Właściwy staw, ale nie ta kaczką. „Mackie Majcher” nie miał nic wspólnego z manipulowaniem jego żoną. Podarta nocna koszula na podłodze gabinetu w Rockville, rozbite szkło, perfumy, to wszystko były drogowskazy skierowane w fałszywym kierunku.

Wskazujące ruinę kobiety, zniszczonej przez wroga, a ja miałem się na to złapać. Owszem, złapałem się, ale to był błąd. Idzie o coś innego. - Skąd to wszystko wiesz? Jak możesz być tak pewien swego? - Ponieważ, do jasnej cholery, sam wymyśliłem tego rodzaju rzeczy. W

książkach.

- W książkach? Daj spokój, Peter, to jest rzeczywistość.

- Mógłbym na to odpowiedzieć, ale musiałbyś najpierw włożyć mi kaftan bezpieczeństwa i oddać pod obserwację. Tymczasem postaraj się dostarczyć mi tyle nazwisk, ile potrafisz. Ludzi, którzy przeżyli Chasong.

Major Philip Brown, doktor medycyny, spojrział na notatkę służbową, która była wynikiem porannej konferencji. Był zadowolony z siebie. Notatka miała ton złowieszczy i równocześnie nie nazbyt głośno alarmujący.

Dzięki takiemu właśnie dokumentowi mógł uzyskać dostęp do tysięcy mikrofilmów, zawierających zapisy miejsca pobytu i krótkie historie choroby inwalidów, zamieszkałych w szpitalach dla weteranów wojennych w całym kraju.

Istota notatki mieściła się w stwierdzeniu, że u znacznej liczby starszych wiekiem żołnierzy pewne tkanki wewnętrzne degenerowały się z jakichś przyczyn szybciej, niżby .to mogło wynikać z normalnego starzenia się. Ludzie ci odbywali służbę wojskową w Korei, w prowincji Chagang i na jej obrzeżach. Było teoretycznie zupełnie możliwe, że ich krew została zakażona wirusem, pozornie drzemającym, ale w rzeczywistości aktywnym na poziomie molekularnym. Notatka stawiała hipotezę, że był to hynobius, mikroskopijny antygen przenoszony przez owady, znajdujące się właśnie w prowincji Chagang. Zaleca się dalsze zbadanie sprawy w miarę posiadanego priorytetu.

Był to stek nonsensów, ale bardzo skuteczny. Major nie miał pojęcia, czy istniał

antygen o nazwie „hynobius”. Ale całkiem słusznie przypuszczał, że gdy sam jest jego wynalazcą, nie znajdzie się nikt zdolny do podjęcia dyskusji na ten temat.

Brown z notatką w ręku wszedł do składnicy mikrofilmów.

W rozmowie z kierującym nią sierżantem sztabowym nie wymienił nazwy „Chasong”.

Zamiast tego pozwolił, by sierżant sam rozpoczął poszukiwania. Żołnierz bardzo poważnie potraktował swe detektywistyczne zadanie; zagłębił się między stalowe półki, aby po chwili wynurzyć się z mikrofilmami.

Po trzech godzinach i dwudziestu pięciu minutach Brown gapił się na ostatnią klatkę na ekranie czytnika. Już dawno zdjął kurtkę mundurową i powiesił na krześle, poluzował

krawat i rozpiął kołnierzyk. W zdumieniu odchylił się na oparcie.

Na dziesiątkach metrów taśmy nie było ani jednej wzmianki o Chasong. Ani jednej.

Wyglądało to tak, jakby Chasong nigdy nie istniał. Według materiałów archiwum szpitala Waltera Reeda nigdy nic tam się nie wydarzyło. Wstał i odniósł szpule sierżantowi.

Brown zdawał sobie sprawę, że musi działać ostrożnie. Ale bez względu na istniejące ryzyko musiał je podjąć.

- Znalazłem masę potrzebnego nam materiału - oświadczył.

Ale sądzę, że powinno być więcej. W podzgrupowaniach zawieszinowych hynobius był

wykryty w laboratoriach polowych w okolicach Pyongyang. Znaczna liczba zapisów odnosi się do okręgu czy też prowincji Chasong. Zdziwiło mnie, że nie ma jej w spisie.

Sierżant zareagował natychmiast; w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- Chasong? Tak, sir, znam tę nazwę. Widziałem ją bardzo niedawno. Staram się przypomnieć gdzie.

Brownowi serce zabiło żywiej.

- Sierżancie, to może okazać się ważne. Na pierwszy rzut oka to tylko jeden z prążków spektrogramu, ale może się okazać właśnie tym którego poszukujemy. Hynobius to wściekłe bydlę. Proszę postarać się przypomnieć.

Sierżant zmarszczywszy brwi wstał z krzesła i podszedł do stołu biurowego.

- Zdaje się, że niedawno został zrobiony dopisek na skrajnej prawej szpalcie. To trochę niezwykle, więc jakoś zwraca uwagę.

- Dlaczego niezwykle?

- Ta szpalta przeznaczona jest na wpisy o wydawaniu materiałów. Wtedy otrzymanie filmu potwierdza się podpisem. Normalnie wszyscy używają naszych aparatów, tak jak pan to zrobił.

- Czy potrafi pan ustalić czas wpisu?

- To nie mogło być dawniej niż wczoraj lub przedwczoraj. Zaraz zobaczę. - Sierżant wyciągnął z półki księgę w metalowej oprawie. O, jest. Wczoraj po południu. Wydano dwanaście szpul. Wszystko, co było na temat Chasongu. No, ale to jest zrozumiałe.

- Dlaczego?

- Przejrzenie tego wszystkiego zabrałoby dwa dni. Dziwię się nawet, że zostały w taki sposób zakwalifikowane.

- W jaki sposób?

- Pod hasłem szyfrowym. Zaklasyfikowane jako dotyczące bezpieczeństwa państwa.

Aby ustalić, gdzie się znajdują, potrzebowaliby pan zezwolenia na dostęp do katalogu głównego. Ale i tak, nawet jako doktor, nie może pan ich dostać.

Dlaczego?

- Nie ma pan dostatecznie wysokiego stopnia, sir.

- Kto podpisał ich wypożyczenie?

- Niejaki generałbrygadier Ramirez, sir.

Brown wjechał swym triumphem model 6 na parking ogromnego centrum przetwarzania informacji w McLean, w stanie Virginia. Z lewej strony wejścia znajdowała się wartownia. Przejazd zagrażała metalowa bariera z nieodłącznym napisem na tablicy: „Wstęp tylko dla upoważnionych pracowników państwowych”.

Wystarczył niewielki nacisk, by przekonać sierżanta sztabowego w składnicy, że ludzie umierali, ponieważ pewien generał nazwiskiem Ramirez usunął możliwość wykrycia hynobiusa, a sierżant może stać się za to współodpowiedzialny.

Ponadto Brown był gotów przyjąć pełną odpowiedzialność, zarówno jako oficer, jak i jako lekarz, i własnym nazwiskiem potwierdzić otrzymanie numerów katalogowych filmów.

Sierżant nie miał mu dać mikrofilmów, lecz tylko ich numery; wydział bezpieczeństwa w szpitalu Reeda da majorowi zezwolenie na dostęp do duplikatów znajdujących się w McLean.

Doktor uważał, że ma do wyrównania z Ramirezem porachunki osobiste. Brygadier zniszczył generała MacAndrewa, a MacAndrew dał Philowi Brownowi, wiejskiemu chłopcu z Gandy w stanie Nebraska, bardzo dobrą życiową szansę. Jeśli Ramirezowi to się nie spodoba, zawsze może złożyć skargę.

Ale Brown jakoś był przekonany, że generał tego nie zrobi. Przełamanie oporu wydziału bezpieczeństwa w szpitalu Waltera Reeda okazało się nietrudne. Wystarczyło użyć owej notatki, by do tego stopnia zastraszyć oficera bezpieczeństwa, człowieka bez lekarskiego wykształcenia, że udzielił Brownowi zezwolenia na dostęp do wszelkich materiałów w McLean.

Brown okazał dokument cywilowi w biurze przepustek w McLean. Ten nacisnął kilka klawiszy komputera, na miniaturowym ekranie ukazały się małe zielone cyferki i doktor został skierowany na

właściwe piętro.

„Istotne jest to - pomyślał Brown wchodząc do Sekcji M, Przetwarzanie Danych - że mając numery kodowe materiału zabranego przez Ramireza, nie potrzebuję już niczego więcej”. Każda rolka mikrofilmu miała własny identyfikator. Zezwolenie szpitalne zaakceptowano, wszelkie przeszkody znikły i po dziesięciu minutach zasiadł przed bardzo skomplikowaną maszyną, która w dziwny sposób przypominała błyszczącą, nowoczesną wersję staromodnego automatu do oglądania filmów.

A jeszcze dziesięć minut później zrozumiał, że sierżant sztabowy mylił się, twierdząc, że przejrzanie tych zapisów zajmie dwa dni. Wymagało niecałej godziny. Brown nie był

pewien, co tu znalazł, ale to coś spowodowało, że zaczął z niedowierzaniem wpatrywać się w świecąca na ekraniku informację.

Z setek ludzi biorących udział w bitwie o Chasong, przeżyło tylko trzydziestu siedmiu.

Już tylko to było wstrząsającą informacją. Kolejna przerażała. Dotyczyła sposobu, w jaki rozłokowano rannych - sprzecznego z jakąkolwiek przyjętą praktyką psychologiczną. Ludzie ciężko poszkodowani lub okaleczeni w czasie operacji bojowej rzadko bywali rozdzielani.

Ponieważ resztę życia mieli spędzić w zakładach, jedynym co im pozostawało, byli towarzysze broni. Rodziny i przyjaciele odwiedzali ich rzadko, a weterani z wolna stawali się niewygodnymi, krępującymi cieniami gdzieś w dalekich przytułkach.

Ale tych trzydziestu siedmiu, którzy przeżyli Chasong, zostało starannie od siebie odizolowanych. A dokładnie mówiąc, izolowano trzydziestu jeden, w trzydziestu jeden różnych szpitalach od San Diego po Bangor w stanie Maine.

Pozostałych sześciu było razem, lecz ich bliskość fizyczna była raczej bez znaczenia.

Znajdowali się w zakładzie psychiatrycznym o najściślejszym reżimie bezpieczeństwa, trzydzieści mil na zachód od Richmond. Brown znał to miejsce. Pacjentami byli całkowici szaleńcy, wszyscy niebezpieczni, w większości ogarnięci manią morderczą. Ale zostawiono ich razem. Perspektywa nie była zachęcająca, jednak jeśli Chancellor uważa, że może się tu czegoś dowiedzieć, nazwiska sześciu pozostałych przy życiu po Chasongu nie są już tajemnicą. Z literackiego punktu widzenia okoliczności mogą okazać się pomyślne. Jeśli ludzie, których władze umysłowe zostały zniszczone pod Chasongiem, będą zdolni do rozmowy, Peter zyska potężne źródło informacji. Udzielią ich zapewne nieświadomie, lecz bez zahamowań wynikających z racjonalnego myślenia. Rzadko zdarzało się, aby w umyśle obłąkanego nie zachowały się ślady przyczyn jego choroby.

Doktora niepokoiło coś, czego nie potrafił określić, ale był zbyt otępiały, by móc to zanalizować. Jego umysł wchłonął zbyt wiele spraw niewytłumaczalnych, nie był już więc zdolny do myślenia.

A poza tym chciał się wydostać z centrum przetwarzania danych na świeże powietrze.

Peter zdał sobie sprawę, że nie wchodzi do szpitala. Wchodzili do więzienia.

Upiększonej wersji obozu koncentracyjnego.

- Pamiętaj, że nazywasz się Conley i jesteś specjalistą z podgrupy marynarki handlowej - powiedział Brown. - Gadać będę ja.

Poszli długim, białym korytarzem z rzędem stalowych drzwi po obu stronach. W

ścianach obok drzwi znajdowały się maleńkie okienka obserwacyjne z grubego szkła. Przez nie Chancellor mógł oglądać pacjentów. Dorośli mężczyźni leżeli skurczeni na gołej podłodze, wielu ubrudzonych własnymi odchodami. Inni krążyli jak zwierzęta w klatkach, a ujrawszy nagle obcych na korytarzu, przyciskali do szkła wykrzywione twarze. Jeszcze inni stali przy oknach, bezmyślnie wpatrując się w światło słoneczne na zewnątrz, milcząco zagubieni w świecie własnych fantazji.

- Nie sposób się do tego przyzwyczać - powiedział towarzyszący im psychiatra. -

Istoty ludzkie zepchnięte do poziomu najprymitywniejszych małp. A przecież to kiedyś byli ludzie. O tym nie wolno nam zapominać.

Dopiero po pewnym czasie Peter zorientował się, że lekarz mówi do niego.

Równocześnie zdał sobie sprawę, że na jego twarzy malują się wszystkie gwałtowne emocje, które przeżywał; mieszanina współczucia, ciekawości i odrazy.

- Chcielibyśmy pomówić z ludźmi ocalałymi spod Chasongu oświadczył Brown, uwalniając Petera od konieczności odpowiedzi. Czy może pan nam to zorganizować?

Lekarz zdziwił się, ale nie sprzeciwił.

- Powiedziano mi, że chcecie pobrać próbki krwi.

- To oczywiście także. Ale chcielibyśmy też porozmawiać.

- Dwóch nie potrafi mówić, a trzech zwykle nie chce. Ci pierwsi są katatonikami, drudzy to schizofrenicy. Od lat.

- To dopiero pięciu - odrzekł Brown. - A co z szóstym? Czy będzie cokolwiek pamiętał?

- Nic, co mogłoby się wam przydać. To maniakałny zabójca. Byle co wywołuje u niego atak szału: ruch ręki albo światło żarówki. To ten w kaftanie bezpieczeństwa.

Chancellor poczuł się chory, skronie przeszył mu ból. Podróż odbyli na darmo, bo niczego nie można będzie się dowiedzieć. Usłyszał, jak Brown zadaje pytanie tonem zdradzającym równie głębokie rozczarowanie.

- Gdzie oni są? Załatwmy to szybko.

- Są wszyscy razem w jednym z laboratoriów w południowym skrzydle. Zostali dla was przygotowani. Prosto przed siebie. Doszli do końca korytarza i skręcili w następny, szerszy. Po jego obu stronach mieściły się zamknięte separatki, jedne z ławkami pod ścianą, inne z kozetkami lekarskimi na środku. Każda celka miała okienko obserwacyjne z takiego samego grubego szkła jak w korytarzu, który właśnie opuścili. Psychiatra podprowadził ich pod ostatnią separatkę i gestem wskazał okienko.

Chancellor popatrzył. Dech mu zapało, oczy rozszerzyły się. Wewnątrz było sześciu mężczyzn w zielonych mundurach roboczych z obciętymi guzikami. Dwaj siedzieli nieruchomo na ławkach, patrząc niewidzącymi oczami. Trzech leżało rozciągniętych na podłodze, wijąc się w okropnej udręce, jak ogromne, wzajemnie się naśladujące insekty.

Jeden stał w kącie, z szyją i barkami wstrząsanymi przez drgawki, twarzą wykrzywioną zmieniającymi się wciąż grymasami. Jego spętane ręce walczyły z mocną tkaniną, w którą miał zawiązany tors.

Ale nagły i głęboki, paniczny strach Petera wywołał nie sam obraz tych godnych współczucia półludzi za szkłem, lecz widok ich skóry. Wszyscy byli czarni.

- To jest to - usłyszał szept Browna. - Litera „m”.

- Co? - spytał Chancellor tak przejęty strachem, że niemal niezdolny słuchać.

- Była tam. Wszędzie - odrzekł spokojnie major. - Nie zdałem sobie z tego sprawy, bo szukałem czegoś innego. Mała literka „m” po nazwiskach. Setkach nazwisk. „Murzyn”.

Wszystkie oddziały spod Chasongu składały się z czarnych. Sami Murzyni.

- Ludobójstwo - wyszeptał Peter, ogarnięty najgłębszym strachem i obrzydzeniem.

ROZDZIAŁ 38

W milczeniu pędzili szosą na północ, obaj pogrążeni w myślach, obaj przepełnieni wstrętem, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie przeżyli. A przecież dokładnie wiedzieli, co teraz muszą uczynić.

Człowiek, któremu musieli stawić czoło, został zidentyfikowany: generałbrygadier Pablo Ramirez. - Muszę mieć tego sukinsyna - oświadczył Brown natychmiast po opuszczeniu szpitala.

- Nic już nie rozumiem - odrzekł Peter ze świadomością, że nie jest to żadna odpowiedź. - Sutherland był czarny. Tylko on mógł mieć z tym jakiś związek. Ale on nie żyje.

Milczenie.

- Ja zatelefonuję - powiedział wreszcie Brown. - Ty nie możesz, bo cię nie przyjmie. A generał ma aż nazbyt wiele sposobów na to, by nagle zostać przeniesionym na drugą stronę świata.

Podjechali do jednej z owych restauracji w stylu kolonialnym, które mnożyły się obficie w Wirginii. Na końcu słabo oświetlonego korytarza była budka telefoniczna.

Chancellor zaczął w otwartych drzwiach, gdy doktor wszedł do środka i zatelefonował do Pentagonu.

- Major Brown? - spytał poirytowany Ramirez. - Co pan ma tak pilnego, że nie może pan tego omówić z moją sekretarką?

- To bardziej niż pilne, generale. A zgodnie z danymi składnicy mikrofilmów u Waltera Reeda pan jest generałem. Można powiedzieć, że sprawa jest alarmowa.

Milczenie po drugiej stronie drutu świadczyło o szoku, jakiego doznał rozmówca.

- O czym pan mówi? - spytał ledwie słyszalnym głosem.

- Jak przypuszczam, o przypadku medycznym, sir. Jako lekarz otrzymałem zadanie wykrycia szczepu wirusowego, pochodzącego z Korei. Ustaliliśmy, z jakich okolic, jedną z nich jest Chasong. Wszystkie historie choroby zostały usunięte za pana podpisem.

- Chasong należy do spraw objętych tajemnicą państwową - odparł szybko brygadier.

- Nie z punktu widzenia medycyny, generale - przerwał Brown. My mamy wyższy priorytet. Otrzymałem zezwolenie na zbadanie duplikatów w centrum przetwarzania... -

zawiesił głos sprawiając wrażenie, że ma do powiedzenia więcej, ale nie wie jak.

Ramirez nie wytrzymał napięcia.

- Do czego pan robi aluzję?

- O to właśnie idzie, sir. Nie wiem, z jakiego powodu, ale mówię panu jak wojskowy wojskowemu, że jestem śmiertelnie przestraszony Setki zabitych w Chasongu, setki zaginionych, bez próby rozwiązania ich zagadki po wojnie. Oddziały wyłącznie murzyńskie.

Trzydziestu siedmiu ocalonych, a z wyjątkiem sześciu wariatów trzydziestu jeden w trzydziestu jeden szpitalach. Wszyscy czarni, wszyscy izolowani. To wbrew wszelkim przyjętym zasadom. Nie obchodzi mnie, że to było dwadzieścia dwa lata temu; jeśli to wyjdzie na jaw...

- Kto jeszcze wie o tych materiałach? - przerwał Ramirez. - W chwili obecnej nikt poza mną. Zatelefonowałem do pana ponieważ pańskie nazwisko...

- I tak ma pozostać! - przerwał szorstko brygadier. - To rozkaz! Jest siedemnasta trzydzieści. Proszę do mnie przyjechać do Bethesdy. Punktualnie o dziewiętnastej zero zero. -

Ramirez podał swój adres i odłożył słuchawkę.

Brown wynurzył się z budki.

- Skoro tu jesteśmy i mamy czas, pójdźmy coś zjeść.

Jedli mechanicznie, wymieniając tylko parę niezbędnych słów. - Jak wytłumaczysz zachowanie O'Briena? - Brown pochylił się nad stołem, na którym pojawiła się kawa.

- Nie potrafię. Tak samo nie potrafię pojąć takiego człowieka jak Varak. Odbierają życie innym, ryzykują własnym, i po co? Żyją w świecie którego nie jestem w stanie zrozumieć. - Chancellor przerwał, coś sobie przypomniawszy. - Może sam O'Brien to wyjaśnił. Gdy go spytałem o Varaka, powiedział, że są takie czasy, kiedy nie idzie o czyjeś życie lub śmierć - ważne jest jedynie eliminowanie problemów.

- Niewiarygodne.

- Nieludzkie.

- Ale nadal nie tłumaczy zachowania O'Briena.

- Ale może tłumaczy coś innego. Jego nazwisko było w tych teczkach. Powiedział mi, że gotów jest wystawić się na próbę, choć nie jest pewien wyników. Teraz mamy odpowiedź.

Uwagę Petera zwrócił niewielki ruch za oknem, wychodzącym na werandę restauracji.

Ponieważ przemijał dzień, zapalono światło. Nagle zamarł z ręką nieruchomo trzymającą szklankę przy ustach, z oczami wlepionymi w stojącego za oknem na werandzie człowieka.

Przez moment zastanawiał się, czy nie zwariował, czy jego umysł nie załamał się widząc, jak szybko rozpada się granica między światem rzeczywistym i nierzeczywistym. A potem zrozumiał, że widzi człowieka już wcześniej widzianego. Za innym oknem, stojącego na innym balkonie. Człowieka z rewolwerem!

Ten sam człowiek. Za oknem, na balkonie otaczającym stary wiktoriański dom nad zatoką Chesapeake: kierowca Munro St. Claire'a. Czekał na nich, sprawdzał, czy jeszcze są wewnątrz!

- Jechano za nami - powiedział do Browna.

- Co?!

- Na werandzie stoi człowiek. Zagląda do środka. Patrz tylko na mnie! Teraz odchodzi...

- Czy jesteś pewien?

- Absolutnie. To człowiek St. Claire'a. Jeśli dojechał za nami aż tutaj, oznacza to, iż jechał przez cały czas. Wie, że Alison jest w Arundel! - Peter wstał, starając się ze wszystkich sił ukryć strach. - Muszę zatelefonować.

Alison podniosła słuchawkę.

- Bogu dzięki, że tam jesteś - powiedział. - A teraz słuchaj i rób, co ci powiem.

Komandor porucznik z Trzeciego Okręgu, człowiek, który dał nam pieniądze. Skontaktuj się z nim. Poproś, aby przyjechał i został z tobą. Powiedz mu, żeby zabrał broń. Póki do ciebie nie dotrze, zatelefonuj do bezpieczeństwa hotelowego. Powiedz, że dzwoniłem i nalegałem, by cię zabrano do jadalni. Tam jest pełno ludzi, zostań w jadalni, póki tamten nie przyjedzie.

Rób, co powiedziałem, natychmiast. - Oczywiście tak zrobię - odrzekła Alison wyczuwszy jego panikę. - A teraz powiedz mi dlaczego.

- Jechano za nami. Nie wiem, od jak dawna.

- Rozumiem. Czy z tobą wszystko w porządku?

- Tak. To znaczy, że - o ile rozumiem - jechano za nami po to, by sprawdzić, dokąd się udajemy, a nie, by zrobić nam krzywdę. - Czy prowadzisz ich za sobą w określonym kierunku?

- Tak. Ale nie życzę sobie tego. Nie mam czasu na rozmowę. Zrób tylko to, co powiedziałem. Kocham cię. - Powiesił słuchawkę i wrócił do stołu.

- Ona tam jest? - spytał Brown. - Wszystko w porządku?

- Tak. Ktoś przyjedzie i zostanie z nią. Inny przyjaciel generała. - Miał ich wielu.

Ulżyło mi. Jak się domyślasz, lubię tę dziewczynę. - Domyślam się.

- Jesteś szczęściarzem. Mnie ona rzuciła.

- Dziwię się.

- Ja nie. Nie chciała stałego związku z mundurem. Widać to było w jej oczach nawet, gdy... Co teraz robimy?

Nagła zmiana tematu rozbawiłaby Petera w każdej innej sytuacji. - Masz dużo siły?

- Piekielne pytanie. Co masz na myśli?

- Potrafisz się bić?

- Wolałbym nie. Ponieważ nie wyzywasz mnie, musisz mieć na myśli naszego przyjaciela na zewnątrz.

- Może być więcej niż jeden.

- Wobec tego jeszcze mniej mi się to podoba. Jaki masz plan? - Nie chcę, by nas tropili aż do Ramireza.

- Ja też nie - rzekł Brown. - No, to przekonajmy się, czy jest „on” czy „oni”.

To był „on”. Stał oparty o czterodrzwiowy samochód na samym końcu parkingu, schowany pod zwisającymi gałęziami, z oczami wlepionymi we frontowe wejście restauracji.

Chancellor i Brown wyszli bocznym, człowiek St. Claire'a ich nie zauważył.

- Okay - szepnął Brown. - Jest tylko jeden. Wracam do środka i wyjdę frontem.

Zobaczysz, jak zakręcą wozem. Powodzenia. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- To lepsze niż bójka. Możemy ją przegrać. Tylko ani pary z ust. Wystarczy mi sekunda.

Peter krył się w cieniu koło bocznego wejścia, póki nie zobaczył, jak człowiek St.

Claire'a odskakuje od maski swego wozu i szybko chowa się za drzewem, poza zasięgiem wzroku. Kierowca dostrzegł Browna wychodzącego frontowymi drzwiami. Czemu więc nie wsiadł do swego samochodu? To było dziwne.

Minęło kilka sekund. Brown niedbałym krokiem przeszedł przez parking do swego triumpha, jasno oświetlonego lampami restauracji. Peter ruszył z miejsca. Chyłkiem przedostał się skrajem wybrukowanej połaci, ukryty za parkującymi wozami, posuwając się w stronę człowieka St. Claire'a. Dalej teren był zarośnięty dzikimi krzakami i nie koszoną trawą.

Gdy znalazł się trzydzieści jardów od kierowcy, skręcił w zarośla. Tak cicho, jak potrafił, podkradał się bliżej, licząc, że hałas silnika triumpha ukryje wszelkie ewentualne szmery.

Na parkingu Brown wycofał wóz i skierował maskę w stronę wyjazdu A potem nagle wrzucił wsteczny bieg i wściekle dodał gazu. Triumph skoczył do tyłu, ku drzewom.

Ukryty w cieniu zarośli Chancellor znalazł się w tym momencie piętnaście stóp od kierowcy St. Claire'a. Człowiek zmieszał się, na jego twarzy wyraźnie odmalowało się zdziwienie. Nie mając innego wyboru zrobił unik w stronę drzwiczek samochodu. Brown zahamował o cale od przedniego zderzaka wozu St. Claire'a i wysiadł. Kierowca tymczasem cofnął się o krok, skupiwszy całą uwagę na Brownie.

Chancellor wyskoczył z ciemności z rękami wyciągniętymi w stronę kierowcy. Ten odwrócił się instynktownie reagując na atak. Peter schwycił go za palto i pchnął na samochód.

Kierowca kopnął Chancellora w kolano, a potem mocnym prostym uderzył w szyję i wbił

łokieć w klatkę piersiową. Chancellor poczuł rozdzierający ból. A potem w pachwinę trafiło go

kolano, z błyskawiczną, absolutną precyzją tłoka silnikowego. Nagły, przenikliwy ból wprawił Petera we wściekłość. Uznał, że spotkała go rzecz oburzająca. Poczł, jak wzbiera w nim brutalna siła, chęć użycia przemocy, której zawsze nienawidził.

Zacisnął prawą pięść, lewa dłoń zgięła się w szpony sięgające po żywe ciało. Rzucił

się całym ciężarem na przeciwnika, miażdżąc go o stal samochodu, łomocząc pięścią najpierw w brzuch kierowcy, a potem niżej, w jądra. Otwarta dłoń trafiła na twarz wroga, Peter wbił mu palce w oczy, kciukiem rozdarł nozdrze. Szarpnął z całej siły w bok, waląc jego czaszką w dach samochodu. Z ust, oczodołów i nozdrzy kierowcy poląła się krew. Ale tamten wciąż się nie poddawał, jego furia była nie mniejsza niż Chancellor.

Peter raz jeszcze szarpnął jego głowę do tyłu, trzymając się jak najdalej od kolan przeciwnika. Walił czaszką kierowcy o metal; dłonie miał śliskie od krwi. Wreszcie rąbnął

jego ciałem o okno tak mocno, że szyba samochodu przysła.

- Na rany boskie! - wrzasnął Brown. - Wystarczy, jak go unieruchomisz!

Ale Chancellor już nie panował nad sobą. Długo tłumiona wściekłość znalazła ujście, brutalne i zadowolające. Mścił się za wszystko! Nagle jednym ruchem dłoni ślizgającej się w stronę gardła rozerwał kierowcy szyję. Zaraz potem chwycił go za podbródek, raz jeszcze waląc jego głową o stal wozu. Niemal równocześnie poderwał do góry swoje kolano między odzianymi w ciemny szoferski mundur nogami i potężnym uderzeniem zmiażdżył

przeciwnikowi jądra.

Kierowca wrzasnął i zaczął się osuwać bez sił.

- Gówno! - wybuchnął Brown.

- Co się stało? - wyjąkał bez tchu Chancellor.

- Ta cholerna igła. Złamała się!

Doktor trzymał w ręku strzykawkę, którą wbił kierowcy w ramię. Nagle człowiek upadł prosto na Petera. Brown cofnął się i dodał: - Sukinsyn... Ale wsadziłem mu dosyć.

Na werandzie restauracji zgromadził się tłumek. Ktoś usłyszał wrzask kierowcy i pobiegł po pomoc.

- Wynosimy się stąd! - powiedział Brown chwytając Chancellora za ramię.

Peter nie zareagował od razu, głowę miał pełną mgły i iskier. Nie był w stanie myśleć.

Brown zrozumiał. Odciągnął Chancellora od tamtego wozu, popychając w stronę drzwiczek triumpha. Otworzył je, wrzucił pisarza do środka, a potem obiegnął samochód i usiadł za kierownicą.

Wypadli z parkingu na ciemną szosę i przez dłuższy czas jechali w milczeniu. Brown sięgnął na podłogę za oparciem fotela i wyciągnął swą lekarską torbę.

- Jest tu butelka spirytusu i trochę gazy opatrunkowej - powie dział. - Obmyj się.

Wciąż oszołomiony Peter wykonał polecenie.

- Kim ty, u diabła, jesteś? Komandosem? - dopytywał się major. - Nikim.

- Pozwalam sobie być odmiennego zdania. Byłeś kimś! Nigdy bym w to nie uwierzył. Po prostu nie wyglądasz na kogoś w tym typie. - Nie jestem.

- No cóż, gdybym kiedykolwiek podniósł na ciebie głos, z góry przepraszam. I będę zmiatał jak wszyscy diabli. Nie spotkałem nikogo lepszego w ulicznej drace od ciebie.

Peter popatrzył na Browna.

- Nie mów tego - powiedział po prostu.

Znowu umilkli. Przy skrzyżowaniu major zwolnił i skręcił w lewo, na drogę prowadzącą do Bethesdy.

Chancellor dotknął ręki doktora.

- Zaczekaj chwileczkę. - Niejasne pytanie, które zaniepokoiło go, gdy Brown wyszedł z restauracji, przybrało wyraźny kształt: dlaczego kierowca nie wsiadł do swego auta?

Peter przypomniał sobie okres sprzed dwóch i pół roku, gdy gromadził materiał

źródłowy do „Przeciwuderzenia!”. Wrócił myślą do rozmów, z byłymi pracownikami wywiadu, opisującymi używaną technikę. - O co chodzi? - spytał Brown.

- Jeśli byliśmy śledzeni, jakim sposobem nie zauważyliśmy tego? - O czym ty mówisz?

- Zjedź na bok! - przerwał zaniepokojony Chancellor. - Czy masz latarkę?

- Oczywiście. W kieszeni na rękawiczki. - Brown zjechał na pobocze.

Peter wziął latarkę, wyskoczył z wozu i pobiegłszy do tyłu rzucił się, na ziemię.

Zapalił światło i wpełznął pod podwozie.

- Mam je! - wrzasnął. - Daj mi narzędzia. Kozią nóżkę!

Brown podał mu przyrząd. Chancellor leżał pod samochodem, wściekle stukając żelazem. Z okolic

tylnej osi doleciał chrzęst i odgłos podważania. Wreszcie Peter wynurzył

się z dwoma małymi, metalowymi przedmiotami w dłoni.

- Nadajniki - oświadczył. - Główny i pomocniczy. Dlatego nikogo nie zauważyliśmy.

Mogli jechać trzy do pięciu mil za nami i nadal nas śledzić. Dokądkolwiek udalibyśmy się, kogokolwiek spotkali, mogli poczekać na właściwy moment. - Zamilkł na chwilę z zawziętą miną. Ale znalazłem je i są odcięci. Jedziemy do Bethesdy.

- Zmieniłem zdanie. Uważam, że powinienem pójść tam z tobą oświadczył Brown, gdy wjechali na wysadzaną drzewami ulicę, przy której mieszkał Ramirez.

- Nie - odrzekł Peter. - Wysadź mnie na następnym skrzyżowaniu. Wrócę do niego piechotą.

- Czy przyszło ci do głowy, że może spróbować cię zabić? Oczekuje mnie. Noszę taki sam mundur jak on.

- Właśnie dlatego mnie nie zabije. Powiem mu prawdę. Wyjaśnię, że na mnie czekasz.

Jego kolega, oficer. Jeśli nie wyjdę od niego, pojedzie gdzie indziej, a sprawa Chasong wybuchnie im prosto w twarz. Zbliżali się do rogu, Brown przyhamował triumpha.

- To mogłoby być słuszne postępowanie wobec rozsądnego człowieka. Ramirez nim nie jest. Jeśli Chasong jest tym, o czym myślimy... - My to wiemy - przerwał Chancellor.

- Zgoda, powiedzmy, że to prawda. Ale on może nie chcieć ponieść konsekwencji.

Pamiętaj, że jest wojskowym. Być może zechce skończyć z tobą, a potem z sobą.

- Zabić się? - spytał z niedowierzaniem Peter.

- Częstotliwość samobójstw wśród wojskowych - stwierdził doktor zatrzymując samochód - nie należy do tematów często poruszanych, ale wiadomo, że jest zawrotnie wysoka. Niektórzy uważają, że to wynika ze specyfiki zawodu. Aha, nie zapytałem cię wcześniej: czy jesteś uzbrojony?

- Nie. Byłem, ale wyczerpały mi się naboje. Nie postarałem się o nowe.

Brown poszperał w kieszeni torby lekarskiej i wyciągnął mały rewolwer.

- Weź go. Wydają nam, ponieważ wozimy narkotyki. Powodzenia. Zaczekam.

Chancellor dotarł do wyłożonej kamiennymi płytami ścieżki. Ramirez wyglądał przez okno. Na widok Petera zdumiał się. Był to wyraz zdziwienia, ale nie szoku czy paniki.

Zasłona w oknie opadła, generał znikł. Chancellor dotarł ścieżką do schodków i zadzwonił.

Otworzyły się drzwi. Latynos twardym wzrokiem spojrzał na Petera. - Dobry wieczór, generale. Major Brown przesyła wyrazy ubolewania. Dokumentacja Chasongu tak go wzburzyła, że nie chciał z panem rozmawiać. Ale czeka na mnie w pobliżu.

- Tak myślałem - odpowiedział wymijająco Ramirez. - Doktor ma krótką pamięć albo posądza o to innych. Szeregowiec, sanitariusz z Korei, którego MacAndrew zrobił doktorem.

Ten, który miał romans z jego córką. - Spojrzał gdzieś nad głową Chancellora, podniósł rękę i machnął nią dwa razy.

Był to sygnał.

Peter usłyszał, że za nim, na ulicy, został zapuszczony silnik. Odwrócił się. Przednie światła samochodu żandarmerii zostały włączone. Ruszył z miejsca nabierając szybkości i podjechał do skrzyżowania, gdzie ledwie widoczny zatrzymał się z piskiem hamulców niedaleko latarni ulicznej. Dwóch żołnierzy wyskoczyło z wozu i podbiegło do trzeciego. Ten zaczął uciekać, ale nie dość szybko.

Chancellor patrzył, jak zabierają majora Philipa Browna, słabego przeciwnika dla dwóch żandarmów. Zaprowadzono go do wojskowego samochodu i wrzucono do środka.

- Teraz już nikt na pana nie czeka - powiedział Ramirez.

Peter odwrócił się z wściekłością, sięgając po rewolwer. I powstrzymał się. Prosto w jego pierś wycelowany był pistolet kalibru 45. - Tego nie może pan zrobić!

- Uważam, że mogę - odrzekł Ramirez. - Doktor zostanie

zamknięty w całkowitej izolacji, bez prawa do odwiedzin, rozmów telefonicznych, jakiejkolwiek łączności ze światem zewnętrznym. To standardowa procedura wobec oficerów, którzy pogwałcili tajemnicę państwową. Proszę wejść, panie Chancellor.

ROZDZIAŁ 39

Znaleźli się w gabinecie Ramireza. Brygadier miał oczy szeroko otwarte. Rozchylił

wargi i powoli opuścił pistolet. „Posłuż się fikcją literacką, wyłącznie fikcją” - pomyślał

Peter. „W fikcji zawiera się rzeczywistość; twory wyobraźni są silniejsze od jakiejkolwiek broni”. - Gdzie jest ten list?. spytał generał.

Chancellor okłamał Ramireza opowiadając mu, że napisał list ze wszystkimi informacjami o próbie zamaskowania rasowego charakteru rzezi pod Chasongiem. Został

wysłany do Nowego Jorku, z poleceniem przekazania kopii do największych gazet, do senackiej

Komisji Sił Zbrojnych oraz ministra armii - jeśli generał odmówi współpracy. -

Poza moją kontrolą - odparł Peter. - I poza pańską. Nie może go pan przechwycić. Jeśli nie zjawię się w Nowym Jorku do jutrzejszego południa, zostanie otwarty. Historię Chasongu przeczyta bardzo agresywny wydawca.

- Wymieni list za pańskie życie - odrzekł ostrożnie Ramirez. Ale była to pusta groźba, w jego głosie zabrakło przekonania. - Nie przypuszczam. Najpierw zastanowi się, czemu dać pierwszeństwo. Uważam, że zaryzykuje.

- Są też inne priorytety! O wiele wyższe niż nasze!

- Jestem przekonany, że zdołał pan to sobie wmówić.

- Ale to prawda! Błąd dowodzenia, zbieg okoliczności, który nie może się powtórzyć w ciągu tysiąca lat, nie może być określany w sposób, na jaki nie zasługuje!

- Rozumiem. - Chancellor spojrział na pistolet. Generał zawahał się, po czym odłożył

broń obok siebie na stół. Ale pistolet miał w zasięgu ręki. Peter pokwitował jego gest skinieniem głowy. - Rozumiem - powtórzył. - Takie jest oficjalne wyjaśnienie. Przypadek.

Zbieg okoliczności. I przypadkiem wszystkie oddziały pod Chasongiem składały się z czarnych. Ponad sześciuset zabitych, Bóg wie, ilu zaginionych... i sami czarni.

- Bo tak było.

- Bo tak n i e było! - sprzeciwił się Chancellor. - Nie było już wówczas segregacji rasowej w wojsku.

Ramirez zrobił pogardliwą minę.

- Kto to panu powiedział?

- Truman wydał rozkaz w 1948 roku. Wszystkie rodzaje broni zostały zintegrowane.

- Z bardzo umiarkowaną szybkością - odrzekł generał głuchym, monotonnym głosem.

- Wojsko nie jest szybsze niż inni.

- Czy chce pan powiedzieć, że wpadliście w pułapkę z powodu własnych opóźnień?

Że wasz opór w wykonywaniu rozkazu prezydenta spowodował totalne wyrznięcie czarnych oddziałów? O to chodzi? - Tak. - Generał postąpił krok do przodu. - Opór wobec niewykonalnej polityki! Ale, Chryste, potrafi przecież pan sobie wyobrazić, jak przekręcą to radykałowie w naszym

kraju! I poza nim!

- To rozumiem. - Peter dostrzegł w oczach Ramireza błysk nadziei, Oficer sięgnął po umykające mu koło ratunkowe i przez krótką chwilę sądził, że ma je w ręce. Chancellor zmienił ton na tyle tylko, by wykorzystać złudną nadzieję Ramireza. - Zostawmy na chwilę sprawy strat. A co na temat MacAndrewa? Co on ma wspólnego z Chasongiem? - Odpowiedź

na to pan zna. Gdy pan zadzwonił, powiedziałem rzeczy, których nigdy nie powinienem był powiedzieć.

„Jak na zamówienie” - pomyślał Peter. „Rozbudowane kłamstwo”. Strach przed podwójnym zdemaskowaniem. Jedno bardziej przerażające Ramireza niż drugie. Dlatego mniejsze zło - przekazywanie nieprzyjacielowi fałszywych informacji - wyakcentował, by zasłonić to większe. Czego więc bał się bardziej?”

- Żona MacAndrewa?

Generał skinął głową, pokornie przyznając się do winy.

- Zrobiliśmy wówczas to, co wydawało nam się słuszne. Celem było ocalenie życia Amerykanów.

- Użyto jej do przekazywania fałszywych informacji - powiedział Peter.

- Tak. Była doskonałym kanałem. Chińczycy operowali w Japonii na wielką skalę, pomagali im niektórzy japońscy fanatycy. Dla wielu to się sprowadzało do idei: zółci przeciw białym.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- Nigdy o tym szeroko nie opowiadano. Było to solą w oku MacArthura. Postarano się wyciszyć tę sprawę.

- Jakie rodzaje informacji dawał pan żonie MacAndrewa?

- Zwyczajne. Ruchy wojsk, drogi zaopatrzenia, koncentracje artylerii i wybór celów taktycznych. Oczywiście głównie ruchy oddziałów i taktyka.

- I to za jej pośrednictwem przekazano informacje taktyczne na temat Chasongu?

Ramirez zamilkł, kierując wzrok na podłogę. W jego reakcji było coś sztucznego, coś przygotowanego wcześniej.

- Tak - odpowiedział niechętnie.

- Ale ta informacja nie była fałszywa. Ani nieścista. Jej rezultatem była masakra.

- Nikt nie wie, co się zdarzyło - kontynuował Ramirez. - Aby to zrozumieć, musiałby pan znać zasady działania podwójnych agentów. Wiedzieć, w jaki sposób używa się ludzi skompromitowanych, typu żony MacAndrewa. Nie podaje im się oczywistych kłamstw; jawna dezinformacja zostałaby odrzucona, a agent stałby się podejrzanym. Przekazuje im się zniekształconą prawdę, subtelne odmiany możliwego. „Szósty Batalion Saperów zostanie przerzucony na odcinek bojowy „Baker” trzeciego lipca”. Tylko że to nie jest Szósty Saperów, lecz Szósty Artylerii Czołgowej i osiąga odcinek „Baker” piątego lipca, okrążając pozycje nieprzyjaciela. Co do operacji Chasong, informacja przekazana żonie MacAndrewa okazała się nie zniekształcona. Zawierała prawdziwe dane strategiczne. Gdzieś tam w szefostwie wywiadu pomyłono rozkazy. A ona przekazała informacje, których wynikiem była totalna rzeź. - Oficer spojrział Peterowi w oczy i wyprostował się. - Teraz zna pan prawdę. -

Rzeczywiście?

- Ma pan na to słowo generała.

- Wątpię, by było warte zaufania.

- Nie naciskaj mnie, Chancellor. Powiedziałem ci więcej, niż miałem prawo. Abyś zrozumiał, jaki niepokój publiczny może wywołać ujawnienie tragedii Chasongu. Fakty będą fałszywie interpretowane, wspomnienia o znakomitych ludziach zostaną obrzucone błotem.

- Chwileczkę - przerwał Peter. Wygłaszając z namaszczeniem banały, Ramirez to powiedział. Wspomnienia... Wspomnienia Alison. Rodzice jej matki byli więźniami nad zatoką Po Hai - to pierwszy chiński kanał, ale nie o niego chodziło! Chodziło o coś, co jak powiedziała Alison - wydarzyło się p ó ż n i e j niż noc, gdy jej matkę przyniesiono na noszach. Coś na temat jej ojca. Ojciec przyleciał do Tokio po raz przedostatni. Właśnie to: p r z e d o s t a t n i ! Po ostatecznym załamaniu się żony, a przed powrotem do Stanów, MacAndrew wrócił do Korei! I wówczas nastąpiła bitwa o Chasong. Całe tygodnie po umieszczeniu matki Alison w szpitalu. Nie była w stanie przekazywać żadnych informacji, prawdziwych czy fałszywych.

- O co chodzi? - spytał brygadier.

- O ciebie. O ciebie, do jasnej cholery! Daty! Tego w ogóle nie było! Co powiedziałeś parę minut temu? Taki czy inny batalion spodziewany jest trzeciego lipca, ale przybył tam dopiero piątego, i to zupełnie inny batalion. Jak to nazwałeś? Jakieś zastrane zdanko...

„Subtelna odmiana możliwego”. Tak to brzmiało? No więc, generale, właśnie się wsypałeś!

Masakra pod Chasongiem nastąpiła całe tygodnie po tym, jak żona MacAndrewa znalazła się w szpitalu! Nie mogła przekazać komukolwiek jakiegokolwiek informacji! A teraz, ty skurwysynu, powiesz mi, co się zdarzyło naprawdę. Bo jeśli nie powiesz, nie będzie żadnego czekania do jutra. List, który wysłałem do Nowego Jorku, zostanie przeczytany dziś! Ramirez wbił spojrzenie w oczy Petera, wargi mu drżały.

- Nie! - ryknął. - Nie zrobisz tego! Nie możesz! Nie pozwolę ci! - Sięgnął po pistolet.

Chancellor jednym skokiem rzucił się na niego. Uderzył Ramireza barkiem, rzucając go na ścianę. Generał chwycił pistolet za lufę i zamachnął się nim z nienawiścią. Trafił

Chancellor kolbą w skroń, tak że Peter ujrzał tysiące białych iskier.

Lewą ręką chwycił kurtkę Ramireza, zaciskając materiał na jego piersi. Wymachując prawą, próbował złapać i utrzymać ciężką broń. Miał kolbę! Rąbnął kolanem w brzuch generała, ciskając nim o ścianę. Trzymał kolbę i nie miał zamiaru jej wypuścić! Ramirez histerycznie bił go po nerkach. Ból był tak silny, że Chancellor obawiał się zemdleć. Trzymał

palec przy spuście! Naraz w zamęcie walki poczuł, że dotyka kabłąka spustowego. Ale nie mógł wystrzelić! Strzał zaalarmowałby sąsiadów. Nie mówiąc o policji! Wówczas niczego więcej już by się nie dowiedział.

Chancellor cofnął się o pół kroku i zamachnął lewą nogą do góry, równocześnie z całej siły pociągnął oficera za kurtkę w dół. Z miażdżącą siłą uderzył Ramireza kolanem w twarz, tak że głowa wojskowego odskoczyła do tyłu. Generał wypuścił głośno powietrze, a gdy z bólu wyprostował palce, z dłoni wypadł mu pistolet. Broń poleciała przez pokój, rozbijając marmurowe przybory do pisania na biurku. Peter rozluźnił chwyt na kurtce.

Ramirez padł bez przytomności, krew z nosa poszła mu strumieniem.

Upłynęła cała minuta, nim Peter otrzeźwiał. Uklęknął koło leżącego i pozostał tam tak długo, aż jego oddech się wyrównał, znikły białe iskry, a ból skroni zaczął ustępować. Wtedy podniósł pistolet.

Na biblioteczce, na srebrnej tacy stała butelka wody mineralnej. Otworzył ją, nalał

wody na dłoń i opryskał sobie twarz. Pomogło. Powracał mu zdrowy rozsądek.

Resztę z butelki wylał na twarz nieprzytomnego oficera. Zmieszała się z krwią płynącą z nosa, tworząc na podłodze kałużę obrzydliwej różowości.

Ramirez powoli odzyskiwał zmysły. Peter chwycił poduszkę z fotela i rzucił w jego stronę. Generał otarł nią twarz oraz szyję i opierając się o ścianę wstał.

- Siadaj - rozkazał Peter wskazując lufą skórzany fotel.

Ramirez padł na siedzenie. Odrzucił głowę na oparcie.

- Dziwka. Kurwa - szepnął.

- To już postęp - oświadczył cichym głosem Chancellor. - Parę wieczorów temu była to „nieszczęsna, chwiejna istota”.

- Bo taka była.

- Taka była, czy taką z niej zrobiłeś?

- Musieliśmy mieć materiał, by z nim pracować - odparł generał. - Ona się sprzedała.

- Miała matkę i ojca w Chinach.

- A ja mam dwóch braci, którzy wyemigrowali na Kubę. Czy myślisz, że Fidelistas nie próbowali się ze mną skontaktować? W tej chwili bracia gniją w więzieniu. Ale ja się nie dam skompromitować! - Jesteś silniejszy od niej. Wyszkolono cię tak, abyś się nie dawał

skompromitować.

- Była żoną amerykańskiego frontowego oficera! Jego wojsko było j ej wojskiem.

- I nie była tego warta, prawda? Zamiast jej pomóc, posłużyliście się nią. Napchaliście ją śmiertelnymi dozami dopingu i wysłali prosto do bitwy, której nie mogła wygrać. Brown najlepiej to określił: skurwysyny!

- To była optymalna strategia!

- Skończ z tym wojskowym pieprzeniem! Kto dał wam prawo?

- Nikt! Ja dostrzegłem możliwość taktyki. Stworzyłem strategię. Sterowałem nią! -

Ramirez zbladł jak ściana. Posunął się za daleko. - Ty? - przypomniał sobie słowa Alison. Po pogrzebie spytał ją, jak MacAndrew oceniał Ramireza. Jest niepoważny, popędliwy i nazbyt emocjonalny. Zupełnie niegodny zaufania. Podczas działań wojennych tata dwukrotnie odmówił poparcia jego wniosków o awans.

- Takich operacji było wiele. Inni też byli w nie zaangażowani wycofywał się Ramirez.

- Nie, nie byli! Nie w tę operację! - przerwał mu Chancellor. Była wyłącznie twoim dziełem! Chciałeś zemścić się na człowieku, który nazwał cię po imieniu: kłamcą, człowiekiem niepoważnym! Który nie pozwolił ci uzyskać stopnia, na jaki nie zasłużyłeś!

Zemściłeś się na nim poprzez jego żonę!

- Dostałem ten stopień! Nie potrafił zagrozić mi drogi do awansu! I ta k u r w a nie potrafiła!

- Oczywiście że nie. Unieszkodliwiłeś go za jej pośrednictwem. Od czego zacząłeś?

Od przespania się z nią?

- To nie było trudne. Była dziwką!

- A ty miałeś koks albo hasz! Och, mężny z ciebie facet! A gdy już otrzymałeś swój zasrany stopień, nie miałeś śmiałości go nosić, wiedząc, jak go dostałeś. Rozumiałeś, że ci się nie należy. Nie po to

udajesz majora, by móc rozmawiać z ludźmi. Gówna cię inni obchodzą!

Boisz się tego stopnia! Bo jesteś oszustem!

Ramirez poderwał się z fotela z rozpaloną twarzą. Chancellor kopnął go w żołądek, generał opadł na miejsce.

- Ty parszywy kłamco! - wrzasnął oficer.

- Trafiło cię w czuły punkt, owszem. - To nie było pytanie. Nagle Peter zastanowił się.

K u r w a? To było bez sensu. Całkowita sprzeczność była jawna. - Chwileczkę. W ten sposób skompromitować MacAndrewa nie mogłeś. Bobby cię zabił! Nigdy się nie dowiedział, że jego żona była podwójną agentką, gdyż tego nie mogłeś mu powiedzieć! Żaden z was nie mógł.

Musielście powiedzieć mu coś innego, w coś innego miał uwierzyć. Nie znał prawdy!

- Wiedział, że jego żona jest kurwą! To wiedział!

Peter przypomniał sobie wyraźnie obraz z przeszłości. Silny, ale złamany mężczyzna, kołyszący w ramionach wariatkę na podłodze samotnego domu. Obejmujący z miłością, tłumaczący, że wszystko będzie dobrze. Sprzeczność była zbyt oczywista. Nie bacząc na osobisty ból, MacAndrew wyrzuciłby łajdaczącą się żonę ze swego życia.

- Nie wierzę ci - powiedział Chancellor.

- Widział to na własne oczy! Musiał wiedzieć!

- Zobaczył c o ś na własne oczy. Coś mu powiedziano. Albo zwyczajnie zrobiono jakąś aluzję. Tacy jak ty są znakomici w dawaniu do zrozumienia, ale nigdy nie mówią otwarcie i wyraźnie. Jestem pewien, że MacAndrew nie uważał swej żony za kurwę. Jestem pewien, że ani na chwilę by się z tym nie pogodził.

- Były wszelkie objawy! Mentalność dziwki!

Objawy. Peter popatrzył z góry na Ramireza. Zbliżał się do prawdy. Czuł to. Objawy.

Według Alison jej matka zaczęła się „oddalać” na kilka miesięcy przed ostatecznym wybuchem. Ojciec Alison nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, więc przypisywał to postępującemu pogarszaniu się stanu jej umysłu, a wypadkowi na plaży ostateczne załamanie.

Tak często o tym mówił, że wreszcie sam w to uwierzył. A w głębi serca taki człowiek jak on będzie dalej kochał, dalej ją chronił, bo żona nie ponosiła żadnej winy. Bez względu na to, co zrobiła. Potężny konflikt: rodzice w rękach wroga, mąż co dzień walczący z tym samym wrogiem - to ją wpędziło w chorobę umysłową.

I do tego przez cały czas zaufani przyjaciele dający do zrozumienia, że jego żona się puszcza. Po to, aby ukryć własne działania.

Ale ci koledzy nie zrozumieli, że MacAndrew był o wiele lepszym człowiekiem, niż sobie wyobrażali. O wiele lepszym i bardziej współczującym. Bez względu na to, czym objawiała się choroba, pogardzać należało chorobą, a nie istotą ludzką przez nią dotkniętą. A ta glista z zakrwawioną twarzą, pocąca się na fotelu, ten „sterujący”, który podrzucał jej niebezpieczne narkotyki, aż wreszcie przespał się z żoną człowieka, którego nienawidził, potrafił tylko powtarzać „kurwa” i „dziwka”. Słowa, które miały ukryć prawdę.

- Co to jest „mentalność dziwki”, generale?

Spojrzenie Ramireza stało się czujne, podejrzewał pułapkę. - Włączyła się po Ginzie -

powiedział. - Po barach zakazanych dla wojska. Podrywała mężczyzn.

- Te bary znajdowały się w południowozachodniej części Ginzy, prawda? Byłem w Tokio, bary były jeszcze czynne w sześćdziesiątym siódmym.

- Tak, część z nich.

- Handlowano w nich narkotykami.

- Możliwe. Ale głównie handlowano seksem.

- Co za to dawano, generale?

- To, co się zawsze daje.

- Pieniądze?

- Naturalnie. I mocne wrażenia.

Nie! Nie naturalnie! Żona MacAndrewa n i e potrzebowała pieniędzy. Ani mocnych wrażeń. Szukała narkotyków! Ty ją uzależniłeś, a ona próbowała znaleźć je na własną rękę!

Nie prosząc o to Chińczyków. A ty to wykryłeś! Przez jej zachowanie cała wasza strategia mogłaby wziąć w łeb! Wystarczyłoby jedno aresztowanie, jedna obława w Tokio, przeprowadzona przez niezależne od was siły policyjne i byłbyś skończony! Zdemaskowany!

Ty miałeś najwięcej do ukrycia, ty, parszywa kanalio! Ale inni też byli wplątani. Co powiedziałeś parę minut temu? „Takich operacji było wiele”. Wszyscy uciekaliście, by się pochować w mysie dziury... - Peter znowu przerwał, bo zrozumiał jeszcze coś. To oznacza, że sterowałeś tym, co nastąpiło...

- Nie miałem w tym udziału! - przerwał mu wrzask Ramireza. Nie odpowiadaliśmy za to! Znalezione ją w bocznej uliczce Ginzy! Nie myśmy ją tam wrzucili! Znalezione ją.

Inaczej by umarła!

Chancellorowi szybko przebiegły przez myśl zdania i obrazy. Przypomniały mu się jak echo tamtamów słowa Alison. W niedzielne popołudnie jej matkę zabrano na plażę Funabashi. ...Zaczął dzwonić telefon. Czy moja matka jest w domu?... Podjechało pod nasz dom dwóch oficerów armii. Byli zdenerwowani i podnieceni...

Czy moja matka jest w domu? Czy moja matka jest w domu?

W nocy, o bardzo późnej porze, usłyszałam wrzaski... Pode mną. Amerykanie...

biegali po holu, rozmawiali przez radiostacje... I nagle otworzyły się drzwi wejściowe i wniesiono ją do domu. Na noszach... A jej twarz... zupełnie biała. Oczy szeroko otwarte, patrzące bez wyrazu! Z kącików ust ciekły strużki krwi aż na szyję. A gdy nosze przenoszono pod lampą, nagle zaczęła się wyrywać i krzyczeć... Jej przytrzymywane pasami ciało skręcało się w drgawkach.

„Chryste!” - pomyślał Peter. „Następne słowa Alison!”

Krzyknęłam i zbiegłam ze schodów, ale... czarny major... zatrzymał mnie, podniósł z ziemi i objął.

Czarny major!

Czarny oficer musiał wówczas znajdować się u stóp schodów, blisko światła. To j e g o ujrzała matka Alison!

Chancellorowi przypomniały się jeszcze inne słowa. Rozkaz rzucony mu przez przeżywającego męczarnie człowieka, w dwadzieścia lat później, późnym popołudniem; człowieka nadal chroniącego kochaną kobietę, która straciła zmysły wskutek wydarzenia tak okropnego, że nigdy już nie była w stanie go zapomnieć.

Podejdź do lampy, ustaw twarz w pełnym świetle. To nie było po to, by pokazać, że jest biały, a nie żółty. Zupełnie nie o to chodziło! Tylko o to, by pokazać, że nie jest czarny!

Matki Alison n i e torturowali agenci chińscy, przesyłający informacje dla swego wywiadu. Została zgwałcona! Z zakazanego dla wojska baru w najbrudniejszej części Ginzy, gdzie przyszła spotkać handlarza narkotyków, została wyciągnięta do zaułka i zgwałcona!

- O, mój Boże! - szepnął Peter z odrazą. - Właśnie to mu powiedziałeś. To powtarzałeś bez przerwy, tego użyłeś. Została zgwałcona przez czarnych. Próbowwała w barze złapać kontakt z handlarzem narkotyków i została zgwałcona.

- To była prawda!

- W takim miejscu jak tamto mógł to zrobić ktokolwiek! Ktokolwiek! Ale to nie był

ktokolwiek, więc posłużyliście się tym. Zwaliliście winę na czarnych! Chryste! - Chancellor nie miał siły, by się dłużej powstrzymać. Tak nienawistny stał mu się ten człowiek, że pragnął go zabić,

okaleczyć. - Reszty możesz nie wyjaśniać. Jest cholernie jasna! Tej właśnie informacji brak w stanie służby MacAndrewa. A jest w teczkach Hoovera! Gdy jego żona znalazła się w szpitalu, postarałeś się, aby na pewno wysłano go z powrotem do Korei. Ale nie do jego oddziału! Do innego! Jako dowódcę czarnej jednostki! I w jakiś sposób przekazaliście plan bitwy - prawdziwy plan bitwy - Chińczykom! Takie to było oczywiste!

Żona oficera została zgwałcona i doprowadzona do utraty zmysłów przez czarnych, więc on rzuca czarny oddział pod morderczy ogień artyleryjski, chcąc umrzeć z nimi, jeśli będzie trzeba, ale nade wszystko pragnąc zemsty! Pułapka zastawiona przez ludzi z jego własnej armii! Setki zabitych, setki zaginionych tylko po to, aby prawda o tym, co zrobiliście jego żonie i zapewne tuzinom innych, nie wyszła na jaw! Wasze eksperymenty miały pozostać nieznanne! Oto co mieliście jako broń przeciw niemu: gwałt i ludobójstwo! O pierwszym nie chciał mówić, drugiego nie rozumiał. Ale dostrzegł między nimi związek! I to go musiało sparaliżować! - Kłamstwa! - Głowa Ramireza szarpała się konwulsyjnie naprzód i w tył. - To nie było tak. Wymyśliłeś okropne kłamstwo!

Peter stanął nad nim ogarnięty głębokim wstrętem.

- Wyglądasz jak człowiek, który usłyszał kłamstwo - powiedział z sarkazmem. - Nie, generale, właśnie usłyszałeś prawdę. Uciekałeś przed nią dwadzieścia dwa lata.

Ramirez kiwnął głową jeszcze szybciej, jeszcze gwałtowniej. - Nie ma dowodów!

- Ale są pytania. I naprowadzą na dalsze pytania. Tak to bywa. Ludzie wysoko postawieni zdradzają tych, którzy ich tam postavili. Skurwysyny! - Chancellor lewą ręką złapał Ramireza za koszulę i przyciągnął do siebie, trzymając lufę o parę cali od jego oczu. -

Nie chcę z tobą więcej gadać. Brzydzę się tobą! Przypuszczam, że potrafię pociągnąć za spust i zabić cię, i to właśnie mnie przeraża. A więc zrobisz dokładnie, co ci powiem, albo nie pożyjesz na tyle długo, by móc zrobić cokolwiek innego. Podejdiesz do telefonu na biurku i zadzwonisz tam, gdzie przedtem dzwoniłeś, by zatrzymano majora. Powiesz im, żeby go zwolnili. Natychmiast!

- Nie!

Peter jednym szybkim ruchem trzasnął Ramireza w twarz lufą colta. Skóra pękła, krew pociekła po policzku oficera. Chancellor nie poczuł nic. W tym braku jakichkolwiek uczuć było coś przerażającego. - Telefonuj.

Ramirez powoli wstał z miejsca, nie odrywając wzroku od pistoletu, dotykając palcami zakrwawionej twarzy. Podniósł słuchawkę i nakręcił numer.

- Tu generał Ramirez. Wezwałem oddział specjalny do mego miejsca zamieszkania na godzinę osiemnastą zero zero, celem dokonania aresztowania. Zatrzymanym jest major Brown. Zwolnijcie go.

Ramirez słuchał odpowiedzi. Peter przycisnął mu lufę pistoletu do skroni.

- Zróbcie, co powiedziałem - rzekł Ramirez. - Odwieźcie majora do jego samochodu. -

Wyłączył telefon, ale słuchawkę nadal trzymał w ręku. - Będzie tu wkrótce. Placówka żandarmerii jest o dziesięć minut drogi.

- Właśnie ci powiedziałem, że nie chcę z tobą gadać. Ale zmieniłem zdanie.

Poczekamy na Browna, a ty mi opowiesz wszystko, co wiesz o teczkach Hoovera.

- Nie wiem nic.

- Do diabła z tobą. Wy wszyscy wleźliście w to jak w ruchome piaski. Dusicie się w nich. Z przebiegu służby MacAndrewa usunęliście zapisy z ośmiu miesięcy.

- Tyle tylko zrobiliśmy.

- Osiem miesięcy! A daty zgadzają się z wypadkami, które doprowadziły do Chasongu. Wszystkie obciążające materiały. Oraz masakra, w której MacAndrew samobójczo posyłał falę za falą czarnych oddziałów pod ogień. Wszystko, z wyjątkiem prawdy! Wiesz, gdzie te materiały w końcu się znalazły.

- Nie wiedziałem od razu. - Głos generała był ledwie słyszalny. - „Początkowo było to postępowanie standardowe. Wszelkie materiały „kompromitujące kandydatów do Połączonego Szefostwa Sztabów są usuwane i składane w archiwach wywiadu wojskowego.

Ktoś pomyślał, że to niebezpieczne i skierował je do ASP.

- Co to takiego?

- Analiza Systemów Psychiatrycznych. Do niedawna niektórzy ludzie z Biura mieli tam dostęp. ASP zajmuje się uciekinierami, ewentualnymi możliwościami szantażu wyższych oficerów, szpiegostwem. Masą rzeczy.

- A więc wiedziałeś, że znalazły się w teczkach Hoovera!

- Dowiedzieliśmy się.

- Jak?

- Przez człowieka nazwiskiem Longworth. Był emerytowanym agentem FBI, mieszkającym na Hawajach. Przyjechał stamtąd na dzień czy dwa, nie pamiętam dokładnie, i ostrzegł Hoovera, że zostanie zamordowany. Z powodu teczek. Hoover dostał hysia. Zaczął

grzebać w teczkach, szukając czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić na tożsamość morderców. Trafił na Chasong i zatelefonował do nas. Przysięgliśmy mu, że nie mamy z tym nic wspólnego; zaofiarowaliśmy gwarancję, ochronę, wszystko. Hoover chciał tylko, abyśmy wiedzieli to, co on. A wtedy, oczywiście, został zamordowany.

Peter z wrażenia wypuścił rewolwer. Uderzenie metalu o drewno było głośne i zgrzytliwe, ale go nie usłyszał. Słyszał tylko echo ostatnich słów Ramireza.

„Wtedy, oczywiście,

został

zamordowany...

Wtedy, oczywiście,

został

zamordowany... Wtedy, oczywiście, został zamordowany”.

Słów wypowiedzianych tak, jakby niewiarygodna informacja nie była elektryzująca czy szokująca ani przeraźliwa, ani nawet niezwykła. Zamiast tego zabrzmiała jak coś rutynowego, powszechnie znanego; jak informacja nadesłana, przyjęta i jako taka odnotowana w dokumentacji. Ale przecież to nie było realne. Inne rzeczy były realne, ale nie to. Nie morderstwo. To była fantazja, fikcja literacka, która popchnęła go w objęcia koszmaru. Właśnie ta jedna rzecz nigdy nie wydarzyła się naprawdę!

- Co powiedziałaś?

- Nic poza tym, co już wiesz - odparł Ramirez, zerkając na leżący tuż obok jego nóg pistolet.

- Hoover umarł na atak serca. Lekarz rozpoznał to jako schorzenie sercowonaczyniowe. Przez to umarł! To był starzec! - wyjąkał bez tchu Chancellor.

Brygadier spojrzał mu w oczy.

- Żarty sobie stroisz? Nie było żadnej autopsji. Wiesz, z jakiego powodu i ja też wiem.

- No, to powiedz. Zakładając, że nie wiem nic. Dlaczego nie było autopsji?

- Rozkazy z Tysiąca Sześciuset.

- Skąd?

- Z Białego Domu.

- Dlaczego?

- Oni go zabili. A jeśli tego nie zrobili, uważają, że zabili. Że ktoś stamtąd to zrobił.

Albo polecił zrobić. Oni tam wydają rozkazy w sposób aluzyjny, bardzo dwuznaczny. Albo należysz do sitwy, albo nie, więc się uczysz, jak słyszeć, co powiedziano. Musiał zostać zabity. Co za różnica, kto to zrobił?

- I to z powodu teczek?

- Po części. Ale to są przecież dokumenty, można je spalić, zniszczyć. Chodziło o grupy wykonawcze. Posunęły się za daleko.

- Grupy wykonawcze? O czym ty mówisz?

- Na litość boską, Chancellor! Nie przyszedłbyś, gdybyś nie wiedział, o czym mówię!

Nie zrobiłbyś tego, co zrobiłeś!

Peter chwycił Ramireza za koszulę.

- Co to są grupy wykonawcze? Jakie grupy wykonawcze miał

Hoover?

Generał patrzył tępo przed siebie. Zdawało się, że już nic go nie obchodzi.

- Oddziały morderców - powiedział. - Mające za zadanie prowokować sytuacje, w których ginęliby wskazani ludzie. Albo przez wywoływanie gwałtownych zamieszek, w które wkraczała miejscowa policja czy gwardia narodowa, albo wynajmując psychopatów, znanych morderców, by wykonali robotę, i załatwianie ich, gdy ją wykonali. Wszystko to było rozkładane na różnych ludzi, dzielone potajemnie między komórki Biura. Nikt nie wie, jak daleko się posunęli. Które morderstwa można przypisać Hooverowi. Ani kto zostanie uznany za kolejnego wroga.

Powoli, z szeroko otwartymi w niedowierzaniu oczami, z bólem w skroniach, Chancellor puścił Ramireza. Znow ujrzał roje oślepiających białych iskier.

Grupy wykonawcze! Plutony egzekucyjne!

Przypomniał sobie własne słowa. Stała mu przed oczami stronica, którą z ogromnym bólem odczytał.

- Czy wiesz coś na temat tych... plutonów egzekucyjnych?

- Były takie plotki.

- Co o nich słyszałeś?

- Nic określonego. Żadnych dowodów... Hoover dzieli wszystkie zadania między różne komórki. Różnych ludzi. I wszystko robi w tajemnicy... Dlatego ludzie są posłuszni.

- Gestapo!

- Ale co usłyszałeś?

- Tyle tylko, że istnieją rozwiązania ostateczne...

- Ostateczne... O, Boże!

- Jeśli jeszcze potrzebujemy ostatniego, decydującego uzasadnienia, uważam, że je mamy. Za dwa tygodnie od poniedziałku licząc Hoover zostanie zabity, teczki zabrane.

I to wszystko zdarzyło się naprawdę. Od początku było prawdą. Wielki Boże, to nigdy nie była literatura! To był fakt!

J. Edgar Hoover nie zmarł naturalną śmiercią starego, chorego człowieka. Został zamordowany.

Nagle z całą jasnością Peter zrozumiał, kto zarządził to morderstwo. Nie był to Biały Dom. Była to grupa nieskazitelných ludzi, którzy podejmowali decyzje takiej wagi, że często stawali się niewidzialną, niewybieralną władzą, kierującą narodem.

- Tego nie możecie zrobić! Macie już wszystko, co potrzeba. Postawcie go przed sądem! Niech będzie wydany na niego wyrok. Sądu! Całego kraju!

- Nic nie rozumiesz... Nie ma w tym kraju ani trybunału, ani sędziego, ani członka Kongresu czy Senatu, ani prezydenta czy ministra, którzy ośmieliliby się wytoczyć mu proces. To przekracza ich siły.

- Nieprawda! Jest przecież prawo!

- I są teczki... Do ludzi dotrą... inni ludzie, chcący się ocalić. - A wy nie jesteście ani trochę lepsi od niego.

To wszystko prawda.

Inver Brass zażądał śmierci J. Edgara Hoovera i rozkaz został wykonany. Wszystko rozegrało się tak szybko, że Chancellor zdążył zaledwie zareagować niepewnym skrzętem ciała. Poczłł jego ręce na piersi, a potem bark Ramireza wbity w żebra. Upadł, skręcając się na bok, by uniknąć następnego uderzenia. Ale było za późno.

Generał padł na jedno kolano, wyciągnął rękę i chwycił leżący na podłodze pistolet.

Mocno objął go dłonią fachowo zaciśniętą na kolbie, automatycznym ruchem kciuka sprawdzając, czy bezpiecznik jest odsunięty. Podniósł broń.

Peter zrozumiał, że jeśli w tej chwili ma umrzeć, musi przynajmniej starać się uniknąć śmierci. Poderwał się i skoczył na generała. I znowu za późno. W pokoju rozległ się grzmot wystrzału. Krew i ciało chlapnęły na najbliższą ścianę. Z lufy uniósł się kwaśny dym. Oficer na podłodze był martwy.

Generałbrygadier Ramirez, człowiek, który sterował Chasongiem, odstrzelił sobie większą część czaszki.

ROZDZIAŁ 40

Grzmot wystrzału był tak potężny, że musiano go usłyszeć o parę ulic dalej. Być może ktoś już zadzwonił po policję. Nikt nie powinien zobaczyć, jak opuszcza dom. Musiał się wydostać szybko, tylnymi drzwiami. W ciemność, w noc.

Ogarnięty ślepą paniką pobiegł wąskim korytarzem do kuchni. Po terakotowej podłodze niepewnie przedostał się do drzwi, uchylił je ostrożnie i wyrzwał na dwór przyciśnięty plecami do ściany. Potem, nie zmieniając pozycji, wyszedł.

Obok działki Ramireza, oddzielony wysokim żywopłotem, stał dom, widać było podjazd do garażu. Peter skoczył na trawnik i pobiegł do żywopłotu, przeciskając się między gęstymi gałęziami, póki nie znalazł się po drugiej stronie. Podjazdem popędził na ulicę i nie zwalniając biegu rzucił się przed siebie. Triumph Browna znajdował się za następnym skrzyżowaniem, dalej na tej samej ulicy. Na rogu znowu skręcił, bo w oddali słyhać było coraz bliższą, chrypliwie wyjąca syrenę. Zwolnił próbując niedbałego kroku spacerowego; po meldunku o wystrzale policja nie przeoczyłaby biegnącego człowieka.

Dotarł do triumpha i wsiadł. Przez tylne okienko zobaczył, że na trawniku Ramireza zebrał się podniecony tłumek. Do coraz bliższego ryku syreny dołączyły się błyski światła radiowozu.

Z przeciwnej strony dobiegał odgłos innego silnika. Odwrócił się. Był to samochód wojskowy. Zahamował obok triumpha. Wsiadł Brown, jeden z żandarmów podał mu kluczyki.

Zasalutowali majorowi, który nie odsalutował. Wojskowy wóz odjechał.

- Dobrze - powiedział Brown otwierając drzwi. - Wróciłeś. - Musimy się stąd wynosić! Natychmiast!

- Co się stało? Co ten tłum...

- Ramirez nie żyje.

Brown nie odpowiedział. Usiadł za kierownicą i zapalił motor. Ruszyli wzdłuż ulicy, gdy nagle zobaczyli zbliżającą się limuzynę z oślepiająco jasnymi przednimi światłami.

Wyglądała jak gigantyczny rekin ludojad, prujący ciemną wodę. Peter nie mógł się powstrzymać od spojrzenia w okna przejeżdżającego obok samochodu.

Kierowca interesował się tylko szybkim dotarciem do celu. Przez tylne okno Chancellor dostrzegł jego cel: dom Ramireza.

Kierowcą był Murzyn. Peter zamknął oczy, próbując się zastanowić. - Co się stało? -

spytał Brown skręcając na zachód w stronę szosy. - Ty go zabiłeś?

- Nie. Mogłem, ale tego nie zrobiłem. Miałeś rację: zastrzelił się. Nie wytrzymał

ujawnienia sprawy Chasongu. To on odpowiadał za masakrę. Została zmontowana po to, by utrzymać w tajemnicy, co zrobili z żoną MacAndrewa.

Brown milczał. Gdy po chwili przemówił, w jego głosie była mieszanina nienawiści i niedowierzania.

- Skurwysyny!

- Gdyby historia żony MacAndrewa została ujawniona - kontynuował Peter -

doprowadziłaby do zdemaskowania tuzinów podobnych operacji. Takich samych eksperymentów. Wiedzieli, co robią. - Ramirez się przyznał?

Peter popatrzył na Browna.

- Powiedzmy, że to wyszło na jaw. Natomiast od reszty włos się jeży. Nie jestem nawet pewien, czy potrafię powtórzyć jego słowa. To kompletne szaleństwo.

- Teczki Hoovera?

- Nie. Hoover. Został zabity. Zamordowany! Tak było naprawdę! Tego nie zmyślono!

- Spokojnie. O ile pamiętam, Varak ci powiedział, że to kłamstwo. - To on kłamał! W

ten sposób chroniąc... - Peter przerwał nagle. Varak. Specjalista. Człowiek dysponujący setkami różnych broni, tuzinami twarzy... tysiącem nazwisk. Wielki Boże! Miał to przed nosem przez cały czas i nie dostrzegł! Longworth. W nocy pierwszego maja Varak przyjął

nazwisko agenta Longwortha. To nie był nikt inny. Varak udający Longwortha był jednym z trzech nie zidentyfikowanych ludzi, którzy dostali się do Biura w nocy przed śmiercią Hoovera. Co oznaczało, iż wiedzieli, że ta śmierć jest nieuchronna! Przekonali się, że brakuje połowy teczek; ta część opowiadania była prawdziwa. A Varak oddał życie za ich odnalezienie, a przy tym ochronił Bravo, osłonił za cenę życia tego niezwykłego dyplomate, znanego światu jako Munro St. Claire.

To Varak był mordercą Hoovera! Co powiedział Frederick Wells? Varak był

mordercą, nie Inver Brass... Mogę postawić krępujące pytania... od dziesiątego kwietnia aż do nocy pierwszego maja, i zaiste to zrobię... To Varak ma teczki!

Co oznaczało, że teczki ma Munro St. Claire. To Varakowi nakłamano, manipulowano nim!

Zrobił to jego mentor Bravo.

A teraz kult Chasongu przeciwstawiono Ramirezowi. Kult, któremu siły i wpływ zapewnił Munro St. Claire, posługujący się Varakiem tak jak wszystkimi innymi. Z niejakim Peterem Chancellorem włącznie. Koniec był już bliski. Uruchomione siły zbliżały się do siebie, do zderzenia, które przepowiedział Carlos Montelan. Tej nocy, tak Czy inaczej, wszystko się skończy.

- Opowiem ci wszystko, co wiem - oświadczył Peter. - Jedź do Arundel, nie ma sposobu, by nas mogli śledzić. Opowiem po drodze. Chcę, byś został z Alison. Gdy dojedziemy, wezmę twój wóz. I chcę, abyś trochę poczekał, a następnie zadzwonił do Munro St. Claire'a w Waszyngtonie. Powiedz mu, że czekam na niego w domu Genezis nad zatoką.

Ma przybyć sam. Będę go obserwować. Jeśli nie przyjedzie sam, nie znajdzie mnie.

ROZDZIAŁ 41

Od strony morza dochodziły odgłosy pluskania fal o skały. Peter leżał w mokrej trawie. Powietrze było zimne, ziemia była zimna, a od zatoki wiał porywisty wiatr, gwiżdżąc w koronach wysokich drzew otaczających trawnik. Człowiek, który go zdradził, człowiek, którego uważał za przyjaciela, nawet zdradzając nauczył go wiele. Dlatego właśnie Chancellor leżał w tym miejscu, ze wzrokiem skierowanym na odległe o pięćdziesiąt jardów kamienne słupy bramy wejściowej i na ciągnącą się za nimi drogę.

Gdy wychodziło się na kontakt, zajęcie właściwej pozycji było decydujące. Obronę własną zapewnić mogła możliwość obserwacji wszystkich zbliżających się pojazdów i zapewnienie sobie niewidocznej, szybkiej drogi ucieczki.

Przyjaciele byli wrogami, a wrogowie uczyli strategii, dzięki której można było z nimi walczyć. Ta część szaleństwa była aż nazbyt rzeczywista.

Daleko, o jakieś pół mili, pojawiły się przednie światła samochodu. Peter nie był

pewien, ale zdawało mu się, że się chwieją. To stawały w miejscu, jak gdyby wóz się zatrzymał, to znowu niepewnie ruszały do przodu. W innych okolicznościach Chancellor przypuściłby, że widzi pijanego kierowcę, próbującego dotrzeć do domu. Czy było możliwe, by tak potężny manipulator ludzi i rządów pił? Ramirez rozwalił sobie głowę, bo nie mógł

wytrzymać prawdy o Chasongu. Czy St. Claire nie był w stanie na trzeźwo wysłuchać rewelacji na temat Inver Brass? Auto niepewnie przedostało się przez bramę. Peterowi na chwilę odebrało oddech. Wlepił oczy w przerażający widok. Był to srebrny continental Mark IV! Użycie go potwierdzało, że kierujący nim człowiek jest takim samym potworem jak samochód.

Ujrzał, że srebrna ohyda okrążając kolisty podjazd zbliża się do szerokich stopni frontowego wejścia. Potem znów skierował wzrok na drogę za bramą. Nie było tam żadnych reflektorów, a w szarej ciemności nie rysował się żaden czarny kształt pojazdu ze zgaszonymi światłami.

Przez blisko pięć minut pozostał w trawie, co chwila spoglądając na St. Claire'a.

Dyplomata wysiadł, wspiął się na schody i poszedł na koniec werandy. Tu stanął przy barierze i patrzył na morze.

Dwanaście godzin temu inny człowiek, człowiek współczujący, stał w porcie rybackim patrząc na inną część morza. O świcie. Ten człowiek nie żył, wpędzony w pułapkę przez wroga, zabity przez fanatyków wykonujących rozkazy potwora.

Chancellor stwierdził z zadowoleniem, że Munro St. Claire przybył sam.

Peter wstał i przez trawniki poszedł aż do wiktoriańskiej werandy. St. Claire nie ruszał

się z miejsca, Peter zbliżył się do niego od tyłu. Sięgnął do obu kieszeni - z prawej wyjął

pistolet Browna, z lewej latarkę. Gdy był już osiem stóp przed nim, obie dłonie wyciągnął w kierunku St. Claire'a i zapalił światło.

- Prawą rękę proszę podnieść nad głowę - polecił. - Lewą sięgnąć do kieszeni i rzucić mi kluczyki od pańskiego wozu.

Upłynęło kilka sekund. Ambasador wyglądał na wstrząśniętego. Nagłe pojawienie się Chancellora, oślepiające światło, zwięzła instrukcja ostro rzucona z ciemności, na chwilę go sparaliżowały. Peter poczuł wdzięczność za trening, jakiego udzielił mu jego nieprzyjaciel. -

Nie mam kluczyków, młody człowieku. Są w samochodzie.

- Nie wierzę! - odparł ze złością Peter. - Proszę mi je oddać! - Proponuję, abyśmy wrócili do samochodu i może pan zobaczyć na własne oczy. Jeśli pan sobie życzy, mogę trzymać ręce w powietrzu. - Życzę sobie.

Kluczyki były w stacyjce continentala. Chancellor przycisnął starca do maski wozu, obmacując jego kieszenie i klatkę piersiową. Dyplomata był nie uzbrojony. Było to zaskakujące, podobnie zaskakujące jak pozostawienie kluczyków w samochodzie. Autem można uciec, a przywódca Inver Brass musiał o tym wiedzieć.

Zgasiwszy latarkę, Peter popchnął lufą plecy St. Claire'a. Weszli po schodkach i znaleźli się na werandzie. Odwrócił starca plecami do barierki i stanął przed nim.

- Jeśli się spóźniłem - powiedział ambasador - proszę mi wybaczyć. Nie prowadzę samochodu od dwunastu lat. Próbowałem to wytłumaczyć pańskiemu anonimowemu przyjacielowi przez telefon, ale nie chciał słuchać.

To, co powiedział St. Claire, miało sens. Wyjaśniało, dlaczego chwiały się reflektory na szosie. Dowodziło także, że St. Claire się boi. Gdyby istniała jakakolwiek inna przyczyna, nie ryzykowałby

nocnej jazdy szosami i bocznymi drogami.

- Ale mimo wszystko pan przyjechał.

- Wiedział pan, że nie mogę odmówić. Znalazł pan mojego człowieka, wykrył pan nadajniki. Jak przypuszczam, można ustalić, że były moje. - Można?

- Nie jestem specjalistą od takich spraw. Był nim Varak, ja nie. Nawet nie wiem, skąd pochodziły.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości. Człowiek kierujący Inver Brass jest znacznie zaradniejszy.

St. Claire wyprostował się w ciemności. Zdawało się, że ta nazwa sprawia mu ból.

- A więc powiedziano panu.

- Czy to pana dziwi? Powiedziałem, że znam nazwiska Wenecji, Krzysztofa, Parysa i Sztandara, a także Bravo. Dlaczego nie Inver Brass? - Czego dowiedział się pan potem?

- Dość, by się przestraszyć śmiertelnie. Czterdzieści lat, niezliczone miliony. Nieznani ludzie rządzący krajem.

- Przesadza pan. Pomagaliśmy krajowi w okresach kryzysowych. To jest znacznie ściślejsze określenie.

- Kto decydował o kryzysach? Wy?

- Kryzysy mają to do siebie, że stają się widoczne.

- Nie zawsze. Nie dla wszystkich.

- Mieliśmy dostęp do informacji nie przeznaczonych dla „wszystkich”.

- I wtedy podejmowaliście działania, zamiast ujawnić te informacje publicznie.

- Ponieważ były to w istocie akty miłosierdzia. W ostatecznym rozrachunku dla dobra tych „wszystkich”, o których pan mówi. Nigdy nie działaliśmy dla własnej korzyści. - St.

Claire podniósł głos, broniąc Inver Brass z całkowitym przekonaniem.

- Istnieją sposoby, by aktów miłosierdzia dokonywać jawnie. Dlaczego nie stosowaliście tego?

- Bo taki rodzaj miłosierdzia jest środkiem tymczasowym. Nie działa na najgłębsze przyczyny.

- A najgłębszych przyczyn nie można przedstawić do oceny tym, którzy zostali wybrani po to, by je oceniać. To o to chodzi? - Niesłuchanie upraszcza pan nasz punkt widzenia, panie Chancellor, i wie pan o tym.

- Wiem, że raczej zaryzykowałbym wybór niedoskonałego, ale jawnego systemu rządów niż niewidocznego.

- Sofistyka. Łatwo panu bronić praw obywatelskich, ale w tej samej chwili, gdy pan się o nie spiera, mnożą się nieubłagane tysiące ognisk niezadowolenia. A gdy się zetkną, nastąpi wybuch zamieszek przekraczających pana wyobraźnię. Gdy zaś nastąpi, wolność wyboru zostanie wyeliminowana na rzecz zadowolającego wyżywienia. I to wszystko. Przez całe lata próbowaliśmy powstrzymać ten zalew. Czy chce pan nam to uniemożliwić?

Peter przyznał, że rozumowanie St. Claire'a jest logiczne. Wiedział równocześnie, że ten błyskotliwy, podstępny człowiek, noszący maskę dobroci, zmusza go do defensywy, próbuje odwieść od głównego tematu ich spotkania. Musiał sobie przypominać, że St. Claire jest potworem, że ma krew na rękach.

- Istnieją inne sposoby - oświadczył. - Inne rozwiązania. - To możliwe, ale nie jestem pewien, czy znajdziemy je do końca życia. Na pewno nie mojego. Być może w samym poszukiwaniu rozwiązania leży możliwość zapobiegania aktom przemocy. Zapobiegania, na które mamy nadzieję.

Peter nagle zaatakował.

- Ale znaleźliście przecież jedno rozwiązanie oparte na akcie przemocy, prawda?

Przynęta ostatecznie okazała się prawdą. - Co?

- Zabiliście Hoovera! Inver Brass kazał go zamordować!

Na te słowa St. Claire zeszywniał, z gardła wydobył krótki, zduszony okrzyk. Jego pewność siebie rozwiała się. Przeobraził się nagle w starca oskarżonego o potworną zbrodnię.

- Skąd pan... Kto...? - nie był w stanie wyjąkać pytania. - Na razie to nieistotne.

Istotne, że rozkaz został wydany i wykonany. Wykonaliście wyrok bez procesu, bez osądzenia go na otwartej rozprawie. A taka procedura podobno różni nas od znacznej części tego świata, panie ambasadorze. Chroni przed zadawaniem gwałtu, którego pan tak nienawidzi.

- Istniały przyczyny!

- Bo uważaliście, że jest zabójcą? Bo słyszeliście, że ma swoje oddziały morderców, swoje „grupy wykonawcze”?

- W znacznej mierze, tak!

- Marne tłumaczenie. Jeśli wiedzieliście o tym, powinniście byli to ujawnić! Wy wszyscy!

- W ten sposób nie można było tego załatwić! Powiedziałem panu, że istniały przyczyny.

- Chce pan powiedzieć: inne przyczyny?
- Tak!
- Teczki?
- Na litość boską, tak! Teczki!
- Tego nie możecie zrobić! Macie już wszystko, co potrzeba. Postawcie go przed sądem! Niech będzie wydany na niego wyrok. Sądu! Całego kraju!
- Są tecki... Do ludzi dotrą... inni ludzie pragnący się ocalić. - A wy nie jesteście ani trochę lepsi od niego.
- Jesteście lepsi od niego - powiedział spokojnie Chancellor. - Z całego serca i z całej duszy wierzyliśmy, że jesteśmy. - Pierwsze fale szoku St. Claire'a mijały, powracała część utraconego panowania nad sobą. - Nie mogę w to uwierzyć. Że tak błędnie oceniałem Varaka.
- Proszę nie próbować tego chwytu - zimno odpowiedział Peter. Pogardzam nim do głębi, ale Varak oddał za pana życie. A prawda jest taka, że pan go wprowadził w błąd.
- Nie! Nigdy!
- Przez cały czas! Varak był „Longworthem”, a ten „Longworth” przedostał się do Biura w nocy, gdy Hoover został zabity. Varak znalazł tecki! Oddał je p a n u!
- Od „A” do „L”, tak! Nigdy temu nie zaprzeczaliśmy. Zostały zniszczone. Ale nie od „M” do „Z”! Tych brakowało. I nadal ich brakuje!
- Nie! Varak uważał, że ich brakuje, bo pan chciał, aby tak myślał! - Pan oszalał - szepnął St. Claire.
- Tej nocy z Varakiem było dwóch innych ludzi! Jeden z nich, a może obaj razem, opróżnili i podmienili okładki albo połączyli zawartość lub po prostu skłamacili. Nie wiem, w jaki sposób, ale zrobiono to w tamtym miejscu. Pan wiedział, że w sprawie teczek Varak pozostanie nieugięty, więc działał pan za jego plecami.

St. Claire potrząsnął głową z bolesnym wyrazem twarzy.

- Nie. Myli się pan. Teoria jest pozornie prawdopodobna, nawet pomysłowa, przyznaję. Ale jest po prostu nieprawdziwa!
- Ci dwaj ludzie znikli! Ich nazwiska były pseudonimami, tożsamości niemożliwe do wykrycia!

- W innym celu! Hoover musiał zostać wyeliminowany. Ale kraj nie byłby w stanie wytrzymać nawet aluzji, że nastąpiło kolejne morderstwo. To by wywołało chaos, dałoby broń do ręki fanatykom, którzy chcą kierować tym rządem z pogwałceniem wszelkich zasad konstytucyjnych! Nie mogliśmy pozwolić, by pozostały jakiekolwiek ślady. Niech mi pan wierzy!

- Kłamał pan, kłamał i kłamał! Nie istnieje sposób, by zmusić mnie do uwierzenia panu.

St. Claire zastanowił się.

- A może jest. Tłumacząc dlaczego, a potem idąc krok dalej: oddając moje życie i wszystko, o co walczyłem przez ponad pięćdziesiąt lat, w pana ręce.

- Najpierw cel - oświadczył ostrym tonem Peter. - Dlaczego Hoover został zamordowany?

- Był absolutnym władcą prywatnego rządu. Nigdy jasno nie określił podległości służbowych. Jego władza była bezkształtna, bez określonej struktury i dbał, by taka pozostała.

Uporczywie łamał prawo w najbezwzględniejszy sposób. Nikt naprawdę nie wie, jak daleko się posunął, ale było dość dowodów co do zabójstw, o których pan wspomniał, wiedzieliśmy też o szantażu. Ten sięgnął aż do osobistego gabinetu pracy” prezydenta. Wszystko to już samo w sobie usprawiedliwiałoby podjętą decyzję, ale nastąpiły dalsze okoliczności, które uczyniły ją nieodwołalną. Dotychczasowy, pozbawiony struktury system podległości służbowej Biura zaczął się organizować zarówno wewnątrz, jak na zewnątrz. Ludzie pozbawieni jakichkolwiek zasad, ludzie występni krążyli wokół Hoovera prawiąc mu pochlebstwa, przymilając się, udając głęboką cześć. Mieli tylko jeden cel: jego prywatne teczki. Mając je, mogliby rządzić krajem. Musiał zostać wyeliminowany, nim zostały zawarte jakiekolwiek porozumienia.

St. Claire przerwał. Był coraz bardziej zmęczony, a na jego twarzy malował się wyraz zwątpienia.

- Nie zgadzam się z panem - powiedział Peter - ale obraz stał się jaśniejszy. W jaki sposób zamierza pan przekazać w moje ręce pięćdziesiąt lat służby?

St. Claire zaczerpnął głęboko powietrza.

- Wierzę, że człowiek ma instynkt pozwalający mu w pewnych momentach dostrzec prawdę bez względu na okoliczności. Tylko dwóch ludzi na tej ziemi znało każdy krok dokonany podczas zamordowania Hoovera. Człowiek, który był twórcą planu, i ja. Człowiek ten nie żyje zmarł na pana oczach. Pozostałem ja. Ten plan będzie dla pana koronnym dowodem, ponieważ żadna stworzona przez człowieka strategia nie jest doskonała; jeśli inni wiedzą, gdzie szukać, zawsze coś okazuje się nie spełnione do końca. Opowiadając o tym, nie tylko oddaję moje życie w pana ręce, ale co ważniejsze, oddaję do pana dyspozycji pracę całego życia. Co pan z nią uczyni, jest ważniejsze dla mnie, niż czas, który jeszcze pozostał.

Czy przyzna pan, że właśnie nastąpił taki moment? Czy pozwoli pan, że spróbuję pana przekonać?

- Proszę mówić.

W miarę tego jak St. Claire mówił, Peter zaczął sobie zdawać sprawę że to, co mu ofiarowano, ma straszliwą siłę niszczycielską. Ambasador miał słuszność w dwóch sprawach.

Chancellor instynktownie zdał sobie sprawę, że słyszy prawdę, a prócz tej pewności zrozumiał też, że za chwilę zamordowanie Hoovera zostanie potwierdzone. Poza Varakiem St. Claire nie wymienił żadnych nazwisk, ale można było dopuścić możliwość ich wykrycia.

Aktorka, której męża zniszczono w okresie szaleństwa makkartyzmu; dwóch byłych żołnierzy piechoty morskiej, specjalistów łączności, obaj z wielkim doświadczeniem w zakresie elektroniki i podsłuchu telefonicznego, przy tym jeden był strzelcem wyborowym; pracownik brytyjskiego MI 6, o którym było wiadomo, że podczas kryzysu berlińskiego blisko współpracował z Narodową Radą Bezpieczeństwa; amerykański chirurg mieszkający w Paryżu, socjalista, emigrant polityczny, którego żona i syn zostali zabici przez samochód FBI prowadzący nielegalną, niedozwoloną inwigilację. Ci ludzie stanowili zespół. Nitek nie odcięto, po nich można było dojść do kłębka. Sam plan był dziełem geniusza wywiadowczego, aż do subtelnego włączenia nazwiska doradcy Białego Domu.

To tłumaczyło ocenę daną przez Ramireza: Nie było żadnej autopsji... Rozkazy z Tysiąca Sześciuset... z Białego Domu... oni go zabili. A jeśli tego nie zrobili, uważają, że zabili. Że ktoś stamtąd to zrobił. Albo polecił zrobić.

Cóż za niezwykły umysł posiadał Varak!

- Czy powiedziałem panu prawdę? Czy teraz mi pan wierzy? St. Claire skończył

wyczerpany.

- Jak dotąd, tak. Ale trzeba zrobić jeszcze jeden krok. Jeśli poczuję, że jest fałszywy, uznam wszystko za fałsz. Czy to uczciwe postawienie sprawy?

- Nie ma więcej kłamstw. Nie w zakresie dotyczącym pana. Więc jest uczciwe.

- Jakie jest znaczenie Chasongu?

- Nie wiem.

- Jest bez znaczenia?

- Wręcz przeciwnie. Varak nazywał to „fałszywym tropem”. Był przekonany, że stanowi klucz do tożsamości człowieka z Inver Brass, który nas zdradził.

- Proszę wyjaśnić.

St. Claire znów głęboko odetchnął. Był jeszcze bardziej wyczerpany. - To dotyczyło MacAndrewa. Pod Chasongiem wydarzyło się coś, co mogło go zdyskredytować jako dowódcę. Stąd zdanie „Mackie Majcher, morderca z Chasongu”. Straciły tam życie setki ludzi, MacAndrewa uważano za

odpowiedzialnego. Gdy jego wina została ustalona, oczekiwano, że w tym miejscu sprawa się skończy. Varak był przeciwnego zdania. Czuł, że jest coś jeszcze, coś, co dotyczy żony MacAndrewa.

- Czy wiedział pan cokolwiek o składzie oddziałów pod Chasongiem? - Składzie?

- Składzie rasowym. - Chancellor uważnie przyglądał się starcowi - Nie. Nie było mi wiadomo o istnieniu czegoś takiego jak „skład rasowy”.

- A jeśli panu powiem, że dokumentacja strat z Chasongu należy do najściślej strzeżonych tajemnic w archiwach wojskowych; setki ludzi zostało zabitych lub odnotowanych jako zaginieni. Przeżyło tylko trzydziestu siedmiu, z tego sześciu nie jest zdolnych do rozmowy. Pozostałych trzydziestu jeden ocalałych znajduje się w trzydziestu jeden różnych szpitalach rozrzuconych po całym kraju. Czy to panu coś mówi?

- Byłoby to jeszcze jedno potwierdzenie paranoi panującej w Pentagonie.

Przypominającej rządu Hoovera w Biurze.

- I to wszystko?

- Mówimy o stratach w ludziach. Być może paranoja nie jest dość precyzyjnym terminem.

- Ja też tak uważam. Ponieważ nie były to niepotrzebne straty w ludziach z winy MacAndrewa. Była to pułapka zastawiona przez naszą własną armię. Spisek w łonie dowództwa. Te oddziały, aż do ostatniego żołnierza, składały się z czarnych. To było morderstwo rasowe. St. Claire chwycił za barierkę z takim wyrazem, jakby krew ścięła mu się w żyłach. Czas płynął, jedynymi odgłosami było pluskanie fal o skały i gwizd wiatru od morza. Wreszcie ambasadorowi wróciła mowa. - Na litość boską, d l a c z e g o?

Peter wpatrywał się w dyplomatę, czując zarówno ulgę, jak zdumienie. Stary człowiek nie kłamał; jego wstrząs był autentyczny. O St. Claire można było powiedzieć, że zrobił wiele rzeczy nie do wybaczenia, Ale nie był zdrajcą Inver Brass. Nie miał teczki. Peter schował

broń do kieszeni. - Aby zamaskować operację wywiadowczą, do której wciągnięto żonę MacAndrewa. Aby powstrzymać MacAndrewa od zadawania pytań. Bo gdyby to zostało ujawnione,

doprowadziłoby

zdemaskowania

tuzinów

podobnych

operacji.

Narkotyzowanych mężczyzn i kobiet trzymany na halucynogenach. Eksperymenty, które wypaliłyby prosto w twarze swoich pomysłodawców, zniszczyłyby ich kariery, a prawdopodobnie niejedną z nich zostałaby zabity przez człowieka wpędzonego w pułapkę: generała MacAndrewa.

- I z takich powodów poświęcili... O, mój Boże!

- To właśnie oznacza Chasong - oświadczył spokojnie Peter., Wszystko inne było fałszywą przynętą, założoną przez Varaka. - Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co pan powiedział? St. Claire postąpił krok naprzód na niepewnych nogach, z wykrzywioną twarzą -

Inver Brass... Tylko jeden członek Inver Brass jest... - On nie żyje.

St. Claire stracił oddech. Przez moment jego ciało było wstrząsane dreszczami.

Chancellor kontynuował cichym głosem.

- Sutherland nie żyje. Jakub Dreyfus także. A pan nie ma teczek. Pozostają dwaj ludzie. Wells i Montelan.

Wiadomość o śmierci Dreyfusa była ponad siły St. Claire'a. Zaczął przewracać oczami, niezdarnie przytrzymując się barierki. - Odeszli. Obaj odeszli... - Wypowiedział te słowa z głębokim smutkiem.

Peter zbliżył się do niego, pełen ulgi i współczucia. Nareszcie miał sprzymierzeńca!

Potężnego człowieka, który był w stanie skończyć z koszmarem.

- Panie ambasadorze?

Na dźwięk swego tytułu St. Claire spojrział na Petera. W jego oczach pojawił się błysk autentycznej wdzięczności.

- Tak?

- Powinienem na chwilę zostawić pana samego, ale nie mogę. Byłem śledzony. Sądzę, że ci ludzie odkryli, czego się dowiedziałem. Córka MacAndrewa ukrywa się; dwóch ludzi jest z nią, ale nie możemy zagwarantować jej bezpieczeństwa. Nie mogę pójść do policji, nie mogę uzyskać ochrony. Potrzebuję pana pomocy.

Dyplomata odnalazł resztkę pozostałych mu sił.

- Oczywiście, otrzyma ją pan - zaczął. - I ma pan całkowitą rację, nie czas na wyrzuty sumienia.

Rozmyślać będzie można później. Nie teraz. - Co możemy zrobić?

- Wyciąć raka z pełną świadomością, że wskutek operacji pacjent może umrzeć. A w tym wypadku pacjent już nie żyje. Inver Brass jest skończony. - Czy mogę pana zabrać do moich przyjaciół? Do córki Mac

Andrewa?

- Oczywiście tak. - St. Claire odepchnął się od barierki. - Nie, to byłaby strata czasu.

Telefon jest szybszy. Pomimo tego, co pan sądzi, są jeszcze ludzie w Waszyngtonie, którym można zaufać. A tak naprawdę, stanowią ogromną większość. Otrzyma pan potrzebną ochronę. St. Claire zrobił gest w stronę drzwi wejściowych, z kieszeni wyciągnął klucz.

Musieli wejść bardzo szybko. Dyplomata wyjaśnił: system alarmowy zostaje wyłączony za pomocą klucza na dziesięć sekund, które są potrzebne na wejście. Zamknięcie drzwi włącza go ponownie. Wewnątrz St. Claire przeszedł korytarzem do ogromnego salonu, zapalając światło. Podeszedł do telefonu, podniósł słuchawkę, zatrzymał się i odłożył ją z powrotem na widełki. Zwrócił się do Chancellora. - Najlepszą obroną - oświadczył - jest powstrzymanie napastników. Wellsa, Montelana albo obu naraz.

- Głosowałbym za Wellsem.

- Dlaczego? Co on panu powiedział?

- Że kraj go potrzebuje.

- Miał rację. Jego arogancja w żadnej mierze nie podważa genialności.

- Rozmowa o teczkach wprawiła go w panikę. Powiedział, że w nich figurował.

- Figurował. Figuje. .

- Nie rozumiem. ••>.

- Wells było jego drugim imieniem, po matce. Z teczek jasno to wynika. Przyjął je legalnie jako nazwisko wkrótce po rozwodzie rodziców. Był niepełnoletni. Jego nazwisko rodowe brzmi Reisler. Jest w brakujących teczkach, od „M” do „Z”. Czy to nazwisko coś panu mówi? - Tak. - Peter przypomniał sobie. Nazwisko należało do wyniosłej ziejącej nienawiścią postaci sprzed trzydziestu pięciu lat. - Frederick Reisler. Jeden z przywódców Ligi NiemieckoAmerykańskiej. Wykorzystałem go jako podstawę dla jednej z postaci z

„Reichstagu!”. Był z zawodu maklerem giełdowym.

- Geniusz Wall Street. Przekazał Hitlerowi miliony dolarów. Wels przez całe życie ucieka od tego

piętna. Co ważniejsze, służył swemu krajowi bezinteresownie, aby wynagrodzić szkody poczynione przez ojca. Straszliwie się boi, iż teczki ujawnią dziedzictwo, które jest dla niego męczarnią.

- A więc to on. Pochodzenie na to wskazuje.

- Być może, ale jednak wątpię. Jeśli jego przebiegłość nie przekracza mojej najśmielszej wyobraźni, czemu miałby się bać zdemaskowania mając teczki? A co powiedział

hidalgo?

- Kto?

- Montelan. Parys. O wiele sympatyczniejszy od Sztandara, ale nieskończenie bardziej arogancki. Pokolenia kastylijskich bogaczy, niebywale wpływowa rodzina. On sam okradziony i wyzuty ze wszystkiego przez falangistów. Carlos jest pełen nienawiści. Nie znosi jakichkolwiek ośrodków absolutnej kontroli i sterowania. Czasami myślę, że on penetruje cały świat, by odnajdywać byłych arystokratów...

- Co pan powiedział? - przerwał Chancellor. - Czego nie znosi? - Absolutystów.

Jakichkolwiek form mentalności faszystowskiej. - Nie. Pan powiedział „sterowania”.

„Ośrodków sterowania”. - Owszem, powiedziałem.

„Ramirez!” - pomyślał Peter. „Ośrodek sterowania Chasongiem”. Czy o to chodziło?

Czy tu był związek? Ramirez. Montelan. Dwóch arystokratów. Obaj pełni nienawiści.

Odwołujący się do obrony. posługujący się tymi samymi mniejszościami, którymi tak pogardzali?

- Nie mam czasu, by wyjaśniać - powiedział nagle pewien swego Peter. - Ale to Montelan! Czy może pan go osiągnąć?

- Oczywiście. Z każdym członkiem Inver Brass można się skontaktować w minutę.

Istnieją hasła, których nie można zignorować. - Montelan może to zrobić.

- Nie będzie przecież wiedział, czemu go wzywam. - Ambasador uniósł brwi. -

Własny strach przed zdemaskowaniem zmusi go do reakcji. Ale oczywiście zdemaskowanie nie wystarczy, prawda? St. Claire zrobił pauzę, Chancellor się nie odzywał. - Musi zostać zabity. Ostatnie życie, którego żąda Inver Brass. Jak to wszystko tragicznie się kończy. - St.

Claire podniósł słuchawkę. Nagle zamarł, jego zwykle szara twarz zrobiła się biała. - Nie działa.

- To niemożliwe!

- Przed chwilą działał.

Bez ostrzeżenia przeraźliwy dźwięk dzwonka rozległ się w ogromnym pokoju.

Chancellor w miejscu zawrócił w stronę korytarza, sięgając prawą ręką do kieszeni, w której schował pistolet.

Strzał i dźwięk rozbijanego okna wychodzącego na werandę rozległy się równocześnie. Nagły, lodowaty ból przeszył bark i ramię Petera, na marynarce ukazała się krew. Wypuścił broń na podłogę.

Z holu doleciał trzask drewna uderzającego w drewno. Wywalono drzwi wejściowe.

Dwóch szczupłych ludzi, czarnych mężczyzn w obcisłych spodniach i czarnych koszulach wpadło jak koty do pokoju i przykucnęło, trzymając broń wycelowaną w Chancellora.

Za nimi wynurzyła się z ciemnego holu potężna postać, wchodząc do zalanego przerażająco jasnym światłem pokoju.

Był to Daniel Sutherland.

Zatrzymał się, pogardliwie patrząc na Petera. Wyciągnął swą ogromną dłoń i pokazał, co w niej trzyma. Była to kapsułka. Zaciśnął pięść i opuścił rękę, wbijając palce w środek dłoni.

Ciemnoczerwony płyn wytrysnął z pięści, zalewając jej skórę i kapiąc na podłogę.

- Teatr, panie Chancellor. Sztuka złudzeń.

ROZDZIAŁ 42

Działano szybko i zdecydowanie, wszystkie ruchy zdradzały zawodowców. Weszło jeszcze paru czarnych, dom był otoczony. Munro St. Claire przytrzymano przy stole. Petera odciągnięto, mocno przewiązawszy mu ręce pasem materiału. Do bramy wejściowej skierowano człowieka, który miał czekać na miejscową policję z należyтым wyjaśnieniem włączenia się alarmu. Daniel Sutherland skinął głową, odwrócił się i wyszedł do holu I znów, bez ostrzeżenia, nastąpiło coś niepojętego. Człowiek trzymający Bravo puścił go i oddalił się parę kroków; w pokoju rozległy się strzały Munro St. Claire stał sztywno pod ścianą, z ciałem podziurawionym serią pocisków. Osunął się na ziemię z wyrazem niedowierzania w szeroko otwartych, martwych oczach.

- O, mój Boże... - usłyszał Chancellor przerażony głos, nie zdając sobie sprawy, że to jego własny. Świadom tylko okropności, której był świadkiem.

Po krótkiej chwili Sutherland wrócił z ciemnego holu. W oczach miał smutek, jego wyprostowane ciało jakby schyliło się pod ciężarem żalu. Patrząc w dół na zabitego St.

Claire'a, przemówił cicho.

- Nigdy byś tego nie zrozumiał. Ani pozostali. Tych teczek nie wolno niszczyć. Muszą zostać użyte do naprawienia wielu nieprawości. Podniósł wzrok i spojrzał na Petera. -

Zrobiliśmy Jakubowi przyzwoitszy pogrzeb, niż pan mu urządził. Jego śmierć zostanie ogłoszona we właściwym czasie. Podobnie jak innych.

- Zabił pan ich wszystkich - wyszeptał Chancellor.

- Tak - odparł sędzia. - Sztandara przed dwiema nocami, Parysa zeszłej.

- Złapią pana.

- Pani Montelan jest przekonana, że jej mąż został wysłany przez Departament Stanu na Daleki Wschód. Mamy ludzi w Departamencie, nadejdą odpowiednie dokumenty i Montelan zostanie odnotowany jako zabity przez terrorystów. W dzisiejszych czasach to nic niezwykłego. Wells zginął w wypadku samochodowym na mokrej, bocznej drodze niedaleko szosy. W tym wypadku znacznie pan nam pomógł. Jego samochód znaleziono rano.

Sutherland mówił rzeczowo, jakby mordowanie i akty przemocy były absolutnie naturalnymi zjawiskami ani niezwykłymi, ani nie zasługującymi na dłuższe rozpatrywanie.

- Macie ludzi w Departamencie Stanu? - zdziwił się Peter. Więc mogliście odnaleźć dom w Saint Michael's.

- Mogliśmy i zrobiliśmy to.

- Przecież nie musieliście, mając O'Briena.

- Nie uważam, by potrzebował pan próbować wprowadzania nas w błąd. Nie jesteśmy postaciami z książki. Wszyscy tutaj jesteśmy rzeczywiście.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Wie pan dokładnie co. Nigdy nie mieliśmy O'Briena. Mieliśmy innych. Nie jego.

- Nie jego... - Chancellor był zdolny tylko do powtórzenia słów Sutherlanda.

- Pan O'Brien jest bardzo zaradnym człowiekiem - kontynuował Sutherland. - Bardzo dzielny. Strzelał do zbiorników z paliwem, wywołując pożary na statkach, a potem zaryzykował życiem, by nas odciągnąć od pańskiego wozu. Odwaga równa pomysłowości, to godne szacunku zestawienie.

Peter nie potrafił się powstrzymać od głośnego zaczerpnięcia powietrza. O'Brien ich nie zdradził!

Sutherland mówił dalej, ale jego słowa nie miały znaczenia. Nic już nie miało znaczenia.

- Co pan powiedział? - spytał Peter, rozglądając się po gładko wygolonych twarzach Murzynów. Było ich teraz pięciu, każdy z bronią w ręku.

- Powiedziałem z całą uprzejmością, że pana śmierci nie da się uniknąć. - A czemu nie zabiliście mnie przedtem?

- Początkowo próbowaliśmy. A potem zmieniłem zdanie. Rozpoczął pan swój rękopis.

Musieliśmy udowodnić, że jest pan wariatem. Ludzie czytali to, co pan napisał; nie wiemy nawet, ilu ludzi. Był pan niezwykle bliski prawdy. Na to nie mogliśmy pozwolić. Kraj musi wierzyć, że teczki zostały zniszczone. Pan napisał coś przeciwnego. Na szczęście pana zachowanie wzbudziło wątpliwości, a są tacy, którzy sądzą, że nie jest pan przy zdrowych zmysłach. Doznał pan ciężkich uszkodzeń czaszki w wypadku, w którym o mało pan nie zginął. Stracił pan ukochaną kobietę, a pański powrót do zdrowia był anormalnie długi.

Paranoiczny kompleks konspiracji występuje w każdej pana książce, w coraz ostrzejszej formie. Ostatecznym dowodem pana choroby umysłowej...

- Ostatecznym dowodem? - przerwał Peter oszołomiony argumentacją Sutherlanda.

- Tak - kontynuował sędzia. - Ostatecznym dowodem będzie to, że przysięgał pan, iż nie żyję. Nie warto nawet wspominać, że moją reakcją będzie rozbawienie. Spotkałem pana jeden raz, niejasno pamiętam, w jakiej sytuacji. Nie było warte zapamiętania. Został pan odprawiony jako maniak. - Maniak - powtórzył Peter. - W Biurze byli „maniacy”, „fanatycy”.

Spadkobiercy Hoovera. Oni pracowali dla pana. - Tylko trzech. Nie rozumieli, że to będzie bardzo krótkotrwały związek. Łączył nas wspólny cel: teczki Hoovera. Ale oni nie wiedzieli, że mamy ich połowę, tę połowę, która nie została zniszczona. Potrzebni nam byli znani fanatycy, których będzie można schwytać i zabić, co stworzy domniemanie, że wraz z ich śmiercią znikło całe archiwum. Innym ich zadaniem było zapędzenie pana nad skraj przepaści. Gdyby pana zabili, to ich sprawa. Był pan nieszkodliwym szperaczem, ale oni inaczej to pojmowali.

- Pan naprawdę zamierza mnie zabić. Nie mówiłby pan tego wszystkiego, gdyby tak nie było. - Peter zrobił tę uwagę z niemal klinicznym spokojem.

- Nie jestem pozbawiony uczuć. Nie pragnę pozbawiać pana życia, nie sprawia mi to żadnej przyjemności. Ale muszę. Mogę więc przynajmniej zaspokoić pana ciekawość. I mam też propozycję.

- Jaką?

- Życie dziewczyny. Nie ma powodu, by panna MacAndrew umierała. Wszystko, co uznała za prawdę, zostało jej opowiedziane przez pisarza, który zrozumiał, że jest chory umysłowo i popełnił samobójstwo. To klasyczny zespół patologiczny twórców. Gdy granice rzeczywistości zostają przekroczone, następuje depresja.

Petera zdziwił własny spokój.

- Dziękuję. Zaliczył mnie pan do towarzystwa, na które wątpię, czy zasługuję. Co w zamian? Zgadzam się na wszelkie warunki.

- Gdzie jest O'Brien?

- Cooo? - Zdumiony Chancellor przeciągnął słowo.

- Gdzie jest O'Brien? Czy rozmawiał pan z nim po spotkaniu z Ramirezem? Nie może się udać po pomoc do Biura ani policji. Wiedzielibyśmy, gdyby to zrobił. Gdzie on jest?

Peter uważnie patrzył Sutherlandowi w oczy. „Zastanów się nad literaturą” - pomyślał.

„Coś jest lepsze niż nic, niezależnie od tego, jak odległa jest szansa. A to była szansa”.

- Jeśli panu powiem, jakie mam gwarancje, że daruje jej pan życie?

- W ostatecznym rozrachunku żadnych. Tylko moje słowo.

- Pańskie s ł o w o? To chyba pan zwariował! Mam uwierzyć w słowo człowieka, który zdradził swych przyjaciół, zdradził Inver Brass? - Nie ma w tym sprzeczności. Inver Brass został stworzony, aby udzielać krajowi nadzwyczajnej pomocy w chwilach ostatecznych, wszystkim mężczyznom i kobietom tego kraju, bo to państwo miało być państwem wszystkich ludzi. A stało się oczywiste, że ten kraj n i e jest dla wszystkich jego obywateli. I nigdy nie będzie. Powinien zostać z m u s z o n y do włączenia tych, których wolałby nie zauważać. Kraj zdradził mnie, panie Chancellor. I miliony do mnie podobnych.

Ten fakt nie zmienia tego, k i m jestem. Może zmienić to, c z y m jestem, ale nie moje ideały.

Moje słowo do nich należy. I daję je panu.

Peter zaczął błyskawicznie przebierać we wspomnieniach. Po wydarzeniach na przystani nad Chesapeake O'Brien mógł ukryć się tylko w jednym miejscu, jedynym, którego nie wysłedzono. W motelu w Ocean City. Tam będzie czekał przynajmniej dobie, by Alison i Peter skontaktowali się z nim. Niemożliwe, by Quinn poszedł gdzie indziej. „Zastanów się nad literaturą, nic innego ci nie pozostało”. W „Przeciwuderzeniu!” rozmowa telefoniczna służyła do wezwania pomocy w ucieczce. Metoda była prosta: podanie fałszywej informacji, logicznej dla podsłuchującego, ale praktycznie pozbawionej sensu dla odbiorcy. W niej zawarty był klucz do określenia miejsca. Odbiorca musiał sobie wyliczyć, gdzie ono się znajduje.

- A więc umowa stoi - rzekł Peter. - O'Brien za córkę generała MacAndrewa.

- Ale nie obejmuje majora Browna. On nie podlega wymianie. To nasza własność.

- Wiecie o nim?

- Oczywiście. Z centrum przetwarzania danych w McLean. W kilka minut od wypożyczenia dokumentacji Chasongu my o tym wiemy. - Rozumiem. Zabijecie go?

- To zależy. Nie znamy go. Może tak się zdarzyć, że zostanie przeniesiony do szpitala w bazie odległej o tysiące mil stąd. Nie odbieramy życia bez powodu.

„Zabijecie go” - pomyślał Chancellor. „Gdy tylko go poznacie, zabijecie”.

- Twierdzi pan, że znacie miejsce pobytu Browna i Alison - rzekł Peter.

- Znamy. Są w Arundel Village. Mamy tam człowieka pod hotelem. - Chcę, żeby została przewieziona do Waszyngtonu, w miejsce, gdzie mógłbym z nią rozmawiać.

- Żądania, panie Chancellor?

- Jeśli chcecie O'Briena.

- Nikt jej nie zrobi krzywdy. Ma pan moje słowo.

- Określmy to jako kaucję, że go pan dotrzyma. Na litość niech mnie pan nie przyciska. Nie chcę umierać. Boję się. - Peter mówił cichym głosem, nie było przeszkód, by zabrzmiał przekonująco. - A jakie ja mam gwarancje? - spytał sędzia. - Jak pan dostarczy O'Briena?

- Musimy dostać się do telefonu. Ten nie działa, ale o tym pan wie. Znam tylko numer i pokój. Nie mam pojęcia, gdzie on się znajduje. Chancellor podniósł rękę, by spojrzeć na zegarek. Ruch wywołał ostry ból w jego zranionym ramieniu. - O'Brien będzie tam jeszcze przez dwadzieścia do trzydziestu minut. Potem ma do mnie zadzwonić. - Jaki jest numer telefonu?

- Nic to panu nie pomoże, on jest pięćdziesiąt mil stąd. Zna mój głos. Ustalił dla mnie hasło i wiele miejsc spotkań, każde z nich o innym czasie. - Mówiąc to Peter gorączkowo szukał w pamięci. Kilka nocy temu O'Brien wymienił fikcyjną budkę telefoniczną przy Wisconsin Avenue. Miał to być szyfr wskazujący inne miejsce, drugą budkę, do której Peter miał podjechać i odebrać telefon. Na stacji benzynowej pod Salisbury był automat telefoniczny. Quinn i Alison byli tam z nim, gdy telefonował do Morgana w Nowym Jorku.

O'Brien będzie pamiętał ten automat. - Jest druga piętnaście. Gdzie moglibyście spotkać się o tej porze? - Sutherland mówił nieufnie, stał bez ruchu.

- Koło Salisbury jest stacja benzynowa, potwierdzą to miejsce. Będzie żądał, abym opisał samochód, którym przyjadę. I nie przypuszczam, by się pokazał, jeśli zobaczy kogoś ze mną w aucie. Będziecie musieli się ukryć.

- To żaden problem. Jak brzmi hasło? - spytał sędzia. - Ściśle co do słowa.

- Hasło nic nie znaczy. On je czytał z gazety.

- Jak brzmi?

- „Senator zebrał w ostatniej chwili quorum, by przegłosować wydatki na obronę”.

Chancellor skrzywił się i sięgnął drugą ręką do zranionego ramienia. Ten gest maskował znaczenie, jakie Peter mógł nadać słowom hasła. Sugerował, że są to tylko słowa wybrane na chybił trafił z gazety. - Weźmiemy wóz ambasadora - oświadczył na koniec Sutherland. - Ostatnie kilka mil pan będzie prowadził. Do tego momentu pojedzie pan ze mną na tylnym siedzeniu. Będzie nam towarzyszyć dwóch moich ludzi. Gdy siądzie pan za kierownicą, ukryją się. Jestem pewien, że zechce pan z nami współpracować.

- Ja również oczekuję pańskiej współpracy. Chcę, aby pan odwołał swego człowieka z Arundel. Chcę, aby Alison została odwieziona do Waszyngtonu. To może zrobić Brown, zajmiecie się nim później. Jak daleko do najbliższego telefonu?

- Jest na stole, panie Chancellor. Albo znajdzie się na nim za kilka minut. - Sędzia zwrócił się do muskularnego Murzyna stojącego z lewej strony. Przemówił spokojnie w nieznanym języku.

W tym języku krzyczano na przystani nad Chesapeake. Krzyczano wyzywająco w chwili śmierci. W języku, którego nie rozumiał Varak. Wysmukły, czarny mężczyzna kiwnął

głową i przez hol szybko wybiegł na zewnątrz.

- Telefon zostanie uruchomiony - wyjaśnił Sutherland. - Przewodu nie przecięto, a tylko podłączono do obwodu pośredniego, który nie odcina linii końcowej. - Sędzia zrobił

krótką przerwę. - Mówiłem w aszanti. Był to w siedemnastym i osiemnastym wieku język Złotego Wybrzeża w Afryce. Niełatwo się go nauczyć, jest niepodobny do żadnego innego języka. Możemy bez obawy rozmawiać wszędzie, między ludźmi, przekazywać instrukcje i wydawać rozkazy.

Sutherland zwrócił się do dwóch ludzi w drugim końcu pokoju. Znowu przemówił w dziwnie brzmiącym aszanti. Dwaj Murzyni wsadzili broń za pas i szybko podeszli do martwego ciała St. Claire'a. Wynieśli je na zewnątrz. Rozległ się pojedynczy dzwonek telefonu.

- Jest naprawiony - oświadczył Sutherland. - Proszę zadzwonić do O'Briena. Nasz człowiek słucha na linii. Jeśli powie pan cokolwiek podejrzanego, połączenie zostanie przerwane, a kobieta zabita. Peter podszedł do stołu. Obok, na ścianie, w poszarpanych plamach i smugach zastygła krew St. Claire'a. Czuł ją także pod stopami. Podniósł słuchawkę.

Nakręcił numer motelu w Ocean City i poprosił centralę o połączenie z górnym południowym apartamentem. Telefon w pokoju zadzwonił, napięcie było nie do wytrzymania.

O'Briena tam nie było!

Wreszcie usłyszał trzask i spokojny głos:

- Tak?

- Quinn?

- Peter! Na Boga, gdzie jesteś? Bo ja byłem...

- Nie ma czasu - przerwał Chancellor, przemawiając z nietypowym dla siebie gniewem w nadziei, że O'Brien dopatrzy się w jego słowach ukrytego znaczenia. - Prosiłeś o to cholerne hasło, więc ci je podaję. „Senator zebrał w ostatniej chwili quorum, by przegłosować wydatki na obronę”. Tak to brzmiało? Bo jeśli nie, to podobnie.

- Co, u diabła...

- Chcę się z tobą jak najprędzej spotkać! - Znowu przerwał mu tonem ostrym, niegrzecznym, graniczącym z lekceważeniem. Tak bardzo niezgodnym z jego zwyczajami, tak bardzo do niego nie pasującym. - Jest teraz między drugą a trzecią rano. Zgodnie z twoim harmonogramem ma to być stacja benzynowa na drodze do Salisbury. Przyjadę jasnym kontinentalem Mark IV, srebrnym. Koniecznie bądź sam! Nastąpiła krótka cisza. Peter spojrzał na zakrwawioną tapetę i odwróciwszy twarz od Sutherlanda zamknął oczy. Gdy usłyszał odpowiedź Quinna, zachciało mu się płakać. Łzami ulgi.

- Zgoda - odpowiedział O'Brien głosem równie nieprzyjemnym jak Chancellora. -

Mark IV. Będę tam. A co się tyczy hasła, wcale nie jest głupie. Ponieważ go użyłeś, wiem, że nie znajdujesz się w przymusowej sytuacji. A u ciebie, ty sukinsynu, to rzadkość. Zobaczymy się za godzinę.

O'Brien odwiesił słuchawkę. Zrozumiał. Potwierdzały to jego ostatnie słowa. Były równie niezgodne z jego charakterem jak słowa Petera. Fałszywa wiadomość zawierała prawdziwe znaczenie. Peter odwrócił się do sędziego.

- Teraz pana kolej. Proszę zadzwonić do Arundel.

Sutherland siedział obok niego na tylnym siedzeniu kontinentalu dwaj czarni z przodu.

Wiejskimi drogami mknęli na południe, przez most na rzece Choptank, obok drogowskazów kierujących do miast Bethlehem, Preston i Hurlock. Ku Salisbury. Sędzia dotrzymał słowa, Alison była w Waszyngtonie. Znajdzie się w hotelu HayAdams na długo, zanim osiągną Salisbury. Gdy tylko O'Brien zostanie wzięty, Peter może do niej zatelefonować z przydrożnego automatu. Ma to być jego pożegnanie, a po nim nastąpi śmierć, miłosiernie szybka i w nieoczekiwanym momencie. To także należało do umowy.

Na potężnej czarnej głowie sędziego kładły się przemykające światła i cienie.

- W jaki sposób dostał pan teczki? - zapytał Chancellor.

- Teczki „M” do „Z”, panie Chancellor - odrzekł Sutherland. Tylko te. „A” do „L” zostały zniszczone

przez Inver Brass. Mogłem zdobyć tylko połowę.

- Mam umrzeć, a to niełatwo przyjąć do wiadomości. Chciałbym się dowiedzieć, jak pan je zdobył.

Sędzia spojrzał na Petera. Jego czarne oczy w półcieniu wydawały się jeszcze większe.,

- Powiedzenie panu nic nie zaszkodzi. To nie było trudne. Jak pan wie, Varak występował pod nazwiskiem Longworth. Prawdziwy Alan Longworth był - o czym powiedziałem panu w mym biurze parę miesięcy temu - jednym z najbliższych współpracowników Hoovera, którego przekonano, by działał przeciw dyrektorowi. Ceną miało być spędzenie przez niego reszty życia na Hawajach, z zaspokojeniem wszelkich potrzeb, poza zasięgiem tych, którzy mogliby próbować go zabić.

Hooverowi powiedziano, że chorował i zmarł. Rzeczywiście, odprawiono za niego nabożeństwo żałobne, a Hoover osobiście wygłosił mowę pogrzebową. Chancellorowi przypomniał się konspekt jego powieści. Fikcja znów ożyła.

...Sfabrykować orzeczenie lekarskie... Hoover otrzymuje „świadczenie lekarskie”: agent ma raka dwunastnicy. Przerzuty są tak rozległe, że uniemożliwiają operację; w rokowaniu nie daje mu się więcej niż kilka miesięcy życia. Hoover nie ma wyboru. Zwalnia agenta ze służby w przekonaniu, że człowiek wraca do domu, by umrzeć...

- Hoover nigdy nie zważył w śmierć Longwortha? - spytał Peter. - Nie miał ku temu powodów - odrzekł Sutherland. - Przesłano mu świadectwo lekarza wojskowego. Nie pozostawiało wątpliwości. Fikcja. Rzeczywistość.

Sędzia kontynuował:

- Spowodowałem zmartwychwstanie Longwortha. Na Hawajach.

Na jeden dzień. Było to absolutnie dramatyczne. Człowiek powrócił z zaświatów na jeden tylko dzień, ale był to dzień, gdy J. Edgar Hoover w skrajnej furii i skrajnym strachu niemal sparaliżował działanie rządu. - Nikły uśmiech pojawił się na twarzy Sutherlanda coraz to rozświetlanej w półmroku. Mówił dalej, patrząc prosto przed siebie. Longworth wyjawiał

Hooverowi prawdę, jaką znał, jaką myśmy mu powiedzieli. Jego własne poczucie winy było tak głębokie, że do tego dojrzał. Hoover był jego mentorem, w pewnym sensie jego bogiem, a Longwortha zmuszono, by go zdradził. Powiedział więc Hooverowi, że istnieje spisek na jego życie. Z powodu prywatnego archiwum. Spiskowcami byli nie znani Longworthowi ludzie wewnątrz Biura i poza nim. Ludzie mający dostęp do wszystkich haseł, wszystkich szyfrów do trezoru podczas alarmu. Hoover wpadł w panikę, a myśmy wiedzieli, że tak będzie.

Telefonował po całym Waszyngtonie, między innymi do Ramireza, i nie dowiedział się niczego. Uznał, że jest tylko jeden człowiek, któremu można zaufać: jego najbliższy przyjaciel, Clyde Tolson. Zaczął systematycznie przenosić teczki do domu Tolsona. Ściśle mówiąc, do jego piwnicy. Ale spóźnił się, nie usunął wszystkich teczek. Nie mogliśmy na niego naciskać, nie mogliśmy

podejmować aż takiego ryzyka. Ale mogliśmy dostać się do domu Tolsona. Zdobyliśmy dość. Teczki od „M” do „Z” dają nam możliwości, jakich nigdy nie mieliśmy.

- Po co?

- Aby wywierać wpływ na rządy - odrzekł z naciskiem Sutherland. - Co się stało z Longworthem?

- Pan go zabił, panie Chancellor. MacAndrew pociągnął za spust, ale zabił go pan.

Poszczał pan na niego MacAndrewa.

- A pańscy ludzie zabili MacAndrewa.

- Nie mieliśmy wyboru. Dowiedział się zbyt wiele. I tak miał umrzeć. Choć nie był za to odpowiedzialny, był symbolem Chasongu. Setki czarnych żołnierzy zamordowanych, poprowadzonych na śmierć przez swych dowódców. Najbardziej odrażająca zbrodnia, do jakiej człowiek jest zdolny. - Morderstwo rasowe - spokojnie powiedział Peter.

- Forma ludobójstwa. Najhaniebniejsza - odparł Sutherland z oczami przepełnionymi nienawiścią. - Dla wygody. By powstrzymać jednego człowieka przed poznaniem prawdy, bo ta prawda zdemaskowałaby łańcuch zbrodni, eksperymentów, na które cywilizowany człowiek nie może pozwolić. Ale pozwalał.

Zapadła chwila milczenia. Była pełna napięcia.

- A telefony, zabójstwa. Dlaczego? Co Phyllis Maxwell, Bromley czy Rawlins mieli wspólnego z Chasongiem? A w ostateczności także O'Brien? Po co ich prześladowaliście?

Sędzia odpowiedział pośpiesznie.

- To ofiary bez znaczenia. Nie mieli nic wspólnego z Chasongiem. Phyllis Maxwell odkryła informacje, których chcieliśmy użyć dla siebie, prowadzące wprost do prezydenta.

Bromley sobie zasłużył. Miał dość odwagi, by przeciwstawić się Pentagonowi, ale storpedował plan odbudowy strefy miejskiej w Detroit, na którym skorzystałyby tysiące żyjących w nędzy mieszkańców slumsów. Czarnych mieszkańców, panie Chancellor.

Sprzedął się kryminalistom, którzy dostarczyli mu materiałów podtrzymujących jego krucjatę przeciw wojskowym, krucjatę zapewniającą wielkie tytuły na pierwszych stronach. Na koszt czarnych obywateli! Rawlins był najbardziej niebezpiecznym przykładem fałszywego Nowego Południa. Głosił puste frazesy na temat pojawienia się „nowych wartości”, a prywatnie, w komisjach parlamentarnych, udaremniał wszelkie próby Kongresu nadania nowym ustawom skuteczności. A poza tym, proszę nie zapominać, gwałcił czarne dziewczyny. Rodzice tych dzieci nie zapomnieli. Sutherland skończył.

- A co z O'Brienem? - spytał Peter. - Czemu chcecie go zabić? - I tym razem pan jest odpowiedzialny. Jest jedynym, który rozwiązał sprawę kradzieży pozostałych teczek. Gdyby to było wszystko, mógłby

żyć dalej. Można było liczyć na jego milczenie, nie miał

wystarczających dowodów. Ale tak już nie jest. Zna nazwisko Wenecji. Pan mu je podał.

Peter popatrzył w przestrzeń. Otaczała go śmierć, był zwiastunem śmierci.

- Dlaczego pan? - zapytał cicho. - Czemu ze wszystkich ludzi na świecie właśnie pan?

- Ponieważ potrafię - odrzekł Sutherland patrząc daleko przed siebie.

- To nie jest odpowiedź.

- Potrzebowałem całego życia, by wreszcie zrozumieć to, co młodzi widzą w swym życiu codziennie. To wcale nietrudno pojąć, ale byłem pełen wątpliwości. Ten naród zapomniał o swych czarnych obywatelach. Czarny ma się więcej nie wtrącać. Ameryka jest znudzona jego marzeniami, jego osiągnięcia są podejrzane. Modne było popieranie go, gdy stanowił osobliwość, ale nie wówczas, gdy stał się wyzwaniem i wprowadził do sąsiedztwa.

- Pan nie został zapomniany.

- Człowieka niezwykłego nigdy się nie zapomina. Mówię to bez fałszywej dumy.

Moje dary pochodzą od Boga i są niezwykle. Ale co z przeciętnymi ludźmi? Zwyczajną kobietą, zwyczajnym dzieckiem, którzy stają się mniej zwyczajni, bo są napiętnowani od urodzenia? Tego stygmatu nie uleczy zmiana nazwiska, żadne zaświadczenie nie rozjaśni skóry. Nie jestem rewolucjonistą w powszechnie przyjętym znaczeniu, panie Chancellor.

Wiem doskonale, że taki kurs doprowadziłby do holokaustu przekraczającego żydowski.

Całkiem po prostu mamy przeciw sobie przewagę liczby i wyposażenia. Ja tylko używam narzędzia społeczeństwa, w którym żyję. Strachu. Najpospolitsza znana człowiekowi broń.

Nie zna przesądów, nie uwzględnia barier rasowych. To właśnie reprezentują owe teczki. Ani mniej, ani więcej. Dzięki im możemy działać .tak wiele, wpłynąć na tyle ustaw, ustanowić tyle praw, nadać siłę codziennie gwałconym przepisom. To można osiągnąć za pomocą tych teczek. Nie pragnę przemocy, która z pewnością doprowadziłaby do naszego zniszczenia. Nie chcę niczego podobnego. Żądam tylko tego, co jest naszą prawowitą własnością, co nam odebrano. A Opatrzność dała mi broń. Moim zamiarem jest wyprowadzenie zwykłego czarnego z jego smutnej i żenującej sytuacji.

- Ale używa pan przemocy, zabija!

- Tylko tych, którzy odebrali nam życie! - zagrzmał Sutherland wypełniając rykiem cały samochód.

- Tak jak już je odbierano! Tylko tych, którzy przeszkadzają!

Wybuch Sutherlanda spowodował taką samą reakcję Petera, równie mocną, równie pełną gniewu.

- Oko za oko? Czy o to panu idzie? Czy tego nauczył się pan przez całe życie spędzone w służbie

prawa? Na litość boską, nie pan! Dlaczego?

Sutherland zwrócił na niego wściekłe spojrzenie.

- Powiem panu dlaczego. To nie było doświadczenie całego życia. To był wynik krótkiej półgodziny przed pięciu laty. Wydałem wyrok, który niezbyt się podobał w Departamencie Sprawiedliwości. Zabraniał dalszego łamania przepisu, nakazującego powiadomić aresztowanego o jego prawach i utrzymywał w mocy wyrok skazujący znanego inspektora\ policji.

- Pamiętam - rzekł Peter, i była to prawda. Wyrok znany był jako „decyzja Sutherlanda” i wyrażał potępienie bandy, domagającej się „prawa i porządku”. Gdyby wydał

go którykolwiek inny sędzia, złożona by została apelacja do Sądu Najwyższego.

- Zatelefonował do mnie J. Edgar Hoover, domagając się, abym przyszedł do niego do biura. Bardziej z ciekawości niż jakichkolwiek innych przyczyn uległem jego arogancji i przyjąłem zaproszenie. Podczas tego spotkania usłyszałem rzeczy niewiarygodne. Na biurku najwyższego w kraju urzędnika, który powinien strzec prawa, leżały rozłożone dossier wszystkich czołowych przywódców walki o prawa obywatelskie czarnych Kinga, Abernathy'ego, Wilkinsa, Rowana, Farmera. Były to całe tomy brudów: plugawe pogłoski, nieuzasadnione plotki, zapisy podsłuchu telefonicznego i elektronicznego; słowa wyrwane z kontekstu, by wydały się jętrzące moralnie, seksualnie, prawnie, filozoficznie! Byłem rozwścieczony i przerażony! Że coś takiego mogło się zdarzyć w tym Biurze! Szantaż!

Ordynarne wymuszenie! Ale Hoover stosował to już wielokrotnie przedtem. Pozwolił mi dać upust mej wściekłości, a gdy skończyłem, złośliwie oświadczył, że jeśli będę nadal się sprzeciwiał, owe teczki zostaną użyte, a ludzie i ich rodziny zniszczeni! Ruch obywatelski czarnych sparaliżowany! Na zakończenie powiedział do mnie: Nie życzymy sobie nowego Chasongu, nieprawdaż, sędzio Sutherland? - Chasong - cicho powtórzył Peter. - To tam usłyszał pan o nim po raz pierwszy.

- Upłynęły prawie dwa lata, nim dowiedziałem się wszystkiego co nastąpiło w Chasongu. Ale gdy to się stało, podjąłem decyzję. Dzieci przez cały czas miały rację. W swej prostocie dostrzegły to, czego ja nie widziałem. Jako ludzie byliśmy przeznaczeni na odstrzał.

Ale ujrzałem wtedy także coś, czego nie dostrzegali młodzi. Że rozwiązaniem nie jest ślepa przemoc ani protesty. Jest nim użycie tej samej broni, której używa Hoover: działania na system od wewnątrz. Przez strach!... Rozmowa skończona. Należy się panu milczenie. Niech się pan pojedna ze swym Bogiem.

Człowiek siedzący przy kierownicy w świetle małej latarki studiował mapę. Odwrócił

nico głowę, by przemówić do sędziego w języku aszanti.

Sutherland skinął głową i odpowiedział w tym samym dziwnym afrykańskim języku.

Spojrzał na Petera. - Jesteśmy półtorej mili od stacji benzynowej. Zatrzymamy się pięćset jardów od niej. Ci ludzie są wyszkolonymi zwiadowcami. Zostali mistrzami nocnych patroli w

południowowschodniej Azji. Te patrole z reguły składały się z czarnych żołnierzy; straty w ludziach miały największe. Jeśli O'Brien przywiózł kogokolwiek ze sobą, jeśli będą jakiegokolwiek oznaki pułapki, zwiadowcy wrócą i odjedziemy. A dziewczyna umrze na pana oczach.

Chancellorowi zaschło w gardle. Koniec. Powinien był się domyślić. Sutherland nigdy nie zadowoliliby się słowami wypowiedzianymi przez telefon. Peter skazał Alison na śmierć.

Kochał w życiu dwie kobiety i obie zabił.

Pomyślał o obezwładnieniu Sutherlanda, gdy zostaną sami. Tylko to powstrzymało go od krzyku.

- Jak O'Brien mógłby tego dokonać? - spytał Peter. - Powiedział pan, że on nie może zwrócić się do nikogo, że dowiedziałby się pan o tym. - Z grubsza rzecz biorąc, wydaje się to niemożliwe. Jest izolowany. - W takim razie po co się zatrzymujemy? Po co tracimy czas? -

Widziałem, czego O'Brien dokonał wczoraj rano na przystani rybackiej. Należy szanować odwagę i pomysłowość. To zwykły środek ostrożności.

Samochód zatrzymał się. Wszelkie nadzieje Petera na obezwładnienie Sutherlanda szybko się rozwiały. Człowiek siedzący obok kierowcy wyskoczył z wozu, otworzył

drzwiczki koło Chancellora i chwycił go za ramię. Kajdanki zatrzaśnięto na jego przegubie i na metalowej klamrze poniżej okna. Ruch wywołał ostry ból w ramieniu. Skrzywił się i wstrzymał oddech.

Sędzia wysiadł z samochodu.

- Pozostawiam pana pańskim myślom, panie Chancellor.

Dwaj młodzi Murzyni znikli w ciemności.

Były to najdłuższe trzy kwadranse, jakie Peter mógłby wymyślić. Próbował wyobrazić sobie różne taktyki, które O'Brien mógłby opracować. Ale im więcej o nich myślał, tym bardziej ponure wyciągał wnioski. Jeśli Quinnowi udało się załatwić pomoc, co oczywiście powinien zrobić, dodatkowi ludzie zostaną wykryci przez zwiadowców Sutherlanda. Śmierć.

Jeśli z jakiegoś powodu O'Brien zdecydował przybyć sam, umrze. Ale przynajmniej Alison będzie żyć. To było pewną pociechą.

Zwiadowcy powrócili, mokrzy od potu. Biegli szybko, musieli zbadać znaczny teren.

Czarny z lewej strony otworzył drzwi i Sutherland wsiadł do wozu. - Wydaje się, że pan O'Brien stawiał się na spotkanie. Siedzi w samochodzie z zapalonym silnikiem na środku drogi, obstawionej przez nas we wszystkich kierunkach. W promieniu trzech mil od stacji nie ma nikogo.

Chancellor był zbyt odrętwiały i zbyt chory, by jasno myśleć. Jego ostatnie amatorskie posunięcie wpędziło O'Briena w pułapkę. Koniec.

Mark IV ruszył z miejsca. Podjechali do skrzyżowania, kierowca wolno wyhamował samochód. Czarny siedzący po prawej stronie, wysiadł i otworzył drzwi Chancellora. Rozpiął kajdanki; Peter potrząsnął dłonią próbując przywrócić w niej krążenie krwi. Jego zranione ramię znów zaczęło boleć. Nie miało to znaczenia.

- Proszę usiąść za kierownicą, panie Chancellor. Teraz pan poprowadzi. Moi dwaj przyjaciele z bronią w ręku będą ukryci za panem” na tylnym siedzeniu. Jeśli nie podporządkuje się pan instrukcjom, dziewczyna umrze.

Sutherland wysiadł z samochodu wraz z Peterem i stanął przed nim. - Postępuje pan niesłusznie. Wie pan o tym, prawda? - odezwał się Chancellor.

- Pan szuka wartości absolutnych. Podobnie jak precedensy, są aż! nazbyt często niedoskonałe, a w większości wypadków nie mają zastosowania. Pomiędzy nami nie idzie o racje, one nie istnieją. Obaj jesteśmy produktami długotrwałego kryzysu, za który żaden z nas nie odpowiada, ale obu nas wciągnął.

- Czy to opinia prawnika?

- Nie, panie Chancellor. To opinia Murzyna. Byłem najpierw Murzynem, a potem dopiero sędzią. - Sutherland odwrócił się i odszedł. Peter popatrzył za nim, po czym wsiadł do wozu i zatrzasnął drzwi. „To koniec. Dobry Boże, jeśli istniejesz, spraw, aby to przyszło szybko i gwałtownie. Brak mi odwagi”.

Na skrzyżowaniu Peter skręcił w prawo i pojechał wzdłuż drogi. Na lewo była stacja benzynowa, nad pompami paliła się jedna nie osłonięta żarówka.

- Zwolnij - usłyszał cichy rozkaz z tyłu.

- Co za różnica? - spytał Chancellor.

- Zwolnij!

Lufę rewolweru wciśnięto mu w podstawę czaszki. Nacisnął hamulec i potoczył się na wolnym biegu w stronę stacji. Podjechał z tyłu do samochodu O'Briena; musiał to być wóz Quinna. W nocnym powietrzu kłębił się dym z rury wydechowej, przednie światła skierowane były na daleką drogę wiejską.

Peter przestraszył się. Reflektory continentala świeciły prosto w tylne okno wozu O'Briena. Był pusty.

- Nie ma go tam - wyszeptał Chancellor.

- Jest pod siedzeniem - odparł cichy głos z prawej strony. - Wsiądź i podejdź do wozu - powiedział drugi człowiek.

Peter zgasił silnik, otworzył drzwi i znalazł się na drodze. Na chwilę przymknął oczy zastanawiając się, czy wystrzelą do niego, gdy tylko ukaże się Quinn. Nie łudził się.

Sutherland oszczędzi Alison, lecz nie będzie rozmowy telefonicznej. Takiego ryzyka sędzia nie podejmie.

Ale O'Brien nie wysiadł z auta.

- Quinn! - zawołał Chancellor.

Nie było odpowiedzi.

„Co ty wyprawiasz, O'Brien? To już koniec!”

Nic.

Peter podszedł do samochodu z pulsującymi skroniami, przeszywającym bólem gardła. Głos pracującego na luzie silnika mieszał się z odgłosami nocy; wietrzyk przeganiał

suche liście przez szosę. Lada sekunda pokaże się Quinn i nastąpią strzały. Czy jeszcze je usłyszysz? Zbliżył się do okna od strony kierowcy.

Wewnątrz nie było nikogo.

- Chancellor! Padnij!!!

Krzyk nadleciał z ciemności. Nagły ryk potężnego motoru rozdarł ciszę nocy. Z lewej strony zapaliły się oślepiające reflektory, od stacji benzynowej! Z półmroku wypadł

samochód, kierując się prosto na kontynental. Drzwiczki kierowcy otworzyły się, wyskoczył z nich człowiek i potoczył się po nawierzchni.

I nastąpiło zderzenie, grzmiąca kolizja, chrobot metalu, brzęk tłukącego się szkła, wrzaski mężczyzn w środku... wszystko jednocześnie. I jednocześnie Peter zrozumiał, że ostatni wybuch przemocy, na jaki miał nadzieję, jednak nastąpił.

Zgodnie z jego oczekiwaniami rozległy się natychmiast strzały. Zamknął oczy i wczepił się w twardą nawierzchnię. Zaraz nadejdzie przejmujący, zimny ból. Nadejdzie ciemność.

Strzały rozlegały się nadal; Chancellor spojrział w bok. Strzelał Quinn O'Brien!

Peter uniósł głowę. Dym i kurz kłębiły się w powietrzu. Ujrzał, jak przed nim O'Brien przypada do boku samochodu z włączonym silnikiem; był ledwie parę stóp od Chancellora.

Agent przyklęknął z obiema rękami wyciągniętymi nad kufrem, z wycelowanym pistoletem.

- Natychmiast tutaj! - ryknął do Petera.

Chancellor gwałtownie rzucił się przed siebie. Czółgając się tarł dłońmi i kolanami o asfalt, aż dotarł do samochodu.

Ujrzał, że O'Brien waha się, a następnie podnosi głowę i starannie celuje. Nastąpił

wybuch. Zbiornik paliwa continentala eksplodował. Peter przykucnął obok Quinna. Jeden ze zwiadowców Sutherlanda wyskoczył z palącego się samochodu i zaczął strzelać w kierunku O'Briena. Ale Murzyn był dobrze widoczny w świetle rozszerzającego się pożaru, jego ubranie chwyciły płomienie. O'Brien ponownie wycelował. Rozległ się krzyk, zwiadowca upadł na ziemię za płonącym samochodem.

- Quinn! - wrzasnął Peter. - Jak?

- Zrozumiałem cię! Kiedy użyłeś słowa „senator”, dałeś mi do zrozumienia, że to nasza ostatnia nadzieja. Zrozumiałem, że sytuacja jest trudna. Powiedziałeś, że mam być sam, co oznaczało, że ty nie jesteś. Ale miałeś być w jednym samochodzie, tym samochodzie, więc ja potrzebowałem dwóch. Jednego jako przynętę! - krzyczał O'Brien, powoli przesuwając się obok Chancellora w stronę maski wozu.

- Przynęta?

- Dywersja! Zapłaciłem facetowi, żeby ze mną pojechał i zostawił swój wóz.

Wiedziałem, że tylko przy taktyce pirata drogowego mielibyśmy szansę. Cóż, u diabła, nic nam więcej nie pozostało! - Podniósł rewolwer nad maską i wycelował.

- Nie pozostało... - powtórzył jak echo Peter, nagle świadomy, że te słowa zawierają prawdę ostateczną.

Quinn trzykrotnie szybko wystrzelił. Chancellor na chwilę przestał myśleć, a potem znów znalazł się w świecie szaleństwa: Continental wybuchnął po raz drugi.

O'Brien odwrócił się do Chancellora.

- Wskakuj do środka! - wrzasnął. - Znikamy stąd!

Peter wyprostował się i chwycił O'Briena za marynarkę.

- Quinn! Quinn, zaczekaj! Nie ma nikogo więcej! Jeszcze tylko o n! Tam na drodze.

Jest sam!

- Kto?

- Sutherland. To Daniel Sutherland.

O'Brien przez chwilę patrzył na Petera dzikim wzrokiem.

- Wsiadaj - rozkazał. Zawrócił w miejscu wóz czekający z zapalonym silnikiem i popędził w stronę skrzyżowania.

Daleko przed nim, w świetle reflektorów wozu, pośrodku drogi ukazała się ogromna postać Daniela Sutherlanda. Czarny olbrzym widział co się stało. Trzymał się ręką za głowę.

Zagrzmiał ostatni wystrzał.

Sutherland upadł.

Wenecja nie żył. Inver Brass przestał istnieć.

EPILOG

Ranek. Peter stał przy oknie z telefonem w ręku, słuchając słów wypowiedzianych z powstrzymywanym gniewem z Waszyngtonu. Przez okno wpadały potoki słońca. Na zewnątrz był głęboki, olśniewająco biały śnieg, odbijały się w nim coraz to inne iskierki światła widoczne przez szyby. Dowód, że Ziemia się obraca. Podobnie jak głos w telefonie dowodził jednego z aspektów ludzkiej istoty: w ostatecznym rachunku można w niej odnaleźć poczucie moralne.

Rozmówcą był syn Daniela Sutherlanda, Aaron. Podżegacz i błyskotliwy adwokat ruchu czarnych obywateli; człowiek, którego Chancellor chciałby móc nazwać swym przyjacielem, ale wiedział, że to nigdy nie nastąpi.

- Nie będę z wami walczył w taki sposób! Nie poniżę się do używania waszej broni. I nie pozwolę, by inni jej użyli. Znalazłem teczki. I s p a l i ł e m j e! Musi mi pan uwierzyć na słowo.

- Uwierzyłem pańskiemu ojcu w chwili, gdy byłem przekonany, że umrę. Wierzyłem mu. Wierzę panu.

- Nie ma pan innego wyboru. - Prawnik odłożył słuchawkę.

Chancellor powrócił na kanapę. Przez okno od strony północnej widział roześmianą, otuloną zimowym paltem Alison, próbującą ukryć ręce przed mrozem. Stała pomiędzy panią Alcott i milczącym ogrodnikiem, który dzisiaj stał się zdecydowanie wymowny. Pani Alcott uśmiechała się do Alison.

Pani Alcott zaaprobowała Alison. Przybyła tu pani domu. Dom potrzebował swojej pani.

Cała trójka zwróciła się w stronę szopy i ruszyła po odmiecionej ze śniegu ścieżce, obramowanej tworzącymi białozieloną kolumnadę krzewami. Dalej, za ogrodzeniem, biegła

swobodnie żreback. Nagle zatrzymał się i spoglądając na nich przekrzywił głowę. Dał susa w ich stronę z rozwianą na wietrze grzywą. Peter popatrzył na stronice swego rękopisu. Na fikcję literacką Fantazję, którą dane mu było przeżyć. Podjął decyzję.

Raz jeszcze zacznie od początku, wiedząc, że tym razem książka będzie o wiele lepsza, ciekawsza. Przekaze innym umysłom słowa i myśli. Ale on sam nie potrzebował

więcej pomysłów. Przeżyte doświadczenia stanowiły całość i nigdy nie zostaną zapomniane.

Napisze tę historię jako powieść.

Jego rzeczywistość. Niech inni odczytają jej przesłanie.

Pochylił się i z mosiężnego kubka wyjął ołówek. Otworzył nowy blok do pisania.

Czarnowłosa mężczyzna wpatrywał się w ścianę. Fotel, w którym siedział, zresztą podobnie jak całe umeblowanie pomieszczenia był miły dla oka, ale niewygodny.

Poczekalnia bowiem utrzymana w surowym, spartańskim stylu wczesnoamerykańskim, urządzona była w taki sposób, by oczekujący na audiencję w skrytym za nią gabinecie uświadamiali sobie, jaki niebywały zaszczyt ich spotyka... Czekający mężczyzna miał już blisko trzydziestkę. Jego kanciasta twarz o ostrych rysach wyglądała, jakby wyrzeźbił ją rzemieślnik bardziej dbający o szczegóły niż harmonię całości... Zdradzała przy tym, że jej właściciel przeżywa ostry konflikt wewnętrzny...

*

Koniec